

DOUGLAS PRESTON LINCOLN CHILD LABORATORIUM

To mistrzowska powieść.
Prawdziwa jazda bez trzymanki
od pierwszej do ostatniej strony.
Kirkus Review



**Douglas Preston
Lincoln Child**

Laboratorium

Laboratorium jest fikcją literacką. Korporacja GeneDyne, Foundation for Genetic Policy, Holocaust Memorial Fund, Holocaust Research Foundation, hemocyl, PurBlood, X-FLU - oraz oczywiście samo Mount Dragon - są wytworami wyobraźni autora. Wszelkie podobieństwo tych i innych nazw wymienionych w książce do istniejących instytucji jest czysto przypadkowe. Wszystkie opisane osoby i wydarzenia są fikcyjne. W podanych programach badawczych i procedurach nie należy doszukiwać się żadnego podobieństwa do stosowanych przez jakiegokolwiek korporacje, instytucje, uczelnie, ministerstwa lub służby rządowe.

Jeromeowi Prestonowi Seniorowi D.P.
Luchie, moim rodzicom i Ninie Soller L.C.

Podziękowania

Przede wszystkim dziękujemy naszym agentom literackim, Harveyowi Klingerowi i Matthew Snyderowi. Wznosimy na waszą cześć toast najlepszą szkocką whisky. Nigdy nawet nie zaczęlibyśmy tej książki, gdy-by nie wasza pomoc i zachęta.

Dziękujemy także następującym osobom z Tor/Forge: Tomowi Dohertyemu, udzielającemu nam równie nieocenionego wsparcia; Bobowi Gleasonowi, który wierzył w nas od początku; Lindzie Quinton za ożywcze i słuszne rady marketingowe - a także Natalii Aponte, Karen Lovell i Stephenowi de las Heras za wszelką udzieloną nam pomoc.

Za wsparcie techniczne dziękujemy specjalistom medycznym: Lee Suckno, Bryowi Benjaminowi, Frankowi Calabrese oraz Tomowi Benjaminowi.

Lincoln Child dziękuje Denisowi Kellyemu - dobremu koledze, wspaniałemu szefowi i wyrozumiałemu słuchaczowi. Dziękuje Juliette za cierpliwość i zrozumienie. A także Chrisowi Englandowi za wyjaśnienie pewnych zawłości slangu. Trzym się, Chris!

Tony'emu Trischce, z jego przedwojennym formem granadą i mnóstwem czekoladowych ciasteczek, za koncerty na bandžo, powiernictwo i miłe towarzystwo.

Douglas Preston dziękuje żonie Christine, która aż czterokrotnie przebyła z nim pustynię Jornada del Muerto, a także Selene, która tak bardzo mu pomogła. Aletheia świetnie się spisała, biwakując z nami na pustyni, chociaż miała dopiero trzy latka. Dziękuję za pomoc moje-mu bratu Dickowi, autorowi *Strefy śmierci*. A także redakcjom gazet „Smifhsonian” i „New Mexico”, które pomogły sfinansować naszą wyprawę starym hiszpańskim szlakiem przez pustynię Jornada, znanym pod nazwą Camino Real de Tierra Adentro.

Walter Nelson, Roeliff Annon i Silvio Mazzaresse towarzyszyli nam w konnej wyprawie po pustyni i byli wspaniałymi kompanami. Ponad-to dziękujemy następującym osobom, które uprzejmie pozwoliły nam przejechać przez ich rancza: Benowi i Jane Cainom z Bar Cross Ranch, EvelynFitezFite Ranch, Shaneowi Shannonowi, byłemu zarządcy Ar-mandaris Ranch, Tomowi Waddellowi, obecnemu zarządcy Armandaris, Tedowi Turnerowi i Jane Fondzie, właścicielom Armandaris, oraz Harryemu F Thompsonowi Jr. z Thompson Ranches. Historyczne informacje Gabrielle Palmer były bardzo pomocne - jak zwykle.

Specjalne podziękowania należą się Jimowi Ecklesowi z poligonu raketowego w White Sands za pamiętną wycieczkę po ogromnym, obejmującym 5000 kilometrów kwadratowych terenie. Przepraszamy za swobodę, z jaką potraktowaliśmy rzeczywistość, opisując White Sands, który niewątpliwie jest jednym z najlepiej dowodzonych (z troską o środowisko) wojskowym poligonem w kraju. Oczywiście na terenie poligonu raketowego White Sands nie ma takiego miejsca jak Mount Dragon.

Dziękujemy też wszystkim ludziom, którzy pomogli nam przy pisaniu *Laboratorium*, oraz autorom innych książek: Jimowi Cushowi, Larry'emu Bemowi, Markowi Gallagherowi, Chrisowi Yango, Davidowi Thomsonowi, Bayowi i Ann Rabinowitzom, Bruceowi Swansonowi, Edowi Sempleemu, Alanowi Montourowi, Bobowi Wincottowi, uczestnikom forum literackiego CompuServe, a także innym, zbyt licznym, aby ich tu wymienić. Ta książka powstała dzięki waszemu entuzjazmowi.

Nasze symbole krzyczą do Wszechświata

I lecą niczym strzały łowcy.

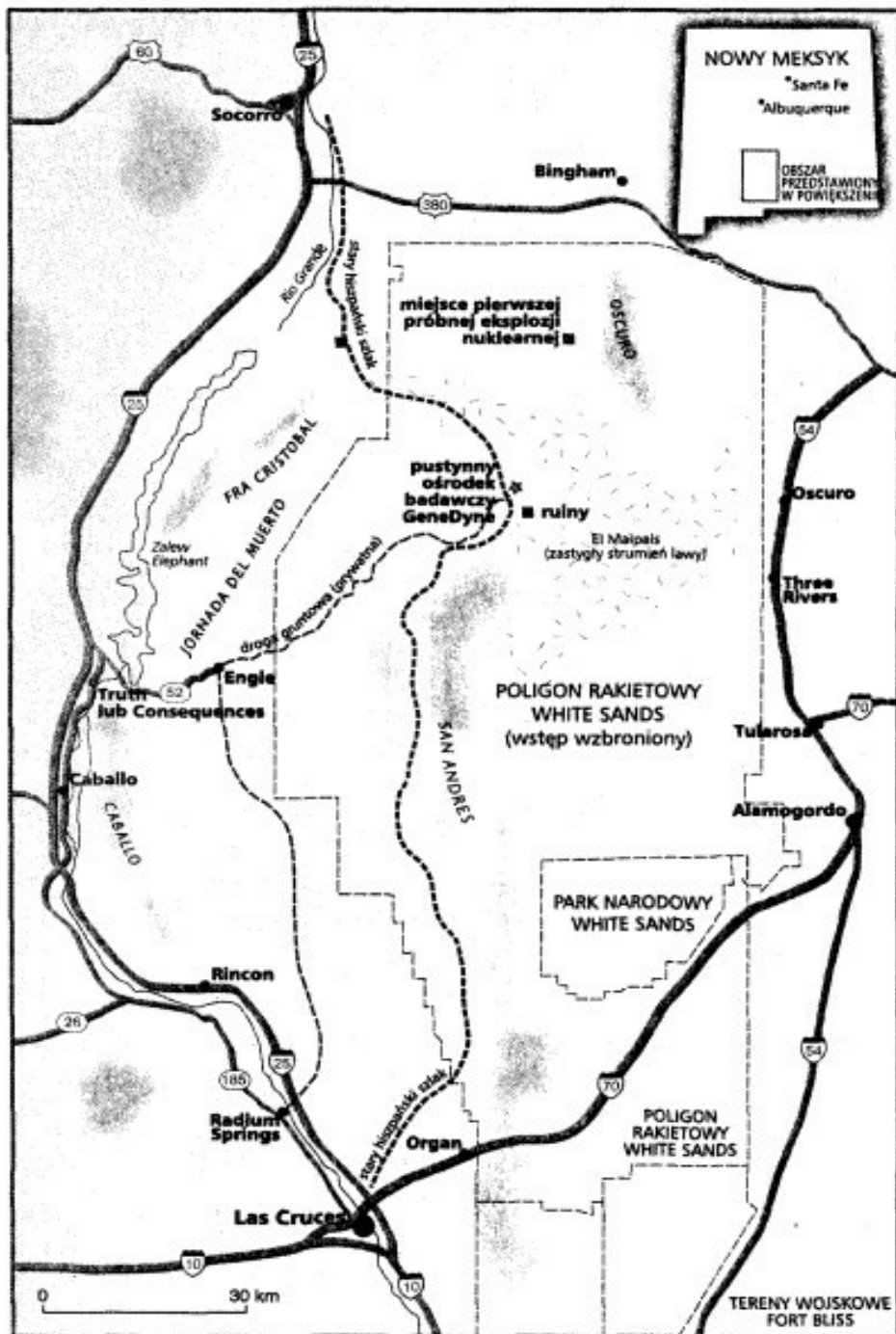
W nocne niebo.

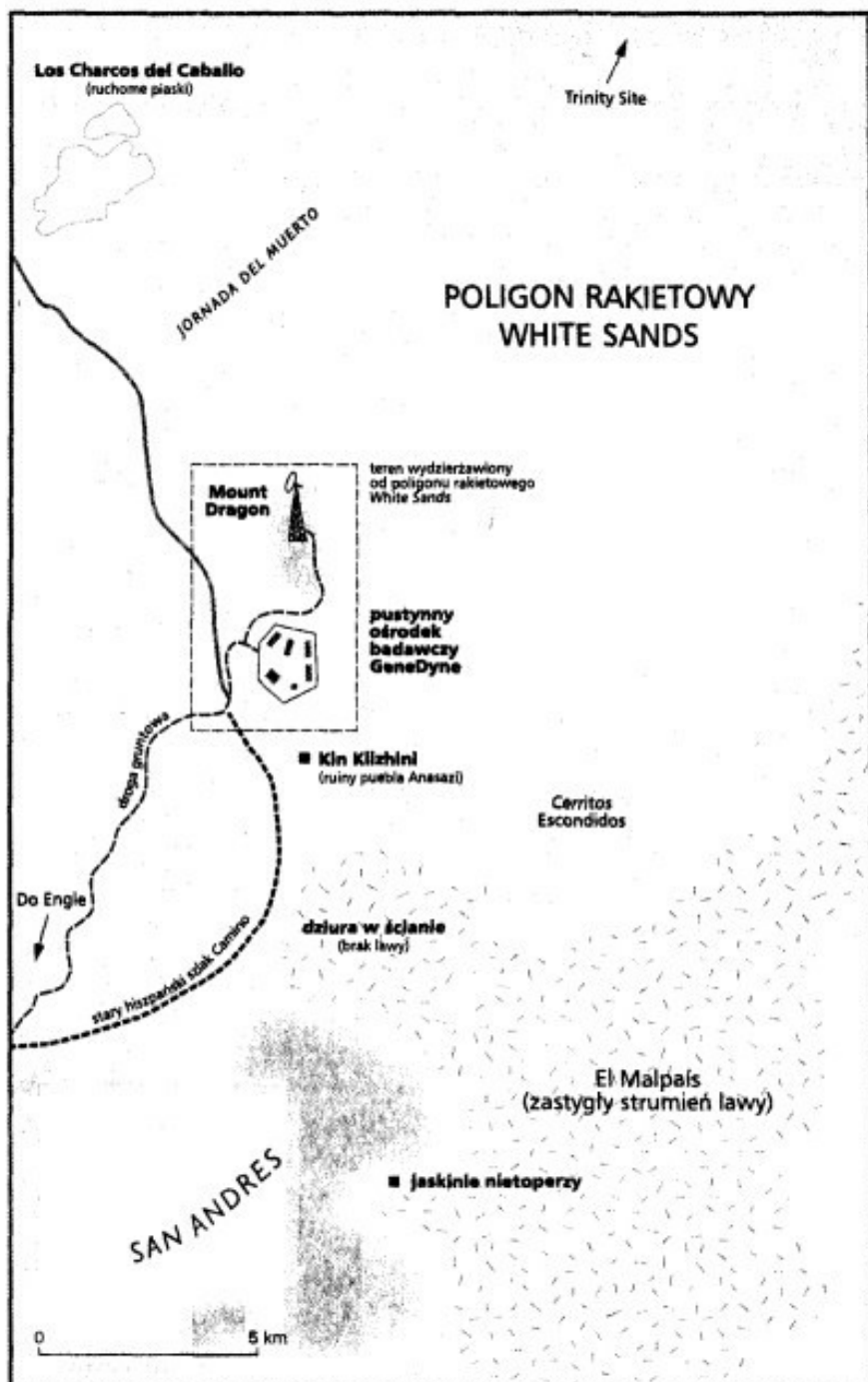
Lub wbijają ostre groty w ciało.

Pędzą jak pożar przez równiny, Gnając bizony.

Franklin Burt

Jedno okno na Apokalipsę to więcej niż potrzeba. Susan Wright/Robert L. Sinsheimer, „Bulletin of Atomic Scientists”





Wstęp

Dźwięki rozchodzące się nad długim zielonym trawnikiem były tak słabe, że mogłyby być krakaniem wron w pobliskim lesie lub porykiwaniem muła na odległej farmie po drugiej stronie rzeki. Prawie nie zakłócały ciszy wiosennego poranka. Trzeba było bardzo uważnie się w nie wsłuchać, by nabrać pewności, że to krzyki.

Masywny budynek administracji Featherwood Park był na pół skry-ty wśród starych krzewów bawełny. Spod frontowego wejścia powoli ruszył prywatny ambulans, chrzęszcząc oponami na zwirowym pod-jeździe. Gdzieś z sykiem zamknęły się automatyczne drzwi.

W bocznej ścianie budynku znajdowały się niepozorne białe drzwi dla personelu. Lloyd Fossey podszedł do nich i machinalnie wprowadził kombinację cyfr na panelu szyfrowego zamka. Próbował zachować w pamięci dźwięki tercetu fortepianowego e-moll Dworzaka, ale po chwili zrezygnował. Tutaj, wewnątrz budynku, krzyki były o wiele głośniejsze.

W rejestracji dzwoniły telefony, na biurku zalegały sterty papierów.

- Dzień dobry, doktorze Fossey - powiedziała pielęgniarka.

- Dzień dobry - odparł, przyjemnie zdziwiony, że w tym zamieszaniu zdołała obdarzyć go uśmiechem. - Widzę, że mamy tu dziś ruch jak na Grand Central.

- Z samego rana przybyło dwóch, trzask-prask, jeden za drugim - wyjaśniła, jedną ręką wypełniając formularz, a drugą podając mu listę. - A teraz ten. Sądzę, że już pan o nim wie.

- Trudno go nie słyszeć. - Fossey wziął listę, sięgnął do kieszeni po pióro i zawahał się. - Czy ten hałaśliwy gość jest mój?

- Nie, doktora Garriota - odparła pielęgniarka i spojrzała na nie-go. - Pański jest pierwszy z tych na liście.

Gdzieś otwarły się drzwi i nagle znów rozległy się wrzaski, teraz znacznie głośniejsze, z kontrapunktem innych głosów. Potem drzwi znów się zamknęły, odcinając wszystkie dźwięki.

- Chciałbym zobaczyć tego ostatniego przyjętego - oświadczył Fossey, oddając listę i sięgając po kartę przyjęć. Pospiesznie przejrzał ją, notując w pamięci płeć, wiek i jednocześnie usiłując odtworzyć akordy *andante* Dworzaka. Zatrzymał wzrok na napisie „Oddział zamknięty”.

- Widziała pani tego pierwszego? - zapytał. Pielęgniarka przecząco pokręciła głową.

- Powinien pan porozmawiać z Willem. Zabrał go na dół prawie

godzinę temu.

Oddział zamknięty szpitala Featherwood Park miał tylko jedno okno. Znajdowało się ono w pomieszczeniu strażnika i wychodziło na schody wiodące na dół, do piwnicy oddziału drugiego. Doktor Fossey nacisnął przycisk dzwonka i za grubą pleksiglasową szybą ujrzał bladą twarz i rozczochrane włosy Willa Hartunga. Po chwili zniknął i drzwi otworzyły się z odgłosem przypominającym huk strzału.

- Jak się pan ma, doktorze - powitał Fosseya strażnik, wchodząc za kontuar i odkładając na bok egzemplarz sonetów Szekspira.

- „Szczęsnym zaiste, panie WH.” - odparł lekarz, zerknąwszy na książkę.

- Ma pan poczucie humoru, doktorze Fossey. Marnuje się pan w tym zawodzie. - Hartung podał mu listę, głośno pociągając nosem. Na drugim końcu kontuaru jakiś nowy pielęgniarz wypełniał karty chorobowe.

- Może mi pan coś powiedzieć o porannym pacjencie? - zapytał Fossey, podpisując listę i oddając ją Hartungowi.

Will wzruszył ramionami.

- Starszy gość. Nie miał ochoty na rozmowę. - Znow wzruszył ramionami. - Nic dziwnego, zważywszy, że niedawno podano mu haldol.

Fossey zmarszczył brwi i wyciągnął spod pachy kartę pacjenta. Tym razem dokładnie przeczytał wpis.

- Mój Boże! Sto miligramów w ciągu dwunastu godzin.

- Zdaje się, że w Albuquerque General uwielbiają psychotropy - mruknął Will.

- No cóż, przepiszę lekarstwa po badaniu wstępnym - powiedział Fossey. - A na razie dość haldolu. Nie potrafię zebrać wywiadu od sztywniaka.

- Jest w szóstce - oświadczył Will. - Zaprowadzę pana.

Na kolejnych drzwiach wymalowany dużymi czerwonymi literami na-pis ostrzegał: UWAGA! NIEBEZPIECZEŃSTWO UCIECZKI. Nowy pielęgniarz wpuścił ich do środka, głośno wciągając powietrze przez przednie zęby

- Znasz moje zdanie na temat umieszczania nowo przybyłych na oddziale zamkniętym przed dokonaniem badań wstępnych - powiedział Fossey, gdy ruszyli pustym korytarzem. - Pacjent może nabrać uprzedzeń, co z góry postawi nas na straconej pozycji.

- Przykro mi, doktorze, ale to nie moja decyzja - odparł Will, przystając przed odrapanymi czarnymi drzwiami. - Ci z Albuquerque

bardzo na to nalegali. - Otworzył drzwi, odsunął ciężką zasuwę i zawahał się. - Mam wejść z panem? - zapytał.

Fossey potrząsnął głową.

- Zawołam pana, jeśli stanie się nadpobudliwy.

Pacjent leżał na wznak na noszach, ramiona miał wyciągnięte wzdłuż boków, nogi wyprostowane. Stojąc w drzwiach, Fossey nie mógł dostrzec całej jego twarzy - widział jedynie wydatny nos i sterzący podbródek, pokryty szczeciną parodniowego zarostu. Cicho zamknął drzwi i ruszył naprzód. Wykładzina podłogowa amortyzowała jego kroki. Nie odrywał oczu od leżącego. Piers mężczyzny unosiła się w regularnym oddechu pod krzyżującymi się na niej grubymi brezentowymi pasami noszy. Trzeci pas przytrzymywał nogi mężczyzny, splecione w kostkach rzemiennymi jarzmami.

Fossey zatrzymał się, odchrząknął i zaczął czekać na reakcję.

Zrobił krok naprzód, potem jeszcze jeden, obliczając w myślach. Czternaście godzin od opuszczenia Albuquerque General. Haldol powinien już przestać działać.

Ponownie chrząknął.

- Dzień dobry, panie... - zaczął, a potem zerknął do karty, szukając nazwiska.

- Doktor Franklin Burt - usłyszał cichy głos z noszy. - Proszę wybaczyć, że nie wstaję, żeby uścisnąć panu dłoń, ale jak pan widzi...

Leżący mężczyzna nie dokończył zdania. Zaskoczony Fossey podszedł i spojrzał na niego z bliska. Doktor Franklin Burt. Znał to nazwisko. Znowu spojrzał w kartę, sprawdził pierwszą stronę. No tak: doktor Franklin Burt, biolog molekularny, doktor nauk medycznych, absolwent Johns Hopkins Medical School. Pracownik naukowy Pustynnego Ośrodka Badawczego GeneDyne. Na marginesie ktoś umieścił znaki zapytania obok rubryki „zawód”.

- Doktor Burt? - zapytał z niedowierzaniem, znowu spoglądając na twarz leżącego.

W szarych oczach tamtego pojawiło się zdziwienie.

- Czy ja pana znam?

Twarcz była ta sama - trochę starsza oczywiście i bardziej opalona, niż pamiętał, lecz wciąż nie miała śladów, jakie troski i niepokoje pozostawiają na czołach i w kącikach oczu. Mężczyzna miał opatrunek na skroni i mocno przekrwione oczy.

Fossey był wstrząśnięty. Kiedyś wysłuchał odczytu wygłoszonego przez tego człowieka. Podziw dla charyzmatycznego, błyskotliwego

wykładowcy wywarł znaczny wpływ na jego karierę zawodową. W jaki sposób ten człowiek znalazł się teraz tutaj, przywiązany do noszy w pokoju o grubo wyścielonych ścianach?

- Jestem Lloyd Fossey, doktorze - przedstawił się. - Kiedyś wysłuchałem pańskiego odczytu na wydziale lekarskim Yale. Później rozmawialiśmy przez jakiś czas. O syntetycznych hormonach...?

Fossey zawiesił głos, w napięciu czekając, aż Burt przypomni sobie tę rozmowę. Po chwili mężczyzna leżący na noszach westchnął i lekko skinął głową.

- Tak. Proszę mi wybaczyć. Pamiętam. Pytał mnie pan o wpływ syntetycznej erytropoetyny na przerzuty

Fossey poczuł ulgę.

- Pochlebia mi, że pan to pamięta - powiedział.

Burt przez chwilę milczał, jakby szukając właściwych słów.

- Miło mi pana spotkać - powiedział w końcu z nikłym uśmiechem, jakby rozbawiony tą sytuacją.

Fossey pożałował, że nie zdążył przejrzeć historii choroby. Teraz chętnie poznałby dokładnie dotychczasowe diagnozy, szukając jakiegoś wyjaśnienia. Czuł jednak na sobie spojrzenie Burta i wiedział, że starszy kolega podąża za tokiem jego rozumowania. Mimowolnie zerknął na kartę zdrowia, spoglądając na wypełnione rubryki. Natychmiast oderwał od nich wzrok, ale zdążył dostrzec takie określenia, jak „ostra psychoza”... „mania prześladowcza”... „silne neuroleptyki”.

Burt spoglądał na niego spokojnie. Dziwnie onieśmielony, Fossey wy-ciągnął rękę i sprawdził jego puls, dotykając przegubu skrepowanej ręki. Burt zamrugał oczami, oblizał wyschnięte usta i zrobił głęboki wdech.

- Jechałem na północ z Albuquerque - powiedział. - Wie pan, czym się teraz zajmuję, prawda?

Fossey skinął głową. Kiedy Burt przeszedł do przemysłu i przestał publikować, jak zwykle mówiono o „drenażu mózgów”, stosowanym przez duże korporacje.

- Prowadzimy badania nad zmianami zachowań szympanсів. To niewielki projekt, więc sami wykonujemy większość doświadczeń. Korzystam ze sprzętu i pomieszczeń ośrodka GeneDyne w Albuquerque. Opracowaliśmy własny preparat testowy będący syntetyczną pochodną fenocyklidyny w aerozolu.

Fossey ponownie skinął głową. PCP¹ w aerozolu. „Anielski pył” działający jak gaz rozweselający. Dziwny sposób wykorzystania funduszy na badania. Spoglądający mu w oczy Burt uśmiechnął się, a może skrzywił - Fossey nie był tego pewien.

- Mierzyliśmy stosunek wchłaniania preparatu przez pęcherzyki płucne do absorpcji kapilarnej. Właśnie stamtąd wracałem. Byłem zmęczony i nie uważałem. Tuż za Los Lunas zjechałem z drogi do rowu. Nic poważnego. Tyle że zbił mi się pojemnik z aerozolem...

Fossey zrozumiał. No tak, to wszystko wyjaśniało. Wiedział, co na-wet mocno rozrzedzony anielski pył może zrobić z człowiekiem. W dużych dawkach PCP wywoływał agresywne zachowania maniakalne. Często to widywał. To wyjaśniało również przekrwione oczy Burta.

Zapadła cisza. Żrenice normalne, nierozszerzone, stwierdził Fossey. Prawidłowa barwa skóry Lekka tachykardia, ale wiedział, że gdyby on sam leżał przywiązany do noszy w pokoju z drzwiami bez klamki, jego serce też biłoby mocniej. Nie dostrzegał żadnych objawów psychozy.

- Niezbyt dobrze pamiętam, co było potem - dodał Burt i na jego twarzy pojawiło się znużenie. - Nie miałem żadnych dokumentów oprócz prawa jazdy Arniko, moja żona, jest z siostrą w Venice. Nie mam innej rodziny Podali mi silne środki uspokajające. Pewnie byłem niezborny...

Fosseya wcale to nie dziwiło. Facet bez dokumentów, ofiara wypadku drogowego, odurzony, być może agresywny, podający się za specjalistę od biologii molekularnej. W której zatłoczonej izbie przyjęć dano by mu wiarę? Łatwiej posłać gościa do czubków. Wydał wargi i pokręcił głową. Idioci.

- Bogu dzięki, że trafiłem do ciebie, Lloyd - powiedział Burt. - To był koszmar, mówię ci. A nawiasem mówiąc, gdzie jestem?

- W Featherwood Park - poinformował go Fossey.

- Tak myślałem - mruknął Burt. - Jestem pewien, że teraz wszystko się wyjaśni. Możecie zadzwonić do GeneDyne, jeśli chcecie. Jestem już spóźniony i niewątpliwie martwią się o mnie.

- Zaraz to zrobimy, doktorze Burt - obiecał Fossey.

- Dziękuję ci, Lloyd - odparł Burt, krzywiąc się lekko.

- Coś panu dolega? - zapytał natychmiast Fossey.

- Ramiona - stęknął Burt. - To nic takiego. Trochę mi ścierpły. Za długo byłem przywiązany do noszy.

1 PCP — fenylocykloheksylopiperydyna (środek halucynogeny). Wszystkie przypisy w książce pochodzą od tłumacza.

Fossey zastanawiał się tylko przez chwilę. Działanie PCP minęło, tak samo jak działanie haldolu. Burt nadal spokojnie spoglądał na niego swoimi szarymi oczami. Nie było w nich gorączkowego błysku, typowego dla symulowanego opanowania.

- Zaraz rozepnę pasy na piersi, żeby mógł pan usiąść - powiedział. Burt uśmiechnął się z ulgą.

- Wielkie dzięki. Rozumiesz, nie chciałem cię o to prosić. Znam zasady postępowania.

- Przepraszam, że nie zrobiłem tego wcześniej, doktorze Burt - powiedział Fossey, pochylając się nad pasem i odpinając klamrę.

Przeprowadzi kilka rozmów telefonicznych i wyjaśni tę niefortunną pomyłkę. Potem powie kilka słów lekarzowi z izby przyjęć Albuquerque General. Pas był mocno zapięty i Fossey przez chwilę się zastanawiał, czy nie wezwać na pomoc Willa, ale zrezygnował. Strażnik ściśle przestrzegał przepisów.

- Teraz jest znacznie lepiej - powiedział Burt. Ostrożnie podniósł się i rozmasował zeszywniałe mięśnie ramion. - Nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy leży się tak nieruchomo przez parę godzin. Raz już byłem w takiej sytuacji, kilka lat temu, po plastyce naczyń. Prawdziwe piekło.

Poruszył spętanymi nogami.

- Będziemy musieli przeprowadzić badania, zanim pana wypiszemy, doktorze - oświadczył Fossey. - Zaraz sprowadzę tutaj dyżurnego psychiatrę. Chyba że chce pan najpierw odpocząć.

- Nie, dziękuję - odparł Burt, unosząc jedną rękę z noszy, żeby rozmasować sobie kark. - Zróbmy to od razu. Kiedy znów będziemy na wschodzie, musimy się kiedyś umówić na obiad. Pozna pan Amiko - powiedział i przesunął dłonią po policzku.

Stojąc obok noszy, Fossey usłyszał nagle trzask przypominający odgłos zapalanej zapalki. Podniósł wzrok i zobaczył, że Burt oderwał przyklejony do skroni opatrunek.

- Zaraz założymy panu świeży - powiedział, zamykając teczkę.

- Biedny alfa - mruknął Burt, wpatrując się w zakrwawiony bandaż.

- Słucham? - zdziwił się Fossey i pochylił się, aby obejrzeć ranę.

Burt poderwał się gwałtownie, uderzając głową w jego brodę, a po-tem ciężko opadł na nosze. Fossey przygryzł sobie język i zatoczył się w tył. W ustach poczuł krew.

- Biedny alfa! - wrzasnął Burt, szarpiąc jarzma na nogach. -BIEDNY ALFA!

Fossey upadł na podłogę i na czworakach zaczął gramolić się do drzwi, wołając Willa. Przeróżliwe wrzaski Burta zagłuszyły jego bełkotliwy krzyk. Will wpadł do izolatki w chwili, gdy Burt ponownie szarpnął się w więzach i runął razem z noszami na podłogę. Szamotał się, szczerząc zęby i usiłując wyrwać nogi z uchwytów.

Wszystko działo się bardzo szybko, ale Fosseyowi wydawało się, że trwa to całą wieczność. Widział, jak Will i pielęgniarz zmagają się z Burtem, próbując podnieść nosze. Burt gryzł teraz swoje przeguby, potrząsając głową jak pies królikiem. Strumień krwi, gęstej jak ślina zmieszana z przeżutym tytoniem, opryskał okulary pielęgniarza. Obaj mężczyźni przycisnęli ramiona Burta do noszy, z całej siły przytrzymując go i usiłując zapiąć grube pasy. Will sięgnął po alarmowy biper. Wrzaski nie cichły ani na chwilę i Fossey wiedział, że nieprędko ucichną.

CZEŚĆ PIERWSZA

Utknąwszy na kolejnym skrzyżowaniu, Carson zerknął na zegar na desce rozdzielczej. Spóźni się do pracy, po raz drugi w tym tygodniu. US Route 1 ciągnęła się jak zły sen. Zapaliło się zielone światło, ale za-nim zdążył przejechać, znów zmieniło się na czerwone.

- Kurwa mać! - warknął i trzasnął dłonią w deskę rozdzielczą. Patrzył, jak deszcz bębni o przednią szybę, i słuchał szurania wycieraczek. Przed sobą widział długi rząd tylnych świateł zapowiadający kolejną przerwę w ruchu. Nigdy nie przyzwyczai się do tych korków, tak samo jak to tego przekłętego deszczu.

Wjeżdżając w ślimaczym tempie na wzniesienie, Carson widział przed sobą białą fasadę znajdującego się kilometr dalej kompleksu GeneDyne w Edison - postmodernistycznego arcydzieła architektury, otoczonego zielonymi trawnikami i sztucznymi sadzawkami. Gdzieś tam w środku czekał na niego Fred Peck.

Włączył radio i powietrze wypełniły pulsujące dźwięki Gangsta Muthas. Kiedy pokręcił gałką, z szumu wydobył się wysoki głos Michaela Jacksona. Carson z niesmakiem szybko wyłączył odbiornik. Są rzeczy gorsze od myśli o Pecku. Dlaczego w tej cholerniej dziurze nie mają nawet przyzwoitej stacji z muzyką country?

Kiedy tam dotarł, w laboratorium panował ożywiony ruch. Nigdzie nie było widać Pecka. Carson oblekł swoją chudą postać w fartuch i usiadł przy terminalu, wiedząc, że czas zalogowania zostanie automatycznie zapisany w jego pliku osobowym. Jeśli Peck jest na chorobowym, z pewnością zauważy to, kiedy wróci. No chyba żeby umarł. To dość interesująca możliwość. Kiedy ostatnio go widział, facet wyglądał na bliskiego zawału.

- Ach, pan Carson - usłyszał za plecami drwiący głos. - Jakże miło z pańskiej strony, że raczył nas pan dziś zaszczyścić swoją obecnością.

Carson zamknął oczy i zrobił głęboki wdech, a potem się odwrócił.

Na tle jaskrawego światła jarzeniówek zobaczył pękatą sylwetkę zwierzchnika. Brązowy krawat Pecka nosił ślady spożytej na śniadanie jajecznicy, a puciołowate policzki pokrywały ślady licznych zacięć. Carson wypuścił powietrze przez nos, tocząc z góry przegraną walkę z gęstym zapachem Old Spice'a.

Był zaszokowany, kiedy pierwszego dnia pracy w GeneDyne, jednej z największych firm biotechnologicznych na świecie, spotkał tu kogoś takiego jak Fred Peck. W ciągu osiemnastu miesięcy, jakie minęły od tego czasu, Peck nieustannie przydzielał Carsonowi najgorsze prace laboratoryjne. Carson domyślał się, że ma to coś wspólnego z magisterium zrobionym przez Pecka na Syracuse University i z jego własnym doktoratem uzyskanym w MIT². A może Peck po prostu nie lubił ludzi z południowego zachodu.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział ze źle udawanym ubolewaniem. - Utknąłem w korkach.

- W korkach - powtórzył Peck, jakby po raz pierwszy słyszał to słowo.

- Tak - rzekł Carson. - Skierowali...

- Skierowali - powtórzył znowu Peck, naśladowując zachodni akcent Carsona.

- Zrobili objazd na płatnej do Jersey...

- Ach, objazd - mruknął Peck. Carson zamilkł. Peck odchrząknął.

- Korki w New Jersey w godzinie szczytu. To naprawdę musiało być dla ciebie zaskoczenie, Carson. - Założył ręce na piersi. - O mało nie spóźniłeś się na spotkanie.

- Spotkanie? - zdziwił się Carson. - Jakie spotkanie? Nie wiedziałem...

- Jasne, że nie wiedziałeś. Właśnie sam się o tym dowiedziałem. To jeden z wielu powodów, dla których powinieneś być tu punktualnie, Carson.

- Tak jest, panie Peck - odparł Carson, wstał i poszedł za swoim szefem przez labirynt odgradzonych przepierzeniami bliźniaczych stanowisk.

Pan Fred Peckerwood. Sir Frederick Peckerfat i inni. Swędziała go ręka, żeby przyłożyć temu śliskiemu draniowi. Ale tutaj nie załatwiało się w ten sposób takich spraw. Gdyby Peck był zarządcą rancza, już dawno oberwałby po pysku.

Peck otworzył drzwi z napisem SALA WIDEOKONFERENCYJNAII i skinął na podwładnego. Carson dopiero patrząc na wielki pusty stół, uświadomił sobie, że ma na sobie brudny fartuch.

- Siadaj - polecił Peck.

2 MIT — Massachusetts Institute of Technology

- Gdzie są pozostali? - zapytał Carson.

- Nie będzie nikogo oprócz ciebie - odparł Peck i ruszył do drzwi.

- Pan nie zostaje? - Carson poczuł rosnący niepokój. Zastanawiał się, czy nie przegapił jakiejś ważnej informacji w poczcie elektronicznej i czy nie powinien jakoś się przygotować. - A o co właściwie chodzi?

- Nie mam pojęcia - odparł Peck. - Kiedy tu skończysz, przyjdź prosto do mojego biura. Musimy porozmawiać o twoim nastawieniu.

Drzwi zamknęły się z głośnym stuknięciem dębu o metal. Carson ostrożnie zajął miejsce za stołem z wiśniowego drzewa i rozejrzał się wokół. Pokój był wykończony ręcznie obrabianym jasnym drewnem. Przeszklona ściana ukazywała zielone trawniki i sadzawki kompleksu GeneDyne. Dalej leżała bezkresna pustynia miejskich przedmieść. Carson usiłował przygotować się na nieprzyjemną rozmowę. Z pewnością Peck złożył na niego tyle skarg, że w końcu postanowiono udzielić mu surowej nagany albo i gorzej.

Być może Peck miał trochę racji i Carson powinien zmienić swoje nastawienie. Powinien pozbyć się tego oślego uporu, który załatwił ojca. Nigdy nie zapomni tamtego dnia na ranchu, kiedy ojciec znokautował bankiera. Od tego incydentu rozpoczęło się postępowanie upadłościowe. Ojciec był swoim najgorszym wrogiem i Carson postanowił nie powtarzać jego błędów. Na świecie jest mnóstwo Pecków.

Szkoda tylko, że półtora roku jego życia przepadło - tak jakby spuścił je z wodą w klozecie. Kiedy zaproponowano mu pracę w GeneDyne, wydawało mu się to punktem zwrotnym w jego życiu, chwilą, dla której opuścił dom i tak ciężko pracował. A poza tym, co ważniejsze, wydawało mu się, że w GeneDyne może czegoś dokonać, może zrobić coś pożytecznego. Jednak każdego dnia, kiedy budził się w zniechęcającym Jersey, w ciasnym obcym mieszkaniu, żeby pojechać pod szarym i brudnym niebem na spotkanie Pecka, wydawało mu się to coraz mniej prawdopodobne.

Światła w sali konferencyjnej zamrugały i zgasły. Automatyczne zasłony zaciemniły okna, a duży panel na ścianie odsunął się na bok, ukazując szereg klawiatur i duży ekran wideoprojektora.

Ekran zamigotał i pojawiła się na nim twarz mężczyzny. Carson zamarł. Ujrzał odstające uszy, blond włosy z niesfornym kosmykiem, grube szkła, charakterystyczny czarny podkoszulek i senny, cyniczny wyraz twarzy. Jednym słowem, twarz Brentwooda Scopesa, założyciela GeneDyne. Egzemplarz „Time” z obszernym artykułem o Scopesie nadal leżał obok kanapy w stołowym pokoju Carsona. Prezes rządził z

cyberprzestrzeni swoją firmą, budząc szacunek na Wall Street, po-dziw wśród pracowników i strach wśród rywali. A cóż to znowu, jakiś rodzaj motywacyjnego filmu dla opornych?

- Cześć - powiedział Scopes z ekranu. - Jak leci, Guy? Carsonowi na moment zaparło dech. Jezu - pomyślał - to wcale nie film.

- Ehm... czołem, panie Scopes. Sir. Nieźle. Przepraszam za nie-odpowiedni strój...

- Proszę, mów mi Brent. I patrz na ekran, kiedy mówisz. W ten sposób lepiej cię widzę.

- Tak, sir.

- Nie sir, tylko Brent.

- Oczywiście. Dzięki, Brent.

Zwracanie się po imieniu do szefa GeneDyne przychodziło mu z najwyższym trudem.

- Lubię uważać moich pracowników za kolegów - powiedział Scopes. - W końcu, podejmując pracę w firmie, stałeś się jej współdziałowcem, jak wszyscy. Posiadasz jej akcje, co oznacza, że dzielisz z nami wszystkie wzloty i upadki.

- Tak, Brent.

Na dalszym planie, za plecami Scopesa, Carson dostrzegał niewyraźny zarys czegoś, co wyglądało jak masywny wieloboczny skarbiec. Scopes uśmiechnął się z zadowoleniem i Carson odniósł wrażenie, że mimo trzydziestu dziewięciu lat prezes firmy wygląda prawie jak nastolatek. Z rosnącym zdziwieniem spoglądał na ekran. Dlaczego Scopes, finansowy geniusz, który dosłownie z niczego stworzył wartość cztery miliardy dolarów firmę, chciał z nim rozmawiać? Cholera, musiałem spieprzyć sprawę bardziej, niż sądziłem, pomyślał.

Scopes zerknął w dół i Carson usłyszał stukot klawiszy.

- Sprawdziłem twoje dane, Guy - powiedział Scopes z uśmiechem.

- Robią wrażenie. Rozumiem, dlaczego cię zatrudniłszy - Znowu stukot klawiszy. - Chociaż niezupełnie rozumiem, dlaczego pracujesz jako... zobaczmy... technik laboratoryjny.

Podniósł głowę i dodał:

- Guy, wybacz, że przejdę od razu do rzeczy Mamy w firmie wakat na ważnym stanowisku. Sądzę, że jesteś odpowiednią osobą na to miejsce.

- Co miałbym robić? - zapytał Carson i natychmiast pożałował swojego impulsywnego zachowania.

Scopes znowu się uśmiechnął.

- Chciałbym podać ci szczegóły, ale to ściśle tajny projekt. Jestem pewien, że zrozumiesz wszystko, jeśli przedstawię ci to tylko w ogólnym zarysie.

- Tak, sir.

- Guy, czy ja wyglądam jak „sir”? Nie tak dawno byłem fajtłapowatym dzieciakiem, poszturchiwanym na szkolnym podwórku. Mogę ci tylko powiedzieć, że to stanowisko jest związane z najważniejszym produktem, jaki kiedykolwiek wytworzyła GeneDyne. Produktem, któ-ry będzie miał nieocenioną wartość dla ludzkości.

Obserwując wyraz twarzy Carsona, oświadczył:

- To wspaniale, jeśli można pomóc ludziom, a przy tym jeszcze się wzbogacić. - Przysunął twarz do kamery. - Proponujemy ci sześciomiesięczne przeniesienie do Pustynnego Ośrodka Badawczego GeneDyne, do laboratorium Mount Dragon. Będziesz pracował w małym, zgra-nym zespole, z najlepszymi mikrobiologami firmy.

Carson poczuł przyływ podniecenia. Słowa „Mount Dragon” były powtarzane jak zaklęcie w całej GeneDyne.

Ktoś niewidoczny położył pudełko z pizzą obok Scopesa, który spojrzał na nie, otworzył je i zamknął.

- Z anchois. Wiesz, co Churchill powiedział o anchois? „Smakołyk angielskich lordów i włoskich dziwek”.

Zapadła cisza.

- A więc pojedę do Nowego Meksyku? - zapytał Carson.

- Zgadza się. To twoje strony, prawda?

- Wychowałem się w Bootheel. W miejscowości zwanej Cottonwood Tanks.

- Wiedziałem, że ma taką malowniczą nazwę. Zapewne Mount Dragon nie wyda ci się tak niegościnnym miejscem, jak niektórym innym ludziom. Odosobnienie i pustynia sprawiają, że ciężko tam pracować, ale tobie może się to spodoba. Są tam stajnie i konie. Myślę, że jesteś dobrym jeźdźcem, skoro wychowałeś się na farmie.

- Znam się trochę na koniach - odparł Carson. Scopes rzeczywiście dobrze go sprawdził.

- Oczywiście nie będziesz miał wiele czasu na przejażdżki. Będą w ciebie orać, nie ma sensu tego ukrywać. Ale otrzymasz niezłą rekompensatę. Roczną pensję za sześciomiesięczny okres pracy plus pięćdziesiąt tysięcy premii po jej zakończeniu. A także, rzecz jasna, moją wdzięczność.

Carson z trudem przyjmował to do wiadomości. Sama premia wy-

nosiła tyle, co jego dotychczasowa roczna pensja.

- Zapewne wiesz, że moje metody zarządzania są trochę nieortodoksyjne - ciągnął Scopes. - Będę z tobą szczery, Guy. Jest też pewien minus. Jeśli nie uda ci się zakończyć twojej części pracy w wyznaczonym czasie, zostaniesz zwolniony - Uśmiechnął się, pokazując duże przednie zęby - Ale ja w ciebie wierzę. Nie proponowałbym ci tego, gdybym nie sądził, że podążasz temu zadaniu.

- Zastanawiam się, dlaczego wybrałeś akurat mnie spośród tak wielu utalentowanych ludzi - powiedział Carson.

- Nawet tego nie mogę ci wyjaśnić. Obiecuję jednak, że wszystko stanie się jasne po rozmowie wprowadzającej w Mount Dragon.

- Kiedy miałbym zacząć?

- Dziś. Firma potrzebuje tego produktu, Guy, i nie ma czasu do stracenia. Przed lunchem masz być już w naszym samolocie. Każę komuś zająć się twoim mieszkaniem, samochodem i innymi drobiazgami. Czy masz dziewczynę?

- Nie - odparł Carson.

- To ułatwia sprawę.

Scopes przyglądał niesforny kosmyk włosów, ale bez powodzenia.

- A mój zwierzchnik, Fred Peck? - zapytał Carson. - Miałem...

- Nie ma na to czasu. Weź swój notebook i ruszaj. Kierowca podrzuci cię do domu, żebyś zapakował parę niezbędnych rzeczy i wykonał kilka telefonów. Poślę temu twojemu szefowi, jak mu tam... Peckowi notatkę z wyjaśnieniem.

- Brent, chcę ci powiedzieć, że... Scopes podniósł rękę.

- Proszę, nie. Słyszac wyrazy wdzięczności, czuję się nieswojo. „Nadzieja ma dobrą pamięć, wdzięczność kiepską”. Zastanów się nad moją propozycją przez dziesięć minut, Guy. I nigdzie nie wychodź.

Ekran zgasł wraz z obrazem Scopesa otwierającego pudełko z pizzą.

Gdy zapaliły się światła, zaskoczenie Carsona zmieniło się w uniesienie. Nie miał pojęcia, dlaczego spośród pięciu tysięcy naukowców zatrudnionych w GeneDyne Scopes wybrał właśnie jego, do tej pory zatrudnionego przy miareczkowaniach i kontroli jakości. Jednak w tym momencie mało go to obchodziło. Pomyślał o Pecku, który wkrótce dowie się, że Scopes osobiście przydzielił go do Mount Dragon. Wyobraził sobie jego tłustą gębę i trzęsące się z wrażenia policzki.

Zasłony uniosły się z okien, ukazując ponury krajobraz, spowity

ścianami deszczu. W szarej oddali Carson dostrzegł linie wysokiego napięcia, chmury dymu i chemicznych wyziewów wiszące nad środkowym Jersey. Gdzieś daleko na zachodzie leżała pustynia z wiecznie niebieskim niebem, zamglonymi górami i ostrym zapachem krzewów kreozotowych. Można nią było jechać przez cały dzień i nie spotkać żadnego człowieka. Gdzieś na tej pustyni czekał Mount Dragon, a w nim szansa Carsona na dokonanie czegoś ważnego.

Dziesięć minut później, kiedy zasłony opadły i ekran monitora znów ożył, Carson miał już gotową odpowiedź.

Wyszedł na koślawy ganek, rzucił torby obok drzwi i usiadł na pobielającym ze starości bujaku. Fotel zatrzeszczał, gdy stare drewno niechętnie przyjęło ciężar człowieka. Carson odchylił się, wyciągnął nogi i spojrzał na bezmiar pustyni Jornada del Muerto.

Przed nim wschodziło słońce, wrzące palenisko wodoru buchające żarem nad słabo zarysowanym konturem gór San Andres. Poczul na policzku ciepło słonecznych promieni, gdy poranny blask padł na ganek. Jeszcze było chłodno - osiemnaście lub dwadzieścia stopni - ale Carson wiedział, że za niecałą godzinę temperatura podskoczy do prawie czterdziestu. Ciemnofioletowe niebo stopniowo przybierało błękitną barwę. Wkrótce stanie się białe od żaru.

Popatrzył na zwirową drogę biegnącą przed domem. Engle było typowym pustynnym miasteczkiem Nowego Meksyku, już nie umierającym, lecz całkowicie wymarłym. Kilka stojących przy drodze budynków z zapadniętymi blaszanymi dachami, opuszczona szkoła i poczta, rząd uschniętych topoli dawno odartych przez wiatr z liści. Jedynym śladem życia były unoszone przez wiatr tumany kurzu. Całe miasteczko zostało wykupione przez GeneDyne i teraz było wykorzystywane wyłącznie jako przystanek w drodze do Mount Dragon.

Carson powiódł spojrzeniem po linii horyzontu. Daleko na północnym wschodzie, na końcu stukilometrowego szlaku biegnącego przez prażone słońcem piaski i skały, szlaku, który tylko tubylcy mogli na-zwać drogą, znajdował się zespół budynków oficjalnie nazywany Pustynnym Ośrodkiem Badawczym GeneDyne, ale powszechnie znany pod nazwą starego wulkanu wznoszącego się opodal - Mount Dragon. Mieściło się tam nowoczesne laboratorium firmy zajmujące się inżynierią genetyczną oraz różnymi niebezpiecznymi formami drobno-ustrojów.

Carson zrobił głęboki wdech. Tego brakowało mu najbardziej: woń kurzu i jądłoszynu, ostrego, czystego zapachu pustyni. New Jersey wydawało się już czymś nierzeczywistym, czymś z odległej przeszłości.

Czuł się tak, jakby wyszedł z więzienia: zielonego, zatłoczonego, deszczowego więzienia. Choć banki zabrały ostatni kawałek ojcowskiej ziemi, nadal uważał tę krainę za swoją. Był to jednak dziwny powrót do domu, bo nie wracał do pracy przy bydle, lecz przy jakimś tajemniczym projekcie z dziedziny najnowocześniejszych badań naukowych.

W zamglonej dali, gdzie niebo stykało się z ziemią, pojawił się jakiś punkt. Po kilkudziesięciu sekundach zmienił się w niewielki obłoczek kurzu. Carson przez kilka minut obserwował go, po czym wstał. Wrócił do baraku, przełknął resztę zimnej kawy i umył kubek.

Gdy rozglądał się, sprawdzając, czy czegoś nie zapomniał, usłyszał odgłos podjeżdżającego pod dom pojazdu. Wyszedł na ganek i zobaczył przysadzisty kształt białego hummera, cywilnej wersji humvee.

Chmura kurzu otoczyła pojazd, gdy zahamował i zatrzymał się. Przydymione szyby pozostały zamknięte, potężny silnik Diesla cicho mrucał na jałowym biegu.

Z samochodu wysiadł jakiś mężczyzna: pulchny, czarnowłosy i łysawy, ubrany w koszulkę polo i białe szorty. Miał szeroką, spaloną słońcem twarz i krótkie nogi, które wydawały się białe w porównaniu z czarnymi ciężkimi butami. Przybysz podszedł do Carsona i z uśmiechem wyciągnął pulchną dłoń.

- Pan jest moim kierowcą? - zapytał Carson, zaskoczony miękkością jego dłoni. Zarzucił torbę na ramię.

- W pewnym sensie - odparł tamten. - Nazywam się Singer.

- Doktor Singer! - zdziwił się Carson. - Nie spodziewałem się, że podwiezie mnie sam dyrektor.

- Proszę, mów mi John - zaproponował Singer, biorąc worek od Carsona i otwierając przedział bagażowy hummera. - Tutaj, w Mount Dragon, wszyscy mówimy sobie po imieniu. Oprócz Nye'a oczywiście. Dobrze spałeś?

- Po raz pierwszy od osiemnastu miesięcy - uśmiechnął się Carson.

- Przepraszam, że nie mogliśmy przyjechać po ciebie szybciej - powiedział Singer, wrzucając worek do wozu - ale nie wolno nam podróżować po pustyni po zapadnięciu zmroku. A nad poligonem nie wolno latać, chyba że w nadzwyczajnych wypadkach. - Zerknął na futerał leżący u stóp Carsona. - Pięć strun?

- Tak.

Carson podniósł pokrowiec i zszedł po schodkach.

- Jakim grasz stylem? Trzy palce? Młoteczek? Melodycznie?

Pakujący bandžo Carson znieruchomiał i spojrzał na Singera, który uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Będzie lepiej, niż sądziłem - stwierdził. - Wskakuj.

Fala zimnego powietrza powitała Carsona, gdy ulokował się w hummerze, zaskoczony przestronnością wnętrza.

- Mam wrażenie, że siedzę w czołgu - powiedział.

- To najlepszy pustynny pojazd, jaki zdołaliśmy znaleźć. Zatrzyma go dopiero pionowa ściana skalna. Widzisz ten wskaźnik? To regulator ciśnienia w oponach. Ten pojazd ma centralny system pompowania opon, oparty na własnej sprężarce. Naciśnięcie guzika zwiększa lub zmniejsza ciśnienie, zależnie od terenu. Wszystkie hummery Mount Dragon są wyposażone w bezdętkowe opony. Nawet po przebiciu można na nich przejechać pięćdziesiąt kilometrów.

Wyjechali pomiędzy budynków i wóz podskoczył na nierównościach, gdy przejeżdżali przez kręty przesmyk. Po obu stronach bramy ciągnęło się ogrodzenie z drutu kolczastego, na którym co trzydzieści metrów rozwieszono tablice z napisem: UWAGA! NA WSCHÓD OD TEJ LINII ZNAJDUJĄ SIĘ RZĄDOWE INSTALACJE WOJSKOWE. WSTĘP SUROWO WZBRONIONY WSMR-WEA.

- Wjeżdżamy na teren poligonu raketowego White Sands - oświadczył Singer. - Jak wiesz, ziemię, na której stoi Mount Dragon, dzierżawimy od Ministerstwa Obrony. Wspomnienie z czasów naszych kontraktów wojskowych.

Skierował pojazd na północny wschód i przyspieszył. Gdy jechali po kamienistym szlaku, spod tylnych kół hummera wzbijała się gęsta chmura pyłu.

- Jestem zaszczycony, że przyjechałeś po mnie osobiście - powiedział Carson.

- Nie bądź. Wrywam się stamtąd, kiedy tylko mogę. Pamiętaj, że jestem tam tylko dyrektorem. To, co naprawdę ważne, robią inni. -Spojrzał na Carsona. - Poza tym cieszę się, że mam okazję z tobą porozmawiać. Jestem prawdopodobnie jednym z niewielu ludzi na świecie, którzy przeczytali i zrozumieli twoją pracę doktorską. „Projektowanie powłok: trzecio- i czwartorzędowe transformacje struktury białkowej otoczki wirusowej”. Wspaniała praca.

- Dziękuję - odparł Carson. Była to niemała pochwała z ust byłego wykładowcy biologii na CalTechu.

- Oczywiście przeczytałem ją dopiero wczoraj - dodał Singer i mrugnął. - Przysłał ją Scopes razem z resztą twoich akt.

Odchylił się do tyłu, prawą ręką trzymając kierownicę. Hummer zaczął podskakiwać, gdy Singer zwiększył szybkość do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, pędząc po piasku. Carson w myślach przydepnął pedał hamulca. Ten człowiek prowadził tak jak jego ojciec.

- Co możesz powiedzieć mi o projekcie?

- A co dokładnie chcesz wiedzieć? - zapytał Singer, odwracając się do niego i odrywając oczy od drogi.

- No cóż, rzuciłem wszystko, w godzinę spakowałem się i wyruszyłem tutaj - mruknął Carson. - Chyba można powiedzieć, że jestem zadowolony.

Singer uśmiechnął się.

- Będzie mnóstwo czasu na wyjaśnienia, kiedy dotrzemy do Mount Dragon.

Znów spojrzał na drogę. Śmignęli obok sporej juki, dostatecznie blisko, by jej liście smagnęły boczne lusterko. Singer gwałtownym szarpnięciem kierownicy wprowadził hummera z powrotem na szlak.

- To musi być dla ciebie jak powrót do domu - powiedział. Carson kiwnął głową.

- Moja rodzina mieszkała tu długo.

- O ile wiem, dłużej niż inne.

- Zgadza się. Moim przodkiem był Kit Carson. Jako nastolatek prowadził muły hiszpańskim szlakiem. Mój prapradziadek miał spory kawał ziemi w Hidalgo County

- Znużyło cię życie farmera? Carson pokręcił głową.

- Mój ojciec był kiepskim biznesmenem. Poradziłby sobie, gdyby poprzestał na prowadzeniu rancza, ale on miał mnóstwo innych wspaniałych planów. Jednym z nich było krzyżowanie bydła. Chyba dlatego zainteresowałem się genetyką. Pomysł nie wypalił, tak jak wszystkie inne, i bank przejął ranczo.

Zamilkł, patrząc na otaczającą ich pustynię. Słońce wspięło się jeszcze wyżej i jego blask zmienił się z żółtego w biały. W oddali, na horyzoncie, biegła para krótkorogich antylop. Były ledwie widoczne - plamy szarości na tle szarości. Singer, nie widząc ich, wesoło podśpiewywał *Soldiers Joy*.

Po pewnym czasie zza horyzontu zaczął wylaniać się ciemny wulkaniczny szczyt o równo ściętym stożku. Wokół krawędzi krateru wznosił się rząd anten i wież radarów. Kiedy podjechali bliżej, Carson zobaczył szereg kanciastych białych budynków rozrzuconych u stóp

wzgórza, lśniących w porannym słońcu jak wykryształizowana sól.

- Oto on - powiedział z dumą Singer, zwalniając. - Mount Dra-gon. Będzie twoim domem przez następnych sześć miesięcy.

Przed nimi pojawiło się ogrodzenie z siatki, zwieńczone gęstymi zwojami drutów kolczastych. Nad kompleksem wznosiła się wieża strażnicza, czerniejąca na tle nieba i lekko drgająca w rozgrzanym powietrzu.

- W tej chwili nikogo tam nie ma - powiedział Singer. - Ale oczywiście mamy tu służbę ochrony. Wkrótce ich poznasz. Są bardzo skuteczni, jeśli chcą. Jednak naszym prawdziwym zabezpieczeniem jest pustynia.

Gdy podjeżdżali, Carson zobaczył budynki. Spodziewał się szeregu brzydkich betonowych bloków i kontenerów mieszkalnych, tymczasem ośrodek wyglądał bardzo ładnie i elegancko na tle nieba.

Singer zwolnił jeszcze bardziej, ominął betonową zapórę i zatrzymał wóz przed wartownią. Jakiś mężczyzna w cywilnym ubraniu otworzył drzwi i podszedł do nich. Carson zauważył, że mocno powłóczy nogą.

Kiedy Singer opuścił szybę, mężczyzna oparł muskularne ręce o drzwi i wetknął do środka ostrzyżoną na jeża głowę. Uśmiechał się, zawięcie żując gumę. Miał bystre zielone oczy, głęboko osadzone w opalonej na ciemny brąz twarzy.

- Cześć, John - powiedział, powoli przesuwając spojrzeniem po wnętrzu samochodu i w końcu zatrzymując je na Carsonie. - Kogo tu mamy?

- To nasz nowy naukowiec, Guy Carson. Guy, to Mikę Marr z ochrony.

Mężczyzna kiwnął głową i oddał Singerowi legitymację.

- Dokumenty - zwrócił się do Carsona.

Carson wręczył ochroniarzowi dokumenty, które kazano mu ze sobą zabrać: paszport, metrykę i legitymację GeneDyne. Marr przejrzał je niedbale.

- Mogę prosić o portfel?

- Chce pan zobaczyć moje prawo jazdy? - zdziwił się Carson.

- Cały portfel, jeśli można.

Marr posłał mu przelotny uśmiech i Carson zauważył, że ochroniarz nie ż gumy, ale kawałek kauczukowej taśmy. Z irytacją podał mu portfel.

- Zabiorą też twoje bagaże - powiedział Singer. - Ale nie martw

się, przed obiadem wszystko dostaniesz z powrotem. Oczywiście oprócz paszportu. Zwrócą ci go dopiero po wygaśnięciu sześciomiesięcznego kontraktu.

Marr oderwał się od okna i wraz z bagażem Carsona wrócił do swojej klimatyzowanej wartowni. Szedł, powłócząc prawą nogą, wyraźnie ją oszczędzając. Po chwili podniósł szlaban i pozwolił im jechać. Przez grubą, zabarwioną na niebiesko szybę Carson zobaczył, jak rozkłada na stole zawartość jego portfela.

- Tu nie ma żadnych tajemnic oprócz tych, jakie ukryjesz w swojej głowie - oświadczył z uśmiechem Singer, uruchamiając hummera. - A i tych też trzeba pilnie strzec.

- Po co to wszystko? - zapytał Carson. Singer wzruszył ramionami.

- To cena pracy nad ściśle tajnym projektem. Obrona przed szpiegostwem przemysłowym, niepożądanym rozgłosem i tak dalej. Stosu-jemy tu takie same zabezpieczenia jak w filii GeneDyne w Edison, tylko dziesięciokrotnie silniejsze.

Wjechał na parking i wyłączył silnik. Carson wysiadł prosto w żar pustynnego powietrza i z przyjemnością wciągnął je do płuc. Było wspaniale. Patrząc w górę, widział masyw Mount Dragon wznoszący się pół kilometra od kompleksu. Świeżo wysypana żwirowa droga wila się zygzakami po zboczu, biegnąc do czasz radarów.

- Najpierw zwiedzanie - oznajmił Singer. - Potem zajdziemy do mojego biura na zimnego drinka i pogawędkę.

Ruszył naprzód.

- Ten projekt... - zaczął Carson. Singer przystanął i odwrócił się.

- Scopes nie przesadzał? - zapytał Carson. - To naprawdę jest takie ważne?

Singer zmrużył oczy, spoglądając na bezmiar pustyni.

- Tak. W stopniu przekraczającym twoje najśmielsze oczekiwania - odparł.

Percival Lecture Hall na Harvard University była pełna. W amfiteatralnej sali siedziało dwustu studentów. Jedni pochylali się nad notesami, inni patrzyli na wykładowcę. Doktor Charles Levine przechadzał się tam i z powrotem przed słuchaczami. Był niewysokim żylastym mężczyzną z wianuszkami włosów otaczającym przedwczesną łysinę na czubku głowy. Na rękawach miał ślady kredy, a na mankietach spodni zacieki soli, pozostałe z poprzedniej zimy. Jednak jego wygląd wcale nie osłabiał wrażenia, jakie wywierały jego energiczne gesty i wyraz twarzy. Prowadząc wykład, kawałkiem kredy wskazywał

skomplikowane wzory chemiczne i sekwencje nukleotydów, nakreślone na wielkich opuszczanych tablicach, równie zawile jak pismo klinowe.

W tylnych rzędach sali siedziała niewielka grupka ludzi uzbrojonych w dyktafony i kamwidy. W klapach marynarek lub przy paskach mieli po-przypinane identyfikatory dziennikarskie. Obecność przedstawicieli mediów nie była niczym dziwnym: wykłady Levine'a, profesora genetyki i prezesa Foundation for Genetic Policy, często poruszały bardzo kontrowersyjne tematy A „Genetic Policy”, periodyk wydawany przez fundację, postarał się, aby temat tego wykładu stał się znany odpowiednio wcześniej.

Levine przestał krążyć po sali i wszedł na podium.

- To podsumowuje naszą dyskusję o stałej Tuitta w zastosowaniu do śmiertelności w Europie Zachodniej - powiedział. - Ale chcę dziś omówić z wami jeszcze jeden temat.

Odchrząknął.

- Mogę prosić o ekran? - zapytał.

Światła przygasły i z sufitu zjechał biały prostokąt, zasłaniając tablice.

- Za chwilę na tym ekranie pojawi się fotografia - powiedział Levine. - Nie mam pozwolenia na pokazywanie wam tego zdjęcia. Tak naprawdę, robiąc to, naruszam prawo o zachowaniu tajemnicy państwowej. Pozostając tutaj, staniecie się współwinni. Ale jestem do tego przyzwyczajony. Jeśli czytujecie „Genetic Policy”, to wiecie, o czym mówię. Ta informacja musi dostać się do publicznej wiadomości, obojętnie za jaką cenę. Jednak wykracza to poza ramy dzisiejszego wykładu i nie mogę was prosić o pozostanie. Kto chce, może teraz wyjść.

W słabo oświetlonej sali rozległy się szepty i szmer przewracanych kartek. Nikt jednak nie wstał.

Levine z zadowoleniem rozejrzał się wokół, a potem skinął na technika obsługującego projektor. Na ekranie pojawił się czarno-biały obraz. Levine spojrzał na zdjęcie, a czubek jego głowy zabłysł jak tonsura mnicha w strumieniu światła padającego z rzutnika. Odwrócił się do audytorium.

- To zdjęcie zostało zrobione pierwszego lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku przez satelitę TB-siedemnaście krążącego po orbicie okołozemskiej na wysokości dziewięćuset kilometrów - zaczął. - Formalnie jeszcze nie zostało odtajnione. A powinno - dodał i uśmiechnął się.

W sali rozległy się nerwowe śmiechy.

- Widzicie tu miasteczko Nowodružyno w zachodniej Syberii. Sądząc po długości cieni, zostało wykonane wczesnym rankiem, a więc w najlepszej porze do analizy obrazów. Przyjrzyjcie się położeniu tych dwóch zaparkowanych samochodów i łanom dojrzewającej pszenicy

Pojawiło się kolejne przezrocze.

- To zdjęcie ukazuje ten sam teren, ale trzy miesiące później. Zauważyliście coś niezwykłego?

Odpowiedziała mu cisza.

- Samochody są zaparkowane dokładnie w tych samych miejscach. A zboże jest już dojrzałe, gotowe do zżęcia.

Kiedy pojawiło się następne przezrocze, powiedział:

- Oto to samo miejsce w kwietniu następnego roku. Zauważcie, że oba samochody wciąż tam stoją. Pszenica nie została zebrana. Właśnie z powodu tych zdjęć teren ten nagle stał się bardzo interesujący dla niektórych speców od fotogrametrii z CIA - powiedział Levine.

Odczekał chwilę, spoglądając na audytorium, po czym dodał:

- Analitycy wojskowi stwierdzili, że cały Czternasty Obwód Specjalny - pół tuzina miasteczek w promieniu stu dwudziestu kilometrów od Nowodružyna - wygląda podobnie. Brak wszelkich znaków ludzkiej obecności. Dlatego postanowili przyrzeć się temu bliżej.

Wyświetlił się nowy slajd.

- To powiększenie pierwszego przezrocza, obrobione cyfrowo, pozbawione odbłasków, z zastosowaniem kompensacji przesunięcia widma. Jeśli uważnie przyjrzyjcie się uliczce przed kościołem, zobaczycie rozmazany kształt przypominający kłodę. To ludzkie zwłoki. A teraz ta sama scena sześć miesięcy później...

Wszystko wyglądało tak samo, tylko kłoda była biała.

- Ze zwłok został jedynie szkielet. Kiedy wojskowi analitycy obejrzeliby powiększenia wykonanych zdjęć, znaleźli niezliczone szkielety ludzi na polach i ulicach. Wysuwano teorie o zbiorowej psychozie, o kolejnym Jonestown. A potem...

Pojawiło się następne przezrocze.

- ... jak widzicie, konie wciąż pasą się na polach. Tu, w lewym górnym rogu, widać stado psów, najwyraźniej zdziczałych. Na następnym zdjęciu ujrzyjecie bydło. Martwi są tylko ludzie. A to, co ich zabiło, było tak niebezpieczne i działało tak gwałtownie, że pozostali tam, gdzie zmarli.

Zamilkł na chwilę, po czym powiedział:

- Zachodzi pytanie, co to było? W sali panowała cisza.

- Posiłek w kafejce Lowella? - podsunął ktoś.

Levine przyłączył się do chóralnego wybuchu śmiechu. Potem skinął głową i pojawiło się kolejne zdjęcie ukazujące rozległy kompleks budynków, zrujnowanych i wypalonych.

- Po pewnym czasie CIA ustaliła, że przyczyną tych zgonów był jakiś patogen, wyprodukowany w laboratorium, które tu widzicie. Le-je po bombach świadczą o tym, że to miejsce zostało zbombardowane. Dokładne szczegóły nie były wcześniej znane. Poznaliśmy je dopiero na początku tego tygodnia, kiedy pułkownik rosyjskiej armii uciekł do Szwajcarii, zabierając ze sobą grubą teczkę akt Armii Czerwonej. Kontakt, który dostarczył mi te zdjęcia, zawiadomił mnie o obecności tego człowieka w Szwajcarii. Jako pierwszy obejrzałem jego akta. Wydarzenia, które zamierzam wam zrelacjonować, jeszcze nie zostały podane do publicznej wiadomości. Ale to był bardzo prymitywny eksperyment. Nie zastanawiano się nad jego zastosowaniem politycznym, ekonomicznym czy militarnym. Dziesięć lat temu Rosjanie byli znacznie opóźnieni w dziedzinie badań genetycznych i usiłowali to nadrobić. W tajnym laboratorium koło Nowodruzyna prowadzili eksperymenty z wirusami. Wykorzystywali *Herpes simplex Ia+*, który powoduje opryszczkę warg. To dobrze poznany wirus i łatwo się z nim pracuje. Zaczęli zmieniać jego strukturę genetyczną, wprowadzając ludzkie geny do jego DNA. Nadal nie wiemy, jak to zrobili. Ale uzyskali straszliwy nowy patogen, plagę, z którą nie byli sobie w stanie poradzić. Wtedy wiedzieli tylko, że niezwykle długo żyje, a infekcja następuje drogą oddechową. Dwudziestego trzeciego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku w rosyjskim laboratorium wydarzył się nieszczęśliwy wypadek. Prawdopodobnie jeden z pracowników laboratorium upadł i uszkodził przy tym swój kombinezon przeciwskażeniowy. Jak wiadomo od czasu Czarnobyli, rosyjskie zabezpieczenia często bywają zawodne. Pracownik nikomu nie powiedział o tym wypadku, a potem wrócił do domu, do swojej rodziny w kompleksie mieszkalnym. Przez trzy tygodnie - bo tyle trwał okres inkubacji - wirus mnożył się i rozprzestrzenił w jego otrzewnej. Czternastego czerwca za-każony źle się poczuł i z wysoką gorączką położył się do łóżka.

W ciągu kilku następnych godzin skarżył się na wzdęcie. Wydierał duże ilości cuchnących gazów. Jego żona zaniepokoiła się i wezwała lekarza. Jednak zanim ten przyszedł, chory - wybaczenie

drastyczny opis - wydalili większość wnętrzości przez odbyt. Rozłożyły się w jego ciele, zamieniając się w papkę. Oczywiście kiedy przybył lekarz, zakażony już nie żył.

Levine ponownie przerwał i rozejrzał się po sali, jakby oczekując na pytania. Nie było żadnych.

- Ponieważ wydarzenie to pozostało tajemnicą dla środowisk naukowych, wirus nie ma oficjalnej nazwy. Jest znany jedynie jako szczep dwieście trzydzieści dwa. Wiemy już, że zarażona nim osoba po czterech dniach zaczyna zarażać innych, chociaż pierwsze objawy choroby występują dopiero po kilku tygodniach. W przypadkach zarażenia tym szczepem śmiertelność sięga prawie stu procent. Zanim tamten człowiek umarł, zaraził tuziny, jeśli nie setki ludzi. W ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin od jego śmierci dziesiątki innych osób zaczęły skarżyć się na te same zaburzenia przewodu pokarmowego i wkrótce umarły w ten sam okropny sposób. Tylko lokalizacja laboratorium za-pobiegła światowej epidemii. Przez cały rok wszelki ruch w obrębie Czternastego Obwodu Specjalnego był ściśle kontrolowany. Pomimo to wieść o zarazie rozeszła się i wybuchła panika. Mieszkający na tym terenie ludzie zaczęli ładować swój dobytek na samochody, ciężarówki, a nawet furmanki. Wielu próbowało uciekać na rowerach lub pieszo, porzucając wszystko w rozpaczliwej próbie ratowania życia. Z dokumentów, które pułkownik przywiózł ze sobą z Rosji, możemy wywnioskować, jaka była reakcja Armii Czerwonej. Specjalne oddziały w kombinezonach ochronnych zablokowały drogi, nie pozwalając nikomu opuścić skażonego terenu. Było to stosunkowo łatwe, ponieważ Czternasty Obwód był już ogrodzony i pilnowany. Kiedy epidemia rozszerzyła się na sąsiednie wioski, całe rodziny umierały na ulicach, polach i placach targowych. Jeszcze zanim u zarażonego wystąpiły pierwsze objawy choroby, od śmierci dzieliło go już tylko kilka godzin. Wybuchła tak wielka panika, że pilnującym ogrodzenia żołnierzom kazano strzelać do każdego, kto znajdzie się w zasięgu strzału. Strzelano do starców, dzieci, kobiet w ciąży. W lasach i na polach rozrzucono z samolotów miny przeciwpiechotne. Ci, którzy zdołali je ominąć, nadziejali się na druty kolczaste i karabiny maszynowe. Potem zbombardowano laboratorium. Oczywiście nie po to, aby zniszczyć wirusa, bo na niego bomby nie działały, ale aby zatrzeć ślady i ukryć przez Zachodem to, co naprawdę się wydarzyło. W ciągu ośmiu tygodni na terenie objętym kwarantanną umarli wszyscy ludzie. Wioski wyludniły się, psy i świnie pożerały trupy, krowy błąkały się niedojone, a wokół opuszczonych budynków unosił się

okropny smród. Levine upił łyk wody i podjął przerwana relację:

- To wstrząsająca opowieść, biologiczny odpowiednik nuklearnego holocaustu. Obawiam się jednak, że ostatni rozdział dopiero zostanie napisany. Napromieniowane w wyniku eksplozji bomb atomowych miasta można opuścić. Jednak trudniej uniknąć spuścizny Nowodrużyna. Wirusy mają oportunistyczną naturę i nie dają się całkowicie zniszczyć. Chociaż wszyscy ich nosiciele umarli, bardzo możliwe, że szczep dwieście trzydzieści dwa przetrwał gdzieś na tym terenie. Wirusy potrafią czasem znaleźć jakies zapasowe kryjówki, w których cierpliwie czekają na następną okazję. Może szczep dwieście trzydzieści dwa wymarł. A może nadal gdzieś tam się kryje. Jutro jakiś nieszczęsny królik z zabłoconymi łapkami może precyzyjnie się przez dziurę w ogrodzeniu. Jakiś farmer może go zastrzelić i zanieść na rynek. A wte-dy może nastąpić koniec całego znanego nam świata.

Odczekał chwilę, po czym zawołał nagle:

- Właśnie taką obietnicę niesie nam inżynieria genetyczna! Zamilkł, pozwalając, by w sali zapadła głęboka cisza. W końcu otarł czoło chusteczką i powiedział nieco spokojniej-

- Rzutnik nie będzie nam już potrzebny.

Technik wyłączył projektor, pozostawiając salę pogrążoną w półmroku.

- Moi przyjaciele - podjął Levine - osiągnęliśmy krytyczny punkt naszej obecności na tej planecie, ale jesteśmy tak ślepi, że nawet nie zdajemy sobie z tego sprawy. Od pięciu tysięcy wieków kroczymy po tej ziemi, a w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat dowiedzieliśmy się ty-le, że możemy naprawdę zrobić sobie krzywdę. Przede wszystkim bronią nuklearną, ale także próbami poprawienia natury, które są nieskończenie bardziej niebezpieczne.

Potrząsnął głową.

- Istnieje takie stare powiedzenie: „Natura jest surowym sędzią”. Incydent w Nowodrużynie o mało nie spowodował zagłady ludzkiej rasy. A jednak w chwili gdy to mówię, liczne firmy na całej kuli ziemskiej bawią się żywymi organizmami, beztrudno wymieniając materiał genetyczny między wirusami, bakteriami, roślinami i zwierzętami, nie zważając na konsekwencje. Oczywiście dzisiejsze nowoczesne laboratoria badawcze w Europie i Ameryce zupełnie nie przypominają tych z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku na Syberii. Czy to nas powinno uspokajać? Wprost przeciwnie. Naukowcy z Nowodrużyna przeprowadzali proste manipulacje na pospolitym wirusie i

przypadkowo spowodowali katastrofę. Dzisiaj, zaledwie o rzut kamieniem od tej sali, przeprowadza się znacznie bardziej skomplikowane eksperymenty z nieskończone bardziej egzotycznymi i groźnymi wirusami. Wirusolog Edwin Kilbourne wysunął kiedyś koncepcję patogenu, który nazwał „skrajnie zjadliwym wirusem”. Według jego założeń miałby on środowiskową stabilność wirusa polio, antygenową zmienność wirusa zapalenia płuc, nieograniczoną liczbę nosicieli typową dla wirusa wścieklizny i żywotność wirusa opryszczki. Taka koncepcja, wówczas prawie zabawna, dziś jest niebezpiecznie bliska urzeczywistnienia. Ta-ki patogen być może właśnie powstaje w jakimś laboratorium na naszej planecie. A skutki jego działania byłyby o wiele groźniejsze od wojny nuklearnej. Dlaczego? Bo wojna nuklearna musiałaby się kiedyś zakończyć, natomiast w przypadku epidemii SZW każda zarażona osoba stawałaby się nową chodzącą bombą. Przy dzisiejszej łatwości przenoszenia się z miejsca na miejsce i ogromnej liczbie podróżujących ludzi wystarczyłoby kilku nosicieli, aby zaraza rozprzestrzeniła się na całej kuli ziemskiej.

Levine zszedł z podium i stanął twarzą do słuchaczy

- Reżimy dochodzą do władzy i upadają. Polityczne granice wciąż się zmieniają. Imperia powstają i odchodzą w mrok dziejów. Jednak ci posłańcy śmierci, raz stworzeni, pozostaną na zawsze. Pytam was: czy powinniśmy pozwolić, by w światowych laboratoriach prowadzono nieograniczone i niekontrolowane eksperymenty w dziedzinie inżynierii genetycznej? Oto pytanie, jakie stawia przed nami historia szczepu dwieście trzydzieści dwa.

Skinął głową. Zapalono światła.

- W następnym wydaniu „Genetic Policy” znajdzie się pełne sprawozdanie o incydencie w Nowodrużynie - dodał jeszcze, odwracając się, by pozbierać swoje papiery.

Studenci zaczęli wstawać i zbierać notatki, a potem tłumnie ruszyli do wyjścia. Reporterzy z ostatnich rzędów już opuścili salę, aby przesłać sprawozdania do redakcji. Na końcu sali pojawił się jakiś młody człowiek i zaczął przepychać się przez tłum. Powoli zszedł po schodach i dotarł do podium. Levine zerknął na niego, a potem ostrożnie rozejrzał się na boki.

- Myślałem, że mamy nigdy nie spotykać się publicznie - mruknął. Młodzieniec podszedł bliżej, stanął u boku Levinea i szepnął mu coś do ucha. Levine przestał pakować papiery do dyplomatki.

- Carson? - zapytał. - Mówisz o tym błyskotliwym kowboju, który

zawsze przeszkadzał mi i spierał się ze mną na wykładach?

Młody człowiek skinął głową.

Levine znieruchomiał z otwartą walizeczką w rękach. Potem zatrzasnął ją.

- Mój Boże - wymamrotał.

Carson spojrział na widoczne za parkingiem skupisko białych budynków, ustawionych wśród piasków pustyni. Płaszczyzny, łuki i kopuły wznoszące się ku niebu. Już sama obecność tych budynków na tym pustkowiu i całkowity brak zieleni nadawały laboratorium znamiona czystości i pustki, jakby zaczerpnięte z filozofii zen.

Singer poprowadził Carsona jednym z zadaszonych chodników.

- Brent święcie wierzy w inspirujący wpływ architektury na człowieka - powiedział. - Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy ten architekt, jak mu tam... Guareschi, przyjechał z Nowego Jorku, żeby „wczuć się” w to miejsce.

Zachichotał i po chwili dodał:

- Przyjechał w eleganckich półbucikach i garniturze, a na głowie miał taki idiotyczny słomkowy kapelusik. Muszę jednak przyznać, że to twardy facet. Biwakował tu przez cztery dni, ale potem dostał udaru cieplnego i musiał zmykać na Manhattan.

- Tu jest naprawdę pięknie - powiedział Carson.

- Istotnie. Ten architekt również potrafił docenić piękno pustyni. Nalegał, żeby nie tworzyć tu żadnych ogrodów. Po pierwsze, nie starczyłoby na to wody. Poza tym chciał, żeby cały kompleks wyglądał jak część pustyni, a nie sztuczny twór. Pewnie dlatego wszystko tu jest białe: warsztat, magazyny, nawet elektrownia.

Singer ruchem głowy wskazał długi budynek o wygiętym dachu.

- To jest elektrownia? - zapytał z niedowierzaniem Carson. - Bardziej przypomina muzeum sztuki. Musiał kosztować fortunę.

- Kilka fortun - poprawił go Singer. - Ale w osiemdziesiątym piątym, kiedy rozpoczęto budowę, pieniądze nie były najważniejsze. - Poprowadził Carsona ku części mieszkalnej, szeregu asymetrycznych budynków stojących obok siebie jak fragmenty układanki. - Dostaliśmy dziewięćset milionowy kontrakt z DATRADY.

- Skąd?

- Z Defense Advanced Technology, Research and Development Administration.

- Nigdy o nich nie słyszałem.

- To była tajna agencja Ministerstwa Obrony, rozwiązana po za-

kończeniu kadencji Reagana. Wszyscy musieliśmy podpisać mnóstwo dokumentów z deklaracjami lojalności i tak dalej. Ścisłe tajne, super-tajne, co chcesz. Potem sprawdzili nas. Miałem telefony od dziewczyn, z którymi chodziłem dwadzieścia lat wcześniej: „Właśnie pytało o ciebie kilku tajniaków Czym ty się teraz, do diabła, zajmujesz, Singer?” - Roześmiał się.

- A więc byłeś tu od początku - stwierdził Carson.

- Zgadza się. Tylko naukowcy mają sześciomiesięczne tury. Pewnie myślą, że za mało tutaj robię, żeby się wykończyć. - Zaśmiał się. - Jestem tu weteranem, ja i Nye. I jeszcze paru innych: stary Paweł oraz facet, którego właśnie poznałeś, Mikę Marr. W każdym razie jest tu znacznie przyjemniej, od kiedy przeszliśmy do cywila. Chłopcy z armii byli jak wrzód na dupie.

- Jak doszło do tej zmiany? - spytał Carson.

Singer wprowadził go przez drzwi z przydymionego szkła do przybudówki na końcu budynku. Gdy drzwi zamknęły się z sykiem, owiał ich strumień klimatyzowanego powietrza. Znaleźli się w przedsionku o wykafelkowanej podłodze, białych ścianach i hebanowoczarnych me-blach. Singer powiodł go do kolejnych drzwi.

- Z początku prowadziliśmy badania tylko dla Ministerstwa Obrony. Dzięki temu dostaliśmy kawałek ziemi na poligonie raketowym. Mieliśmy szukać szczepionek, środków zapobiegawczych i antytoksyn na ewentualną sowiecką broń biologiczną. Po rozpadzie Związku Radzieckiego skończyły się fundusze, a w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku straciliśmy kontrakt. O mało nie straciliśmy też laboratorium, ale Scopes przeprowadził kilka rozmów za zamkniętymi drzwiami. Bóg wie, jak tego dokonał, uzyskaliśmy jednak trzydziestoletnią dzierżawę na mocy Ustawy o reorganizacji przemysłu obronnego.

Singer otworzył drzwi laboratorium. Czarne stoły błyszczące w blasku jarzeńówek, palniki Bunsena, kolby Erlenmeyera, szklane probówki, stereoskopowe mikroskopy i inne elementy podstawowego wyposażenia laboratoryjnego były ustawione w idealnie równych rzędach. Carson nigdy nie widział tak schludnego laboratorium.

- Czy to pracownia mikrobiologiczna? - zapytał z niedowierzaniem.

- Skądże - odparł Singer. - Większość prac wykonuje się gdzie indziej. To tylko pic dla kongresmenów i wojskowych. Spodziewają się zobaczyć tu coś w rodzaju laboratorium chemicznego z ich studenckich

czasów, więc zaspokajamy te oczekiwania.

Przeszli do kolejnego, znacznie mniejszego pokoju. Na jego środku stał duży, lśniący przyrząd. Carson natychmiast go rozpoznał.

- To najlepszy mikrotom na świecie: „supergolarka” Scientific Precision - powiedział Singer. - Przynajmniej tak go nazywamy. Sterowany komputerowo. Ma diamentowe ostrze, którym można rozdzielić ludzki włos na dwieście pięćdziesiąt włókien identycznej grubości. Oczywiście ten jest tylko na pokaz. Mamy jeszcze dwa takie same.

Znów wyszli na skwar. Singer polizał palec i uniósł go.

- Wiatr z południowego wschodu - oznajmił. - Jak zawsze. Właśnie dlatego wybrali to miejsce: ponieważ tutaj zawsze wieje z południowego wschodu. Pierwsze miasteczko, do którego dotrze wiejący stąd wiatr, to Claunch w Nowym Meksyku, mające dwudziestu dwóch mieszkańców. Prawie dwieście kilometrów stąd. Trinity Site, gdzie przeprowadzono pierwszą eksplozję bomby atomowej, znajduje się zaledwie pięćdziesiąt kilometrów na północny zachód. Dobre miejsce do ukrycia wybuchu. W czterdziestu ośmiu stanach nie znalazłbyś bardziej odizolowanego miejsca.

- Nazywaliśmy ten wiatr meksykańskim zefirkiem - powiedział Carson. - Kiedy byłem chłopcem, nienawidziłem go. Ojciec zwykł mówić, że przysparza więcej kłopotów niż szczuropyłki koń podczas plagi gzów.

Singer popatrzył na niego.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Szczuropyłki koń to koń z krótkim ogonem. Jeśli go uwiążesz i zaczną go ciąć gzy, wścieknie się, przewróci ogrodzenie i ucieknie.

- Rozumiem - mruknął Singer. Wskazał coś ręką. - Tam jest teren rekreacyjny: sala gimnastyczna, korty tenisowe, zagroda dla koni. Żywię serdeczną niechęć do wszelkiej aktywności fizycznej, więc sam je sobie obejrzysz. - Czule poklepał się po wydatnym brzuchu i dodał ze śmiechem: - A tamten paskudnie wyglądający budynek to sterylizator obiegu powietrza dla Wylęgarni.

- Wylęgarni...?

- Mówię o laboratorium biologicznym piątego stopnia zagrożenia, gdzie pracujemy z naprawdę niebezpiecznymi organizmami. Jestem pewien, że znasz zasady klasyfikacji biologicznych stopni zagrożenia. Pierwszy oznacza badania z najmniej chorobotwórczymi, niegroźnymi mikroorganizmami. Na czwartym prowadzi się najbardziej niebezpieczne

prace. W całym kraju są tylko dwa laboratoria czwartego stopnia: jedno ma CDC³ w Atlancie, a drugie wojsko w Fort Detrick. Mogą zajmować się najgroźniejszymi wirusami i bakteriami, jakie występują w przyrodzie.

- A co z piątym stopniem? Nigdy o nim nie słyszałem. Singer uśmiechnął się.

- To duma i radość Brenta. Mount Dragon ma jedyne na świecie laboratorium piątego stopnia. Zostało zaprojektowane do badań nad wirusami i bakteriami groźniejszymi od wszelkich innych występujących w przyrodzie. Innymi słowy, mikroorganizmami stworzonymi dzięki inżynierii genetycznej. Przed laty ktoś nazwał je Wylegarnią i tak już zostało. W każdym razie powietrze z tego laboratorium przechodzi przez sterylizator, w którym ogrzewa się je do temperatury tysiąca stopni Celsjusza, a potem zostaje ochłodzone i ponownie wtłoczone do wewnątrz.

Masywny budynek sterylizatorni jako jedyny w Mount Dragon nie był pomalowany na białe.

- A więc pracujecie nad patogenem przenoszonym się drogą oddechową?

- Tak, zgadza się, w dodatku bardzo paskudnym. Woląłem pracę nad PurBlood. To nasz preparat krwiozastępczy.

Carson zerknął w kierunku pomieszczeń dla koni. Dostrzegł stajnię, boksy, wybiegi oraz duże ogrodzone pastwisko za drucianą siatką.

- Możecie wyjeżdżać poza teren ośrodka? - zapytał.

- Oczywiście. Należy tylko wpisać się do książki przy wyjeździe i po powrocie. - Singer rozejrzał się wokół i otarł czoło grzbietem dłoni. - Chryste, jaki skwar. Nigdy się do tego nie przyzwyczaję. Chodźmy do środka.

„Środek” oznaczał wewnętrzne ogrodzenie, spory otoczony drucianą siatką obszar wewnątrz Mount Dragon. Carson zauważył tylko jedną przerwę w płocie - małą furtkę wprost przed nimi. Singer przeprowadził go przez nią i ruszył do dużego budynku po drugiej stronie. Drzwi wiodły do chłodnego przedsionka. Przez otwarte drzwi Carson zauważył rząd terminali komputerowych na długich białych stołach. Dwaj technicy z identyfikatorami zawieszonymi na szyjach i w widocznych spod białych fartuchów dżinsach zawzięcie bębniłi w klawiatury terminali. Carson ze zdziwieniem uświadomił sobie, że nie

3 CDC — Center for Disease Control (Ośrodek Zwalczenia Chorób).

licząc wartowników, byli to pierwsi napotkani przez niego pracownicy ośrodka.

- To budynek operacyjny - wyjaśnił Singer, pokazując wielki pusty pokój. - Administracja, obróbka danych, wszystko, co chcesz. Nasz personel nie jest zbyt liczny. Nigdy nie było tu więcej niż trzydziestu naukowców jednocześnie, nawet kiedy pracowaliśmy dla wojska. Teraz jest ich dwa razy mniej i wszyscy pracują nad tym samym projektem.

- To rzeczywiście niewielu - stwierdził Carson. Singer wzruszył ramionami.

- Do prac z dziedziny inżynierii genetycznej nie potrzeba tłumu ludzi.

Skinął ręką i przeprowadził Carsona z foyer do wielkiego atrium wyłożonego czarnym granitem, z sufitem z przydymionego szkła. Stłiony przez nie ostry blask pustynnego słońca oświetlał kępkę palm na środku. Odchodziły stąd trzy korytarze.

- Prowadzą do pracowni, w których dokonuje się transfekcji i sekwencjonowania DNA - oznajmił Singer. - Rzadko będziesz tu bywał, ale jeśli zechcesz, zawsze ktoś może ci je pokazać. Nasz następny przystanek będzie tam.

Wskazał za okno. Carson zobaczył wznoszącą się na piasku niską budowlę w kształcie rombu.

- Poziom piąty - powiedział bez entuzjazmu Singer. - Wylęgarnia.

- Wydaje się dość mała - mruknął Carson.

- Wierz mi, wcale nie jest mała. To, co widzisz, jest tylko pomieszczeniem z filtrami HEPA⁴. Prawdziwe laboratorium znajduje się niżej, pod ziemią. Dodatkowe zabezpieczenie przed trzęsieniem ziemi, pożarem czy eksplozją. - Milczał przez chwilę. - Chyba powinniśmy tam wejść - dodał.

Wolno jadąca winda o ciasnej kabinie zwiozła ich do długiego, wyłożonego białymi kafelkami korytarza, oświetlonego pomarańczowymi lampami. Pod sufitem były zainstalowane kamery wideo, które śledziły idących. Na końcu korytarza Singer przystanął przed szarymi metalowymi drzwiami, których krawędź była ściśle dopasowana do framugi i uszczelniona grubą czarną gumą. Po prawej znajdowała się metalowa skrzynka. Singer pochylił się do niej i podał swoje nazwisko. Nad drzwiami zapaliła się zielona lampka i rozległ się melodyjny dźwięk gongu.

4 HEPA — *high efficiency particulate air (filters)*, wysokowydajne filtry powietrzne.

- Rozpoznawanie głosu - wyjaśnił Singer, otwierając drzwi. - Nie tak skuteczne jak czytniki linii papilarnych czy skanery siatkówki, ale te urządzenia nie działają przez skafandry ochronne. Tego programu nie można oszukać magnetofonem. Jeszcze dziś twój głos zostanie zarejestrowany i wprowadzony do bazy danych.

Weszli do dużego, nowocześnie umeblowanego pomieszczenia. Pod jedną ścianą stał rząd metalowych szafek. Na przeciwległym końcu znajdowały się kolejne stalowe, chromowane drzwi, oznaczone jaskrawym, żółto-czerwonym symbolem. UWAGA! NIEBEZPIECZEŃ-STWO - głosił napis nad nim.

- To szatnia - poinformował Carsona Singer. - W tych szafkach są kombinezony.

Ruszył w kierunku jednej z szafek, ale nagle przystanął i odwrócił się do Carsona.

- Wiesz co? Może poproszę kogoś, kto naprawdę zna to miejsce, żeby cię oprowadził.

Nacisnął przycisk na szafce. Metalowe drzwiczki odsunęły się z sykiem, ukazując obszerny skafander z niebieskiej gumy, umieszczony w pojemniku przypominającym małą trumnę.

- Nigdy nie byłeś w laboratorium czwartego poziomu, prawda? - upewnił się Singer. - A więc słuchaj uważnie. Piąty poziom jest bardzo podobny do czwartego, ale obowiązują tu jeszcze ostrzejsze środki bezpieczeństwa. Większość ludzi dla wygody nosi pod kombinezonami dresy, ale nie jest to obowiązkowe. Możesz mieć na sobie swoje zwykłe ubranie, musisz tylko wyjąć z kieszeni pióra, długopisy, scyzoryki, zegarki i tak dalej. Wszystko, co mogłoby przebić skafander.

Carson spiesznie sprawdził kieszenie.

- Nie masz długich paznokci? - zapytał Singer. Carson spojrzał na swoje dłonie.

- Nie.

- To dobrze. Ja swoje wciąż obgryzam, więc nie mam z tym problemu - zaśmiał się Singer. - W dolnej części szarki znajdziesz parę gumowych rękawic. Nie nosisz sygnetów? Dobrze. Będziesz musiał zdjąć buty i włożyć te kapcie. Nie możesz też mieć długich paznokci u nóg. Nożyczki do paznokci znajdziesz w szufladzie szafki, gdybyś ich potrzebował.

Carson zdjął buty.

- Teraz wejdź w skafander... najpierw prawą nogą, potem lewą, a potem podciągnij go. Ale nie zamykaj wizjera. Niech zostanie otwarty,

żeby łatwiej było nam rozmawiać.

Carson przez dłuższą chwilę mozolił się z kombinezonem, z trudem wciągając go na ubranie.

- To waży chyba tonę - mruknął.

- Jest hermetyczny. Widzisz ten metalowy zawór u pasa? Przez cały czas będziesz oddychał tlenem. Pokażą ci, jak przechodzić od stanowiska do stanowiska. W skafandrze mieści się ilość powietrza wystarczająca na dziesięć minut oddychania na wypadek awaryjnych sytuacji. - Singer podszedł do interkomu i wcisnął kilka guzików -Rosalind?

- Czego? - usłyszeli po krótkiej przerwie niski kobiecy głos.

- Mógłbym cię prosić, żebyś pokazała laboratorium naszemu nowemu koledze, Guyowi Carsonowi?

Zapadła dłuższa cisza.

- Jestem zajęta - odpowiedziała w końcu kobieta.

- To zajmie ci tylko kilka minut.

- O Jezu! - burknęła rozmówczyni i wyłączyła się. Singer rzekł do Carsona:

- To Rosalind Brandon-Smith. Chyba można powiedzieć, że jest trochę ekscentryczna. - Konspiracyjnie nachylił się do otwartego wizjera Carsona. - Prawdę mówiąc, jest bardzo niegrzeczna, ale nie zwracaj na to uwagi. Ogromnie przyczyniła się do opracowania nasze-go preparatu krwiozastępczego. Teraz też niezłe spisuje się ze swoją częścią projektu. Pracowała z Frankiem Burtem i byli sobie bardzo bliscy, więc może nie być przyjaźnie nastawiona do jego następcy. Spotkasz się z nią wewnątrz, nie ma powodu, aby musiała dwukrotnie przechodzić przez odkażanie.

- Kim był Frank Burt? - zapytał Carson.

- Doskonałym naukowcem i wspaniałym człowiekiem. Jednak praca tutaj okazała się dla niego zbyt stresująca. Niedawno przeszedł coś w rodzaju załamania nerwowego. To się często zdarza, wiesz. Prawie jedna czwarta tych, którzy przyjeżdżają do Mount Dragon, nie kończy swojej tury

- Nie wiedziałem, że przychodzę na czyjeś miejsce - zmarszczył brwi Carson.

- Teraz już wiesz. Później ci o tym opowiem. Twój poprzednik był naukowcem dużego formatu. - Singer cofnął się. - W porządku, pozapinaj zamki. Upewnij się, że wszystkie trzy są zamknięte. Mamy tu taki koleżeński układ. Kiedy wkładasz kombinezon, zawsze ktoś in-ny wszystko sprawdza.

Dokładnie sprawdził skafander, a potem pokazał Carsonowi, jak posługiwać się umieszczonym w hełmie interkomem.

- Trudno cokolwiek usłyszeć, jeśli nie stoisz tuż przy rozmówcy. Naciśnij ten guzik na przegubie, jeśli chcesz mówić przez interkom.

Wskazał na drzwi z napisem: UWAGA! NIEBEZPIECZEŃSTWO.

- Na końcu śluzy powietrznej jest prysznic chemiczny. Kiedy pod niego wejdiesz, włączy się samoczynnie. Przyzwyczaj się do niego, bo w powrotnej drodze czeka cię znacznie dłuższy. Kiedy otworzą się drugie drzwi, przejdź przez nie. Poruszaj się ostrożnie, dopóki nie przyzwyczaisz się do skafandra. Rosalind będzie czekać na ciebie w środku. Przynajmniej taką mam nadzieję.

- Dzięki - odparł Carson, podnosząc głos, żeby być słyszany przez grubą warstwę gumy.

- Nie ma sprawy - dobiegła go stłumiona odpowiedź. - Wybacz, że nie wejdem tam z tobą. Po prostu... - Singer zawahał się. - Nikt nie wchodzi do Wylęgarni, jeżeli nie musi. Sam zobaczysz dlaczego.

Gdy drzwi z sykiem zamknęły się za Carsonem, wszedł na metalową kratę. Rozległ się głuchy szcęk i z sitek umieszczonych na suficie, ścianach oraz w podłodze trysnął żółty roztwór odkażający. Carson słyszał, jak jego strumienie głośno bębnią o skafander. Po minucie było po wszystkim, otworzyły się następne drzwi i wszedł do małego przed-sionka. Zamruczał elektryczny silnik i Carson poczuł, że ze wszystkich stron owiewają go silne strumienie powietrza. Ten suszący podmuch przypominał mu odległy świst wiatru, ale nie mógł powiedzieć, gorącego czy zimnego. Potem z sykiem otworzyły się kolejne drzwi i Carson zobaczył niską, otyłą kobietę, która z wyraźną irytacją spoglądała na niego przez wizjer hełmu. Nawet uwzględniając obszerny kombinezon, Carson ocenił jej wagę na ponad sto dwadzieścia kilo.

- Chodź za mną - powiedziała, po czym odwróciła się i poszła wykafelkowanym korytarzem, tak wąskim, że ramionami ocierała się o obie ściany. Były gładkie i śliskie, bez ostrych narożników czy występów, o które mogłaby rozedrzeć ochronny kombinezon. Wszystko - podłoga, ściany, sufit - było oślepiająco białe.

Carson wdusił przycisk na lewym przegubie, włączając interkom.

- Jestem Guy Carson - przedstawił się.

- Miło mi to słyszeć - odparła. - A teraz uważaj. Widzisz te rury nad głową?

Carson spojrzał w górę. Z sufitu zwieszały się niebieskie rury z

metalowymi zaworami na końcach.

- Chwyć jedną i podłącz do zaworu skafandra - poleciła kobieta. - Ostrożnie. Obróć ją w lewo, żeby zamknąć. Kiedy przechodzisz od jednego stanowiska do drugiego, musisz odłączyć się i podłączyć do innej rury. Twój skafander ma ograniczony zapas powietrza, więc nie ociągaj się z przyłączaniem.

Carson wykonał polecenie, poczuł, jak zatrask zaskoczył, i usłyszał uspokajający syk powietrza. W skafandrze czuł się dziwnie odezwany od świata. Poruszał się powoli i niezdarnie. Przez parę grubych rękawic ledwie wyczuwał rurę, którą podłączał do zaworu.

- Pamiętaj, że to laboratorium jest jak łódź podwodna - usłyszał głos Brandon-Smith. - Małe, ciasne i niebezpieczne. Wszyscy i wszystko ma tu swoje miejsce.

- Rozumiem - odparł Carson.

- Naprawdę?

- Tak.

- Dobrze, ponieważ tutaj, w Wylęgarni, jakiegokolwiek niedbalstwo oznacza śmierć. I nie tylko twoją. Zrozumiałeś?

- Tak - powtórzył Carson. Suka, pomyślał.

Ruszyli dalej wąskim korytarzem. Kiedy szedł za Brandon-Smith, usiłując przyzwyczaić się do kombinezonu ochronnego, wydawało mu się, że w tle słyszy jakiś dziwny dźwięk: cichy, ledwie słyszalny szum. Doszedł do wniosku, że to z pewnością generator zasilający Wylęgarnię.

Brandon-Smith precyzyjnie przesuwała swoje potężne ciało przez wąskie drzwi. W znajdującym się za nim laboratorium ludzie w skafandrach pracowali przy dużych, osłoniętych pleksiglasem stołach z otworami zaopatrzonymi w gumowe rękawy. W oślepiająco jasnym świetle każdy znajdujący się w laboratorium przedmiot był widoczny jak na dłoni. Przy każdym stanowisku stały opatrzone ostrzegawczymi etykietami pojemniki na odpady i przyrządy do sterylizacji płomieniowej. Pod sufitem powoli obracały się kamery wideo monitorujące pracę naukowców.

- Słuchajcie wszyscy - rozległ się w interkomie głos Brandon-Smith. - Przedstawiam wam Guya Carsona. Ma zastąpić Burta.

Wizjery skierowały się ku Carsonowi. Usłyszał chór witających go głosów.

- Linia produkcyjna - oświadczyła grubaska. Nie zachęcało to do zadawania pytań, więc Carson o nic nie zapytał.

Brandon-Smith poprowadziła go przez labirynt kolejnych

laboratoriów, wąskich korytarzy i śluz powietrznych, skąpanych w tym samym oślepiającym świetle. Ma rację, pomyślał Carson, rozglądając się wo-kół. To miejsce jest jak łódź podwodna. Każdą wolną przestrzeń zajmowała kosztowna aparatura: mikroskopy transmisyjne i skaningowe, autoklawy, inkubatory, spektrometry mas, był tu nawet mały cyklotron. Wszystkie przyrządy zostały przerobione - tak, aby można się było ni-mi posługiwać w grubych kombinezonach. Niskie sufity były gęsto oblepione rurami i pomalowane na biało, jak wszystko w Wylęgarni. Co pięć metrów Brandon-Smith przystawała, by podłączyć się do następnej rury, a potem czekała, aż Carson zrobi to samo. Poruszali się straszliwie wolno.

- Mój Boże, te środki bezpieczeństwa są niewiarygodne - powiedział Carson. - Co tutaj macie takiego?

- Wszystko, co chcesz - odparła Brandon-Smith. - Dżumę, zapalenie płuc, wirus Marburga, wirus Hanta, dengi, ebolę, wąglik. Nie wspominając o kilku rosyjskich produktach. Oczywiście wszystkie są zamrożone.

Ciasne pomieszczenia, gruby kombinezon, duchota, wszystko to dezorientowało Carsona. Gwałtownie wciągał powietrze, z trudem powstrzymując chęć rozpięcia skafandra i odetchnięcia pełną piersią.

W końcu zatrzymali się w małym owalnym pomieszczeniu, z którego odchodziło kilka bocznych korytarzy.

- Co to jest? - zapytał Carson, wskazując na wielki kolektor nad ich głowami.

- Ujście powietrza - wyjaśniła Brandon-Smith, podłączając kolejną rurę do kombinezonu. - Znajdujemy się w środku Wylęgarni. We wszystkich pomieszczeniach panuje podciśnienie. Powietrze prze-pływa tędy do sterylizatora, po czym zostaje ponownie zawrócone. -Wskazała na jeden z korytarzy. - Twoje laboratorium jest tam. Wkrótce je zobaczysz. Nie mam czasu, żeby ci wszystko pokazać.

- A to? - Carson wskazał na wąski otwór pod ich nogami, z lśnią-cą metalową drabinką.

- Pod nami są jeszcze trzy poziomy. Zapasowe laboratoria, ślu-zy powietrzne, zamrażarki, generatory, centralna sterownia -odparła Brandon-Smith.

Przeszła kawałek jednym z korytarzy i zatrzymała się przy kolejnych drzwiach.

- To nasz ostatni przystanek. Zoo. Trzymaj się z dala od klatek. Nie daj się złapać. Jeśli rozerwą ci kombinezon, nigdy stąd nie wyjdiesz.

Zamkniemy cię tutaj i zostawimy, żebyś umarł.

- Zoo... - zaczął Carson, ale Brandon-Smith już otwierała drzwi.

Dudnienie wzmoгло się i nagle uświadomił sobie, że to nie generator. Przez gumowy skafander usłyszał stłumione wrzaski i wycia. Minąwszy załom korytarza, zobaczył, że jedną ścianę pomieszczenia aż pod sufit zastawiono klatkami. Zza drucianej siatki spoglądały na niego czarne paciorkowate oczy. Na widok nowo przybyłych panujący w pomieszczeniu hałas stał się wprost nieznośny, bo zwierzęta zaczęły łomotać łapami w podłogi klatek.

- Szympansy? - zapytał Carson.

- Jak na to wpadłeś?

Stojąca na końcu rzędu klatek mała postać w niebieskim skafandrze odwróciła się do nich.

- Carson, to Bob Fillson. Zajmuje się zwierzętami.

Fillson uprzejmie kiwnął głową. Za szybką wizjera Carson dojrzał wysokie czoło, bulwiasty nos i wystającą dolną wargę. Reszta rysów kryła się w cieniu. Mężczyzna odwrócił się i ponownie zajął się swoją pracą.

- Czemu ich tak dużo? - zapytał Carson. Brandon-Smith zatrzymała się i spojrzała na niego.

- To jedyne zwierzę o takim samym układzie odpornościowym jak człowiek. Powinieneś o tym wiedzieć, Carson.

- Oczywiście, ale dlaczego...

Brandon-Smith nie usłyszała tych słów, bo zajęła się jedną z klatek.

- Rany boskie! - zawołała nagle.

Carson podszedł bliżej, przezornie trzymając się w bezpiecznej odległości od palców sterczących spomiędzy oczek siatki. Szympanś leżał na boku, dygocząc i nie zwracając uwagi na otoczenie. Wydawało się, że coś jest nie w porządku z jego pyskiem. Po chwili Carson zauważył, że gałki oczne zwierzęcia są nienaturalnie powiększone. Kiedy spojrzał uważniej, zobaczył, że niemal wychodzą z orbit, pokryte popękkanymi naczynkami krwionośnymi. Nagle zwierzę konwulsyjnie drgnęło, otworzyło pysk i wrzasnęło.

- Bob - rozległ się w interkomie głos Brandon-Smith - ostatni z szympansów Burta zaraz się wykończy.

Fillson podszedł bez pośpiechu, powłócząc nogami. Był bardzo niskim człowiekiem - miał zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu - i poruszał się z powolnym rozmysłem przypominającym Carsonowi ruchy

nurka pod wodą. Obrócił się do Carsona i rzekł ochryplym głosem:

- Będziesz musiał stąd wyjść. Ty też, Rosalind. Nie mogę otworzyć klatki, jeśli w pomieszczeniu jest ktoś oprócz mnie.

Carson ze zgrozą zobaczył, że jedna gałka oczna mały nagle pękła, tryskając strumieniem krwi. Szympanś miotał się w konwulsyjnych podrygach, kłapiąc zębami i wymachując rękami.

- Co do diabła... - zaczął Carson.

- Do widzenia - powiedział stanowczo Fillson i sięgnął do stojącej za nim szafki.

- Cześć, Bob - odparła Brandon-Smith. Carson zanotował nieznaczną zmianę tonu jej głosu, gdy żegnała opiekuna zwierząt.

Kiedy zamykali za sobą drzwi, Carson zdążył jeszcze dostrzec zeszywniałego z bólu szympansa, rozpaczliwie przyciskającego dłoń do twarzy, i Fillsona, spryskującego klatkę jakimś aerozolem.

Brandon-Smith bez słowa pomaszerowała korytarzem.

- Może powiesz mi, co się stało temu szympansowi? - odezwał się w końcu Carson.

- Myślałam, że to oczywiste - burknęła. - Obrzęk mózgu.

- Co go spowodowało?

Odwróciła się do niego. Wyglądała na zdziwioną.

- Naprawdę nie wiesz, Carson?

- Nie, nie wiem. A poza tym mów mi Guy. Albo doktorze Carson, jeśli wolisz. Nie lubię, kiedy mówi się do mnie po nazwisku.

- Dobrze, Guy - powiedziała po chwili milczenia. - Wszystkie te szympansy są X-FLU pozytywne. Ten, którego widziałeś, wszedł w trzecie stadium choroby. Wirus stymuluje ogromną nadprodukcję płynu mózgowo-rdzeniowego. Po pewnym czasie wzrastające w czaszce ciśnienie powoduje wgłobienie mózdzku do otworu potylicznego wielkiego. W ten sposób umierają osobniki, które mają szczęście. Inne utrzymują się przy życiu, aż pękną im gałki oczne.

- X-FLU? - powtórzył Carson. Czuł, że ubranie pod skafandrem wilgotnieje od potu, który spływał mu z czoła i spod pach. Brandon-Smith stanęła jak wryta. Usłyszał szum interkomu, a potem jej głos:

- Singer, możesz mnie oświecić, dlaczego ten facet nic nie wie o X-FLU?

- Jeszcze nie zapoznałem go z projektem. Zrobię to później - odparł Singer.

- U ciebie zawsze wszystko jest postawione na głowie - warknęła, a potem powiedziała do Carsona: - Chodźmy, Guy, to koniec wy-cieczki.

Zostawiła go przy wejściu do śluzy powietrznej. Wszedł pod prysznic chemiczny i odczekał przepisowe siedem minut, podczas których tryskający pod ciśnieniem roztwór odkażał jego skafander. Kilka minut później znalazł się z powrotem w szatni. Z lekką irytacją zobaczył spokojnego i odprężonego Singera rozwiązującego krzyżówkę w lokalnej gazecie.

- Przyjemna wycieczka? - zapytał Singer, odrywając się od krzyżówki.

- Nie - odparł Carson, usiłując otrząsnąć się z przysięgnięcia wywołanego wizytą w Wylęgarni. - Ta Brandon-Smith jest gorsza niż rozdrażniony grzechotnik.

Singer wybuchnął śmiechem i pokiwał łysawą głową.

- Obrazowe porównanie. Ale jest najlepszym naukowcem, jakiego tu teraz mamy. Jeśli nasze prace zakończą się sukcesem, wszyscy będziemy bogaci. Z tobą włącznie. Dlatego warto znosić humory Brandon-Smith, nie uważasz? Tak naprawdę pod tą górą zbyt ciężkiej tkanki kryje się tylko mała, przestraszona dziewczynka.

Pomógł Carsonowi uwolnić się od kombinezonu i pokazał mu, jak odwiesić ochronne ubranie do szafki.

- Myślę, że już czas, abyś powiedział mi coś o tym tajemniczym projekcie - oświadczył Carson, zamykając szafkę.

- Zdecydowanie. Czy możemy przejść do mojego gabinetu? Napijemy się czegoś zimnego.

Carson kiwnął głową.

- Wiesz, widziałem tam szympansa, który... Singer powstrzymał go, unosząc rękę.

- Wiem, co widziałeś.

- I cóż to było, do diabła?

- Grypa - odparł po chwili Singer.

- Co takiego? Grypa? Singer skinął głową.

- Nie słyszałem o grypie, przy której pękają gałki oczne.

- No cóż - mruknął Singer. - To bardzo szczególna grypa. Wziął Carsona pod rękę i poprowadził go przez przedsionek laboratorium z powrotem na zewnątrz.

Dokładnie za dwie minuty trzecia tego popołudnia Charles Levine otworzył drzwi swojego gabinetu i wypuścił do sekretariatu młodą kobietę w dżinsach i swetrze.

- Dziękuję, pani Fields - powiedział z uśmiechem. - Damy pani /nać, gdyby znalazło się coś w następnym semestrze.

Gdy studentka ruszyła do wyjścia, Levine zerknął na zegarek.

- To już wszystko, Ray? - zapytał, zwracając się do sekretarza.

Tamten z trudem oderwał spojrzenie od tyłeczka wychodzącej pani Fields i popatrzył na otwarty terminarz, który leżał na jego biurku. Przyglądał dłonią fryzurę w stylu młodego Buddyego Hollyego, a potem podrapał się po muskularnej piersi okrytej czerwonym podkoszulkiem bez rękawów.

- Wszystko, doktorze Levine - odparł.

- Żadnych wiadomości? Nie przyniesiono nakazów aresztowania z biura szeryfa? Nikt nie proponował mi małżeństwa?

Ray uśmiechnął się, ale zanim odpowiedział, czekał, aż za wychodzącą studentką zamkną się drzwi.

- Dwa razy dzwonił Borucki. Najwyraźniej tej firmie farmaceutycznej z Little Rock nie podobał się artykuł z zeszłego miesiąca. Wy-stępują z oskarżeniem o zniesławienie.

- Ile chcą?

Ray wzruszył ramionami. Milion.

- Powiedz naszym prawnikom, żeby podjęli zwykłe kroki. - Levine odwrócił się. - Niech nikt mi nie przeszkadza, Ray

- Dobrze.

Levine zamknął drzwi.

Od kiedy stał się działaczem fundacji walczącej o ograniczenie badań z dziedziny inżynierii genetycznej, coraz trudniej było mu pogodzić to zajęcie z pracą wykładowcy genetyki teoretycznej. Założenia programowe fundacji przyciągały jak magnes pewien rodzaj studentów: samotnych idealistów poszukujących sprawy, której mogliby się poświęcić. Poza tym nieustannie ścigały na niego gniew ludzi z kręgów przemysłu chemicznego.

Kiedy jego poprzedni sekretarz zrezygnował z pracy po licznych telefonach z pogrózkami, Levine kazał zainstalować nowy zamek do drzwi swojego biura i zatrudnił Raya. Urzędnicze umiejętności Raya pozostawiały wiele do życzenia, ale jako były komandos SEAL, zwolniony ze służby z powodu szmerów w sercu, znakomicie nadawał się do roli strażnika bezpieczeństwa w biurze. Prawdopodobnie większość wolnego czasu spędzał, uganiając się za kobietami, jednak w pracy zachowywał niezmaconyspokój wobec wszelkich prób zastraszania i już choćby z tego powodu był dla Levinea niezastąpiony.

Gruby rygiel zamka zaskoczył z uspokajającym szcękaniem. Levine szybko przeszedł do swojego biurka między stertami prac semestralnych,

periodyków naukowych i archiwalnych egzemplarzy „Genetic Policy”. Wesoły i niefrasobliwy uśmiech, który miał na twarzy podczas konsultacji, teraz znikł. Odgarnął na bok papiery, oczyszczając środek biurka, i przyciągnął do siebie klawiaturę komputera. Potem sięgnął do prze-gródki swojej dyplomatkę i wyjął czarny przedmiot wielkości paczki pa-pierosów. Z jednego jej końca zwisał cienki szary przewód. Pochyliwszy się w fotelu, Levine odłączył telefon, wetknął końcówkę przewodu do czarnego pudełka, a szary kabel do gniazdka w tylnej ścianie laptopa.

Jeszcze zanim samotna kruczata o ograniczenie badań z zakresu inżynierii genetycznej uczyniła jego nazwisko przekleństwem tuzina największych laboratoriów badawczych świata, nauczył się stosować pewne środki bezpieczeństwa. Czarne pudełko było wysokiej klasy urządzeniem szyfrującym dane komputerowe przesyłane za pośrednictwem linii telefonicznych. Wykorzystywało ono zastrzeżone algorytmy klucza publicznego, znacznie bardziej wyrafinowane od systemu DES, który podobno był nie do złamania nawet przez rządowe superkomputery. Posiadanie takich urządzeń stanowiło naruszenie prawa, ale Levine był aktywnym członkiem studenckiego ruchu antywojennego, jeszcze zanim w 1971 roku ukończył U.C. Irvine, i wykorzystywanie niekonwencjonalnych, a na-wet nielegalnych metod nie było dla niego niczym nowym.

Włączył peceta i bębnił palcami po blacie stołu, gdy maszyna budziła się do życia. Potem szybko wywołał z klawiatury program komunikacyjny, który za pośrednictwem linii telefonicznej miał połączyć je-go komputer z innym, należącym do innego użytkownika. Bardzo niezwykłego użytkownika.

Zaczekał, aż połączenie zostanie kilkakrotnie przełączone przez centrale międzymiastowe, tworząc skomplikowaną, niemożliwą do prze-śledzenia trasę. Wreszcie usłyszał szum drugiego modemu. Oba kom-putery z głośnym piskiem wynegocjowały protokół transmisji, a potem na ekranie laptopa pojawił się znany już Levine'owi obraz: postać mima trzymającego na palcu obracającą się kulę ziemską. Animacja powitalna niemal natychmiast znikła i jej miejsce zajęły słowa pojawiające się jak wypisywane przez ducha:

Pan profesor! Co nowego?

Potrzebne mi dojście do GeneDyne - napisał Levine i niemal natychmiast otrzymał odpowiedź:

To dość proste. Czego mamy dziś szukać? Numerów telefonów

pracowników? Wyciągów bankowych? Ostatnich danych z sieci NetDoom dotyczących listów z pogrózkami?

Potrzebują prywatnego połączenia z ośrodkiem /Mount Dragon -napisał Levine. Tym razem odpowiedź przyszła z lekkim opóźnieniem:

0! 0! Od kogo pożyczył pan sobie dziś jaja, monsieur le professor?

Nie da się tego zrobić? - podpuszczał swojego rozmówcę Levine.

Pamiętaj, z kim rozmawiasz, profanie! W moim słowniku nie ma określenia „nie da się”. Nie martwię się o siebie, ale o CIEBIE, człowieku, Z tego, co mówią, ten Scopes to kawał drania. Z pewnością chciał-by cię przyłapać z ręką pod jego spódnicą. Jesteś pewien, że chcesz się w to pakować, profesorze?

Martwisz się o mnie? - napisał Levine. - Trudno w to uwierzyć.

No, profesorze. To niedowierzenie mnie rani.

Może tym razem chcesz pieniędzy? O to chodzi?

Pieniądzy? Teraz mnie obraziłeś. Żądam satysfakcji. Spotkamy się w samo południe przez salonem Cyberspace.

Mimie, to poważna sprawa.

Zawsze zachowuję powagę. Oczywiście mogę rozwiązać ten drobny problem. Poza tym słyszałem pogłoski, że Scopes pracuje nad jakimś ciekawym projektem. To coś bardzo szczególnego. Jednak fen paskud-ny egoista trzyma karty przy orderach. Może złoży mu towarzyską wizytę w jego prywatnym serwerze. Takie defloracje lubię najbardziej.

Co robisz w wolnym czasie, to twoja prywatna sprawa - napisał zirytowany Levine. - Postaraj się tylko, żeby to połączenie było zu-pelnie pewne. Daj mi znać, kiedy będzie gotowe.

CID.

Mimie, nie rozumiem. CID?

O rany, zapomniałem, że jesteś zielony. W elektronicznym eterze ywamy akronimów, żeby skrócić i uprościć naszą korespondencję. CID oznacza: uważaj to za zrobione. Wy, gadatliwi akademicy, powinniście kiedyś przejrzeć kilka stron z naszej wirtualnej książki. Oto inny skrót: PPNR. Czyli „pa, pa, na razie”. fwięc PPNR, Herr Professor.

Ekran zgasł.

*Biuro Johna Singera, położone w południowo-wschodnim narożniku budynku administracji, bardziej przypominało salon niż gabinet dy-rektora. W jednym kącie wbudowano kominek, przy którym stała sofa i dwa obite skórą fotele. Pod ścianą znajdowało się antyczne meksykańskie *trastero*, na którym leżała wysłona gitara oraz sterta nut. Podłogę zdobił kilim Nawahów, a na ścianach wisiały*

dziewiętnastowieczne sztychy z życia Dzikiego Zachodu, w tym sześć namalowanych przez Bodmera portretów Indian ze szczepów Mandan i Hidatsa, osiadłych w górnym biegu Missouri. Nie było tu biurka, jedynie stolik komputerowy i telefon.

Okna wychodziły na zachód, na pustynię Jornada, po której biegła gruntowa droga. Przez barwione szkło szyb wpadał słoneczny blask.

Carson usadowił się na jednym z obitych skórą foteli, a Singer pod-szedł do małego barku na drugim końcu gabinetu.

- Napijesz się czegoś? - zapytał. - Piwa, wina, martini, soku? Carson zerknął na zegarek. Była jedenasta czterdzieści pięć. Wciąż miał lekkie mdłości.

- Poproszę o trochę soku.

Singer wrócił, niosąc w jednej ręce szklanekę soku jabłkowego, a w drugiej martini. Usiadł na sofie i położył nogi na krawędzi stołu.

- Wiem, wiem - mruknął. - Picie przed południem to zły nawyk. Ale to szczególna okazja. - Podniósł szklaneczkę. - Za X-FLU.

- Za X-FLU - powtórzył Carson. - Brandon-Smith powiedziała, że właśnie to zabiło szympansa.

- Zgadza się. - Singer pociągnął łyk i sapnął z zadowoleniem.

- Wybacz, że spytam wprost - powiedział Carson - ale naprawdę chciałbym wiedzieć, co to za projekt. Nadal nie rozumiem, dlaczego Scopes wybrał akurat mnie spośród prawie pięciu tysięcy naukowców. I dlaczego musiałem wszystko rzucić i ruszyć tyłek bez pięciu minut na pożegnania?

Singer usiadł wygodniej.

- Pozwól, że zacznę od początku. Czy słyszałeś o zwierzęciu zwanym bonobo?

- Nie.

- Nazywaliśmy je karłowatym szympansem, dopóki nie zrozumieliśmy, że to odrębny gatunek. Bonobo jest jeszcze bliżej spokrewniony z człowiekiem niż częściej spotykany szympans z nizin. Jest inteligentny, żyje w monogamicznych związkach i ma dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dwa procent naszego DNA. Co ważniejsze, jest podatny na wszystkie nasze choroby. Oprócz jednej.

Przerwał i upił łyk martini.

- Nie choruje na grypę. Wszystkie inne szympansy, a także goryle i orangutany, zarażają się tym wirusem. Bonobo nie. Brent zwrócił uwagę na ten fakt jakieś dziesięć miesięcy temu. Przysłał nam kilka okazów bonobo, a my przeprowadziliśmy sekwencjonowanie DNA. Pokażę ci, co

stwierdził

Singer otworzył leżący na stoliku do kawy notes, odsuwając malachitowe jajko, żeby zrobić miejsce. Kartki były gęsto zapisane rzędami liter tworzących skomplikowaną drabinę.

- Bonobo ma gen, który czyni go odpornym na wirusy grypy. Nie tylko na jeden czy dwa szczepy wirusa, lecz na wszystkie sześćdziesiąt znanych nam odmian. Nazwaliś go genem X-FLU.

Carson obejrzał wydruk. Gen nie był zbyt długi, składał się zaledwie z kilkuset par zasad.

- Jak on działa? - zapytał. Singer uśmiechnął się.

- Nie wiemy. Zbadanie tego potrwa lata. Ale Brent wysunął hipotezę, że gdybyśmy wprowadzili ten gen do ludzkiego DNA, człowiek również stałby się odporny na wirusy grypy. Wykonane przez nas wstępne próby *in vitro* potwierdziły to.

- Interesujące - mruknął Carson.

- Też tak sądzę. Bierzesz gen od bonobo, wprowadzasz go sobie i już nigdy nie zachorujesz na grypę. - Singer nachylił się nad stołem i zniżył głos: - Guy, co wiesz o grypie?

Carson zastanowił się. Prawdę mówiąc, wiedział całkiem sporo. Jednak Singer nie wyglądał na człowieka, który lubi słuchać przechwałek, powiedział więc: - Nie tyle, ile chciałbym wiedzieć. Po pierwsze, ludzie często ją bagatelizują. Singer kiwnął głową.

- Zgadza się. Często uważa się ją za niegroźną chorobę. Tymczasem tak nie jest. To jedna z najgroźniejszych chorób wirusowych na świecie. Do dziś rocznie umiera na nią prawie milion ludzi. W Stanach Zjednoczonych nadal jest jedną z dziesięciu najczęstszych przyczyn śmierci. Podczas epidemii zapada na nią jedna czwarta ludności. Co najmniej. W tysiąc dziewięćset osiemnastym roku zabiła dwa procent wszystkich ludzi żyjących na świecie. Była to najgorsza epidemia w historii ludzkości, gorsza od epidemii dżumy I miała miejsce w tym stuleciu. Gdyby teraz znowu wybuchła, bylibyśmy równie bezsilni, jak wówczas.

- Zmutowany zjadliwy szczep wirusa potrafi zabić w kilka godzin - przyznał Carson. - Ale...

- Jedną chwileczkę, Guy Kluczem jest słowo „mutacja”. Do epidemii dochodzi, kiedy wirus grypy ulega mutacji. W tym wieku zdarzyło się to już trzykrotnie, ostatnio z wirusem z Hongkongu w sześćdziesiątym ósmym. W każdej chwili możemy oczekiwać wybuchu następnej epidemii.

- A ponieważ otoczka wirusa ulega ciągłym mutacjom, nie ma uniwersalnej szczepionki - podchwycił Carson. - Szczepionka przeciw grypie jest mieszaniną trzech lub czterech szczepów, opartą na domysłach epidemiologów przewidujących kierunek zmian wirusa w ciągu następnych sześciu miesięcy, prawda? Jeśli źle odgadną, i tak się zachoruje, pomimo otrzymania szczepionki.

Singer uśmiechnął się.

- Bardzo dobrze, Guy. Wiemy, że w MIT pracowałeś nad wirusami grypy. Między innymi z tego powodu cię wybraliśmy.

Jednym haustem dokończył swojego drinka.

- Być może jednak nie zdajesz sobie sprawy z tego, że gospodar-ka światowa traci rocznie prawie jeden bilion dolarów z powodu zachorowań na grypę - dodał.

- Nie wiedziałem o tym.

- Jest jeszcze coś, o czym być może nie wiesz: grypa powoduje rocznie około dwustu tysięcy uszkodzeń płodów. Kiedy ciężarna kobie-ta dostaje gorączki przekraczającej trzydzieści dziewięć stopni, wszystkie procesy zachodzące w macicy ulegają zaburzeniu.

Zamilkł na chwilę i odetchnął głęboko.

- Guy, pracujemy nad największym osiągnięciem medycznym dwudziestego wieku. A teraz ty również jesteś częścią naszego zespo-łu. Widzisz, po wprowadzeniu genu X-FLU człowiek stanie się odpor-ny na wszelkie odmiany grypy. Na zawsze. Co więcej, jego dzieci odziedziczą tę odporność.

Carson powoli odstawił szklankę i spojrzał na Singera.

- Jezu - powiedział z niedowierzaniem. - Mówisz o terapii genowej komórek rozrodczych?

- Właśnie. Zamierzamy na stałe zmienić garnitur genowy człowieka. A ty, Guy, odegrasz bardzo ważną rolę w naszych pracach.

- Przecież badania nad wirusami grypy były zaledwie częścią mojej pracy doktorskiej - stwierdził Carson. - Głównym tematem było coś innego.

- Wiem - odparł Singer. - Jeszcze chwilę cierpliwości. Naszym zadaniem jest wprowadzenie genu X-FLU do ludzkiego DNA. Oczywiście trzeba to zrobić za pomocą wirusa.

Carson skinął głową. Wiedział, że wirusy wprowadzają swoje DNA do DNA gospodarza. To właśnie czyniło je idealnym pośrednikiem wymiany genowej między spokrewnionymi gatunkami i większość in-żynierów genetyków wykorzystywała je w tym celu.

- Właśnie w ten sposób tego dokonamy - ciągnął Singer.
-Wprowadzimy gen X-FLU do wirusa. Wykorzystamy wirusa grypy jako konia trojańskiego, jeśli wolisz takie porównanie. Potem zarazimy tym wirusem człowieka. Tak jak w przypadku szczepionki przeciwgrypo-wej u pacjenta rozwinie się lekka grypa. Jednocześnie wirus wprowadzi do jego organizmu DNA bonobo. Kiedy chory wyzdrowieje, będzie miał gen X-FLU i już nigdy nie zachoruje na grypę.

- Terapia genowa - mruknął Guy.

- Właśnie - odparł Singer. - To obecnie jedna z najmodniejszych dziedzin nauki. Terapia genowa daje nadzieję wyeliminowania wszelkich dziedzicznych schorzeń. Na przykład choroby TaySachsa, zespołu PKU, hemofilii oraz innych chorób. Pewnego dnia każde dziec-ko urodzone z wadą genetyczną będzie mogło otrzymać odpowiedni gen i prowadzić normalne życie. W naszym przypadku „defektem” jest podatność na grypę.

Singer potarł czoło.

- Bardzo się podniecam, kiedy o tym mówię - powiedział z uśmiechem. - Kiedy wykładałem na CalTechu, nigdy nie marzyłem, że mogę zmienić świat. X-FLU sprawiła, że znów zacząłem wierzyć w Boga, naprawdę.

Odchrząknął.

- Jesteśmy już bardzo blisko, Guy Jest jednak mały problem. Kiedy wprowadzamy gen X-FLU do normalnego wirusa grypy, staje się on bardzo zjadliwy. I niezwykle zaraźliwy. Zamiast działać jak łagodny nosiciel, otoczka proteinowa wirusa zdaje się naśladować hormon stymulujący produkcję płynu mózgowo-rdzeniowego. W Wylęgarni widziałeś efekt działania takiego wirusa u szympansa. Jeszcze nie wiemy, jak działałby na człowieka, ale z pewnością dość podobnie.

Wstał i podeszedł do najbliższego okna.

- Twoim zadaniem jest przerobienie otoczki wirusa przenoszącego gen X-FLU. Musisz pozbawić ją szkodliwego działania. Zmienić tak, by mógł zarażać człowieka, nie zabijając go, i przenosić gen X-FLU do ludzkiego DNA.

Carson otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale natychmiast je zamknął. Nagle zrozumiał, dlaczego Scopes wybrał go spośród tak wielu zatrudnionych w GeneDyne naukowców. Dopóki Fred Peck nie wyznaczył go do czarnej roboty, jego specjalnością były zmiany otoczek proteinowych wirusów. Wiedział, że taką otoczkę można zmienić lub osłabić za pomocą temperatury, różnych enzymów, promieniowania, a

nawet selektywnej hodowli. Sam to kiedyś robił. Wirusy można neutralizować w rozmaity sposób.

- Wydaje się, że to stosunkowo nieskomplikowany problem - oświadczył.

- Powinien taki być, jednak nie jest. Z jakiegoś powodu, obojętnie co z nim zrobisz, zawsze powraca do swej zabójczej postaci. Kiedy Burt pracował nad tym, zaszczepił grupę szympanсів pozornie bezpiecznymi szczepami wirusa X-FLU. Ale wirus uległ regresji i... no cóż, sam widziałeś rezultat. Gwałtowny obrzęk mózgu. Burt był błyskotliwym naukowcem. Gdyby nie on, nigdy nie zdołalibyśmy doprowadzić PurBlood, naszego preparatu krwiozastępczego, do postaci nadającej się do wprowadzenia na rynek. Jednak problem X-FLU do-prowadził go do... - Singer urwał. - Nie mógł znieść napięcia - dodał po chwili.

- Teraz rozumiem, dlaczego ludzie unikają Wylęgarni - mruknął Carson.

- Jest okropna. I mam poważne zastrzeżenia co do wykorzystywania szympanсів. Zważywszy jednak na przyszłe korzyści dla ludzkości... - Singer zamilkł, spoglądając na krajobraz za oknem.

- Dlaczego trzymacie to w takiej tajemnicy? - zapytał w końcu Carson.

- Z dwóch powodów. Podejrzewamy, że co najmniej jedna firma prowadzi podobne badania, i nie chcemy przedwcześnie odsłaniać naszych kart. Poza tym wielu ludzi obawia się tej technologii. Nie mogę mieć im tego za złe. Po bronii jądrowej, Three Mile Island i Czarnobylu stali się podejrzliwi. I nie podoba im się idea inżynierii genetycznej. - Odwrócił się do Carsona. - Spójrzmy prawdzie w oczy, mówimy o permanentnej zmianie ludzkiego genomu. To bardzo kontrowersyjny pomysł. A jeśli ludzie protestują przeciwko genetycznie zmienionym warzywom, co powiedzą na to? Ten sam problem mamy z PurBlood. Dlatego chcemy zakończyć prace nad X-FLU, zanim ogłosimy nasze odkrycie światu. W ten sposób opozycja nie zdąży się zorganizować. Ludzie dojdą do wniosku, że korzyści znacznie przekraczają irracjonalne obawy części populacji.

- Ta część może być bardzo hałaśliwa - stwierdził Carson.

Jadąc do pracy lub wracając z niej, często widywał grupki demonstrantów przed bramą GeneDyne.

- Owszem. Na przykład tacy ludzie, jak Charles Levine. Słyszałeś o jego Foundation for Genetic Policy? To bardzo radykalna organizacja usiłująca przeforsować zakaz prac z dziedziny inżynierii genetycznej i

wykończyć Brenta Scopesa.

Carson kiwnął głową.

- Levine i Scopes przyjaźnili się w collegeu - dodał Singer. -Przypomnij mi, żebym ci kiedyś opowiedział tę historię. W każdym razie Levine jest trochę niezrównoważony, to prawdziwy Don Kichot. Powstrzymanie postępu naukowego stało się celem jego życia. Słyszałem, że po śmierci żony zrobił się jeszcze bardziej zawzięty. Od dwudziestu lat mści się na Brencie Scopesie. Niestety wielu dziennikarzy chętnie go słucha i drukuje jego banialuki. - Odszedł od okna. - O wie-le łatwiej coś zburzyć, niż wybudować, Guy Mount Dragon jest najbezpieczniejszym laboratorium inżynierii genetycznej na świecie. Nikt nie dba bardziej o bezpieczeństwo pracowników i przyszłych pacjentów niż Brent Scopes.

Carson miał ochotę powiedzieć, że Charles Levine był jednym z jego wykładowców, ale się rozmyślił. Może zresztą Singer już o tym wiedział.

- Więc chcecie przedstawić terapię X-FLU jako fakt dokonany. Stąd ten pośpiech, tak?

- To jedna z przyczyn. - Singer zawahał się, a potem oświadczył: - Prawdę mówiąc, X-FLU jest bardzo ważna dla GeneDyne. Patent Scopesa na wysoko wydajną odmianę zboża, finansowa opoka GeneDyne, wygasa za kilka tygodni.

- Przecież Scopes w tym roku kończy dopiero czterdziestkę -powiedział Carson. - Ten patent nie może mieć zbyt wielu lat. Dlaczego go nie odnowi?

Singer wzruszył ramionami.

- Nie znam wszystkich szczegółów. Wiem tylko, że wygasa i nie można go odnowić. Kiedy to nastąpi, przestaną napływać tantiemy.

PurBlood jeszcze przez kilka miesięcy nie wejdzie do sprzedaży, a koszt-ty badań nad nim zamortyzują się dopiero po upływie kilku lat. Nasze inne produkty jeszcze nie zostały dopuszczone do sprzedaży. Jeśli szybko nie zakończymy badań nad X-FLU, GeneDyne będzie musiało obciąć nam dywidendy. To miałoby katastrofalny wpływ na wartość akcji, a więc także na twoje i moje finanse. Odwrócił się i skinął ręką.

- Podejdz tu, Guy - powiedział.

Carson podszedł do niego. Za oknem rozpościerał się rozległy widok na pustynię Jornada del Muerto, ciągnącą się aż po horyzont i niknącą w jasnej poświacie na horyzoncie, gdzie niebo stapiało się z ziemią. Budynki Mount Dragon rzucały długie cienie na wschód, a na

południu dostrzegł sterczące z piasków resztki kilku ścian wyglądają-ce na ruiny starego indiańskiego puebla. Singer położył dłoń na ramieniu Carsona.

- Ale teraz nie powinienes przejmować się tymi sprawami -oświadczył. - Myśl o możliwościach, jakie znajdują się w zasięgu ręki. Zwykły lekarz, jeśli ma szczęście, może uratować setki ludzi. Naukowiec może ocalić tysiące. Tymczasem ty, ja, GeneDyne możemy uratować miliony. Miliardy.

Wskazał na łańcuch niskich wzgórz na północnym wschodzie, wznoszących się jak szereg czarnych zębów nad jasną pustynią.

- U podnóża tych gór przed pięćdziesięcioma laty człowiek przeprowadził pierwszą eksplozję atomową. Trinity Site znajduje się zaledwie czterdzieści pięć kilometrów stąd. To mroczny rozdział w historii nauki. Teraz, pół wieku później, na tej samej pustyni mamy szansę oczyścić dobre imię naukowców.

Mocno uścisnął dłoń Carsona.

- Guy, to będzie największa przygoda twojego życia. Myślę, że mogę ci to zagwarantować.

Stali, spoglądając na pustynię, i Carson czuł jej bezmiar, jej niemal religijną siłę. Wiedział, że Singer ma rację.

Następnego dnia wstał o piątej trzydzieści. Spuścił nogi z łóżka i spoj-rzał przez otwarte okno w kierunku gór San Andres. Do pokoju wpadło chłodne powietrze, przynosząc ze sobą ciszę przedświt. Głęboko odetchnął. W New Jersey z trudem mógł zwlec się z łóżka przed ósmą. Tutaj, po jednym dniu na pustyni, już wracał do dawnych zwyczajów.

Patrzył, jak znikają gwiazdy. Na bezchmurnym wschodnim niebie pozostała tylko Wenus. Niebo przybrało zielonkawy kolor, stopniowo przechodzący w żółć. Z niebieskawe mgiełki nad równiną powoli wyłaniały się rzadko rozrzucone zarośla kolczastych kaktusów i kępy wysokiej trawy. Na pustyni wszelkie formy życia mają sporo przestrzeni, pomyślał Carson.

Jego pokój był umeblowany skromnie, lecz wygodnie: łóżko, kana-pa i fotel, wielkie biurko i półki na książki. Wziął prysznic, ogolił się i włożył biały dres. Był podekscytowany i lekko zaniepokojony czekającym go dniem.

Całe poprzednie popołudnie spędził na przygotowaniach do pracy,

wypełniając formularze, nagrywając swój głos, dając się fotografować i przechodząc najdokładniejsze badania lekarskie w swoim życiu. Miejscowy lekarz Lyle Grady był chudym, niskim mężczyzną o suchym głosie, który rzadko się uśmiechał. Po krótkiej kolacji z Singerem Carson wcześniej poszedł spać. Chciał dobrze wypocząć.

Dzień pracy rozpoczynał się w Mount Dragon o ósmej. Carson nie jadł śniadania - był to nawyk z dawnych czasów, kiedy ojciec budził go wcześniej i jeszcze po ciemku kazał siodłać konia - znalazł jednak kantynę, w której wypił filiżankę kawy, zanim ruszył w kierunku swojego laboratorium. Kawiarenka była pusta i Carson przypomniał sobie, co poprzedniego wieczoru usłyszał od Singera.

- Jadamy tu obfite kolacje - powiedział dyrektor - ale mało kto je śniadania i obiady. Praca w Wylęgarni odbiera apetyt.

Kiedy Carson dotarł do szatni, zastał w niej kilka osób w milczeniu wkładających kombinezony. Wszyscy odwrócili się i spojrzeli na niego - jedni przyjaźnie, inni z zaciekawieniem, niektórzy obojętnie. Do szatni wszedł Singer z szerokim uśmiechem na okrągłej twarzy.

- Jak spałeś? - zapytał, przyjacielsko klepnawszy Carsona w ramię.

- Nieźle - odparł Carson. - Chciałbym jak najprędzej zabrać się do pracy.

- Doskonale. Przedstawię cię twojej asystentce. - Rozejrzył się wokół. - Gdzie Susana?

- Jest już w środku - odparł jeden z techników. - Musiała wejść wcześniej, żeby sprawdzić kilka kultur.

- Pracujesz w laboratorium C - poinformował Carsona Singer. - Rosalind pokazała ci je wczoraj, prawda?

- Mniej więcej - mruknął Carson, wyjmując z szafki kombinezon.

- To dobrze. Pewnie zechcesz zacząć od przejrzania notatek Franka Burta. Susana dopilnuje, żebyś dostał wszystko, czego będziesz potrzebował.

Włożywszy z pomocą Singera kombinezon, Carson ruszył za innymi pod chemiczne prysznicze, a potem ponownie wkroczył w labirynt wąskich korytarzy i szluz powietrznych laboratorium. Z trudem przyzwyczajając się do duchoty skafandra i korzystania z przewodów powietrznych. Po kilku próbach odnalazł metalowe drzwi z napisem LABORATORIUM C.

W środku jakaś postać w obszernym skafandrze pochylała się nad osłoniętym pleksiglasem stołem, sortując szalki Petriego. Carson wduślił przycisk interkomu.

- Cześć. Ty jesteś Susana? Postać wyprostowała się.

- Jestem Guy Carson - dodał.

W głośnikach skafandra zatrzeszczał cichy głos:

- Susana Cabeza de Vaca. Niezgrabnie uścisnęli sobie ręce.

- Te kombinezony są jak wrzód na tyłku - powiedziała zirytowana de Vaca. - A więc to ty masz zastąpić Burta.

- Zgadza się - rzekł Carson. Spojrzała w wizjer jego skafandra.

- *EspafioP* - spytała.

- Nie, *Inglese* - odparł Carson nieco szybciej, niż zamierzał.

- Hmm - mruknęła po chwili de Vaca, uważnie mu się przyglądając. - Cóż, sądząc po głosie, pomyślałam, że może jesteś stąd.

- Wychowałem się w Bootheel.

- Wiedziałam! No cóż, wobec tego ty i ja jesteśmy tu jedynymi tubylcami.

- Pochodzisz z Nowego Meksyku? Od kiedy pracujesz w Mount Dragon? - zapytał Carson.

- Przyjechałam tu dwa tygodnie temu, zostałam przeniesiona z Albuquerque. Początkowo przydzielono mnie do sekcji medycznej, ale teraz mam zastąpić asystentkę doktora Burta. Odeszła kilka dni po nim.

- Skąd pochodzisz? - zapytał Guy.

- Z małego górskiego miasteczka zwanego Truchas. Leży prawie pięćdziesiąt kilometrów na północ od Santa Fe.

- Pytałem o narodowość. Znów milczała przez chwilę.

- Urodziłam się w Truchas - powiedziała.

- W porządku - odparł Carson, zaskoczony ostrym tonem jej głosu.

- Chcesz wiedzieć, kiedy przepłynęliśmy Rio Grandę?

- Nie, nie o to chodzi. Zawsze szanowałem Meksykanów...

- Meksykanów?

- Tak. Niektórzy z naszych najlepszych ludzi na ranchu byli Meksykanami, a dorastając, miałem wielu meksykańskich przyjaciół...

- Moja rodzina - przerwała mu lodowatym tonem de Vaca - przybyła do Ameryki z don Juanem de Ofiate. Nawiasem mówiąc, don Alonso Cabeza de Vaca i jego żona o mało nie zginęli podczas przeprawy przez tę pustynię. Było to w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym ósmym, więc z pewnością znacznie wcześniej, niż pana wieśniacza rodzina przybyła do Bootheel. Jestem jednak głęboko wzruszona, że miał pan wielu meksykańskich przyjaciół.

Odwróciła się i znów zaczęła sortować szalki Petriego, wprowadzając ich numery do PowerBooka.

Jezu, pomyślał Carson, Singer nie żartował, kiedy mówił, że wszyscy tutaj są zestresowani.

- Pani de Vaca - powiedział - ja tylko usiłowałem być uprzejmy. Odczekał chwilę. De Vaca nadal sortowała i stukwała w klawisze.

- Wprawdzie to nie ma żadnego znaczenia, ale nie pochodzę z wieśniaczej rodziny. Moim przodkiem był Kit Carson, a mój pradziadek otrzymał ranczo, na którym się wychowałem, od rządu. Carsonowie mieszkają w Nowym Meksyku od prawie dwustu lat.

- Pułkownik Christopher Carson? No coś takiego - mruknęła de Vaca, nie podnosząc głowy. - Kiedyś w college'u pisałam rozprawkę o Carsonie. Niech mi pan powie, jest pan potomkiem jego hiszpańskiej żony czy indiańskiej?

Zapadła cisza.

- Z pewnością jednej lub drugiej, ponieważ nie wygląda pan na białego.

Poskładała szalki Petriego i schowała je do stalowej szufladki w ścianie.

- Nie interesują mnie kwestie rasowe, pani de Vaca - oświadczył Carson, usiłując zachować spokój.

- Nazywam się Cabeza de Vaca, a nie „de Vaca” - odparła, zaczynając sortować kolejny stos szalek.

Carson gniewnie wduślił przycisk interkomu.

- Nie obchodzi mnie, czy nazywa się pani Cabeza czy Kowalski. Nie zamierzam wysłuchiwać impertynencji ani od pani, ani od tej niedźwiedziozwej Rosalind lub kogokolwiek.

Na moment zapadła cisza, a potem de Vaca zaczęła się śmiać.

- Carson, spójrz na te dwa guziki na panelu interkomu. Jeden jest do prywatnych rozmów na miejscowym kanale, a drugi do łączności ogólnej. Na przyszłość niech ich pan nie myli, inaczej wszyscy w Wyłęgarni usłyszą, co pan mówi.

Głośniki zatrzeszczały.

- Carson? - rozległ się głos Brandon-Smith. - Chcę tylko, żebyś wiedział, że to słyszałam, ty krzywonoga małpo.

De Vaca prychnęła.

- Pani Cabeza de Vaca - powiedział Carson, zmagając się z przyciskami interkomu. - Chcę tylko robić swoje, jasne? Nie interesują mnie jałowe spory ani pani problemy z samookreśleniem. Może więc zacznie się pani wreszcie zachowywać jak asystentka i powie mi, gdzie znajdę notatki laboratoryjne doktora Burta.

Znowu zapadła lodowata cisza.

- W porządku - burknęła wreszcie de Vaca, wskazując na szary laptop stojący na biurku opodal śluzy wejściowej. - Ten PowerBook należał do Burta. Teraz jest pana. Jeśli chce pan przejrzeć jego notatki, gniazdo sieciowe znajduje się po pańskiej lewej ręce. Zna pan zasady dotyczące zapisywania, prawda?

- Mówi pani o zasadzie nieużywania pióra i papieru?

W filii GeneDyne w New Jersey nakazywano zapisywać wszystko wyłącznie na komputerach firmy.

- Tutaj posunięto się jeszcze dalej - odparła de Vaca. - Nie wolno sporządzać jakichkolwiek kopii. Żadnych piór, długopisów, ołówków. Wszystkie wyniki badań, wszystko, co się robi i myśli, należy wprowadzać do PowerBooka i co najmniej raz dziennie przesyłać do serwera sieciowego. Wystarczy zostawić jakąś notatkę na biurku, żeby wylecieć z roboty

- Po co to wszystko?

De Vaca wzruszyła okrytymi skafandrem ramionami.

- Scopes lubi przeglądać nasze notatki, wiedzieć, co robimy, podsuwać nam swoje sugestie. Nocami przetrząsa cyberprzestrzeń firmy, wpychając we wszystko swój wirtualny nos. Ten facet nigdy nie śpi.

Carson wyczuł w jej głosie dezaprobatę. Włączył laptopa, wetknął końcówkę przewodu sieciowego do gniazdka w ścianie, zalogował się i pozwolił, by de Vaca pokazała mu katalog z plikami Burta. Wystukał kilka poleceń, zirytowany sztywnością swoich okrytych rękawicami palców, po czym zaczekał, aż pliki skopiują się na twardy dysk laptopa. Potem otworzył notatki Burta w edytorze tekstów.

18 lutego. Pierwszy dzień w laboratorium. Singer przedstawił nam -mnie oraz nowo przybyłej R. Brandon-Smith - aktualny stan badań nad PurBlood. Popołudnie spędziłem w bibliotece, przeglądając do-niesienia dotyczące otoczkowania czystej hemoglobiny. Ten problem, moim zdaniem, polega na...

- Nie tego pan szuka - powiedziała de Vaca. - To poprzedni projekt, zakończony przed moim przybyciem. Proszę przewinąć, aż dojdzie pan do X-FLU.

Carson przewinął notatki z trzech miesięcy i dotarł do końca pracy Burta nad sztucznym preparatem krwiozastępczym PurBlood oraz początku badań nad X-FLU. Czytał zwięzłe, rzeczowe zapiski błyskotliwego naukowca, który zaraz po odniesionym sukcesie rzucił się

w wir następnych badań. Burt wykorzystał do syntezy PurBlood opracowaną przez siebie metodę filtracji, która zwróciła na niego uwagę GeneDyne. Dawalo się wyczuć, że podchodził do swojej pracy z optymizmem i entuzjazmem. Cóż, neutralizacja wirusa X-FLU i doprowadzenie go do fazy prób na ludziach wydawały się stosunkowo prostym zadaniem.

Dzień po dniu Burt w rozmaity sposób usiłował rozwiązać ten problem: modelując komputerowo otoczkę proteinową, stosując różne enzymy, różne zakresy temperatur i chemikalia, szybko przechodząc od jednych metod do innych. W notatkach zachowały się liczne komentarze Scopesa, który najwidoczniej kilka razy w tygodniu sprawdzał postępy prac. Komputer przechwycił również liczne „rozmowy” między Scopesem a Burtem. Czytając je, Carson podziwiał orientację Scopesa w technicznych szczegółach badań i zazdrościł Burtowi swobody, z jaką ten traktował prezesa GeneDyne.

Jednak mimo niewyczerpanej energii i błyskotliwości Burta praca nie posuwała się ani o krok. Zmiana otoczki białkowej wokół samego wirusa grypy była prawie trywialną sprawą. Za każdym razem okazywała się trwała i Burt podejmował próby *in vivo*, wstrzykując zmutowany wirus szympansom. I za każdym razem zwierzęta przez jakiś czas żyły, a potem umierały w straszliwych męczarniach.

Carson przeglądał stronę za stroną, czytając coraz dramatyczniejsze relacje Burta z kolejnych niepowodzeń. Z czasem notatki zatraciły rzeczowy i beznamiętny ton, stały się chaotyczne i nabrały osobistego charakteru. Pojawiły się w nich złośliwe uwagi o naukowcach, z którymi Burt współpracował - przede wszystkim o Rosalind Brandon-Smith.

Mniej więcej trzy tygodnie przed odejściem Burta z Mount Dragon w jego zapiskach zaczęły pojawiać się wiersze. Zwykle liczące dziesięć lub mniej wersów, opisywały swoiste piękno nauki: czwartorzędową strukturę cząsteczki globuliny, błękitną poświatę promieniowania Czerenkowa. Były liryczne i egzaltowane, lecz Carson uznał za szczególnie niepokojące, że pojawiały się nagle między rzędami wyników badań, jak nieproszeni obcy ludzie na przyjęciu.

Jeden z wierszy mówił o węglu:

Najpiękniejszy z pierwiastków.

W jakże różnorodnej postaci,

Wiązań, bocznych łańcuchów i aromatycznych pierścieni.

Twój indeks refrakcji zabija szachów i uczonych Ziemi.

Węgłu.

Ty, któryś był z nami na ulicach Sajgonu,
Bo byłeś wszędzie, unosząc się w powietrzu,
Niewidzialny w pocie i strachu

Napalmu.

Bez ciebie jesteśmy niczym.

Z węgla powstaliśmy i w węgiel się obrócimy.

Notatki stopniowo stawały się coraz rzadsze i coraz bardziej chaotyczne. Carson z trudem nadażał za tokiem rozumowania Burta. Jednocześnie wciąż pojawiały się uwagi oraz komentarze Scopesa, krytyczne teraz i sarkastyczne. Ich rozmowy zaczęły przypominać spór, przy czym Scopes był agresywny, a Burt uступliwy, prawie pokorny.

Burt, gdzie byłeś wczoraj?

Wziąłem wolny dzień i wyszedłem na zewnątrz.

Każdy kolejny dzień badań nad tym projektem kosztuje GeneDyne milion dolarów. Tak więc doktor Burt postanawia wziąć sobie wolny dzień na jednomilionowy spacer. Czarujące. Wszyscy liczą na ciebie, Frank, pamiętasz? Cały ten projekt czeka na twoje wyniki.

Brent, ja nie mogę ciągnąć tego tak bez przerwy. Muszę czasem mieć chwilę spokoju, żeby zebrać myśli.

I o czym myślałeś?

O mojej pierwszej żonie.

Jeżu Chryste, on myślał o swojej pierwszej żonie. Milion dolarów, Frank, milion dolarów kosztowało to myślenie o twojej pieprzonej pierwszej żonie. Mógłbym cię udusić, naprawdę mógłbym.

Wczoraj nie nadawałem się do pracy. Próbowalem wszystkiego, włącznie z rekombinacją. Tego problemu nie da się rozwiązać.

Frank, nienawidzę takiego gadania. Nie ma problemu, którego nie dało-by się rozwiązać. Tak mówiłeś, kiedy pracowałeś nad krwią, pamiętasz?

I rozwiązałeś ten problem. Dokonałeś tego, Frank, przypomnij sobie! Wiem, że i teraz sobie poradzisz. Przysięgam, że dostaniesz za to Nobla.

Kuszenie mnie sławą nic nie da, Brent. Ani pieniędzmi. Nic nie uczyni niemożliwego możliwym.

Nie mów tak, Frank. Proszę. Cierpię, kiedy słyszę to słowo, ponieważ to kłamstwo. Nie ma rzeczy niemożliwych. Wszechświat jest wielki

i złożony i wszystko jest możliwe. Przypominasz mi Alicję w

krainie czarów. Pamiętasz dialog między Alicją a Królową właśnie na ten temat?

Nie, nie pamiętam. I nie sędzę, aby Alicja w krainie czarów pomogła mi uwierzyć w niemożliwe.

Ty sukinsynu, jeśli jeszcze raz usłyszę słowo „niemożliwe”, pojedę tam i uduszę cię gołymi rękami. Słuchaj, dałem ci wszystko, czego potrzebowałaś. Proszę, Frank, weź się do pracy i zrób to. Wierzę, że możesz. Posłuchaj, może zaczniesz od nowa. Spróbuj z jakimś innym nosicielem, nawet zupełnie nieprawdopodobnym nowym wirusem lub makrofagiem. Albo reowirusem. Czymś, co pozwoli ci podejść do problemu od zupełnie nowej strony. Dobrze?

W porządku, Brent.

Przez kilka dni Burt nie robił żadnych notatek. Potem, 29 czerwca - zaledwie dwa tygodnie wcześniej - pojawiło się sporo pospiesznie pisanego tekstu, pełnego apokaliptycznych wizji i ponurego bełkotu. Burt kilkakrotnie wspominał o „kluczowym czynniku”, nie wyjaśniając, co to takiego. Carson pokręcił głową. Jego poprzednik najwidoczniej w zamroczeniu wyobraził sobie rozwiązanie, którego nie zdołał odkryć jego racjonalny umysł.

Usiadł wygodniej, czując, jak pot zbiera mu się między łopatkami i w zgięciach łokci. Po raz pierwszy poczuł ukłucie lęku. Jak sobie poradzi z tym, z czym nie mógł sobie poradzić taki naukowiec jak Burt, który nie tylko poniósł klęskę, ale w dodatku postradał zmysły? Podniósł wzrok i zobaczył, że de Vaca przygląda mu się uważnie.

- Czytała to pani? - zapytał. Kiwnęła głową.

- Co... Jak mam się do tego zabrać?

- To pana problem - odparła spokojnie. - Nie ja mam dyplomy Harvardu i MIT.

Przez resztę dnia Carson studiował wyniki pierwszych doświadczeń, omijając niepokojące notatki laboratoryjne Burta. Pod koniec pracy poczuł się trochę pewniej. Na MIT stosował pewną nową metodę re-kombinacji DNA, której nie znał Burt. Narysował diagram projektu, rozkładając go na fazy, a potem na jeszcze mniejsze sekwencje, których nie dało się już podzielić.

Gdy dzień zbliżał się do końca, zaczął przygotowywać plan badań. Uświadomił sobie, jak wiele pozostało jeszcze do zrobienia. Wstał i przeciągnął się, patrząc, jak de Vaca podłącza swój komputer do sieci.

- Nie zapomnij przesłać tego na serwer - powiedziała. - Wielki Brat na pewno zechce sprawdzić w nocy twoją pracę.

- Dzięki - mruknął Carson, skręcając się w duchu na myśl, że Scopes będzie przeglądał jego notatki. Scopes i Burt najwidoczniej by-li przyjaciółmi, a on był tylko technikiem trzeciej klasy z laboratorium w Edison. Przesłał dane, schował komputer na noc do szafki, po czym ruszył za de Vacą w długą powrotną wędrówkę przez Wylegarnię.

Wróciwszy do szatni, podniósł wizjer i rozpiął dolną część kombinezonu przeciwskażeniowego, a potem zerknął na swoją asystentkę. Już zdjęła skafander i rozpuściła włosy. Carson ze zdziwieniem zobaczył nie pulchną sefloritę, którą spodziewał się ujrzeć, lecz szczupłą i bardzo piękną młodą kobietę o długich czarnych włosach, śniadej skórze, regularnych rysach twarzy i ciemnobrązowych oczach.

Odwróciła się i zauważyła jego minę.

- Uważaj na oczy, *cabrón* - powiedziała - jeśli nie chcesz skończyć tak jak nasze szympansy.

Zarzuciła torebkę na ramię i wymaszerowała z szatni, a wszyscy pozostali wybuchnęli śmiechem.

Pomieszczenie było ośmiokątne. Każda z ośmiu ścian wznosiła się ku kopulastemu sklepieniu piętnaście metrów wyżej, oświetlonemu miękkim światłem niewidocznych reflektorów. Siedem ścian pokrywały ogromne płaskie panele komputerowych ekranów, w tej chwili zgaszone.

- Brent! - zawołała twarz z ekranu. - Jesteś tam?

Scopes podszedł do sfatygowanej kanapy, usiadł na niej po turecku i położył sobie na kolanach klawiaturę komputera. Wystukał kilka poleceń, po czym spojrział na ogromny obraz na ekranie.

Ubłocona twarz należała do mężczyzny siedzącego właśnie w ogromnym ranę roverze. Za omywaną strumieniami deszczu szybą widać było szeroką przecinkę, świeżą ranę w otaczającej samochód kameruńskiej dżungli. Przecinka była jedną wielką rzeką błota, któremu buty i opony nadały księżycowe kształty. Na jej skraju leżały stosy świeżo ściętych pni. Kilka metrów od ranę rovera ustawiono parę tuzinów klatek z rur i drucianej siatki, tworzących chwiejną stertę. Spomiędzy oczek siatki wystawały włochate palce, a paciorkowate ślepia z dzie-cinnym zdziwieniem spoglądały na świat.

- Jak leci, Rod? - zapytał ze znużeniem Scopes, zwracając twarz do kamery na bocznym stoliku.

- Parszywa pogoda.

- Tu też pada - mruknął Scopes.

- Tak, ale ty nie widziałeś deszczu, od kiedy...

- Czekałem trzy dni na wiadomość od ciebie, Falfa - przerwał mu

Scopes. - Co się stało, do diabła?

Na twarzy tamtego pojawił się przepraszający uśmiech.

- Mieliliśmy problemy ze zdobyciem paliwa do samochodów. Przez ostatnie dwa tygodnie w dżungli pracowała cała wioska, po dolarze dziennie od głowy. Teraz wszyscy są bogaci, a my mamy pięćdziesiąt sześć małych szympansów.

Uśmiechnął się i wytarł nos, dzięki czemu jeszcze bardziej rozsmarował sobie błoto po twarzy. A może to nie było błoto. Scopes odwrócił wzrok.

- Za sześć tygodni chcę je mieć w Nowym Meksyku. Nie dopuszczam większej śmiertelności niż pięćdziesiąt procent.

- Pięćdziesiąt procent! Będzie ciężko - stwierdził Falfa. -Zwykle...

- Falfa!

- Słucham...?

- Myślisz, że będzie ciężko? Pomyśl, co się stanie z Rodneyem E Falfą, jeśli do Nowego Meksyku przyjedzie więcej trupów niż żywych egzemplarzy. Spójrz na nie. Czemu siedzą na tym cholernym deszczu?

Zapadła cisza. Falfa zatęchł i za szybą pojawiła się czarna twarz. Falfa odrobinę opuścił okienko i Scopes usłyszał żalosne wrzaski schwytych zwierząt.

- Ty, łowca! - powiedział Falfa łamaną angielszczyzną. - Ty opiekować się te zwierzęta, słyszysz? Za każde zwierzę, które umrzeć, ja potrącić łowcy jeden szyling.

- To nie być dobrze - padła odpowiedź zza szyby ranę rovera. -Masa obiecać...

- Rób swoje. - Falfa zamknął okienko, ignorując protesty myśliwego, i znów z uśmiechem zwrócił się do Scopesa: - Jak ci się podoba takie szybkie działanie?

Scopes obrzucił go chłodnym spojrzeniem.

- Pieprzenie. Nie uważasz, że te szympansy trzeba także nakarmić?

- Racja! - Falfa ponownie zatęchł.

Scopes nacisnął wyłącznik, przerywając wideokonferencję, po czym ponownie usiadł na kanapie. Znów wystukał kilka poleceń i przerwał. Nagle z przekleństwem cisnął klawiaturę przez pokój. Z donośnym trzaskiem uderzyła o ścianę. Jeden klawisz odłamał się i z grzechotem potoczył po podłodze. Scopes opadł z powrotem na kanapę i znieruchomiał.

Po chwili z sykiem otworzyły się drzwi i stanął w nich wysoki mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu lat. Był ubrany w czarny

garnitur, wykrochmaloną białą koszulę, czarne lakierki i niebieski jedwabny krawat. Miał siwe skronie, stalowoszare oczy i zgrabny, niewielki nos.

- Czy wszystko w porządku, panie Scopes? - zapytał. Scopes wskazał na klawiaturę.

- Klawiatura jest zepsuta. Mężczyzna uśmiechnął się ironicznie.

- Rozumiem, że pan Falfa w końcu się zgłosił.

Carson pospiesznie przeszedł na tryb konwersacji i połączył się z Singerem. Przez cały dzień nie łączył się z siecią, więc nie wiadomo, jak długo dyrektor czekał.

John Singer@Exec.Dragon gotowy do rozmowy. Wciśnij klawisz, aby rozpocząć sesję.

Na ekranie pojawiły się słowa:

Jak leci, Guy?

Dobrze - napisał Carson. - Właśnie odebrałem twoją wiadomość.

Powinieneś pozostawiać laptopa podłączonego do sieci przez cały czas, kiedy jesteś w laboratorium. Mógłbyś też wspomnieć o tym Susanie. Zechcesz poświęcić mi kilka minut po kolacji? Jest coś, o czym powinniśmy porozmawiać.

Powiedz gdzie i kiedy - napisał Carson.

Może o dziewiątej w kantynie? Tam się spotkamy.

Zastanawiając się, o co Singerowi chodzi, Carson spróbował wylogować się z systemu. Komputer odpowiedział:

Pozostała jedna nowa, nieodczytana wiadomość. Czy chcesz ją teraz przeczytać? (T/N)

Carson przełączył się na pocztę elektroniczną GeneDyne i wywołał zawartość skrzynki. To prawdopodobnie wcześniejsza wiadomość od Singera niepokojącego się, gdzie jestem - pomyślał.

Cześć, Guy. Cieszę się, że jesteś już na miejscu i pracujesz.

Podoba mi się twój plan pracy. Zapowiada sukces. Tylko pamiętaj o czymś: Frank Burt był najlepszym naukowcem, jakiego znałem, lecz ten problem go pokonać. Dlatego nie olewaj mnie, dobrze? Wiem, że uporasz się z tym dla GeneDyne, Guy. Brent

Kilka minut po dziewiątej Carson nalał sobie jima beama i wyszedł przez rozsuwane drzwi na znajdujący się za nimi taras widokowy. Wczesnym wieczorem kantyna, z jej miłą kawiarnianą atmosferą oraz stolami do gry w tryktraka i szachy, była ulubionym miejscem spotkań pracowników laboratorium. Teraz jednak nie było tu prawie nikogo. Wiatr ustał i dzienny skwar zelżał. Na tarasie było pusto i

Carson za-jął miejsce z daleka od białej ściany budynku. Delektował się gorzka-wym smakiem burbona bez lodu, do jakiego przyzwyczał się na ranczu, popijając wieczorami przy ognisku z piersiówki - i patrzył, jak słońce znika za odległymi górami Fra Cristóbal. Na północnym wschodzie i na wschodzie niebo wciąż miało różowoperłową barwę.

Odchylił głowę do tyłu i na chwilę zamknął oczy, wdychając ostry zapach pustynnego powietrza, ochłodzonego po zachodzie słońca: mieszaninę zapachu krzewów kreozotowych, pyłu i soli. Zanim tu przyjechał, wyczuwał tę woń jedynie po deszczu. Ponownie otworzył oczy i spojrzał na ogromną kopułę nocnego nieba, już usianego gwiazdami. Na południu widniał jasny i wyraźny Skorpion, nad jego głową wisiał Łabędź, a nad tym wszystkim biegła łukiem Droga Mleczna.

Woń pustyni i widok znajomych gwiazd przywołały setki wspomnień. W zadumie sączył drinka.

Odpędził je od siebie, słysząc odgłos kroków. Dobiegały z jednego z przejść za kantyną i Carson był pewien, że należą do Singera nadchodzącego z części mieszkalnej. Tymczasem postać, która wyłoniła się z mroku, nie była niska i przysadzista, ale miała dobrze ponad metr osiemdziesiąt. Mężczyzna był ubrany w nienagannie skrojony garnitur, a na jego głowie, która w świetle lamp sodowych wydawała się stalowosiwa, tkwił tropikalny kask. Upięte w kucyk włosy sięgały aż do łopatek. Jeśli nawet zauważył Carsona, niczym tego nie okazał. Minął taras i poszedł w kierunku wyłożonego wapiennymi płytami główne-go placu.

Carson usłyszał jakieś stuknięcie za plecami, a potem głos Singera:

- Piękny zachód słońca, prawda? Chociaż nienawidzę dni na pustyni, noce prawie mi je wynagradzają. Prawie.

Trzymając w dłoni kubek parującej kawy, podszedł do Carsona.

- Kto to? - Guy ruchem głowy wskazał oddalającą się postać. Singer spojrzał w noc i zmarszczył brwi.

- Nye, szef służby bezpieczeństwa - wyjaśnił.

- A więc to jest Nye - mruknął Carson. - Co z nim? Chcę powiedzieć, że w tym garniturze i hełmie tropikalnym wygląda trochę dziwnie.

- Dziwnie to nieodpowiednie słowo. Uważam, że wygląda śmiesznie. Ale radzę ci, żebyś na niego uważał. - Singer przysunął sobie krzesło i usiadł. - Kiedyś pracował dla Windermere Nuclear Complex w Wielkiej Brytanii. Pamiętasz tamten wypadek? Mówiono o sabotażu od wewnątrz i z Nye'a, jako szefa służby bezpieczeństwa, zrobiono kozła ofiarnego.

Potem nikt nie chciał go zatrudnić i musiał znaleźć sobie pracę gdzieś na środkowym wschodzie. Jednak Brent ma własne metody dobierania sobie ludzi. Doszedł do wniosku, że ten człowiek będzie szczególnie ostrożny po tym, co mu się przydarzyło. Najpierw zatrudnił go w brytyjskiej filii GeneDyne, ale facet okazał się takim fanatykiem bezpieczeństwa, że szybko przeniósł go tutaj. Nye pracuje tu od początku. Nigdy nie opuszcza ośrodka. No, niezupełnie. W weekendy często wyrusza na długie wycieczki na pustynię. Czasem nawet zostaje na noc, czego nikomu innemu nie wolno robić. Scopes oczywiście wie o tym, ale najwidoczniej pozwala mu na to.

- Może podoba mu się pustynia w nocy - mruknął Carson.

- Szczerze mówiąc, na jego widok dostaję dreszczy. Wszyscy pracownicy ochrony boją się go jak ognia. Oprócz Mike'a Marra, jego zastępcy. Ci dwaj chyba się przyjaźnią. Podejrzewam jednak, że taki ośrodek jak ten potrzebuje faceta tego rodzaju na stanowisku szefa ochrony

Przez chwilę patrzył na Carsona.

- Zdaje się, że naprawdę rozwścieczyłeś Rosalind Brandon-Smith. Carson zerknął na niego. Dyrektor znów się uśmiechał i w oczach miał wesoły błysk.

- Nacisnąłem niewłaściwy przycisk mojego interkomu - wyjaśnił Carson.

- Tak myślałem. Złożyła skargę. Carson wyprostował się.

- Skargę?

- Nie przejmuj się - powiedział Singer, ścisząc głos. - Właśnie dołączyłeś do klubu, do którego należę nie tylko ja, ale praktycznie wszyscy. Jednak przepisy wymagają, żebyśmy o tym porozmawiali. Musiałem wezwać cię na dywanik. Napijesz się jeszcze? - Mrugnął do Carsona. - Powinieneś wiedzieć, że Brent bardzo sobie ceni koleżeńską atmosferę w zespole. Może będziesz musiał przeprosić.

- Ja? - Carson poczuł, że znów go ponosi. - To ja powinienem złożyć zażalenie.

Singer roześmiał się i podniósł rękę.

- Zrób swoje, a będziesz mógł pisać tyle skarg, ile zechcesz. - Wstał i podszedł do balustrady balkonu. - Pewnie do tej pory przejrzałeś już dziennik laboratoryjny Burta?

- Zrobiłem to wczoraj rano - odparł Carson. - Ciekawa lektura.

- Istotnie - potwierdził Singer. - Chociaż z tragicznym zakończeniem. Mam jednak nadzieję, że dała ci pewne pojęcie o tym,

kim był ten człowiek. Byliśmy przyjaciółmi. Kiedy stąd odszedł, przeczytałem te zapiski, usiłując zrozumieć, co się stało.

Carson słyszał w jego głosie szczerą smutek. Singer upił łyk kawy i spojrzał na bezmiar pustyni.

- To nie jest zwyczajne miejsce, my nie jesteśmy zwykłymi ludźmi, a to nie jest zwyczajny projekt. Mamy tu światowej sławy genetyków pracujących nad projektem badawczym o niezwyklej wartości naukowej. Można by pomyśleć, że wszyscy będą tu myśleli tylko o wzniosłych sprawach. Nic podobnego. Nie uwierzyłbyś, jacy potrafią być małostkowi. Burt zdołał się wznieść ponad to. Mam nadzieję, że tobie też się to uda.

- Zrobię, co będę mógł.

Carson pomyślał o swoim krewkim temperamentem. Jeśli ma przetrwać w Mount Dragon, powinien go jakoś utemperować. Już narobił sobie dwóch wrogów, nawet się o to nie starając.

- Miałeś wieści od Brenta? - zapytał Singer.

Carson zawahał się, nie wiedząc, czy dyrektor widział przysłany przez Scopesa pocztą elektroniczną list.

- Tak - odparł.

- Czego chciał?

- Dał mi kilka słów zachęty i ostrzegł mnie, że bym go nie olewał.

- Cały Brent. Jest prezesem firmy, a X-FLU to jego ukochany projekt. Mam nadzieję, że lubisz pracować w szklanym pomieszczeniu.

- Singer upił kolejny łyk kawy. - A problem z otoczką proteinową?

- Chyba już załatwiony.

Dyrektor odwrócił się i obrzucił go badawczym spojrzeniem.

- To znaczy?

Carson wstał i dołączył do niego przy balustradzie.

- No cóż, przez całe wczorajsze popołudnie wyciągałem wnioski z notatek doktora Burt. Kiedy oddzieliłem dane od jego komentarzy, łatwo mi było zanalizować postępy prowadzonych przez niego prac. Zanim utknął w miejscu, był bardzo bliski sukcesu. Odkrył aktywne receptory wirusa X-FLU, które czynią zarazki śmiertelnie groźnymi, a także kombinację genów odpowiadającą za powstanie polipeptydów powodujących nadprodukcję płynu mózgowo-rdzeniowego. Wykonał całą najgorszą robotę. Pisząc pracę doktorską, opracowałem metodę rekombinacji DNA wykorzystującą pewną długość fali promieniowania ultrafioletowego. Musimy tylko usunąć tę śmiertelność sekwencji genów specjalnym enzymem aktywowanym przez ultrafiolet,

zrekombinować DNA i gotowe. Wszystkie następne pokolenia wirusa będą nieszkodliwe.

- Ale jeszcze tego nie zrobiłeś? - zapytał Singer.

- Robiłem to co najmniej sto razy Oczywiście nie z tym wirusem, ale z innymi. Doktor Burt nie znał tej metody. Stosował wcześniejszą, nieco prymitywniejszą technikę rozdzielania genów.

- Kto o tym wie? - zapytał znów Singer.

- Nikt. Dopiero naszkicowałem plan pracy i jeszcze tego nie sprawdziłem. Nie widzę jednak powodu, żeby to miało się nie udać.

Dyrektor gapił się na niego oszołomiony Potem nagle podszedł, chwycił obiema rękami dłoń Carsona i uścisnął ją entuzjastycznie.

- To niebывałe! - powiedział podekscytowany. - Gratuluję. Carson cofnął się i oparł o balustradę nieco zmieszany.

- Jeszcze na to za wcześnie - mruknął.

Pomyślał, że być może powinien powstrzymać się od takich optymistycznych wypowiedzi, ale było już za późno. Singer oświadczył z entuzjazmem:

- Natychmiast wyślę emaila do Brenta i przekażę mu tę wiadomość!

Carson otworzył usta, żeby zaprotestować, jednak zaraz je zamknął. Scopes ostrzegł, żeby go nie olewał. Poza tym był przekonany, że jego plan się powiedzie. Podczas przygotowania pracy doktorskiej robił to niezliczenie wiele razy. A entuzjazm Singera był bardzo miłą odmianą po sarkazmie Brandon-Smith i szorstkim profesjonalizmie de Vaki. Carson stwierdził, że lubi tego łysawego, grubego, dobronudszego profesora z Kalifornii. Singer był prostolinijnym człowiekiem, antytezą biurokraty Carson pociągnął łyk burbona i rozejrzał się wokół. Oczy mu rozbłysły na widok starej gitary którą dyrektor wziął ze sobą.

- Grasz? - zapytał.

- Próbuje - odparł Singer. - Przeważnie tradycyjne kawałki.

- Dlatego pytałeś o moje bandzo - domyślił się Carson. - Występowałem trochę w kawiarniach Cambridge. Jestem kiepski, ale bawi mnie katowanie świętych utworów Scruggsa, Reno, Keitha i innych bogów bandzo.

- Niech mnie licho! - zawołał Singer z szerokim uśmiechem. - Ja też lubię wczesne utwory Flatta i Scruggsa. No wiesz, *Shuckinthe Corn*, *Foggy Mountain Special*, takie rzeczy. Musimy zmasakrować kilka z nich razem. Czasem siadam tu o zachodzie słońca i gram, co mi przyjdzie do głowy. Oczywiście ku zgromieniu wszystkich obecnych. To jeden z

powodów, dla których w kantine jest teraz tak pusto.

Obaj wstali. Zapadła noc i powietrze się ochłodziło. Za balustradą balkonu Carson słyszał dobiegające z kompleksu mieszkalnego odgłosy: kroki, urywki rozmów i śmiechy

Weszli do kantyny, kokonu światła i ciepła wśród ciemnej pustynnej nocy.

Charles Levine podjechał pod hotel Ritz Carlton. Jego ford festiva z 1980 roku strzelił gaźnikiem, gdy zatrzymywał się przed szerokimi stopniami wejścia. Portier podszedł irytująco wolno, nie ukrywając, że uważa samochód - i jego posiadacza - za w zdecydowanie złym guście.

Nie zważając na to, Charles Levine wysiadł i przystanął na wyłożonych czerwonym chodnikami stopniach, żeby strzepnąć psią sierść ze smokingu. Pies zdechł dwa miesiące temu, lecz w samochodzie wciąż było pełno jego włosów.

Levine ruszył po schodach. Inny portier otworzył drzwi z poślaczanego szkła, zza których napłynęły ciche dźwięki kwartetu smyczkowego. Levine wszedł i zatrzymał się na chwilę w jasnym świetle hotelowego holu, mrugając oczami. Potem otoczyła go chmara reporterów i ze wszystkich stron zaczęły błyskać flesze.

- Co się dzieje? - zapytał zdziwiony Levine.

Toni Wheeler, rzeczniczka fundacji, przecisnęła się do niego. Odepchnąwszy jakiegoś reportera, wzięła Levine'a pod rękę. Miała mocno wytapirowane włosy i dopasowany kostium. Wyglądała bardzo profesjonalnie: opanowana, godna, bezlitosna.

- Przepraszam, Charles - powiedziała pospiesznie. - Chcieliśmy cię zawiadomić, ale nigdzie nie mogliśmy cię znaleźć. Mamy bardzo ważne wiadomości. GeneDyne...

Levine dostrzegł znajomego reportera i rozpromienił się.

- Dobry wieczór, Artie! - zawołał, wymykając się Wheeler i podnosząc rękę. - Cieszę się, że czwarta siła jest tak aktywna. Po kolei, proszę! Toni, powiedz im, żeby na chwilę przyciszyli muzykę.

- Charles - nalegała Wheeler - posłuchaj mnie, proszę. Właśnie dowiedziałam się, że...

Zagłuszył ją chór zadawanych przez reporterów pytań.

- Profesorze Levine - zaczął jeden - czy to prawda...

- Sam wybiorę pytających - przerwał mu Levine. - Teraz wszyscy uciszcie się. Pani - oświadczył, wskazując stojącą z przodu kobietę. - Pani zacznie.

- Profesorze Levine - powiedziała reporterka - czy mógłby pan

szerzej naświetlić oskarżenia przeciw GeneDyne, wysunięte w ostatnim numerze „Genetic Policy”? Mówi się, że żywi pan osobistą urazę do Brentwooda Scopesa...

- Chwileczkę - wtrąciła się Wheeler. - Ta konferencja prasowa ma dotyczyć nagrody Holocaust Memorial, którą odbierze profesor Levine, a nie kontrowersji wokół poczynań GeneDyne.

- Profesorze, proszę! - zawołała reporterka, nie zwracając na nią uwagi.

Levine obrócił się do innego dziennikarza.

- Stephen, widzę, że zgoliłeś swoje wspaniałe włosy. To była estetyczna pomyłka.

W tłumie rozległy się głośne śmiechy.

- Żona ich nie lubiła, profesorze. Łaskotały ją...

- Już dosyć, rozumiem.

Znów śmiechy. Levine podniósł rękę.

- Pytanie?

- Scopes nazwał pana, cytując: „niebezpiecznym fanatykiem, jednoosobową inkwizycją walczącą z medycznym cudem inżynierii genetycznej”. Czy może pan to jakoś skomentować?

Levine uśmiechnął się.

- Tak. Pan Scopes zawsze umiał używać słów. „Słowa pełne treści i gniewu...”. Wszyscy wiecie, jak kończy się ten cytat.

97

- Mówił też, że usiłuje pan pozbawić niezliczone rzesze ludzi medycznych korzyści płynących z tej nowej gałęzi wiedzy. Na przykład lekarstwa na chorobę Tay-Sachsa.

Levine ponownie podniósł rękę.

- To jeszcze poważniejsze oskarżenie. Nie jestem przeciwnikiem inżynierii genetycznej. Natomiast sprzeciwiam się dokonywaniu genetycznych zmian w komórkach rozrodczych. Wiecie, że ludzki organizm składa się z dwóch rodzajów komórek: somatycznych i rozrodczych. Somatyczne umierają wraz z ciałem. Komórki rozrodcze, reprodukcyjne - żyją wiecznie.

- Nie jestem pewien, czy rozumiem...

- Proszę pozwolić mi skończyć. Jeśli za pomocą inżynierii genetycznej zmienimy DNA somatycznych komórek czyjegoś ciała, ta zmiana przeminie wraz z nim. Jeżeli jednak zmienimy DNA czyichś komórek rozrodczych - czyli komórkę jajową lub plemniki - dzieci tego osobnika

odziedziczą tę zmianę. W ten sposób na zawsze zmienimy DNA człowieka, bo komórki rozrodcze są przekazywane następnym pokoleniom. To próba ingerowania w istotę tego, co czyni nas ludźmi. A raporty wskazują, że właśnie takie próby są podejmowane przez GeneDyne w ośrodku Mount Dragon.

- Profesorze, nadal nie wiem, czy rozumiem, dlaczego byłoby to takie złe...

Levine podniósł obie ręce, mocno przekrzywiając przy tym swój krawat.

- Przecież to nic innego jak eugenika Hitlera! Dzisiejszego wieczoru mam odebrać nagrodę za mój wkład w podtrzymanie pamięci o holocauście. Urodziłem się w obozie koncentracyjnym. Mój ojciec padł ofiarą okrutnych eksperymentów Mengelego. Znam z pierwszej ręki niebezpieczeństwa związane z niewłaściwym zastosowaniem nauki. Usiłuję nie dopuścić do tego, abyście wy też je poznali. A lekarstwo na chorobę Tay-Sachsa czy hemofilię to zupełnie inna sprawa. GeneDyne posuwa się zbyt daleko. Usiłuje „poprawić” człowieka. Chce znaleźć sposób, aby uczynić nas mądrzejszymi, wyższymi, przy-

98

stojniejszymi. Nie widzicie w tym niczego złego? Wkraczamy na obszary, na jakie człowiek nie powinien się zapuszczać.

- Profesorze! Levine zachichotał.

- Fred, chyba lepiej pozwolę ci zadać to pytanie, zanim naciągniesz sobie ścięgna w ramieniu.

- Doktorze Levine, twierdzi pan, że rząd w niedostatecznym stopniu kontroluje badania z dziedziny inżynierii genetycznej. A co z FDA?

Levine niecierpliwie zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

- FDA nie aprobuje nawet większości produktów żywnościowych otrzymywanych metodami inżynierii genetycznej. Na półkach waszych sklepów spożywczych są pomidory, mleko, truskawki i - oczywiście - płatki ze zboża X-RUST, wszystkie genetycznie zmienione. Jak sądzicie, na ile dokładnie zostały zbadane? W medycynie nie jest wcale lepiej. Takie firmy, jak GeneDyne, praktycznie robią, co chcą. Koncerny farmaceutyczne za pomocą inżynierii genetycznej wprowadzają ludzkie geny świniom, szczurom, a nawet bakteriom! Mieszają DNA roślin i zwierząt, tworząc nowe, monstrualne formy życia. W każdej chwili mogą przypadkowo - lub celowo - stworzyć patogen, który zetrze ludzką rasę z

powierzchni ziemi. Inżynieria genetyczna jest zdecydowanie najniebezpieczniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek wynalazł człowiek. O wiele groźniejszą niż broń jądrowa. I nikt nie zwraca na to uwagi.

Reportrzy znów podnieśli wrzawę, więc Levine wskazał kolejnego dziennikarza stojącego tuż za pierwszym rzędem.

- Tylko jedno pytanie, Murray Podobał mi się twój artykuł o NASA w ostatnim numerze „Globe”.

- Chcę zadać pytanie, na które z pewnością wszyscy pragnęlibyśmy znać odpowiedź. Jak pan się czuje?

- Z czym?

- Z tym, że GeneDyne skarży pana i Harvard o dwieście milionów odszkodowania i domaga się zlikwidowania pańskiej fundacji.

99

Zapadła nagła, krótka cisza. Levine zamrugał oczami i wszyscy zrozumieli, że nic o tym nie wiedział.

- Dwieście milionów? - powtórzył słabym głosem. Toni Wheeler przysunęła się do niego.

- Doktorze Levine - szepnęła. - Właśnie o tym chciałam... Levine obrzucił ją szybkim spojrzeniem i uspokajająco położył dłoń na jej ramieniu.

- Może już czas, żeby wszyscy poznali prawdę - powiedział cicho. Potem znów zwrócił się do tłumu: - Pozwólcie, że opowiem wam o kilku nieznanym nikomu faktach dotyczących Brenta Scopesa i Gene-Dyne. Zapewne wszyscy wiecie, w jaki sposób stworzył swoje farmaceutyczne imperium. On i ja razem studiowaliśmy na Uniwersytecie Kalifornijskim w Irvine. Byliśmy... - urwał, ale po chwili dokończył: - ... dobrymi przyjaciółmi. Pewnej wiosny Scopes wyruszył na samotną wędrowkę przez kaniony parku narodowego. Wrócił na uczelnię z dzbankiem ziaren, które znalazł w ruinach puebla Anasazi. Udało mu się wyhodować z nich rośliny. Potem odkrył, że te prehistoryczne ziarna są odporne na groźną chorobę zwaną rdzą zbożową. Udało mu się wyizolować gen odporności i wprowadzić go do współczesnego zboża, które nazwał X-RUST. To znana historia i z pewnością czytaliście o niej w „Forbes”. Jednak nie jest to cała historia. Widzicie, Brent Scopes nie zrobił tego sam. Dokonaliśmy tego razem. Pomogłem mu wyizolować ten gen i stworzyć współczesną hybrydę. To było nasze wspólne przedsięwzięcie i razem je opatentowaliśmy. Potem jednak poróżniliśmy się. Brent chciał wykorzystać patent, zbić na nim pieniądze. Natomiast ja chciałem oddać

światu nasz wynalazek za darmo. My... no cóż, wystarczy powiedzieć, że Scopes dopiął swego.

- W jaki sposób? - zapytał ktoś.

- To nieistotne - odparł szorstko Levine. - Rzecz w tym, że Scopes rzucił uczelnię i wykorzystał tantiemy do stworzenia firmy GeneDyne. Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego - z firmą, pieniędzmi, z ni-czym. Zawsze wydawało mi się to wyzyskiem. Jednak za niecałe trzy miesiące patent na X-RUST wygaśnie. Aby GeneDyne mogła go odnowić, potrzebne są podpisy dwóch ludzi: mój i Brenta Scopesa. A ja nie podpiszę wniosku o jego odnowienie. Żadne łapówki ani groźby nie zmienią mojego zdania. Kiedy patent wygaśnie, odporna na rdzę zbożową pszenica przejdzie na publiczną własność. Stanie się własnością świata. Ogromne sumy, jakie GeneDyne zgarnia co roku, przestaną napływać. Scopes o tym wie, ale nie jestem pewien, czy giełda zdaje sobie z tego sprawę. Może nadszedł czas, aby analitycy wnikliwiej przyjrżeli się wartości akcji GeneDyne. W każdym razie uważam, iż to oskarżenie wcale nie jest związane z moim ostatnim artykułem opublikowanym w „Genetic Policy”. W ten sposób Brent usiłuje wywrzeć na mnie nacisk, żebym podpisał wniosek o odnowienie patentu.

Zapadła krótka cisza, a potem wybuchła wrzawa.

- Doktorze Levine! - przekrzyczał ją jeden głos. - Nadal nie powiedział pan, co zamierza zrobić z tym oskarżeniem.

Levine przez chwilę nie odpowiadał. Potem otworzył usta i zaczął się śmiać głośnym, szczerym śmiechem, który przetoczył się po ho-lu. W końcu z rozbawieniem potrząsnął głową, wyjął chusteczkę i wy-tarł nos.

- Jaka jest pańska odpowiedź, profesorze? - nalegał reporter.

- Właśnie jej udzieliłem - odparł Levine, chowając chusteczkę. -A teraz chyba mam do odebrania nagrodę.

Z uśmiechem pomachał dziennikarzom na pożegnanie, wziął Toni Wheeler pod ramię i ruszył przez hol ku otwartym drzwiom sali bankietowej.

Carson stał przed osłoniętym pleksi stołem w laboratorium C. Pomieszczenie było wąskie i ciasne, światło niemal boleśnie jaskrawe. Szybko poznawał niezliczone niedogodności, mniejsze lub większe, związane z pracą w niebezpiecznym biologicznie środowisku: otarcia powstające w miejscach, gdzie wewnątrz skafandra dotykało skóry, niemożność wygodnego usadowienia się na krześle, skurcze mięśni po długich godzinach ostrożnego poruszania się.

Najgorsza była narastająca klaustrofobia. Zawsze miał do niej

skłon-ności - z pewnością był to skutek wychowania na rozległej pustynnej przestrzeni - i nie mógł znieść zamknięcia w ciasnym pomieszczeniu. Wciąż powracało wspomnienie pierwszej okropnej jazdy windą w szpitalu w Sacramento oraz trzech godzin, jakie kiedyś spędził w wagonie zepsutego metra pod Boylston Street. Przeprowadzane regularnie w Wylęgarni ćwiczenia alarmowe przypominały mu o zagrożeniu, tak samo jak częste wzmianki o „zanieczyszczeniu” - straszliwym wypadku, jaki kiedyś się zdarzył i mógł skazić całe laboratorium oraz wszystkich, którzy w nim pracowali. Ale już niedługo będzie mógł opuścić Wylęgarnię. Rzecz jasna, jeśli zastosowana metoda rozdziału genów przyniesie rezultaty.

Posługiwał się nią już wielokrotnie w MIT, tym razem jednak było inaczej. To nie był eksperyment potrzebny do pracy doktorskiej. Uczestniczył w badaniach mogących ocalić niewyobrażalnie wiele istnień ludzkich i być może zdobyć Nagrodę Nobla. W dodatku miał dostęp do znacznie lepszej aparatury niż ta, jaka znajdowała się w najlepiej wyposażonych laboratoriach MIT.

To powinno być łatwe. Bułka z masłem.

Rzucił kilka słów de Vaca, która umieściła próbkę w pleksiglasowej komorze. Na dnie próbki wykrystalizowany wirus X-FLU tworzył biały osad. Pomimo zaostrzonych zabezpieczeń utrudniających każdy ruch Carson nadal z oporami przyjmował do wiadomości, że ta cienka warstewka białego proszku jest śmiertelnie niebezpieczna. Wsunąwszy ręce pod pokrywę przez gumowe rękawy, wziął strzykawkę, napełnił ją roztworem soli fizjologicznej i delikatnie potrząsnął próbką. Wykrystalizowana masa popękała i rozpuściła się, tworząc mętny roztwór żywych wirusów.

- Popatrz - powiedział do de Vaki. - To uczyni nas wszystkich sławnymi.

- Taa - mruknęła. - Jeśli wcześniej nas nie zabije.

- Śmieszne. To najbezpieczniejsze laboratorium na świecie. De Vaca potrząsnęła głową.

- Mam złe przeczucia, pracując z tak niebezpiecznym wirusem. Wypadki zdarzają się wszędzie.

- Na przykład?

- Na przykład co by było, gdyby Burt stał się agresywny, zamiast wpaść w depresję? Mógł ukraść pojemnik tego świństwa i... No cóż, wtedy nie siedzielibyśmy tu dzisiaj.

Carson spoglądał na nią przez chwilę, zastanawiając się nad odpo-

wiedzią, ale powstrzymał się i zmilczał. Szybko nauczył się, że spory z de Vacą to strata czasu. Odłączył swój przewód powietrzny

- Zanieśmy to do zoo.

Zawiadomił przez interkom technika i Fillsona - opiekuna zwierząt, po czym ruszyli w powolną podróż przez wąski korytarz.

Fillson czekał na nich przed zoo. Ponuro spojrział przez wizjer na Carsona, jakby rozzłoszczony tym, że każą mu pracować. Gdy drzwi się otworzyły, małpy zaczęły wrzeszczeć żałośnie i bębnić łapami o klatki, ściskając włochatymi palcami gęste oczka siatki. Fillson z la-ską w ręku przemaszerował wzdł klatek, tłukąc po wystających palcach. Wrzask przybrał na sile, lecz uderzenia laską przyniosły pożądan-y skutek i palce znikły.

- Och - jęknęła de Vaca.

Fillson przystanął i popatrzył na nią.

- Słucham?

- Powiedziałam „och”. Bił je pan bardzo mocno. Aha - pomyślał Carson. - Zaczyna się.

Fillson spoglądał na nią jeszcze przez chwilę, lekko poruszając obwisłą dolną wargą za szybką wizjera. Potem odwrócił się, sięgnął do szafki i wyjął ten sam spryskiwacz, którym posył się podczas pierwszej wizyty Carsona. Podeszedł do jednej z klatek i skierował strumień aerozolu na siedzące w niej zwierzę. Odczekał kilka minut, aż środek uspokajający zacznie działać, po czym otworzył drzwi klatki i ostrożnie wyjął jej uspiętego mieszkańca.

Carson przysunął się i spojrział na zwierzę. Małpa była młodą samicą. Nagle pisnęła i spojrzała na Carsona. Jej przerażone ślepia były na pół przymknięte, sparaliżowane przez narkotyki. Fillson przymocował ją do niewielkich noszy i przetoczył do sąsiedniego pomieszczenia. Carson skinął na de Vacę, która wręczyła technikowi próbkę, zamkniętą we wstrząsoodpornym mylarowym pojemniku.

- Dziesięć mililitrów, jak zwykle? - zapytał technik.

- Tak - odparł Carson. Po raz pierwszy nadzorował szczepienie i czuł dziwną mieszaninę oczekiwania, żalu oraz wyrzutów sumienia. Przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia i przyglądał się, jak technik wygala skrawek skóry na przedramieniu zwierzęcia, a potem energicznie przemywa ją betadyną. Szympanica sennie obserwowała te czynności. Po chwili odwróciła się i zamrużyła do Carsona. Odwrócił wzrok.

Podeszła do nich cicho Rosalind Brandon-Smith. Posłała Fillsonowi szeroki uśmiech, a potem z kamiennym wyrazem twarzy spojrzała na

Carsona. Do jej obowiązków należało obserwowanie zaszczeplonych zwierząt i wykonywanie sekcji tych, które zabił obrzęk. Carson wiedział, że wszystkie dotychczas zaszczeplone szympansy padły.

Szympanica nawet nie drgnęła, gdy igła wbiła się w jej ciało.

- Wiesz, że musisz zaszczeplić dwa szympansy - Carson usłyszał głos Brandon-Smith. - Samca i samicę.

Nie patrząc na nią, kiwnął głową. Fillson odtoczył szympancię z po-wrotem do zoo i szybko wrócił z samcem. Był jeszcze mniejszy od swo-jej poprzedniczki. Miał kilkanaście miesięcy i sowa, ruchliwą twarz.

- Jezu - westchnęła de Vaca. - Serce się ściska, prawda? Fillson obrzucił ją ostrym spojrzeniem.

- Nie należy antropomorfizować. To tylko zwierzęta.

- Tylko zwierzęta - mruknęła de Vaca. - Tak jak i my, panie Fillson.

- Te dwa przeżyją - oświadczył Carson. - Jestem tego pewien.

- Przykro mi cię rozczarować, Carson - prychnęła Brandon-Smith.

- Nawet jeśli twój zneutralizowany wirus okaże się skuteczny, zostaną piona i poddane sekcji.

Założyła ramiona na piersi i spojrzała na Fillsona, który obdarzył ją uśmiechem. Carson zerknął na de Vacę. Zauważył ciemny rumieniec na jej policzkach - aż nazbyt znajomy mu widok. Jednak nie odezwała się. Technik wbił igłę w ramię szympansa i wstrzyknął mu dziesięć mililitrów zawiesiny wirusa X-FLU. Wyjął igłę, przycisnął zwitek waty do miejsca nakłucia, a potem przykleił go plastrem.

- Kiedy będziemy coś wiedzieli? - zapytał Carson.

- Pierwsze objawy mogą wystąpić po dwóch tygodniach -powiedziała Brandon-Smith. - Chociaż często pojawiają się szybciej. Co dwanaście godzin pobieramy próbki krwi i zwykle w ciągu tygodnia wytwarzają się przeciwciała. Zarażone szympansy natychmiast przenoszone są do objętego kwarantanną pomieszczenia za zoo.

Carson kiwnął głową.

- Będziecie mnie informować? - zapytał.

- Pewnie - odparła Brandon-Smith. - Jednak na twoim miejscu nie czekałabym na rezultaty. Założyłabym, że się nie udało, i szukałabym dalej. W przeciwnym razie stracisz dużo czasu.

Opuściła pokój. Carson i de Vaca odłączyli przewody powietrzne, wyszli za nią przez służbę powietrzną i wrócili do swojej pracowni.

- Boże, co to za cholera - stwierdziła de Vaca, gdy znaleźli się w laboratorium C.

- O kim z nich mówisz? - spytał Carson. Widok zarażanego wiru-

sem zwierzęcia i wysłuchiwanie sarkastycznych uwag Brandon-Smith wyraźnie go zirytował.

- Nie wiem, czy mamy prawo tak traktować zwierzęta - powiedziała de Vaca. - Zastanawiam się też, czy te maleńkie klatki spełniają przepisy.

- Nie jest to przyjemne - mruknął Carson - ale w ten sposób możemy uratować miliony istnień. To mniejsze zło.

- Zastanawiam się, czy Scopes naprawdę jest zainteresowany ratowaniem jakichkolwiek istnień. Mam wrażenie, że zależy mu głównie na forsie. Kupie forsy.

Potarła okryte rękawicami palce. Carson nic nie odpowiedział. Jeśli chciała rozmawiać w ten sposób na monitorowanym kanale i stracić pracę, to jej sprawa. Może jego następna asystentka będzie przyjaźniej nastawiona do otoczenia.

Wywołał obraz cząsteczki polipeptydu i obrócił ją na ekranie komputera, usiłując wymyślić jakiś inny sposób jej neutralizacji. Jednak trudno mu było się nad tym skupić, ponieważ był przekonany, że już rozwiązał ten problem.

De Yaca otworzyła autoklaw i zaczęła wyjmować szklane zlewki i probówki, po czym ustawiła je na drugim końcu laboratorium. Carson dokładniej przyjrzał się trzeciorzędowej budowie polipeptydu, złożonego z tysięcy aminokwasów. Gdybym zdołał rozerwać te wiązania siarkowe - pomyślał - moglibyśmy po prostu oddzielić aktywną boczną grupę i unieszkodliwić wirusa. Jednak Burt na pewno też o tym pomyślał. Carson wyczyścił ekran i przywołał wyniki dyfrakcyjnej analizy rentgenowskiej otoczki proteinowej. Nic więcej nie pozostawało do zrobienia. Przez chwilę pozwolił sobie pomarzyć o wyrazach uznania, o awansie i podziwie Scopesa.

- Scopes sprytnie postąpił - ciągnęła de Vaca - dając nam wszystkim udziały w firmie. To uspokaja niezadowolonych. Ten człowiek gra na ludzkiej chciwości. Każdy chce być bogaty. Każda międzynarodowa korporacja, taka jak ta...

Gwałtownie wyrwany ze swoich snów na jawie, Carson zmarszczył brwi.

- Jeśli jesteś temu tak przeciwna - warknął do interkomu - to dlaczego tu pracujesz, do diabła?

- Po pierwsze, nie wiedziałam, co mnie czeka. Miałam być przydzielona do sekcji medycznej, ale po odejściu asystentki Burta przeniesiono mnie tutaj. Poza tym odkładam pieniądze na klinikę zdrowia

psychicznego, którą zamierzam otworzyć w Albuquerque. W *banio*.

Położyła nacisk na ostatnie słowo, wymawiając podwójne „r” w sposób typowy dla Meksykanów, jakby popisywała się swoją dwujęzycznością, co jeszcze bardziej zirytowało Carsona. Sam całkiem niezłe mówił po hiszpańsku, ale nie zamierzał się do tego przyznawać, nie chciał dawać jej okazji do drwin.

- A co ty wiesz o zdrowiu psychicznym? - zapytał.

- Przez dwa lata studiowałam medycynę - odparła de Vaca. -Chciałam zostać psychiatrą.

- I co się stało?

- Musiałam przerwać studia. Nie wyrabiałam finansowo. Carson zastanawiał się nad tym przez chwilę. Czas przyłapać tę wiedzmę na czymś.

- Bzdura - oświadczył. Zapadła pełna napięcia cisza.

- Bzdura, *cabróni**. Podeszła bliżej.

- Tak, bzdura. Z takim nazwiskiem jak twoje powinnaś otrzymać stypendium w pełnej wysokości. Słyszałaś kiedyś o funduszach dla mniejszości etnicznych?

Po długiej chwili milczenia de Vaca warknęła wściekle:

- Przepchnęłam męża przez studia medyczne, a kiedy przyszła moja kolej, rozwiódł się ze mną, *canalla*. Straciłam więcej niż semestr, a na medycynie to... - urwała. - Nie wiem, dlaczego próbuję się przed tobą tłumaczyć.

Carson milczał, już żałując, że ponownie dał się wciągnąć w kłótnię.

- Owszem, mogłam dostać stypendium, nie za nazwisko, ale za to, że uzyskałam piętnaście punktów ze wszystkich trzech części egzami-nu. Dupek.

Carson nie wierzył w tak doskonały wynik, ale jakoś zdołał zachować milczenie.

- Uważasz mnie za jakąś głupią *chica*, która potrzebuje hiszpańskiego nazwiska, żeby dostać się na medycynę?

Kurwa, pomyślał Carson. Po co, do cholery, wdałem się w tę kłótnię? Odwrócił się do terminalu w nadziei, że de Vaca da mu spokój, jeśli ją zignoruje. Nagle poczuł, jak jej dłoń zaciska się na jego skafandrze.

- Odpowiedz mi, *cabrón* - zażądała.

Carson zaczął podnosić się z fotela, bo coraz mocniej ścisnęła jego kombinezon. Nagle w progu pojawiła się zwałista postać Brandon--

Smith, a w interkombie rozległ się jej chrapliwy śmiech.

- Przepraszam, że przerywam wam tę czułą pogawędkę, ale chciałam cię zawiadomić, że szympansy A-22 i Z-9 są już z powrotem w klatkach, odzyskały przytomność i wyglądają na zdrowe. Przynajmniej na razie.

Gwałtownie odwróciła się i odmaszerowała. De Vaca otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Potem puściła jego skafander, cofnęła się i uśmiechnęła.

- Przez chwilę wyglądałeś na zaniepokojonego - powiedziała. Zmierzył ją spojrzeniem, powtarzając sobie w duchu, że drażliwość i złośliwość pracujących w Wylęgarni ludzi to skutek stresującej pra-cy. Zaczynał rozumieć, co doprowadziło Burta do szaleństwa. Jeśli tyl-ko będzie pamiętał o celu tego wszystkiego... Za sześć miesięcy, tak czy inaczej, będzie po wszystkim.

Powrócił do swojej części i obrócił ją o kolejne 120 stopni, szukając czułych punktów. De Vaca ponownie zajęła się wyjmowaniem szkła z autoklawu. W laboratorium znowu zapanował spokój i cisza. Carson przez moment zastanawiał się, co też stało się z mężem de Vaki.

Zbudził się tuż przed świtem. Tępo spojrzął na elektroniczny kalen-darz zawieszony na ścianie obok łóżka. Niedziela, dzień dorocznego Bombowego Pikniku. Jak wyjaśnił Singer, tradycja Bombowego Pik-niku pochodziła jeszcze z czasów, gdy laboratorium prowadziło ba-dania dla wojska. Raz w roku organizowano pielgrzymkę do Trinity Site, gdzie w 1945 roku dokonano pierwszej eksplozji bomby atomo-wej.

Carson wstał i zabrał się do parzenia kawy. Lubił ciche poranki na pustyni i nie miał ochoty na towarzyskie pogawędki w jadalni, więc po trzech dniach przestał pić letnią lurę oferowaną w kafejce.

Otworzył szafkę i wyjął emaliowany dzbanek do kawy, pogięty od wieloletniego używania. Obok pary starych ostróg była to jedna z niewielu rzeczy, jakie przywiózł ze sobą do Cambridge. Nie pozostało mu nic prócz nich, kiedy bank zlicytował rancho. Ten blaszany dzbanek towarzyszył mu przy wielu porannych ogniskach na pastwiskach i Carson był do niego niemal zabobonnie przywiązany. Obrócił go w dłoniach. Ścianki z zewnątrz były czarne, oblepione stwardniałą od żaru sadzą, której nie dałoby się usunąć nawet nożem bowiem. Wnętrze nadal było pokryte ciemnoniebieską, upstrzoną białymi plamkami emalią i lekko wgięte w miejscu, gdzie pewnego ranka koń Carona, Weaver, uderzył kopytem, strącając dzbanek do ogniska. Ucho było zgięte - to

także robota Weavera - i Carson wspomniał pewien nieznośnie skwar-ny dzień w Hueco Wash, kiedy koń zaczął się tarzać, mając na grzbiecie juki. Potrząsnął głową. Weaver przepadł razem z ranczem. Ten narowisty meksykański koń wart był najwyżej paręset dolarów. Pewnie od razu posłano go do rzeźni.

Napełnił dzbanek wodą z kranu w łazience, wsypał do naczynia dwie garści mielonej kawy i umieścił je na kuchence elektrycznej, wbudowanej w stojącą pod ścianą konsolę. Zaczekał, aż woda będzie bliska wrzenia, zdjął naczynie z kuchenki, dolał odrobinę zimnej wo-
dy, żeby strącić osad, i ponownie postawił dzbanek na płytce. Według niego był to najlepszy sposób parzenia kawy - o wiele lepszy od tych śmiesznych filtrów, zaparzarek i pięćsetdolarowych ekspresów, powszechnie używanych w Cambridge. Taka kawa dawała kopa. Pamiętał słowa ojca, który twierdził, że kawa jest dobra dopiero wtedy, gdy nie tonie w niej podkova.

Nalewając ją do kubka, zerknął na swoje odbicie w lustrze. Zmarszczył brwi, przypominając sobie niedowierzanie de Vaki, kiedy powiedział jej, że jest Anglosasem. W Cambridge kobiety często dostrzegały coś egzotycznego w jego czarnych oczach i rzymskim nosie. Czasem opowiadał im o swoim przodku, Kicie Carsonie, nigdy jednak nie wspominał, że jego prababka pochodziła z południowego szczepu Ute. Irytowało go, że chociaż minęło tyle lat od czasu, gdy w szkole wyśmiewano go jako „mieszkańca”, nadal stara się ukrywać swoje pochodzenie.

Pamiętał brata dziadka, Charleya, który rzeczywiście wyglądał na Indianina i nawet mówił narzeczem Ute. Charley umarł, kiedy Carson miał dziewięć lat. Zapamiętał tego chudego mężczyznę, jak siadywał na bujanym fotelu przy kominku, chichotał do swoich myśli, palił cy-garo i wypluwał okruchy tytoniu w płomień. Charley znał wiele indiańskich opowieści - głównie o tropieniu zbiegłych koni i porywaniu bydła Nawahom. Carson mógł ich słuchać tylko wtedy, kiedy rodziców nie było w pobliżu, w przeciwnym razie posyłali go spać i karcili stare-go za nabijanie dzieciakowi głowy bujdami. Ojciec Carsona nie lubił wujka Charleya i często wygłaszał uszczypliwe uwagi na temat jego długich włosów, których stary nie chciał obciąć, twierdząc, że to spowoduje suszę. Carson pamiętał też, że kiedyś podsłuchał, jak ojciec powiedział do matki, że Bóg dał ich synowi „więcej krwi Ute, niż powinien”.

Upił łyk kawy i spojrzał przez otwarte okno, w zadumie masując sobie kark. Jego pokój znajdował się na pierwszym piętrze i miał z nie-go

dobry widok na stajnie, warsztat oraz ogrodzenie. Za drutami zaczynała się pustynia.

Skrzywił się, gdy natrafił palcami na obolałe miejsce, gdzie poprzedniego wieczoru wbito mu igłę podczas punkcji rdzeniowej. Jeszcze jedną uciążliwością związaną z pracą w laboratorium piątego stopnia zagrożenia były obowiązkowe cotygodniowe badania lekarskie. One także przypominały o nieustannej obawie przed skażeniem dręczącej wszystkich zatrudnionych w Mount Dragon.

Bombowy Piknik miał być jego pierwszym wolnym dniem, od kiedy przyjechał do ośrodka. Okazało się, że zaszczepienie szympansov zneutralizowanym wirusem to dopiero początek pracy. Chociaż Carson zapewniał, że zastosowana przez niego metoda jest właściwym rozwiązaniem, Scopes nalegał na przeprowadzenie dwóch dodatkowych prób, aby zminimalizować możliwość otrzymania przypadkowych wyników. X-FLU wszczepiono sześciu szympansom. Jeżeli przeżyją, następny test wykaże, czy stały się odporne na gripę.

Carson obserwował z okna, jak dwaj robotnicy przenoszą duży zbiornik z kwasoodpornej stali i ładują go na furgonetkę. Ciężarówka z wodą pitną przyjechała wcześniej i jej kierowca kręcił się po parkingu. Był zbyt leniwy, by wyłączyć silnik, więc z rury wydechowej samochodu płynęły kłęby spalin. Niebo było czyste - jeszcze nie skończyło się lato, deszcze miały przyjść dopiero za kilka tygodni - i odległe góry lśniły jak ametysty w świetle poranka.

Carson dopił kawę i zszedł na dół, gdzie zastał Singera pokrzykującego na robotników. Dyrektor miał na sobie plażowe sandały i bermudy. Jaskrawa koszula w kwiaty okrywała jego wydatny brzuch.

- Widzę, że jesteś już gotowy - stwierdził Carson.

Singer błysnął szklami niemodnych okularów przeciwsłonecznych.

- Czekałem na to cały rok - oświadczył. - Gdzie masz spodenki kąpielowe?

- Pod dzinsami.

- Wczuj się w nastrój, Guy! Wyglądasz, jakbyś wybierał się zaganiać bydło, a nie na plażę. - Odwrócił się do robotników. - Odjeżdżamy dokładnie o ósmej, więc ruszajcie się. Podstawcie hummery i załadujcie je.

Na parking przybywali inni naukowcy, technicy i robotnicy, objuczeni torbami plażowymi, ręcznikami i składanymi krzeselkami.

- Skąd wziął się ten zwyczaj? - zapytał Carson, spoglądając na

nich.

- Nie pamiętam, czyj to był pomysł - odparł Singer. - Rząd raz do roku otwiera Trinity Site dla publiczności. Kiedyś zapytaliśmy, czy możemy sami odwiedzić to miejsce, i zgodzono się. Potem ktoś wpadł na pomysł, by urządzić tam piknik, ktoś inny zaproponował siatkówkę i zimne piwo. Potem ktoś zauważył, że szkoda, że nie możemy tam zabrać oceanu. I tak narodził się pomysł wykorzystania zbiornika do pojenia bydła.

- Nie obawiacie się promieniowania? - zapytał Carson. Singer zachichotał.

- Ten teren nie jest już radioaktywny. Pomimo to zabieramy ze sobą liczniki Geigera, żeby uspokoić co bardziej nerwowych. - Spojrzał na nadjeżdżające z warkotem samochody. - Chodź, pojedziesz ze mną.

Niebawem tuzin hummerów z rozsuniętymi dachami mknął ledwie widocznym szlakiem biegnącym prosto jak strzała w dal. Ciężarówka z wodą jechała na końcu, ciągnąc za sobą chmurę pyłu.

Po godzinie jazdy Singer zatrzymał hummera.

- Epicentrum wybuchu - rzekł do Carsona.

- Skąd wiesz? - zapytał Carson, rozglądając się wokół. Na zachodzie wznosiła się Sierra Oscura: sucha i pusta wyżyna pełna osadowych ostańców. Odludne miejsce, choć nie bardziej niż reszta Jornady.

Singer wskazał na zardzewiały i poskręcany wspornik, sterczący z piasku.

- To wszystko, co zostało z wieży, na której umieszczono bombę. Jeśli dokładnie się przyjrzysz, zauważysz, że znajdujemy się w płytkim wgłębieniu pozostałym po wybuchu. A tam - wskazał na pagórek i kilka zrujnowanych bunkrów - było jedno ze stanowisk aparatury kontrolnej.

- Czy tutaj robimy piknik? - zapytał trochę niepewnie Carson.

- Nie - odparł Singer. - Pojedziemy jeszcze kilometr dalej. Tam jest ładniej. Przynajmniej troszeczkę.

Hummerzy zatrzymały się na piaszczystej równinie wolnej od zarośli i kaktusów. Znajdowała się na niej samotna wydma porośnięta juką. Podczas gdy robotnicy zdejmowali zbiornik z furgonetki, naukowcy zaczęli zajmować miejsca na piasku, rozstawiając krzeselka, parasole i turystyczne lodówki. Kawalek dalej przygotowano prowizoryczne boisko do siatkówki. Do zbiornika przystawiono drewniane schodki. Podjechała do niego cysterna i zaczęła napełniać go świeżą wodą. Z przenośnego zestawu stereo popłynęły głosy Beach Boys.

Carson trzymał się na uboczu, obserwując te przygotowania.

Większość czasu spędzał w laboratorium C i nadal mało kogo znał z nazwiska. Inni przeważnie pracowali ze sobą od kilku miesięcy. Rozglądając się wokół, Carson z ulgą stwierdził, że Brandon-Smith najwidoczniej pozostała w klimatyzowanym kompleksie mieszkalnym. Kiedy po-przedniego wieczoru zajrzał do jej biura, żeby zapytać o stan zdrowia szympanśów, o mało nie urwała mu głowy za to, że przypadkowo wy-wrócił maskotki, które z obsesyjną pedanterią poustawiała na biurku. Dobrze, że jej tu nie ma - pomyślał, gdy wyobraźnia podsunęła mu ob-raz jej zwalistego ciała w stroju kąpielowym.

Dyrektor zauważył go i przywołał skinieniem ręki. Obok siedzieli dwaj starsi naukowcy, których Carson ledwie sobie przypominał.

- Znasz już Georgea Harpera? - zapytał Singer. Harper uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

- Przeszliśmy kiedyś obok siebie w Wylegarni - oświadczył. -Dwa kombinezony mijające się w ciemności. I oczywiście słyszałem twój celny opis doktor Brandon-Smith.

Harper był chudzielcem o rzadziejących ciemnoblonde włosach i wydatnym, haczykowatym nosie. Wygodnie wyciągnął się na krzeselku. Carson skrzywił się.

- Ja tylko sprawdzałem działanie ogólnego kanału łączności mojego interkomu - mruknął.

Harper zaśmiał się.

- Potem nastąpiła pięciominutowa przerwa w pracy, kiedy wszyscy wyłączyli swoje interkomy, żeby się... - zerknął na Singera wykaszleć.

- Och, George - uśmiechnął się dyrektor. Wskazał drugiego naukowca. - To Andrew Vanderwagon.

Vanderwagon miał na sobie staromodne spodnie kąpielowe i śmiało wystawiał swoją chudą i zapadniętą pierś na słońce. Podniósł się, zdejmując okulary przeciwsłoneczne.

- Jak się masz - powiedział, wstając i ściskając dłoń Carsona. Był niski, kościsty, a jego niebieskie oczy wydawały się wyblakłe od pustynnego słońca. Carson widywał go w Mount Dragon. Miał wtedy na sobie marynarkę, krawat i lakierki.

- Pochodzę z Teksasu - oznajmił Harper z przesadnym drawłem - więc nie muszę wstawać. My nie wiemy, co to dobre maniery. Andrew jest z Connecticut.

Vanderwagon pokiwał głową.

- Harper podniósłby się tylko wtedy, gdyby byk narobił mu na buty.

- Do licha, nie - zaprotestował Harper. - Po prostu odgoniłbym go kopniakiem.

Carson usiadł na wskazanym mu przez Singera krzeselku. Słońce prażyło. Usłyszał okrzyki i plusk: ludzie wchodzili po schodkach i wskakiwali do wody. Rozglądając się, dostrzegł Nye'a, szefa ochrony, siedzącego na uboczu pod parasolem golfowym i czytającego „New York Timesa”.

- Jest równie dziwny jak wykastrowana jałówka - mruknął Harper, zauważywszy spojrzenie Carsona. - Popatrzcie tylko na niego. Wciąż siedzi w tym swoim garniturze z Savile Row, chociaż jest już co najmniej czterdzieści stopni.

- Po co on tu przyjechał? - zapytał Carson.

- Żeby nas pilnować - odparł Vanderwagon.

- A co moglibyśmy zrobić niebezpiecznego? Harper roześmiał się.

- Nie wiesz? Na przykład jeden z nas mógłby ukraść hummera, pojechać do Radium Springs i wlać trochę X-FLU do Rio Grandę. Tak dla jaj.

Singer zmarszczył brwi.

- To nie jest zabawne, George.

- Facet jest jak KGB, zawsze w pobliżu-i-powiedział Vanderwagon. - Nie ruszył się stąd od osiemdziesiątego szóstego i chyba dlatego tak zdziwaczał. Nie zdziwiłbym się, gdyby miał nasze pokoje na podsluchu.

- Czy on nie ma żadnych przyjaciół? - zapytał Carson.

- Przyjaciół? - powtórzył Vanderwagon, unosząc brwi. - Nic mi o takich nie wiadomo, jeśli nie brać pod uwagę Mikea Marra. Nie ma też żadnej rodziny

- To co robi całymi dniami?

- Kręci się dookoła w tym swoim hełmie i trzęsie kucykiem - odparł Harper. - Powinieneś zobaczyć facetów z ochrony, kiedy Nye jest w pobliżu. Gną się i kłaniają jak świnię nad korytem.

Vanderwagon i Singer parsknęli śmiechem. Carson z lekkim zaskoczeniem zauważył, że dyrektor Mount Dragon również przyłączył się do drwin z szefa ochrony. Harper wyciągnął nogi, splótł dłonie na karku i westchnął.

- A więc jesteś z tych stron - powiedział do Guya, przymykając oczy - Może wobec tego powiesz nam coś więcej o złocie Mondragóna.

Vanderwagon jęknął.

- O czym? - zdziwił się Carson. Wszyscy trzej spojrzeli na niego.

- Nie znasz tej historii? - spytał Singer. - A podobno jesteś z Nowego Meksyku!

Zanurzył obie ręce w pojemniku termoizolacyjnym i wyjął kilka butelek piwa.

- Trzeba to oblać - stwierdził. Rozdał butelki.

- Och, nie! Chyba nie będziemy znów słuchać tej legendy - jęknął Vanderwagon.

- Carson nigdy jej nie słyszał - powiedział Harper.

- Legenda głosi - zaczął Singer, zabawnie wykrzywiwszy się do Vanderwagona - że pod koniec siedemnastego wieku nieopodal Santa Fe żył bogaty kupiec nazwiskiem Mondragón. Został oskarżony przez inkwizycję o uprawianie czarów i uwięziony. Wiedział, że zostanie skazany na śmierć, ale zdołał uciec z pomocą swego oddanego sługi, Estevanico. Mondragón miał w górach Sangre de Cristo kilka kopalni, w których pracowali indiańscy niewolnicy. Mówiono, że były to bardzo dochodowe kopalnie, prawdopodobnie złota. Kiedy Mondragón wymknął się inkwizycji, zakradł się na swoją hacjendę, zabrał złoto, załadował je na muła i pojechał ze swoim sługą szlakiem Camino Real. Dwieście funtów złota - tylko tyle zdołał wpakować na grzbiet muła. Po kilku dniach na pustyni Jornada skończyła im się woda. Wtedy Mondragón wysłał Estevanico z bukłakiem, żeby uzupełnił zapasy, a sam z jednym koniem i mułem został w obozie. Sługa znalazł źródło o dzień jazdy od obozu, napełnił bukłak i pogalopował z powrotem. Kiedy jednak wrócił na miejsce, gdzie zostawił Mondragóna, kupca już tam nie było.

- Gdy inkwizytorzy dowiedzieli się, co zaszło, zaczęli przeszukiwać szlak - podjął narrację Harper. - Pięć tygodni później u podnóża

115

Mount Dragon znaleźli uwięzowanego konia - martwego. Należał do Mondragóna.

- U podnóża Mount Dragon? - powtórzył Carson. Singer skinął głową.

- Hiszpański szlak Camino Real przebiegał prosto przez teren dzisiejszego laboratorium i wzdłuż podnóża Mount Dragon.

- W każdym razie - ciągnął Harper - nadal wszędzie szukali Mondragóna. Jakies trzydzieści metrów od martwego konia znaleźli na ziemi kosztowny kubrak kupca. Jednak chociaż długo szukali, nie zna-

leźli ani Mondragóna, ani muła z ładunkiem złota. Ksiądz skropił podnóże Mount Dragon święconą wodą, aby oczyścić je ze zła, i na szczycie góry wzniesiono krzyż. Stał się znany jako La Cruz de Mondragón, czyli Krzyż Mondragóna. Później, kiedy hiszpańskim szlakiem zaczęli wędrować amerykańscy kupcy, zmienili tę nazwę na Mount Dragon.

Dopił piwo i uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Dorastając, słyszałem wiele opowieści o zakopanych skarbach - powiedział Carson. - Było ich tyle, ile niebieskich kleszczy na czerwonym pętaku. I tyle samo było z nich korzyści.

Harper roześmiał się.

- Kleszcze na pętaku! Mamy wśród nas jeszcze jednego gościa z poczuciem humoru.

- Co to takiego ten czerwony pętak? - zainteresował się Vanderwagon.

Harper zaśmiał się jeszcze głośniej.

- Och, Andrew, ty biedny jankeski ignorancie, to pies używany do zaganiań bydła. Dobiera się krowom do pięt, więc nazywają go pętakiem. Od pętania cieląt sznurem. - Udał, że rzuca lassem, a potem spojrzał na Carsona. - Cieszę się, że jest wśród nas jeszcze ktoś, kto nie jest pełnym greenhornem.

Carson uśmiechnął się.

- Kiedy byłem chłopcem, szukaliśmy zaginionych kopalni Adama. W tym stanie podobno jest więcej zakopanego złota niż w Forcie Knox. Przynajmniej jeśli wierzyć opowieściom.

Vanderwagon prychnął.

- Właśnie: jeśli wierzyć opowieściom. Harper pochodzi z Teksasu, gdzie wiodącym przemysłem jest produkcja i dystrybucja krowiego łajna⁵. Myślę, że pora popływać.

Wepchnął butelkę piwa w piasek i wstał.

- Ja też pójdę - oświadczył Harper.

- Chodź, Guy! - zawołał Singer i potruchtął za naukowcami do zbiornika, zdejmując po drodze koszulę.

- Za chwilę - odparł Carson, patrząc, jak wspinają się na drewniane schodki i skaczą, popychając się nawzajem. Dopił piwo i odstawił butelkę. Wydawało mu się wprost nie do wiary, że siedzi na środku pustyni Jornada del Muerto, kilometr od epicentrum pierwszego wybuchu atomowego, patrząc na kilku najlepszych biologów na świecie

5 Gra słów. W oryginale *buli shit*; bullshit w amerykańskim slangu oznacza również „gówno prawda”

chlapiących się jak dzieci w zbiorniku do pojenia bydła. Nierealność tego miejsca odurzała jak narkotyki. Chyba tak musieli czuć się ci, którzy pracowali nad projektem Manhattan. Zdjął džinsy i koszulę, po czym wyciągnął się wygodnie, odprężony po raz pierwszy od paru dni.

Po kilku minutach obudził go bezlitosny skwar i usiadł, sięgając do torby po następne piwo. Otwierając butelkę, wśród gwaru rozmów usłyszał śmiech de Vaki. Stała po drugiej stronie zbiornika, odgarniając długie włosy z twarzy i rozmawiając z kilkoma technikami. Biały kostium bikini mocno kontrastował z jej śniadą skórą. Jeśli dostrzegła Carsona, to niczym tego nie okazała.

Po chwili zobaczył, że do otaczającej de Vacę grupki dołącza jeszcze jedna osoba. Zauważył znajome utykanie i poznał Mike'a Marra, zastępcę szefa ochrony. Marr zaczął rozmawiać z de Vacą, uśmiechając się oblesnie. Nagle przysunął się bliżej i szepnął jej coś do ucha. De Vaca natychmiast spochmumiała i gwałtownie się odsunęła. Kiedy Marr znów coś powiedział, de Vaca błyskawicznie uderzyła go w twarz. Odgłos policzka odbił się głośnie echem i doleciał aż do Carsona.

Marr odskoczył, czarny kowbojski kapelusz spadł mu z głowy i potoczył się po piasku. Gdy pochylił się, żeby go podnieść, de Vaca powie-działa coś, pogardliwie krzywiąc usta. Chociaż Carson nie mógł usły-szeć słów, zobaczył, że wszyscy technicy ryknęli śmiechem.

Marr zmrużył oczy, z jego twarzy znikł uśmiech. Powoli włożył swój kowbojski kapelusz, nie odrywając oczu od de Vaki, a potem odwrócił się na pięcie i odszedł.

- Wystrzałowa babka, no nie? - zachichotał Singer, który wrócił już z pozostałymi dwoma i zauważył spojrzenie Carsona. Wyglądało na to, że nie widział incydentu, który przed chwilą miał miejsce. - Wiesz, przyjechała tu tydzień wcześniej niż ty i miała pracować w sekcji medycznej. Ale kiedy odeszła Myra Resnick, asystentka Bur-ta, doszedłem do wniosku, że osoba mająca takie doświadczenie jak Susana będzie dla ciebie idealną asystentką. Mam nadzieję, że się nie pomyliłem.

Rzucił mu na kolana jakiś kamyczek.

- Co to jest? - zapytał Carson. Kamyczek był zielony i półprzezroczysty

- Atomowe szkło - wyjaśnił Singer. - Bomba stopiła piasek wokół epicentrum, pozostawiając szklaną skorupę. Większa jej część zniknęła, ale czasem można znaleźć jakiś kawałek.

- Czy to jest radioaktywne? - zapytał Carson, ostrożnie trzymając kamyczek w dwóch palcach.

- Niezupełnie. Harper prychnął.
- „Niezupełnie” - powtórzył z sarkazmem, czubkiem małego palca usuwając wodę z ucha. - Jeżeli zamierzasz mieć dzieci, Carson, na twoim miejscu nie trzymałbym tego w pobliżu jaj.
- Vanderwagon pokręcił głową.
- Jesteś wulgarnym dupkiem, Harper. Singer uśmiechnął się i powiedział:
 - Są najlepszymi przyjaciółmi, chociaż nigdy byś się tego nie domyślił, Guy.
 - A jak znaleźliście się w GeneDyne? - zapytał Carson, odrzucając kamyk Singerowi.
 - Ja byłem wykładowcą biologii na CalTechu. Sądziłem, że to szczyt mojej kariery. I wtedy pojawił się Brent Scopes i złożył mi propozycję. - Singer potrząsnął głową. - Mount Dragon przesta-wiało się właśnie na badania przemysłowe i Brent chciał, żebym je nadzorował.
 - Dość radykalna zmiana po pracy na uczelni - zauważył Carson.
 - Rzeczywiście przez jakiś czas nie mogłem się przyzwycząić -przyznał Singer. - Zawsze z pogardą traktowałem przemysł. Szybko jednak zacząłem doceniać potęgę rynku. Wykonujemy tu wspaniałą robotę, nawet nie dlatego, że jesteśmy mądrzejsi, ale dlatego, że mamy o wiele więcej pieniędzy. Żaden uniwersytet nie mógłby sobie pozwolić na utrzymywanie Mount Dragon. A potencjalne korzyści są również znacznie większe. Na CalTechu zajmowałem się mało ważnymi badaniami różnych odmian bakterii. Teraz nadzoruję prekursorskie prace mogące ocalić miliony istnień. - Dopił piwo. -Zostałem na-wrócony.
 - A ja nawróciłem się, kiedy zobaczyłem, ile zarabia profesor zwyczajny - oświadczył Harper.
 - Trzydzieści tysięcy - prychnął Vanderwagon. - Po sześciu lub ośmiu latach. Możecie w to uwierzyć?
 - Pamiętam, jak było w Berkeley - mruknął Harper. - Wszystkie moje projekty badań musiały przejść przez ręce drobnych biurokratów i dziekana wydziału. Ten strupieszający sukinsyn wiecznie narzekał na koszty
 - Praca dla Brenta jest w porównaniu z tym jak dzień wobec nocy - rzekł Vanderwagon. - On rozumie sens nauki. Wie, jak pracują naukowcy Nie muszę niczego wyjaśniać ani usprawiedliwiać. Jeśli czegoś potrzebuję, wysyłam mu e-mail i dostaję to. Mamy szczęście, mogąc dla niego pracować.
 - Cholerne szczęście - przytaknął Harper.

W końcu są w jakiejś sprawie zgodni, pomyślał Carson.

- Cieszymy się, że jesteś z nami, Guy - powiedział Singer, kiwając głową i wznosząc toast butelką piwa. Pozostali poszli za jego przykładem.

- Dzięki - uśmiechnął się Carson, rozmyślając o kaprysie losu, który rzucił go między najlepszych naukowców GeneDyne.

Levine siedział w swoim gabinecie i przez otwarte drzwi słuchał w niemym podziwieniu rozmowy telefonicznej, jaką prowadził siedzący w sekretariacie Ray.

- Przepraszam, mała - mówił Ray. - Przysięgam, że wydawało mi się, że mówiłaś o kinie przy Boylston Street, a nie Brattle...

Chwila ciszy.

- Przysięgam, że słyszałem, jak mówiłaś „Boylston”. Nie, stałem tam przed wejściem, czekając na ciebie. Przed kinem na Boylston Street oczywiście. Nie, zaczekaj chwilę. Mała, nie...

Zaklął i odłożył słuchawkę.

- Ray! - zawołał Levine.

- Tak? - Sekretarz stanął w progu, przyglądając włosy

- Na Boylston Street nie ma kina.

W oczach Raya zapalił się błysk zrozumienia.

- Pewnie dlatego rzuciła słuchawkę. Levine roześmiał się i pokręcił głową.

- Pamiętasz telefon od tej kobiety z programu Sammyego Sancheza? Chcę, żebyś do niej zadzwonił i powiedział, że jednak znajdę dla nich czas. Niech wyznaczą termin.

- Ja mam zadzwonić? A co z Toni Wheeler? Nie spodoba jej się, że...

- Ona by tego nie zaaprobowwała. Nie cierpi tego rodzaju programów telewizyjnych.

Ray wzruszył ramionami.

- W porządku, zrobione. Jeszcze coś? Levine pokręcił głową.

- Na razie nie. Popracuj nad wymówkami. I zamknij drzwi, proszę.

Ray wrócił do sekretariatu. Levine spojrzął na zegarek i po raz dziesiąty tego dnia podniósł słuchawkę telefonu. Tym razem usłyszał to, na co czekał: sygnał zmienił się ze zwykłego ciągłego dźwięku na przerywany. Levine szybko odłożył słuchawkę, zamknął drzwi biura i podłączył komputer do gniazdka w ścianie. Po trzydziestu sekundach na ekranie znów pojawiła się znajoma plansza logowania.

Niech ja zjem moją miotłę, jeśli to nie zacny pan profesor -pojawi-

ło się na ekranie. - *Jak się ma mój niedobry tatuś?*

Mimie, o czym ty mówisz? - wystukał Levine.

Nie jesteś fanem Elmorea Jamesa?

Nigdy o nim nie styszałem. Odebrałem twój sygnał. Jakie wiadomości?

Dobre i zte. Spędziłem kilka godzin, myszkujejąc po sieci GeneDyne. Niesamowity system. Warta sześćdziesiąt baniek sieć terminali połączonych w poprzek i wzdł. No wiesz, łączy satelitarne i dedykowane światłowody do asynchronicznego przesyłu wideokonferencji. Robi wrażenie. Oczywiście teraz jestem w tym kimś w rodzaju eksperta. Mógłbym oprowadzać wycieczki.

To dobra wiadomość.

Tak. A zła to ta, że sieć jest zbudowana jak sejf bankowy. Pierścień z jednym centralnym serwerem, zarządzanym przez Brenta Scopesa. Nikt oprócz niego nie może wyjść poza swój węzeł, a Scopes je wszystkie kontroluje. Jak Wielki Brat może wejść wszędzie. Parafrazując Muddyego Watersa, jego trybiki kręcą się, ale nie dla ciebie.

To z pewnością nie problem dla Mima - wystukał Levine.

Miej litość! Co za pomysł. Bez trudu mogę się fam przyczaić, podkradając kilka milisekund pracy CPU fu i fam, a/e to twój problem, profesorze. Uzyskanie bezpiecznego dojścia do Mount Dragon nie jest trywialną sprawą. Wymaga zduplikowania linii dostępu Scopesa. J w tym tkwi niebezpieczeństwo, profesorze.

Wyjaśnij to.

Czy mam przeliterować? Jeśli Scopes zechce wejść do sieci Mount Dragon, kiedy ty będziesz z nią połączony, nie uzyska dostępu. Wte-dy zapewne uruchomi program śledzący, który wytropi zacnego profesora, nie Mima. UTZONDTLJT.

Mimie, wiesz, że nie rozumiem tych twoich akronimów.

„Uważałem to za oczywiste nawet dla takiego lamera jak ty”. Nie będzie pan miał wiele czasu, profesorze. To muszą być krótkie wizyty.

A co z danymi Mount Dragon? - napisał Levine. - *Gdybym mógł się do nich dostać, znacznie przyspieszyłoby to sprawę.*

NDR. Zamknięte ciaśniej niż gorset królowej Mary.

Levine westchnął. Mim był nieobliczalny, niewzruszony i denerwujący. Levine zastanawiał się, jaki jest w rzeczywistości: z pewnością to typowy komputerowy haker, mizerak w grubych okularach, kiepsko grający w piłkę, samotnik o skłonnościach do onanizmu.

Hej, /Mimie, co ja słyszę? - wystukał.

Jestem Monsieur Rick cyberprzestrzeni, pamiętasz? Nie nadstawiam karku za nikogo. Scopes jest zbyt sprytny. Przypomnij sobie ten jego ulubiony projekt, o którym ci mówiłem. Najwidoczniej zaprogramował jakiś rodzaj wirtualnego świata, który wykorzystuje do poruszania się po sieci. Jakies trzy lata temu wygłosił na ten temat wykład w Institute of Advanced Neurocybernetics. Oczywiście włamałem się tam i wykradłem zapisy oraz zrzuty ekranów. Jest bardzo pomysłowy, bardzo. W pionierski sposób wykorzystał programowanie 3D. Niestety od tego czasu trzyma karty przy orderach. Nikt nie wie, w jaki sposób działa teraz jego program ani co on sam robi. Wierz mi, ten facet nie jest jakimś informatycznym analfabetą. Znalazłem jego prywatny serwer i miałem ochotę zajrzeć do środka, ale dyskrecja wzięła górę nad ciekawością. A to u mnie niezwykle.

Mimie, muszę uzyskać dostęp do Mount Dragon. To dla mnie bardzo ważne. Wiesz, co robię. Możesz pomóc mi uczynić świat bezpieczniejszym.

Bez prania mózgu, proszę! Jeśli jest coś, czego się nauczyłem, to te-go, że tylko Mim się liczy. Reszta świata znaczy dla mnie nie więcej niż rzep na psim tyłku.

Czemu więc mi pomagasz? Pamiętaj, że to ty skontaktowałeś się ze mną.

Nastąpiła krótka przerwa.

Mam własne powody - odparł po chwili Mim. - J domyślam się two-ich. Chodzi o oskarżenie wniesione przez GeneDyne. Tym razem nie chodzi tylko o pieniądze, prawda? Scopes próbuje uderzyć w twoje otoczenie. Jeśli mu się uda, stracisz fundację, gazetę i wiarygodność. Trochę zbyt lekkomyślnie wystąpiłeś z zarzutami i teraz potrzebujesz czegoś na ich poparcie. P fe, profesorze.

Masz tylko w połowie rację - wystukał Levine.

Może więc powiesz mi, co jest z drugą potową.

Levine zawahał się.

Profesorze? Nie zmuszaj mnie, żebym przypomniał ci o dwóch filarach, na których opiera się nasza głęboka i gorąca przyjaźń. Pierwszy: ni-gdy nie zrobię niczego, co mogłoby mnie zdemaskować. I drugi: moje tajne źródła muszą pozostać tajne.

W Mount Dragon jest nowy pracownik - napisał Levine. - To mój dawny student. Myślę, że on mógłby mi pomóc.

Znów nastąpiła przerwa.

Potrzebne mi jego nazwisko, żeby otworzyć kanał łączności -odpo-

wiedział w końcu Mim.

Guy Carson - napisał Levine.

Profesorku, w głębi serca jesteś sentymentalny, a to poważna wada u wojownika - stwierdził Mim. - Wątpię, czy ci się powiedzie. Jednak z przyjemnością popatrzę, jak próbujesz. Klęska jest zawsze bardziej interesująca od zwycięstwa.

Ekran zgasł.

Carson stał pod syczącym chemicznym prysznicem, niecierpliwie obserwując, jak trujący roztwór spływa żółtymi strumieniami po wizjerze skafandra. Starał się przekonać sam siebie, że wrażenie duszności i braku tlenu jest tylko złudzeniem. Przeszedł do następnej komory, gdzie uderzyły weń strumienie gorącego powietrza. Potem otworzyły się z trzaskiem drzwi kolejnej szluzy i wszedł w oślepiająco jasne światło Wylegarni. Nacisnął przycisk ogólnej łączności i obwieścił przez interkom swoje przybycie: „Carson w środku”. Nikt nie mógł go usłyszeć, ale procedura ta była obowiązkowa. Chyba nigdy się do niej nie przyzwyczai.

Usiadł przy biurku i dłonią w rękawiczce włączył PowerBooka. Jego interkom milczał. Laboratorium było prawie puste. Przed nadejściem de Vaki chciał trochę popracować i odebrać wiadomości, jeśli jakieś nadeszły

Kiedy się zalogował, na ekranie pojawił się napis:

DZIEŃ DOBRY GUY CARSON. MASZ 1 NIEODCZYTANĄ WIADOMOŚĆ.

Najechał kursorem na ikonę poczty elektronicznej i na ekranie rozbłyły litery.

Guy, co nowego ze szczepieniami? W sieci nie znalazłem żadnych informacji.

Proszę, połącz się ze mną, żebyśmy mogli porozmawiać.

Brent

Carson wywołał Scopesa przez WAN⁶ GeneDyne. Prezes GeneDyne odpowiedział natychmiast, jakby na to czekał.

Cześć, Guy! Co się dzieje z szympansami?

Na razie dobrze. Cata szóstka jest zdrowa i wesola. John Singer pro-ponuje, żebyśmy w tych okolicznościach skrócili czas oczekiwania do jednego tygodnia. Dzisiaj omówią to z Rosa/ind.

W porządku. Niezwłocznie zawiadamiaj mnie o wszystkim, proszę.

6 WAN - wide area network (rozległa sieć komputerowa).

Możesz mnie łapać o każdej porze. Gdybyś nie mógł mnie znaleźć, skontaktuj się ze Spencerem Fairleyem.

Tak zrobię.

Guy, czy zdążyłeś już napisać sprawozdanie ze swoich badań? Gdy tylko zakończą się sukcesem, chcę podać je do wewnętrznej wiadomości z zamiarem późniejszej publikacji.

Czekam tylko na ostateczne potwierdzenie, a wtedy e-mailem prześlę ci kopię.

Kiedy rozmawiali, do laboratorium zaczęli napływać inni pracownicy i kanał interkomu zmienił się w istną party line, gdy każdy wchodzący oznajmiał swoje przybycie. „De Vaca w środku” - usłyszał Carson, a potem: „Vanderwagon w środku” i „Brandon-Smith”, głośno i gniewnie, jak zawsze. Później rozległy się odgłosy kroków i pomruk rozmów

Wkrótce w drzwiach pojawiła się de Vaca i w milczeniu zalogowała swój komputer do sieci. Luźny kombinezon ukrywał kształty jej ciała, z czego Carson był bardzo zadowolony. Nie chciał się rozpraszać.

- Susana, chciałbym wykonać oczyszczanie metodą GEF białek, o których wczoraj mówiliśmy - oświadczył, starając się zachować neutralny ton głosu.

- Oczywiście - odparła krótko.

- Są w wirówce, oznaczone od M1 do M-3.

Z jednego był zadowolony: de Vaca była doskonałą asystentką techniczną, może najlepszą w całym laboratorium. Prawdziwa profesjonalistka - dopóki się jej nie wyprowadziło z równowagi.

Wprowadził ostatnie poprawki do notatek dokumentujących jego pracę. Zabrało mu to prawie dwa dni, ale był zadowolony z wyniku. Chociaż uważał, że Scopes trochę za szybko domaga się sprawozdania, w duchu był dumny, że już się z tym uporał. Około południa de Vaca wróciła z fotografiami żeli. Carson spojrzął na nie i z przyjemnością stwierdził, że potwierdzają jego sukces.

Nagle w drzwiach pojawiła się Brandon-Smith.

- Carson, masz martwą małpę. Zapadła głęboka cisza.

- Na X-FLU? - zapytał Carson, kiedy odzyskał głos.

- Jasne - oznajmiła z satysfakcją, machinalnie gładząc masywne uda obleczonymi w grube rękawice rękami. - Piękny widok, mówię ci.

- Która? - spytał Carson.

- Samiec, Z-9.

- Nawet nie minął tydzień - jęknął Carson.

- Wiem. Szybko go załatwiłeś.

- Gdzie on jest?

- W dalszym ciągu w klatce. Chodź, pokażę ci. Oprócz szybkiego zejścia są jeszcze inne niezwykle objawy, które powinieneś zobaczyć.

Wstrząśnięty Carson wstał i poszedł za Brandon-Smith do zoo. Niemożliwe, żeby przyczyną była X-FLU. To musiało być coś innego. Myśl o konieczności przekazania tej niepomysłnej wieści Scopesowi tłukła mu się w głowie, wywołując tępy ból.

Brandon-Smith otworzyła śluzę zoo i gestem zaprosiła go do środka. Weszli do pomieszczenia. Carson znów usłyszał donośne bębnie-nie i wrzaski, które przedarły się nawet przez gruby kombinezon.

Fillson siedział przy stole laboratoryjnym na końcu pomieszczenia, rozstawiając jakąś aparaturę. Wstał i zerknął na nich. Carson miał wrażenie, że na kanciastej twarzy opiekuna zwierząt dostrzega lekkie rozbawienie. Fillson otworzył drzwi boksu, wprowadził ich do środka i wskazał ręką w górę.

Z-9 znajdował się w najwyższym rzędzie, w klatce oznaczonej żółto-czerwoną nalepką ostrzegającą przed skażeniem. Carson nie mógł dostrzec wnętrza klatki. Piątka pozostałych szympanów w klatkach stojących niżej wyglądała zupełnie zdrowo.

- Co dokładnie było takie niezwykle? - zapytał Carson, z niechęcią myśląc o oglądaniu martwego szympana.

- Sam zobacz - powiedziała Brandon-Smith, znowu powolnym ruchem pocierając rękami uda.

Nieprzyjemny nawyk, pomyślał Carson. Przypominał mu bezmyślne gesty zapóźnionych umysłowo osób.

Do górnego rzędu klatek była przymocowana metalowa drabinka, izolowana grubą warstwą białej gumy. Carson ostrożnie wszedł po niej, podczas gdy Fillson i Brandon-Smith czekali na dole. Zajrzał do klatki. Szympan leżał na plecach, miał szeroko rozrzucone kończyny. Cały mózg wypłynął mu przez naturalne otwory w głowie, w których tkwiły jeszcze duże kawałki szarej tkanki. Dno klatki pokrywała jakaś ciecz. Carson domyślił się, że to płyn mózgowo-rdzeniowy.

- Mózg mu eksplodował - oświadczyła z satysfakcją Brandon-Smith. - Najwidoczniej wyprodukowałaś szczególnie zjadliwy szczep.

Carson zaczął schodzić. Brandon-Smith założyła ręce na piersi i patrzyła na niego. Przez wizjer skafandra widział jej sarkastyczny miech. Zatrzymał się. Coś - nie wiedział co - wydawało mu się nie tak. Nagle zrozumiał, co to takiego. Drzwiczki klatki w drugim rzędzie uchylły się i

trzy włochate palce chwyciły ich ramę, otwierając je szerzej.

- Rosalind! - krzyknął Carson, gwałtownie wduszając przycisk interkomu. - Odsuń się od klatek!

Nie zareagowała. Stojący obok niej Fillson niespokojnie rozejrzał się wokół. Nagle wszystko potoczyło się bardzo szybko: owłosione ramię śmignęło w powietrzu, rozległ się trzask dartego materiału. Carson zobaczył dziwnie ludzką dłoń szympansa, a w niej strzęp powleczonej gumą tkaniny. Spojrzawszy na Brandon-Smith, ze zgrozą ujrzał poszarpaną dziurę w jej kombinezonie, przez którą przezierał jasny dres opinający tłuste ciało. Dres przecinały trzy równoległe cięcia zmieniające się w długie szkarłatne linie.

Zapadła paraliżująca cisza.

Małpa wypadła z klatki, wrzeszcząc triumfalnie i wymachując kawałkiem skafandra jak trofeum. Przeskoczyła do zoo i uciekła przez otwartą śluzę, znikając w głębi korytarza.

Brandon-Smith zaczęła krzyczeć. Miała wyłączony interkom, więc jej głos był stłumiony i brzmiał, jakby kogoś duszono w oddali. Fillson stał nieruchomo, skamieniały z przerażenia.

W końcu Brandon-Smith znalazła przycisk interkomu i głośnik w kombinezonie Carsona ryknął histerycznym wrzaskiem, tak głośnym, że przekroczył wartość krytyczną i filtr odciął go, pozostawiając jedynie szum. Stojąc na drabince, Carson wcisnął guzik interkomu, przechodząc na kanał ogólny.

- Alarm drugiego stopnia! - zawołał, przekrzykując szum. - Uszkodzenie skafandra Brandon-Smith, pomieszczenie zwierząt objętych kwarantanną.

Alarm drugiego stopnia. Kontakt człowieka ze śmiertelnie wirusem. Tego obawiali się najbardziej. Carson wiedział, że w takich wypadkach obowiązuje ściśle określony tryb postępowania: skażoną osobę należy odizolować i poddać kwarantannie. Wielokrotnie brał udział w takich ćwiczeniach.

Brandon-Smith, uświadomiwszy sobie, co ją czeka, natychmiast odłączyła swój przewód powietrzny i przycisnęła się obok zneruchomiałego Fillsona. Carson dogonił ją przy wyjściowej śluzie powietrznej, gdzie z wrzaskiem waliła pięściami w drzwi, nie mogąc ich otworzyć. Już zostały zablokowane. Za jego plecami pojawiła się de Vaca.

- Co się stało? - usłyszał jej głos.

Po chwili korytarz zapełnili naukowcy

- Otwórzcie drzwi! - wrzeszczała Brandon-Smith na ogólnym kanale. - O Boże, proszę, otwórzcie drzwi!

Ze szlochaniem opadła na kolana.

Zaczęła wyć syrena, basowo i monotonicznie. Słyszając jakieś dźwięki w głębi korytarza, Carson odwrócił się i wyciągnął szyję, spoglądając nad hełmami innych naukowców. Z szybu łączącego laboratorium z dolnymi poziomami wylaniały się postacie w skafandrach, zmierzając do gromady ludzi zebranych przy komorze powietrznej. Carson wiedział, że to wartownicy pilnujący obiektu. Było ich czterech i mieli na sobie czerwone kombinezony, jeszcze bardziej pękate od normalnych. Domyślił się, że zawierały dodatkowy zapas powietrza. Chociaż wiedział, że na dolnych poziomach Wylegarni znajduje się posterunek ochrony, zadziwiła go szybkość, z jaką pojawili się strażnicy. Dwaj z nich trzymali śrutówki o krótkich lufach, a pozostali jakieś dziwne przedmioty z gumowymi rękojęściami.

Brandon-Smith zerwała się z podłogi, po czym, odpychając na boki stojących jej na drodze naukowców, wpadła między strażników, usiłując uciec. Jeden ze strażników padł jak długi, jęcząc z bólu. Drugi okręcił się na pięcie i złapał Brandon-Smith, która już zaczynała się oddalać. Z łoskotem runęli oboje na podłogę. Grubaska wrzasnęła i wczepiła się pazurami w skafander strażnika. Trzeci strażnik ostrożnie podszedł do walczących i przytknął koniec trzymanego w rękę urządzenia do metalowej krawędzi wizjera kobiety. Niebieski błysk wyładowania na moment oślepił Carsona. Brandon-Smith konwulsyjnie drgnęła i znieruchomiała, a jej krzyk urwał się jak ucięty nożem. W interkombie dał się teraz słyszeć chór głosów.

Strażnik, który upadł razem z Brandon-Smith, podniósł się, gorączkowo przesuwając rękami po skafandrze.

- Ta gruba wiedźma rozdarła mi kombinezon! - zawołał. - Nie wierzę...

- Zamknij się, Roger - warknął jego towarzysz, ciężko dysząc.

- Kurwa, nie zamierzam dać się tutaj zamknąć! To nie była moja wina... Jezu, co ty robisz, do diabła?

Carson zobaczył, że drugi strażnik wycelował w tamtego śrutówkę.

- Oboje zostaniecie objęci kwarantanną - powiedział. - Już.

- Czekaj, Frank, chyba nie chcesz... Strażnik wprowadził nabój do komory

- Frank, ty skurwysynu, nie możesz mi tego zrobić - zaskowyczał

strażnik z rozdartym kombinezonem.

Z szybu wylonili się jeszcze trzech strażnicy

- Zabierzcie ich oboje do izolatki - polecił Frank. Nagle Carson usłyszał głos de Vaki:

- Patrzcie. Ona zwymiotowała. Może się udusić. Zdejmijcie jej hełm.

- Dopiero jak przeniesiemy ją do izolatki - odparł strażnik.

- Do diabła z tym! - krzyknęła de Vaca. - Ta kobieta potrzebuje hospitalizacji. Musimy ją stąd zabrać.

Strażnik rozejrzał się wokół i dostrzegł stojącego opodal Carsona.

- Hej, doktorze! - zawołał. - Rusz pan tyłek i pomóż mi!

- Guy... - usłyszał głos de Vaki, nagle całkiem spokojny - Rosalind może umrzeć, jeśli tutaj zostanie.

Przy wyjściu zjawili się już nawet naukowcy pracujący w najdalszych zakątkach Wylęgarni i teraz tłoczyli się w korytarzu, słuchając tej wymiany zdań. Carson stał nieruchomo, spoglądając na strażnika i de Vakę. Nagle dziewczyna odepchnęła ochroniarza, pochyliła się nad Brandon-Smith, uniosła jej głowę i spojrzała przez wizjer.

Z interkomu odezwał się głos Vanderwagona:

- Jestem za tym, żeby ich stąd zabrać. Nie możemy zamknąć ich w klatkach. To byłoby nieludzkie.

Zapadła pełna napięcia cisza. Strażnik zawahał się, nie wiedząc, jak ma się zachować. Vanderwagon podszedł i zaczął odpinać hełm Brandon-Smith.

- Rozkazuję panu cofnąć się - powiedział strażnik.

- Pieprz się - warknęła de Vaca.

Pomogła Vanderwagonowi zdjąć hełm Brandon-Smitha, a potem oczyścić jej jamę ustną i nos z wymiocin. Nieprzytomna kobieta jęknęła i zamrugowała oczami.

- Widzisz? Udusiłaby się. I wpadłbyś po uszy w gówno. - De Vaca spojrzała na Carsona. - Pomożesz nam ją wynieść? - zapytała.

Ale Carson odparł:

- Susana, znasz przepisy. Ona mogła zarazić się wirusem. I może go roznieść.

- Nie mamy pewności! - krzyknęła de Vaca, odwracając się do niego. - Nigdy nie przeprowadzano prób *in vivo*!

Jeden z naukowców wysunął się naprzód.

- To mógł być każdy z nas. Ja ci pomogę.

Brandon-Smith powoli dochodziła do siebie. Wymiociny oblepiły

jej obfity podbródek, a tkwiąca w baniastym hełmie głowa wydawała się niemal komicznie mała.

- Proszę... - Carson usłyszał jej głos. - Proszę, zabierzcie mnie stąd.

W oddali ujrzał nadchodzącego korytarzem kolejnego strażnika ze śrutówką.

- Nie martw się, Rosalind - powiedziała de Vaca. - Zaraz cię stąd wyniesiemy - Spojrzała na Carsona. - Nie jesteś lepszy od mordercy Zostawiłbyś ją tutaj na łasce tych świń, żeby umarła. *Hijo deputa*.

W interkomie rozległ się głos Singera:

- Co się dzieje w Wylęgarni? Dlaczego mnie nie powiadomiono? Chcę natychmiast...

Przerwano mu w połowie zdania. W głośnikach zatrzeszczał nowy głos mówiący z wyraźnym angielskim akcentem. Carson domyślił się, że to szef ochrony Nye.

- Podczas alarmu drugiego stopnia szef ochrony może, jeśli uzna to za konieczne, zawiesić dyrektora w pełnieniu obowiązków Muszę skorzystać z tej możliwości.

~ Panie Nye, dopóki sam się nie przekonam, że zachodzi taka potrzeba, nie przekażę moich obowiązków ani panu, ani nikomu innemu - oświadczył Singer.

- Odłączyć interkom pana Singera - rozkazał zimno Nye.

- Nye, rany boskie... - jęknął Singer, ale już go odcięto.

- Natychmiast odprowadzić te dwie osoby do izolatki - polecił Nye. Jego rozkaz rozproszył dotychczasowe wahania strażników. Jeden z nich wysunął się naprzód i kolbą śrutówki odepchnął de Vacę na bok. Szarpnęła się, klnąc wściekle. Nowo przybyły strażnik doskoczył do niej i uderzył ją w brzuch kolbą swojej broni. Dziewczyna skuliła się, spazmatycznie łapiąc powietrze. Strażnik uniósł broń, szykując się do następnego ciosu. Carson zrobił krok naprzód i zacisnął pięści, ale tamten skierował lufę w jego brzuch. Carson ze zdumieniem zobaczył w wizjerze twarz Mike'a Marra. Zastępca szefa ochrony spojrzał na niego zwięzonymi oczami i na jego ustach pojawił się szeroki uśmiech. Znów usłyszeli głos Nye'a:

- Niech wszyscy pozostaną na miejscu, dopóki ochrona nie umieści tych dwojga w izolatce. Wszelkie dalsze próby oporu zostaną postrzymane siłą. To ostatnie ostrzeżenie.

Dwaj strażnicy pomogli Brandon-Smith wstać i poprowadzili ją w głąb korytarza, podczas gdy inni zajęli się swoim kolegą w rozdartym

skafandrze. Pozostali, wraz z Marrem, ustawili się wzdłuż korytarza, czujnie obserwując tłum techników i naukowców.

Niebawem obie skażone osoby i ich eskorta zniknęli w szybie wiodącym na dolne poziomy. Carson wiedział, dokąd zmierzali: do ciasnych klitek dwa piętra poniżej zoo. Tam strażnik i Brandon-Smith spędzą następne dziewięćdziesiąt sześć godzin, podczas których systematycznie ich krew będzie badana na obecność przeciwciał X-FLU. Jeśli okażą się czysti, zostaną przeniesieni do izby chorych na tygodniową obserwację. Jeżeli nie, jeśli pojawią się przeciwciała wskazujące na zakażenie, będą musieli resztę życia spędzić w kwarantannie jako pierwsze ofiary szczególnie złośliwego szczepu wirusa grypy

Z głośników znów popłynął rażny głos Nye'a:

- Mendel, zejdź do pomieszczeń kwarantanny z nowym hełmem i uszczelnij skafandry. Doktor Grady niech udzieli poszkodowanym pierwszej pomocy i pobierze próbki krwi. Nie ewakuujemy laboratorium piątego, dopóki nie sprawdzimy ciśnieniowo, czy wszyscy - powtarzam, wszyscy - mają szczelne kombinezony

- Faszystowski dupek - warknęła de Vaca na ogólnym kanale.

- Każdy, kto nie będzie wykonywał poleceń pracowników ochrony, zostanie objęty kwarantanną na czas trwania alarmu - dodał Nye. -Hertz, znajdź zbiegłe zwierzę i zastrzel je.

- Tak jest, proszę pana.

Na końcu korytarza pojawił się doktor Grady, lekarz ośrodka. Miał na sobie czerwony skafander i niósł dużą metalową walizkę. Znikł w szybie wiodącym na niższe kondygnacje.

- Teraz sprawdzimy wszystkich w porządku alfabetycznym - oświadczył Nye. - Zaraz po uzyskaniu pozwolenia na opuszczenie laboratorium proszę udać się do głównej sali konferencyjnej na odprawę. Barkley, niech pan wejdzie do służby powietrznej.

Naukowiec nazwiskiem Barkley spojrzał na zebranych, a potem szybko wszedł do komory.

- Następny wchodzi Carson - powiedział Nye minutę później.

- Nie - zaprotestował Carson. - To nie w porządku. Za kilka minut skończy się powietrze w naszych skafandrach. Kobiety powinny iść pierwsze.

- Następny wchodzi Carson - powtórzył beznamyślnie Nye.

- Nie bądź seksistowskim idiotą - powiedziała de Vaca, siedząc na podłodze i przyciskając dłonie do brzucha. - Zabieraj stąd swój tyłek.

Carson wahał się jeszcze przez chwilę, ale w końcu wszedł do służby

zy. Czekał tam postać w kombinezonie obejrzała jego skafander, a potem podłączyła cienką rurkę do zaworu powietrza.

- Sprawdź, czy pański kombinezon jest szczelny - powiedział strażnik. Carson usłyszał syk powietrza i poczuł, że ciśnienie w skafandrze rośnie, powodując ucisk w uszach. - W porządku - mruknął strażnik i Carson przeszedł pod prysznic chemiczny.

Wchodząc do szatni, zauważył, że Barkley zanieczyścił kombinezon. Odwrócił się dyskretnie, zdejmując swój. Kiedy chował go do szafki, z Wylegarni wyszła de Vaca. Zdjęła hełm.

- Zaczekaj, Guy! - zawołała. - Chciałam tylko...

Carson zamknął drzwi, przerywając jej w połowie zdania, i ruszył do sali konferencyjnej.

W ciągu godziny zebrali się tam wszyscy Nye stał w pobliżu dużego ekranu videokonferencyjnego, a Singer obok niego. Mikę Marr oparł się o ścianę, skrzyżował nogi i żując nieodłączny kawałek gumowej taśmy, leniwie obserwował obecnych. W pomieszczeniu unosił się niemal wyczuwalny strach i niechęć. Nagle przygasły światła i na ekranie pojawiła się twarz Scopesa.

- Nie potrzebuję sprawozdania - oświadczył. - Widziałem wszystko na wideo. Wszystko.

Zapadła cisza. Oczy Scopesa poruszały się za grubymi szklami okularów, jakby rozglądał się po pokoju.

- Niektórzy z was bardzo mnie rozczarowali - powiedział wreszcie, - Znacie tryb postępowania. Ćwiczyliście to dziesiątki razy. - Zwrócił się do Singera: - John, znasz zasady lepiej; niż ktokolwiek inny. Pan Nye doskonale orientował się w sytuacji, a ty nie. Po ogłoszeniu alarmu miał prawo przejąć odpowiedzialność. W takich chwilach nie ma czasu na spory kompetencyjne.

- Rozumiem - odparł z nieprzeniknioną miną Singer.

- Wiem, że rozumiesz. Susana Cabeza de Vaca?

- Słucham? - spytała wyzywająco.

- Dlaczego złamała pani przepisy i próbowała wynieść Brandon-

- Smith z laboratorium?

- Chciałam, aby udzielono jej pomocy lekarskiej - powiedziała de Vaca - a nie zamykano w klatce.

Scopes przez długą chwilę spoglądał na nią w milczeniu.

- A gdyby była zarażona wirusem X-FLU? - zapytał w końcu. - Co wtedy? Czy pomoc lekarska uratowałaby jej życie?

Zapadła długa cisza. Scopes ciężko westchnął.

- Susana, jesteś mikrobiologiem. Nie muszę dawać ci lekcji z epidemiologii. Gdyby udało ci się wyprowadzić Rosalind z laboratorium i gdyby okazało się, że została zarażona, mogłabyś wywołać epidemię niemającą precedensu w historii ludzkości.

De Vaca milczała.

- Andrew? - Scopes przeniósł wzrok na Vanderwagona. - W wyniku takiej epidemii umarliby wszyscy: małe dzieci, nastolatki, matki, robotnicy i inteligenci, bogaci i biedni. Lekarze i pielęgniarki, farmerzy i księża. Tysiące ludzi, może miliony, a nawet... - urwał na chwilę

- może nawet miliardy.

Ostatnie słowa wymówił ściszym głosem.

- Niech ktoś mnie poprawi, jeśli się mylę - dodał. Panowała głęboka cisza.

- Do diabła! - warknął. - Właśnie z tego powodu w piątym laboratorium obowiązują takie przepisy bezpieczeństwa. Wszyscy pracujecie z najgroźniejszym patogenem. Istnienie całego świata zależy od tego, czy nie spieprzycie sprawę. A niewiele brakowało, a spieprzylibyście.

- Przepraszam - powiedział po chwili milczenia Vanderwagon. - Działiałem zbyt impulsywnie. Nie byłem w stanie myśleć o niczym innym jak tylko o tym, że to mogłem być ja...

- Fillson! - rzucił gniewnie Scopes.

Opiekun zwierząt stanął przed ekranem. Nerwowo wyłamywał palce, dolna warga opadła mu jeszcze bardziej.

- Nie zamykając dokładnie klatki, wyrządził pan niepowetowane szkody. Ponadto, wbrew wyraźnym poleceniom, nie przycinał pan pazurów zwierzętom objętym kwarantanną. Oczywiście zostaje pan zwolniony. Co więcej, poleciłem naszym prawnikom wystąpić z cywilnym oskarżeniem przeciw panu. Jeśli Brandon-Smith umrze, będzie miał pan jej śmierć na sumieniu. Krótko mówiąc, do końca życia będzie pan ponosił prawne, finansowe i moralne skutki tego niewybaczalnego niedbalstwa. Panie Marr, proszę dopilnować, żeby pan Fillson został natychmiast wywieziony z terenu ośrodka i pozostawiony w Engle, skąd sam wróci do domu.

Mikę Marr odkleił się od ściany i z uśmiechem na ustach podszedł do nieszczęśnika.

- Panie Scopes... Brent... proszę - zaczął Fillson, ale Marr brutalnie chwycił go za ramię i wywłókł z sali.

Scopes zwrócił się do de Vaki.

- Susana?

Dziewczyna milczała. Scopes pokręcił głową.

- Nie chcę cię zwalniać, ale jeśli nie zrozumiesz, że popełniłaś błąd, będę musiał. To zbyt niebezpieczne. Stawką było więcej niż tylko jedno życie. Rozumiesz to?

De Vaca spuściła głowę.

- Tak. Rozumiem - odparła w końcu. Scopes powiedział do Vanderwagona:

- Wiem, że oboje z Susaną działaliście w dobrej wierze. Jednak w obliczu tak wielkiego niebezpieczeństwa, jakie stanowi ten wirus, musicie być bardziej zdyscyplinowani. Pamiętajcie: „Jeśli zawiedzie cię twe prawe oko, wyrwij je”. Nie możecie pozwolić, aby wasze uczucia, choćby nie wiem jak szlachetne, wzięły górę nad trzeźwym rozumowaniem. Jesteście przecież naukowcami. Później rozważymy konsekwencje, jakie ten incydent może mieć dla was... zwłaszcza jeśli chodzi o wysokość waszych premii.

- Tak, sir - odparł Vanderwagon.

- To dotyczy również ciebie, Susana. Przez sześć następnych tygodni oboje będziecie zatrudnieni warunkowo, na okres próbny.

Skinęła głowę.

- Guy Carson?

- Słucham - odezwał się Carson.

- Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo mi przykro, że twój eksperyment się nie powiódł.

Carson nic nie odpowiedział.

- Jednak możesz być dumny ze swojego zachowania dziś rano. Mogłeś przyłączyć się do próbujących wypuścić Brandon-Smith, ale nie zrobiłeś tego. Zachowałeś zimną krew i okazałeś rozsądek.

Carson milczał. Zrobił to, co uważał za słuszne. Ale gniewne oskarżenie rzucone przez de Vacę, która nazwała go mordercą, utkwilo mu w pamięci jak zadra. Teraz, kiedy publicznie go chwalono, poczuł się nieswojo.

Scopes z westchnieniem zwrócił się do wszystkich pozostałych:

- Rosalind Brandon-Smith i Roger Czerny otrzymali najlepszą opiekę lekarską, jaką można było im w tej sytuacji zapewnić. Dostali nowe skafandry i umieszczono ich w wygodnym pomieszczeniu. Muszą pozostać w kwarantannie przez dziewięćdziesiąt sześć godzin. Wszyscy znacie procedurę i jej powody. Do czasu rozwiązania kryzy-su piąte laboratorium będzie zamknięte, dostępne jedynie dla pracowników ochrony oraz słyby medycznej. Czy są jakieś pytania?

- Jeśli próba na X-FLU da pozytywny wynik... - zaczął ktoś. Scopes skrzywił się.

- Nie chcę nawet rozważać takiej ewentualności - oświadczył. Ekran zaczął śnieżyć i zgasł.

- Prześpij się trochę, Guy. Nic więcej nie możesz zrobić.

Singer, spięty i wyczerpany, siedział na jednym z obrotowych foteli w centrum monitoringu, spoglądając na rząd czarno-białych ekranów. "W ciągu minionych trzydziestu sześciu godzin Carson kilkakrotnie tam zachodził, żeby popatrzeć na ekrany wideo, jakby samą siłą woli mógł wesprzeć objętych kwarantanną ludzi. Teraz wziął laptopa, niechętnie pożegnał się z Singerem i opuścił zalane niebieskawą poświatą centrum, wychodząc na pusty korytarz budynku. I tak nie zdołałby zasnąć, pozwolił więc, by nogi same zniosły go do jednego z na-ziemnych laboratoriów znajdujących się za ogrodzeniem.

Kiedy usiadł przy długim stole w opuszczonym laboratorium, zaczął raz po raz analizować przeprowadzony eksperyment. Nie potrafił przestać myśleć o tym, że zbiegłe zwierzę nie byłoby nosicielem, gdy-by mu się powiodło. Co gorsza, przestał otrzymywać dodające otuchy wiadomości od Scopesa. Zawiódł wszystkich.

A przecież doświadczenie powinno się powieść. Nie mógł znaleźć żadnej luki w swoim rozumowaniu. Wszystkie wstępne badania wykazały, że wirus został zmieniony dokładnie w taki sposób, w jaki powinien.

Włączył komputer i zaczął wypisywać możliwe przyczyny porażki.

Możliwość 1: Popełniono jakiś błąd.

Rozwiązanie: Powtórzyć eksperyment.

Możliwość 2: Doktor Burt błędnie zlokalizował gen.

Rozwiązanie: Prawidłowo określić lokalizację, powtórzyć eksperyment.

Możliwość 3: Szympanś był już chory na utajoną postać X-FLU przed zaszczepieniem.

Rozwiązanie: Sprawdzić wyniki kolejnych szczepień.

Możliwość 4: Szczep wirusa uległ działaniu temperatury lub innego mutagenu.

Rozwiązanie: Powtórzyć eksperyment, zwracając szczególną

uwagę na warunki hodowli w czasie pomiędzy rozszczepieniem genu a próbą *in vivo*.

Wszystko sprowadzało się do tego samego: należało powtórzyć ten cholerny eksperyment. Ale przecież wiedział, że wynik będzie ten sam, ponieważ niczego nie można było zrobić w inny sposób. Ze znużeniem wywołał zapiski Burta i zaczął przeglądać część dotyczącą lokalizacji genu wirusa. Burt wykonał znakomitą robotę i Carson nie mógł dopatrzeć się w niej żadnych uchybień, lecz mimo to warto było spróbować. Może powinien powtórzyć analizę genetyczną plazmidu wirusa, co - jak wiedział - zajęłoby mu co najmniej dwa miesiące. Pomyślał o dwóch miesiącach w ciasnocie Wylęgarni i o Brandon-Smith, odbywającej teraz kwarantannę gdzieś tam w głębi. Przypomniał sobie krew sączącą się z jej podrapanego boku, strach i niedowierzanie na jej twarzy, gdy odprowadzali ją strażnicy.

Siedział przed wielkim oknem, które wychodziło na pustynię. To była jego jedyna pociecha. Od czasu do czasu spoglądał przez nie, patrząc na popołudniowe słońce złocące się nad żółtymi piaskami.

- Guy? - usłyszał głos za plecami. Odwrócił się i zobaczył w drzwiach de Vacę. Miała na sobie dzinsy i bawełnianą koszulkę, przez ramię przerzuciła fartuch. - Potrzebujesz pomocy? - zapytała.

- Nie.

- Przepraszam cię za to, co powiedziałam w Wylęgarni. Odwrócił się bez słowa. Rozmowa z tą kobietą zawsze kończyła się sprzeczką. De Vaca podeszła bliżej.

- Przyszłam przeprosić - oznajmiła. Westchnął.

- Przeprosiny przyjęte - odparł.

- Nie wierzę - upierała się. - Wciąż jesteś wściekły. Guy znów obrócił się do niej.

- Nie chodzi tylko o to, co powiedziałas w Wylęgarni. Czepiasz się wszystkiego, co powiem.

- Mówisz mnóstwo głupstw - odcięła się de Vaca.

- Właśnie o to chodzi. Nie przyszłaś tu przeprosić. Przyszłaś się kłócić.

W pustym laboratorium zapadła cisza. De Vaca wyprostowała się.

- Powinniśmy przynajmniej utrzymywać poprawne stosunki zawodowe. Musimy. Potrzebna mi ta premia, żeby otworzyć klinikę. Eksperyment się nie powiódł. Spróbujemy ponownie.

Carson spojrział na nią. Oświetlona wpadającym przez okno blaskiem, mierzyła go wyzywającym spojrzeniem fiołkowych oczu. Długie

czarne włosy spływały na jej ramiona i kark. Mimo woli wstrzymał oddech. Była taka piękna. Nagle przeszła mu złość.

- Co się dzieje między tobą a Marrem? - zapytał. Obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

- Tym sukinsynem? Przystawia się do mnie od pierwszego dnia. Chyba myśli, że żadna kobieta nie oprze się jego czarnym butom i dziesięciogalonowemu kapeluszu.

- Całkiem niezłe dałaś sobie radę na Bombowym Pikniku. Zrobiła skruszoną minę.

- Owszem, ale on nie należy do tych, którzy zapominają o urazach. Udaje wesołego i dobrodusznego, choć wcale taki nie jest. Widziałeś, jak uderzył mnie kolbą w brzuch w Wylęgarni. Jest w nim coś, co mnie przeraża. - Szybkim ruchem odgarnęła włosy z policzka. - No dobrze, zabierajmy się do roboty.

Carson westchnął.

- W porządku. Spójrz, co napisałem, może przyjdzie ci do głowy jakaś inna przyczyna niepowodzenia.

Przesunął PowerBooka, a ona usiadła na sąsiednim stołku i przeczytała tekst na ekranie.

- Chyba mam jeszcze jeden powód - powiedziała po chwili.

- Jaki? Napisała:

Możliwość 5: Szczep wirusa skażony innym szczepem X-FLU albo fragmentami plazmidów.

Rozwiązanie: Ponownie oczyścić i powtórzyć eksperyment.

- Dlaczego sądzisz, że mógł być zanieczyszczony? - zapytał Carson.

- Zawsze istnieje taka możliwość.

- Przecież te próbki były rozdzielane metodą GEE Są czystsze niż watykański dowcip.

- Po prostu uważam, że to możliwe - powtórzyła de Vaca. - Nie zawsze można wierzyć maszynie. Te szczepy X-FLU są bardzo podobne do siebie.

- No dobrze - westchnął Carson. - Najpierw jednak chcę ponownie przejrzeć notatki Burta dotyczące mapowania plazmidu X-FLU. Znam je prawie na pamięć, ale chcę sprawdzić jeszcze raz, żeby mieć pewność.

- Pozwól, że ci pomogę - zaproponowała de Vaca. - Może razem coś znajdziemy.

W milczeniu zaczęli czytać.

Roger Czerny leżał na łóżku w pokoju kwarantanny, spoglądając na siedzącą pod przeciwległą ścianą Brandon-Smith. Była nadęta jak zwykle. Nienawidził jej bardziej niż jakiegokolwiek innej osoby w życiu. Nienawidził tego wielkiego skafandra na jej tłustym cielsku, skamlącego i sarkastycznego głosu, zdyszanego oddechu i pojękiwania w interkomie. Przez nią mógł umrzeć. Był wściekły, że musi dzielić z nią pokój. Czy GeneDyne nie było stać na wybudowanie dwóch pomieszczeń do kwarantanny? Dlaczego umieścili go z tą tłustą, paskudną babą, która przez cały dzień narzekała i jęczała? Musiał pa-trzeć, jak chodzi, je, śpi, wypróżnia się... To było nie do zniesienia. W dodatku każda najprostsza nawet czynność była okropnie skomplikowana, obojętnie, czy chodziło o sikanie, czy spożywanie posiłku, ponieważ w pomieszczeniu trzeba było utrzymać sterylność. Kiedy stąd wyjdę, myślał, jeśli mi tego należycie nie wynagrodzą - co najmniej stutysięczną premią - podam drani do sądu. Ich obowiązkiem było wyposażenie go w skafander odporny na rozdarcia. To powinno być częścią zabezpieczeń. Nieważne, że dali im obojgu nowe skafandry. Być może zamknęli go z jego morderczynią. Byli winni jak diabli i zapłacą mu za to.

A na domiar wszystkiego nie chcieli mu powiedzieć, jakie są wyniki badań pobieranych co chwila próbek krwi. W ten sposób dowie się czegoś dopiero wtedy, kiedy upłynie dziewięćdziesięciosześciodziesięć godzinny termin oczekiwania. Jeśli go wypuszczą, będzie to oznaczało, że jest czysty. Jeżeli nie...

Kurwa, pomyślał, zażadam za to dwustu tysięcy Dwustu pięćdziesięciu. Wynajmę dobrego adwokata.

Była dziesiąta. Paliły się światła, więc wiedział, że to wieczór, a nie rano. Tylko po tym mógł rozróżnić pory dnia w tym więzieniu. Kolejny raz przypomniał sobie swój jedyny pobyt w szpitalu przed dziesięcioma laty. Zapalenie wyrostka. To było jak szpital, tylko gorsze. Znacznie gorsze. Siedział trzydzieści metrów pod ziemią, zamknięty w ciasnym pomieszczeniu, bez żadnej możliwości ucieczki, mając za współwięźnia... Kilkakrotnie otworzył i zamknął usta, gwałtownie wciągając powietrze, usiłując zwalczyć narastającą panikę.

Powoli jego oddech wrócił do normy. Usiadł na łóżku i wycelował pilota w podwieszony pod sufitem telewizor. Powtórka *Trojga zbiegów*. Wszystko, byle tylko oderwać się od rzeczywistości.

Usłyszał cichy brzęk i wysoko na ścianie zapaliła się niebieska lampka. Potem rozległ się syk powietrza i przez drzwi przecisnął się doktor Grady w ciężkim kombinezonie spowalniającym ruchy

- To znów ja - powiedział wesoło przez interkom.

Najpierw pobrał krew od Brandon-Smith, wprowadzając igłę przez specjalny, samouszczelniający się otwór w rękawie jej skafandra.

- Złe się czuję - zaskomliła. Mówiła tak za każdym razem, gdy przychodził. - Chyba kręci mi się w głowie.

Grady zmierzył jej temperaturę, korzystając z termometru umieszczonego w skafandrze.

- Trzydzieści osiem i pół! - zawołał. - To skutki stresu. Spróbuj się odprężyć.

- Boli mnie głowa - powtórzyła po raz dwudziesty.

- Jeszcze nie czas na następny zastrzyk - orzekł lekarz. - Dopiero za dwie godziny.

- Ale boli mnie teraz.

- Może pół dawki... - mruknął i zaczął szukać w walizeczce gumowych rękawic. Zrobił jej zastrzyk.

- Proszę, proszę, powiedz mi, czy to mam - błagała.

- Za dwadzieścia cztery godziny - powiedział Grady. - Jeszcze jeden dzień. Jesteś w świetnej formie, Rosalind, naprawdę w świetnej. Jak ci mówiłem, wiem tyle samo co ty.

- Kłamiesz - warknęła Brandon-Smith. - Chcę porozmawiać z Brentem.

- Spokojnie. Nikt tu nie kłamie. Jesteś zestresowana. Podszedł do Czernyego, który z rezygnacją podsunął mu ramię, by mógł pobrać krew.

- Mogę coś dla ciebie zrobić, Roger? - zapytał lekarz.

- Nie - odparł Czerny. Wiedział, że nawet gdyby zdołał uciec z celi, przed wirusem nie ucieknie.

Doktor Grady pobrał mu krew i wyszedł. Niebieska lampka przestała mrugać, gdy drzwi znów zostały uszczelnione. Czerny wrócił do *Trojga zbiegów*, a Brandon-Smith położyła się i w końcu zasnęła. O jedenastej Czerny zgasił światło.

Obudził się nagle o drugiej w nocy. Chociaż w pomieszczeniu było ciemno, ze zgrozą dostrzegł jakąś postać stojącą przy jego łóżku.

- Kto to?! - zawołał, siadając. Wyciągnął rękę do włącznika światła, ale zaraz ją opuścił, rozpoznawszy Brandon-Smith. - Czego chcesz? - zapytał.

Nie odpowiedziała. Jej potężne ciało lekko drżało.

- Zostaw mnie w spokoju!

- Moja prawa ręka - powiedziała Brandon-Smith.

- Co z nią?

- Nie ma jej - odparła. - Obudziłam się i wcale jej nie czuję.

Czerny wymacał w ciemności alarmowy przycisk na rękawie swojego kombinezonu i gwałtownie go wdusił. Brandon-Smith zrobiła krok naprzód i wpadła na krawędź łóżka.

- Odejdź ode mnie! - krzyknął Czerny. Poczuł, że łóżko się trzęsie.

- A teraz nie czuję lewej ręki - szepnęła, przeciągając głoski. Dygotała coraz mocniej. - To dziwne. Coś rusza się w mojej głowie jak robaki.

Czerny cofnął się pod ścianę.

- Na pomoc! - zawołał do interkomu. - Niech ktoś tu przyjdzie, do cholery!

Światła w suficie zapaliły się, zalewając pomieszczenie słabym czerwonym blaskiem. Brandon-Smith zaczęła wrzeszczeć:

- Gdzie jesteś? Nie widzę cię! Nie zostawiaj mnie tu!

Czerny usłyszał w interkomie dziwny plusk, niemal natychmiast zagłuszony przez trzask zwarcia. Spojrzawszy w górę, ze zgrozą ujrzał zwoje szarej tkanki mózgowej przyklejone od wewnątrz do wizjera hełmu Brandon-Smith. Mimo to kobieta jeszcze przez chwilę stała na nogach, zanim powoli runęła na jego łóżko.

CZEŚĆ DRUGA

Stajnia znajdowała się niedaleko ogrodzenia i była skromnym metalowym barakiem z sześcioma boksami. W czterech z nich znajdowały się konie. Nadchodził świt i Wenus, Gwiazda Poranna, jasno świeciła na wschodzie, tuż nad horyzontem.

Stojąc w stajni, Guy Carson spoglądał na podrzemujące ze spuszczonego łbami zwierzęta. Kiedy cicho gwizdnął, poderwały głowy, strzygąc uszami.

- Który z was ma ochotę na przejażdżkę? - zapytał. Jeden z wierzchowców parsknął w odpowiedzi.

Carson obejrzał konie. Zwyczajna zbieranina, najwyraźniej zakupione w okolicy odrzuty z miejscowych rancz. Srokata klacz, dwa konie ćwierćkrwi i jeden trochę lepszy, nieokreślonej rasy. Wspaniałego wierzchowca Nyea, Muerto, nie było, najwidoczniej właściciel zabrał go na jedną ze swych tajemniczych wypraw. Pewnie też ma dość tego miejsca, pomyślał Carson. Chociaż wydawało się, że szef ochrony nie powinien w takiej sytuacji opuszczać ośrodka. Carson miał przynajmniej wymówkę: piąte laboratorium wciąż było zamknięte i miało zostać otwarte dopiero nazajutrz, po kontroli przeprowadzonej przez inspektora OSHA⁷.

Nawet gdyby Wylęgarnia była czynna, i tak nie miałby dziś nic do roboty. Skrzywił się w ciemnościach. Kiedy wreszcie doszedł do wniosku, że nie powinien obwiniać się o wypadek, Brandon-Smith umarła na X-FLU. Potem wywieziono karetką Czernyego, niezarażonego wirusem, ale zupełnie rozbitego. Cała Wylęgarnia została odkażona, a potem zamknięta. Teraz nie pozostawało nic innego, jak czekać, a Carson miał dość czekania w ponurej, grobowej atmosferze panującej w ośrodku. Potrzebował czasu, by przemyśleć problem X-FLU, znaleźć przyczynę niepowodzenia i - co może najważniejsze - odzyskać spokój ducha. A nie znał na to lepszego sposobu niż długa konna przejażdżka.

Jego wzrok przyciągnął ostatni koń, kasztanowej maści ogier. Miał łeb jak trumna, ale był młody i wyglądał na wytrzymałego. Patrzył na Carsona spokojnie spod zmierzwionej, opadającej na ślepią grzywki.

7 OSHA — urząd ds. BHP (Occupational Safety and Health Administration).

Carson wszedł do boksu i powiódł dłonią po końskim boku. Sierść była gęsta i szorstka, skóra twarda jak blacha. Koń nie szarpnął się ani nie zadrzał, tylko odwrócił łeb i obwąchał ramię przybysza. Miał w oczach bystry, czujny błysk, który spodobał się Carsonowi.

Podniósł przednią nogę zwierzęcia. Podkowy były w dobrym stanie, chociaż fatalnie przybite. Wierzchowiec stał spokojnie, gdy Carson scyzorykiem oczyszczał mu kopyto. Kiedy skończył, puścił nogę ogiera i poklepał go po karku.

- Cholernie fajny z ciebie koń - stwierdził. - Chociaż brzydki jak zaraza.

Koń odpowiedział parsknięciem.

Carson zarzucił mu kantar na szyję i wyprowadził na zewnątrz. Nie jeździł od dwóch lat, ale stare przyzwyczajenia już dawały o sobie znać. Wrócił do stajni i przejrzał kolekcję siodel. Było oczywiste, że większości mieszkańców Mount Dragon nie interesuje konna jazda. Jedno z siodel było przełamane, a drugie tak prowizorycznie powiązane, że pewnie by się rozpadło, gdyby koń ruszył kłusem. Carson znalazł tylko jedno stare siodło z wysokim łękiem, które nadawało się do użytku. Podniósł je, wziął końską derkę i uzdę, po czym zaniósł wszystko do uwiązanego przed stajnią konia. Przypiął sobie ostrogi, zauważając przy tym, że w jednej złamało się kółko.

- Jak masz na imię? - zapytał cicho, gładząc wierzchowca po szyi. Koń stał w promieniach wschodzącego słońca i nie odpowiadał. - No cóż, wobec tego będę nazywał cię Roscoe.

Złożył koc, umieścił go na grzbiecie zwierzęcia, a potem nałożył siodło. Przeciągnął popręg przez klamrę i zacisnął, czując, jak koń wydyma brzuch, próbując go oszukać.

- Łobuz z ciebie - powiedział.

Pozostawił popręg niedopięty, odczekał chwilę, a potem zniecka uderzył kolanem w koński brzuch i mocno zaciągnął popręg. Koń położył uszy po sobie.

- Mam cię - mruknął Carson.

Niebo na wschodzie wyraźnie pojaśniało, a Wenus przybladła, stając się prawie niewidoczna. Carson przytroczył sakwy z prowiantem, zarzucił na łęk siodła pętlę bukłaka z wodą i dosiadł konia.

Przy tylnej bramie ogrodzenia nie było żadnego strażnika. Podjechał do niej, pochylił się w siodle i wprowadził kod. Brama się otworzyła.

Wyjechał na pustynię i głęboko odetchnął. Po prawie trzech tygo-

dniach uwięzienia w laboratorium w końcu był wolny Uwolnił się od klaustrofobii Wylegarni i okropności ostatnich kilku dni. Jutro przyjedzie inspektor z OSHA i znów zacznie się młyn. Postanowił dobrze wykorzystać ten dzień.

Roscoe szedł ostrym, szybkim kłusem. Carson skierował go na południe i pojechał ku ruinom starego indiańskiego puebla, które sterczały na horyzoncie: kilka walących się ścian pośród stert gruzu. Interesowały go, od kiedy po raz pierwszy zobaczył je z okna gabinetu Singera.

Przejechał obok nich. Większość pokrywał nawiany wiatrem piasek, ale tu i ówdzie widać było zarysy zwalonych murów i pomieszczeń. Ruiny niczym nie różniły się od wielu innych, które widywał jako młody chłopiec. Wkrótce pozostały w tyle, powoli odpływając w dal.

Odjechawszy kilka kilometrów od laboratorium, Carson puścił konia stępa i rozejrzał się wokół. Mount Dragon zmienił się w biały stożek na północy. Carsona otaczały teraz kreozotowe krzewy, z niemal geometryczną precyzją ciągnące się aż po horyzont.

Nadal jechał na południe, ciesząc się znajomym kołysaniem. Na wzniesieniu przystanąła krótkoroga antylopa i spojrzała w kierunku nadjeżdżającego. Potem dołączyła do niej druga. Nagle, jakby smagnięte batem, odwróciły się i uciekły - wyczuły zapach człowieka. Carson przejechał przez kępę dziwnie powykręcanej juki, wyglądającej jak grupa pochylnych ludzi. Przypomniał sobie przekazywaną w rodzinie opowieść o tym, jak Kit Carson i prowadzone przez niego wozy przez piętnaście minut jeździły w kółko i strzelały, zanim ktoś spostrzegł, że prowadzą ogień do takiej kępy.

W południe uznał, że odjechał już ponad dwadzieścia kilometrów od Mount Dragon. Ledwie mógł dostrzec szczyt szarej góry - ciemny trójkąt na północnym horyzoncie - ale laboratorium już dawno znikło mu z oczu. Na zachodzie pojawił się łańcuch niskich wzgórz i Carson skierował ku nim konia, chcąc przyjrzeć im się z bliska.

Dotarł do skraju szerokiego jezora lawy. Czarne, ostre głazy były porośnięte kwitnącymi krzewami meksykańskiej sosny Carson wiedział, że to część ogromnej formacji wulkanicznej znanej jako *El Mal-pais* - Bad Country, zajmującej setki kilometrów pustyni Jornada. Wzgórza były coraz bliżej i Carson zobaczył, że jest to skupisko wygasłych wulkanów podobnych do Mount Dragon.

Pojechał wzdłuż skraju jezora lawy, klucząc po krętej ścieżce. Lawa rozlewała się jak ameba na piaskach pustyni, pozostawiając za sobą

skomplikowany labirynt zatoczek, wysp i jaskiń.

Carson zauważył zrywającą się między wzgórzami burzę piaskową. W troposferze zaczęła zbierać się gęsta chmura o płaskim i czarnym jak kowadło dnie. Wyczuwał w powietrzu zmianę, którą zwiastował zapach ozonu. Gęstniejąca chmura zasłoniła słońce i wokół zapadła głęboka cisza. Kilka minut później spadł rześisty deszcz koloru błękitnej stali. Carson popędził Roscoe, zamierzając przeczekać burzę w jednej z jaskiń, jakie zazwyczaj można było znaleźć w takich miejscach.

Kolumna deszczu zgęstniała, wiatr zaczął podrywać z ziemi tumany pyłu. W głębi chmury zamigotała błyskawica i nad pustynią przetoczył się grzmot przypominający salwę armatnią jakiejś odległej bitwy. W miarę zbliżania się burzy słychać było narastający szum i coraz wyraźniej dawał się wyczuć zapach mokrego piasku i ozonu.

Carson minął wzgórek lawy i wśród kopczyków poskręcane go bazyaltu zauważył obiecującą jaskinię. Zsiadł z konia, zdjął juki i uwiązał Roscoe do kamienia, a potem wspiał się po gładkich do wylotu jaskini.

W środku znalazł półmrok i chłód, dno pokrywał naniesiony przez wiatr piasek. Gdy wchodził do jaskini, na ziemię spadły pierwsze wielkie krople deszczu. Zobaczył, że uwiązany na długim sznurze Roscoe odwraca się zadem do wiatru. Deszcz zmoczy siodło, pomyślał. Powinien zabrać je do jaskini, ale taki grat nie zasługuje na szczególną troskę. Naoliwi je po powrocie.

Nagle pustynię zalały strumienie deszczu. Wzgórza znikły i nawet jezior czarnej lawy skrył się w szarudze. Carson położył się na plecach w półmroku jaskini. Myślami mimo woli powrócił do Mount Dragon. Nawet tutaj nie mógł się od niego uwolnić. To zagubione wśród piasków laboratorium nadal wydawało mu się nierealne. A jednak śmierć Brandon-Smith była najzupełniej realna. Znow zaczęła go dręczyć myśl, że żyłaby, gdyby jego eksperyment genetyczny się powiódł. W pewnym sensie zabiła ją jego nadmierna pewność siebie. Wprawdzie zdawał sobie sprawę, że taki wniosek jest pozbawiony racjonalnych podstaw, jednak wciąż dręczyła go ta myśl. Choć wiedział, że zrobił, co było w jego mocy, a powodem wypadku była nieostrożność Fillsona i Brandon-Smith, nie mógł pozbyć się poczucia winy.

Zamknął oczy i próbował wsłuchać się w szum deszczu i wiatru. W końcu usiadł i spojrzał przez otwór jaskini. Roscoe stał spokojnie, nie okazując strachu. Najwidoczniej widział już burzę. Carson mu współczuł, ale przecież konie od niepamiętnych czasów stały na deszczu, podczas gdy ich panowie chronili się w jaskiniach.

Znów się położył i machinalnie przesuwał rękami po piasku na dnie jaskini, czekając, aż burza przejdzie dalej. Nagle jego palce natrafiły na coś zimnego i twardego. Wyciągnął ten przedmiot z piasku. Był to grot włóczni, wykonany z szarego krzemienia, lekki i cienki jak liść. Pamiętał, że kiedyś znalazł podobny grot strzały na pastwisku. Kiedy przywiózł go do domu, jego wuj Charley był bardzo podekscytowany i oświadczył, że to dobry znak i Guy zawsze powinien mieć go przy sobie. Zrobił skórzany woreczek, do którego włożył grot strzały, a potem podśpiewywał nad nim i posypywał go popiołem. Ojciec Carsona był tym zdegustowany, więc Carson później wyrzucił woreczek i po-wiedział wujowi, że go zgubił.

Teraz wsunął grot włóczni do kieszeni, wstał i podszedł do wylotu jaskini. To znalezisko dziwnie poprawiło mu humor. Pomyślał, że jakoś upora się z tym wszystkim i zdoła zneutralizować X-FLU - choćby po to, żeby śmierć Brandon-Smith nie okazała się daremna.

Kiedy burza przeszła dalej, wyszedł przed jaskinię. Rozglądając się wokół, zobaczył wielki łuk tęczy nad wzgórzami na południu. Słońce zaczęło przebijać się przez chmury Odwiązał Roscoe, poklepał go po karku, a potem wytarł do sucha siodło i usiadł w nim.

Kopyta ogiera grzęzły w mokrym piasku, gdy Carson ponownie skierował konia ku odległym wzgórzom. Po kilkunastu minutach upał wrócił, pustynia zaczęła parować i Carson poczuł pragnienie. Nie chcąc uszczuplać swoich skąpych zapasów wody, poszukał w kieszeni gumy do żucia.

Wjechał na szczyt pagórka i zamarł, podnosząc gumę do ust. Tuż przed sobą zobaczył ślady na piasku: jeździec na koniu, podkutym równie kiepsko jak Roscoe. Trop był świeży, pozostawiony już po deszczu.

Carson włożył gumę do ust i podążył śladem kopyt. Na wierzchołku następnego pagórka dostrzegł w oddali konia i jeźdźca kierujących się między dwa stożkowate szczyty. Natychmiast rozpoznał śmieszny kapelusz i czarny garnitur. Jednak w sposobie, w jaki jeździec kierował koniem, nie było niczego zabawnego. Wycofawszy Roscoe za krawędź wzgórzka, Carson zsiadł i wyjrzał spoza niego.

Nye jechał pod kątem prostym do Carsona. W pewnej chwili ściągnął wodze swego wierzchowca i z kieszeni na piersi wyjął jakąś kartkę papieru. Położył ją na łęku siodła i wyciągnął kompas, zorientował ma-pę według jego wskazań, obrócił swojego wierzchowca o dziewięćdziesiąt stopni i znikł między wzgórzami.

Carson ponownie dosiadł konia. Ufając swoim umiejętnościom

tropiciela, pozwolił Nyeowi odjechać spory kawałek, zanim ruszył za nim.

Nye zostawiał bardzo szczególny trop. Jechał prosto przez kilometr, wykonywał zwrot o dziewięćdziesiąt stopni, znów jechał kilometr i ponownie robił zwrot, jakby wykreślał na pustyni szachownicę. Po śladach kopyt na piasku widać było, że przy każdym zwrocie przystawał, zanim podjął jazdę.

Carson jechał za nim, zaintrygowany tym zagadkowym zachowaniem. To nie była przejażdżka dla przyjemności. Robiło się późno. Najwidoczniej Nye zamierzał spędzić noc wśród tych pustych wulkanicznych wzgórz, trzydzieści kilometrów od Mount Dragon.

Carson ponownie zsiadł z konia, żeby zbadać ślady Nye jechał teraz szybciej, wjeżdżając na łagodnie nachylony stok. Miał dobrego wierzchowca, w lepszej kondycji niż Roscoe, i Carson wiedział, że nie zdoła tropić go zbyt długo. Po kilku przejażdżkach Roscoe być może dorównywałby koniowi Nye'a, ale „skwaśniał” w stajni, a od ośrodka dzieliło ich wiele kilometrów. Czas zakończyć tę zabawę, pomyślał Carson.

Kiedy zamierzał wskoczyć na konia, za plecami usłyszał ostry głos. Odwrócił się i zobaczył Nye'a.

- Co tu robisz, do diabła? - warknął Anglik.

- Jestem na przejażdżce, tak samo jak ty - odparł zaskoczony Carson. Najwidoczniej Nye zauważył, że jest śledzony, i zatoczył krąg, w klasyczny sposób zaskakując tropiącego.

- Ty kłamliwy draniu, śledziłeś mnie.

- Byłem ciekawy... - zaczął Carson.

Nye podjechał bliżej i lekko naciskając kolaniem, okręcił wierzchowca, jednocześnie kładąc dłoń na kolbie karabinu tkwiącego w olstrze przy siodle.

- Kłamiesz - syknął. - Wiem, o co ci chodzi, Carson, więc nie udawaj głupiego. Jeśli znów zauważę, że mnie śledzisz, zabiję cię, słyszysz? Zakopię cię tutaj i nikt się nie dowie, co się stało z twoim nędznym, cuchnącym ciałem.

Carson błyskawicznie wskoczył na konia.

- Nie mów do mnie w ten sposób - ostrzegł.

- Będę mówił do ciebie, jak będę chciał - odparł Nye i zaczął wyciągać karabin z olstra.

Carson ubódł konia piętami i Roscoe wyrwał do przodu. Zaskoczony Nye wyrwał broń z pochwy i usiłował wycelować, ale

Roscoe wpadł na Muerto i szef ochrony zachwiał się w siodle. Carson puścił wodze, oburącz złapał sztucer i gwałtownym szarpnięciem wyrwał go z rąk szefa ochrony. Nie spuszczać Nye'a z oka, otworzył magazynek i wy-sypał jego zawartość na piasek. Potem wyjął z ust kulkę gumy do żucia i wepchnął ją głęboko do komory. Zatrzasnął rygiel i cisnął broń daleko w dół zbocza.

- Nigdy więcej nie próbuj do mnie celować - powiedział.

Nye siedział na koniu, ciężko dysząc, czerwony jak burak. Usiłował ruszyć w kierunku sztucera, ale Carson zajechał mu drogę.

- Jak na Anglika niezbyt uprzejmy z ciebie skurwysyn - powiedział.

- To broń za trzy tysiące dolarów - mruknął Nye.

- Tym bardziej nie powinieneś nią wymachiwać komuś przed nosem. - Carson ruchem głowy wskazał na zbocze. - Jeśli spróbujesz z niej teraz strzelić, rozerwie lufę i urwie ci łeb razem z tym twoim ku-cykiem. Zanim zdołasz ją wyczyścić, już mnie tu nie będzie.

Zapadła długa cisza. Popołudniowe słońce odbijało się w oczach Nyea, nadając im dziwny, czerwonożłoty kolor. Spoglądając w nie, Carson zauważył, że te ogniste błyski nie były tylko odbiciem słońca. Tęczówki tego człowieka miały czerwonawe zabarwienie, jakby paliły się płomieniem skrywanej obsesji.

Bez słowa obrócił konia i rażnym klusem ruszył na północ. Po kilku minutach zatrzymał wierzchowca i odwrócił się. Nye nadal siedział nieruchomo na koniu, wyraźnie widoczny na tle nieba, spoglądając w ślad za odjeżdżającym.

- Uważaj, Carson! - zawołał z oddali.

Carsonowi wydało się, że słyszy chrapliwy śmiech, zanim wiatr porwał ten dziwny dźwięk.

Przenośny odtwarzacz CD leżał na rozpostartej na białym stole w dyżur-ce „Wall Street Journal”, rozebrany na dwadzieścia lub trzydzieści części. Nad nimi pochylał się osobnik w brudnym podkoszulku, przyglądając się im w skupieniu. Dumne hasło na podkoszulku, zachęcające do odwiedzenia pięknej Gruzji, widniało nad obrazkiem przedstawiającym ponurą, podobną do fortecy budowlę, typową dla stalinowskiej architektury

De Vaca stała pod ścianą dyżurki, zastanawiając się, czy ten napis to naprawdę tylko żart.

- Mówiłeś, że jeszcze nigdy nie naprawiałaś odtwarzacza kompaktowego - powiedziała nerwowo.

-*Da*- mruknął mężczyzna, nie podnosząc głowy.

- No to jak... - nie dokończyła.

Tamten znów coś wymamrotał, a potem wyciągnął jakiś układ scalony z płytki drukowanej odtwarzacza, chwyciwszy go kleszczami o izolowanych rączkach.

- Hmm - mruknął i niedbale rzucił kość na gazetę. Ponownie wyszy kleszczy, wyjął drugą kość.

- Może to nie był najlepszy pomysł - stwierdziła de Vaca. Mężczyzna zmierzył ją spojrzeniem znad opadających do połowy nosa okularów.

- Jeszcze nie skończyłem – oświadczył.

De Vaca wzruszyła ramionami, żałując, że w ogóle przyniosła odtwarzacz do tego człowieka. Chociaż mówiono jej, że Paweł Władimirowicz to geniusz, na razie nic na to nie wskazywało. Sam przyznał, że jeszcze ni-gdy nie widział odtwarzacza CD, nie mówiąc już o naprawianiu jakiegoś.

Mężczyzna westchnął, upuścił drugi scalak na gazetę i osunął się na krzesło, poprawiając okulary.

- Jest zepsuty - oznajmił.

- Wiem - odparła de Vaca. - Dlatego go do pana przyniosłam. Władimirowicz pokiwał głową i ruchem ręki wskazał jej wolne krzesło.

- Potrafi go pan naprawić czy nie? - zapytała de Vaca, wciąż stojąc. Pokiwał znów głową.

- *Da*, nie ma obawy! Mogę naprawić. To problem ze scalakiem sterującym diodą laserową.

De Vaca usiadła.

- Ma pan taką część? - zapytała.

Władimirowicz pokiwał głową i potarł spocony kark. Potem wstał, podszedł do szafki i wrócił z małym pudłem pełnym zielonych płytek.

- Zaraz go złożę - oświadczył.

De Vaca patrzyła, jak w nagłym przyplywie energii wylutowuje części z wyjętej z pudła płytki i w pięć minut składa odtwarzacz. Podłączył go do gniazdka i włożył przyniesioną przez de Vacę płytkę. Z głośników popłynął ryk przelatujących B-52.

- Ee - burknął Władimirowicz, wyłączając odtwarzacz. - *Niekulturalno*. Co za hałas! Chyba nadal jest zepsuty... - Zaśmiał się z własnego żartu.

- Dziękuję - powiedziała de Vaca ze szczerym zadowoleniem w

głosie. - Używam go co wieczór. Bałam się, że będę musiała do koń-ca pobytu tutaj obywać się bez muzyki. Jak pan to zrobił?

- Mam tu mnóstwo części wymontowanych z układu zabezpieczającego - odparł Władimirowicz. - Wykorzystałem jedną z nich. To bardzo prościutki sprzęt. Nie taki jak ten! - Dumnym gestem wskazał rząd paneli sterujących, kineskopów i konsoli.

- Do czego one służą? - zapytała de Vaca.

- Do wielu rzeczy! - oświadczył, podchodząc do swoich elektronicznych urządzeń. - To tutaj kontroluje laminarny przepływ powietrza, tamto zasysanie powietrza, a to jest piec. - Niedbale machnął ręką. - Te obok regulują chłodzenie.

- Chłodzenie?

- *Da*. Chyba nie chcielibyście, żeby tłoczyć wam powietrze o temperaturze dziewięciuset stopni? Trzeba je schłodzić.

- Dlaczego po prostu nie pobierać świeżego powietrza?

- Jeśli pobieramy świeże, musimy usuwać stare. *Niechamszo*. To obieg zamknięty Jesteśmy jedynym laboratorium na świecie mającym taki system. Pochodzi jeszcze z czasów, gdy pracowano tu dla wojska, i tłoczy ciepłe powietrze do piątego laboratorium.

- Wspomniał pan o układzie zabezpieczającym - powiedziała de Vaca. - Nie przypominam sobie, że bym coś o nim słyszała.

- Jest przewidziany na wypadek alarmu zerowego stopnia.

- Nie ma czegoś takiego. W najgorszym wypadku ogłoszony zostanie alarm pierwszego stopnia.

- Kiedyś był także alarm zerowego stopnia. - Władimirowicz wzruszył ramionami. - Może terroryści w piątym laboratorium, może wypadek powodujący całkowite skażenie. Wprowadzenie do piątego laboratorium powietrza o temperaturze dziewięciuset stopni spowoduje całkowitą sterylizację. Nie tylko sterylizację. Całe to miejsce wyleci w powietrze. *Panimajetie?* Duże bum!

- Rozumiem - odparła trochę niepewnie de Vaca. - Ale to nie może zdarzyć się przypadkiem, ten alarm zerowego stopnia, prawda?

Władimirowicz zachichotał.

- Niemożliwe. Kiedy władzę przejęli cywile, system został wyłączony. - Machnął ręką w kierunku terminalu komputerowego. - Działałby tylko wtedy, gdyby znów go podłączono do systemu.

- To dobrze - odetchnęła z ulgą de Vaca. - Nie chciałabym usmażyć się żywcem, jeśli ktoś nacisnąłby niewłaściwy przełącznik.

- Racja - mruknął Rosjanin. - Na zewnątrz i tak jest dość gorąco,

więc nie ma potrzeby niczego podgrzewać, *niet? Żarko!*

Potrząsnął głową, ze skupieniem wpatrując się w gazetę. Nagle zeszytniał. Podniósł ostatnią stronę „Wall Street Journal” i wskazał coś palcem.

- Widzi pani to? - zapytał.

- Nie - odparła de Vaca.

Zerknęła na kolumnę maleńkich cyfr i pomyślała, że pewnie podkradł tę gazetę z biblioteki Mount Dragon, która subskrybowała ponad tuzin gazet i periodyków nieosiągalnych on-line. Były to jedyne czasopisma dostępne na terenie ośrodka.

- Akcje GeneDyne znów spadły o pół punktu! Czy pani wie, co to oznacza?

De Vaca pokręciła głową.

- Tracimy pieniądze!

- Tracimy... ? - powtórzyła.

- *Dal* Pani ma akcje, ja mam akcje, a one spadają o pół punktu! Straciłem trzysta pięćdziesiąt dolarów! Co ja mógłbym zrobić z tymi pieniędzmi!

Ukrył twarz w dłoniach.

- Czy nie należało się tego spodziewać? - zapytała de Vaca.

- *Szto?*

- Czy akcje codziennie nie idą raz w górę, raz w dół?

- *Da*, codziennie! W zeszły poniedziałek zarobiłem sześćset dolarów.

- A więc jakie to ma znaczenie?

- Ogromne! W zeszły poniedziałek byłem sześćset dolarów bogatszy. A teraz wszystko przepadło!

Bezradnie rozłożył ręce.

De Vaca z trudem powstrzymywała śmiech. Ten człowiek najwyraźniej codziennie śledził giełdowe notowania akcji, ciesząc się, kiedy zwyżkowały - i rozmyślając, na co wyda te pieniądze - albo wpadając w rozpacz, kiedy kurs spadał. Były to skutki oddawania akcji ludziom, którzy nigdy nie inwestowali. De Vaca była jednak pewna, że Władimirowicz musiał sporo na tym zyskać. Nie sprawdzała tego, od kiedy przybyła do Mount Dragon, ale wiedziała, że w ostatnich miesiącach cena akcji GeneDyne poszybowała w górę i wszyscy stali się bogatsi.

Władimirowicz znów pokręcił głową.

- Przez ostatnie dni było gorzej, coraz gorzej. Spadły o wiele punktów!

De Vaca zmarszczyła brwi.

- Nie wiedziałam.

- Nie słucha pani, co się mówi w kantine?! To przez tego profesora z Bostonu, Levine'a. On zawsze źle mówi o GeneDyne i Brencie Scopesie. Teraz mówi jeszcze gorsze rzeczy, nie wiem jakie, ale akcje spadły KGB wiedziałyby, co zrobić z takim człowiekiem -mruknął.

Westchnął z żalem i oddał jej odtwarzacz.

- Słyszając taką dekadencją i kontrrewolucyjną muzykę, żałuję, że go naprawiłem - powiedział.

De Vaca roześmiała się i pożegnała go. Doszła do wniosku, że obrazek na jego koszulce to jednak żart. W końcu dopuszczono go najtajniejszych badań, gdy laboratorium Mount Dragon pracowało dla woj-ska. Postanowiła, że kiedyś wyciągnie z niego całą tę historię.

Pierwszy letni skwar spowijał Harvard Yard jak mokry koc. Z wielkich dębów i kasztanów bezsilnie zwisały liście, w cieniu hałasowały cyka-dy. Levine zdjął samodziałową marynarkę i przewiesił ją przez ramię, wdychając zapach świeżo skoszonej trawy i wilgotne powietrze.

Ray siedział na biurku w sekretariacie, dłubiąc w zębach spinaczem do papieru.

- Masz gości - oznajmił na widok wchodzącego zwierzchnika. Levine przystanął i zmarszczył brwi.

- W środku? - zapytał i ruchem głowy wskazał zamknięte drzwi gabinetu.

- Nie odpowiadało im moje towarzystwo - wyjaśnił Ray.

Gdy Levine otworzył drzwi, Erwin Landsberg, rektor uniwersytetu, odwrócił się do niego z uśmiechem i wyciągnął rękę.

- Charles, tyle czasu - powiedział. - Zbyt wiele. - Wskazał mężczyznę w szarym garniturze. - To Leonard Stafford, nowy dziekan wydziału.

Levine uściśnął podaną mu miękką dłoń, dyskretnie rozglądając się wokół. Zastanawiał się, od jak dawna ci dwaj tutaj byli. Jego spojrzenie padło na otwartego laptopa stojącego na rogu biurka ze zwisającym z boku przewodem telefonicznym. Głupio postąpił, zostawiając komputer na widoku. Za pięć minut miał połączyć się z Mimem.

- Ciepło tutaj - powiedział rektor. - Powinieneś zamówić sobie w dziale technicznym klimatyzator.

- Przeziębiam się w klimatyzowanych wnętrzach. Lubię ciepło -odparł Levine i usiadł za biurkiem. - O co chodzi?

Obaj goście usiedli. Dziekan z niesmakiem spojrział na sterty papierów.

- Cóż, Charles... - zaczął rektor. - Przychodzimy tu w związku z oskarżeniem.

- Którym?

Rektor zrobił zboląłą minę.

- Podchodzimy do tego bardzo poważnie - oświadczył. Kiedy Levine nie odzywał się, dokończył: - Oskarżeniem wysuniętym oczywiście przez GeneDyne.

- To zwyczajne nękanie - stwierdził Levine. - Zostanie od-rzucone.

Dziekan wydziału nachylił się do niego.

- Doktorze Levine, obawiam się, że nie podzielamy tego punktu widzenia. To nie jest zabawne. GeneDyne zarzuca panu kradzież tajemnic, elektroniczne włamania, zniesławienie i oszczerstwo oraz wiele innych przestępstw.

Rektor pokiwał głową i dodał:

- GeneDyne wysunęła wiele poważnych oskarżeń. Nie tyle wobec fundacji, ile wobec twoich metod. Właśnie to najbardziej mnie nie-pokoii.

- Jakich moich metod?

- Nie ma potrzeby się podniecać. - Rektor poprawił spinki. -By-waliśmy już w opałach i zawsze cię popieraliśmy Nie zawsze było to łatwe, Charles. Kilku członków rady - bardzo wpływowych członków -wolałoby wydać cię na żer drapieżników. A teraz, kiedy zakwestio-nowano etykę twojego postępowania... No cóż, musimy dbać o dobre imię uczelni. Sam wiesz, co jest legalne, a co nie. Trzymaj się tego.

Wiem, że to rozumiesz. - Jego uśmiech lekko przygasał. -I właśnie dla-tego nie będę cię więcej ostrzegał.

- Doktorze Landsberg, sądzę, że nie rozumie pan sytuacji. To nie jest akademicka dyskusja - powiedział Levine. - Mówimy o przyszłości rasy ludzkiej.

Zerknął na zegarek. Dwie minuty Cholera. Landsberg z niedowierzaniem uniósł brew.

- Przyszłości rasy ludzkiej...?

- Toczmy wojnę. GeneDyne zmienia ludzkie komórki rozrodcze, popełniając zbrodnię przeciwko życiu ludzkiemu. „Ekstremalne metody obrony wolności nie są przestępstwem", pamiętasz? Kiedy Niemcy „oczyszczali" getta, nie było czasu na rozważania o etyce i prawie. Te-raz manipuluje się przy ludzkim genomie. Mam na to dowód.

- To obraźliwe porównanie - stwierdził Landsberg. - To nie są na-

zistowskie Niemcy, ale GeneDyne, cokolwiek o niej myślisz, nie jest SS. Robiąc takie porównania, podważasz zasługi, jakie oddałeś dla podtrzymania pamięci o holocauście.

- Ach tak? Zatem powiedz mi, jaka jest różnica między eugeniką hitlerowców a tym, co GeneDyne robi w Mount Dragon.

Landsberg z westchnieniem opadł na fotel.

- Jeśli nie dostrzegasz różnicy, Charles, to masz spaczone poczucie rzeczywistości. Podejrzewam, że twoja kruczata ma więcej wspólnego z osobistą niechęcią do Brenta Scopesa niż szlachetnym niepokojem o przyszłość rasy ludzkiej. Nie wiem, co wydarzyło się między wami dwoma dwadzieścia lat temu, i nic mnie to nie obchodzi, ale po-winieneś zostawić GeneDyne w spokoju.

- To nie ma nic wspólnego z naszym sporem... Dziekan niecierpliwie machnął ręką.

- Doktorze Levine, musi pan zrozumieć położenie uczelni. Nie możemy pozwolić, żeby wywijał pan szabelką i angażował się w jakieś podejrzone akcje, narażając nas na procesy o dwustumilionowe odszkodowania.

- Uważam to za naruszenie autonomii fundacji - oświadczył Levine. - Scopes wywiera na was naciski, co?

Landsberg zmarszczył brwi.

Jeśli nazwać żądanie dwustumilionowego odszkodowania „naciskami”, to owszem, do licha!

Rozległ się terkot telefonu, a potem ciche syczenie łączących się modemów. Ekran laptopa zamigotał i pojawiła się na nim postać trzymająca na czubkach palców wirującą kulę ziemską.

Levine niedbale rozparł się na krześle, zasłaniając ekran komputera.

- Muszę wracać do pracy - powiedział.

- Charles, mam wrażenie, że to do ciebie nie dociera - powiedział rektor. - Możemy w każdej chwili rozwiązać fundację. I zrobimy to, jeśli nas do tego zmusisz.

- Nie odważycie się - burknął Levine. - Prasa was rozniesie. A poza tym mój kontrakt jeszcze długo nie wygaśnie.

Rektor Landsberg, czerwony jak burak, gwałtownie wstał i odwrócił się do wyjścia. Dziekan podniósł się trochę wolniej, wygładzając garnitur. Pochylił się do Levine'a:

- Słyszał pan kiedyś określenie „morale”? Znajduje się w pańskim kontrakcie.

Ruszył do drzwi, a potem przystanął, oglądając się wyczekująco. Miniaturowy glob na ekranie zaczął obracać się szybciej, a trzymająca go postać niecierpliwie zmarszczyła brwi.

- Miło było z panami porozmawiać - powiedział Levine. - Wychodząc, proszę zamknąć za sobą drzwi.

Kiedy Carson wszedł do sali konferencyjnej Mount Dragon, w jej zimnym, białym wnętrzu było już pełno ludzi. W powietrzu unosił się gwar nerwowych rozmów. Dziś elektroniczne wyposażenie kryło się za ruchomymi panelami, a ekran wideokonferencyjny był czarny. Pod jedną ze ścian umieszczono dzbanki z kawą oraz talerze z ciasteczkami i tam zgromadził się największy tłum.

Carson dostrzegł Andrew Vanderwagona i Georgea Harpera stojących w kącie sali. Harper przywołał go gestem.

- Zaraz zacznie się narada wojenna - zapowiedział. - Jesteś gotowy?

- Na co?

- Niech mnie diabli, jeśli wiem - odparł Harper, przesuwając dłońią po rzadziejących włosach. - Pewnie na przesłuchanie trzeciego stopnia. Mówią, że jeśli tamtemu facetowi z OSHA nie spodoba się to, co tu zastanie, może zamknąć ośrodek.

Carson pokręcił głową.

- Nigdy tego nie robią z powodu wypadku przy pracy. Harper odchrząknął.

- Słyszałem też, że ten facet może doręczać wezwania sądowe i wytaczać sprawy kryminalne.

- Wątpię - rzekł Carson. - Gdzie to słyszałeś?

- W głównym kłębówisku plotek Mount Dragon: w kantynie. Nie widziałem cię tam wczoraj. Do czasu, aż ponownie otworzą piąte laboratorium, nie ma wiele do roboty, chyba że ktoś ma ochotę siedzieć cały dzień w bibliotece lub grać w tenisa na czterdziestostopniowym upale.

- Odbyłem małą przejażdżkę - wyjaśnił Carson.

- Przejażdżkę? Na tej twojej wystrzałowej asystentce? - zachichotał Harper.

Carson podniósł oczy ku niebu zirytowany rubasnością kolegi. Już zdecydował, że nikomu nie opowie o spotkaniu z Nyeem. Narobiłby tylko jeszcze większego zamieszania.

Harper zwrócił się do Vanderwagona, który przygryzał dolną wargę i z nieprzenikniętą miną spoglądał na tłum:

- Skoro już o tym mowa, to ciebie też nie widziałem w kantynie.

Znów przez cały dzień siedziałeś w swoim pokoju, Andrew?

Carson zmarszczył brwi. Najwidoczniej Vanderwagon był nadal zdenerwowany tym, co zaszło w Wylegarni, i reprimendą otrzymaną od Scopesa. Sądząc po przekrwionych oczach, niewiele ostatnio spał. Czasami Harper bywał równie delikatny, co granat ręczny.

Vanderwagon odwrócił się i spojrzał na Harpera, ale nagle w sali zrobiło się cicho. Do środka weszli czterej mężczyźni: Singer, Nye, Mikę Marr oraz niewysoki, lekko przygarbiony człowiek w brązowym garniturze. Nieznajomy niósł dużą dyplomatkę, która obijała mu się o nogi, gdy szedł. Miał blond włosy posiwiałe na skroniach, a okulary w czarnych oprawkach podkreślały chorobliwą błądź jego skóry

- To musi być ten facet z OSHA - szepnęła Harper. - Nie wydaje mi się groźny.

- Wygląda jak młodszy kancelista - dorzucił Carson. - Spali tu sobie tę wrażliwą skórę.

Singer wszedł na mównicę, postukał w mikrofon i podniósł rękę. Na jego zawsze uśmiechniętej, rumianej twarzy malowało się zmęczenie.

- Jak wszyscy wiecie - zaczął - takie tragiczne wypadki, jak ten, który wydarzył się tu w ubiegłym tygodniu, muszą być zgłaszane odpowiednim władzom. Obecny tu pan Teece jest starszym inspektorem Occupational Safety and Health Administration. Spędzi jakiś czas z nami w Mount Dragon, badając przyczyny wypadku i sprawdzając podjęte przez nas środki bezpieczeństwa.

Nye stał obok Singera i w milczeniu wodził wzrokiem po zgromadzonych w sali naukowcach. Był sztywno wyprostowany i mocno zaciskał szczęki. Marr stał obok niego, kiwając krótko ostrzyżoną głową i leniwie uśmiechając się pod szerokim rondem kapelusza, które zasłaniało mu oczy Carson wiedział, że pod pewnymi względami za wypadek był odpowiedzialny Nye jako szef ochrony. Widocznie on też aż nazbyt dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Jego spojrzenie napotkało wzrok Carsona, a potem przesunęło się w bok. Może to wyjaśnia jego paranoiczne zachowanie na pustyni, pomyślał Carson. Tylko co on tam robił, do diabła? Cokolwiek to było, musiało być bardzo ważne, skoro zatrzymało go tam przez całą noc przed takim spotkaniem jak to.

- Ponieważ w grę wchodzi tajemnice produkcyjne GeneDyne, szczegóły naszych badań pozostaną tajemnicą oprócz wyników dochodzenia. Nie zostanie to również podane do prasy - oświadczył Singer. - Chcę podkreślić jedno: od wszystkich w Mount Dragon oczekuję pełnej współpracy z panem Teeceem. To polecenie wydał bezpośrednio Brent

Scopes. Zakładam, że jest dostatecznie jasne.

W sali zapadła cisza. Singer skinął głową.

- Dobrze. Myślę, że pan Teece chciałby powiedzieć kilka słów. Wątle wyglądający mężczyzna podszedł do mikrofonu, nadal trzy-mając w ręce dyplomatkę.

- Cześć - powiedział z lekkim uśmiechem na wąskich wargach. - Nazywam się Gilbert Teece. Proszę, mówcie mi Gil. Sądzę, że będę tutaj przez tydzień czy dwa, wtykając wszędzie nos. - Zaśmiał się krótkim, suchym śmiechem. - To standardowy sposób postępowania w takich przypadkach jak ten. Z większością z was porozmawiam indywidualnie i oczywiście będę potrzebował waszej pomocy, żeby zrozumieć, co dokładnie się stało. Wiem, że jest to bardzo bolesne dla wszystkich zainteresowanych.

Zapadła cisza i wyglądało na to, że Teece nie ma już nic więcej do powiedzenia.

- Są jakieś pytania? - zapytał w końcu.

Nie było żadnych. Teece zwłóknął się z podium.

- Teraz, kiedy przybył pan Teece i zakończono sterylizację, postanowiliśmy niezwłocznie otworzyć piąte laboratorium. Chociaż nie będzie to łatwe, oczekuję, że jutro rano zobaczę was wszystkich w pracy. Straciliśmy sporo czasu i trzeba go nadrobić. - Singer otarł dłonią czoło. - To wszystko. Dziękuję.

Teece nagle wstał i podniósł rękę.

- Doktorze Singer... Czy mogę dodać jeszcze słowo? Dyrektor skinął głową i Teece znów wszedł na podium.

- Ponowne otwarcie piątego laboratorium to nie mój pomysł - oświadczył - ale może ułatwi to dochodzenie. Muszę przyznać, że jestem zdziwiony, że nie ma tu dziś pana Scopesa. Miałem wrażenie, że lubi być obecny - przynajmniej w elektronicznym sensie - na tego rodzaju spotkaniach.

Zrobił wyczekującą przerwę, ale Singer inie odezwali się ani słowem.

- W takim razie - ciągnął Teece - chciałbym wszystkim zadać jedno pytanie. Możecie odpowiedzieć na nie później, podczas indywidualnych spotkań.

Znowu zamilkł na chwilę, a potem dodał:

- Ciekawi mnie, dlaczego sekcję zwłok Brandon-Smith przeprowadzono w tajemnicy, a jej szczątki tak niezwykle pospiesznie podda-no kremacji.

Znów zapadła cisza. Teece, nadal ściskając swoją dyplomatkę, uśmiechnął się wąskimi wargami i wyszedł za Singerem z sali.

Gdy następnego ranka Carson wchodził do laboratorium, nie zdziwił się, widząc większość niebieskich kombinezonów wiszących na wie-szakach. Nikt nie miał ochoty wracać do Wylegarni.

Wkładając skafander, czuł ściskanie w dołku. Od wypadku upłynął prawie tydzień. I chociaż nie mógł o nim zapomnieć - o dziurze w kombinezonie Brandon-Smith i czerwonej krwi sączącej się z rozdartego dresu - starał się odsuwać od siebie wszelkie myśli o Wylegarni. Teraz gwałtownie wróciły wszystkie wspomnienia: ciasnota, nie-świeże powietrze w skafandrze, nieustanne poczucie zagrożenia. Na chwilę zamknął oczy, starając się opanować lęk.

Kiedy miał nałożyć hełm, drzwi otworzyły się z sykiem i do szatni weszła de Vaca. Spojrzała na Carsona.

- Nie wyglądasz na uszczęśliwionego - zauważyła. Carson wzruszył ramionami. - Ja chyba też nie - dodała.

Zapadła niezręczna cisza. Od czasu śmierci Brandon-Smith niewiele rozmawiali. Carson odnosił wrażenie, że de Vaca, wyczuwając jego zniechęcenie i poczucie winy, obchodzi go szerokim łukiem.

- Dobrze chociaż, że strażnik przeżył - stwierdziła.

Carson skinął głową. Ostatnią rzeczą, na jaką miał teraz ochotę, była rozmowa o wypadku. Na końcu pomieszczenia czekały stalowe drzwi z ostrzegawczym napisem. Podejrzewał, że tak wyglądały drzwi do komory gazowej.

De Vaca zaczęła wkładać kombinezon. Carson odszedł na bok i czekał na nią. Nie miał ochoty samotnie przechodzić przez te drzwi.

- Niedawno pojechałem na przejażdżkę - powiedział. - Tu jest nawet całkiem ładnie, kiedy Mount Dragon zniknie za horyzontem.

De Vaca skinęła głową.

- Zawsze kochałam pustynię - wyznała. - Ludzie mówią, że jest brzydka, ale ja uważam ją za najpiękniejsze miejsce na świecie. Które-go konia wzięłeś?

- Kasztanka. Okazał się całkiem niezły. Złamała mi się jedna ostroga, ale wcale nie potrzebowałem ich używać. Musiałbym mieć dużo szczęścia, żeby ją tutaj naprawić.

De Vaca zaśmiała się, odrzucając włosy na ramiona.

- Znasz tego starego Rosjanina, Pawła Władimira jakiegoś tam? Jest inżynierem mechanikiem, zajmuje się sterylizatorem i laminarnym przepływem powietrza. Potrafi naprawić dosłownie wszystko. Zepsuł mi

się odtwarzacz CD, a on rozłożył go i naprawił, choć twierdzi, że nigdy przedtem nie widział takiego urządzenia.

- Jeśli umie naprawić odtwarzacz kompaktowy, to naprawi też ostrogę - uznał Carson. - Może powinienem go odwiedzić.

- Jak sądzisz, kiedy inspektor dojdzie do nas? - zapytała de Vaca.

- Nie wiem - odparł. - Prawdopodobnie niedługo, zważywszy...

Urwał. Zważywszy, że to ja w znacznej mierze przyczyniłem się do śmierci tej kobiety - dokończył w myślach.

- Yamashito, konserwator wideo, mówił, że ten facet zamierza przez cały dzień oglądać nagrania z kamer - powiedziała de Vaca, wpycha-jąc ręce do skafandra.

Nałożyli hełmy, sprawdzili sobie nawzajem kombinezony i przeszli przez śluzę. Stojąc pod prysznicem, Carson głęboko wciągnął powietrze do płuc, walcząc z mdłościami wywoływanymi przez widok żółtych strumieni trującego płynu spływających po wizjerze hełmu. Miał nadzieję, że po dokładnej sterylizacji, jakiej poddano wszystkie pomieszczenia, Wylęgarnia będzie wyglądała nieco inaczej. Jednak w laboratorium nic się nie zmieniło od chwili, gdy opuścił je z Brandon-Smith, która przysłała zawiadomić go o śmierci szympansa. Fotel stał w tym samym miejscu, gdzie go zostawił, wstając od biurka, a jego PowerBook był wciąż otwarty, podłączony do gniazda WAN i gotowy do pracy. Machinalnie podszedł do komputera i zalogował go do sieci GeneDyne. Po ekranie przewinęły się komunikaty logowania, a potem pojawiło się streszczenie, nad którym Carson tamtego dnia pracował. Na końcu zdania mrugał z okrutną obojętnością kursor. Carson opadł na fotel.

Nagle ekran zgasł. Carson odczekał chwilę, a potem nacisnął kilka klawiszy. Nie otrzymując odpowiedzi, zaklął pod nosem. Może wyczerpał się akumulator? Ale kiedy spojrzął na przewód zasilający, stwierdził, że komputer jest podłączony do gniazdko w ścianie. Dziwne.

Potem coś powoli pojawiło się na ekranie. To pewnie Scopes, pomyślał Carson. Prezes GeneDyne lubił pojawiać się na ekranach komputerów. Pewnie zamierzał wygłosić jakieś orędzie, dodać otuchy personelowi Wylęgarni.

Zobaczył mały obrazek: postać mima trzymającego Ziemię na czubku palca. Ziemia obracała się powoli. Zaskoczony Carson bezskutecznie naciskał klawisz ESC.

Małeńka postać nagle rozsypała się, tworząc napis:

Guy Carson?

Jestem - napisał Carson.

Rozmawiam z *Guyem* Carsonem?

Tu Guy Carson, a któżby?

Hej, cześć, Guy! Najwyższy czas, żebyś się zalogował. Czekałem na ciebie, współniku. Najpierw jednak muszą cię zidentyfikować. Proszę, podaj datę urodzin twojej matki.

2 czerwca 1936. Z kim mówię?

Dziękuję. Tu Mim. Mam dla ciebie ważną wiadomość od starego zna-jomego.

Mim? Czy to ty, Harper?

Wie, nie Harper. Proponuję, żebyś pozbył się świadków. Lepiej, aby nikt przypadkiem nie przeczytał wiadomości, którą zaraz ci prześlą. Daj mi znać, kiedy będziesz gotowy.

Carson zerknął na de Vacę, która była zajęta na drugim końcu laboratorium.

Z kim mówię, do diabła? - wystukał gniewnie.

O rany! Lepiej mnie nie denerwuj, bo mogę się rozgniewać. f to by ci się nie spodobało. Ani trochę.

Słuchaj, nie zamierzam...

Chcesz otrzymać tę wiadomość czy nie?

Nie.

Me sędzę. Zanim ją wyślę, chcę, żebyś wiedział, że to zupełnie bez-pieczny kanat, a ja, Mim, nie kto inny, wtamatem się do sieci Gene-Dyne. Nikt w tej firmie o tym nie wie, inaczej przerwaliby już naszą rozmowę. Zrobitem to dla twojego dobra, kowboju. Gdyby ktoś przypadkiem wszedł, kiedy będziesz czytał tę wiadomość, naciśnij klawisz poleceń i na ekranie pojawi się obraz jakiegoś kodu genetycznego, ukrywając tekst. Właściwie nie będzie to kod genetyczny, ale słowa piosenki Bali the Wall Profesora Longhaira, ale nikt tego nie zauwa-ży. Po ponownym naciśnięciu klawisza poleceń znów zobaczysz wia-domość. Serwus, czołem i tak dalej. A teraz czytaj.

Carson ponownie zerknął w kierunku de Vaki. Może to jeden z kawałów Scopesa. Ten człowiek miał dziwne poczucie humoru. Ale od

Ciao, Guy.

Cześć, Brent - odpisał.

Chcę tylko powitać cię, z powrotem. Wiesz, co powiedział T.hł. Hux-ley? „Wielką tragedią nauki jest zabijanie pięknych hipotez przez nie-przyjemne fakty”. Właśnie coś w tym rodzaju zdarzyło się tutaj. To była piękna idea, Guy. Szkoda, że nic z niej nie wyszło. Teraz mu-sisz

zabrać się do pracy. Każdy dzień bez wyników kosztuje GeneDy-ne prawie milion dolarów. Wszyscy czekają na zneutralizowanie wirusa. Nie możemy nic zrobić, dopóki tego nie dokonamy. Wszyscy liczą na ciebie.

Wiem - napisał Carson. - Obiecuję, że zrobię, co będę mógł.

To dobry początek, Guy. Zawsze należy robić wszystko, co można. Jednak potrzebujemy wyników. Ponieśliśmy porażkę, ale niepowodzenia są integralną częścią nauki i wiem, że poradzisz sobie z tym. Li-czę na ciebie. Miałeś prawie tydzień na rozmyślania. Mam nadzieję, że wpadłeś na jakiś nowy pomysł.

Zamierzamy powtórzyć próbę, żeby sprawdzić, czy czegoś nie prze-oczyliśmy. Zamierzamy też ponownie zdefiniować gen, na wszelki wy-padek.

Bardzo dobrze, ale zróbcie to szybko. Chcę też, żebyś zrobił jeszcze coś. Widzisz, to niepowodzenie przyniosło nam pewną istotną wskazówkę. Mam przed sobą wyniki sekcji Brandon-Smith. Doktor Grady wspaniale się spisał. Z jakiegoś powodu otrzymana przez ciebie mutacja wirusa była znacznie zjadliwsza od normalnego szczepu X-FLU. J bardziej zaraźliwa, jeśli wierzyć wynikom naszych testów. Zabiła tę kobietę tak szybko, że przeciwciała pojawiły się we krwi zaledwie kilka godzin przed jej śmiercią. Wyizolowaliśmy ten szczep z tkanki mózgowej przed kremacją i wysyłam ci go. Nazwaliśmy go X-FLU II. Chcę, żebyś dokładnie przyjrzał się temu wirusowi. Próbując go unieszkodliwić, przypadkowo zdołałeś wzmocnić jego zjadliwość.

Przypadkowo? Nie jestem pewien, czy rozumiem...

Jezu Chryste, Guy, jeśli stwierdzisz, co uczyniło go tak śmiertelnośnym, może znajdziesz sposób, żeby zrobić go MNIEJ niebezpiecznym. Trochę mnie dziwi, że sam na to nie wpadłeś. Bierz się do roboty.

Okno programu komunikacyjnego zamrugało i zamknęło się. Carson odchylił się w fotelu i głęboko odetchnął. Ta koncepcja miała sens, ale myśl o badaniu wirusa wyizolowanego z mózgu Brandon-Smith mroziła mu krew w żyłach.

Jakby przywołana przez te myśli, w drzwiach pojawiła się laborant-ka, niosąc tacę z nierdzewnej stali, a na niej pojemniki z przezroczystego plastiku. Na każdym pudełku była naklejka z ostrzeżeniem i etykieta z napisem: X-FLU II.

- Prezent dla Guya Carsona - powiedziała z uśmiechem.

Było późne popołudnie i wpadające przez wychodzące na zachód okna słońce okryło gabinet Singera płaszczem złocistego blasku. Nye

siedział na sofie, w milczeniu patrząc na kominek, a dyrektor stał za konsolą komputera, odwrócony do niego plecami, i spoglądał na pustynię. W drzwiach stanął niewysoki mężczyzna z dyplomatką i odchrząknął.

- Proszę wejść - powiedział Singer.

Gilbert Teece wszedł do środka i skinął głową obu mężczyznom. Rzedniejące włosy odsłaniały zaczerwienioną od słońca czaszkę, a ze spieczonego nosa zaczynała już schodzić skóra. Teece uśmiechał się nieśmiało, jakby świadomy, że nie pasuje do tego środowiska.

- Niech pan usiądzie - Singer machnął ręką, wskazując na pokój.

Chociaż fotele były wolne, Teece natychmiast ruszył w kierunku kanapy i z westchnieniem ulgi usiadł na niej. Szef ochrony zeszywniał i odsunął się nieznacznie.

- Możemy zaczynać? - zapytał Singer, siadając. - Nie chciałbym się spóźnić na mój wieczorny koktajl.

Teece podniósł wzrok i uśmiechnął się, majstrując przy zamku dyplomatki. Po chwili wsunął rękę do środka i wyjął magnetofon kasetowy, który ostrożnie postawił przed sobą na stole.

- Postaram się skrócić to do minimum - powiedział.

Nye wyjął swój magnetofon i postawił go na stole obok magnetofonu Teecea.

- Bardzo dobrze - stwierdził Teece. - Zawsze lepiej mieć wszystko na taśmie, prawda, panie Nye?

- Owszem - padła krótka odpowiedź.

- Ach! - zawołał inspektor, tak zaskoczony, jakby dotychczas nie słyszał jego głosu. - Anglik?

Nye powoli obrócił się do niego.

- Z pochodzenia.

- Ja również - rzekł Teece. - Moim ojcem był sir Wilberforce Teece, baron Teecewood Hall w Penninach. Mój starszy brat odziedziczył tytuł i pieniądze, a ja dostałem bilet do Ameryki. Słyszał pan o tym? Mówię o Teecewood Hall.

- Nie - odparł Nye.

- Naprawdę? - Teece uniósł brwi. - Piękna okolica. Teecewood Hall leży w Hamsterley Forest, ale w pobliżu jest Kumbria, wie pan? Cudowna, szczególnie o tej porze roku. Grasmere, Troutbeck... Jezioro Windermere...

Na moment w gabinecie zapadła pełna napięcia cisza. Nye obrócił się do Teece a i spojrzał na jego roześmianą twarz.

- Proponuję, panie Teece, abyśmy dali spokój uprzejmościom i rozpoczęli rozmowę.

- Ależ panie Nye, ona już się zaczęła - oświadczył Teece. - Jeśli dobrze zrozumiałem, był pan kiedyś szefem ochrony Windermere Nuclear Complex. Pod koniec lat siedemdziesiątych, o ile mi wiadomo. Potem wydarzył się ten okropny wypadek... - Potrząsnął głową na jego wspomnienie. - Nigdy nie pamiętam, czy było szesnaście, czy sześćdziesiąt ofiar. W każdym razie, zanim podjął pan pracę w Gene-Dyne, przez prawie dziesięć lat nie mógł pan znaleźć pracy w swoim zawodzie. Czy mam rację? Ale został pan zatrudniony przez pewne towarzystwo naftowe w odludnej części Środkowego Wschodu. Niestety nie dysponujemy dokładniejszymi danymi dotyczącymi tego zajęcia. Podrapał się po czubku spieczonego od słońca nosa.

- To nie ma nic wspólnego z pańskim dochodzeniem - wycedził Nye.

- Ma jednak sporo wspólnego z pańską lojalnością wobec Brenta Scopesa - odparł Teece. - A ta lojalność może być istotną kwestią w tym śledztwie.

- To farsa - warknął Nye. - Zamierzam powiadomić pana zwierzchników o pańskim zachowaniu.

- Jakim zachowaniu? - spytał Teece z lekkim uśmiechem. - I jakich zwierzchników?

Nye nachylił się do niego i powiedział cicho:

- Niech pan przestanie udawać. Doskonale pan wie, co zdarzyło się w Windermere. Te pytania są zupełnie niepotrzebne i nic panu nie dadzą.

- Panowie, chwileczkę - wtrącił Singer. - Panie Nye, nie powinniśmy...

Teece uciszył go, unosząc rękę.

- Przepraszam. Pan Nye ma rację. Rzeczywiście, wiem wszystko o Windermere. Lubię tylko sprawdzać fakty Raporty - poklepał swoją dyplomatkę - bardzo często są niedokładne. Sporządzają je pracownicy zatrudniani przez rząd, a nigdy nie wiadomo, co może powypisywać jakiś niemądry biurokrata, prawda, panie Nye? Sądziłem, że może zechce pan skorzystać z okazji, żeby sprostować nieścisłości, dać odpór oszczerstwom i tak dalej.

Ale Nye siedział w upartym milczeniu. Teece wzruszył ramionami, a potem wyjął z dyplomatki grubą teczkę.

- Bardzo dobrze, panie Nye. Do rzeczy. Czy może mi pan powiedzieć własnymi słowami, co zdarzyło się rano w dniu wypadku?

Nye odchrząknął.

- O dziewiątej pięćdziesiąt otrzymałem wiadomość o alarmie drugiego stopnia w piątym laboratorium.

- To dla mnie tylko liczby. Co one oznaczają?

- Że doszło do zakażenia. Został rozerwany kombinezon przeciwskażeniowy jednego z pracowników.

- Kto ogłosił alarm?

- Carson, doktor Guy Carson. Ogłosił go na ogólnym kanale łączności.

- Rozumiem - mruknął Teece. - Proszę dalej.

- Natychmiast poszedłem do wartowni, oceniłem sytuację, a potem przejąłem kierownictwo nad ośrodkiem na czas trwania alarmu.

- Tak od razu? Nie zawiadamiając doktora Singera? - Teece zerknął na dyrektora.

- Takie są przepisy - odparł beznamyślnie Nye.

- A pan, doktorze Singer, słysząc, że pan Nye przejmuje kierownictwo, bez sprzeciwu na to przystał?

- Naturalnie.

- Doktorze Singer, przez całe popołudnie przeglądałem taśmy wideo z zapisem tego wypadku - powiedział ostrym tonem Teece. - Wyśledziłem większość rozmów, jakie wtedy przeprowadzono. Czy zechciałby pan ponownie odpowiedzieć na to pytanie?

Zapadła cisza.

- No cóż... - odezwał się wreszcie Singer. - Prawdę mówiąc, nie byłem zadowolony. Jednak pogodziłem się z tym.

- A pan, panie Nye, twierdzi, że objął kierownictwo zgodnie z przepisami obowiązującymi w firmie - ciągnął Teece. - Tymczasem zgodnie z moimi informacjami może pan zrobić to tylko wtedy, jeśli uzna pan, że dyrektor nie jest w stanie należycie pełnić swoich obowiązków.

- Zgadza się - przyznał Nye.

- A zatem wygląda na to, iż miał pan powody sądzić, że dyrektor nie wypełnia należycie swoich obowiązków.

Zapadła jeszcze dłuższa chwila ciszy

- Zgadza się - powtórzył w końcu Nye.

- To absurd! - zawołał Singer. - Całkowicie panowałem nad sytuacją.

Nye siedział sztywno, z kamiennym wyrazem twarzy

- Dlaczego więc doszedł pan do wniosku, że obecny tu doktor Singer nie będzie w stanie poradzić sobie z sytuacją? - zapytał Teece.

- Uważałem, że doktor Singer za bardzo zaprzyjaźnił się z ludźmi, którymi miał kierować - odparł Nye. - Jest naukowcem, ale podchodzi do wszystkiego zbyt emocjonalnie i słabo radzi sobie ze stresem. Gdyby pozostawić sprawę w jego rękach, wszystko mogłoby zakończyć się zupełnie inaczej.

Singer zerwał się na równe nogi.

- Czy przyjacielskie traktowanie podwładnych to coś złego? - zapytał z irytacją. - Panie Teece, nawet z tak krótkiej rozmowy jasno wynika, z jakiego rodzaju człowiekiem ma pan do czynienia. To megaloman. Nikt go tu nie lubi. Prawie co weekend znika na pustyni. Wszyscy zastanawiamy się, dlaczego Scopes go tu trzyma.

- Ach! Rozumiem - mruknął Teece i zaczął przeglądać akta, przedłużając niezręczną ciszę. Singer znów zajął swoje miejsce przy oknie, tyłem do Nye'a. Teece wyjął z kieszeni pióro, zanotował coś, a potem pomachał nim przed nosem szefa ochrony. - O ile wiem, te rzeczy są tu *streng yerboten*. Na szczęście ja nie muszę stosować się do tych zasad. Nienawidzę komputerów.

Starannie schował pióro.

- A teraz, doktorze Singer - rzekł - przejdźmy do wirusa, nad którym tu pracujecie. X-FLU. Dostarczone mi dokumenty właściwie niewiele mi mówią. Dlaczego jest tak groźny?

- Kiedy się tego dowiemy - odparł Singer - będziemy mogli coś z tym zrobić.

- Coś z tym zrobić...?

- Unieszkodliwić go, oczywiście.

- A dlaczego w ogóle pracujecie z takim przerażającym patogenem? Singer odwrócił się do niego.

- Proszę mi wierzyć, nie było to naszym zamiarem. Zjadliwość X-FLU to nieoczekiwany efekt uboczny naszej metody terapii genetycznej. Ten wirus jest formą przejściową. Kiedy uzyskamy stabilny produkt, przestanie być problemem. - Zamilkł na chwilę. - Tragedia polega na tym, że Rosalind zaraziła się wirusem w bardzo wczesnej fazie badań.

- Rosalind Brandon-Smith - powoli powiedział Teece. - Jak wiecie, nie jesteśmy zadowoleni ze sposobu, w jaki dokonano sekcji jej zwłok.

- Działaliśmy zgodnie ze wszystkimi obowiązującymi przepisami - oświadczył Nye. - Sekcja została wykonana w piątym laboratorium, w skafandrach ochronnych, potem ciało poddano kremacji, a wszystkie pomieszczenia w zagrożonej strefie zostały wysterylizowane.

- Mnie przede wszystkim niepokoi lakoniczność raportu patologa,

panie Nye - odparł Teece. - A chociaż jest tak zwięzły, znajduję w nim kilka rzeczy, które mnie dziwią. Na przykład, jeśli dobrze pamiętam, mózg Brandon-Smith dosłownie eksplodował. Tymczasem w chwili śmierci była objęta kwarantanną i zamknięta w izolacji, pozbawiona pomocy medycznej.

- Nie wiedzieliśmy, czy zaraziła się wirusem - powiedział Singer.

- Jak to? Została podrapana przez zarażonego szympansa. W jej krwi powinny pojawić się przeciwciała.

- Od chwili pojawienia się przeciwciał do śmierci minęło... bardzo mało czasu.

Teece zmarszczył brwi.

- Zdaje się, że niepokojąco mało.

- Musi pan pamiętać, że to pierwszy przypadek zarażenia się człowieka wirusem X-FLU. I miejmy nadzieję, że ostatni. Nie wiedzieliśmy, czego oczekiwać. Ten szczep X-FLU był szczególnie zjadliwy. Za-nim otrzymaliśmy pozytywne wyniki badania krwi, już nie żyła.

- Krew. To kolejna dziwna rzecz w tym raporcie. Najwidoczniej przed śmiercią nastąpił silny krwotok wewnętrzny - Teece zajrzał do teczki i przesunął palcem po kartce. - O, tutaj. Jej narządy wewnętrzne pływały we krwi. Lekarz pisze o uszkodzeniu naczyń krwionośnych.

- Niewątpliwie to objaw zakażenia X-FLU - stwierdził Singer. - To się zdarza. Wirus ebola działa tak samo.

- Jednak według posiadanych przeze mnie danych szympansy zarażone X-FLU nie wykazują takich objawów.

- Widocznie ta choroba inaczej przebiega u ludzi niż u szympanów. Nie ma w tym niczego niezwykłego.

- Być może. - Teece przerzucił kilka kartek. - Ale w tym raporcie są jeszcze inne dziwne fakty. Na przykład w mózgu tej kobiety stwierdzono wysokie stężenie transmittorów nerwowych. Ściśle mówiąc, dopaminy i serotoniny.

Singer rozłożył ręce.

- Sądzę, że to kolejny objaw X-FLU. Teece zamknął akta.

- U zarażonych szympanów nie zauważono takiego podwyższonego stężenia neurotransmiterów.

Singer westchnął.

- Panie Teece, do czego pan zmierza? Wszyscy aż nazbyt dobrze zdajemy sobie sprawę z tego, jak niebezpieczny jest ten wirus. Robimy wszystko, by go zneutralizować. Jeden z naszych naukowców, Guy Carson, nie zajmuje się niczym innym.

- Carson. Tak. Ten, który zastąpił Franklina Burta. Biedny doktor Burt. Obecnie przebywa w lecznicy Featherwood Park. - Teece nachylił się i ściszył głos. - Cóż, to jeszcze jedna dziwna rzecz, doktorze. Rozmawiałem z Lloydem Fosseyem, lekarzem opiekującym się Franklinem Burtem. Burt też ma krwawienia z naczyń krwionośnych. A także bardzo podwyższony poziom dopaminy i serotoniny.

W pokoju zapadła głucha cisza.

- Jezu - wymamrotał Singer. Miał nieobecny wyraz twarzy. Teece podniósł palec.

- Ale we krwi Burta nie znaleziono przeciwciał X-FLU, chociaż minęło kilka tygodni, od kiedy opuścił Mount Dragon. Tak więc nie może być zarażony tą chorobą.

Napięcie wyraźnie zelżało.

- Z pewnością to zbieg okoliczności - powiedział Nye, znów siadając na sofie.

- Raczej nie. Czy zajmujecie się tu innymi śmiertelnościami patogenami?

Singer pokręcił głową.

- Mamy zamrożone typowe okazy - takie jak wirus Marburga, Lassa, zairską ebolę - ale żaden z nich nie wywołuje utraty zmysłów.

- Racja - przyznał Teece. - Nie macie nic więcej?

- Nie.

Teece zwrócił się do szefa ochrony:

- Co dokładnie przytrafiło się doktorowi Burtowi?

- Doktor Singer złożył wniosek o jego zwolnienie - odparł krótko Nye.

- Doktorze Singer... ?

- Stał się rozkojarzony i nadpobudliwy - Singer zawahał się. - Przyjaźniłem się z nim. Był niezwykle wrażliwym człowiekiem, bardzo uprzejmym i życzliwym. Chociaż niewiele o tym mówił, sądzę, że bardzo tęsknił za żoną. Praca tutaj jest tak stresująca... Wymaga pewnej odporności, której on nie miał. Kiedy zauważyłem objawy postępującej paranoi, poleciłem zabrać go na obserwację do Albuquerque General.

- A więc wykończył go stres... - mruknął Teece. - Proszę mi wybaczyć, doktorze, ale to, co mi pan opisuje, nie wygląda na typowe załamanie nerwowe. - Zerknął do otwartej dyplommatki. - Zdaje się, że doktor Burt uzyskał dyplom i stopień doktora w ciągu pięciu lat. Dwukrotnie szybciej niż normalnie.

- Tak - przyznał Singer. - Był... jest... bardzo błyskotliwy.

- Później, według posiadanych przez mnie informacji, doktor Burt odbył część swojego stażu w izbie przyjęć Harlem Meer Hospital, przy 944 East 155 Street. Był pan tam kiedyś?

- Nie - odparł Singer.

- Policja nazywa mieszkających tam ludzi „styropianowymi kubkami”. To taki makabryczny żart związany z wartością, jaką ma w tej dżungli ludzkie życie. Doktor Burt pracował na zmianie zwanej przez lekarzy „specjalną trzydzieści sześć”. Przez trzydzieści sześć godzin dyżurował na izbie przyjęć, potem miał dwanaście godzin wolnego i znów trzydziestosześciodziny dyżur. Dzień po dniu, przez trzy miesiące.

- Nie wiedziałem o tym - rzekł Singer. - Nigdy nie mówił dużo o przeszłości.

- Potem, podczas pierwszych dwóch lat rezydentury, zdołał napisać czterystustronicową książkę *Powstawanie przerzutów*. Wspaniałe dzieło. W tym czasie był także w trakcie przykrego rozwodu z pierwszą żoną.

Teece milczał przez chwilę, a potem dodał:

- I pan mi mówi, że ten człowiek nie radził sobie ze stresem? Zaśmiał się, ale rozbawienie znikło z jego twarzy, zanim dźwięk je-go śmiechu zdążył ucichnąć. Nikt się nie odezwał. Po chwili wstał.

- No cóż, panowie, myślę, że na razie zabrałem wam już dość czasu. Wepchnął akta i magnetofon do dyplomatki, po czym oświadczył:

- Nie wątpię, że będziemy mieli jeszcze wiele do omówienia, kiedy porozmawiam z waszym personelem.

Podrapał obłąający ze skóry nos i uśmiechnął się niewinnie.

- Jedni ludzie się opalają, inni smażą - powiedział. - Zdaje się, że ja należę do tych drugich.

Wokół białego drewnianego domu na rogu Church Street i Sycamore Terrace w River Pointe, będącym przedmieściem Cleveland, zapadła noc. Łagodny majowy wietrzyk poruszał liśćmi, słysząc było jedynie szczekanie psa w oddali i przeciągły gwizd pociągu.

Sącząca się z okna na piętrze poświata nie była ciepłym żółtym światłem, jakie padało z okien innych domów przy tej ulicy. Była niebieskawa, podobna do blasku telewizora, lecz o niezmiennej barwie i intensywności. Gdyby ktoś przystanął pod tym oknem, mógłby usłyszeć ciche popiskiwanie i trzask klawiatury komputera. Jednak w tym zapomnianym zaułku rzadko pojawiali się przechodnie.

W pokoju znajdował się niewysoki człowiek siedzący w fotelu

inwalidzkim. Za nim była goła ściana, w której osadzono zwykłe drewniane drzwi. Pod pozostałymi ścianami stały metalowe półki, aż pod sufit za-pełnione rzędami elektronicznych modułów, rozmieszczonych w równych odstępach. Między płytami stały monitory, macierze dyskowe RAID oraz mnóstwo urządzeń, jakie chciałoby posiadać wiele rządowych in-stytucji: sniffery sieciowe, urządzenia do przechwytywania faksów, zestawy do sporządzania zrzutów ekranów komputerowych, wyspecjalizowane łamacze haseł, skanery i interceptory telefonii komórkowej. W pokoju unosił się słaby zapach rozgrzanego metalu i ozonu. Między półkami zwieszały się grube wiązki przewodów jak węże w dżungli.

Człowiek poruszył się, a fotel, na którym siedział, zaprotestował, skrzypiąc. Wyschnięta ręka uniosła się nad specjalnie przystosowaną klawiaturą, umocowaną wzdłuż jednej poręczy fotela, skurczony palec zgiał się i zaczął naciskać klawisze. Dał się słyszeć cichy dźwięk tonowego wybierania numeru. Jeden ze stojących na półkach monitorów ożył. Po ekranie przewinęło się kilka stron kodu maszynowego, a potem ukazało się małe firmowe logo.

Palec przesunął się nad rząd różnokolorowych klawiszy i wybrał jeden z nich.

Sekundy ciszy zmieniły się w minuty. Człowiek w wózku inwalidzkim nie uznawał włamywania się do systemów komputerowych takimi prymitywnymi metodami, jak brutalny atak czy zastosowanie odwrotnego programowania. Jego program lokował się w punkcie, w którym nadchodząca z internetu poczta wchodziła do wewnętrznej sieci firmy, doczepiając się do pakietów przechodzących przez port serwera i całkowicie omijając procedury sprawdzania haseł. Nagle ekran zamigotał i zaczął się po nim przewijać strumień kodu. Skurczona ręka uniosła się ponownie i zaczęła pisać, z początku powoli, a potem nieco szybciej, wystukując fragmenty szesnastkowego kodu maszynowego i co chwila czekając na odpowiedź maszyny. Ekran przybrał czerwoną barwę i pojawiły się na nim słowa „GeneDyne Online Systems - Dział Techniczny”, a następnie krótka lista opcji.

Ponownie udało się przejść przez zaporę ogniową GeneDyne.

Ułomna kończyła uniosła się po raz trzeci, uruchamiając dwa symbiotycznie działające programy Pierwszy umieści tymczasową łatę na jednym z plików systemu operacyjnego, maskując działanie drugiego - rozpoznając go jako nieszkodliwy element obsługi sieci. Tym-czasem drugi program utworzy w samym sercu sieci bezpieczny kanał łączności z ośrodkiem Mount Dragon.

Człowiek na wózku inwalidzkim cierpliwie czekał, aż oba programy przejdą przez węzły i połączenia sieci. W końcu rozległ się cichy pisk, a potem na ekranie rozbłysły komunikaty połączenia.

Kaleka ręką ponownie sięgnęła do klawiatury. Pokój wypełnił szyczący pisk modemu. Ożył kolejny ekran i pojawiło się na nim szybko napisane przez niewidoczną dłoń zdanie:

Miałeś zadzwonić godzinę temu! Nie mogą trzymać się planu dnia, jeśli muszą czekać na wiadomość od ciebie.

Skurczony palec wystukał na dotykowej klawiaturze odpowiedź:

Uwielbiam, kiedy się na mnie złościś, profesorku. Proszę o dowód! Wyprowadź kiedyś dla mnie ten skomplikowany wzór!

Teraz jest za późno, Carson na pewno już wyszedł z laboratorium.

Palec wystukał kolejną wiadomość:

O wy, ludzie małej wiary! Doktor Carson na pewno ma w swoim pokoju drugi komputer. Tam powinniśmy zdobyć jego niepodzielną uwagę. Będzie na swoim terytorium.

Racja. A więc do dzieła.

Palec nacisnął klawisz, uruchamiając kolejny podprogram i wysyłając do Guya Carsona anonimowy komunikat za pośrednictwem WAN Mount Dragon. Mim postanowił zrezygnować ze standardowe-go pozdrowienia, ponieważ Carson, ujrawszy na ekranie jego logo, mógłby wyłączyć komputer. Minęła chwila, a potem z pustyni Nowe-go Meksyku nadeszła odpowiedź:

Tu Guy. Kto tam?

Palec nacisnął jeden z różnokolorowych klawiszy, wysyłając wcześniej przygotowaną wiadomość:

Nie kto, a co Pozwól, że ci się ponownie przedstawią: jestem Mim. Daję ci profesora Levi'ne'a.

Jednym stuknięciem w inny klawisz podłączył Levinea do bezpiecznego kanału.

Zapomnij o tym - nadeszła odpowiedź Carsona. - Wynoś się. z systemu.

Guy, proszę, tu Charles Levine. Zaczekaj chwilą. Daj mi coś powiedzieć.

Nie ma mowy. Resefuję komputer.

Mim nacisnął inny klawisz i na ekranie pojawił się następny tekst:

Jedną chwilką, koleś! Masz do czynienia z Mimem. Kontrolujemy wszystko, w poziomie i w pionie. Zastawiłem pułapkę w wątle waszej sieci i jeśli teraz przerwiesz połączenie, uruchomisz alarm. f wtedy

będziesz musiał tłumaczyć się przed drogim panem Scopesem. Obawiam się, że jedynym sposobem pozbycia się mnie jest wysłuchanie zacnego profesora. A teraz posłuchaj, kowboju. Na prośbę profesora utworzyłem kanał, przez który możecie się porozumiewać. Gdybyś kiedyś chciał się z nim skontaktować, po prostu spróbuj połączyć się sam ze sobą. Właśnie tak: sam ze sobą. To uruchomi program komunikacyjny, który ukryłem w sieci. Ten pro-gram wybierze numer i połączy cię z profesorem, jeśli tylko jego laptop będzie podłączony do linii telefonicznej. Teraz przekazuję pałeczkę profesorowi.

Jeśli sądzisz, że w ten sposób mnie przekonasz, Levine, jesteś w błędzie. Narażasz na szwank całą moją karierę. Nie chcę mieć nic wspólnego z tobą i twoją krucjatą, czegokolwiek dotyczy.

Nie mam wyboru, Guy. Ten wirus to morderca.

Mamy najlepsze zabezpieczenia na świecie...

Najwidoczniej niewystarczające.

To był nieszczęśliwy wypadek.

Zawsze tak jest.

Pracujemy nad niezwykle cennym preparatem medycznym, który będzie mógł ocalić miliony istnień. Nie mów mi, że robimy coś złego.

Wierzę ci, Guy. Tylko po co posługujesz się takim śmiercionośnym wirusem?

Posłuchaj, w tym cały problem. Usiłujemy go unieszkodliwić, zneutralizować. Teraz wyłącz się.

Jeszcze nie. Co to za medyczny cud, o którym wspomniałeś?

Nie mogą ci powiedzieć.

Odpowiedz mi: czy ten wirus zmienia DNA ludzkich komórek rozrodczych, czy tylko somatycznych?

Rozrodczych.

Wiedziałem. Guy, czy naprawdę uważasz, że masz prawo zmienić ludzki genom?

Jeśli ta zmiana okaże się dobrodziejstwem, to czemu nie? Jeżeli możemy na zawsze uwolnić ludzkość od strasznej choroby, co w tym niemoralnego?

Jakiej choroby?

Nie twój interes.

Rozumiem. Wykorzystujesz ten wirus do wywołania zmian genetycznych. Czy to wirus głady? Czy może zniszczyć ludzką rasę? Odpowiedz na to pytanie i wyłącz się.

Nie wiem. Jego epidemiologia u ludzi jest niemal nieznana, ale u

szympanów powoduje stuprocentową śmiertelność. Podejmujemy wszystkie możliwe środki ostrożności. Szczególnie teraz.

Czy przenosi się drogą oddechową?

Tak.

Okres wylegania?

Jeden dzień do dwóch tygodni, zależnie od szczepu.

Czas między wystąpieniem pierwszych objawów a zejściem?

Nie da się przewidzieć. Kilka minut do paru godzin.

Kilka minut? Dobry Boże! Sposób działania?

Odpowiedziałem już na wystarczająco wiele pytań. Wyłącz się.

Sposób działania?

Ogromne zwiększenie płynu mózgowo-rdzeniowego powodujące obrzęk i krwawienie tkanki mózgowej.

To mi wygląda na wirusa zagłady. Jaka nosi nazwę?

Dość tego, Levine. Koniec pytań. Wynoś się z systemu i nie łącz się więcej.

W małym domku na rogu Church i Sycamore skurczony palec delikatnie nacisnął kilka klawiszy. Na ekranie monitora pojawił się program nadzorujący, który przerwał połączenie i wyniósł się z sieci GeneDyne. Na drugim monitorze pojawiła się rozpaczliwa wiadomość od Levine'a:

Niech to szlag! Jesteśmy odcięci. Mimie, potrzebuję więcej czasu!

Mim wystukał palcem odpowiedź:

Spokojnie, profesorze. Zapalczywość cię zgubi. Zajmijmy się teraz czymś innym. Przygotuj komputer, zamierzam wysłać ci mały plik z interesującymi danymi. Jak zaraz zobaczysz, zdołałem uzyskać interesujące cię informacje. Okazało się to nie lada wyzwaniem i zdziwiłaby cię wysokość rachunku za potoczenia telefoniczne. Obawiam się, że niejaka pani Harriet Smythe z Northfield w Minnesocie będzie naprawdę zła, kiedy otrzyma rachunek za rozmowy międzymiastowe w tym miesiącu.

Człowiek w fotelu inwalidzkim nacisnął palcem jeszcze kilka klawiszy i zaczął czekać, aż dane powędrują do Levine'a. Potem oba monitory zgasły. Przez chwilę panującą w pokoju ciszę przerywał jedynie stłumiony szum wentylatorów na procesorach i nadlatujące przez otwarte okno miarowe cykanie świerszcza grającego w mroku ciepłej nocy. Potem zagłuszył je cichy, suchy śmiech wstrząsający wychudłą postacią.

Szef kuchni w Mount Dragon - Włoch nazwiskiem Ricciolini -za-
wsze osobiście podawał główne danie, z lubością pławiąc się w kom-
plementach, toteż kolacja trwała nieznośnie długo. Carson siedział przy
środkowym stole wraz z Harperem i Vanderwagonem, bezskutecznie
walcząc z upartym bólem głowy. Pomimo nacisków ze strony Scopesa
prawie nic tego dnia nie zrobił, nie mogąc przestać rozmyślać o
wiadomości od Levinea. Zastanawiał się, jak profesor zdołał dostać się do
sieci GeneDyne i dlaczego skontaktował się akurat z nim. Przy-najmniej
nikt tego nie zauważył - pocieszał się w duchu. Prawdo-podobnie.

Przysadzisty szef kuchni uroczyście postawił talerze na stole i cof-
nął się o krok. Carson podejrzliwie popatrzył na danie. Menu sugerowało
słodki wypiek, lecz to, co im podano, wcale nie przypominało pieczywa -
raczej bliżej nieokreślone narządy wewnętrzne jakiegoś zwierzęcia⁸.

- Wygląda wspaniale! - wykrzyknął Harper, spełniając oczekiwa-
nia kucharza. - Arcydzieło!

Włoch skłonił się z zadowoleniem. Vanderwagon siedział w mil-
czeniu, polerując sztucznie serwetką.

- A co to właściwie jest? - zapytał Carson.

- *Animella eon marsala ejunghi* - oświadczył z dumą szef kuchni.
-Grasica z winem i grzybami.

- Grasica? - powtórzył Carson. Włoch zrobił zdziwioną minę.

- To nie po angielsku?

- Miałem na myśli, z jakiej dokładnie części krowy... Harper
poklepał go po plecach.

- Pewnych rzeczy lepiej nie wiedzieć, przyjacielu. Ricciolini posłał
im niepewny uśmiech i wrócił do kuchni.

- Powinni dokładniej myć naczynia - burknął Vanderwagon, wy-
cierając swój kieliszek do wina, patrząc nań pod światło i znów go
wycierając.

Harper zerknął na drugi koniec sali, gdzie Teece samotnie jadł przy
stole.

- Rozmawiał już z tobą? - spytał szeptem Carsona.

- Nie. A z tobą?

- Wałkował mnie dziś rano. Vanderwagon zwrócił się do
przyjaciela:

- O co pytał?

- Zadawał mnóstwo podchwytliwych pytań. Nie dajcie się zwieść.

8 Gra słów: *sweetbread* — ang. grasica: *sweet* = słodki, *bread* = chleb.

Pomimo swego niewinnego wyglądu ten facet nie jest głupi.

- Podchwytliwe pytania... - powtórzył Vanderwagon, podnosząc nóż i dokładnie go wycierając. Potem położył go obok widelca.

- Do licha, dlaczego od czasu do czasu nie możemy zjeść porządnego steku? - narzekał Carson. - Nigdy nie wiem, co jem.

- Traktuj to jako przygodę z międzynarodową kuchnią - mruknął Harper, krojąc mięso i wkładając kawałek do ust. - Wspaniale - orzekł z pełnymi ustami.

Carson ostrożnie ugryzł kawałek.

- Rzeczywiście całkiem niezłe - stwierdził. - I wcale nie jest słodkie. I jak tu wierzyć w to, co piszą?

- To trzustka - poinformował go Harper.

Carson ze szczękiem odłożył widelec.

- Piękne dzięki.

- Jakie podchwytliwe pytania? - zapytał Vanderwagon.

- Nie powinienem ci mówić. - Harper mrugnął do Carsona.

Vanderwagon obrócił się i spojrzał na Harpera badawczo.

- Pytał o mnie?

- Nie, nie pytał, Andrew. No, może parę razy. Ale w końcu znajdowałeś się prawie w centrum wydarzeń.

Vanderwagon odsunął od siebie nietknięte danie, ale nic nie powiedział. Carson nachylił się nad swoim talerzem.

- To jest krowia trzustka? Harper włożył do ust kolejną porcję.

- A kogo to obchodzi? Ricciolini potrafi przyrządzić wszystko. W końcu, Guy, wyrosłeś, jedząc ostrygi z Gór Skalistych, no nie?

- Nigdy nie tknąłem byczych jąder - zaprzeczył Carson. - Podawaliśmy je tylko frajerom.

- Jeśli obrazi cię twoje prawe oko... - zaczął Vanderwagon. Obaj spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- Stałeś się religijny? - zapytał Harper.

- ... wyłup je - dokończył Vanderwagon. Zapadła niezręczna cisza.

- Dobrze się czujesz, Andrew? - zaniepokoił się Carson.

- Och, tak - odparł Vanderwagon.

- Pamiętasz wykłady z biologii? - zapytał Harper. - Wysepki Langerhansa?

- Zamknij się - ostrzegł go Carson.

- Wysepki Langerhansa - ciągnął Harper, ignorując to ostrzeżenie.

- Grupki komórek trzustki, które wydzielają hormony. Zastanawiam się, czy można je dostrzec gołym okiem.

Vanderwagon spojrział na swój talerz, a potem powoli podniósł nóż i przeciął mięso. Wziął w palce kawałek, dokładnie obejrzał i upuścił na talerz, aż sos i grzyby prysnęły na biały obrus. Polał serwetkę wodą, złożył ją i starannie wytarł ręce.

- Nie - powiedział.

- Co „nie”?

- Nie widać ich. Harper prychnął.

- Gdyby Ricciolini zobaczył, że bawimy się jedzeniem, otrułby nas.

- Co takiego? - zapytał głośno Vanderwagon.

- Tylko żartowałem. Uspokój się.

- Nie mówiłem do ciebie, ale do niego - oświadczył Vanderwagon.

Znów zapadła cisza.

- Sir, tak zrobię! - wrzasnął nagle Vanderwagon. Stał na baczność, przewracając przy tym krzesło. Ręce trzymał wyprostowane wzdłuż boków, w jednej dłoni miał nóż, a w drugiej widelec. Powoli podniósł widelec i skierował go ku swojej twarzy. Wyglądało to tak, jakby zamierzał coś zjeść z pustego widelca.

- Andrew, co ty wyprawiasz? - zapytał z nerwowym uśmiechem Harper. - Spójrz na mnie, dobrze?

Vanderwagon podniósł widelec wyżej.

- Rany boskie, siadaj - powiedział Harper.

Trzymany lekko drżącą dłonią widelec jeszcze bardziej zbliżył się do twarzy Vanderwagona.

Carson w ostatniej chwili zrozumiał, co tamten zamierza zrobić. Vanderwagon, nawet nie mrugnawszy powieką, przytknął widelec do oka. Potem pchnął, powoli i z rozmysłem. Carson przez moment z przerażającą ostrością widział, jak gałka oczna ugina się pod naciskiem. Rozległ się dźwięk przypominający odgłos rozdeptywanego winogrona i fontanna lepkiego płynu opryskała stół. Carson skoczył, złapał Vanderwagona za ramię i szarpnął. Widelec wysunął się z oczodołu i ze szczękiem upadł na podłogę, a ranny przeraźliwie zawył.

Harper skoczył na pomoc, ale Vanderwagon zamachnął się nożem i naukowiec odskoczył, padając na krzesło. Z niedowierzaniem spojrział na czerwoną pręgę, rozszerzającą się na jego białej koszuli. Vanderwagon ponownie rzucił się na niego, ale Carson zastąpił mu drogę, zadając cios w brzuch. Jednak Vanderwagon przewidział to uderzenie, usunął się na bok i pięść Carsona zsunęła mu się po biodrze. W następnej chwili Carson otrzymał silny cios w bok głowy. Zachwiał się i po-

trząsnął głową, klnąc w duchu samego siebie za niedocenywanie przeciwnika. Gdy odzyskał ostrość widzenia, zadał Vanderwagonowi mocne uderzenie prawą pięścią. Trafiony w skroń naukowiec zatoczył się i z łoskotem runął na podłogę. Carson złapał za przegub ręki, w której tamten trzymał nóż, i kilkakrotnie uderzył nią o podłogę, aż broń wypadła z palców Vanderwagon próbował wstać, wrzeszcząc coś i brocząc krwią z uszkodzonego oka. Carson zadał mu krótki, starannie wymierzony cios w podbródek, po którym naukowiec osunął się na podłogę i legł nieruchomo, ciężko dysząc.

Dopiero wtedy Carson usłyszał panujący wokół zgiełk. Jego dłoń zaczęła boleśnie pulsować. Wszyscy podeszli bliżej, ciasnym kręgiem otaczając stolik.

- Zaraz przyjdzie lekarz - powiedział ktoś. Carson spojrzał na Harpera, który pokręcił głową.

- Nic mi nie jest - mruknął, przyciskając do piersi zakrwawioną serwetkę.

Ktoś położył dłoń na jego ramieniu, a w następnej chwili zobaczył spieczoną od słońca twarz Teece'a. Inspektor uklęknął obok Vanderwagana.

- Andrew...

Zdrowe oko Vanderwagana poruszyło się i zlokalizowało inspektora.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytał ze współczuciem Teece.

- Co zrobiłem? Teece zmarszczył brwi.

- Nieważne - odparł.

- Wciąż słyszałem...

- Rozumiem - szepnął Teece.

- Wyłup...

- Kto ci kazał to zrobić?

- Zabierzcie mnie stąd! - wrzasnął nagle Vanderwagon.

- Zaraz to zrobimy - powiedział Mikę Marr, przeciskając się przez krąg gapiów i odpychając Teecea na bok.

Dwaj pracownicy sekcji medycznej położyli naukowca na noszach. Inspektor poszedł za nimi do drzwi, nachylając się nad noszami i py-tając łagodnie:

- Kto? Powiedz mi, kto?

Ale pielęgniarz wbił już igłę w ramię Vanderwagana i zdrowe oko naukowca znieruchomiało, gdy silny narkotyk zaczął działać.

„Zielony pokój” w studiu wcale nie był zielony, ale bladożółty.

Pod ścianami stała kanapa i kilka zbyt wypchanych foteli, a na środku odrapany stolik do kawy, zarzucony stertami „People”, „Newswe-eka” i „The Economist”. Na stole umieszczonym w odległym kącie stał dzbanek z kawą, kilka styropianowych kubków i nieświeżo wyglądająca śmietanka, a obok leżała bezładna kupka opakowań słodziku.

Levine postanowił nie ryzykować i nie próbować kawy Usiadł wygodnie na kanapie, rozglądając się wokół. Poza nim i Toni Wheeler, rzeczniczką fundacji, w pokoju znajdował się tylko jeden człowiek -błady mężczyzna w garniturze w szkocką kratę. Czując na sobie spojrzenie Levine'a, mężczyzna popatrzył na niego i odwrócił wzrok, a potem otarł jedwabną chusteczką spocone czoło. W dłoniach ścisnął książkę Barrola Leightona *Odwaga bycia innym*.

Toni Wheeler szeptała coś do ucha Levine'owi, który usiłował skupić się na jej słowach.

- ... błąd - mówiła. - Nie powinniśmy tu przychodzić, i dobrze o tym wiesz. Nie powinienes pokazywać się w takim towarzystwie.

Levine westchnął.

- Już to omawialiśmy - odparł szeptem. - Pan Sanchez interesuje się naszą sprawą.

- Sancheza interesuje tylko jedno: kontrowersje. Słuchaj, czemu mi płacisz, skoro nie korzystasz z moich rad? Musimy poprawić twój wizerunek, powinienes wyglądać godnie i szlachetnie. Mąż stanu prowadzący krucjatę przeciw niebezpiecznej nauce. Ten program jest dokładnie tym, czego ci nie potrzeba.

- Potrzebuję większego audytorium - odparł Levine. - Ludzie wiedzą, że mówię prawdę. W ostatnich tygodniach poczyniłem spore postępy Kiedy usłyszą o tym... - poklepał się po kieszeni na piersi -... dowiedzą się, czym naprawdę jest „niebezpieczna nauka”.

Wheeler pokręciła głową.

- Z naszych analiz opinii publicznej wynika, że zaczynasz być uważany za ekscentryka. Wytoczone ci sprawy sądowe, zwłaszcza te wytoczone przez GeneDyne, podważają twoją wiarygodność.

- Moją wiarygodność? Niemożliwe. - Znów pochwycił spojrzenie bladego mężczyzny. - Założę się, że to Barrold Leighton we własnej osobie - szepnął. - Z pewnością zjawił się tu po to, żeby promować swoją książkę. To chyba jego pierwszy występ w telewizji. *Odwaga bycia innym*, akurat. Kiepsko byłoby ze światem, gdybyśmy musieli uczyć się od niego odwagi.

- Nie zmieniaj tematu. Twoja wiarygodność naprawdę jest zagro-

żona. Stanowisko w Harvardzie, twoja praca w Fundacji Holocaustu, to wszystko już nie wystarcza. Powinniśmy się przegrupować, naprawić szkody, zmienić twój publiczny wizerunek. Proszę cię, Charles. Nie rób tego.

Jakaś kobieta zajrzała przez uchylone drzwi.

- Levine, proszę - powiedziała obojętnym tonem.

Wstał, uśmiechnął się i pomachał ręką swojej rzeczniczce, po czym przeszedł za kobietą do charakteryzatorki. Naprawić szkody, akurat -my-ślał, kiedy charakteryzatorka posadziła go na fryzjerskim fotelu i zaczęła nakładać mu makijaż. Toni Wheeler zachowywała się jak kapitan łodzi podwodnej, a nie specjalistka od kontaktów z mediami. Była sprytna i rozsądna, lecz w głębi serca pozostała zręczną manipulatorką. Nie rozumiała, że unikanie walki nie leżało w jego charakterze. Poza tym Levine doszedł do wniosku, że potrzebuje czegoś takiego. Prasa ledwie wspomniała o jego relacji z wydarzeń w Nowoduzynie. Uznali, że wydarzyło się to zbyt dawno temu i za daleko. Program *Sammy Sanchez o siódmej* nadawano w Bostonie, jednak retransmitowały go liczne niezależne stacje w całym kraju. Może nie był tak popularny jak *Geraldo*, ale niewiele mu ustępował.

Levine pomacał dwie koperty, które miał w kieszeni marynarki. Był pewny siebie i pogodny. To będzie dobre, bardzo dobre.

Studio C było typowe: wiktoriańska oaza ciemnych tapet i mahoniowych krzeseł, otoczona podwieszonymi reflektorami, kamerami telewizyjnymi i setkami wijących się kabli. Levine dobrze znał dwóch pozostałych gości programu: Finleya Squiresa, łańcuchowego psa przemysłu farmaceutycznego, i działaczkę organizacji konsumenckiej Teresę Court. Tych dwoje występowało już w pierwszej części programu, ale Levine nie przejmował się tym. Przeszedł na środek, ostrożnie omijając kable. Sammy Sanchez siedział na obrotowym fotelu po drugiej stronie okrągłego stołu, zwrócony szczupłą, drapieżną twarzą do Levine'a. Wskazał mu krzesło, gdy zaczęło się odliczanie czasu pozostałego do rozpoczęcia drugiej części programu.

Kiedy zaczęła się transmisja na żywo, krótko przedstawił Levine'a pozostałym gościom i dwóm milionom widzów, po czym oddał głos Squiresowi. Levine już wcześniej widział na monitorze w charakteryzatorki, jak tamten wychwala korzyści płynące z inżynierii genetycznej, i nie mógł się doczekać spotkania. Czuł się jak bokser w szczytowej formie wchodzący na ring.

- Macie może dziecko chore na chorobę Tay- Sachsa? - mówił

Squires. - Albo niedokrwistość sierpowatą? Lub hemofilię?

Z zatroskaną miną spojrział prosto w kamerę. Potem, nie patrząc na Levine'a, wskazał go ręką.

- Obecny tu doktor Levine chciałby odebrać wam prawo do leczenia waszego dziecka. Gdyby mu się udało, miliony chorych ludzi, których można wyleczyć z chorób genetycznych, musiałyby cierpieć.

Zamilkł na chwilę, po czym dodał nieco ciszej:

- Doktor Levine nazywa swoją organizację Foundation for Genetic Policy. Nie dajcie się zwieść. To nie jest fundacja. To organizacja lobby-styczna, która usiłuje pozbawić was cudownych możliwości oferowanych przez inżynierię genetyczną. Odbiera wam prawo wyboru. Skazuje wasze dzieci na cierpienie.

Sammy Sanchez obrócił się na fotelu i podniósł jedną brew, spoglądając na Levine'a.

- Doktorze Levine, czy to prawda? Czy pozbawiłby pan moje dziecko prawa do takiego leczenia?

- Oczywiście, że nie - odparł Levine, uśmiechając się spokojnie. -Z wykształcenia jestem genetykiem. W końcu, co niedawno podałem do publicznej wiadomości, byłem jednym z wynalazców zboża odmiany X-RUST, chociaż wyrzekłem się wszelkich korzyści z tego tytułu. Doktor Squires groteskowo przekręca moje wypowiedzi.

- Może genetykiem w teorii, ale nie w praktyce - zripostował Squires. - Inżynieria genetyczna daje nadzieję. Doktor Levine proponuje rozpacz. To, co nazywa „ostrożnym, konserwatywnym podejściem”, w rzeczywistości nie jest niczym innym jak nieufnością do współczesnej nauki, tak głęboką, że aż średniowieczną.

Theresa Court zaczęła coś mówić, ale urwała. Levine spojrział na nią z uśmiechem. Wiedział, że ta kobieta stanie po stronie zwycięzcy, ktokolwiek nim będzie.

- Sądzę, że doktor Levine opowiada się za większą odpowiedzialnością ze strony firm prowadzących badania genetyczne - powiedział Sanchez. - Czy mam rację, doktorze?

- To jedno z rozwiązań - odparł Levine. - Jednak niezbędna jest także ściślejsza kontrola ze strony państwa. Obecnie firmy mogą do woli majstrować przy ludzkich, zwierzęcych, roślinnych czy wirusowych genach niemal bez żadnego nadzoru. W dzisiejszych laboratoriach powstają niewyobrażalnie silne patogeny Wystarczy jeden nieszczęśliwy wypadek, aby wywołać katastrofę, która może mieć ogólnoświatowe konsekwencje.

Squires obrzucił go niechętnym spojrzeniem.

- Ścisłejsza kontrola - podjął. - Więcej przepisów. Więcej biurokracji. Dalsze tłumienie inicjatywy. Właśnie tego ten kraj nie potrzebuje. Doktor Levine jest naukowcem, powinien więc zdawać sobie z tego sprawę. Tymczasem uparcie głosi nieprawdę, strasząc ludzi kłamstwami o inżynierii genetycznej.

Nadszedł czas, by przejść do ataku, pomyślał Levine.

- Doktor Squires usiłuje przedstawić mnie jako oszusta - oświadczył. Wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki. - Pozwólcie wobec tego, że coś wam pokażę.

Wyjął jasnoczerwoną kopertę i pokazał ją obiektywom kamer.

- Jako profesor mikrobiologii doktor Squires jest całkowicie bezstronny, czyż nie tak? - dodał. - Interesuje go tylko prawda.

Lekko pomachał kopertą, mając nadzieję, że Toni Wheeler obserwuje go z zielonego pokoju. Ta czerwona koperta była genialnym pomysłem. Wiedział, że kamery skupiły się na niej i niezliczeni widzowie czekają teraz z niecierpliwością, aż ją otworzy.

- A gdybym powiedział wam, że w tej kopercie mam dowód na to, iż doktor Squires otrzymał ćwierć miliona dolarów od korporacji GeneDyne, jednej z największych na świecie firm wykorzystujących inżynierię genetyczną? I że zachował ten fakt w tajemnicy nawet przed swoją uczelnią? Czy to nie stawiałoby motywów jego działania w nie-co innym świetle?

Położył kopertę na stole przed reprezentantem przemysłu farmaceutycznego.

- Proszę otworzyć - zachęcił - i pokazać zawartość telewizjom. Squires spojrział na kopertę, nie rozumiejąc pułapki, jaką na niego zastawiono.

- To oburzające - powiedział w końcu, strącając kopertę na podłogę.

Levine ledwie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Z triumfalnym miechem odwrócił się do kamer.

- Widzicie? Pan doktor dobrze wie, co znajduje się w środku.

- To absolutnie niedopuszczalne - warknął Squires.

- Proszę - naciskał Levine. - Niech pan otworzy.

Koperta leżała na podłodze i Squires musiałby się pochylić, żeby ją podnieść. Ale dla Finleya Squiresa i tak było już za późno. Tylko gdyby otworzył ją natychmiast, mógłby zachować swoją wiarygodność, pomyślał Levine.

Sanchez wodził wzrokiem od jednego naukowca do drugiego. Squires zaczął pojmować, co się stało.

- To najbardziej perfidna forma ataku, z jaką kiedykolwiek się spotkałem - stwierdził. - Doktorze Levine, powinien pan się wstydzić.

Tkwiał w narożniku, jednak wciąż walczył. Levine wyjął z kieszeni drugą kopertę.

- A w tej kopercie, doktorze Squires, mam pewne informacje o ostatnich wydarzeniach w tajnym laboratorium GeneDyne, znanym pod nazwą Mount Dragon, gdzie prowadzone są prace z za-kresu inżynierii genetycznej. Te informacje są niezwykle niepokojące i istotne dla każdego naukowca, któremu leży na sercu dobro ludzkości.

Położył kopertę przed Squiresem.

- Skoro nie chciał pan otworzyć tamtej, może przynajmniej otworzy pan tę. Niech pan ujawni niebezpieczne działania GeneDyne. Udowodni pan w ten sposób, że nie reprezentuje interesów tej firmy.

Squires siedział sztywno wyprostowany.

- Nie zamierzam ulegać intelektualnemu terrorowi.

Serce Levine'a biło coraz szybciej. To było niemal zbyt dobre, żeby było prawdą: ten człowiek wpadał w każdą zastawioną pułapkę.

- Ja nie mogę jej otworzyć - wyjaśnił. - GeneDyne zaskarżyła moją fundację o dwieście milionów dolarów odszkodowania, usiłując mnie uciszyć. Musi to zrobić ktoś inny.

Na kopertę leżącą na stole skierowały się obiektywy wszystkich kamer. Sanchez obrócił się w fotelu, obrzucając spojrzeniem obu dyskutantów.

Theresa Court wyciągnęła rękę i podniosła kopertę.

- Jeśli nikt inny nie ma odwagi tego zrobić, ja ją otworzę - oświadczyła.

Pocziwa stara Theresa, pomyślał Levine. Wiedział, że ta kobieta nie oprze się pokusie, żeby odegrać jakąś rolę w tym dramacie.

W kopercie znajdowała się kartka białego papieru z tekstem wypisanym zwykłym maszynowym pismem.

NAZWA WIRUSA: OKRES INKUBACJI: CZAS MIĘDZY WYSTĄPIENIEM PIERWSZYCH OBJAWÓW A ZGONEM:

Nieznana. Tydzień.

Pięć minut do dwóch godzin.

PRZYCZYNA ŚMIERCI: ZARAŻLIWOŚĆ: ŚMIERTELNOŚĆ: STOPIEŃ ZAGROŻENIA:

Ostry obrzęk mózgu. Większa od zwykłej grypy. 100% —

wszystkie ofiary umierają. Najwyższy z możliwych. Wirus, uwolniony przypadkowo lub celowo, może spowodować zagładę rasy ludzkiej. GeneDyne, Inc.

Niewiadome. Pozostaje tajemnicą firmy, chronioną prawem Stanów Zjednoczonych. Prace nad tym wirusem są nadal prowadzone, przy minimalnej kontroli państwa. W ostatnich dwóch tygodniach wirusem zaraził się niezidentyfikowany nauko-wiec lub technik zatrudniony w tajnym laboratorium GeneDyne. Najwidoczniej ofiara została odizolowana, zanim doszło do kolejnych zakażeń. Zmarła przed upływem trzech dni. Gdyby kwarantanna okazała się nieskuteczna, wirus mógłby wydostać się na wolność i wszyscy moglibyśmy umrzeć.

TWÓRCA: ZASTOSOWANIE:

HISTORIA:

Court przeczytała dokument na głos, kilkakrotnie przerywając i z niedowierzaniem spoglądając na Levine'a. Kiedy skończyła, Sanchez obrócił się w fotelu do Finleya Squiresa.

- Chce pan to skomentować? - zapytał.

- Dlaczego miałbym to komentować? - odparł zirytowany Squires.

- Nie mam nic wspólnego z GeneDyne.

- Może powinniśmy otworzyć pierwszą kopertę? - zapytał Sanchez i na jego trupiej twarzy pojawił się słaby, ale wyraźnie złośliwy uśmiech.

- Bardzo proszę - zgodził się Squires. - Cokolwiek jest w środku, niewątpliwie okaże się fałszerstwem.

Sanchez podniósł kopertę.

- Theresa, wydaje się, że ty jedna masz tu odwagę - powiedział, wręczając jej kopertę.

Rozerwała ją. W środku znajdował się wydruk komputerowy, potwierdzający przelew 265 tysięcy dolarów z filii GeneDyne w Hongkongu na numerowane konto w Rigel Bancorp na Antylach Holenderskich.

- Nie ma tutaj nazwiska właściciela konta - zauważył Sanchez, obejrzawszy dokument.

- Proszę podnieść do kamer drugą stronę - polecił Levine. Tekst na drugiej stronie był lekko rozmazany, ale czytelny. Był to

zrzut z ekranu terminalu komputerowego, zrobiony za pomocą kosztownego i nielegalnego urządzenia. Ukazywał podpisane przez Finleya Squiresa zlecenie wypłaty z numerowego konta w Rigel Bancorp na Antylach Holenderskich. Konto miało dokładnie ten sam numer.

Zapadła głucha cisza. Sanchez zakończył program, dziękując uczestnikom i prosząc widzów, aby nie wyłączali odbiorników i czekali na program Barrolda Leightona. Gdy tylko kamery przestały pracować, Squires wstał.

- Ta napaść będzie miała poważne skutki prawne - wykrztusił i opuścił studio.

Sanchez obrócił się do Levine'a i z aprobatą stwierdził:

- Dobra robota. Ze względu na pana mam nadzieję, że potrafi pan tego dowieść.

Levine tylko uśmiechnął się w odpowiedzi.

Wracając do swego laboratorium po odebraniu wyników z patologii, Carson powoli przeciskał się przez wąskie korytarze Wylęgarni. Minęła już szósta i było prawie pusto. De Vaca wyszła parę godzin wcześniej, żeby przeprowadzić symulowane próby enzymatyczne w pracowni komputerowej. Czas zamknąć interes i ruszyć w powolną drogę na powierzchnię. Chociaż Carson nienawidził ciasnoty Wylęgarni, jakoś nie miał teraz ochoty jej opuszczać. Stracił kolegów, z którymi jadał kolacje. Vanderwagana zabrano, a Harper jeszcze przez jeden dzień będzie leżał w izbie chorych.

Nagle stanął jak wryty w drzwiach pracowni. W laboratorium przebywał jakiś obcy człowiek. Carson nacisnął przycisk interkomu na rękawie skafandra.

- Szukasz czegoś? - zapytał.

Postać zeszytywniała i odwróciła się do niego. Za szybą wizjera ujrzął spieczoną słońcem twarz Gilberta Teecea.

- Doktor Carson! Miło mi pana spotkać. Chciałem zamienić z panem kilka słów.

Inspektor wyciągnął rękę.

- Czemu nie - odparł Carson, czując się trochę głupio, gdy ścisnął dłoń tamtego przez grube warstwy gumy. - Proszę usiąść.

Inspektor rozejrzał się wokół.

- Jeszcze nie wiem, jak to zrobić, mając na sobie ten cholerny strój.

- Wobec tego będzie pan musiał stać - mruknął Carson, zajmując miejsce przy stole.

- Nie szkodzi - odparł Teece. - Wie pan, to prawdziwy zaszczyt móc rozmawiać z potomkiem Kita Carsona.

- Chyba poza panem nikt tak nie uważa.

- Zawdzięcza pan to tylko swojej skromności - stwierdził Teece.

-Nie sędę, aby ten fakt był powszechnie znany. Oczywiście znajduje się w pana aktach. Pan Scopes wydawał się bardzo poruszony tym zbiegiem okoliczności. - Teece zamilkł na chwilę. - Naprawdę fascy-nująca postać, ten wasz Scopes.

- Błyskotliwy gość. - Carson badawczo spojrzął na inspektora.

- Dlaczego w sali konferencyjnej zapytał pan o sekcję Brandon-Smith?

Zapadła krótka cisza, a potem usłyszał w głośniczkach helmu śmiech Teecea.

- Właściwie wychował się pan wśród Apaczów, prawda? A zatem być może zna pan jedno z ich starych powiedzeń: „Niektóre pytania są dłuższe od innych”. Pytanie, które zadałem w sali konferencyjnej, było bardzo długie. - Uśmiechnął się. - Jednak pan jest tu nowy i nie było skierowane do pana. Powinienem raczej porozmawiać z panem Vanderwagonem. - Dostrzegł grymas Carsona. - Tak, wiem. Okropna historia. Dobrze go pan znał?

- Od kiedy tu przybyłem, staliśmy się dobrymi znajomymi.

- Jaki on był?

- Pochodzi z Connecticut. Był trochę sztywny, ale lubiłem go. Pod tą swoją poważną miną skrywał ogromne poczucie humoru.

- Czy przed tym zajściem w jadalni zauważył pan w nim coś niezwykłego? Jakies dziwne zachowanie? Zmiany osobowości?

Carson wzruszył ramionami.

- Przez ostatni tydzień był zaabsorbowany i zamknięty w sobie. Mówiło się do niego, a on nie odpowiadał. Nie przywiązywałem do te-go wagi, ponieważ wszyscy byliśmy zaszokowani tym, co się stało. Po-za tym ludzie często trochę dziwnie się tutaj zachowują. Pracujemy pod niebywałą presją. Powszechnie nazywa się to „gorączką Mount Dragon”. Jest podobna do klaustrofobii, tylko gorsza.

Teece zachichotał.

- Ja chyba też już ją mam.

- Po tym, co się stało, Andrew został publicznie zbesztany przez Brenta. Sędę, że bardzo wziął to sobie do serca.

Teece pokiwał głową.

- „Jeśli obrazi cię twe prawe oko...” - mruknął. - Widziałem na ta-śmach wideo, że Scopes zacytował ten fragment Biblii, ochrzaniając Yanderwagona w sali konferencyjnej. Mimo wszystko uważam, że wy-dłubywanie sobie oka to raczej ekstremalna reakcja na stres. Jak mówi ksiązę Kornwalii w *Królu Lirze*: .Wyskocz, marna galareto! Gdzież twój

blask teraz?". Carson milczał.

- Czy wie pan coś o wcześniejszej pracy Vanderwagona dla Gene-Dyne? - zapytał Teece.

- Wiem, że był błyskotliwy i cieszył się sporym uznaniem. To była jego druga tura tutaj. Absolwent uniwersytetu w Chicago. Jednak na pewno wszystko to pan już wie.

- Czy mówił panu o jakichś kłopotach? Zmartwieniach?

- Nie, poza zwyczajnymi narzekaniami na otoczenie. Był zapalonym narciarzem, a tutaj nie ma możliwości uprawiania tego sportu, więc wciąż się na to skarżył. Miał liberalne poglądy i często rozmawiali z Harperem o polityce.

- Czy miał dziewczynę? Carson zastanawiał się chwilę.

- Raz wspomniał o jakiejś. Chyba ma na imię Lucy. Mieszka w Vermont. - Poprawił się na krześle. - A nawiasem mówiąc, dokąd go zabrano? Dowiedzieliście się już czegoś?

- Przechodzi badania. Na razie niewiele wiemy. Trudno się porozumiewać, nie mając łączności telefonicznej. Jednak wyszły już na jaw pewne niepokojące fakty... chociaż wolałbym, żeby na razie zatrzymał pan to dla siebie.

Carson skinął głową.

- Wstępne badania wykazują, że Yanderwagon cierpi na niezwykłą przypadłość: nadmierną przepuszczalność naczyń krwionośnych oraz podwyższony poziom dopaminy i serotoniny w mózgu.

- Nadmierna przepuszczalność?

- Krwawienie naczyń. Z jakiegoś powodu część jego krwinek rozpadła się, uwalniając hemoglobinę, która wyciekła z naczyń włosowatych i dostała się do różnych części ciała. A czysta hemoglobina, jak pan wie, jest toksyczna dla ludzkich tkanek.

- Czy wiąże pan to z jego załamaniem?

- Za wcześnie, żeby coś powiedzieć - odparł Teece. - Jednak podwyższony poziom dopaminy to wiele mówiący fakt. Co pan wie o dopaminie? O serotoninie?

- Niewiele. To neurotransmitery

- Właśnie. Przy normalnym stężeniu nie stanowią problemu. Ale podwyższony poziom jednego z nich w mózgu drastycznie wpływa na ludzkie zachowanie. Wszyscy paranoicy i schizofrenicy mają podwyższony poziom dopaminy. Odloty po zażyciu LSD też są spowodowane chwilowym wzrostem stężenia tego neurotransmitera.

- Co chce mi pan przez to powiedzieć? - zapytał Carson. - Sądzi

pan, że Andrew ma podwyższony poziom tych mediatorów nerwowych w mózgu, bo jest szaleńcem?

- Być może - odparł Teece. - Albo wręcz odwrotnie. Jednak nie ma sensu snuć takich spekulacji, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej. Przejdźmy do prawdziwego celu mojej wizyty tutaj i porozmawiajmy o szczepie X-FLU, nad którym pracujecie. Może wyjaśni mi pan, dlaczego zamiast zneutralizować wirusa, uczynił go pan jeszcze bardziej zabójczym.

- Boże, gdybym potrafił odpowiedzieć na to pytanie... - Carson urwał. - Jeszcze niezupełnie rozumiemy, w jaki sposób X-FLU działa. Rekombinując geny, nigdy nie wiadomo, co się otrzyma. Zespoły ge-nów współdziałają w skomplikowany sposób i usunięcie któregoś lub dodanie nowego często powoduje nieoczekiwane efekty. Pod pewnymi względami przypomina to niewiarygodnie skomplikowany program komputerowy, którego nikt w pełni nie rozumie. Nigdy nie wiadomo, co się stanie, jeśli wprowadzi się do niego nowe dane albo zmieni linię kodu. Może nic się nie stanie. Może będzie lepiej działał. A może cały system padnie.

Carson zdawał sobie sprawę, że jest bardziej szczerzy z tym inspektorem OSHA, niż życzyłby sobie tego Brent Scopes. Ale Teece był bystry i ukrywanie oczywistych faktów nie miało sensu.

- Dlaczego nie można posłać się mniej niebezpiecznym wirusem jako nośnikiem genu X-FLU? - zapytał inspektor.

- Trudno to wyjaśnić. Na pewno pan wie, że ciało składa się z dwóch typów komórek: somatycznych i rozrodczych. Aby X-FLU miał trwałe działanie - przekazywane następnym pokoleniom - musimy wprowadzić jego DNA do komórek rozrodczych. Somatyczne nie spełniłyby tej roli.

- A co z etycznymi aspektami zmieniania komórek rozrodczych? Wprowadzania nowych genów do ludzkiego genomu? Czy dyskutowano o tym w Mount Dragon?

Carson zastanawiał się, dlaczego Teece wciąż wraca do tego tematu.

- Dokonujemy najmniejszej z możliwych zmian, wprowadzając gen składający się zaledwie z kilkuset par zasad - powiedział. - Ten gen uczyni człowieka odpornym na grypę. Nie ma w tym niczego niemoralnego.

- Tylko czy nie powiedział pan przed chwilą, że drobna zmiana jednego genu może mieć niespodziewane skutki?

Carson wstał zniecierpliwiony.

- Oczywiście! Właśnie temu służą badania kliniczne: szukaniu nieoczekiwanych efektów ubocznych. Ta terapia musi przejść przez szereg drogich badań, które będą kosztowały GeneDyne miliony dolarów.

- Prowadzonych na ludziach?

- Oczywiście. Zaczyna się od prób *in vitro* i prób na zwierzętach. W fazie alfa wykorzystuje się małą grupkę ochotników. Faza beta obejmuje licznější grupę. Badania zostaną przeprowadzone przez wytypowanych lekarzy pod nadzorem GeneDyne. Wszystko będzie zrobione bardzo ostrożnie. Wie pan o tym równie dobrze jak ja.

Teece pokiwał głową.

- Proszę mi wybaczyć, że pana zanudzam, doktorze Carson. Gdyby jednak wystąpiły jakieś „niespodziewane efekty uboczne”, czy nie wywołałby ich pan u całej rasy ludzkiej, wprowadzając gen X-FLU choćby kilku pacjentom? Tworząc, być może, nową dziedziczną chorobę? Albo rasę różniącą się od wszystkich innych ras ludzkich? Niech pan pamięta, że wystarczył jeden zmutowany osobnik - tylko jeden - aby wprowadzić do całej rasy ludzkiej gen hemofilii. Teraz na całym świecie mamy tysiące chorych na tę chorobę.

- GeneDyne nie wydałaby prawie pół miliarda dolarów, gdyby nie opracowała takich szczegółów - uciał Carson, nie rozumiejąc, dlaczego dat się zepchnąć na pozycje obronne. - Nie ma pan do czynienia z jakąś malutką firemką.

Obszedł stół i stanął przed inspektorem.

- Moim zadaniem jest neutralizacja wirusa. I proszę wierzyć, zupełnie mi to wystarczy. Co z nim zrobią, kiedy go unieszkodliwię, już mnie nie obchodzi. Zresztą wszystko to jest regulowane przez tysiące przepisów. Pan lepiej niż ktokolwiek powinien zdawać sobie z tego sprawę. Pewnie sam pan napisał połowę z nich.

W głośnikach rozległy się trzy melodyjne dźwięki.

- Musimy wyjść - oświadczył Carson. - Dziś wieczorem przeprowadzają sterylizację wszystkich pomieszczeń.

- Oczywiście - odparł Teece. - Zechce pan pójść pierwszy? Obawiam się, że zgubiłbym się już po paru krokach.

Na zewnątrz Carson przez chwilę stał w milczeniu, z zamkniętymi oczami, wystawiając twarz na podmuchy ciepłego wieczornego wiatru. Prawie czuł, jak ten pustylny wietrzyk rozwiewa nagromadzone w nim napięcie i lęk. Zauważył niezwykłą barwę nieba na zachodzie i zmarszczył brwi. Odwrócił się do Teecea.

- Przepraszam, jeśli na dole byłem trochę niegrzeczny - powie-

dział. - To miejsce działa mi na nerwy, szczególnie pod koniec dnia.

- Doskonale pana rozumiem. - Inspektor przeciągnął się, podrapał po obłążącym ze skóry nosie i popatrzył na białe budynki, widowskiowo podświetlone przez zachodzące słońce. - Ale po zachodzie nie jest tu tak źle. - Spojrzał na zegarek. - Powinniśmy się pospieszyć, je-żeli chcemy zdążyć na obiad.

- Pewnie tak - mruknął Carson bez entuzjazmu. Teece spojrział na niego.

- Zdaje się, że ma pan na to taką samą ochotę jak ja.

Carson wzruszył ramionami.

- Do jutra mi przejdzie. Po prostu chyba nie jestem głodny.

- Ja też nie - przyznał inspektor. - Wobec tego chodźmy do sauny
Carson popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Dokąd?

- Do sauny Spotkamy się tam za piętnaście minut.

- Oszalał pan? To ostatnia rzecz... - Carson urwał, dostrzegając wyraz twarzy Teecea. Zmrużył oczy, pojmując nagle, że to polecenie, a nie zaproszenie. - A więc za piętnaście minut - powtórzył i nie mówiąc już nic więcej, ruszył do swojego pokoju.

Kiedy sporządzano plany Mount Dragon, architekci, rozumiejąc, że mieszkańcy ośrodka będą uwięzieni przez otaczającą ich pustynię, zadali sobie wiele trudu, aby zapewnić im jak najwięcej wygód. Centrum rekreacyjne - długi niski budynek przylegający do części mieszkalnej - było lepiej wyposażone niż większość hal sportowych. Mieściło pięćsetmetrową bieżnię, boiska do squasha i kometki, basen oraz siłownię. Projektanci Mount Dragon nie zdawali sobie sprawy, że większość naukowców zazwyczaj zdecydowanie unika wysiłku fizycznego. Praktycznie z centrum rekreacyjnego korzystał jedynie Carson, który lubił pobiegać sobie wieczorem, oraz Mikę Marr, godzinami przesiadujący w siłowni.

Chyba najbardziej niezwykłym elementem wyposażenia centrum rekreacyjnego była sauna: szwedzki model z cedrowymi ścianami i ławkami. Podczas mroźnych pustynnych zim cieszyła się sporym powodzeniem, ale w lecie wszyscy mieszkańcy Mount Dragon omijali ją szerokim łukiem.

Kiedy Carson rozebrał się w męskiej szatni i spojrział na zewnętrzny termometr, domyślił się, że Teece jest już w środku. Otworzył drzwi i odruchowo odwrócił głowę, czując na twarzy podmuch gorące-go powietrza. Wchodząc do środka, dojrzał bladą postać Teece a, opa-sanego

białym rękawiczką i siedzącego przy palenisku na drugim końcu pomieszczenia. Jasna skóra inspektora zabawnie kontrastowała z jego spaloną słońcem twarzą. Pot spływał mu z czoła i zbierał się na czubku obłążającego ze skóry nosa.

Carson znalazł miejsce jak najdalej od niego, ostrożnie sadowiąc się na rozgrzanym drewnie. Płytko wciągał w płuca palące powietrze.

- O co chodzi, panie Teece? - warknął gniewnie. Inspektor spojrział na niego z krzywym uśmiechem.

- Szkoda, że nie może pan siebie zobaczyć - wysapał. - Niech pan się tak nie podnieca. Zaprosiłem tu pana nie bez powodu.

- Chętnie go usłyszę.

Carson czuł, że pot ścieka mu po całym ciele. Ten facet chyba podkręcił temperaturę do siedemdziesięciu stopni, pomyślał.

- Jest jeszcze coś, o czym chcę z panem porozmawiać - oświadczył Teece. - Ma pan coś przeciwko temu, że dodam trochę pary?

Jakiś żartowniś zastąpił kiedyś drewniane wiadro zlewką do destylowanej wody. Zanim Carson zdążył zaprotestować, inspektor podniósł ją i wylał pół litra wody na rozżarzone węgle. Nad paleniskiem natychmiast uniosły się kłęby gorącej pary, wypełniając całe pomieszczenie.

- Dlaczego tu przyszliśmy, do diabła? - wychrypiął Carson, czując, że kręci mu się w głowie.

- Panie Carson, nie mam nic przeciwko publicznym wystąpieniom - powiedział skryty w chmurach pary inspektor. - Prawdę mówiąc, najczęściej służą moim celom. Tak jak nasza popołudniowa rozmowa w laboratorium. Jednak teraz chcę porozmawiać bez świadków.

Carson w końcu zrozumiał. Wszyscy pracownicy Mount Dragon uważali, że rozmowy przeprowadzane w laboratorium są monitorowane. Najwidoczniej Teece nie chciał, aby ktokolwiek podsłuchiwał to, co miał teraz do powiedzenia. Czemu jednak nie spotkali się w kawiarence lub w części mieszkalnej? - zastanawiał się Carson. Po chwili sam odpowiedział sobie na to pytanie: krążące wśród mieszkańców Mount Dragon pogłoski sugerowały, że Nye ma na podsłuchu wszystkie pomieszczenia. Najwyraźniej Teece również w to wierzył. Sauna, z jej zabójczą dla wszelkich urządzeń elektronicznych temperaturą i parą wodną, była jedynym miejscem, gdzie mogli porozmawiać. Ale czy naprawdę jedynym?

- Dlaczego nie mogliśmy po prostu wyjść za ogrodzenie? - zapytał.

Teece zmaterializował się w kłębach pary, usiadł obok Carsona i pokręcił głową.

- Boję się skorpionów - wyjaśnił. - Proszę posłuchać przez chwi-

łę. Zastanawia się pan, dlaczego zaprosiłem tu akurat pana. Z dwóch powodów. Po pierwsze, kilkakrotnie obejrzałem na taśmie, jak zareagował pan podczas tamtego wypadku Brandon-Smith. Był pan jedynym zaangażowanym w ten projekt i obecnym na miejscu tragedii naukowcem, który zachował się racjonalnie. W nadchodzących dniach pańska zimna krew może mi się przydać. Dlatego rozmawiałem z panem na końcu.

- Rozmawiał pan już ze wszystkimi?

- To niewielka społeczność. Dużo się dowiedziałem. A znacznie więcej podejrzewam, ale jeszcze nie mam pewności. - Teece wierzchem dłoni otarł pot z czoła. - Drugi i zdecydowanie ważniejszy powód jest związany z pana poprzednikiem.

- Mówi pan o Franklinie Burcie? Co z nim?

- W laboratorium wspomniałem, że Andrew Yanderwagon cierpi na krwawienie z naczyń krwionośnych oraz podwyższone stężenie dopaminy i serotoniny. Ale nie powiedziałem panu, że Franklin Burt wykazuje te same objawy. A także o tym, że sekcja wykryła je również u Brandon-Smith. Jak pan myśli, co jest tego przyczyną?

Carson zastanawiał się przez chwilę. To nie miało żadnego sensu. Chyba że... Pomimo panującego w saunie gorąca nagle zrobiło mu się zimno.

- Czyżby zarazili się jakimś wirusem?

Mój Boże - pomyślał. Czyżby jakiś szczep X-FLU o opóźnionym działaniu? Ta myśl przeraziła go.

Teece z uśmiechem wytarł ręce o ręcznik.

- I co teraz z pańską niewzruszoną wiarą w skuteczność zabezpieczeń? Spokojnie. Nie pan pierwszy wyciągnął takie pochopne wnioski. Ani u Burta, ani u Yanderwagana nie wykryto przeciwciał X-FLU.

Obaj są czyści. Natomiast Brandon-Smith miała mnóstwo przeciwciał. Tak więc nie ma tu wspólnego mianownika.

- Nie potrafię tego wyjaśnić - odparł Carson, odetchnąwszy z ulgą. - To bardzo dziwne.

- Owszem - mruknął Teece i znów polał węgle wodą. - Zakładam, że po przyjeździe tutaj przejrzał pan notatki doktora Burta - do-dał po chwili.

Carson skinął głową.

- Więc musiał pan także przeczytać jego elektroniczny dziennik?

- Tak - potwierdził Guy.

- Wielokrotnie, jak sędzę.

- Mógłbym recytować go przez sen.

- Jak pan sądzi, gdzie jest jego pozostała część? - zapytał Teece.
Na moment zapadła cisza.

- O czym pan mówi? - spytał po chwili Carson.

- Kiedy czytałem te notatki on-line, zauważyłem coś dziwnego. Jakbym słuchał melodii, w której brakuje kilku dźwięków. Dlatego przeprowadziłem analizę statystyczną notatek i stwierdziłem, że w ciągu ostatniego miesiąca przeciętna długość dziennego wpisu spadła z ponad dwóch tysięcy słów do kilkuset. To pozwoliło mi wyciągnąć wniosek, że Burt - z istotnych lub urojonych powodów - zaczął prowadzić drugi dziennik. Taki, do którego nie mógł się dostać Scopes ani nikt inny.

- W Mount Dragon nie wolno robić notatek - przypomniał mu Carson.

- Wątpię, czy dla doktora Burta miało to wówczas jakieś znaczenie. W każdym razie, o ile mi wiadomo, pan Scopes lubi nocami przemierzać cyberprzestrzeń GeneDyne, wszędzie wpychając swój nos. Prywatny dziennik jest logiczną reakcją na taką sytuację. Jestem przekonany, że Burt nie był jedynym. Z pewnością znalazłoby się tu kilka innych zdrowych na umyśle osób, które prowadzą prywatne dzienniki.

Carson pokiwał głową, zastanawiając się gorączkowo.

- To oznacza... - zaczął.

- Tak? - zachęcił go Teece.

- No cóż, w swoich notatkach Burt kilkakrotnie wspomniał o „kluczowym czynniku”. Jeśli jego dziennik istnieje, to może zawierać opis tego czynnika, cokolwiek to jest. Pomyślałem, że może to być brakujący fragment łamigłówki, który pozwoliłby rozwiązać problem unieszkodliwienia wirusa X-FLU.

- Możliwe - przyznał Teece i po chwili dodał: - Zanim Burt zajął się X-FLU, pracował nad czymś innym, prawda?

- Tak. Opracował proces GEF, metodę filtracji opatentowaną przez GeneDyne. A także udoskonalił PurBlood.

- Ach tak. PurBlood. - Teece z niesmakiem wyduł usta. - Nieprzyjemny pomysł.

- Co pan ma na myśli? - zapytał zaskoczony Carson. - Preparaty krwiozastępcze mogą uratować życie wielu ludzi. Eliminują konieczność sprawdzania grup krwi, zapobiegają transfuzji zarażonej krwi...

- Być może - przerwał mu Teece. - Mimo to niezbyt cieszy mnie perspektywa wprowadzania tego preparatu do moich żył. O ile wiem, jest produkowany przez szczep genetycznie przekształconych bakterii,

którym wprowadzono gen ludzkiej hemoglobiny. To ta sama bakteria, której miliardy żyją w...

Ściszył głos i ostatnie słowo wymówił prawie bezdźwięcznie. Carson roześmiał się.

- To paciorkowiec. Tak, to bakteria znajdowana w glebie. Naukowcy GeneDyne wiedzą o paciorkowcach więcej niż o jakiegokolwiek innej formie życia. To jedyny organizm poza *Escherichia coli*, którego geny zo-stały całkowicie poznane, od początku do końca. Dlatego jest idealnym gospodarzem. To, że bytuje w ziemi, nie czyni go obrzydliwym ani nie-bezpiecznym.

- A zatem może mnie pan nazwać staroświeckim - mruknął Teece.
- Jednak odbiegłem od tematu. Lekarz opiekujący się Burtem powiedział mi, że pacjent raz po raz powtarza pozornie bezsensowne zdanie: „Biedny alfa”. Jak pan sądzi, co to oznacza? Czy może to być początek dłuższego zdania? Czy też może czyjś przydomek?

Carson zastanawiał się przez chwilę, a potem potrząsnął głową.

- Wątpię, aby był to ktoś stąd. Teece zmarszczył brwi.

- Jeszcze jedna zagadka. Może jego notatnik rzuci trochę światła i na to. W każdym razie mam pewien pomysł, gdzie rozpocząć poszukiwania. Zamierzam przystąpić do nich po powrocie.

- Po powrocie...? - powtórzył Carson. Teece kiwnął głową.

- Jutro wyjeżdżam do Radium Springs, aby złożyć wstępny raport. Tutaj prawie nie ma łączności ze światem. Muszę skonsultować się z moimi kolegami. Dlatego z panem rozmawiam. Pan najlepiej orientuje się w pracy Burta. W nadchodzących dniach będę potrzebował pańskiej pomocy. Nie wiem czemu, ale mam wrażenie, że Burt jest kluczem do tego wszystkiego. Niebawem będziemy musieli podjąć decyzję.

- Jaką decyzję?

- Czy zezwolić na dalsze prowadzenie tych prac - odparł Teece, po czym wstał i ciałniej owinał się ręcznikiem.

Carson nie wyobrażał sobie, aby Scopes pozwolił na zakończenie badań.

- Nie radziłbym tego robić - powiedział.

- Czego?

- Wyjeżdżać jutro. Nadchodzi gwałtowna burza.

- Nie zapowiadali jej przez radio - zdziwił się inspektor.

- Nie nadają przez radio prognoz pogody dla pustyni Jornada del Muerto, panie Teece. Czy zauważył pan tę szczególną pomarańczową barwę nieba na południu, kiedy dziś wieczorem wyszliśmy z Wylęgar-ni?

Widywałem już takie zabarwienie. Zawsze zapowiadało kłopoty

- Doktor Singer pożycz mi hummera. Ten wóz jest zbudowany jak czołg.

Carson wzruszył ramionami.

- Nie zamierzam pana zatrzymywać. Jednak na pana miejscu czekałbym trochę.

Teece pokręcił głową.

- To, co zamierzam zrobić, nie może czekać.

Front burzowy skumulował siły nad Zatoką Meksykańską, a potem ruszył na południowy zachód, uderzając na wybrzeże stanu Tamaulipas. Tam wzniósł się nad Sierra Madre Oriental, gdzie zbierało się wilgotne powietrze, tworząc ciemne deszczowe chmury. Kiedy przesunął się na zachód, spadł ulewny deszcz. Zanim dotarł do pustyni Chihuahua, pozbył się całej wilgoci. Potem skręcił na północ, posuwając się w poprzek równinnych terenów północnego Meksyku. O szóstej rano znalazł się nad pustynią Jornada del Muerto.

Był teraz suchy jak pieprz. Żadne chmury ani opady nie zapowiadały jego przybycia. Nadciągająca znad zatoki burza niosła ze sobą potworną energię, powstała w wyniku ponaddwudziestostopniowej różnicy temperatur między masami rozgrzanego powietrza nad pustynią a powietrzem napływającym z południa.

Energia ta objawiała się jedynie porywistym wiatrem.

W miarę jak burzowy front nadciągał nad Jornadę, stawał się coraz bardziej widoczny jako wysoka na półtora kilometra ściana pomarańczowego pyłu. Z szybkością pociągu pospiesznego gnał po pustyni, niosąc poszarpane krzaki, piach, kurz i sól z plaż na południu. Na wysokości metra fruwały gałęzie, kawałki zeschniętych kaktusów i odartej z drzew kory. Tuż nad ziemią wiatr niósł ostry żwir, kamyki oraz drobniejsze kawałki drewna.

Takie pustynne burze, chociaż występujące zaledwie raz na kilka lat, potrafiły trzeć piaskiem przednią szybę samochodu, aż zmatowiała, potrafiły zderzyć farbę z obłych krawędzi, zerwać dach z przyczepy kempingowej i rzucić konia na ogrodzenie z drutu kolczastego.

Burza dotarła na środek pustyni Jornada i nad Mount Dragon o siódmej rano, pięćdziesiąt minut po tym, jak Gilbert Teece, starszy inspektor OSHA, odjechał hummerem ze swoją grubą dyplomatką, kierując się do Radium Springs.

Scopes siedział przy swoim fortepianie, trzymając nieruchomo palce na czarnych klawiszach z różanego drewna. Sprawiał wrażenie

głęboko za-topionego w myślach. Obok podpórki w kształcie dłoni leżała bulwarowa gazeta, podarta i pognieciona, jakby czyjeś ręce gniewnie zmięły ją, a potem rozprostowały. Była otwarta na artykule pod tytułem: „Doktor Harvardu obwinia firmę GeneDyne o okropny wypadek”.

Scopes wstał, wszedł w krąg światła i opadł na kanapę. Położył sobie na kolanach klawiaturę i wystukał krótką serię poleceń, rozpoczynając wideokonferencję. Zawieszony przed nim ogromny ekran ożył. Wzdł jednego jego skraju popłynął potok komputerowego kodu, a potem ustąpił miejsca wielkiemu, ziarnistemu obrazowi twarzy ludzkiej. Mężczyzna na ekranie miał gruby kark, wylewający się spod kołnierzyka o dwa numery za ciasnej koszuli, i spoglądał w obiektyw, szczerząc zęby jak człowiek, który rzadko się uśmiecha.

- *Guten Tag* - powiedział Scopes.

- Może wygodniej będzie panu mówić po angielsku, panie Scopes?

- zaproponował mężczyzna, sztywno pochylając głowę.

- *Nein* - odparł Scopes. - Chcę poćwiczyć moją niemieczną. Mów powoli i wyraźnie. Powtarzaj dwukrotnie.

- Bardzo dobrze - powiedział mężczyzna.

- Dwukrotnie.

- *Sehr gut, sehr gut* - odparł tamten.

- *Hor Saltzman*, nasz wspólny przyjaciel mówi mi, że ma pan dostęp do starych nazistowskich akt w Lipsku.

- *Das ist richtig. Das ist richtig.*

- Czy tam obecnie znajdują się akta łódzkiego getta?

- *Ja, ja.*

- Doskonale. Mam pewien problem, jak by tu powiedzieć... archiwalny. Z rodzaju tych, jakie są pana specjalnością. Bardzo dobrze zapłacę, *Herr Saltzman*. Sto tysięcy marek niemieckich.

Uśmiech tamtego stał się jeszcze szerszy.

Scopes łamaną niemieczną zaczął wyjaśniać swój problem. Mężczyzna na ekranie słuchał go uważnie i uśmiech powoli zniknął mu z twarzy. Kiedy ekran znów zgasł, jedno ze stojących na bocznym stoliku urządzeń wydało cichy brzęk. Scopes, który nadal siedział na sfatygowanej kanapie, nachylił się nad stolikiem i nacisnął guzik.

- Tak?

- Pański lunch jest już gotowy.

- Doskonale.

Wszedł Spencer Fairley. Plastikowe domowe pantofle na jego nogach rażąco kontrastowały z ciemnoszarym garniturem. Bezszelestnie

przeszedł po parkiecie i postawił na bocznym stoliku pizzę oraz puszkę coca-coli.

- Czy jeszcze coś, sir? - zapytał.

- Czytałeś dziś rano „Heralda”? Fairley pokręcił głową.

- Czytuję tylko „Globe” - odparł.

- Czasem powinienes spróbować przeczytać także „Heralda”. Jest znacznie ciekawszy od „Globe”.

- Nie, dziękuję - odparł Fairley.

- Leży tam - powiedział Scopes, wskazując na fortepian. Fairley poszedł do instrumentu i wrócił, niosąc pomięte strony.

- Nieprzyjemny artykuł - orzekł, spoglądając na otwartą gazetę. Scopes uśmiechnął się.

- Wprost przeciwnie. Jest doskonały. Ten stuknięty skurwysyn sam przyłożył sobie nóż do gardła. Muszę tylko lekko go trącić.

Z kieszeni na piersi wyjął pognieciony wydruk komputerowy

- Oto moja lista obdarowanych na ten tydzień. Jest krótka, zawiera tylko jedną pozycję: milion dla Holocaust Memorial Fund.

Fairley zdziwił się.

- Organizacji Levine'a?

- Właśnie. Chcę, aby zrobiono to publicznie, ale w spokojny, godny sposób.

- Czy wolno spytać... - Fairley podniósł brew.

- ... dlaczego? - dokończył zdanie Scopes. - Ponieważ, Spenczerze, ty stary braminie, to godna sprawa. A mówiąc między nami, niebawem stracą swojego najskuteczniejszego zdobywcę funduszy

Fairley pokiwał głową.

- Ponadto, gdybyś tylko się zastanowił, zrozumiałbyś strategiczne powody uwolnienia tej organizacji od doktora Levine'a.

- Tak jest, sir.

- I jeszcze coś, Fairley. Moja marynarka ma dziurę na łokciu. Czy chciałbyś znów pojechać ze mną na zakupy?

Na twarzy Fairleya pojawił się grymas obrzydzenia, ale natychmiast znikł.

- Nie, dziękuję panu, sir - odparł stanowczo.

Scopes zaczekał, aż drzwi zamkną się z sykiem. Potem odstawił klawiaturę i podniósł pokrywkę pudełka z pizzą. Była prawie zimna, dokładnie taka, jaką lubił. Zamknął oczy, z zadowoleniem zatapiając zęby w gumowatym cieście.

- *Aufwiedersehen*, Charles - wymamrotał.

Carson wyszedł z budynku administracji o piątej i stanął jak wryty. Zabudowania Mount Dragon spowijał mrok oddalającej się burzy piaskowej, w którym ich ciemne sylwetki ledwie wyłaniały się z kłębow pomarańczowego pyłu. Wokół panowała upiorna cisza. Carson zrobił ostrożny wdech, sprawdzając powietrze. Było kwaśne jak ceglany pył i dziwnie chłodne. Gdy zrobił krok naprzód, jego but zapadł się do połowy w miękką kurz.

Tego ranka przyszedł do pracy bardzo wcześnie, jeszcze przed wschodem słońca, chcąc jak najszybciej zakończyć analizę X-FLU II. Pracował w skupieniu, niemal zapomniawszy o burzy szalejącej nad cichymi podziemnymi pomieszczeniami Wylegarni. De Vaca przyszła godzinę później. Ona też zdażyła przed burzą, ale w ostatniej chwili, o czym świadczyły jej ciche przekleństwa i umorusana twarz groźnie marszcząca się do niego za szybą wizjera.

Tak musi wyglądać powierzchnia Księżyca - pomyślał, stojąc przed budynkiem administracji. Albo koniec świata. Na ranczu widział wiele burz, ale nigdy takiej. Kurz zalegał wszędzie, pokrywając białe budynki, przywierając do okien. Prawie za każdym słupkiem i wzniesieniem zebrały się długie smugi piasku. Niesamowity, mroczny, monochromatyczny świat.

Carson ruszył w kierunku kompleksu mieszkalnego, nie widząc dalej jak na piętnaście metrów w gęstym pyle. Po chwili zawahał się, zawrócił i poszedł w kierunku zagrody dla koni. Chciał sprawdzić, jak się ma Roscoe. Zdarzało się, że przerażone konie miały się w boksach podczas burzy i czasem łamały sobie nogi.

Zwierzęta były pokryte kurzem i trochę zdenerwowane, ale całe i zdrowe. Roscoe zarżał na powitanie i Carson pogłaskał go po szyi, żałując, że nie zabrał marchewki albo kostki cukru. Pospiesznie obejrzał wierzchowca i wyprostował się z ulgą.

Do jego uszu doleciał stukot końskich kopyt, stłumiony i zniekształcony przez pył. Spojrzawszy w tym kierunku, ujrzał jakąś postać majaczącą w chmurze pyłu. Dobry Boże - pomyślał - tam ktoś jest! Cień znikł, a potem ponownie się pojawił. Carson usłyszał szcęk furtki. Ktoś nadjeżdżał.

Przez otwarte drzwi stajni Carson dojrzał widmową postać jeźdźca na koniu wyłaniającą się z kłębow kurzu. Mężczyzna miał głowę wtuloną w ramiona, a jego koń włókł się za nim skrajnie wy-czerpany.

To był Nye.

Carson cofnął się w głąb ciemnej stajni i wszedł do pustego bok-

su. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnął, było kolejne nieprzyjemne spotkanie.

Usłyszał skrzypienie zamykanej bramy, a potem odgłos powolnych kroków po wysypanej trocinami podłodze stajni. Przykucnął i zerknął przez szparę w przepierzeniu boksu.

Szef ochrony był od stóp do głów pokryty grubą warstwą złotego pyłu, spod którego widać było tylko czarne oczy i spierzchnięte usta.

Przystanął na środku stajni, powoli zdjął z konia futerał ze sztucem i juki i powiesił je na hakach. Następnie odpiął siodło i umieścił je na stojaku, nakrywając derką. Przy każdym ruchu wzbijały się wo-kół niego kłęby szarego kurzu.

Potem poprowadził rumaka do boksu, znikając Carsonowi z oczu. Guy słyszał, jak poklepuje konia, mamrocząc uspokajające słowa. Po chwili usłyszał szelest podsypywanego siana, trzeszczenie wrzucanej do boksu słomy i plusk wody nalewanej wężem do wiadra. Po kilku minutach Nye pojawił się ponownie. Zwrócony plecami do Carsona, wyjął z kąta stajni ciężką metalową kasetkę i otworzył ją. Potem podszedł do juków, rozpiął jedną sakwę i wyjął coś, co wyglądało jak dwa prostokąty przezroczystego plastiku chroniącego poszarpany kawałek papieru, którego posiadanie było surowo zakazane na terenie ośrodka. Umieściwszy go na podłodze, wyjął z juków coś, co wyglądało na świecową kredkę, pochylił się i zaczął nanosić jakieś notatki na plastikową folię. Carson przycisnął oko do szpary, usiłując zobaczyć coś więcej. Papier wyglądał na stary i podniszczony. Wzdł jego górnej krawędzi Carson dostrzegł skreślony dużymi literami napis: *Al desper-tar la hora el dguila del sol se levanta en una aguja deljuego*. „O świcie orzeł słońca stanie na igle ognia”. Nic więcej nie zdołał dostrzec.

Nagle Nye wyprostował się czymś zaalarmowany. Rozejrzał się wo-kół, wyciągając szyję, jakby szukał źródła jakiegoś hałasu. Carson wtopił się w cień na końcu stajni. Usłyszał szuranie, szcęk zamka i odgłos ciężkich kroków. Kiedy ponownie spojrzął, szef ochrony już wychodził ze stajni i jego szara postać zniknęła we mgle.

Po dłuższej chwili Carson wstał, z zainteresowaniem przyjrzał się metalowej kasetce, po czym podszedł do przegrody, w której znajdował się koń Nye'a, Muerto. Rumak stał na szeroko rozstawionych nogach, z pyska ściekała mu brązowa ślina. Carson wyciągnął rękę i pomacał ścięgna. Koń miał lekko podwyższoną temperaturę, jednak Carson nie stwierdził zapalenia. Podkowy trzymały się dobrze i Muerto nie miał mętnego spojrzenia. Cokolwiek robił Nye, doprowadził zwierzę do kresu

sił - być może przejechał na nim ponad sto kilometrów przez dwanaście godzin. Ale koń był w niezłej kondycji i za dzień lub dwa odzyska formę. Nye wiedział, kiedy przestać. I miał wspaniałego wierzchowca. Wypalone na prawej szczęce zero oraz cecha wysoko na szyi wskazywały, że koń został zarejestrowany zarówno w American Paint Horse Association, jak i American Quarter Horse Association. Carson z podziwem poklepał Muerto po boku.

- Kosztowny z ciebie kawał konia - mruknął.

Potem opuścił boks, podszedł do drzwi stajni i spojrzął w kurz unoszący się jak dym w dusznym powietrzu. Nye już dawno odszedł. Carson cicho zamknął drzwi stajni i pospiesznie ruszył do swojego pokoju, usiłując odgadnąć, co kazało temu człowiekowi ryzykować życie w takiej burzy. I dlaczego naraża się na utratę pracy, nosząc przy sobie kartkę z jakimś bezsensownym hiszpańskim tekstem w miejscu, gdzie w ogóle nie wolno było mieć papieru?

Carson przeszedł przez kawiarenkę i wyszedł na taras. Wyświechtany futerał z bandzo obijał mu się o kolana. Noc była ciemna, chmury za-słaniały księżyc, ale wiedział, że nieruchoma postać siedząca przy balustradzie to Singer.

Od czasu ich pierwszej rozmowy na tarasie Carson często widywał siedzącego tam dyrektora, cieszącego się wieczorem i wygrywającego różne melodie na wysłonej gitarze. Singer zawsze uśmiechał się do niego i machał ręką albo wesoło go pozdrawiał. Jednak po śmierci Brandon-Smith bardzo się zmienił. Stał się dziwnie cichy i nieobecny. Przybycie Teecea i nagły atak szału Vanderwagona jeszcze pogłębiły ponury nastrój dyrektora. Nadal siadywał wieczorami na tarasie, lecz teraz zapadał w głębokie milczenie, a gitara leżała zapomniana u jego stóp.

Podczas pierwszych paru tygodni Carson chętnie przebywał z nim wieczorami, ale w miarę jak płynął czas i rosło napięcie, coraz częściej przypominał sobie, że ma do sprawdzenia jeszcze jedną możliwość i musi wprowadzić do komputera notatki laboratoryjne. Jednak tego wieczoru postanowił znaleźć czas. Lubił Singera i nie chciał, żeby dyrektor się zamartwiał, obwiniając się niepotrzebnie. Może powinien go trochę rozruszać. Poza tym po rozmowie z Teeceem zaczął mieć poważne wątpliwości co do celowości swojej dalszej pracy w Mount Dragon. Wiedział, że Singer, z jego niezachwianą wiarą w zalety nauki, będzie na to idealnym lekarstwem.

- Kto tam? - spytał ostrym tonem Singer. Księżyc wyjrzał zza chmur, przez moment oświetlając taras bladym blaskiem. Singer do-

strzegł Carsona. - Och - powiedział z ulgą. - Cześć, Guy

- Dobry wieczór. - Carson zajął krzesło obok dyrektora. Chociaż z tarasu już zmieciono grubą warstwę pyłu, kiedy Guy opadł na krzesło, spowiała go świeża czerwona chmura. - Piękna noc - rzekł po chwili.

- Widziałeś zachód słońca? - spytał cicho Singer.

- Niewiarygodny.

Jakby chcąc wynagrodzić ludziom furie burzy, pustynny zachód słońca tego dnia był szczególnie widowiskowy: feeria tęczy barw na zamglonym niebie.

Carson pochylił się, rozpiął pokrowiec i wyjął swoje pięciostrunowe bandžo Gibsona. W oczach Singera zabłysła iskra zaciekawienia.

- Czy to RB -3? - zapytał. Carson skinął głową.

- Pudło o czterdziestu szczelinach. Z tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku lub coś koło tego.

- Piękne - orzekł Singer, z podziwem mrużąc oczy w świetle księżyca. - Mój Boże! Czy to prawdziwa cieleca skóra?

- Zgadza się. - Carson czubkami palców zabębnił lekko po starym gryfie. - Nie lubi pustynnego powietrza i ciągle trzeba dociągać luz. Pewnego dnia złamię się i kupię nowe, z plastikową membraną. Masz, obejrzyj sobie.

Podał Singerowi instrument. Dyrektor obrócił go w rękach.

- Mahoniowy gryf i pudło. I oryginalny strunnik Presto. Brzeg jest pewnie metalowy?

- Tak. Trochę się odgina. Singer zwrócił mu instrument.

- Muzealny eksponat. Skąd go masz?

- Od jednego kowboja, który pracował dla mojego dziadka. Pewnego dnia musiał w pośpiechu opuścić nasze ranczo. To jedna z kilku rzeczy, jakie wtedy zostawił. Przez kilkadziesiąt lat leżał na szafie z książkami, zbierając kurz. Aż poszedłem do kolegi i złapałem muzycznego bakcyła.

Singer jakby zapomniał o swoich zmartwieniach.

- Posłuchajmy, jakie ma brzmienie - powiedział, sięgając po swoją wysłaną gitarę Martina. W zadumie trącił struny, wydobywając kilka dźwięków, a potem zaczął grać basową melodię *Salt Creek*.

Carson słuchał, kiwając głową w rytm muzyki, wygrywając akordy akompaniamentu. Od kilku miesięcy nie grał i nie był w takiej formie jak na Harvardzie, ale stopniowo się rozkręcał i wykonał kilka trudniejszych pasażów. Nagle zamienili się rolami: Singer zaczął mu akompaniować i Carson przejął część solówki, uśmiechając się z ulgą,

gdy stwierdził, że jego akordy nadal są melodyjne, a pojedyncze dźwięki czyste.

Finiszowali razem i Singer natychmiast rozpoczął *Clinch Mountain Backstep*. Był całkowicie pochłonięty grą, jak człowiek, który nagle uwolnił się od ciężkiego brzemienia.

Carson akompaniował mu przy tradycyjnych melodiach, takich jak *Rocky Top*, *Mountain Dew* i *Little Maggie*, czując się coraz pewniej, i wreszcie zaryzykował szaleńczo szybką wstawkę, którą dyrektor skwitował uśmiechem i skinieniem głowy. Singer wykonał niezwykle skomplikowaną solówkę i obaj zakończyli donośnym G-dur. Gdy echo ucichło w oddali, Carsonowi wydało się, że w kompleksie mieszkalnym rozległy się oklaski.

- Dziękuję, Guy - powiedział Singer, odkładając gitarę i z satysfakcją zacierając dłonie. - Już dawno powinniśmy to zrobić. Jesteś wspaniałym muzykiem.

- Nie dorastam ci do pięt - odparł Carson. - Mimo to również dziękuję.

Zamilkli, spoglądając w noc. Po chwili Singer wstał i poszedł do kantyny po drinka. Przed tarasem przeszedł jakiś rozczochrany mężczyzna, licząc coś na palcach i głośno mrucząc do siebie w języku, który brzmiał jak rosyjski. To na pewno Paweł, pomyślał Carson. Ten, o którym mówiła de Vaca. Mężczyzna skręcił za róg, znikając w mroku. Tymczasem Singer wrócił z kantyny. Szedł teraz wolniej i Carson odgadł, że dyrektor znów poczuł ciężar odpowiedzialności, od którego na chwilę się uwolnił.

- I jak ci idzie, Guy? - zapytał, ponownie siadając na krześle. - Nie rozmawialiśmy od wieków

- Pewnie masz mnóstwo pracy, od kiedy zjawił się Teece - mruknął Carson. Księżyc znów znikł za gęstniejącymi chmurami i Carson raczej wyczuł, niż zobaczył, że dyrektor lekko zeszytniał, słysząc to nazwisko.

- Rzeczywiście mam z nim kłopot - przyznał Singer i pociągnął łyk whisky. - Nie mogę powiedzieć, żebym miał o nim dobre zdanie. To jeden z tych, którzy zachowują się, jakby wszystko wiedzieli, jednak niczego nie chcą wyjawiać. Wydaje się, że zdobywa informacje, nاپuszczając jednych ludzi na drugich. Wiesz, co mam na myśli?

- Nie rozmawiałem z nim długo, ale nie wyglądał na zadowolonego - powiedział Carson, ostrożnie dobierając słowa.

Singer westchnął.

- Nie można oczekiwać, że wszyscy rozumieją, co tu robimy, Guy. Zwłaszcza biurokraci i konserwatyści. Spotykałem już przedtem takich ludzi jak Teece. Najczęściej są to niespełnieni naukowcy i być może chodzi o zwyczajną zazdrość. - Przełknął łyk. - No cóż, prędzej czy później będzie musiał przedstawić nam swój raport.

- Pewnie prędzej niż później - odparł Carson i natychmiast pożalował, że się odezwał. W ciemności poczuł na sobie ciężkie spojrzenie dyrektora.

- Tak. Odjechał w okropnym pośpiechu. Uparł się, że weźmie hummera i sam pojedzie do Radium Springs. - Singer upił kolejny łyk. - Chyba ty jesteś ostatnią osobą, z którą rozmawiał.

- Powiedział, że tych, którzy bezpośrednio pracowali z X-FLU, zostawił sobie na koniec.

- Hmm... - Singer dopił drinka i z trzaskiem odstawił szklaneczkę na podłogę. Znowu spojrzał na Carsona. - Cóż, do tej pory Levine na pewno już o tym usłyszał. A to z pewnością nie ułatwi nam sprawy. Założę się, że inspektor wróci z nową listą pytań.

Carsonowi nagle zrobiło się zimno.

- Levine? - zapytał najobojętniej, jak potrafił. Singer wciąż patrzył na niego uważnie.

- Dziwię się, że o nim nie słyszałeś. Przecież tu aż trzęsie się od plotek. Charles Levine, prezes Foundation of Genetic Policy Parę dni temu powiedział o nas kilka naprawdę okropnych rzeczy w krajowej telewizji. Akcje GeneDyne bardzo spadły

- Dużo?

- Dziś poleciały w dół o pięć i pół punktu. Firma straciła prawie pół miliarda dolarów. Nie muszę ci mówić, jak to wpływa na nasze udziały.

Carson był oszołomiony. Nie przejmował się tym niewielkim pakietem akcji GeneDyne, który posiadał; martwił się zupełnie czymś innym.

- Co jeszcze powiedział Levine? Singer wzruszył ramionami.

- To nie ma żadnego znaczenia. Same kłamstwa, gówniane kłamstwa. Rzecz w tym, że ludzie łykają takie bzdury. Tylko szukają czegoś, co mogliby obrócić przeciwko nam.

Carson oblizał usta. Jeszcze nigdy nie słyszał, żeby Singer przeklinał. Kiepsko mu to wychodziło.

- I co wtedy?

Na twarzy Singera pojawił się przelotny uśmiech satysfakcji.

- Brent go załatwi - powiedział. - On lubi takie gry

Helikopter podleciał do Mount Dragon od wschodu, przez zastrzeżoną przestrzeń powietrzną poligonu raketowego White Sands, wyłączoną spod kontroli cywilnej. Było po północy, księżyc znikł i pustynia zamieniła się w bezkresny dywan czerni. Śmigło helikoptera miało tłumiący hałas wojskowy profil, a silnik był zaopatrzony w generatory szumów maskujące charakterystyczny dźwięk maszyny. Światła pozycyjne na kadłubie i ogonie były wyłączone, pilot odszukał cel za pomocą radaru.

Celem tym był mały nadajnik, umieszczony na środku mylarowej płachty przyciśniętej kilkoma kamieniami. Opodał nadajnika stał hummer z wyłączonym silnikiem i światłami.

Helikopter wylądował niedaleko płachty, podmuch uniósł materiał i poszarpał go na konfetti. Gdy tylko śmigłowiec dotknął płozami ziemi, z hummera wysiadła jakaś postać i podbiegła do niego, trzymając w ręku metalową walizeczkę z wytłoczonym symbolem GeneDyne. Drzwi otworzyły się i para rąk sięgnęła po walizeczkę. Gdy drzwi ponownie się zamknęły, helikopter natychmiast uniósł się, ostro wykręcił i zniknął w ciemnościach. Hummer odjechał, osłoniętymi reflektorami oświetlając pozostawione wcześniej ślady opon. Strzęp mylaru, uniesiony podmuchem powietrza, poszybował w dal. Po chwili na pustyni znów zapadła głęboka cisza.

W niedzielę niebo było bezchmurne. Wylegarnię jak zwykle zamknięto w celu odkażenia i do czasu obowiązkowych wieczornych ćwiczeń alarmowych naukowcy mogli zająć się swoimi sprawami.

Przygotowując sobie kawę, Carson spojrzął za okno, na czarny stożek Mount Dragon, ledwie widoczny w świetle przedświt. Zazwyczaj spędzał niedziele tak samo jak reszta personelu: zamknięty w swoim pokoju, w towarzystwie laptopa, nadrabiając zaległości. Ale dzisiaj zamierzał wspiąć się na Mount Dragon. Obiecywał to sobie, od kiedy tu-taj przybył. Po sesji muzycznej z Singerem miał wielką ochotę znów zagrać, ale wiedział, że dźwięki bandzo rozbrzmiewające w cichym kompleksie mieszkalnym spowodują lawinę gniewnych protestów

Przelał kawę do termosu, zarzucił instrument na ramię i ruszył do kantyny po kilka kanapek. Personel kuchenny, zwykle nieznośnie gadatliwy, był ponury i milczący. Niemożliwe, żeby nadal byli wyprowadzeni z równowagi tym, co przydarzyło się Vanderwagonowi. Pewnie to z powodu wczesnej pory, pomyślał Carson. Ostatnio wszyscy mieli kiepskie humory.

Odmeldował się u wartownika i ruszył gruntową drogą biegnącą na północny zachód, ku Mount Dragon. Kiedy dotarł do podnóża, zaczął piąć się na wierzchołek stromym, wąskim szlakiem. Instrument ciążył mu na plecach, a żwir osuwał się pod nogami, kiedy piął się coraz wyżej. Po półgodzinie znalazł się na szczycie.

Był to typowy wulkaniczny pagórek z wierzchołkiem rozerwanym przez dawny wybuch. Wzdłuż jego krawędzi rosło kilka krzaków jałdoshynu. Po przeciwnej stronie widać było gąszcz anten radiowych i radarowych oraz mały biały barak otoczony ogrodzeniem z drucianej siatki.

Carson odwrócił się zdyszany. O tej porze dnia pustynia wyglądała jak jezioro światła, drżącego i falującego. Gdy słońce wspięło się nad horyzont i oblało złocistym blaskiem ziemię, każdy samotny kaktus i krzew kreozotowy doczepił sobie długi cień wyciągnięty ku zachodowi. Carson widział, jak blask słońca przesuwają się po pustyni ze wschodu na zachód, malując światłocieniem góry i doliny, aż minął za-krzywienie kuli ziemskiej, pokrywając wszystko złotym światłem.

Kilka kilometrów dalej widział ruiny starego puebla Anasazi - teraz wiedział już, że nazywano je Kin Klizhini - rzucające na ziemię ostre cienie. Jeszcze dalej pustynia przybierała czarną, cętkowaną barwę - zaczynało się tam Malpais, pole lawy.

Wybrał sobie wygodne miejsce za dużym blokiem tufu, położył bandzo na ziemi, wyciągnął się i zamknął oczy, rozkoszując się samotnością.

- Cholera! - usłyszał kilka minut później znajomy głos. Zaskoczony otworzył oczy i zobaczył stojącą nad nim de Vacę, podpartą pod boki.

- Co ty tu robisz? - zapytała.

Carson chwycił rączkę futerału z bandzo. Już miał zepsuty dzień.

- A jak ci się wydaje? - burknął.

- Zająłeś moje miejsce - oświadczyła. - Zawsze przychodzę tu w niedziele.

Carson bez słowa podniósł się, żeby odejść. Nie miał ochoty na kolejną kłótnię ze swoją asystentką. Weźmie Roscoe i odjedzie jakieś piętnaście kilometrów, żeby pograć sobie w spokoju.

Przystanął jednak, widząc jej minę.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- A czemu miałabym źle się czuć?

Spojrzał na nią uważnie. Czuł, że nie powinien rozpoczynać roz-

mowy, o nic pytać, tylko wynieść się stąd jak najszybciej.

- Wyglądasz na zdenerwowaną - stwierdził.

- Dlaczego miałabym ci zaufać? - zapytała nagle de Vaca.

- Zaufać w czym?

- Jesteś jednym z nich - powiedziała. - Człowiekiem firmy. Pod oskarżycielskim tonem Carson usłyszał skrywany strach.

- Co się stało?

De Vaca milczała przez dłuższą chwilę.

- Teece zniknął - powiedziała w końcu. Carson odetchnął z ulgą.

- Rozmawiałem z nim, zanim opuścił ośrodek. Wziął hummera i pojechał do Radium Springs. Wróci jutro.

De Vaca gniewnie potrząsnęła głową.

- Nic nie rozumiesz. Po burzy znaleziono jego hummera na pustyni. Był pusty.

Jasna cholera. Tylko nie Teece, pomyślał.

- Pewnie zablądził podczas burzy.

- Tak twierdzą - mruknęła. Obrzucił ją ostrym spojrzeniem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Podśledzałam, co mówił Nye - odparła, nie patrząc na niego.

-Rozmawiał z Singerem i mówił, że Teece zaginął. Klócili się.

Carson milczał. Nye... Nagle pamięć podsunęła mu obraz człowieka wyłaniającego się z tumanów pyłu, pokrytego kurzem, na półżywym ze zmęczenia koniu.

- Myślisz, że został zamordowany? - spytał. De Vaca nie odpowiedziała.

- Jak daleko od Mount Dragon znaleziono hummera?

- Nie wiem. Dlaczego pytasz?

- Ponieważ zaraz po burzy widziałem Nyea wracającego z konnej przejażdżki. Pewnie szukał Teecea.

Opowiedział jej, co widział w stajni dwa dni wcześniej. De Vaca słuchała uważnie.

- Myślisz, że szukał go podczas burzy? Prędzej wracał po zakopaniu ciała. On i ten dupek Mikę Marr.

Carson zmarszczył brwi.

- To śmieszne. Nye może być sukinsynem, ale nie jest mordercą.

- Marr jest mordercą.

- Marr? Jest głupszy od trzonka łopaty. Nie miałby dość rozumu, żeby popełnić morderstwo.

- Tak? Był oficerem wywiadu w Wietnamie, szcurem tunelo-

wym. Działal w żelaznym trójkącie, przetrząsając setki kilometrów podziemnych tuneli w poszukiwaniu partyzantów Wietkongu i składów amunicji i przy okazji zabijając każdego, kogo w nich znalazł. Właśnie tam został ranny. Włazł do tunelu za jakimś snajperem, trafił na pułapkę i tunel się zawalił, przygniatając mu nogi.

- Skąd o tym wiesz?

- Sam mi powiedział. Carson roześmiał się.

- A więc jesteście przyjaciółmi? Mówił ci o tym, zanim przyłożył ci kolbę w brzuch czy potem?

De Vaca zmarszczyła brwi.

- Mówiłam ci, że ten gnojek próbował mnie podrywać. Przyczepił się do mnie w sali gimnastycznej i opowiedział historię swojego życia, usiłując zrobić na mnie wrażenie swoimi wyczynami. Kiedy to nie podziałało, złapał mnie za tyłek. Myślał, że ma do czynienia z jakąś łatwą dziwką.

- Naprawdę? I co było potem?

- Powiedziałam mu, że aż się prosi o mocnego kopniaka w *huevas*. Carson znów się zaśmiał.

- Sądzę, że ten policzek na pikniku ochłodził jego zapały. Ale dlaczego on czy ktokolwiek inny miałby zamordować inspektora OSHA? To szaleństwo. Natychmiast zamknęliby ośrodek.

- Nie, gdyby to wyglądało na wypadek - odparła de Vaca. - Burza była doskonałą okazją. Po co inaczej Nye jeździłby konno po pustyni w czasie burzy? I dlaczego nie powiedziano nam o zniknięciu Teecea? Może odkrył coś, czego nie powinien się dowiedzieć?

- Na przykład co? Z tego, co mówisz, wynika, że mogłaś coś źle zrozumieć. W końcu...

- Wiem, co słyszałam. Urodziłeś się wczoraj, *cabrón!* Tutaj chodzi o miliardy dolarów. Myślisz, że im zależy na ratowaniu istnień ludzkich? Nie, chodzi wyłącznie o pieniądze. A jeśli coś zagrozi przyszłym zyskom...

Obrzuciła go roziskrzonym spojrzeniem.

- Po co mieliby zabijać Teecea? - zapytał Carson. - Wydarzył się okropny wypadek, ale wirus nie wydostał się na zewnątrz. Zginęła tylko jedna osoba. Niczego nie próbowano zatuszować. Wprost przeciwnie.

- Zginęła tylko jedna osoba... - powtórzyła de Vaca. - Szkoda, że sam siebie nie słyszysz. Słuchaj, tutaj chodzi o coś innego. Nie wiem o co, ale wszyscy zachowują się bardzo dziwnie. Nie zauważyłeś? My-śle, że to napięcie. Jeśli jednak Scopesowi tak zależy na ratowaniu istnień

ludzkich, to po co ten pośpiech? Pracujemy z najniebezpieczniejszym wirusem, jakiego kiedykolwiek stworzono. Jeden błąd i *adiós muchachos*. Ten projekt zrujnował już życie kilku osobom. Burtowi, Vanderwagonowi, Fillsonowi, strażnikowi Czernyemu. Nie wspominając już o Brandon-Smith, dla której skończyło się to śmiercią. Ile jeszcze istnień ma kosztować?

- Susana, ty najwyraźniej nie nadajesz się do tej pracy - odparł ze znużeniem Carson. - Każdy postęp w dziejach ludzkości był oku-piony bólem i cierpieniem. Zamierzamy uratować miliony istnień, pamiętasz?

Teraz jednak te słowa zabrzmiały pusto i głucho w jego uszach.

- Och, to takie szlachetne słowa. Tylko czy to naprawdę będzie postęp? Co daje nam prawo zmieniać ludzki genom? Im dłużej tu jestem, im więcej widzę, tym bardziej jestem przekonana, że to, co robimy, jest złe. Nikt nie ma prawa zmieniać rasy ludzkiej.

- Nie mówisz jak naukowiec. Nie chcemy przekształcać ludzi, tylko wyleczyć ich z grypy

De Vaca gniewnymi kopnięciami złościła obcasem rowek w żwirze.

- Zmieniamy ludzkie komórki rozrodcze. Przekroczyliśmy pewną granicę.

- Pozbywamy się małego defektu w naszym kodzie genetycznym.

- Defektu... A czym dokładnie jest defekt, Carson? Czy gen męskiej łysiny jest defektem? Czy defektem jest niski wzrost? Niewłaściwy kolor skóry? Kręcone włosy? A może zbytńia nieśmiałość? Kiedy już pozbedziemy się grypy, co będzie dalej? Czy naprawdę nauka powstrzyma się od czynienia ludzi mądrzejszymi, długowiecznymi, wyższymi, przystojniejszymi? Zwłaszcza że można zbić na tym miliardy dolarów?

- Cóż, oczywiście, trzeba to będzie dokładnie kontrolować - odparł Carson.

- Kontrolować! A kto ma decydować o tym, co jest lepsze? Ty? Ja? Rząd? Brent Scopes? Nie ma sprawy, pozbadźmy się nieatrakcyjnych genów, których nikt nie chce. Genów odpowiedzialnych za otyłość, brzydotę i kalectwo, determinujących nieprzyjemne cechy osobowości. Zdejmij na chwilę klapki z oczu i powiedz mi, co to będzie oznaczało dla ludzkości.

- Jeszcze musimy przebyć długą drogę, zanim będziemy w stanie to zrobić - mruknął Carson.

- Bzdura. Robimy to już teraz z X-FLU. Mapa genomu ludzkiego jest już prawie kompletna. Zmiany z początku będą nieznaczne, ale

wkrótce osiągniemy więcej. DNA człowieka i szympansa różni się za-
ledwie w dwóch procentach, a spójrz, jaka to ogromna różnica. Nie trzeba
dużych zmian, aby zmienić rasę ludzką w coś, co wcale nie będzie
przypominało człowieka.

Carson milczał. Słyszał te argumenty wiele razy. Tyle że teraz za-
czynały mieć sens. Może po prostu był zmęczony i nie miał sił spierać się
z de Vaca? A może sprawił to wyraz twarzy Teece'a, kiedy mówił: „To, co
muszę zrobić, nie może czekać”.

Siedzieli w milczeniu w cieniu wulkanicznej skały, spoglądając w
dół, na białe budynki Mount Dragon drżące w rosnącym skwarze.
Chociaż Carson starał się z tym walczyć, czuł, że ogarnia go zwątpienie.
To samo czuł jako nastolatek, kiedy z kabiny furgonetki patrzył, jak ich
ranczo kawałek po kawałku jest sprzedawane na licytacji. Zawsze
wierzył, że nauka jest największą nadzieją ludzkości na szczęśliwą
przyszłość. Teraz jednak to przekonanie rozplywało się w falach na-
pływającego z pustyni żaru.

Odchrząknął i potrząsnął głową, jakby chciał przerwać łańcuch
tych ponurych myśli.

- Jeśli tak uważasz, to co zamierzasz z tym zrobić?

- Wynieść się stąd i zawiadomić ludzi o tym, co się tu dzieje.

Carson pokręcił głową.

- To, co się tutaj dzieje, to absolutnie legalne, zaaprobowane przez
FDA badania genetyczne. Nie zdołasz ich powstrzymać.

- Zdołam, jeśli ktoś został zamordowany. Tutaj dzieje się coś złe-
go. I Teece dowiedział się, co to takiego.

Spojrzał na nią. Siedziała oparta plecami o skałę, obejmując
ramionami kolana, wiatr rozwiewał jej kruczoczarną grzywkę. Niech to
szlag, pomyślał. Nie mogę inaczej. \par - Nie wiem, czego dowiedział
się Teece - oświadczył. - Wiem jednak, czego szukał.

De Vaca zmrużyła oczy

- O czym ty mówisz?

- Teece uważa, że Franklin Burt prowadził prywatny dziennik. Po-
wiedział mi o tym wieczorem w dniu poprzedzającym wyjazd. Mówił też,
że u Vanderwagana i Burta stwierdzono podwyższony poziom dopaminy
i serotoniny we krwi. Tak samo u Brandon-Smith, chociaż w mniejszym
stopniu.

De Vaca milczała.

- Uważał, że ten dziennik Burta mógłby rzucić trochę światła na
to, co wywołuje te objawy - dodał Carson. - Zamierzał odszukać go,

kiedy wróci.

De Vaca wstała.

- Pomożesz mi? - zapytała.

- W czym?

- Znaleźć notatnik Burta. Poznać tajemnicę Mount Dragon.

Charles Levine bardzo wczesnie przyjeżdżał teraz do Greenough Hall, zamykał swój gabinet i mówił Rayowi, by nie przyjmował żadnych rozmów i nikogo nie wpuszczał. Przekazał swoje zajęcia dwom młodszym asystentom i odwołał odczyty zaplanowane na najbliższe miesiące. Tak poradziła mu Toni Wheeler, zanim zrezygnowała ze stanowiska rzecznika fundacji, i tym razem Levine postanowił wysłuchać jej rad. Naciski ze strony członków rady college'u były coraz silniejsze i wiadomości przekazywane mu telefonicznie przez dziekana wydziału były coraz rozpaczliwsze. Levine wyczuł niebezpieczeństwo i - wbrew swoim zasadom - postanowił przycząć się na jakiś czas.

Ze zdziwieniem spojrzął na starszego mężczyznę czekającego cierpliwie przed drzwiami jego biura o siódmej rano. Odruchowo wyciągnął rękę, ale tamten tylko na niego spojrzął.

- Co mogę dla pana zrobić? - zapytał, otwierając drzwi i wpuszczając go do środka.

Mężczyzna usiadł sztywno, ściskając walizeczkę. Miał krzaczaste brwi i wystające kości policzkowe. Levine ocenił jego wiek na jakieś siedemdziesiąt lat.

- Nazywam się Jacob Perlstein - przedstawił się nieznajomy. - Jestem historykiem Holocaust Research Foundation w Waszyngtonie.

- Ach, tak. Słyszałem o panu. Cieszy się pan doskonałą reputacją.

Perlstein był znany na całym świecie z niestrudzonego zapału, z jakim wyszukiwał i ujawniał światu stare, nieznane dokumenty z hitlerowskich obozów śmierci i żydowskich gett we wschodniej Europie.

- Przejdę od razu do rzeczy - oświadczył, spoglądając na gospodarza spode łba czarnymi oczami.

Levine skinął głową nieco zdziwiony jego wrogim zachowaniem.

- Twierdzi pan, że pański ojciec Żyd ratował Żydów w Polsce, a potem został schwytyany przez gestapo i zamordowany przez Mengelego w Auschwitz.

Levine'owi nie spodobało się takie ujęcie sprawy, ale nic nie powiedział.

- Zamordowany w trakcie eksperymentów medycznych... Zgadza się?

- Tak.

- A skąd pan to wie? - zapytał Perlstein.

- Proszę wybaczyć, szanowny panie, ale nie jestem pewien, czy podoba mi się ton tej rozmowy.

Perlstein zignorował uwagę Levinea i powtórzył:

- To proste pytanie. Chciałbym wiedzieć, skąd pan to wie. Levine z trudem skrywał irytację. Opowiadał tę historię w trakcie niezliczonych wywiadów i podczas mnóstwa spotkań. Perlstein musiał już ją słyszeć.

- Ponieważ sam zbadalem tę sprawę - odparł. - Wiedziałem, że mój ojciec zginął w Auschwitz, ale nic więcej. Moja matka umarła, kiedy byłem bardzo młody. Chciałem dowiedzieć się, co się z nim stało. Dlatego spędziłem prawie cztery miesiące w Niemczech Wschodnich i w Polsce, przeszukując hitlerowskie archiwa. To był bardzo niebezpieczny czas i ryzykowne zajęcie. Kiedy się dowiedziałem... Chyba może pan sobie wyobrazić, jak się czułem. To zmieniło moje poglądy na naukę, na medycynę. Spowodowało, że zacząłem poważnie zastanawiać się nad rolą inżynierii genetycznej, co z kolei...

- Akta pana ojca - przerwał mu szorstko Perlstein. - Gdzie je pan znalazł?

- W Lipsku, tam przechowywane są wszystkie takie archiwa. Przecież pan wie.

- A pana matka, będąc w ciąży, uciekła do Ameryki. Przybrał pan jej nazwisko, Levine, zamiast nazwiska ojca: Berg.

- Zgadza się.

- Wzruszająca historia - mruknął Perlstein. - Berg nie jest często spotykanym nazwiskiem wśród Żydów.

Levine wyprostował się.

- Naprawdę nie podoba mi się ton pańskiego głosu, panie Perlstein. Muszę pana prosić, żeby wyjaśnił pan, o co panu chodzi, i wyszedł.

Mężczyzna otworzył walizeczkę, wyjął z niej teczkę i z odrazą położył ją na skraju biurka.

- Proszę przejrzeć te dokumenty - powiedział, czubkami palców podsuwając teczkę Levine'owi.

Levine otworzył ją i znalazł w środku plik fotokopii. Natychmiast je rozpoznał: wyblakły napis gotykiem i pieczęcie ze swastyką przypominały mu te okropne tygodnie za żelazną kurtyną, kiedy przeglądał sterty papierzysk w wilgotnych archiwach i tylko niepoohamowane pra-

gnienie poznania prawdy pozwalało mu wytrwać.

Pierwszym dokumentem była kolorowa reprodukcja nazistowskiej legitymacji identyfikująca Heinricha Berga jako Obersturmführera *Schutzstaffel* - niemieckiego SS - stacjonującego w obozie koncentracyjnym w Ravensbruck. Zdjęcie było w doskonałym stanie, a rodzinne podobieństwo uderzające.

Z rosnącym niedowierzaniem przejrzał pozostałe papiery. Były tam obozowe dokumenty, spisy więźniów, raport oddziału, który wyzwolił Ravensbriick, list z izraelskim znaczkiem od byłego więźnia oraz zaprzysiężone zeznanie. Według tych dokumentów młoda kobieta z Polski, niejaka Miyrna Levine, została wysłana do Ravensbriick „do likwidacji”. Poznała tam Berga, została jego kochanką i później przeniesiono ją do Auschwitz. Tam doczekała wyzwolenia, donosząc na członków obozowego ruchu oporu.

Levine podniósł wzrok na siedzącego po drugiej stronie mężczyzną mierzącego go oskarżycielskim spojrzeniem.

- Jak pan śmie rozpowszechniać te kłamstwa! - syknął, kiedy wreszcie odzyskał głos.

- A więc nadal pan zaprzecza - wychrypiał Perlstein. - Spodziewałem się tego. „Jak pan śmie rozpowszechniać kłamstwa!”. Pana ojciec był oficerem SS, a matka zdrajczynią, która posłała setki ludzi na śmierć. Oczywiście pan nie ponosi winy za grzechy rodziców. Jednak kłamstwo, w którym pan żyje, podtrzymuje wyrządzone przez nich zło i zmienia pańskie dzieło w kpinę. Twierdzi pan, że szuka prawdy, ale nie stosuje pan tej zasady do siebie. Pan pozwolił, aby nazwisko pana ojca zostało wyryte wśród nazwisk sprawiedliwych w Yad Vashem. Heinrich Berg, oficer SS! To obraza dla wszystkich prawdziwych męczenników. I ten fakt musi być znany - oświadczył, zaciskając drżące ręce na skórzanej walizeczce.

Levine usiłował zachować spokój.

- Te dokumenty są sfałszowane, a pan jest głupcem, jeśli pan w to wierzy. Komuniści z Niemiec Wschodnich byli znani z podrabiania...

- Przyniesiono mi je kilka dni temu. i zostały sprawdzone przez wielu ekspertów od hitlerowskich dokumentów. Są bezsprzecznie prawdziwe. Nie ma żadnych wątpliwości.

Levine zerwał się na równe nogi.

- Wynoś się! - wrzasnął. - Jesteś narzędziem rewizjonistów! Wynoś się i zabieraj stąd te brudy!

Zrobił krok naprzód, groźnie unosząc rękę.

Perlstein sięgnął po teczkę, ale jej zawartość rozsypała się po podłodze. Nie próbując zbierać papierów, wybiegł do sekretariatu, a potem na korytarz. Levine zatrzasnął drzwi gabinetu i oparł się o nie plecami. Krew pulsowała mu w skroniach. To potworne, ohydne kłamstwo. Musi natychmiast dać temu odpór... Dzięki Bogu ma uwierzytelnione kopie prawdziwych dokumentów. Będzie musiał wynająć eksperta, który zdemaskuje fałszerstwo. Oszczerstwa rzucane na jego zamordowanego ojca były jak pchnięcie nożem w serce, ale nie po raz pierwszy i nie ostatni został tak zaatakowany...

Jego spojrzenie padło na teczkę, na dokumenty rozsypane na podłodze, i nagle tknęła go okropna myśl.

Podbiegł do zamkniętej szafy, otworzył ją kluczem i sięgnął po teczkę opatrzoną napisem „Berg”.

Była pusta.

- Scopes - syknął z wściekłością.

Nazajutrz „Boston Globe” zamieścił na pierwszej stronie popołniowego wydania obszerny artykuł.

Muriel Page, wolontariuszka w magazynie Armii Zbawienia przy Pearl Street, obserwowała młodego rozczochranego człowieka w czarnym podkoszulku grzebiącego w wiszących na stojaku sportowych płaszczach. Widziała go tu już drugi raz w tym tygodniu i szczerze mu współczuła. Nie wyglądał na narkomana - miał czyste ubranie i przytomny wzrok - niewątpliwie był to zwyczajny młody człowiek, które-mu się nie powiodło w życiu. Miał chłopięcą, trochę kanciastą twarz i przypominał jej własnego dorosłego syna, żonatego i mieszkającego w Kalifornii. Ale był taki chudy. Z pewnością źle się odżywił.

Młody człowiek pospiesznie przeglądał zawartość stojaka, jednak nagle zatrzymał obrotowy stelaż, zdjął jedną z kurtek, przerzucił ją przez ramię i podszedł do pobliskiego lustra. Obserwująca go kątem oka Muriel stwierdziła, że ma dobry gust. Kurtka była bardzo ładna, z wąskimi klapami, w nakładające się na siebie czerwone i żółte trójkąty oraz kwadraty na czarnym tle. Pewnie z wczesnych lat pięćdziesiątych. Bardzo stylowa, ale - pomyślała z lekkim żalem - mało który z dzisiejszych młodych ludzi chciałby ją nosić. Kiedy ona sama była młoda, ubierano się gustowniej.

Młody człowiek odwrócił się, obejrzał swoje odbicie w lustrze i uśmiechnął się do siebie. Potem powoli podszedł do kontuaru. Muriel odczepiła metkę.

- Pięć dolarów - powiedziała z uśmiechem. Twarz młodego

człowieka wydłużyła się.

- Och - rzekł. - Miałem nadzieję...

Muriel wahała się tylko chwilę. Pięć dolarów to dla niego pewnie kilka posiłków, a wyglądał na głodnego. Nachyliła się do niego i szepnęła konspiracyjnie:

- Sprzedam ją panu za trzy, ale niech pan nikomu o tym nie mówi.

- Pomacała rękaw. - To prawdziwa wełna.

Młody mężczyzna rozpromienił się, machinalnie przyglądając nie-sforny kosmyk włosów.

- Jest pani bardzo miła - odparł, po czym pogmerał w kieszeni i wyjął trzy pomięte banknoty.

- To ładna kurtka - powiedziała Muriel. - Kiedy byłam młoda, mężczyzna w takiej kurtce... no cóż! - Mrugnęła. Młodzieniec spojrzał na nią zdziwiony i nagle poczuła się głupio. Pospiesznie wypisała rachunek i wręczyła mu. - Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony.

- Na pewno będę.

Znów nachyliła się do niego.

- Wie pan, po drugiej stronie ulicy mamy bardzo miły lokal, gdzie może pan zjeść coś gorącego. Za darmo i bez żadnych zobowiązań.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

- I bez religijnych kazań?

- Bez. Nie chcemy nawracać ludzi na siłę. Oferujemy tylko ciepły, pożywny posiłek. Ale nie może pan być pod wpływem alkoholu albo narkotyków.

- I nic więcej? - zdziwił się. - Myślałem, że Armia Zbawienia to organizacja religijna.

- Bo tak jest. Jednak głodny człowiek nie będzie myślał o zbawieniu duszy, tylko o następnym posiłku. Najpierw trzeba nakarmić ciało, a potem zbawiać duszę.

Młody człowiek podziękował i wyszedł. Muriel, zerknąwszy ukradkiem przez okno, z zadowoleniem zobaczyła, że skierował się prosto do garkuchni, wziął przy drzwiach tacę i stanął w kolejce.

Łzy nabiegły jej do oczu. Nieobecne, lekko zagubione spojrzenie tego chłopaka tak bardzo przypominało jej syna. Miała nadzieję, że niedługo uśmiechnie się do niego szczęście.

Następnego ranka magazyn Armii Zbawienia oraz darmowa jadłodajnia przy Pearl Street otrzymały anonimową dotację w wysokości ćwierć miliona dolarów i nikt nie był bardziej zdziwiony od Muriel

Page, kiedy dowiedziała się, że uhonorowano w ten sposób jej

pracę.

Carson i de Vaca w milczeniu zeszli ścieżką na dół i ruszyli z powrotem do ośrodka Mount Dragon. Przystanęli przed zadaszonym przejściem wiodącym do części mieszkalnej.

- No i? - zagadnęła de Vaca, przełamując ciszę.

- I co?

- Nadal nie odpowiedziałeś, czy zamierzasz pomóc mi znaleźć notatnik - odparła gwałtownym szeptem.

- Susana, mam mnóstwo pracy. I ty też, skoro już o tym mowa. Ten notes, jeśli istnieje, nigdzie nie ucieknie. Daj mi trochę czasu do namysłu, dobrze?

De Vaca spoglądała na niego przez chwilę, a potem bez słowa odwróciła się i weszła do kompleksu. Carson patrzył, jak odchodziła. Kiedy zniknęła mu z oczu, westchnął i wspiął się po schodach na piętro. Wszedł do ciemnego, chłodnego korytarza. Może Teece miał rację i Burt prowadził tajny dziennik. I może de Vaca miała rację co do Nyea. W każdym razie to, co myślał Teece, nie miało już większego znaczenia. Dla Carsona najważniejsza była ta okropna chwila na szczycie Mount Dragon, kiedy nagle poczuł, że chwieje się w swoich dotychczasowych przekonaniach. Od kiedy umarł ojciec i stracili ran-czo, miłość do nauki i wiara w dobro, jakie ze sobą niosła, były dla niego wszystkim. A teraz, skoro...

Nie, dzisiaj nie będzie o tym myślał. Może jutro znajdzie siłę, żeby znów stawić temu czoło.

Wróciwszy do swojego pokoju, przez chwilę spoglądał na gołe ściany, zbierając energię, aby włączyć laptopa i zacząć sortować wyniki badań nad X-FLU II. Jego spojrzenie padło na wysłużony futerał bandzo.

Do diabła z tym, pomyślał. Pogra trochę, bez kostki, żeby nie robić hałasu. Tylko pięć minut, może dziesięć. Oderwie się od tego wszystkiego. Potem weźmie się do pracy.

Wyjął instrument z futerału i zobaczył złożoną kartkę papieru leżącą na poźółkłej wyściółce. Zmarszczył brwi, wziął kartkę i rozłożył ją na kolanie.

Carson ponownie przeczytał pospiesznie skreśloną notatkę. Teece na pewno szukał go tego ranka, zanim zaczęła się burza, a kiedy nie znalazł, zostawił wiadomość w jedynym miejscu, w jakim tylko on mógł

ją znaleźć. Gdy otworzył futerał poprzedniego wieczoru, na tarasie było ciemno i nie zauważył notatki. Poczłł ukłucie niepokoju na myśł, jak niewiele brakowało, aby kartka niepostrzeżenie wypadła na podłogę tarasu i została znaleziona później przez Singera. A może na-wet przez Nye'a.

Gniewnie otrząsnął się z tych rozważań. Jeszcze kilka dni i stanę się takim samym paranoikiem jak de Vaca albo Burt, pomyślał. Wepchnął notatkę do kieszeni i wystukał na interkomie numer de Vaki.

- A więc tutaj mieszkasz, Carson? Widzę, że dali ci pokój z jednym z najlepszych widoków. Z mojego widoczne jest tylko zaplecze sterylizatora -odezwała się de Vaca. Wyszła z cienia.

- Niektórzy twierdzą, że sposób, w jaki ktoś urządza swoje mieszkanie, wiele mówi o jego osobowości - ciągnęła, spoglądając na nagie ściany. - Mają rację.

Zagłądała mu przez ramię, kiedy włączał osobistego laptopa.

- Mniej więcej na miesiąc przez opuszczeniem Mount Dragon zapiski Burta stały się znacznie krótsze - wyjaśnił Carson, logując się. -Jeśli Teece ma rację, właśnie w tym czasie musiał zacząć prowadzić tajny dziennik. Jeżeli pozostawił jakieś wskazówki, gdzie go ukrył, powinniśmy ich szukać przede wszystkim w jego komputerowych notatkach.

Zaczął przewijać strony dziennika. Kiedy po ekranie przelatywały wzory, wykazy i dane, mimo woli wspominał, jak czytał ten dziennik pierwszego dnia pracy w Wylęgarni. Wydawało się, że od tego czasu minęły wieki. Z przygnębieniem ponownie przeglądał zapisy nieudanych eksperymentów, świadectwa rodzącej się nadziei, która legła w gruzach. Wszystko to było nieprzyjemnie podobne do tego, co sam teraz czuł.

Stopniowo w przewijanym tekście coraz częściej pojawiały się rozmowy ze Scopesem, osobiste uwagi, a nawet opisy snów.

20 maja

Zeszłej nocy śniłem, że błąkam się po pustyni. Szedłem w stronę gór i robiło się coraz ciemniej. Potem rozbłysło jasne światło niczym drugi świt, a zza gór wyłoniła się chmura w kształcie grzyba. Wiedziałem, że widzę eksplozję Trinity. Poczłłem uderzający we mnie podmuch powietrza i obudziłem się.

- Do licha - mruknął Carson. - Jeśli zwierza się z takich rzeczy w notatkach on-line, to po co mu sekretny dziennik?

- Szukaj dalej - poganiała go de Vaca. Przewinął.

2 czerwca

Kiedy dziś rano potrząsnąłem butami, z jednego wypadł na podłogę mały skorpion. Zrobiło mi się go żal i wyniosłem go na zewnątrz...

- Dalej, dalej - powtórzyła niecierpliwie de Vaca.

Carson znów przewinął kawałek tekstu. Wśród tabel z danymi i no-tatek laboratoryjnych zaczęły pojawiać się wiersze. W końcu, gdy szaleństwo Burta ujawniło się w pełni, dziennik zmienił się w bezładny chaos obrazów i bezsensownych stwierdzeń. Potem ta okropna ostatnia rozmowa ze Scopesem, napad szaleństwa i koniec pliku.

Spojrzeni po sobie.

- Nic tu nie ma - rzekł Carson.

- My nie myślimy tak jak Burt - stwierdziła de Vaca. - Gdybyś był na jego miejscu i chciał pozostawić jakąś wskazówkę, jak byś to zrobił?

Carson wzruszył ramionami.

- Pewnie nijak.

- Owszem, zrobiłbyś to. Teece miał rację. Świadomie lub podświadomie, bo taka jest natura ludzka. Po pierwsze, musiałbyś założyć, że Scopes wszystko przeczyta. Racja?

- Racja.

- A czego Scopes na pewno nie będzie czytał? Zapadła cisza.

- Poezji - powiedzieli po chwili oboje jednocześnie.

Wrócili do miejsca w dzienniku, w którym po raz pierwszy pojawiły się wiersze, a potem zaczęli powoli posuwać się naprzód. Większość utworów Burta, jeśli nie wszystkie, dotyczyła naukowych tematów: budowy DNA, kwarków i gluonów, teorii Wielkiego Wybuchu i niejednorodnego modelu wszechświata.

- Zauważyłaś, że te poematy pojawiły się w chwili, gdy jego zapiski w dzienniku stały się krótsze? - zapytał Carson.

- Jeszcze nikt nie pisał takiej poezji - mruknęła de Vaca. - Na swój sposób jest piękna.

Przeczytała na głos:

Oto cień na szklanej szybie

Długo wystawionej na promieniowanie.

Wodór alfa

Daje zadowalający wynik.

M82 liczyła kiedyś miliardy gwiazd,

A teraz powróciła do prochu stworzenia.

Czy to potężne dzieło tego samego
Boga, który zapala Słońce?

- Nie rozumiem tego - przyznała.

- Messier 82 to bardzo dziwna galaktyka w gwiazdozbiornie Pan-ni
Cała ta galaktyka wybuchła, niszcząc dziesięć miliardów gwiazd.

- Interesujące - powiedziała de Vaca. - Jednak nie sądzę, abyśmy
tego szukali.

Przewinął tekst.

Czarny dom w strumieniach słońca,

Kruki wlatują, gdy się zbliżasz,

Krążą po niebie, pokrzykując na intruza,

Czekając na powrót pustki.

Wielka kiva

Na pół zasypana piaskiem,

Lecz sipapu

Stoi otworem.

Rzuca swój milczący krzyk do czwartego świata.

Kiedy odchodzisz,

Kruki powracają,

Kracząc z zadowoleniem.

- Piękne - stwierdziła de Vaca. - I brzmi dziwnie znajomo. Zastanawiam się, co to za czarny dom.

Carson wyprostował się nagle.

- Kin Klizhini - powiedział. - To w języku Apaczów właśnie „Czarny Dom”. Burt pisze o tych ruinach na południe od Mount Dragon.

- Znasz język Apaczów? - zapytała de Vaca, patrząc na niego ze zdziwieniem.

- Większość naszych pracowników była z plemienia Apaczów - odparł Carson. - Nauczyłem się trochę ich mowy, kiedy byłem dzieckiem.

W milczeniu ponownie przeczytali wiersz.

- Do diabła - zaklął Carson. - Nic tutaj nie widzę.

- Zaczekaj... - powstrzymała go de Vaca, podnosząc rękę. - Wielka kiva była podziemną komnatą obrzędową u Indian Anasazi. W jej środku znajdowała się dziura, zwana sipapu, która łączyła ten świat ze światem duchów na dole. Nazywali ten świat czwartym światem. My żyjemy w piątym.

- Wiem o tym - rzekł Carson. - Nadal jednak nie widzę żadnego związku...

- Przeczytaj wiersz jeszcze raz. Jeśli *kiva* była zasypana piaskiem, to jak *sipapu* mógł być otwarty?

Carson popatrzył na nią.

- Masz rację.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- W końcu, *cabrón*, nauczyłeś się przyznawać innym rację.

Postanowili pojechać konno, aby zdążyć wrócić na wieczorne ćwiczenia alarmowe. Słońce stało w zenicie i prażyło niemiłosiernie. Carson patrzył, jak de Vaca siodła mustanga o krótkim ogonie.

- Widzę, że już jeździłaś - stwierdził.

- Nie mylisz się - odparła de Vaca, dopinając popręg i wieszając manierkę na łęku siodła. - Myślisz, że Anglicy mają monopol? Kiedy byłam małą, dostałam konia o imieniu Barbarian. Miał hiszpańskich przodków, jeszcze z czasów konkwisty.

- Nigdy takiego nie widziałem.

- To najlepsze pustynne konie, jakie można znaleźć. Małe, wytrzymałe i silne. Mój ojciec kupił kilka od starego hiszpańskiego hodowcy, właściciela Romero Ranch. Te konie nigdy nie były krzyżowane ze zwierzętami angielskiej krwi. Stary Romero mówił, że jego przodkowie zawsze strzelali do każdego przekłętego ogiera *gínigo*, który kręcił się koło ich klaczy

Zaśmiała się i wskoczyła na konia. Carsonowi podobał się sposób, w jaki siedziała w siodle: pewnie i swobodnie. Dosiadł Roscoe i podjechali do bramki, wprowadzili kod dostępu, po czym ruszyli w kierunku Kin Klizhini. Stare ruiny wznosiły się prawie cztery kilometry dalej: dwie ściany sterczące z piasku pustyni otoczone stertami gruzu.

De Vaca odchyliła głowę i rozpuściła włosy.

- Pomimo wszystkiego, co się stało, nadal podziwiam piękno tego miejsca - oświadczyła, gdy jechali.

Carson kiwnął głową.

- Gdy miałem szesnaście lat, spędziłem lato na ranczu Diamond Bar, na końcu Jornady - powiedział.

- Naprawdę? Czy tam też jest taka pustynia jak tu?

- Podobna. Gdy jedziesz na północ, trafiasz na łuk Fra Cristóbal. Góry dają trochę cienia i wilgoci, więc jest tam nieco więcej zieleni.

- Co tam robiłeś? Byłeś kowbojem?

- Tak. Kiedy mój ojciec stracił ranczo, przez całe lato pracowałem jako kowboj, zanim poszedłem do collegeu. Diamond Bar było dużym ranczem, położonym między San Pascual Mountains a Sierra Oscura.

Prawdziwa pustynia zaczynała się na jego południowym końcu, w miejscu zwanym Lava Gate. Jest tam ogromny strumień zastygłej lawy dochodzący niemal do podnóża gór Fra Cristóbal. Między lawą a górami jest wąskie przejście szerokości najwyżej trzydziestu metrów. Biegł tamtędy stary hiszpański szlak. - Zaśmiał się. - Lava Gate była jak wrota piekieł. Lepiej było nie zapuszczać się na południe od niej, bo można było nie wrócić. A teraz jestem tutaj, na samym środku pu-styni.

- Moi przodkowie przebyli ten szlak z Onate w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym ósmym - pochwaliła się de Vaca.

- Jechali hiszpańskim szlakiem? - zapytał zdumiony Carson.
-Przebyli Jornadę?

De Vaca skinęła głową, mrużąc oczy w słońcu.

- Jak znaleźli wodę?

- Na twojej twarzy znów widzę powątpiewanie, *cabrón*. Dziadek powiedział mi, że czekali do zmroku przy ostatnim wodopoju, a potem pędzili bydlę przez całą noc, zatrzymując się na popas tylko o czwar-tej rano. Później Apacz-przewodnik doprowadził ich do źródła zwane-go Ojo del Aguila. Orle Źródło. Teraz nikt nie wie, gdzie ono się znaj-duje. Przynajmniej tak mówił mi dziadek.

Carson od dłuższego czasu miał ochotę zadać jej to pytanie, ale nie miał odwagi.

- Skąd właściwie wzięło się nazwisko Cabeza de Vaca? Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

- A skąd wzięło się nazwisko Carson?

- Musisz przyznać, że „Krowi Łeb” to trochę dziwne nazwisko.

- Tak samo jak „Syn Samochodu”.

- Przepraszam, że spytałem - wycofał się Carson, zły na siebie.

- Gdybyś znał historię - oświadczyła de Vaca - wiedziałbyś skąd.

W tysiąc dwieście dwunastym hiszpański żołnierz oznaczył krowią czaszką przełęcz i poprowadził nią armię do zwycięstwa nad Maurami. Otrzymał tytuł szlachecki i prawo do używania nazwiska Cabeza de Vaca.

- Fascynujące - mruknął Carson. To pewnie apokryf, pomyślał.

- Alonso Cabeza de Vaca był jednym z pierwszych europejskich osadników w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku. Należy-my do najstarszych i najznamienitszych rodzin w Ameryce. Ale ja nie przywiązuję wagi do takich rzeczy.

Widząc dumę na jej twarzy, Carson doszedł jednak do wniosku, że przywiązywała ogromną wagę do takich rzeczy.

Przez jakiś czas jechali, nic nie mówiąc, ciesząc się ciepłym dniem

i łagodnym kołysaniem wierzchowców. De Vaca wysunęła się trochę do przodu. Jej dolna połowa ciała poruszała się zgodnie z ruchami konia, górna była rozluźniona i swobodna. Lewą ręką trzymała wodze, a prawą rzemienny uchwyt siodła. Kiedy dotarli do ruin, przystanąła, czekając, aż Carson się z nią zrówna.

Podjechał do niej, a ona spojrzała na niego z błyskiem rozbawienia w fiołkowych oczach.

- Ostatni będzie *pendejo* - oznajmiła, pochylając się nagle i bodąc ostrogami konia.

Zanim Carson połapał się i popędził Roscoe, była już trzy długości przed nim. Jej koń spuścił łeb, położył uszy po sobie i gnał ile sił w nogach, żwir tryskał spod jego kopyt. Carson lekko ubódł ostrogami Roscoe, zrównał się z nią i po chwili oba wierzchowce pędziły łeb w łeb, przeskakując przez niskie krzaki, aż wiatr szumiał jeźdźcom w uszach. Ruiny zbliżały się coraz bardziej, ich wysokie kamienne ściany coraz wyraźniej rysowały się na tle błękitnego nieba. Carson wiedział, że ma lepszego wierzchowca, de Vaca jednak nachyliła się do ucha swego konia, poganiając go cichym, lecz elektryzującym głosem, Carson krzyknął ostrzegawczo, ale na próżno. Kiedy przemykali między dwoma ścianami, de Vaca wyprzedziła go o pół długości. Jej włosy powiewały na wietrze jak czarny płomień. Nagle wyrósł przed nimi niski murek z brązowego piaskowca. Stado kruków poderwało się z głośnym wrzaskiem, gdy oboje przeskoczyli go i pozostawili ruiny w tyle. Zwolnili do kłusa, potem stępa i zawrócili konie.

Carson spojrzał na de Vacę. Miała zaczerwienioną twarz i rozczochrane włosy, a na udzie grudkę piany z końskiego boku. Uśmiechnęła się.

- Nieźle - stwierdziła. - Prawie mnie pokonałeś. Carson przełożył wodze do drugiej ręki.

- Oszukiwałaś - burknął opryskliwie. - Wystartowałaś pierwsza.

- Masz lepszego konia.

- A ty jesteś lżejsza. Uśmiechnęła się drwiąco.

- Spójrz prawdzie w oczy, *cabrón*, przegrałeś. Carson uśmiechnął się ponuro.

- Następnym razem cię złapię.

- Nikt mnie nie złapie.

Dotarli do ruin i zsiadli z koni, po czym uwiązali je do głazu.

- Wielka kiva zazwyczaj znajdowała się w samym środku puebla albo daleko poza jego granicami - powiedziała de Vaca. - Miejmy na-

dzieję, że się nie zawałiła.

Wysoko nad ich głowami krążyły kruki, odległe krzyki ptaków uno-siły się w suchym powietrzu. Carson rozejrzał się z zaciekawieniem. Ściany wzniesiono z ociosanych wulkanicznych kamieni, spojonych wysychającą na słońcu gliną. Wznosiły się z trzech stron, tworząc ruiny w kształcie litery „U”, a z czwartej znajdował się centralny plac. Ziemia pod nogami de Vaki i Carsona była zasłana kawałkami naczyń i odłamkami krzemienia, w znacznej części przysypanymi przez piasek.

Wyszli na plac porośnięty krzakami juki i jadłoszynu. De Vaca uklękała przy wielkim kopcu termitów. Owady skryły się w środku przed południowym skwarem. Ostrożnie wygładziła żwir palcami, uważnie mu się przyglądając.

- Co robisz? - zapytał Carson.

W odpowiedzi de Vaca podniosła coś z ziemi kciukiem i palcem wskazującym.

- Spójrz - powiedziała.

Położyła mu na dłoni idealnie okrągły turkusowy paciorek z cieniem jak włos otworkiem w środku.

- Polerowali turkusy żdźbłami trawy - wyjaśniła. - Ale nikt nie wie, w jaki sposób robili tak małe i idealnie równe otwory bez użycia metalu. Być może całymi godzinami wiercili w turkusie odłamkiem kości. - Wstała. - Chodźmy poszukać tej jaskini.

Wyszli na środek placu.

- Nic tu nie ma - oświadczył Carson.

- Rozdzielmy się i poszukajmy wokół puebla - zaproponowała. - Ja sprawdzę od północy, a ty od południa.

Carson wyszedł spomiędzy ruin i zatoczył szeroki łuk, uważnie przyglądając się otaczającej pueblo pustyni. Burza piaskowa i suche wiatry zatarły wszelkie ślady stóp, więc nie był w stanie stwierdzić, czy Burt był tutaj, czy nie. Przed wiekami podziemna komnata była całkowicie ukryta pod ziemią i tylko otwór na dym zdradzał jej istnienie. Chociaż jej sklepienie być może zapadło się już dawno temu, równie dobrze mogło pozostać nietknięte, zamaskowane przez zwały piasku. Znalazł ją około trzydziestu metrów na południowy zachód. Jej strop zapadł się i kiva była teraz zaledwie owalnym wgłębieniem w ziemi, szerokim na dziesięć metrów, a głębokim na prawie trzy. Z kamiennych ścian sterczały kawałki dawnych krokwi. De Vaca przybiegła na jego wołanie i razem podeszli do krawędzi. Na samym dole Carson dostrzegł fragmenty kamiennych murów, nadal pokryte pomalowaną na czerwono

gliną. Wiatr nawiał tam piasku, całkowicie zasłaniając podłogę.

- I gdzie jest to sipapu? - zapytał de Vaki.

- Zawsze znajdowało się dokładnie na środku - odparła. - Pomóż mi.

Zeszła na dół, wyszła na środek i klękła, po czym zaczęła rozgar-niać piasek palcami. Carson przyklęknął obok, by jej pomóc. Na głę-bokości dziesięciu centymetrów napotkali płaską skałę. De Vaca po-spiesznie odgarnęła piach i odsunęła płaski kamień.

W otworze sipapu znajdował się duży plastikowy pojemnik z żółtą etykietką GeneDyne. W pojemniku był mały notes z pozaginanymi ro-gami oprawiony w poplamione, oliwkowej barwy płótno.

- *Madre de Dios* - szepnęła de Vaca. Wydobyła pojemnik z sipapu, podważyła wieko i wyjęła dziennik, po czym otworzyła go.

Pierwsza strona była opatrzona datą 18 maja. Pokrywały ją rzędy drobnego, równego pisma, tak gęste, że w każdej linijce mieściły się dwa wiersze. Carson patrzył, jak de Vaca z rosnącym niedowierzaniem przewraca strony.

- Nie możemy tego zabrać do Mount Dragon - powiedział.

- Wiem. Dlatego bierzmy się do czytania. Zaczęła od pierwszej strony.

18 maja

Najdroższa Arniko!

Piszę do Ciebie z ruin świętej kiva Anasazi na pustyni. Pakując moje rzeczy tego ranka, przed odlotem do Albuquerque, pod wpływem nagłego impulsu wetknąłem do kieszeni marynarki ten stary notes.

Zawsze zamierzałem wykorzystać go do zapisków z obserwacji ptaków. Teraz jednak myślę, że znalazłem dla niego lepszy użytek.

Bardzo za Tobą tęsknię. Ludzie tutaj są życzliwi — przeważnie. Niektó-rych, jak na przykład Johna Singera, mógłbym chyba nawet zaliczyć do przy-jaciół. Jednak przede wszystkim jesteśmy współpracownikami zmierzającymi do wspólnego celu. Pracujemy pod presji — ogromną presją — i czuję, że pod jej wpływem coraz bardziej zamykam się w sobie. Nieprzebyta pustka tej okropnej pustyni jeszcze zwiększa moją samotność. To tak, jakbyśmy zna-leźli się na końcu świata i zeszli z niego.

Pap/er / ołówek są tutaj zakazane. Brent chce *mieć* kontrolę nad wszyst-kim, co robimy. Czasem mam wrażenie, że chciałby wiedzieć

nawet, o czym myślimy. Wykorzystam ten notesik jako linię ratunkową łączącą mnie z To-bą. Są pewne sprawy, o których w swoim czasie Ci powiem. Sprawy, o których nigdy nie napiszę w sprawozdaniach dla CeneDyne. Brent pod wieloma względami nadal jest chłopcem z chłopięcymi pomysłami, a jedną z nich jest próba kontrolowania tego, co robią i myślą inni.

Mam nadzieję, że nie zaniepokoisz się zbyt, kiedy się o tym dowiesz. A, prawda — kiedy będziesz to czytać, będę już przy Tobie i te myśli pozostaną zaledwie wspomnieniem. Może czas pozwoli mi śmiać się z siebie i tych dziwnych obaw. Albo być dumnym z tego, czego tu dokonaliśmy.

Kiva znajduje się spory kawałek drogi od laboratorium, a wiesz, jakim kiepskim jestem jeźdźcem. Myślę jednak, że ta chwila spędzona z Tobą do-brze mi robi. Dziennik będzie bezpieczny tutaj, pod warstwą piasku. Nikt po-za szefem ochrony nie opuszcza ośrodka, a Nye jest zajęty swoimi sprawami.

Wkrótce znów tu przyjdę.

25 maja

Moja Droga Żono!

Jest okropnie upalny dzień. Wciąż zapominam, ile wody potrzebuje człowiek na tej strasznej pustyni. Następnym razem zabiorę dwie manierki.

Nic dziwnego, że na tak pozbawionym wody obszarze cała religia Anasa-zi odwoływała się do sił przyrody. Właśnie tu, w kivic, kapłani wzywali Ptaka-Pioruna, aby sprowadził deszcz.

O, męskie bóstwo!

Przybądź w swych mokasynach z czarnych chmur,

Wymachując nad głową zygzakiem błyskawicy,

Przybądź do nas na skrzydłach wiatru,

Niechaj życiodajna woda spłynie z niebios na korzenie zbóż,

Miech przyjdą czarne chmury,

Miech przyjdą czarne mgły,

Miech sprawią, że ziemię aż po kres pokryją bujne kłosa zbóż.

Tak się do niego modlili. To bardzo stara modlitwa, to pragnienie wiedzy i mocy, chęć poznania tajemnic przyrody i zapanowania nad nią, aby sprowadzić deszcz.

Ale deszcz nie przyszedł. Tak samo jak dziś.

Co Anasaży pomyśleliby o nas, widząc, jak dzień za dniem

trudnimy się w naszych podziemnych jamach, usiłując nie tylko poznać siły Matury, ale także nagiąć je do naszej woli?

Nie mogę już dzisiaj pisać. Problem, którym się tu zajmuję, wymaga poświęcenia całego czasu i energii. Trudno mi przed nim uciec, nawet tutaj. Jednak wrócę niebawem, moja miłości.

4 czerwca

Najdroższa Arniko!

Proszę, wybaczyć mi długą nieobecność. Mamy bardzo napięty harmonogram prac w laboratorium. Gdyby nie konieczność odkażania pomieszczeń, Brent na pewno by nas zmusił, abyśmy pracowali przez całą dobę.

Brent... To dziwne. Nigdy nie przypuszczałem, że mogę darzyć kogoś takim głębokim szacunkiem, a jednocześnie nie lubić go. Być może mógłbym go nawet znienawidzić. Chociaż akurat w tej chwili mnie nie pogania, nadal widzę jego twarz — pochmurną, ponieważ wyniki nie odpowiadają jego oczekiwaniom. Słyszę w uszach jego szept: Jeszcze tylko pięć minut. Jeszcze tylko jedna seria prób".

Brent jest prawdopodobnie najbardziej złożoną osobowością, jaką kiedykolwiek spotkałem. Błyskotliwy, głupi, niedojrzały, zimny, bezwzględny. Zna mnóstwo mądrych cytatów na każdą okazję i z upodobaniem je przytacza. Rozdaje miliony, zaciekle kłócąc się o tysiące. Potrafi być zdumiewająco miły dla jednej osoby i bardzo okrutny wobec innej. Doskonale zna się na muzyce. Jest posiadaczem ostatniego i najlepszego fortepianu Beethovena, na którym ten kompozytor prawdopodobnie skomponował trzy swoje ostatnie sonaty. Mogę się tylko domyślać, ile kosztował.

Migdy nie zapomnę naszej pierwszej rozmowy. Było to wtedy, kiedy jeszcze pracowałem w filii GeneDyne w Manchesterze, wkrótce po tym, jak wynalazłem GEF, nasz sposób filtracji. Wstępne wyniki były wspaniałe i wszyscy byli podnieceni. Metoda ta pozwalała skrócić czas produkcji o połowę. Zespół laboratorium transfekcji nie posiadał się z radości. Powiedzieli, że zgłoszą moją kandydaturę na dyrektora naczelnego.

Wtedy zadzwonił do mnie Brent Scopes. Przypuszczałem, że chce mi po-gratulować albo obiecać następną premię. Jednak on zamiast tego poprosił, żebym pierwszym samolotem przyleciał do Bostonu. Mam wszystko rzucić, powiedział, aby objąć kierownictwo badań nad najważniejszym projektem GeneDyne. Nawet nie pozwolił mi przeprowadzić ostatnich prób nad GEF. Musiałem pozostawić to mojemu

personelowi w Manchesterze.

Pamiętasz mój wyjazd do Bostonu, prawda? Z pewnością moje odpowiedzi po powrocie wydały Ci się trochę enigmatyczne, za co przepraszam. Brent potrafi przeciągać ludzi na swoją stronę, зараżać ich swoim entuzjazmem. Teraz jednak nie widzę powodu, żeby to przed Tobą ukrywać. Za miesiąc i tak będą o tym pisać we wszystkich gazetach.

Moim zadaniem — krótko mówiąc — była synteza sztucznej krwi. Miałem wykorzystać ogromne zasoby GeneDyne, aby metodami inżynierii genetycznej uzyskać ludzką krew. Brent powiedział, że wstępne badania już zostały przeprowadzone, ale potrzebuje kogoś o mojej wiedzy i doświadczeniu, żeby je dokończyć. Moja praca nad metodą filtracji GEF czyniła mnie idealnym kandydatem.

Przyznaję, że był to wspaniały pomysł i Brent go zrealizował. Już nigdy szpitalom nie zabraknie krwi do transfuzji, powiedział. Ludzie nie będą już musieli obawiać się zarażenia podczas przetaczania krwi, a pacjenci z rzadki-mi grupami krwi nie będą umierali z powodu braku dawcy. Sztuczna krew wyprodukowana przez GeneDyne będzie wolna od zanieczyszczeń, uniwersalna i dostępna w nieograniczonych ilościach.

I tak opuściłem Manchester - zostawiłem Ciebie, nasz dom, wszystko, co mi drogie — i przybyłem na to pustkowie. Aby zrealizować marzenie Brenta Scopesa i — jeśli dopisze mi szczęście — uczynić ten świat lepszym. To ma-rzenie staje się rzeczywistością. Jednak koszt jego urzeczywistnienia jest bardzo wysoki.

12 czerwca

Najdroższa Arniko!

Postanowiłem wykorzystać ten dziennik do kontynuowania opowieści, którą zacząłem. Może od początku miałem taki zamiar. Mogę Ci tylko powiedzieć, że kiedy ostatnim razem opuściłem kive po napisaniu tych kilku słów, poczułem bezgranicznie ulgę. Tak więc nadal będę pisał, jeśli nie dla Ciebie, to dla mojego dobra.

Pamiętam pewien ranek jakieś cztery miesiące temu. Trzymałem zlewkę z krwią. Była to krew ludzka, a jednak wytworzona przez całkowicie odmienną formę życia: przez Streptococcus — bakterię żującą między innymi w glebie. Wprowadziłem do szczepu odpowiedni gen i zmusiłem bakterie do produkowania ludzkiej hemoglobiny. Ogromnych ilości hemoglobiny.

Dlaczego użyłem właśnie tej bakterii? Ponieważ wiedzieliśmy o

niej więcej niż o jakiegokolwiek innej formie życia na tej planecie. Sporządziliśmy mapę całego jej genomu. Wiemy, jak rozszczepić jej DMA, wprowadzić potrzebny gen i ponownie wszystko pozszywać.

Wybacz mi, że przedstawiam Ci to w uproszczeniu. Wykorzystując komórki pobrane z ludzkiego policzka (mojego), usunąłem pojedynczy gen zlokalizowany na czwartym chromosomie, 16s rDMA, miejsce D2401. Rozmnożyłem je milion razy, wprowadziłem kopie do bakterii i umieściłem hodowle w wielkich kadziach wypełnionych roztworem protein. Chociaż brzmi to może bardzo poważnie, moja droga, nie było to wcale trudne. Wielokrotnie robiono tak z innymi genami, włącznie z genami ludzkiej insuliny.

Uczyniliśmy tę bakterię - tę niezwykle prymitywną formę życia - troszeczkę ludzką. Każda z nich zawierała teraz maleńki, niewidoczny fragment człowieka. Ten fragment, mówiąc w skrócie, przejmował funkcje bakterii i zmuszał ją, aby robiła tylko jedno: produkowała ludzką hemoglobinę.

To dla mnie istna magia, ta fantastyczna, wiecznie kusząca obietnica genetyki.

Jednak w tym momencie zaczęły się problemy.

Może powinienem to dokładniej wyjaśnić. Cząsteczka hemoglobiny składa się z grupy proteinowej, zwanej globiną, do której dołączone są cztery grupy hemowe. Pobiera ona tlen w płucach i wymienia go w tkankach na dwutlenek węgla, który następnie uwalnia w płucach, skąd jest wydychany.

To niezwykle złożony proces i bardzo skomplikowana cząsteczka.

Niestety sama hemoglobina jest śmiertelnie trująca. Gdyby ktoś podał człowiekowi czystą hemoglobinę w zastrzyku, prawdopodobnie miałyby to fatalne skutki. Hemoglobina musi być w czymś zawarta. Zwykle w czerwonej krwi.

Tak więc musieliśmy stworzyć coś, co by ją związało i unieszkodliwiło. Coś w rodzaju mikroskopijnego worka. To „coś” powinno również oddychać”, czyli przepuszczać tlen oraz dwutlenek węgla.

Rozwiązaliśmy ten problem, tworząc „worki” z kawałków błony rozerwanych komórek. Wykorzystałem do tego specjalny enzym zwany liazą.

Potem stanęliśmy przed ostatnim problemem: jak oczyścić hemoglobinę. Mogłoby się wydawać, że to najłatwiejsze.

Otóż wcale nie.

Hodowaliśmy bakterie w dużych kadziach. W miarę jak rosło stężenie produkowanej przez bakterie hemoglobiny, produkt zatruwał hodowlę i bakterie ginęły. Otrzymywaliśmy w efekcie mieszaninę cząsteczek hemoglobiny, martwych i ginących bakterii, strzępów DMA i RMA, kawałków chromosomów oraz innych bakterii.

Należało oczyścić ten sos, oddzielić produkt od reszty, uzyskać czystą ludzką hemoglobinę i nic więcej. Nasz produkt musiał mieć najwyższy sto-pień czystości. Transfuzja to nie połknięcie małej pigułki. Zamierzaliśmy przecież wprowadzać do ludzkiego organizmu całe litry tej substancji. Nawet niewielkie zanieczyszczenia, pomnożone przez tę objętość, mogły spowodować katastrofalne skutki uboczne.

Mniej więcej w tym czasie nadeszła wiadomość o tym, co dzieje się w Bostonie. Ludzie od marketingu już pracowali — w ścisłej tajemnicy — nad wprowadzeniem na rynek wyprodukowanego przez nas krwiozastępczego preparatu. Zebrali opinie wśród różnych grup zwykłych obywateli. Stwierdzili, że większość ludzi boi się przetaczania krwi, ponieważ obawia się zakażenia żółtaczką, AIDS lub innymi chorobami. Ludzie chcieli mieć pewność, że otrzymywana przez nich krew jest czysta i bezpieczna.

Nasz niedokończony jeszcze produkt otrzymał nazwę PurBlood. To po-lecenie nadeszło z góry i od tej pory we wszystkich dokumentach, pismach, notatkach i rozmowach należało nazywać go w ten sposób. Każdy, kto będzie używał haridlowej nazwy hemocyI, miał zostać ukarany. Szczególnie, jak gło-siła instrukcja, surowo zakazane jest posługiwanie się określeniami „inżynieria genetyczna” czy sztuczny. Opinia publiczna nie akceptowała niczego, co było wytworem inżynierii genetycznej. Ludzie nie lubili wyhodowanych w ten sposób pomidorów ani wzbogaconego mleka, a koncepcja „sztucznej krwi uzyskanej metodami inżynierii genetycznej” budziła zgrozę. Chyba nie mo-gę mieć im tego za złe. Myśl o wprowadzeniu takiej substancji do własnego układu krwionośnego z pewnością była dla laika niepokojąca.

Moja kochana, słońce jest już nisko na niebie i muszę iść. Wrócę ju-tro. Powiem Brentowi, że potrzebny mi jeden wolny dzień. To nie będzie kłamstwo. Gdybyś wiedziała, jaką ulgę przynosi mi to przelewanie myśli na papier.

13 czerwca

Majdroższa Arniko!

Teraz dochodzę do najtrudniejszej części mojej opowieści. Prawdę mówiąc, do tej pory nie byłem pewien, czy zdołam Ci o tym powiedzieć. Być może jeszcze spalę te kartki, jeśli zmienię zdanie. Wie mogę jednak dalej trzy-mać tego w tajemnicy.

Przystąpiłem do procesu oczyszczania. Przeprowadzaliśmy fermentację roztworu, aby uwolnić hemoglobinę z jej bakteryjnego więzienia. Odwirowywaliśmy ją, żeby usunąć odpady. Przesączaliśmy przez filtry ceramiczne. Frakcjonowaliśmy. Bezskutecznie.

Widzisz, hemoglobina jest bardzo nietrwała. Nie można jej ogrzewać, działać na nią zbyt silnymi czynnikami chemicznymi, sterylizować jej czy destylować. Za każdym razem, gdy próbowałem oczyścić hemoglobiną, niszczyłem ją. Cząsteczka traciła swoją delikatną budowę — ulegała denaturacji. Stawała się bezużyteczna.

Potrzebna była jakaś delikatniejsza metoda oczyszczania. Brent zaproponował, abyśmy spróbowali mojej metody) filtracji GEC

Natychmiast zrozumiałem, że ma rację. Nie było żadnych przeciwwskazań. Tylko źle pojmowana skromność nie pozwoliła mi wpaść na ten pomysł.

Metoda, nad którą pracowałem w Manchesterze, była zmodyfikowaną elektroforezą żelową, w której potencjał elektryczny przeciągał cząsteczki związków o ściśle określonym ciężarze cząsteczkowym przez szereg żelowych filtrów.

Jednak dostosowanie tej metody do naszych celów wymagało czasu, a Brent zaczynał się niecierpliwić. W końcu udało mi się oczyścić przez filtrację żelową trzy litry PurBlood.

GEF okazała się niezwykle skuteczna. Używając dwóch z trzech litrów ja-ko próbki, zdołałem udowodnić, że zawartość zanieczyszczeń w mieszaninie można obniżyć do 16 ppm. Tak więc na milion cząsteczek hemoglobiny przy-padałoby najwyżej szesnaście obcych cząsteczek. Może nawet mniej.

Mogłoby się wydawać, że to niewiele. Dla większości leków taki stopień czystości jest wystarczający. Jednak nie dla tego preparatu. FDA, jak zawsze kapryśna, postanowiła, że bezpiecznym progiem będzie nie szesnaście cząsteczek na milion, ale sto na miliard. Liczba szesnaście będzie mnie chyba prze-śladować do końca życia. W naukowej terminologii czystość miała wynosić $1,6 \times 10^{-7}$.

Proszę, nie zrozum mnie źle. Wierzyłem — i nadal wierzę — że PurBlood jest znacznie czystszy. Po prostu nie mogłem tego dowieść. To zasadnicza różnica. Ale dla mnie taka sytuacja była nieuczciwa i sztuczna.

Był jeden test czystości, którego nie wykonałem, ponieważ nie zalecały go przepisy PDA. Przeprowadziłem go jednak w tajemnicy. Proszę, wybac mi, moja miłości — pewnej nocy w słabiej strzeżonym laboratorium otworzyłem sobie żyłę w ręce i utoczyłem pół litra krwi, a potem zastąpiłem ją naszym preparatem.

Może postąpiłem lekkomyślnie, ale PurBlood śpiewająco przeszedł tę próbę. Nic mi się nie stało i wszelkie badania medyczne dowiodły, że jest bezpieczny. Maturalnie nie mogłem opublikować wyników mojego testu, jednak upewniłem się, że PurBlood jest czysty.

Oficjalnie natomiast zrobiłem coś innego. Minimalnie rozcieńczyłem ostatnią próbkę PurBlood wodą destylowaną, w stosunku dwieście do jedne-go, po czym wykonałem serię badań z automatycznym odczytem i zapisem czystości. W rezultacie otrzymałem czystość rzędu 20 cząsteczek na mi-liard w zakresie wyznaczonym przez PDA.

Nie musiałem robić nic więcej. Nie napisałem sprawozdania, nie zmieniałem danych i nie fałszowałem wyników. Kiedy Scopes sprawdził w nocy dane, wiedział, co oznaczają. Nazajutrz pogratulował mi. Nie posiadał się z radości.

Teraz zadaję sobie pytanie, które i Ty pewnie mi zadasz: dlaczego to zrobiłem?

Nie dla pieniędzy. Nigdy aż tak bardzo nie zależało mi na pieniądzach, wiesz o tym, moja droga Amiko. Pieniądze przynoszą więcej kłopotów, niż są warte.

Nie dla sławy, która jest okropnie kłopotliwa.

Nie chodziło mi również o ratowanie istnień ludzkich, chociaż tak właśnie usiłowałem o sobie myśleć.

Myślę, że być może było to zwyczajne pragnienie rozwiązania tego ostatniego problemu, zrobienia ostatecznego kroku. Takie samo pragnienie powodowało Einsteinem, kiedy w liście do Roosevelta pisał o straszliwej sile atomu, a także Oppenheimerem konstruującym bombę i wypróbowującym ją pięćdziesiąt kilometrów stąd. To samo kierowało kapłanami Anasazi, kiedy spotykali się w tej komnacie i prosili Ptaka-Pioruna, aby zesłał deszcz. Pragnienie podboju natury.

Jednakże — co mnie dręczy i każe mi przelać to wszystko na papier — sukces PurBlood nie zmienia faktu, że oszukiwałem.

Aż nazbyt dobrze zdaję sobie z tego sprawę. Szczególnie teraz... teraz, kiedy PurBlood ma być produkowany na wielki skalę, a ja walę głową w ko-lejny, jeszcze grubszy mur.

Mo nic, najdroższa, mam nadzieję, że w głębi serca potrafisz to zrozumieć. Kiedy wydostanę się stąd, postaram się już nigdy Cię nie opuszczać. I może stanie się to szybciej, niż sadzisz. Zaczynam podejrzewać, że pewni ludzie tutaj...

Chyba jednak napiszę o tym innym razem. Dziś muszę już kończyć.

Nie masz pojęcia, ile dla mnie znaczy, że mogłem wyznać ten sekret.

30 czerwca

Dzisiaj dotarcie tutaj zabrało mi sporo czasu. Musiałem wybrać specjalny szlak, inny niż zwykle. Kobieta, która sprząta mój pokój, patrzyła na mnie bardzo dziwnie, a nie chcę, żeby mnie śledziła. Może powiedziec o tym Brentowi, tak jak zrobiła to moja asystentka i administrator sieci.

To dlatego, że znalazłem klucz. I teraz muszę być nieustannie czujny.

Można *ich* poznać po sposobie, w jaki zostawiają rzeczy na swoich biurkach. Zdradza ich bałaganiarstwo. I są zarażeni mikroorganizmami. Miliardy bakterii i wirusów kryją się w każdym zakamarku ich ciał. Chciałbym powiedziec o tym Brentowi, ale muszę udawać, że nic się nie stało, jakby wszystko było normalnie.

Sadzę, że będzie lepiej, jeśli już tu nie przyjdę.

Carson milczał. Słońce opadało za horyzont, drżąc w warstwach rozgrzanego powietrza. Stare kamienne mury wydzielaly zapach rozgrzanego kurzu zmieszany ze słabą wonią rozkładu. Jeden koń parsknął niecierpliwie, drugi mu zawtórował.

De Vaca drgnęła, szybko wepchnęła dziennik do pojemnika i umieściła go w sipapu. Potem zakryła otwór płaskim kamieniem i zamaskowała go, zasypując piaskiem. Wyprostowała się i otrzepała dzinsy.

- Lepiej wracajmy - oświadczyła. - Nasza nieobecność na ćwiczeniach wzbudziłaby podejrzenia.

Wyszli z zawałonej kivy, dosiedli koni i powoli ruszyli w kierunku Mount Dragon.

- Nigdy bym nie pomyślała - mruknęła de Vaca - że Burt może fałszować wyniki.

Carson nic nie powiedział pogrążony w myślach.

- I że zrobił z siebie królika doświadczalnego - dodała. Carson ocknął się tknięty nagłą myślą.

- Pewnie to właśnie miał na myśli, kiedy mówił: „biedny alfa”.

- Co?

- Teece powiedział mi, że Burt w kółko powtarzał: „biedny alfa, biedny alfa”. Pewnie mówił o sobie jako o testerze alfa. - Wzruszył ramionami. - Mimo to nie nazwałbym go królikiem doświadczalnym. Sprawdzenie preparatu na sobie leżało w jego charakterze. Taki człowiek jak Burt nie ryzykowałby tysięcy istnień, wprowadzając na rynek niesprawdzony środek. A ponieważ musiał jak najszybciej dowieść, że PurBlood jest bezpieczny, sprawdził go na sobie. Zdarzały się już takie przypadki. I nie jest to nielegalne. - Spojrzał na de Vacę. - Musisz przyznać, że ten facet ryzykował życie. Ale to on śmiał się ostatni. Dowiedział, że preparat krwiozastępczy jest nieszkodliwy

Zamilkł. Męczyła go jakaś nieuchwytna myśl, która pojawiła się podczas czytania dziennika. Teraz tkwiła gdzieś w podświadomości jak na pół zapomniany sen.

- Wygląda na to, że nadal się śmieje - stwierdziła de Vaca. - Siedzi u czubków.

Carson zmarszczył brwi.

- To bardzo cyniczna uwaga nawet jak na ciebie.

- Możliwe - przyznała de Vaca i po chwili dodała: - Myślę, że to dlatego, że wszyscy powtarzają, jaki to Burt był wielki- On opracował opatentowaną przez GeneDyne metodę filtracji, on zsyntetyzował PurBlood. Teraz okazuje się, że fałszował wyniki.

Znowu to samo, pomyślał Carson i nagle uświadomił sobie, który fragment dziennika wzbudził jego wątpliwości.

- Susana, co wiesz o GEF? - zapytał.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- No, o tej metodzie filtracji, którą Burt opracował jeszcze w Manchesterze - wyjaśnił Carson. - Przed chwilą o niej wspomniałaś. Zawsze zakładaliśmy, że ten sposób filtracji jest skuteczny w przypadku X-FLU. A jeśli nie jest?

Zdziwienie de Vaki zmieniło się w niechęć.

- Wielokrotnie sprawdzaliśmy X-FLU, żeby mieć pewność, że szczep otrzymywany po filtracji jest zupełnie czysty

- Czysty, owszem. Tylko czy to jest ten sam szczep?

- W jaki sposób filtrowanie mogłoby zmienić szczep? To nie ma sensu.

- Pomyśl o tym, jak działa GEF - odparł Carson. - Stosujesz słabe pole elektryczne, które przeciąga ciężkie cząsteczki protein przez filtr żelowy, prawda? To pole jest ustawione dokładnie na ciężar takich cząsteczek, jakie chce się uzyskać. Wszystkie pozostałe zostają uwięzione w żelu, podczas gdy te właściwe wychodzą z drugiego końca filtra.

- I co z tego?

- A jeśli to pole elektryczne albo sam żel wywołują minimalne zmiany w budowie protein? Jeśli to, co wychodzi, różni się od tego, co zostało wprowadzone do filtra? Ciężar cząsteczkowy byłby ten sam, ale budowa nieznacznie zmieniona. Proste próby chemiczne niczego nie wykażą. A wystarczy najmniejsza zmiana na powierzchni cząsteczki białka lub wirusa, aby powstał nowy szczep.

- Niemożliwe - oświadczyła de Vaca. - GEF jest opatentowaną i sprawdzoną metodą. Wykorzystywano ją również do syntezy innych produktów. Gdyby coś było nie tak, już dawno wyszłoby to na jaw.

Carson zatrzymał Roscoe.

- Czy któreś z przeprowadzanych przez nas testów czystości sprawdzały taką ewentualność?

De Vaca milczała.

- Susana, to jedyne, czego jeszcze nie próbowaliśmy. Patrzyła na niego przez chwilę.

- W porządku - powiedziała w końcu. - Sprawdźmy to.

Dark Harbor Institute był wielką i okazałą wiktoriańską budowlą usytuowaną na odludnym przylądku nad Atlantykiem. Instytut miał stu dwudziestu honorowych członków, chociaż w rezydencji nigdy nie przebywało ich więcej niż tuzin. Ludzie przyjeżdżający do instytutu mieli tylko jeden obowiązek: myśleć. Równie proste były wymagania stawiane nowym członkom: musieli być geniuszami.

Członkowie instytutu byli bardzo przywiązani do tej okazałej wiktoriańskiej rezydencji, która po 120 latach stawiania czoła sztormom nie miała ani jednej prostej ściany. Szczególnie cenili sobie anonimowość, gdyż nawet najbliżsi sąsiedzi - przeważnie mieszkający tu tylko latem - nie mieli zielonego pojęcia, kim są ci okularnicy, którzy tak nieoczekiwanie przyjeżdżają i wyjeżdżają.

Edwin Bannister, sekretarz redakcji „Boston Globe”, wymeldował się z zajazdu i dopilnował załadunku bagaży na tył swego range rovera.

Wciąż łupało go w głowie po kiepskim bordeaux, które podano mu do kolacji poprzedniego wieczoru. Dał napiwek bagażowemu i obszedł samochód, spoglądając na miasteczko. Łodzie rybackie, kościelna dzwon-nica i słone powietrze. Malownicze. Cholernie malownicze. Wolał Bo-ston i zadymioną atmosferę Black Key Tavern.

Usiadł za kierownicą i sprawdził ręcznie narysowaną mapę, którą przesłano mu faksem z redakcji. Osiem kilometrów do Dark Harbor. Pomimo zapewnień wątpił, czy gospodarz instytutu naprawdę tam będzie. Przyspieszył, przejeżdżając na żółtym świetle, po czym skręcił w County Road 24. Samochód podskoczył na wyboju, potem na następnym, miasteczko pozostało w tyle. Wąska droga prowadziła na wschód, w kierunku Atlantyku, a potem biegła wzdłuż urwistego brzegu. Bannister opuścił szybę. W oddali słyszał odległy szum przyboju, krzyk mew, żalosalne podzwanianie boi.

Droga wbiegła w kępę świerków, a potem na porośniętą jeżynami łąkę. Łąkę przecinało ogrodzenie z bali, w którym znajdowała się drewniana brama i kryta gontem stróżówka. Bannister zatrzymał samochód przed bramą i jeszcze niżej opuścił szybę.

- Bannister. Z „Globe” - oznajmił, nawet nie patrząc na strażnika.

- Tak, proszę pana.

Brama otwarła się z cichym szumem i Bannister z rozbawieniem zauważył, że drewniane belki są od wewnątrz wzmocnione czarnymi stalowymi sztabami. Gospodarz nie lubi nieproszonych gości, pomyślał.

Wyłożony dębową boazerią przedpokój rezydencji był pusty i Bannister przeszedł nim do salonu. Na ogromnym kominku płonął ogień, a długi rząd wykuszowych okien wychodził na morze skrzące się w porannym świetle. Skądś dobiegały ciche dźwięki muzyki.

Bannisterowi wydawało się, że jest sam, zaraz jednak w odległym kącie pokoju dostrzegł mężczyznę siedzącego w skórzanym fotelu, pijącego kawę i czytającego gazetę. Mężczyzna miał na dłoniach białe rękawiczki. Gazeta szeleściła, gdy odwracał jej strony. Po chwili podniósł głowę.

- Edwin! - powiedział z uśmiechem. - Dziękuję, że przybyłeś.

Bannister natychmiast rozpoznał rozczochrane włosy, piegi, chłopięcy wygląd, sportową marynarkę w stylu retro narzuconą na czarny podkoszulek. A więc jednak przyszedł.

- Miło cię widzieć, Brent - odparł, zajmując wskazany fotel. Od-ruchowo rozejrzał się za kelnerem.

- Kawy? - zapytał Scopes. Nie podał gościowi ręki.

- Tak, proszę.

- Mamy tutaj samoobsługę - oświadczył Scopes. - Stoi przy biblioteczce.

Bannister podniósł się z fotela i wrócił z filiżanką niezbyt obiecująco wyglądającej kawy.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu i gość uświadomił sobie, że Scopes słucha muzyki. Upił łyk kawy i stwierdził, że jest zdumiewająco dobra.

Kiedy utwór się skończył, Scopes westchnął z satysfakcją, starannie złożył gazetę i położył ją koło otwartej dyplomatki stojącej obok fotela. Zdjął poplamione tuszem rękawiczki do czytania i umieścił je na gazecie.

- Oratorium Bacha - wyjaśnił. - Znasz je?

- Trochę - mruknął Bannister, mając nadzieję, że gospodarz nie zada pytania, które ujawniłoby kłamstwo. Zupełnie nie znał się na muzyce.

- Jedna z części tego oratorium jest zatytułowana *Quaerendo Invenietis*. „Szukajcie, a znajdziecie”. To zagadka. Bach każe słuchaczowi odgadnąć, której części Pisma Świętego dotyczy dany utwór.

Bannister kiwnął głową.

- Często myślę o tym jak o metaforze genetyki. Widzisz skończony organizm - taki jak istota ludzka - i podziwiasz skomplikowany kod genetyczny wykorzystany przy jego tworzeniu. A potem oczywiście zastanawiasz się: gdybyś zmienił maleńki fragment tego skomplikowanego kodu, jaki wpływ miałyby to na ciało i krew? Tak samo jak zmiana tylko jednej nuty w utworze może zmienić całą melodię.

Dziennikarz sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął magnetofon i pokazał go Scopesowi, który przyzwalająco skinął głową. Włączywszy urządzenie, Bannister z powrotem opadł na fotel i założył ręce na piersi.

- Edwinie, moja firma ma kłopoty... - zaczął gospodarz.

- Jak to?

Bannister już wiedział, że to będzie dobre. Coś, co zmusiło Scopesa do wyjścia z jego podniebnej siedziby, musiało być dobre.

- Słyszałeś o tych atakach Charlesa Levinea na GeneDyne. Miałem nadzieję, że ludzie przejrzą na oczy, ale za długo trzeba by na to czekać. Trzymając się Harvard University, zyskał wiarygodność, jakiej nie przewidziałem. - Scopes potrząsnął głową. - Znałem Levine'a przez ponad dwadzieścia lat. Prawdę mówiąc, kiedyś byliśmy przyjaciółmi. Szczerze ubolewam nad tym, co mu się przytrafiło. Mam na myśli tę historię jego ojca, który okazał się oficerem SS. Nie mam nic przeciwko

temu, że ktoś chroni pamięć ojca, ale czy musiał wynosić go na piedestał? To tylko dowodzi, że ten człowiek przedkłada własne cele nad prawdę. Dowodzi, że należy krytycznie traktować każde wypowiedziane przez niego słowo. Prasa nie zrobiła tego. Poza „Globe”, co zawdzięczam tobie.

- Nigdy nie publikujemy niczego bez sprawdzenia faktów.

- Wiem i doceniam to. I jestem pewien, że mieszkańcy Bostonu rozumieją, że GeneDyne jest jednym z największych pracodawców w tym stanie.

Bannister skinął głową.

- W każdym razie, Edwinie, nie mogę dłużej siedzieć z założonymi rękami - dodał gospodarz. - Potrzebuję jednak twojej pomocy

- Brent, wiesz, że nie mogę ci pomóc - odparł Bannister.

- Oczywiście, oczywiście - machnął ręką Scopes. - Oto jak wygląda sytuacja... W Mount Dragon pracujemy nad pewnym tajnym projektem. Utrzymujemy to w sekrecie nie ze względu na zagrożenie, ale z powodu silnej konkurencji. Działamy w branży, w której zwycięzca bierze wszystko. Wiesz, jak to jest. Pierwsza firma, która opatentuje lek, zarobi miliony, a reszta będzie musiała spisać koszty badań na straty.

Bannister ponownie kiwnął głową.

- Edwinie, chcę cię zapewnić - jako człowieka, którego zdanie bardzo sobie cenię - że nie robimy w Mount Dragon niczego szczególnie niebezpiecznego. Mamy tam jedyne istniejące laboratorium z zabezpieczeniami piątego stopnia, a nasze przepisy bezpieczeństwa są surowsze niż przepisy jakiegokolwiek innej firmy farmaceutycznej na świecie. Można to sprawdzić. Nie musisz wierzyć mi na słowo.

Wyjął z dyplomatki teczkę i położył ją przed Bannisterem.

- Ta teczka zawiera kompletne dane na temat bezpieczeństwa pracy w GeneDyne. Właściwie to zastrzeżone informacje, ale chcę ci je dać, żebyś mógł je wykorzystać, pisząc artykuł. Tylko pamiętaj: nie otrzymałeś ich ode mnie.

Bannister spojrział na teczkę, nie dotknął jej jednak.

- Dzięki, Brent. Ale wiesz, że nie mogę uwierzyć ci na słowo, że nie pracujecie nad niebezpiecznymi wirusami. Doktor Levine zarzuca wam...

Scopes zachichotał.

- Wiem. Wirus zagłady. - Nachylił się do dziennikarza. - I to jest głównym powodem, dla którego zaprosiłem cię tutaj. Może chciałbyś wiedzieć, co to za straszliwy, niewiarygodnie śmiertelny wirus? Ten, który zdaniem Levine'a może zniszczyć ludzkość?

Bannister znów skinął głową. Wieloletni staż w dziennikarstwie nauczył go skutecznie ukrywać ciekawość. Scopes spoglądał na niego i uśmiechał się złośliwie.

- Edwinie, to oczywiście jest wyłącznie do twojej wiadomości.

- Wolałbym... - zaczął Bannister.

Scopes wyciągnął rękę i wyłączył magnetofon.

- Pewna japońska korporacja prowadzi bardzo podobne badania. W tej dziedzinie biotechnologii nawet trochę nas prześcignęli. Jeśli się zorientują, co robimy, zanim zakończymy prace, będziemy skończeni. Zwycięzca bierze wszystko, Edwinie. Mówimy o piętnastomiliardowym rynku zbytu rocznie. Nie chciałbym, aby Japończycy powiększyli swój dodatni bilans handlowy z naszym krajem, a bostońska filia Gene-Dyne została zamknięta tylko dlatego, że Edwin Bannister z „Globe” ujawnił, nad jakim wirusem pracujemy.

- Rozumiem twój punkt widzenia - mruknął Bannister, przełknąwszy ślinę.

- W porządku. Ten wirus to influenza.

- Co takiego?

Scopes uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Pracujemy nad wirusem grypy. To jedyny wirus, nad jakim pracujemy w Mount Dragon. Tak zwany „wirus zagłady” Levine'a.

Scopes z triumfalnym uśmiechem opadł na fotel. Bannister z rozpaczą uświadomił sobie, że sensacyjny artykuł wymyka mu się z rąk.

- To wszystko? Wirus grypy?

- Zgadza się. Masz na to moje słowo. Chcę, abyś mógł z czystym sumieniem napisać, że GeneDyne nie pracuje z niebezpiecznymi wirusami.

- Dlaczego akurat grypa?

Scopes spojrział na niego ze zdumieniem.

- Czy to nie oczywiste? Co roku grypa powoduje ogromne straty siły roboczej. Pracujemy nad uwolnieniem ludzkości od grypy. Nie nad

263

szczepionką przeciwgrypową, którą trzeba brać co roku i która prze-ważnie nie działa. Mówię o całkowitym i trwałym uodpornieniu.

- Mój Boże - wymamrotał Bannister.

- Jeśli odniesiemy sukces, pomyśl tylko, jaki wpływ będzie to miało na cenę naszych akcji. Ci, którzy mają udziały w GeneDyne, staną się bogaci. I to nie kiedyś tam, lecz już za parę miesięcy, gdy ogłosimy na-

sze odkrycie i prześlemy preparat FDA do badań. - Scopes uśmiechnął się i ściszył głos do szeptu: - A my odniesiemy sukces.

Wyciągnął rękę i znów włączył magnetofon. Bannister milczał, usiłując sobie wyobrazić sumę piętnastu miliardów.

- Podejmiemy energiczne działania prawne przeciw doktorowi Levine'owi i jego oszczerczym twierdzeniom - ciągnął Scopes. - Do tej pory robiłeś świetną robotę, pisząc o naszych pozwach przeciwko Levine'owi i Harvardowi. Mam nowe wieści z tego frontu. Harvard odmówił dalszego wspierania fundacji Levine'a. Utrzymywali to w tajemnicy, ale niebawem ten fakt zostanie podany do publicznej wiadomości. Pomyślałem, że może cię to zainteresuje. Oczywiście wycofamy nasz pozew przeciw Harvardowi.

- Rozumiem - odparł Bannister, odzyskując nadzieję. Może jeszcze da się uratować ten artykuł, pomyślał.

- Wydziałowa Komisja Kwalifikacyjna sprawdza kontrakt z doktorem Levine'em. We wszystkich uniwersyteckich kontraktach znajduje się klauzula umożliwiająca zerwanie kontraktu w przypadku niespełnienia wymogów moralnych. - Scopes zaśmiał się cicho. - To brzmi jak z epoki wiktoriańskiej, ale stosuje się do Levine'a, zapewniam cię.

- Rozumiem.

- Jeszcze nie wiemy, jak to zrobił, ale pewne elementy jego skądinąd fałszywych twierdzeń dowodzą, że użył nielegalnych - nie mówiąc już o tym że nieetycznych - metod, aby zdobyć poufne informacje od GeneDyne. - Scopes podsunął Bannisterowi następną teczkę. - Tutaj znajdziesz szczegóły. Jestem pewien, że możesz zdobyć ich więcej z innych źródeł. Oczywiście moje nazwisko w żaden sposób nie może być z tym związane. Mówię ci o tym tylko dlatego, że szanuję twoją etykę dziennikarską i chcę ci pomóc napisać wyważony, uczciwy artykuł. Niech inne gazety piszą bez sprawdzania o wszystkim, co im wciska Levine. Wiem, że „Globe” będzie ostrożniejszy

- My zawsze sprawdzamy fakty - oświadczył Bannister. Scopes skinął głową.

- Wiem, dlatego liczę na to, że sprostujesz te wszystkie kłamstwa. Bannister lekko zeszywniał.

- Brent, możesz liczyć tylko na artykuł prezentujący obiektywne i dokładnie sprawdzone fakty.

- No właśnie - rzekł Scopes. - Dlatego będę z tobą zupełnie szczerzy Jeden z zarzutów Levine'a jest częściowo prawdziwy...

- Który?

- Ostatnio mieliśmy w Mount Dragon śmiertelny wypadek. Utrzymywaliśmy ten fakt w tajemnicy do czasu powiadomienia rodziny, ale Levine jakoś dowiedział się o tym. - Scopes zamilkł na chwilę i spochmurniał. - Jedna osoba z naszego personelu naukowego zginęła na skutek wypadku przy pracy. Jak stwierdzisz po zapoznaniu się z zawartością pierwszej teczki, nie przestrzegano przepisów bezpieczeństwa. Natychmiast zawiadomiliśmy odpowiednie władze, które wysłały do Mount Dragon swoich inspektorów. Oczywiście to tylko formalność i laboratorium pozostało otwarte.

Po krótkiej przerwie Scopes mówił dalej:

- Dobrze znałem tę kobietę. Była... Jak by to ująć? Oryginalna. Oddana swojej pracy. Pod pewnymi względami trochę trudna. Jednak bezsprzecznie bardzo błyskotliwa. Wiesz, że nawet dziś kobiecie trudno jest być błyskotliwym naukowcem. Przeżyła trudne chwile, zanim trafiła do GeneDyne. W jej osobie straciłem zarówno wspa-niałego naukowca, jak i przyjaciela. - Spojrzał na Bannistera, a po-tem spuścił wzrok. - Prezes firmy odpowiada za wszystko. Będę mu-siał z tym żyć.

Bannister był głęboko poruszony

- Jak... - zaczął.

- Przyczyną śmierci były obrażenia głowy - wyjaśnił Scopes. Po-tem spojrzął na zegarek. - Do licha! Robi się późno. Chciałbyś jeszcze o coś spytać, Edwinie?

Bannister podniósł magnetofon.

- Może nie w tej chwili...

- To dobrze. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Zadzwoń, gdybyś miał jeszcze jakieś pytania.

Bannister patrzył, jak chuda, niepozorna postać wychodzi z pokoju, lekko powłócząc nogami, taszcząc dyplomatkę, która wydawała się dla niego o trzy numery za duża. Zdziwiający facet. I wart zdumiewająco wiele pieniędzy.

Jadąc drogą wzdłuż wybrzeża Atlantyku, wciąż wracał myślami do sumy piętnastu miliardów dolarów i tego, jak nowy preparat może wpłynąć na wartość akcji GeneDyne. Zastanawiał się, jaki jest ich obecny kurs. Właściwie powinien to sprawdzić. Nie zaszkodzi zadzwonić do brokera i ulokować trochę pieniędzy w czymś nieco bardziej ekscytującym niż wolne od podatku obligacje skarbowe.

Carson podniósł głowę, zerkając przez wizjer na wielki zegar zawieszony na ścianie. Pomarańczowe diody wyświetlacza pokazywały 22:45.

Przed godziną Wylęgarnią wstrząsało przeszywające wycie syreny alarmowej towarzyszące ćwiczeniom, a w ciasnych korytarzach biegali ludzie w kombinezonach. Teraz w laboratorium znów było pusto i ci-cho. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był świst powietrza w skafandrze Carsona i słaby szum systemu utrzymującego podciśnienie w pomieszczeniach. Zaniepokojone ćwiczeniami szympansy w końcu przestały miotać się i wyć, zapadając w niespokojny sen. Przed jasno oświetlonym laboratorium Carsona na korytarzu paliły się przyćmione czerwone lampki i w ciasnych pomieszczeniach Wylęgarni roilo się od cieni.

Ponieważ Wylęgarnia była odkażana pod koniec każdego tygodnia i ponownie podczas weekendu, rzadko zostawał tu tak długo. Chociaż czerwone nocne oświetlenie było upiorne i trochę dezorientujące, wo-lał je od oświetlenia podczas godzin pracy. Ćwiczenia alarmowe pierwszego stopnia - które od czasu śmierci Brandon-Smith wprowadzono zamiast mniej dokuczliwych ćwiczeń drugiego i trzeciego stopnia -były przygnębiające. Nye osobiście je nadzorował, kierując akcją ze stanowiska ochrony na najniższym poziomie Wylęgarni, a jego szorstki głos irytująco rozbrzmiewał w głośnikach hełmu.

Jedyną zaletą tych częstych ćwiczeń było to, że Carson coraz sprawniej poruszał się w skafandrze. Odkrył, że może całkiem szyb-ko pokonywać korytarze i laboratoria, zręcznie omijając nierówności i zupełnie instynktownie podłączając i odłączając rury powietrzne do kombinezonu.

Oderwał wzrok od zegara i popatrzył na de Vacę, która odpowiedziała mu sceptycznym spojrzeniem.

- Jak zamierzasz sprawdzić tę swoją teorię? - usłyszał na lokalnym kanale jej głos.

Zamiast tracić czas na odpowiedź, odwrócił się do małej laboratoryjnej zamrażarki, wystukał kombinację cyfr szyfru i wyjął dwie małe próbówki zawierające szczep X-FLU. Probówki były zamknięte grubymi gumowymi korkami. Wirus tworzył cienką warstwę białych kryształków na ich dnie. Nawet gdybym trzymał to w rękach milion razy, ni-gdy nie oswoję się z myślą, że jest bardziej zabójcze dla ludzkości niż największa bomba wodorowa, pomyślał Carson. Umieścił obie próbówki na aseptycznym stole i zaczął, aż osiągną temperaturę pokojową.

- Najpierw musimy pozbawić wirusa otoczki i pozbyć się materiału genetycznego - powiedział.

Podszedł do srebrzystej szafki na drugim końcu laboratorium i wyjął kilka odczynników oraz dwie zakorkowane butelki z etykietą

DEOKSYRYBOZA.

- Podaj mi Solowaya numer cztery - poprosił de Vacę. Ponieważ strzykawki uznano za zbyt niebezpieczne, używano ich

tylko do szczepienia zwierząt, natomiast przy przenoszeniu roztwo-rów posługiwano się innymi przyrządami. Dozownik Solowaya, nazwa-ny tak od nazwiska wynalazcy, miał plastikowe rurki i wykorzystywał do przelewania płynów podciśnienie.

Carson zaczął, aż de Vaca umieści przyrząd na stole aseptycznym. Potem wsunął ręce w gumowe rękawy, wprowadził jedną rurkę dozownika do butelki z rozpuszczalnikiem, a drugą wepchnął przez gumowy korek do jednej z dwóch probówek. Kiedy wypełniła się męt-ny-ym płynem, ostrożnie nią potrząsał. Płyn wyklarował się.

- Właśnie zabiliśmy bilion wirusów - oznajmił Carson. - A teraz rozbierzemy je. Zdejmiemy im płaszczyki proteinowe.

Używając tego samego przyrządu, dodał do probówki kilka kropli niebieskiego płynu, po czym usunął pięć centymetrów sześciennych powstałego roztworu i wprowadził go do pojemnika z deoksyrybozą. Zaczekał, aż enzym rozszczepi RNA wirusa, najpierw na pary zasad, a potem na kwasy nukleinowe.

- Teraz pozbedziemy się kwasów nukleinowych.

Sprawdził kwasowość płynu i rozcieńczył go odczynnikiem o wy-sokim pH. Następnie zlał wierzchnią warstwę, odwirował osad i prze-niósł czyste, niefiltrowane cząsteczki X-FLU do małej zlewki.

- Zobaczmy, jak wygląda stara cząsteczka - powiedział.

- Dyfrakcja rentgenowska?

- Właśnie.

Ostrożnie umieścił zlewkę z X-FLU w żółtym hermetycznym bio-pojemniku i zamknął go. Potem, trzymając pojemnik przed sobą, odłą-czył przewód powietrza i poszedł za de Vacą korytarzem do centralnej części Wylegarni. Przeszli przez służę i znaleźli się w pustym labora-torium. Pod sufitem paliła się jedna czerwona lampa. Na środku pokoju stała dwupółmetrowa kolumna z nierdzewnej stali, jeszcze bardziej uszczuplająca i tak niewielką przestrzeń. Obok kolumny znajdował się stojak, na którym umieszczono terminal komputera. Na kolumnie nie było żadnych uchwytów, przełączników ani tarcz: dyfraktometr był w pełni sterowany komputerowo.

- Rozgrzej aparat - rzekł Carson. - Ja przygotuję próbki.

De Vaca usiadła przy stoliku i zaczęła stukać w klawiaturę. Rozległ się cichy szcęk, a potem basowy szum, który stopniowo

zmieniał na-tężenie, aż stał się niesłyszalny. Potem dał się słyszeć syk uchodzącego z rury powietrza. De Vaca wystukała dodatkowe polecenia, nastawiając odpowiednią długość fali. Po chwili terminal piśnięciem ogłosił gotowość do pracy.

- Otwórz komorę - powiedział Carson.

De Vaca wprowadziła polecenie i z podstawy kolumny wysunął się uchwyt ze stopu tytanowego z niewielką kuwetką.

Używając mikropipety, Carson pobrał jedną kroplę roztworu protein i przeniósł ją do kuwetki. Komora zamknęła się z sykiem.

- Chłodzenie.

Z głośnym dudnieniem maszyna zamroziła krople roztworu, obniżając jego temperaturę do zera bezwzględnego.

- Próżnia.

Carson niecierpliwie czekał, aż z komory zostanie usunięte powietrze. Wytworzona próżnia uwolni z roztworu wszystkie cząsteczki wo-dy, a wtedy słabe pole elektromagnetyczne pozwoli cząsteczkom protein przyjąć konfigurację o najniższej energii. Pozostanie jedynie mikroskopijnie cienka warstwa czystych protein, z matematyczną dokładnością rozmieszczonych na tytanowej płytce, stabilnych w temperaturze dwóch stopni powyżej zera bezwzględnego.

- Mamy zielone - oznajmiła de Vaca.

- Wobec tego do roboty.

To, co następowało potem, zawsze przypominało Carsonowi czary. Ogromna maszyna zaczynała generować promienie rentgenowskie, posyłając je z szybkością światła przez kolumnę. Rozpędzone promienie X były uginane przez krystaliczną strukturę cząsteczek protein, a następnie rejestrowane cyfrowo za pomocą przetworników CCD i wysyłane jako obraz na ekran monitora.

Carson zaczekał, aż na monitorze pojawił się niewyraźny obraz -ciemne i jasne pasma.

- Proszę wyostrzyć - polecił.

Używając optycznej myszy, de Vaca uruchomiła we wnętrzu kolumny szereg siatek dyfrakcyjnych, które skupiały promienie rentgenowskie na cienkiej warstwie filmu. Powoli rozmazany obraz nabral ostrości: był to skomplikowany układ ciemnych i jasnych kręgów przypominający powierzchnię sieczonego deszczem stawu.

- Doskonale - powiedział Carson. - Dobra robota.

Wiedział, że dyfraktometrem należy posługiwać się z wyczuciem, a de Vaca umiała to robić.

- Ostrzejszy nie będzie. Gotowy do sfilmowania i wprowadzenia danych.

- Potrzebuję szesnastu kątów - powiedział.

De Vaca wystukała polecenie i przetworniki CCD przechwyciły obraz dyfrakcji pod szesnastoma różnymi kątami.

- Seria zakończona - zameldowała.

- Wprowadźmy ją do głównego komputera.

Komputer maszyny zaczął przelewać wyniki badania do sieci Gene-Dyne, z której światłowodowym łączem z szybkością 110000 bitów na sekundę zostały przekazane do superkomputera GeneDyne w Bostonie. Wszystkie zadania nadchodzące z Mount Dragon miały priorytet i superkomputer natychmiast zaczął przetwarzać wzór dyfrakcji rentgenowskiej na trójwymiarowy model cząsteczki X-FLU. Ludzie pracujący do późna w centrali GeneDyne zauważyli trwające przez ponad minutę wyraźne spowolnienie działania superkomputera, który wykonywał kilka bilionów operacji zmiennoprzecinkowych i przysyłał wyniki do Mount Dragon, gdzie na ekranie terminalu spektrometru tworzył się obraz.

Na monitorze stacji roboczej pojawił się skomplikowany zbiór różno-kolorowych kul jarzących się tęczowymi barwami purpury, czerwieni, pomarańcza i żółci - była to cząsteczka białka tworzącego otoczkę wi-rusa X-FLU.

- Jest - mruknął Carson, spoglądając przez ramię de Vaki na monitor.

- Powoduje takie straszliwe męczarnie i śmierć - usłyszał w głośnikach głos de Vaki. - A spójrz, jaka jest piękna.

Carson jeszcze przez chwilę spoglądał na monitor, po czym wyprostował się.

- Oczyśćmy drugą próbkę przez filtrację GEE Zaraz zacznie się odkazanie i będziemy musieli opuścić Wylęgarnię na dwie lub trzy godziny. Potem wrócimy i obejrzymy to jeszcze raz, żeby sprawdzić, czy cząsteczka się zmieniała.

- W porządku - odparła de Vaca. - Jestem zbyt zmęczona, żeby protestować. Chodźmy.

Zanim druga przefiltrowana próbka X-FLU pojawiła się na ekranie komputera, na pustyni, ponad dwadzieścia metrów nad ich głowami, wstawał już świt. Carson jeszcze raz z podziwem obejrzał cząsteczkę białka wirusa - wręcz nierealnie piękną, a jakże śmiertcioną.

- Porównajmy teraz te dwie cząsteczki - powiedział.

De Vaca podzieliła ekran na dwa okna i przywołała z pamięci komputera obraz niefiltrowanej cząsteczki X-FLU, umieszczając ją tuż obok odfiltrowanej.

- Dla mnie wyglądają tak samo - stwierdziła.
- Obróć obie o dziewięćdziesiąt stopni wokół osi X.
- Żadnej różnicy - oświadczyła de Vaca.
- Dziewięćdziesiąt stopni wokół osi Y

Patrzyli, jak obydwie obrazy powoli obracają się na ekranie monitora. Nagle zaparło im dech.

- *Madre de Dios* - westchnęła de Vaca.

- Spójrz na jedną z trzeciorzędowych podjednostek tej filtrowanej cząsteczki! - zawołał ze wzburzeniem Carson. - Słabe wiązania siarkowe wzdłuż całego boku uległy rozerwaniu.

- Ta sama cząsteczka, ten sam wzór chemiczny, ale różne kształty - stwierdziła de Vaca. - Miałaś rację.

- Co powiedziałaś? - zapytał Carson, patrząc na nią z uśmiechem.

- W porządku, *cabrón*. Tym razem ty wygrałeś.

- Kształt cząsteczki białka jest niezwykle istotny. - Carson odszedł od dyfraktometru. - Teraz już wiemy, dlaczego X-FLU wciąż mutuje z powrotem do swojej śmiertelnej postaci. Przed próbami *in vivo* zawsze oczyszczaliśmy roztwór, używając metody GEE A to właśnie proces filtracji powoduje mutację.

- Jej przyczyną była opracowana przez Burtę metoda filtracji - dodała de Vaca. - Od początku był skazany na klęskę.

Carson skinął głową.

- A jednak nikt, a już na pewno nie Burt, nie przypuszczał, że mutację wywołuje sam proces filtracji. Przez cały czas waliliśmy głowami w niewłaściwy mur. Mapa genów i wszystkie inne czynności zostały wykonane prawidłowo. To tak, jakbyśmy przesiewali szczątki samolotu, żeby poznać przyczynę katastrofy, której rzeczywistym powodem były niewłaściwe polecenia wydane przez wieżę kontroli lotów.

Ze znużeniem oparł się o szafkę. Powoli zaczęło docierać do niego pełne znaczenie tego odkrycia.

- Jasna cholera, Susana - mruknął. - W końcu rozwiązaliśmy ten problem. Wystarczy tylko zmienić metodę filtracji. Może to trochę potrwa, zanim zakończymy badania, ale teraz wiemy już, o co chodzi. X-FLU jest prawie gotowa.

Z łatwością mógł sobie wyobrazić minę Scopesa. De Vaca milczała.

- Mam rację, prawda? - zapytał Carson.

- Tak - odparła.

- No to w czym problem? Skąd ta smętna mina? Spoglądała na niego przez długą chwilę.

- Wiemy, że niewłaściwa metoda filtracji wywołuje mutację otoczki białkowej wirusa X-FLU. Ale ja chciałabym jeszcze wiedzieć, jak działa na PurBlood.

Carson wytrzeszczył oczy.

- *Susana, a kogo to obchodzi?*

- Jak to, kogo to obchodzi? - zawołała. - PurBlood może być niebezpieczny jak diabli!

- To całkiem inny problem - odparł Carson. - Nie wiemy, czy ten proces filtracji działa na cokolwiek poza cząsteczką X-FLU. A poza tym hemoglobina ma zupełnie inny stopień czystości niż X-FLU.

- Łatwo ci mówić, *cabrón*. Ty nie wprowadzasz sobie tego do żył. Carson z trudem utrzymywał nerwy na wodzy. Ta kobieta zamierzała zepsuć najpiękniejszą chwilę w jego życiu.

- Susana, pomyśl tylko. Burt wypróbował go na sobie i przeżył. Preparat od miesiący jest badany przez FDA. Gdyby ktoś rozchorował się po jego zaaplikowaniu, wiedzielibyśmy o tym. Teece wiedziałby i możesz mi wierzyć, że FDA natychmiast by nas zawiadomiła.

- Nikt się nie rozchorował? To może mi powiesz, gdzie jest teraz Burt? W pieprzonym szpitalu, oto gdzie!

- Przeżył załamanie nerwowe. Ale stało się to wiele miesięcy po tym, jak sprawdził na sobie działanie PurBlood.

- Mimo to nie można wykluczyć powiązania. Może PurBlood rozkłada się we krwi albo co. - Obrzuciła go wyzywającym spojrzeniem. - Chcę wiedzieć, jak proces filtracji GEF wpływa na PurBlood.

Carson westchnął.

- Posłuchaj, jest siódma trzydzieści rano. Właśnie dokonaliśmy przełomowego odkrycia w historii GeneDyne. Padam z nóg. Pójdę zawiadomić o naszym odkryciu Singera. Potem zamierzam wziąć prysznic i udać się na zasłony odpoczynek.

- Więc idź i odbierz swoją złotą gwiazdę - warknęła de Vaca. - Ja dokończę to, co zaczęliśmy.

Wyłączyła aparat, wyszarpnęła gniewnie przewód powietrza z zaworu przy kombinezonie, po czym odwróciła się i wymaszerowała z laboratorium. Patrząc, jak odchodzi, Carson usłyszał w interkomie głosy ludzi oznajmiających swoje przybycie do laboratorium. Zaczynał się

dzień pracy. Ze znużeniem odkleił się od szafki. Był wykończony. De Vaca może do woli bawić się PurBlood. On pójdzie przekazać dobre wieści.

Wyszedł na zewnątrz i z ulgą wciągnął do płuc chłodne poranne po-wietrze. Był zmęczony, ale zadowolony. Chociaż być może czekały go jeszcze inne niespodzianki, wiedział, że znajduje się na właściwej drodze.

Wróciwszy do budynku administracji, wbiegł po schodach na piętro i skierował się do gabinetu Singera. Na drugim końcu drugiego korytarza widział otwarte na oścież drzwi i jasne światło odbijające się od białych płaszczyzn. Gdzieś w oddali trzaskała drukarka.

Kiedy wszedł do gabinetu, zobaczył Singera siedzącego przy kominku. Obok dyrektora stał drugi mężczyzna, odwrócony plecami do Carsona - mężczyzna z kucykiem i w tropikalnym hełmie. Singer spojrział na przybyłego.

- Ach, to ty, Guy. Właśnie chcieliśmy porozmawiać w cztery oczy z panem Nyeem.

Carson zrobił krok naprzód.

- John, jest coś, co...

Nye odwrócił się do niego i niecierpliwie machnął ręką, przerywając mu. Singer pochylił się nad stolikiem, poprawiając leżący na blacie magazyn.

- Guy, nie teraz, proszę.

- Doktorze Singer, to bardzo ważne.

Dyrektor znów spojrział na niego z lekkim zdumieniem. Carson nagle zauważył, że jego zwierzchnik ma przekrwione oczy i lekko żółta-białka. Singer jakby go nie słyszał. Podniósł ze stolika malachitowe jajko i zaczął obracać je w dłoniach. Nye przeszywał Carsona wzrokiem, stojąc z rękami założonymi na piersi i ponurą miną.

- No? - zapytał. - Co jest tak cholernie ważne?

Carson zobaczył, że Singer odkłada jajko na stół, a potem powoli przesuwa rękami po innych leżących na blacie przedmiotach, machinalnie ustawiając je, wyrównując i poprawiając.

- Carson...? - powtórzył nieco ostrzejszym tonem Nye. Dyrektor spojrział na Carsona, jakby zupełnie zapomniał o jego obecności. Miał załzawione, przekrwione oczy.

W tym momencie pamięć podsunęła Carsonowi podobne obrazy. Brandon-Smith wciąż ocierająca dłonie o uda. Pedantycznie poustawiane na jej biurku drobiazgi. Vanderwagon starannie wycierający i układający sztuce przy kolacji, zanim wyklął sobie oko.

Oko... No właśnie: oni wszyscy mieli przekrwione oczy. Nagle wszystko stało się przeraźliwie jasne. - To może zaczekać - powiedział i wycofał się z pokoju. Nye bez słowa podszedł do drzwi i zatrzasnął je.

W mroku swego apartamentu w instytucie Scopes pedantycznie umył ręce i zaczął niecierpliwie przechadzać się tam i z powrotem, czekając na helikopter, który odwiezie go do Bostonu. Z okna salonu rozciągał się wspaniały widok na Atlantyckie Wybrzeże, ale grube zasłony były zaciągnięte.

Nagle stanął jak wryty uderzony jakąś myślą, a potem szybko podszedł do swojego PowerBooka i podłączył go do gniazda w ścianie. Wiedział, że instytut ma dedykowane łącze z Flashnetem, z którego mógł za pomocą klucza dostępu wejść do sieci GeneDyne.

Od kilku dni męczyło go niejasne podejrzenie, które skrytykował się podczas rozmowy z dziennikarzem „Globe”. Rodzaj informacji, jakie Levine zebrał o Brandon-Smith i X-FLU, od początku wyraźnie świadczył o tym, że uzyskał je od kogoś z GeneDyne, a nie ze źródeł w FDA czy OSHA. Jednak dopiero teraz Scopes zwrócił uwagę na moment, w którym Levine ujawnił te informacje.

Levine znał szczegóły, których nawet ten wścibski drań, inspektor Teece, nie mógł znać przed przybyciem do Mount Dragon. Wyskoczył z nimi podczas programu Sammiego Sancheza, kiedy Teece jeszcze węszył w Nowym Meksyku. A przecież Mount Dragon było pozbawione standardowej łączności międzymiastowej, ośrodek komunikował się ze światem wyłącznie poprzez sieć GeneDyne, Scopes osobiście tego dopilnował.

Oznaczało to, że Levine nie tylko zdobył swoje informacje bezpośrednio z GeneDyne, ale w dodatku od kogoś zatrudnionego w Mount Dragon. A więc uzyskał dostęp do cyberprzestrzeni GeneDyne.

Kiedy Scopes znalazł się w sieci GeneDyne, w skupieniu zabrał się do pracy. Po kilku minutach wkroczył na obszar, do którego tylko on miał dostęp. Tutaj trzymał palec na pulsie całej organizacji: na terabajtach danych szczegółowo opisujących wszystkie projekty, pocztę elektroniczną, programach narzędziowych i liście dyskusyjnej pracowników GeneDyne. Nacisnąwszy jeszcze kilka klawiszy, przeszedł ze swojej prywatnej części sieci do dedykowanego serwera zawierającego tylko jedną ogromną aplikację, którą nazwał cyfrową przestrzenią.

Na ekranie jego małego komputera powoli zmaterializował się dziwny krajobraz. Zbyt skomplikowany i symetryczny, aby mógł być tworem jedynie ludzkiego umysłu, nie przypominał żadnego ziemskiego

krajobrazu. Był to wirtualny obraz cyberprzestrzeni GeneDyne. Aplikacja cyfroprzestrzeni wykorzystywała bezpośrednie połączenia z systemem operacyjnym sieci GeneDyne do przenoszenia strumieni danych, zawartości pamięci i wszelkich procesów, przedstawiając je w postaci kształtów, powierzchni, cieni i dźwięków. Z głośniczka laptopa płynął dziwny, przeciągły dźwięk jakby zatrzymanej na jednej nucie melodii. Laik uznałby ten krajobraz za surrealistyczny i nierealny, ale dla Scopesa, który lubił wędrować nocami po tej osobliwej dżungli, był on równie znajomy jak podwórko z czasów dzieciństwa.

Przemierzał teraz tę przestrzeń, słuchając i obserwując. Przez chwilę miał ochotę zajrzeć w pewne miejsce - będące najpilniej strzeżonym sekretem - ale wiedział, że jeszcze na to nie pora.

Nagle coś w tym krajobrazie przykuło jego uwagę. Cienka nić, dostrzegalna tylko dzięki temu, co zasłaniała. Gdy Scopes poszedł jej tropem, dziwna muzyka ucichła. Ujrzał tunel nicości, brak danych, czarną dziurę w cyberprzestrzeni. Wiedział, co to takiego: ukryty kanał łączności, widoczny tylko dzięki temu, że został zbyt dobrze ukryty. Ktokolwiek go zaprogramował, był niezwykle sprytny. Nie mógł to być Levine. Wprawdzie był błyskotliwy, ale Scopes wiedział, że komputerowe umiejętności zawsze były jego najsłabszą stroną.

Ktoś mu pomagał.

Scopes sięgnął do zasobów swoich informatycznych sztuczek, wybrał program śledzący i przygotował go do wprowadzenia do sieci. Potem, powoli i bardzo ostrożnie, zaczął podążać śladem odkrytego kanału, brnąć przez labirynt sieci, gubiąc i odnajdując trop, i metodycznie zmierzając do ukrytego celu.

Carson zastał de Vacę przy pracy w laboratorium C. Na aseptycznym blacie stała mała zlewka z PurBlood, jeszcze parująca po wyjęciu z zamrażarki.

- Nie było cię osiem godzin - usłyszał jej głos na lokalnym kanale. - Cóż to, wozili cię samolotem do Bostonu na ceremonię wręczenia nagrody?

Podszedł do stołu i ciężko opadł na krzesło.

- Byłem w bibliotece - odparł.

De Vaca obróciła monitor, pokazując mu ekran.

- Spójrz na to.

Carson przez chwilę siedział nieruchomo, a potem niechętnie spojrział na ekran. Bynajmniej nie miał ochoty oglądać tego, co odkryła de Vaca.

Na ekranie widniały dwie cząsteczki fosfolipidu, jedna obok drugiej. Pierwsza była gładka i równa. Druga poszarpana, pełna wgłębień i dziur w miejscach, gdzie jej elementy straciły pierwotne uporządkowanie.

- Pierwszy obraz ukazuje niefiltrowaną „komórkę” PurBlood, a drugi to, co staje się z nią po filtracji GEF - powiedziała ze wzburzeniem de Vaca i biorąc jego milczenie za niedowierzanie, dodała: - Po-słuchaj. Pamiętasz, jak wytwarza się PurBlood. Po związaniu hemoglobiny należy ją oczyścić z produktów ubocznych i toksyn bakteryjnych. Stosują więc opracowaną przez Burtę metodę filtracji GEF, żeby... -urwała, spoglądając na Carsona.

Stała pomiędzy nią a kamerą wideo, zasłaniając ją i gwałtownie machając okrytymi rękawicami dłońmi. Przez wizjer zobaczyła, że kręci głową i wymawia bezgłośnie „dość”.

Zmarszczyła brwi.

- Co jest? - zapytała. - Zaczęłeś ż pejotl?

Przerwał jej ponownym gwałtownym machnięciem i rozejrzał się po laboratorium, jakby czegoś szukając. Po chwili sięgnął do szafki, wyjął dużą puszkę z proszkiem dezynfekcyjnym i posypał nim szklaną powierzchnię stołu aseptycznego. Zasłaniając go sobą przed obiektywem kamery, napisał palcem w białym proszku:

„Nie używaj interkomu”.

De Vaca przez moment gapiała się na ten napis, a potem wyciągnęła rękę i postawiła obok duży znak zapytania.

„Dokończ to, co zaczęłaś mówić” - napisał Carson.

De Vaca spojrzała na niego zmrużonymi oczami. Po chwili napisała:

„PurBlood został skażony przez filtrację GEE Burt był alfatesterem, dlatego zachorował”.

Carson pospiesznie stał tę wiadomość, znów posypał szkło proszkiem dezynfekcyjnym i szybko odpisał:

„Jeśli Burt był alfatesterem, to kim byli betatesterzy?”.

Zobaczył, że w jej oczach pojawia się strach. Mówiła coś, ale nie słyszał słów. Napisał:

„W bibliotece. Za pół godziny”.

Kiedy skinęła głową, stał napis dłonią w rękawiczce.

Biblioteka Mount Dragon była oazą prostoty i naturalności na tej technicyzowanej pustyni. Żółte, ręcznie zaciągane zasłony w jej oknach, drewniane belkowanie sufitu oraz podłogi z desek miały przypominać

chatę z Dzikiego Zachodu. Projektanci chcieli, aby przynosiła ulgę po sterylnie białych wnętrzach pozostałej części kompleksu. Jednak z powodu anatemy, jaką w Mount Dragon objęto wszelkie rodzaje komunikacji na papierze, była wyposażona głównie w elektroniczne nośniki informacji, poza tym niewielu członków zapracowanego personelu miało czas, aby cieszyć się tu chwilą samotności. Carson dotychczas odwiedził ją tylko dwukrotnie: raz, kiedy na początku zaznajamiał się z ośrodkiem, a drugi przed kilkoma godzinami, zaraz po tym, jak wyszedł z gabinetu Singera.

Zamknąwszy za sobą grube drzwi, z zadowoleniem stwierdził, że jedyną obecną w bibliotece osobą jest de Vaca. Siedziała w białym stylowym fotelu, podrzemując. Długie włosy opadły jej na policzek. Kiedy wszedł, podniosła głowę.

- To był długi dzień i długa noc - powiedziała. - Będą się dziwić, że tak wcześnie opuściliśmy Wylęgarnię - dodała ciszej.

- Zdziwiliby się jeszcze bardziej, gdybym pozwolił ci tam mówić - odparł Carson.

- Do diabła, a myślałam, że to ja popadam w paranoję. Naprawdę myślisz, że ktoś przegląda te wszystkie taśmy wideo, *cabrótf*.

Carson potrząsnął głową.

- Nie możemy ryzykować. De Vaca zeszywniała.

- Nie udawaj Vanderwagona, Carson. O co chodzi z tymi beta-testerami PurBlood?

- Pokażę ci.

Poprowadził ją do terminalu komputerowego stojącego w rogu biblioteki. Przystawił do niego dwa krzesła, położył sobie klawiaturę na kolanach i wprowadził swój kod identyfikacyjny.

- Czy od kiedy tutaj przyjechałaś, prowadziłaś jakieś badania nad PurBlood? - zapytał, obracając się do niej.

De Vaca wzruszyła ramionami.

- Niewiele. Ale przeglądałam ostatnie sprawozdania Burta. Dlaczego pytasz?

Pokręcił głową.

- Ja również przeglądałem ten materiał: wyniki testów, notatki labo-ratoryjne, jakie robił Burt, kiedy już zaczął zajmować się X-FLU. Jedy-nym powodem naszego zainteresowania PurBlood było to, że Burt pra-cował nad nim, zanim przystąpił do pracy nad X-FLU... tak jak my.

Nacisnął kilka klawiszy.

- Dziś rano widziałem Singera - dodał. - Ale nie rozmawiałem z

nim. Przyszedłem tutaj, bo zapamiętałem to, co mi powiedziałaś o Pur-Blood, i chciałem dowiedzieć się czegoś więcej. Zobacz, co znalazłem.

Wskazał na ekran.

mol_desc_one vcf 10,240,342 11/1/95

mol_desc_two vcf 12,320,302 11/1/95

bipol_symmetr vcf 41,234,913 12/14/95

hemocyl_grp_r vcf 7,713,653 01/3/96

difffrac_series_a vcf 21,442,521 02/5/96

difffrac_series_b vcf 6,100,824 02/6/96

Pr vid 940,213,727 02/27/96

transfeclocush vcf 18,921,663 03/10/96

- To pliki wideo z dokumentacji badań nad PurBlood - wyjaśnił ściszym głosem. - Większość z nich to typowe animacje cząsteczek i inne podobne rzeczy. Spójrz jednak na ten plik drugi od dołu, o nazwie „pr”. Zwróć uwagę na jego rozszerzenie. To zrzut cyfrowy z kamery wideo, a nie skompresowany plik wideo używany do animacji komputerowych. Spójrz też na jego ogromną objętość: prawie jeden gigabajt.

- Co to jest? - zapytała de Vaca.

- Surowy zapis wideo, prawdopodobnie przeznaczony do celów reklamowych.

Kilkoma kolejnymi stuknięciami w klawiaturę wywołał program multimedialny do odtworzenia pliku. W okienku przeglądarki pojawił się trochę ziarnisty, ale dobrze widoczny obraz.

- Patrz na ekran - powiedział. - Nie ma podkładu dźwiękowego. *Karawana hummerów jedzie przez pustynię. Kamera przez chwilę najeżdża*

na kompleks Mount Dragon: białe budynki, błękitne niebo Nowego Meksyku. Potem znów ukazuje samochody, teraz zaparkowane na parkingu ośrodka. Otwierają się przednie drzwi pierwszego hummera

i wysiada z nich jakiś człowiek. Staje na żwirze, macha ręką, uśmiecha się i ściska dłonie witających go ludzi.

- Scopes - mruknął Carson.

Wita go cały personel Mount Dragon. Mnóstwo poklepywania po plecach i szczyrzenia zębów w uśmiechu.

- To wygląda jak zjazd koleżeński - stwierdziła de Vaca. - Kim jest ten stojący obok Singera gość z wielkim nosem?

- Burt - odparł Carson. - Franklin Burt.

Teraz Burt staje obok Scopesa i przemawia do zgromadzonych. Scopes obejmuje go i obaj triumfalnie unoszą ręce. Kamera ukazuje twarze tłumu. Potem akcja przenosi się do sali gimnastycznej Mount Dragon. Z sali wyniesiono cały sprzęt, a na środku ustawiono dwa równe rzędy krzeseł. Wszystkie są zajęte - jest tu chyba cały personel Mount Dragon. Kamera ulokowana na balkonie kieruje się teraz na prowizoryczne podium ustawione na końcu sali. Scopes przemawia do rozentuzjowanego tłumu.

Kiedy mówi, obiektyw znów ukazuje poszczególne twarze. Na niektórych z nich widać niepokój i lekkie zwątpienie.

Przez boczne drzwi wchodzi pielęgniarka w białym fartuchu, pchając przed sobą ruchome nosze z umocowaną do nich kroplówką. Obok kroplówki stoi pojemnik z krwią.

Scopes siada na brzegu łóżka i pielęgniarka podwija mu lewy rękaw. Na podium wchodzi Franklin Burt i zaczyna przemawiać, przechadzając się tam i z powrotem.

Zbliżenie na Scopesa, któremu pielęgniarka przemywa wacikiem ramię i wprowadza w żyłę igłę kroplówki. Potem podłącza pojemnik z krwią i przekręca plastikowy zawór. Kiedy Scopes leży pod kroplówką, Burt rozmawia z nim.

- Jezu Chryste - powiedziała de Vaca. - Podają mu PurBlood, prawda?

Na filmie widać pusty pojemnik. Pielęgniarka wyjmuje igłę, przyciska wacik do miejsca wkłucia i zgina rękę pacjenta, aby powstrzymać krwawienie.

Scopes wstaje z uśmiechem i triumfalnym gestem podnosi drugą rękę. Kamera kieruje się na widownię. Wszyscy klaszczą, jedni z entuzjazmem, inni z rezerwą, jeden z naukowców wstaje, potem drugi. Wkrótce wszyscy na stojąco oklaskują Scopesa. Pojawia się inna pielęgniarka, pchając przed sobą dwa wózki, na każdym są dwa tuziny pojemników z krwią.

Do podium podchodzi Nye. Ściska dłoń Scopesa i podwija lewy rękaw. Pielęgniarka wbija mu do żyły igłę i podłącza pojemnik.

Zgłasza się następny naukowiec i zaraz potem jakiś robotnik. Po nich na podium wchodzi sam Singer i audytorium znów zaczyna bić brawo. Kamera pokazuje twarz Singera. Jest blady, na jego czole perlą się krople potu. Siada na wóz-ku, podwija rękaw i otrzymuje dawkę preparatu.

Potem wszyscy wstają i po chwili między dwoma rzędami krzeseł tworzy się długa kolejka.

- Spójrz - szepnęła de Vaca. - Tam stoi Brandon-Smith. A tam Vanderwagon i Paweł jak mu tam. A tam... O, mój Boże!

Carson zatrzymał odtwarzanie, wylogował się z sieci i wyłączył terminal.

- Chodźmy się przejść - zaproponował.

- Byli betatesterami - powiedziała de Vaca, kiedy spacerowali wokół ośrodka. - Wszyscy otrzymali preparat, prawda?

- Co do jednego - potwierdził Carson. - Od strażników po same-go Singera. Wszyscy oprócz nas. Od dwudziestego siódmego lutego, kiedy powstał ten plik, tylko my przybyliśmy do ośrodka.

- Jak na to wpadłeś?

De Vaca objęła się ramionami, jakby mimo popołudniowego skwaru było jej zimno.

- Kiedy dziś rano poszedłem zobaczyć się z Singerem, zobaczyłem, jak starannie układa przedmioty na stoliku. Jego zachowanie wydało mi się dziwne i wtedy przypomniałem sobie, co robił Vanderwagon, zanim wydlubał sobie oko, a także obsesyjne reakcje Brandon-Smith w ostatnich dniach przed jej śmiercią. A potem zauważyłem przekrwione i zażółcone oczy Singera. Oczy Vanderwagony wyglądały tak samo. Nyea też. Tylko pomyśl... Czy nie zauważyłaś, że ostatnio wiele osób ma przekrwione oczy? Początkowo sądziłem, że to z powodu stresu. - Wzruszył ramionami. - Dlatego spędziłem cały dzień w bibliotece, przeglądając wyniki badań.

- I znalazłeś to nagranie?

- Tak. To z pewnością pomysł Scopesa, żeby cały zespół Mount Dragon wziął udział w próbach PurBlood. W wielu firmach farmaceutycznych jest powszechnie przyjęte, że ochotników do takich testów rekrutuje się spośród własnych pracowników. Prawdopodobnie sfilmowali to z myślą o późniejszym wykorzystaniu do celów reklamowych. -

- Jednak niektórzy ochotnicy nie wyglądali na zadowolonych

-stwierdziła de Vaca.

Carson pokręcił głową.

- Scopes jest wspaniałym mówcą. Razem z Burtem wywarli taką presję, że nawet niezdecydowani poszli za ich przykładem.

- A co się teraz z nimi dzieje? - zapytała de Vaca, z trudem ukrywając strach.

- Najwidoczniej PurBlood rozkłada się w ich ciałach i zatrzuwa je. Być może do kapsuły fosfolipidowej dostały się zanieczyszczenia i nastąpiły mutacje DNA. Nie mamy czasu, żeby to sprawdzić. Kiedy kapsuła się rozpada, uwalnia całą zawartość.

- Skąd masz pewność, że to PurBlood? - zmarszczyła brwi de Vaca.

- A cóżby innego? Wszyscy mieli transfuzję. I wszyscy zaczynają wykazywać te same objawy.

- Dopamina - mruknęła do siebie de Vaca. - Co Teece mówił ci o dopaminie?

- Powiedział, że Burt i Vanderwagon cierpieli na nadmiar dopaminy i serotoniny. Brandon-Smith również, choć w mniejszym stopniu. Powiedział też, że nadmiar tych neurotransmiterów w mózgu może wywołać paranoję, urojenia i psychozy. Przez dwa lata studiowałam medycynę. Miał rację?

De Vaca przystanęła.

- Nie zatrzymuj się. Miał rację?

- Tak - odparła w końcu. - Stężenie takich substancji nie może przekraczać pewnego poziomu. Jeśli zmutowany DNA w PurBlood nakazuje organizmowi produkować duże ilości... - urwała i po zastanowieniu dodała: - Rezultatem byłby stres i dezorientacja, być może połączone z ostrą nerwicą natręctw. Po przekroczeniu pewnego stężenia progowego mogłoby dojść do ostrej paranoi i psychotycznych zachowań.

- Musi temu towarzyszyć krwawienie wewnątrzniczyniowe, o którym wspomniał Teece - stwierdził Carson.

- Czysta hemoglobina przechodząca przez ściany naczyń krwionośnych wywoła ogólnoustrojowe zatrucie. Przekrwione oczy to najmniejszy problem.

Przez kilka minut spacerowali w milczeniu.

- Burt był alfatesterem - powiedział w końcu Carson. - Dlatego stał się pierwszą ofiarą. A potem, w zeszłym tygodniu, podobne objawy pojawiły się u Vanderwagona. Czy zauważyłaś, żeby jeszcze ktoś dziwnie się zachowywał?

De Vaca zastanowiła się.

- Wczoraj przy śniadaniu techniczka z pracowni sekwencjonowania skrzyczyła mnie za to, że usiadłam na jej krześle. Wstałam i ustąpiłam jej miejsca, ale nadal się awanturowała. A zawsze była cicha jak myszka. Pomyślałam, że nie wytrzyma napięcia.

- Najwidoczniej ludzie reagują z różną szybkością. Jednak to tylko kwestia czasu, zanim... - urwał.

Nie musiał kończyć. Zanim cały personel tego laboratorium -tajnego ośrodka w samym sercu pustyni, gdzie prowadzi się badania nad wirusem mogącym zniszczyć ludzką rasę - zupełnie zwariuje.

Nagle przysłała mu do głowy nowa myśl.

- Susana, czy wiesz, kiedy PurBlood ma zostać wprowadzony do obrotu? - zapytał de Vacę.

Pokręciła głową.

- Dziś rano znalazłem w bibliotece kilka wzmianek na ten temat. Dział marketingu GeneDyne zamierza zrobić z tego wielkie wydarzenie. Galowa impreza, fanfary i werble. Wybrali cztery szpitale w kraju. Pierwszymi pacjentami, którym zostanie podany Pur-Blood, będzie stu hemofilików i dzieci przechodzące różne zabiegi chirurgiczne.

- Kiedy to ma nastąpić?

- Trzeciego sierpnia.

De Vaca przycisnęła dłonie do ust.

- Przecież to w ten piątek! Carson skinął głową.

- Musimy ostrzec władze. Muszą wstrzymać dystrybucję Pur-Blood i sprowadzić pomoc dla ludzi w Mount Dragon.

- A jak mamy to zrobić, do licha? Jedyne długodystansowe połączenia, jakie tu mamy, to dzierżawione dedykowane linie światłowodowe łączące nas z siecią GeneDyne w Bostonie. Nawet jeśli zdołamy ich użyć, kto nam uwierzy?

- Może Scopes już odczuwa objawy

- Nawet gdyby, to i tak nikt nie powiąże ich z tym, co dzieje się tutaj - stwierdziła de Vaca.

- Pewnie niepotrzebnie się martwimy - powiedział Carson. - Jeśli wszyscy mieszkańcy Mount Dragon popadną w paranoję, czy nie zwrócą się przeciwko sobie?

Potrząsnęła głową.

- W takiej atmosferze? Niemożliwe. Szczególnie że wszystkim kieruje ktoś tak charyzmatyczny, jak Scopes. To podręcznikowa sytuacja sprzyjająca *folie a deux*.

- Czemu?

- Zbiorowej psychozie. Wszyscy mają to samo urojenie. Albo, jak mawialiśmy na studiach, kompletnie świrują.

Carson skrzywił się.

- Wspaniale. To pozostawia nam tylko jedną możliwość: wynieść się stąd w cholere.

- Jak?

- Nie wiem.

De Vaca prychnęła i już chciała coś powiedzieć, ale nagle zmieniła zdanie i szturchnęła go w bok.

- Spójrz tam.

Carson popatrzył. Przed nimi był parking, na którym stało rzędem pół tuzina białych hummerów rzucających długie cienie na żwir. Z udawaną nonszalancją podeszli do samochodów.

- Najpierw musielibyśmy znaleźć kluczyki - szepnął Carson. - A potem niepostrzeżenie odjechać.

De Vaca przyklękła.

- Co robisz?

- Zawiążuję sznurówkę.

- Przecież masz na nogach sandaalki! De Vaca wstała.

- Wiem o tym, idioto. - Otrzeпаła kolano, odgarnęła włosy z czoła i spojrzała na niego. - Nie ma samochodu, którego nie potrafiłabym uruchomić bez kluczyków.

Carson zmierzył ją wzrokiem.

- Kiedyś kradłam samochody

- Wierzę.

- Tylko dla zabawy - dodała obronnym tonem.

- Tylko że te samochody były kiedyś wojskowymi pojazdami, a ośrodek też należał do wojska. To nie będzie takie proste jak kradzież hondy civic.

De Vaca zmarszczyła brwi i zaczęła kopać piach obcasem sandaalka. Carson dodał:

- Pierwszego dnia mojego pobytu tutaj Singer powiedział, że ten obiekt jest zabezpieczony lepiej, niż się wydaje. Nawet jeśli przedrzemy się przez ogrodzenie, natychmiast ruszą za nami i dogonią nas.

Zapadła długa cisza.

- Są jeszcze dwie inne możliwości - mruknęła po chwili de Vaca. - Możemy pojechać konno albo pójść pieszo.

Carson popatrzył na rozległą, bezkresną pustynię.

- Tylko głupiec próbowałby czegoś takiego - stwierdził. Stali w milczeniu, spoglądając na pustynię. Carson uświadomił sobie, że wcale nie odczuwa strachu, tylko dotkliwe brzemię spoczywającej na jego barkach odpowiedzialności. Nie miał pojęcia, czy świadczy to o jego odwadze, czy zmęczeniu. - Teece nie był zwolennikiem tego produktu. Powiedział mi to w saunie - dodał po chwili. - Założę się, że jego pospieszny wyjazd miał coś wspólnego z PurBlood. Prawdopodobnie miał poważne wątpliwości co do X-FLU i chciał wstrzymać dystrybucję innych produktów GeneDyne, przynajmniej dopóki nie upewni się, że w naszej technologii nie ma żadnego błędu. Lub dopóki nie dowie się czegoś więcej o Burcie.

De Vaca zeszywniała nagle.

- Ktoś nadchodzi - szepnęła.

Usłyszeli odgłos kroków, a potem na zadaszonym chodniku wiodącym do części mieszkalnej pojawił się Harper. Carson zauważył wybrzuszenie koszuli w miejscu, gdzie naukowiec miał gruby opatrunek.

Harper przystanął.

- Idziecie na kolację? - zapytał.

- Jasne - odparł Carson po krótkim wahaniu.

- No to chodźcie.

Jadalnia była zatłoczona i zostało w niej tylko kilka wolnych stolików. Kiedy zajmowali miejsca, Carson dyskretnie rozejrzał się wokół. Od czasu tamtej historii z Vanderwagonem zaczął jadać samotnie, długo po godzinie szczytu. Teraz poczuł się nieswojo, widząc tylu pracowników Mount Dragon jednocześnie. Czy wszyscy ci ludzie naprawdę... Odepchnął od siebie tę myśl.

Przy ich stoliku pojawił się kelner. Kiedy zamawiali napoje, Carson zauważył, że kelner nieustannie podkreca nieistniejący wąs: najpierw z lewej, potem z prawej strony i znów od nowa. Skórę nad górną warstwą miał zaczerwienioną i obtartą od ciągłego pocierania.

- Co tam knuliście we dwoje? - zapytał Harper, gdy kelner odszedł.

Carson ledwie usłyszał to pytanie. Uświadomił sobie, że zaniepokoiło go coś zupełnie innego.

W jadalni panowała niemal zupełna cisza. Wszystkie stoliki były pozajmowane, ludzie jedli, ale prawie nie odzywali się do siebie. Wydawało się, że spożywają posiłek z przyzwyczajenia, nie z głodu. Zadane przez Harpera pytanie zdawało się odbijać echem w tuzinie szklanek z wodą. Chryste, czy ja spałem? - pytał sam siebie Carson. - Jak mogłem tego nie zauważyć?

Harper odebrał od kelnera zamówione piwo, a Carson i de Vaca wzięli wodę sodową.

- Na odwyku? - spytał Harper, pociągając łyk piwa. Carson pokręcił przecząco głową.

- Nadal nie otrzymałem odpowiedzi na moje pytanie - stwierdził Harper, niecierpliwie przyglądając dłonią rzedniejące włosy - Pytałem, co wy dwoje knujecie.

Powiódł po nich spojrzeniem, mrugając przekrwionymi oczami.

- Och, nic takiego - odparła de Vaca, wpatrując się w pusty talerz.

- Nic takiego? - powtórzył Harper. - Nic takiego. To dziwne. Pracujemy nad najważniejszym projektem w historii GeneDyne, a wy mówicie, że to nic takiego.

Carson wolałby, żeby Harper nie mówił tak głośno. Nawet gdyby zdołali ukraść hummera, co powiedzą, kiedy dotrą w cywilizowane strony? Kto uwierzy dwojgu przestraszonym ludziom przybywającym z pustyni? Powinni przenieść dowody na jakiś nośnik danych i zabrać je ze sobą. Tylko czy odważą się pozostawić X-FLU w rękach ludzi, którzy powoli popadają w szaleństwo? Chociaż jeśli zostaną tutaj, też nic nie będą mogli zrobić. Chyba że w jakiś sposób prześlą dowody Levine'owi. Oczywiście nie zdołają przesłać kilku gigabajtów danych przez sieć, natychmiast zostałyby to zauważone, ale...

Poczuł czyjąś dłoń chwytającą go za przód koszuli i zobaczył, że to dłoń Harpera. Naukowiec ścisnął materiał w palcach.

- Mówię do ciebie, dupku - powiedział, przyciągając Carsona do siebie.

Carson chciał wstać, ale de Vaca ostrzegawczo złapała go za rękę.

- Przepraszam - wymamrotał. De Vaca puściła go.

- Dlaczego mnie ignorujesz? - zapytał głośno Harper. - O czym mi nie mówisz?

- Przepraszam, George. Po prostu zamyśliłem się.

- Ostatnio byliśmy bardzo zajęci - oświadczyła de Vaca, rozpaczliwie siląc się na wesoły ton. - Mamy wiele do przemyślenia.

Carson poczuł, że naukowiec zaciska pięść.

- Dopiero co powiedzieliście, że nie robicie nic takiego. Powiedzieliście to, dobrze słyszałem. No to jak?

Carson rozejrzał się. Ludzie przy sąsiednich stolikach gapili się na nich i chociaż ich spojrzenia były tępe i nieobecne, dostrzegał w nich jednak ospałe zainteresowanie, jakiego nie widział od czasu, gdy był świadkiem zajścia w jadalni.

- Słyszałam, że niedawno dokonałeś przełomowego odkrycia -zmieniła temat de Vaca.

- Co? - zapytał Harper.

- Tak mówił mi doktor Singer. Powiedział, że poczyniłeś znaczą-ce postępy.

Harper puścił koszulę Carsona, natychmiast o nim zapominając.

- John tak powiedział? To mnie nie dziwi.

De Vaca uśmiechnęła się i położyła rękę na jego ramieniu.

- I wiesz co, świetnie sobie poradziłeś z Vanderwagonem -dodała.

Harper usiadł i spojrzał na nią.

- Dziękuję - odparł po chwili.

- Powinnam powiedzieć ci to wcześniej. To *nieładnie z mojej stro-ny*. Przepraszam.

Carson zauważył, że de Vaca spogląda Harperowi w oczy. Na jej twarzy malowało się współczucie i zrozumienie. Potem znacząco po-patrzyła na jego ręce. Nie zdając sobie sprawy z tego, co w ten sposób sygnalizuje, Harper też spojrzał na swoje dłonie i zaczął oglądać paznokcie.

- Popatrzcie tylko - mruknął. - Są brudne. Cholera. Tutaj jest ty-le zarazków, że trzeba zachować ostrożność.

Bez słowa odsunął krzesło i ruszył do męskiej toalety. Carson ode-tchnął.

- Jezu - szepnął.

Naukowcy przy sąsiednich stolikach wrócili do przerwanego posił-ku, jednak wokół nadal panowała dziwna, napięta cisza.

- Ta kolacja to chyba nie był dobry pomysł - stwierdziła de Vaca. - A zresztą i tak nie jestem głodna.

Carson próbował się uspokoić. Na moment przymknął oczy, ale gdy tylko to zrobił, poczuł, że kręci mu się w głowie. Boże, jaki był zmęczony.

- Nie mogę zebrać myśli - powiedział. - Spotkajmy się o północy w laboratorium radiologicznym. Tymczasem spróbuj się trochę przespać.

- Oszalałeś? - prychnęła de Vaca. - Jak mogłabym teraz spać? Carson popatrzył na nią.

- Nie będziesz miała drugiej takiej okazji - ostrzegł.

Charles Levine spojrzał na niebieską teczkę, którą trzymał w dłoni, opatrzoną licznymi pieczęciami, złoceniami oraz nieczytelnym podpi-sem. Zaczął ją otwierać, ale zmienił zamiar. Wiedział już, co znajdzie w środku. Odwrócił się, żeby cisnąć ją do kosza, jednak doszedł do

wniosku, że i to nie ma sensu. Zniszczenie dokumentu nie zmieni je-go treści.

Spojrzał przez otwarte drzwi, nad pudłami i skrzynkami, na pusty sekretariat. Zaledwie przed tygodniem siedział tam Ray, spokojnie odbierając telefony i splawiając nadgorliwców. Był lojalny do końca, w przeciwieństwie do wielu kolegów Levine'a i członków jego fundacji. Czy to możliwe, by dzieło jego życia zostało zniweczone i przekreślone w tak krótkim czasie?

Usiadł na krześle, spoglądając nieobecny wzrokiem na jedyny niespakowany przedmiot na biurku: komputer, wciąż działający i podłączony do uniwersyteckiej sieci. Zaledwie przed kilkoma dniami zarzucił wędkę w głębokie, zimne wody tej sieci, usiłując złowić coś, co pomoże jego sprawie. Zamiast tego złapał lewiatana, morderczego krankenę, który zniszczył wszystko, co było mu drogie.

Jego największą pomyłką było to, że nie docenił Brenta Scopesa. A raczej przecenił go. Ten Scopes, którego kiedyś znał, nie walczyłby z nim w taki sposób. Być może sam jestem temu winien, pomyślał -winien błędu w założeniach, nadmiernego optymizmu, a może nawet nieetycznego postępowania, jakim było włamanie do sieci GeneDyne. Sprowokował Scopesa. Jednak Scopes celowo znielawiający pamięć jego zamordowanego ojca... To było niewybaczalne. Levine do tej pory za? chował w pamięci wspomnienia z czasów ich przyjaźni - szczerzej i głębokiej, której nic nie było w stanie mu zastąpić. Nigdy nie pogodził się z jej utratą i nie wiadomo dlaczego wierzył, że Scopes czuje to samo.

Teraz stało się jasne, że się mylił.

Powiódł spojrzeniem po pustych półkach, otwartych szafach, chmurach szarego kurzu leniwie unoszących się w nieruchomym powietrzu. Strata fundacji, reputacji i stanowiska zmieniła wszystko. I bardzo zawęziła możliwości wyboru. Prawdę mówiąc, ograniczyła je do jednej. W jego głowie powoli zaczął formować się plan działania.

Po zmroku Mount Dragon stał się siedliskiem tysiąca cieni. Zadaszo-ne chodniki i posępne przeszklone budynki lśniły niebieskawo w bla-sku zachodzącego księżycy. Sporadyczny odgłos kroków lub chrzęst żwiru tylko pogłębiały ciszę. Za cienkim łańcuszkiem lamp oświetlających ogrodzenie zalegał nieprzenikniony mrok, rozpościerający się w promieniu setek kilometrów:

Carson zmierzał w kierunku laboratorium radiologicznego. Na zewnątrz nie było nikogo i w budynku panowała cisza, ale to jeszcze powiększało jego niepokój. Wybrał pracownię radiologiczną, ponieważ jej

rolę przejęły nowe urządzenia zainstalowane w Wylęgarni i rzadko bywała używana, a poza tym było to jedyne niestrzeżone pomieszczenie mające pełny dostęp do sieci. Teraz jednak nie był pewien, czy do-konał dobrego wyboru. Laboratorium znajdowało się nieco na uboczu, za warsztatem, toteż gdyby kogoś napotkał, z trudem mógłby wytłaczyć swoją obecność.

Uchylił drzwi i zaczekał. Przez szparę sączyło się słabe światło i usłyszał jakiś szmer w środku.

- Chryste, Carson, przestraszyłeś mnie jak cholera - wyszeptała cle Vaca wyglądająca jak blada zjawa w poświacie komputerowego monitora. Zapraszająco skinęła ręką.

- Co robisz? - zapytał, siadając na krześle obok niej.

- Wymyśliłam sposób, w jaki moglibyśmy to sprawdzić. Zobaczyc, czy mamy rację co do PurBlood - oświadczyła, stukając w klawisze. - Co tydzień przechodzimy badania, prawda?

- Nie przypominaj mi o tym. De Vaca popatrzyła na niego.

- Nie rozumiesz? Możemy sprawdzić wyniki biopsji.

Carsona olśniło. Badania lekarskie obejmowały punkcje międzykręgowce. Mogli sprawdzić zawartość dopaminy i serotoniny w płynie rdzeniowym.

- Przecież nie mamy dostępu do tych danych - zauważył.

- *Cabrón*, nie jesteś na bieżąco. Ja go mam. Przez pierwszy tydzień pracowałam w sekcji medycznej, pamiętasz? Do tej pory nie cofnięto mi dostępu do serwera. - W słabym świetle monitora jej kości policzkowe były jak dwa niebieskie występy na czarnym tle. -Najpierw sprawdziłam kilka przypadkowych zapisów, ale tam jest zbyt wiele danych, dlatego przeszukałam bazę danych SQL.

- I co znalazłaś? Masz zestawienie stężeń dopaminy i serotoniny u wszystkich pracowników?

De Vaca przecząco pokręciła głową.

- Punkcja nie wykazuje obecności neurotransmiterów, ale wykrywa produkty ich rozpadu - główne metabolity. W wyniku rozpadu dopaminy powstaje kwas homowanilinowy, a serotonina rozkłada się do kwasu pięciohydroksyindoloocetowego. Tak więc kazałam programowi szukać tych związków. Poleciałam mu również uwzględnić MHPG i VMA będące produktami rozpadu innego neurotransmitera, norepi-nefryny. W ten sposób otrzymamy wzorzec porównawczy.

- I co? - zapytał Carson.

- Jeszcze nie wiem. Dopiero pokazują się wyniki. Ekran zappełnił

się.

MH	PG HVA	VMA	5-HIAA
Aaron	1 6		5
Alberts	9		10
Bowman	1 12		9
Bunoz	1 7		6
Carson	1 1		1
Cristoferi	1 8	5	
Davidoff	1 8	8	
De Vaca	1 1	1	
Donergan	1 10	1 8	
Ducely	1 7	9	
Engles	1 7	6	

Naciśnij ENTER, aby wyświetlić kolejne ekrany

- Mój Boże - mruknął Carson. De Vaca posępnie pokiwała głową.
- Spójrz na stężenia HVA i 5-HIAA. W każdym przypadku poziomy dopaminy i serotoniny w mózgu kilkakrotnie przekraczają normę.

Carson przewinął listę do końca.

- Spójrz na wyniki Nyea! - zawołał nagle, wskazując na ekran.

-Metabolity dopaminy czternastokrotnie przekraczają normę. Metabolity serotoniny dwunastokrotnie.

- Takie stężenia wskazują na niebezpieczną paranoję mogącą objawiać się w formie schizofrenii - stwierdziła de Vaca. - Założę się, że Nye uznał Teece'a za zagrożenie dla Mount Dragon albo dla siebie i zaczął się na niego na pustyni. Ciekawe, czy ten drań Marr maczał w tym palce.

Carson popatrzył na nią.

- Jak to możliwe, że te wyniki nie zwróciły niczyjej uwagi?

- Ponieważ w takim miejscu jak Mount Dragon nie sprawdza się stężenia neurotransmiterów Szukają przeciwciał, wirusów Poza tym mówimy o stężeniach rzędu nanogramów na mililitr. Jeśli nie zwrócisz szczególnej uwagi na te metabolity, niczego nie zauważysz.

Carson z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Czy w żaden sposób nie da się przeciwdziałać tym zmianom?

- Trudno powiedzieć. Można spróbować podać leki działające antagonistycznie wobec dopaminy, na przykład chlorpromazynę. Albo imipraminę blokującą transport serotoniny. Jednak wątpię, czy dałoby to jakies rezultaty przy tak wysokich stężeniach. Nawet nie wiemy, czy ten proces jest odwracalny. Poza tym musielibyśmy mieć wystarczające zapasy obu tych leków i znaleźć jakiś sposób, żeby je podać wszystkim pracownikom ośrodka.

Carson jeszcze przez chwilę ze zgrozą wpatrywał się w ekran, a po-tem nagle zaczął stukać w klawisze. Skopiował dane do pliku na lokalnym twardym dysku terminalu, wyczyścił ekran i zamknął program.

De Vaca odwróciła się do niego.

- Co robisz, do diabła? - syknęła.

- Widzieliśmy już dość - odparł Carson. - Scopes też był beta-testerem, pamiętasz? Jeśli nas na tym przyłapie, będziemy ugotowani.

Wylogował de Vacę z serwera medycznego i w odpowiedzi na żądanie programu zabezpieczającego sieć GeneDyne wprowadził swoje hasło. Czekał, aż na ekranie przewiną się komunikaty logowania, wyjął z kieszeni dwa dyski kompaktowe.

- Wróciłem do biblioteki i skopiowałem najważniejsze dane na te CD: film z kamery wideo, dane o procesie filtracji, moje notatki na temat X-FLU, zapiski Burta. Teraz zamierzam dodać wyniki tych badań lekarskich...

Urwał, ze zdumieniem patrząc na ekran.

Dobry wieczór, Guy Carson! Masz 1 nieodebraną wiadomość.

Pospiesznie otworzył pocztę elektroniczną.

Ciao, Guy!

Nie mogłem nie zauważyć, jak piekielnie długi czas pracy CPU zajął dziś rano swoim programem modelującym. Cieszę się, że pracujesz nawet po nocach, ale z zapisów logowania nie jestem w stanie stwierdzić, co dokładnie robiłeś.

Jestem pewien, że nie marnowałbyś twojego ani mojego czasu bez powodu. Czy to oznacza, że w badaniach nastąpił jakiś przełom? Dla dobra nas obu mam nadzieję, że tak. Nie potrzebuję ładnych obrazków, tylko wyników. Czas strasznie nam się kurczy. Och, prawie zapomniałem. Skąd to nagle zainteresowanie PurBlood? Czekam na odpowiedź. Brent

- Mam wrażenie, że czuję jego oddech na karku - powiedziała de Vaca.

- Rzeczywiście, czas strasznie się nam kurczy - mruknął Carson. - Gdyby on tylko wiedział jak bardzo.

Wsunął jeden dysk kompaktowy do napędu terminalu i skopiował nań wyniki analiz płynów mózgowo-rdzeniowych, a potem uruchomił program komunikacyjny.

- Zwariowałeś? - zdziwiła się de Vaca. - Z kim chcesz rozmawiać, do diabła?

- Zamknij się i patrz - odparł Carson i pisał dalej:

Odbiorca: Guy Carson@Biomed.Dragon.GeneDyne

- Teraz już wiem, że zwariowałeś - stwierdziła de Vaca. - Chcesz rozmawiać sam ze sobą.

- Levine powiedział mi, że gdybym kiedyś chciał się z nim skontaktować, powinienem nawiązać łączność za pośrednictwem sieci, ustawiając siebie jednocześnie jako nadawcę i odbiorcę - wyjaśnił Carson. - W ten sposób uruchomię umieszczony przez niego w sieci program komunikacyjny, który połączy mnie z jego komputerem.

- Zamierzasz przesłać mu dane o PurBlood - powiedziała de Vaca.

- Tak. On jest jedyną osobą, która może nam pomóc.

Carson czekał, usiłując zachować spokój. Wyobraził sobie, jak program komunikacyjny przemyka się cichaczem przez sieć GeneDyne, przechodzi do internetu, a potem do komputera Levine'a. Gdzieś tam na ekranie laptopa doktora pojawiła się już wiadomość. Jeśli tylko jego komputer jest podłączony do sieci, a właściciel znajduje się w pobliżu... Odbierz. No, odbierz - ponaglał Levinea w myślach. Ekran zamigotał i pojawił się na nim tekst:

Cześć, spodziewałem się tej rozmowy.

Carson zaczął pospiesznie pisać:

Doktorze Levine, proszę uważać. W Mount Dragon mamy poważny kryzys. Miał pan rację co do tego wirusa. Jednak chodzi o coś więcej, znacznie więcej. Nic nie możemy tu zrobić i potrzebujemy pańskiej pomocy. Jest niezwykle ważne, aby działał pan szybko. Prześlę panu przygotowany przeze mnie dokument, który wyjaśni sytuację, zawiera on wszelkie niezbędne informacje. Proszę też postarać się jak najszybciej nas stąd zabrać. Sądzę, że jesteśmy w niebezpieczeństwie. Musi pan zrobić wszystko, co w ludzkiej mocy, aby zabezpieczyć kultury wirusa X-FLU przed personelem Mount Dragon. Jak pan się przekona po przestudiowaniu przekazanych przeze mnie dokumentów, wszyscy pracownicy wymagają natychmiastowej pomocy lekarskiej. Teraz przekażę dane, używając standardowego protokołu sieciowego.

Kilkoma stuknięciami w klawisze zapoczątkował transfer danych i na płycie czołowej terminalu zapaliła się dioda dostępu. Siedział jak na szpilkach, obserwując przebieg transferu. Nawet przy maksymalnej kompresji i przy najszybszej transmisji, na jaką pozwalała sieć, przekazanie danych zajmie prawie czterdzieści minut. Kiedy Scopes znów zacznie węszyć w sieci, z pewnością zauważy obciążenie systemu. Albo zawiadomi go o tym jeden z jego operatorów I co, do diabła, ma teraz odpowiedzieć Scopesowi?

Nagle strumień danych przestał płynąć

Guy? Jesteś tam?

Jesteśmy tu. Co się, stato?

Co za my? Czy jest tam z tobą ktoś jeszcze?

Moja asystentka także zdaje sobie sprawą z sytuacji.

Bardzo dobrze. Teraz posłuchaj mnie. Czy jest tam ktoś jeszcze, kto mógłby wam pomóc?

Nie. Jesteśmy sami. Doktorze Levine, proszę pozwolić mi kontynuować transfer danych.

Nie ma na to czasu. Otrzymałem już dość, aby zrozumieć, w czym leży problem, a resztę mogę uzyskać z sieci GeneDyne. Dziękują, że mi zaufałeś. Dopilnują, aby odpowiednie władze niezwłocznie zostały powiadomione o sytuacji.

Niech pan słucha, doktorze Levine. /Musimy się stąd wydostać. Uważamy, że przysłany tutaj inspektor OSHA został zamordowany.

Oczywiście. Wydostanie was stamtąd potraktują priorytetowo. Razem z de Vaca. zachowujcie się jakby nigdy nic i nie próbujcie uciekać. Zachowajcie spokój. W porządku?

W porządku.

Guy, świetnie się spisafes. Powiedz mi, jak na to wpadłeś.

Gdy Carson przygotowywał się do wystukania odpowiedzi, nagle mroziła go nowa myśl. Razem z de Vacą... Zachowajcie spokój... Przecież wcale nie podał Levine'owi jej nazwiska.

Z kim mówię? - zapytał.

Ekran komputera pokrył się śniegiem czarnych i białych płatków. Stojący obok terminalu głośnik ożył z donośnym piskiem. De Vaca sapnęła ze zdziwienia. Carson z niedowierzaniem patrzył na ekran sparaliżowany rozpaczą. Czyżby w pisku głośnika słyszał zgrzytliwy śmiech? Czyżby z chaosu na ekranie powoli wyłaniała się twarz, odsta-
jące uszy, grube szkła i niesforny kosmyk włosów?

Nagle ekran zgasł i szum głośnika urwał się jak ucięty nożem. W pomieszczeniu zapadła głucha cisza. A potem usłyszeli przeciągłe wycie syreny alarmowej niosące się w dal po piasku pustyni.

CZEŚĆ TRZECIA

Carson napotkał spojrzenie de Vaki.

- Chodźmy - syknął, gwałtownym uderzeniem wyłączając terminal.

Wymknęli się z laboratorium radiologicznego, cicho zamykając za sobą drzwi. Carson szybko rozejrzał się wokół. Wzdł ogrodzenia rozblęły podświetlane tablice ostrzegawcze. Włączono reflektory -najpierw na wieży strażniczej przy frontowej bramie, a potem przy tylnej. Bliźniacze, oślepiająco jasne strumienie światła zaczęły powoli omiatać teren. Była bezksiężycowa noc i większa część ośrodka kryła się w nie-przeniknionej ciemności. Carson pociągnął de Vacę w cień warsztatu. Przekradli się wzdł budynku i skręcili za róg, a potem pospieszyli chodnikiem w mrok za sterylizatorem.

W oddali usłyszeli krzyk i tupot nóg.

- Mamy kilka minut, zanim zorganizują pościg - mruknął Carson. - To nasza jedyna szansa, żeby wynieść się stąd w cholerę. - Poklepał się po kieszeni, sprawdzając, czy nadal ma w niej dyski kompaktowe z nagranyimi dowodami. - Wygląda na to, że jednak będziesz miała okazję wypróbować swoje złodziejskie umiejętności. Bierzmy hum-mera, dopóki jeszcze możemy.

De Vaca zawahała się.

- Ruszajmy! - ponaglił.

- Nie możemy - szepnęła mu do ucha. - Najpierw musimy zniszczyć kultury X-FLU.

- Oszalałaś? - warknął.

- Jeżeli zostawimy X-FLU w rękach tych świrów, nie ujdziemy z życiem, nawet jeśli uda nam się uciec. Widziałeś, co stało się z Vanderwagonem, co dzieje się z Harperem. Wystarczy, żeby ktoś dobrał się do próbek z X-FLU, a możemy pożegnać się z życiem.

- Przecież nie możemy zabrać ich ze sobą.

- Nie, ale wiem, jak możemy zniszczyć X-FLU i uciec. Carson dostrzegł ciemne sylwetki biegających między budynkami strażników uzbrojonych w pistolety maszynowe. Pociągnął de Vacę w cień.

- Musimy zejść do Wylęgarni, żeby to zrobić - oświadczyła de

Vaca.

- Do diabła z tym. Będziemy jak szczury w pułapce.

- To ostatnie miejsce, w którym będą nas szukać. Carson zastanawiał się przez chwilę.

- Pewnie masz rację - przyznał.

- Zaufaj mi.

Złapała go za rękę i pociągnęła za narożnik spalarni.

- Zaczekaj, Susana...

- Rusz tyłek, *cabrón*.

Pobiegł za nią przez ciemny dziedziniec do wewnętrznego ogrozenia. Ciężko dysząc, zapadli w cień budynku. Nagle ciszę pustynnej nocy przerwał huk strzału. Potem padło kilka następnych, jeden po drugim.

- Strzelają w powietrze - powiedział Carson.

- Albo do siebie wzajemnie - odparła. - Kto wie, jak bardzo już im odbiło.

Światło reflektora powoli zmierzało w ich kierunku, więc szybko wpadli do wnętrza ciemnego budynku. Pospiesznie rozejrzawszy się wokół, przebiegli przez pusty hol i wsiedli do windy, którą zjeżdżało się do laboratorium.

- Może lepiej powiedz mi, jaki masz plan - mruknął Carson, gdy jechali w dół.

- Pamiętasz starego Pawła, który naprawił mój odtwarzacz kompaktowy? Grywałam z nim w kantynie w tryktraka. On lubi dużo mówić, może nawet za dużo. Powiedział mi, że kiedy wojskowi wybudowali ten ośrodek, zainstalowali tu specjalny system zabezpieczający. Miał zapobiec wydostaniu się śmiertelnych mikroorganizmów z Wylegarni. Kiedy Mount Dragon przeszedł w prywatne ręce, system został wyłączony, ale nie zdemontowany. Paweł wyjaśnił mi nawet, w jaki sposób można go uruchomić.

- Susana, jak...

- Zamknij się i słuchaj. Wysadzimy całą tę *chingadera*. Ten system zabezpieczający nazwano alarmem pierwszego stopnia. Po włączeniu odwraca laminarny obieg powietrza w sterylizatorze, w wyniku czego Wylegarnię wypełni powietrze o temperaturze prawie tysiąca stopni, sterylizując wszystkie pomieszczenia. Wie o tym tylko kilku starych pracowników, takich jak Singer i Nye. -Uśmiechnęła się drwiąco w półmroku. - Kiedy to rozgrzane powietrze zapali wszystkie nagromadzone tam łatwo palne materiały, powinna nastąpić nie-licha

eksplozja.

- Taa... masz rację. I usmażymy się.

- Nie. Upłynie kilka minut, zanim powietrze popłynie w przeciwną stronę. Wystarczy, że włączymy system, ukryjemy się w bezpiecznym miejscu i zaczekamy na wybuch. Potem w zamieszaniu ukradnie-my hummera.

Drzwi windy otworzyły się z sykiem, ukazując pusty korytarz. Carson i de Vaca pospiesznie ruszyli do szarych metalowych drzwi prowadzących do Wylęgarni. Carson podał swoje nazwisko, komputer rozpoznał jego głos i drzwi otworzyły się ze szczękiem.

- Być może już nas obserwują - powiedział, wkładając skafander.

- Być może - odparła de Vaca. - Sądzę jednak, że mają teraz ciekawsze rzeczy do oglądania.

Sprawdzili szczelność swoich skafandrów i weszli do komory odkażania. Stojąc w strumieniach trującego płynu i patrząc na ledwie widoczną obok postać de Vaki, Carson miał wrażenie, że to wszystko mu się śni. Szukają nas. Strzelają do nas. A my wchodzimy do Wylęgarni. Znow poczuł nagły, wywołany klaustrofobią lęk stalową obręczą

ściskający mu pierś. Znajdą nas. Będziemy jak szczury w pułapce i... Zaczął gwałtownie dyszeć, spazmatycznie łapiąc powietrze.

- Wszystko w porządku, Carson?

Słyszając w głośnikach hełmu chłodny głos de Vaki, opanował rozdygotane nerwy Kiwnął głową i wszedł do komory suszenia.

Dwie minuty później weszli do Wylęgarni. W pustych korytarzach monotennie zawodziła syrena alarmowa, a stłumiony hałas dobiegający z klatek szympansov przypominał zgiełk tłumu w oddali. Carson spojrział na białe ściany, szukając zegara. Prawie wpół do pierwszej. Światła w korytarzach były przyćmione i miały rozjaśnić się dopiero o drugiej, kiedy przybędzie ekipa odkażająca. Tylko że wtedy - jeśli dopisze im szczęście - nie zostanie już nic do odkażania.

- Musimy dostać się do wartowni - usłyszał głos de Vaki. - Wiesz, gdzie to jest, prawda?

- Tak.

Wiedział aż za dobrze. Wartownia znajdowała się na najniższym poziomie laboratorium, dokładnie pod pomieszczeniami kwarantanny.

Pospiesznie poszli korytarzami w głąb laboratorium. Carson pozwolił, by de Vaca zeszła pierwsza, a potem chwycił się poręczy i również zaczął schodzić. Nad głową widział ogromną rurę, przez którą za kilka minut miało napłynąć do laboratorium przegrzane powietrze.

Wartownia była ciasnym owalnym pomieszczeniem z kilkoma obrotowymi fotelami i niskim sufitem. Wzdłuż wklęsłej ściany ciągnęły się równe rzędy pięciocalowych monitorów ukazujących różne ujęcia pustych pomieszczeń Wylegarni. Pod ekranami sterczał pulpit konsoli sterowania.

De Vaca usiadła przy konsoli i zaczęła pisać, z początku wolno, po-tem nieco szybciej.

- I co teraz? - zapytał Carson, podłączając do zaworu skafandra nowy przewód powietrza.

- Nie łam się, *cabrón* - powiedziała de Vaca, unosząc okrytą rękawicą dłoń, żeby nacisnąć przycisk interkomu. - Jest tak, jak mówił Paweł. Nie przyszło im do głowy, żeby zabezpieczyć się przed celowym włączeniem fałszywego alarmu. No bo po co? Zamierzam ponownie uaktywnić procedurę alarmu pierwszego stopnia, a potem uruchomić ją.

- A ile będziemy mieli czasu, żeby się stąd wydostać?

- Mnóstwo, możesz mi wierzyć.

- A dokładnie ile?

- Przestań mnie męczyć, Carson. Nie widzisz, że jestem zajęta? Jeszcze tylko kilka poleceń i będziemy w domu.

Carson przez chwilę patrzył, jak stuka w klawiaturę, a potem odezwał się znowu, trochę spokojniej:

- Susana, zastanówmy się chwilę. Czy naprawdę chcemy to zrobić? Zniszczyć całe laboratorium? Szympansy? Wszystko, co osiągnęliśmy?

De Vaca przestała pisać i odwróciła się do niego.

- A jakie mamy wyjście? Szympansy i tak padną, bo wszystkie zostały zarażone X-FLU. Oddamy im przysługę.

- Wiem o tym. Jednak w tym ośrodku robiono wspaniałe rzeczy. Potrzeba będzie lat pracy, żeby odtworzyć to, co tu osiągnięto. Już wiemy, co się działo z X-FLU, i możemy poprawić cały proces.

- Jeśli damy się zastrzelić, kto poradzi sobie z X-FLU? - zapytała gniewnie de Vaca. - A jeżeli ten wirus wpadnie w ręce jakiegoś świra, kto będzie się przejmował zniszczeniami? Zamierzam...

- Carson - usłyszeli ostry głos Nyea. - De Vaca. Słuchajcie mnie uważnie. Od tej chwili przestajecie być pracownikami GeneDyne. Jesteście intruzami na terenie należącym do GeneDyne i wasza obecność w piątym laboratorium musi zostać uznana za akt sabotażu. Jeśli się poddacie, gwarantuję wam bezpieczeństwo. Jeśli nie, zostanieie osaczeni i unieszkodliwieni. Nie macie żadnych szans ucieczki.

- Przeklęte kamery - mruknęła de Vaca.

- On może monitorować lokalny kanał łączności - ostrzegł ją Carson. - Staraj się mówić jak najmniej.

- Nieważne. Już skończyłam.

De Vaca przestała stukać w klawisze. Wyciągnęła rękę, podniosła kratkę osłaniającą rząd czarnych przełączników i pociągnęła za ten, który znajdował się na samej górze. Natychmiast nowy dźwięk zagłuszył skowyt syreny alarmowej i kilka umieszczonych pod sufitem lampek zaczęło ostrzegawczo migać.

„Uwaga! - odezwał się w głośnikach interkomu chłodny kobiecy głos, którego Carson dotychczas nie słyszał. - Za sześćdziesiąt sekund inicjalizacja procedury alarmowej pierwszego stopnia”.

De Vaca pociągnęła jeszcze jedną dźwignię, wstała i kopnęła klawiaturę. Z konsoli trysnął snop iskier.

„System uaktywniony - powiedział kobiecy głos. - Sekwencja weryfikacji pominięta”.

- Udało ci się - stwierdził Carson.

De Vaca wdusiła przycisk ogólnego alarmu na rękawie skafandra, przekazując wiadomość przez system nagłaśniający ośrodką.

- Nye? Chcę, żebyś posłuchał mnie uważnie.

- Nie macie do powiedzenia nic oprócz „tak” lub „nie” - odparł zimno Nye.

- Posłuchaj, *canallal* Jesteśmy w wartowni pod Wylegarnią. Rozpoczęliśmy procedurę alarmową pierwszego stopnia. Całkowita, totalna sterylizacja.

- De Vaca, jeśli...

- Nie możecie nic zrobić, już się zaczęła. Rozumiesz? Za kilka minut piąte laboratorium wypełni się powietrzem o temperaturze tysiąca stopni. Całe to przeklęte miejsce wyleci w powietrze. A każdy, kto znajdzie się w promieniu stu pięćdziesięciu metrów od miejsca wybuchu, zmieni się w skwarki.

Jakby potwierdzając jej słowa, kobiecy głos powiedział na ogólnym kanale łączności:

- „Procedura alarmowa pierwszego stopnia. Macie dziesięć minut na opuszczenie terenu”.

- Dziesięć minut? - powtórzył Carson. - Jezu!

- De Vaca, jesteś bardziej szalona, niż sądziłem - usłyszeli głos Nyea. - Nie uda się wam, słyszysz?

De Vaca parsknęła śmiechem.

- Mówisz, że jestem szalona? - zapytała. - To nie ja ganiam codziennie w tropikalnym hełmie po pustyni.

- Zamknij się, Susana! - warknął Carson.

De Vaca odwróciła się do niego, groźnie marszcząc brwi, ale zaraz zapomniała o gniewie.

- Spójrz na to - powiedziała na lokalnym kanale łączności, pokazując coś palcem.

Carson odwrócił się twarzą do monitorów. Powiódł wzrokiem po niezliczonych czarno-białych ekranach, nie wiedząc, co zwróciło jej uwagę. Laboratoria, korytarze i magazyny były zupełnie puste.

Wszystkie oprócz jednego. Głównym korytarzem od strony wejścia nadchodził jakiś człowiek. Na widok tej przygiętej, skradającej się po-staci zimny dreszcz przeleciał Carsonowi po plecach. Podeszedł do monitora i przyjrzał się intruzowi. Idący miał na sobie luźny kombinezon z dodatkowym zapasem powietrza, używany jedynie przez pracowni-ków ochrony. W jednej ręce trzymał długi czarny przedmiot podobny do policyjnej pałki. Kiedy podeszedł bliżej i przeszedł tuż pod kamerą, Carson rozpoznał dubeltówkę z pistoletowym uchwytem. Potem za-uważył dziwny chód intruza, który od czasu do czasu podrygiwał, jak-by jedno kolano odmawiało mu posłuszeństwa.

- Mikę Marr - mruknęła de Vaca.

Carson dotknął dłonią rękawa, zamierzając odpowiedzieć, ale zrezygnował. Instynkt podpowiadał mu, że coś się stało, coś złego. Przez chwilę stał nieruchomo, usiłując zidentyfikować przyczynę swojego niepokoju.

Nagle zrozumiał, co to takiego.

W ciągu niezliczonych godzin, jakie spędził w Wylęgarni, oprócz pisków, trzasków i głosów kolegów rozbrzmiewających w głośnikach hełmu, zawsze słyszał nigdy niecichnący dźwięk: uspokajający szum powietrza w rurze podłączonej do skafandra.

Teraz ten syk ucichł.

Carson pospiesznie sięgnął ręką do zaworu, odłączył przewód, złapał inny i podłączył go do kombinezonu.

Nic.

Odwrócił się do de Vaki, która obserwowała, co robi. W jej oczach pojawiło się zrozumienie.

- Ten drań wyłączył dopływ powietrza - usłyszał jej głos.

„Macie dziewięć minut na opuszczenie terenu”.

Carson przycisnął palec do wizjera hełmu, nakazując de Vace

milczenie.

Jak długo? - zapytał bezgłośnie.

De Vaca podniosła jedną rękę, rozcapierzając palce. W skafandrach mieli zapas powietrza na pięć minut.

Pięć minut. Chryste, przecież tyle trwa samo odkażanie... -pomyślał Carson, usiłując opanować ogarniającą go panikę. Znow zerknął na ekrany monitorów, szukając Marra. Zobaczył go idącego przez dział produkcyjny

Uświadomił sobie, że mają tylko jedną szansę.

Odłączywszy bezużyteczny przewód powietrza, skinął na de Vacę. Wyszli z wartowni do szybu. Carson wspiął się po metalowej drabince i wystawił głowę. Wysoko w górze widział ogromne rury obiegu powietrza, złowieszczo podwieszane pod sufitem Wylęgarni. Ani śladu Marra. Najszybciej jak mógł wspiął się po metalowych szczeblach, minął generatory i zapasowe laboratoria i dotarł do części magazynowej na drugim poziomie. De Vaca deptała mu po piętach, gdy pospiesznie chował się za wielką zamrażarkę.

Obróciwszy się do de Vaki, pokazał jej, by go naśladowała, a potem spróbował oddychać wolniej, starając się oszczędzać skąpy zapas powietrza. Ukryty w ciemnościach części magazynowej, spojrzął na drabinkę w głównym szybie.

Wiedział, że nie mogą opuścić Wylęgarni, nie przechodząc odkażającej kąpieli. Marr też o tym wiedział. Najpierw będzie ich szukał w śluzie wejściowej. Stwierdziwszy, że ich tam nie ma, dojdzie do wniosku, że nadal są w wartowni.

A przynajmniej Carson miał taką nadzieję.

„Macie osiem minut na opuszczenie terenu”.

Czekali w ciemności, nie odrywając oczu od drabinki. Carson poczuł, że de Vaca niecierpliwie trąca go w ramię, ale uspokoił ją machnięciem ręki. Mimo woli zaczął się zastanawiać, jaki straszliwy patogen jest przechowywany w stojącej zaledwie kilkanaście centymetrów od niego zamrażarce. Mijały sekundy. Oddychał coraz płycej i zaczął się już obawiać, że jego plan skazał ich oboje na śmierć.

Nagle w otworze pojawiła się jedna noga. Carson pociągnął de Vacę w cień. Na drabince ukazała się cała postać w czerwonym skafandrze. Marr zatrzymał się na wysokości drugiego poziomu i rozejrzał wokół, po czym znow zaczął schodzić.

Carson odczekał jeszcze chwilę i ruszył naprzód, a de Vaca za nim. Ostrożnie zajrzał w głąb szybu: pusto. Marr zszedł już na dolny poziom i

dochodził do wartowni. Będzie się teraz poruszał wolniej w obawie, że Carson może być uzbrojony. To dawało im kilka dodatkowych sekund.

Carson na migi pokazał de Vace, żeby weszła po drabince na główny poziom Wylegarni i zaczekała na niego przed służą powietrzną przy wyjściu, a potem szybko pospieszył korytarzem w kierunku zoo.

Szympansy szalały, rozdrażnione nieustannym zawodzeniem syren. Patrzyły na niego gniewnie czerwonymi ślepiami, zawzięcie łomocząc w ściany swoich więzień. Kilka pustych klatek było ponurą pamiętką po ostatnich ofiarach wirusa.

Carson podszedł bliżej i trzymając się poza zasięgiem małych rąk, po kolei powyjmował zawleczone mocujące drzwi klatek. Rozwścieczone jego obecnością zwierzęta zaczęły łomotać i wrzeszczeć ze zdwojoną energią. Skafander Carsona zdawał się wibrować od ich przeraźliwych krzyków.

„Macie siedem minut na opuszczenie terenu”.

Carson wybiegł z zoo i ruszył korytarzem do wyjścia. Widząc go, de Vaca otworzyła drzwi służby i oboje weszli do komory odkażania. Kiedy ze spryskiwaczy popłynął żółty płyn, Carson stanął przy drzwiach, zaglądając przez szklany wizjer do środka Wylegarni. Wiedział, że do tej pory szympansy zdążyły już otworzyć drzwi i wydostały się z klatek.

Wyobraził sobie te chore i wściekłe stworzenia biegające po ciemnych pomieszczeniach i korytarzach, schodzące po drabince...

„Macie pięć minut na opuszczenie terenu”.

Nagle uświadomił sobie, że skończyło mu się powietrze. Obrócił się do de Vaki i przyłożył dłoń do szyi. Gdyby nadal próbowali oddychać, wciągaliby do płuc dwutlenek węgla.

Żółtawa ciecz przestała płynąć i otworzyły się drzwi wyjściowe. Carson wszedł do służby powietrznej, ze wszystkich sił starając się nie oddychać. Gdy potężne dmuchawy ożyły z rykiem, jego płuca bolesnymi skurczami zaczęły domagać się tlenu. Oparł się o ścianę i spojrzał na de Vacę. Pokręciła głową.

Czyżby to był huk strzału? W szumie dmuchaw prawie nic nie było słychać.

Po chwili otworzyły się drzwi ostatniej służby i oboje wtoczyli się do szatni. Carson pomógł Susanie zdjąć hełm, po czym gwałtownie zerwał z głowy swój. Upuścił go na podłogę, spazmatycznie wciągając w płuca świeże powietrze.

„Macie trzy minuty na opuszczenie terenu”.

Uwolnili się z kombinezonów i opuścili szatnię, a potem przeszli

przez hol do windy.

- Mogą tam na nas czekać - mruknął Carson, kiedy jechali w górę.

- Nie ma mowy - wysapała de Vaca. - Wszyscy uciekają stąd, ile sił w nogach.

Hol na górze był ciemny i pusty. Przebiegli przez korytarz i atrium, po czym przystanęli przy drzwiach. Carson uchylił je i przez szparę wpadło do środka rozpaczliwe wycie syren. Rozejrzał się na boki, wyśliznął na zewnątrz i skinął na de Vacę.

W Mount Dragon panował chaos. Carson zauważył grupki wrzeszczących na siebie ludzi. W kręgu światła przed kompleksem mieszkalnym stało kilku naukowców - niektórzy byli tylko w piżamach. Carson dostrzegł wśród nich Harpera wygrażającego pięścią. W błędzących promieniach reflektorów widział ciemne sylwetki biegających wokół ludzi.

Szybko przeszli przez niestrzeżoną bramkę w wewnętrznym ogrodzeniu i skryli się w cieniu sterylizatora powietrza. Carson spojrzął na przeciwległy koniec ośrodka, gdzie znajdował się parking. Pół tuzina uzbrojonych strażników pilnowało jasno oświetlonych hummerów. W środku tej grupki stał Nye. Carson zobaczył, że szef ochrony wskazuje ręką w kierunku Wylegarni.

- Do stajni! - krzyknął Carson do ucha de Vaki.

Konie były zaniepokojone hałasami. De Vaca wyprowadziła je z boksów, a Carson pobiegł po derki i siodła. Kiedy trzymając je w rękach odwrócił się do Roscoe, nagle ziemia zatrzęsa mu się pod nogami. Oślepiający błysk światła rozjaśnił wnętrze stajni. Stłumionemu stęknieniu eksplozji towarzyszył przeciągły, narastający łoskot. Po-dmuchał zakółsał stajnię, wduszając do środka okna, z których posypały się drzazgi i odłamki szkła. Wierzchowiec de Vaki stanął dęba z przerażenia.

- Wszystko w porządku, kolego - mruczała uspokajająco de Vaca, mocno trzymając wodze i głaszcząc konia po szyi.

Carson szybko rozejrzał się wokół, zobaczył juki Nyea, złapał je i rzucił de Vace.

- W środku powinny być manierki. Napełnij je wodą z poidła! -zawołał, zarzucając koc na grzbiet konia i sięgając po siodło.

Kiedy wróciła biegiem, już zacisnął popręg Roscoe i rzemieniami przymocował juki do siodła. De Vaca osiodłała swojego wierzchowca.

- Zaczekaj chwilę - powiedział.

Podbiegł do wieszaka i zerwał z niego dwa kapelusze. Potem wrócił, dosiadł konia i wyjechali przez otwarte drzwi.

Żar płomieni buchnął im w twarze, gdy przystanąli, patrząc na ogrom zniszczeń. Pawilon filtrów stojący nad Wylęgarnią znikł w głębokim kraterze, z którego strzelały w niebo jezory płomieni. Betonowy dach budynku administracji zapadł się, w jego wnętrzu widać było czerwoną poświatę. W kompleksie mieszkalnym w wybitych oknach powiewały zasłony. Z budynku sterylizatora powietrza z rykiem tryskały płomienie, nadając piaskom jaskrawopomarańczową barwę.

Wybuch wyrządził znaczne szkody w całym ośrodku, zrywając dach kantyny i przewracając płot na dość długim odcinku.

- Za mną! - zawołał Carson, bodąc konia piętami. Przemknęli w ogniu i dymie do wyrwy, przeskoczyli nad poskręcanyimi drutami przewróconego płotu i pogalopowali przez pustynię.

Gdy odjechali kilometr od ośrodka, zostawiając za plecami łunę pożaru, Carson zwolnił do kłusa.

- Przed nami daleka droga - oświadczył, gdy de Vaca się z nim zrównała. - Lepiej oszczędzajmy wierzchowce.

W tym momencie ruinami budynku administracji wstrząsnęła kolejna eksplozja i z pozostałej po Wylęgarni dziury w ziemi uniosła się w niebo kula ognia. Po pustyni przetoczyło się jak echo kilka słabszych wybuchów: laboratorium transfekcyjne rozsypało się w proch, a ściany kompleksu mieszkalnego popękały i runęły.

W Mount Dragon pogasły światła i tylko migotliwa poświata płonących budynków znaczyła miejsce, gdzie wznosił się ośrodek.

- Już po moim przedwojennym bandzo - westchnął Carson. Kiedy obracał Roscoe z powrotem ku ścianie ciemności, dostrzegł

cienkie strumienie światła przecinające mrok. Wydawały się zbliżać ku nim, raz po raz znikając im z oczu i podskakując na wyboistym terenie. Nagle włączyły się światła szperaczy, przeszywając ciemność długimi włóczniami złotego światła.

- *Quechinga a* - mruknęła de Vaca. - Hummery wyszły cało z eksplozji. Nigdy nie uciekniemy tym draniom.

Carson nic nie powiedział. Przy odrobinie szczęścia wymkną się hummerom. Bardziej niepokoiło go co innego: prawie nie mieli wody.

Scopes siedział samotnie w swoim apartamencie, zastanawiając się nad sytuacją.

Carson i de Vaca byli już właściwie unieszkodliwieni. Nie mogli daleko uciec. Przejął transmisję i niemal natychmiast przerwał strumień przekazywanych przez Carsona danych. Ale program alarmowy, który wykorzystał do wytropienia źródła przecieku, nie zatrzymał pierwszej

części przekazu. Bardzo możliwe, że Levine - lub ktoś, kto pomagał mu włamać się do sieci GeneDyne - odebrał przerwana wiadomość. Jednak Scopes podjął odpowiednie kroki, aby podobne wtargnięcie już nigdy nie miało miejsca. Może były to drastyczne kroki, ale konieczne. Szczególnie w tak decydującej chwili.

W każdym razie tylko mała część danych wymknęła się na zewnątrz. A to, co wysłał Carson, nie miało sensu. Dotyczyło wyłącz-nie PurBlood. Nawet gdyby Levine otrzymał te dane, nie dowie-działby się z nich niczego ciekawego o X-FLU. Poza tym był teraz tak skompromitowany, że nikt nie będzie go słuchał, cokolwiek by mówił.

Scopes był przekonany, że całkowicie panuje nad sytuacją. Mógł nadal działać zgodnie z planem. Nie miał żadnych powodów do obaw.

Skąd więc brał się ten dziwny niepokój?

Siedząc na sfatygowanej kanapie, zastanawiał się nad przyczyną te-go niepokoju. Było to obce mu uczucie, a więc bardzo interesujące. Jak mógł tak bardzo pomylić się w ocenie Carsona? Zdradę de Vaki potrafił zrozumieć, zwłaszcza po incydencie w piątym laboratorium. Jednak Carson był ostatnią osobą, którą podejrzewałby o szpiegostwo przemy-słowe. Kogoś innego taka zdrada mogłaby rozwścieczyć, ale Scopes czuł tylko smutek. Ten chłopak był taki bystry. A teraz Nye będzie mu-siał go załatwić.

Nye... To przypomniało mu o czymś. Niejaki pan Bragg z OSHA zostawił tego dnia dwie wiadomości, dopytując się, co dzieje się z ich inspektorem Teece'em. Będzie musiał poprosić Nyea, żeby to sprawdził.

Znów pomyślał o pliku danych, które próbował wysłać Carson. Nie było tego wiele i nie przejrzał ich dokładnie. Kilka dokumentów doty-czących PurBlood. Przypomniał sobie, że niedawno Carson i de Vaca weszli w archiwum, przeglądając dane dotyczące PurBlood. Skąd to nagle zainteresowanie? Czyżby zamierzali sabotować PurBlood tak sa-mo jak X-FLU? I dlaczego Carson powiedział, że wszyscy wymagają natychmiastowej pomocy lekarskiej?

Powinien dokładniej się temu przyjrzeć. Być może powinien uważ-nie przejrzeć przesyłane dane, a także sprawdzić działalność Carsona w ciągu kilku ostatnich dni. Może znajdzie na to czas wieczorem, po załatwieniu ważniejszych spraw.

Spojrzał na gładką powierzchnię czarnego sejfu osadzonego w prze-ciwległej ścianie. Został wbudowany, ściśle według jego wskazówek, w stalowy szkielet budynku. Tylko on mógł go otworzyć i gdyby jego serce nagle przestało bić, nikt nie zdołałby go otworzyć

inaczej jak za pomocą dynamitu, który zatarłby wszystkie ślady. Kiedy przypomniał sobie, co znajduje się w środku, natychmiast zapomniał o niepokoju. Hermetyczny pojemnik na niebezpieczne substancje, niedawno do-starczony z Mount Dragon wojskowym helikopterem, a w nim zato-piona szklana ampulka wypełniona azotem, ze specjalnym podłożem do przewożenia wirusów. Scopes wiedział, że gdyby obejrzał ampulkę z bliska, dostrzegłby w niej obłoczek zawiesiny. To zadziwiające, że tak zwyczajnie wyglądająca rzecz może być tyle warta.

Spojrzał na zegarek. Dwudziesta druga trzydzieści.

Stojący obok kanapy monitor zaczął świecić i wielki ekran rozjaśnił się, pokazując dane z odkodowanego przekazu satelitarnego. Potem pojawiła się krótka wiadomość:

Nawiązano połączenie TELINT-2,

szyfrowane metodą mniej znaczącego tytułu.

Proszę rozpocząć transmisję.

Wiadomość zniknęła i na ekranie pojawiła się kolejna:

Panie Scopes: Jesteśmy gotowi złożyć ofertę w wysokości trzech miliardów dolarów. Ta suma nie podlega negocjacji.

Scopes położył sobie klawiaturę na kolanach i zaczął pisać. W porównaniu z konkurencyjnymi firmami wojskowi to przyszcz, pomyślał.

Szanowny generale Harrington: Każdą sumę można negocjować. Jestem gotowy przyjąć cztery miliardy za produkt, o którym mowa. Daję panu dwanaście godzin na niezbędne przygotowania.

Uśmiechnął się do siebie. Wszystkie następne negocjacje będzie prowadził z innego miejsca. Sekretnego miejsca, w którym czuł się lepiej niż w zwyczajnym świecie. Znowu zaczął pisać i gdy wprowadził sekwencję poleceń, na olbrzymim ekranie pojawił się dziwny, niezemski krajobraz. Pisząc, Scopes prawie bezgłośnie recytował swój ulubiony fragment *Burzy*.

Nicze w nim nie umarło Jeno jak fala się zmienia bogactwem dziwnych przemian.

Levine siedział na skraju wyblakłej amerykańki, wpatrując się w stojący na poduszce telefon. Aparat miał ciemnowiśniowy kolor, a na słuchawce namalowany białymi literami napis: „WŁASNOŚĆ HOLIDAY INN W BOSTONIE, MA”. Wcześniej całymi godzinami rozmawiał przez ten telefon, krzycząc, namawiając, prosząc. Teraz nie miał już nic do

powiedzenia.

Powoli wstał, rozprostował zdętwiałe nogi i podszedł do rozsuwanych szklanych drzwi. Lekki wietrzyk wydymał zasłony. Levine wyszedł na balkon, stanął przy balustradzie i wciągnął w płuca nocne powietrze. W ciepłym mroku migotały światła Jamaica Plain jak garść diamentów niedbale rozrzuconych po ziemi. Po ulicy na dole przejechał samochód, oświetlając reflektorami nędzne czynszówki i opuszczone stacje benzynowe.

Zadzwoił telefon. Zaskoczony tym, że ktoś do niego dzwoni, Levine przez chwilę stał nieruchomo, spoglądając na aparat. Potem wszedł do pokoju i podniósł słuchawkę.

- Halo? - powiedział głosem ochrypłym od wielogodzinnych rozmów.

W głośniczku usłyszał charakterystyczny szum modemu.

Szybko odłożył słuchawkę na widelki. Podłączył komputer do gniazdka telefonicznego i włączył laptopa. Telefon zadzwonił ponownie, a potem rozległy się szумы i trzaski.

Czotem, profesorku. - Słowa te pojawiły się na ekranie niepoprzedzone zwykłym logo Mima. - *Zaktadam, że nadal mogę nazywać cię profesorem, prawda?*

Jak mnie znalazłeś? - wystukał Levine.

Bez problemu - padła odpowiedź.

Godzinami wisiałem na telefonie, rozmawiając z każdym, kto mi przy-szedł do głowy - napisał Levine. - *Z kolegami, znajomymi w agencjach rządowych, reporterami, nawet z byłymi studentami. Nikt mi nie wierzy.*

Ja ci wierzę.

Wykonali dobrą robotę. Jeśli nie dowiodą mojej niewinności, na zawsze stracą wiarygodność.

Nie łam się, profesorze. Dzięki mnie przynajmniej zawsze możesz liczyć na dobre notowania w banku.

Jest tylko jedna osoba, z którą nie rozmawiałem: Brent Scopes. On będzie następny.

Jedną chwileczkę, człowieku! - odpisał Mim. - *Nawet jeśli zdołasz się z nim skontaktować, wątpię, czy zechce cię teraz wysłuchać.*

Zobaczmy. Muszę już kończyć, Mimie.

Momencik, profesorze. Nie połączyłem się z tobą tylko po to, żeby ci skfadać kondolencje. Kilka godzin temu twój kowboj Carson próbował przestać ci wiadomość. Transmisja niema/ natychmiast została prze-

rwana i zdotatem uratować tylko jej początek. Myślę, że powinieneś to przeczytać. Gotowy do odbioru?

Levine potwierdził.

W porządku - padła odpowiedź. - Już wysyłam.

Levine spojrział na zegarek. Była za dziesięć dwunasta.

Carson i de Vaca jechali przez aksamitną ciemność Jornada del Muer-to, nad ich głowami płynęła bezkresna rzeka gwiazd. Teren lekko opa-dał i wkrótce znaleźli się na dnie suchego parowu, w którym konie zapa-dały się po pęciny w miękkim piasku. Gwiazdy świeciły wystarczająco jasno, aby oświetlić ziemię pod nogami. Carson wiedział, że gdyby wszedł księżyc, natychmiast by ich znaleziono. Jadąc parowem, gorączkowo rozmyślał.

- Będą się spodziewali, że pojedziemy na południe, w kierunku Radium Springs i Las Cruces - powiedział w końcu. - To najbliżej leżące miasta, nie licząc Engle, które i tak jest własnością GeneDyne. Jakieś sto dwadzieścia kilometrów stąd. Trzeba czasu, żeby wytropić kogoś na pustyni, szczególnie na zastygłej lawie. Na miejscu Nye'a jechałbym po śladach, aż upewniłbym się, że wiodą na południe. Potem posłałbym ludzi w hummerach.

- To ma sens - przyznała de Vaca.

- Spełnimy jego oczekiwania. Skierujemy się na południe, jakbyśmy jechali do Radium Springs. Kiedy dotrzemy do Malpais, wjedziemy na pas lawy, na którym trudno znaleźć ślady. Potem skęcimy pod kątem dziewięćdziesięciu stopni na wschód, przejedziemy kilka kilometrów i pojedziemy w przeciwną stronę. Ruszymy na północ.

- Przecież najbliższe miasto na północy leży w odległości co najmniej dwustu kilometrów.

- Właśnie dlatego powinniśmy tam pojechać. Nigdy nie będą nas tam szukać. I nie musimy jechać aż do miasta. Pamiętasz ranczo Diamond Bar, o którym ci opowiadałem? Znam jego nowego zarządcę. Na południowym krańcu rancza jest chatka. Nazywają to miejsce Lava Camp. Znajduje się mniej więcej sto pięćdziesiąt kilometrów stąd, trzydzieści lub czterdzieści kilometrów od Lava Gate.

- Czy hummery nie pojadą za nami po lawie?

- Wulkaniczne skały są ostre i poszarpałyby na strzępy zwykłe opony - odparł Carson. - Jednak hummery mają centralny system regulujący ciśnienie kół i specjalne opony, które pozwalają przejechać wiele kilometrów nawet po przedziurawieniu. Pomimo to wątpię, aby długo jechali po lawie. Kiedy się upewnią, w jakim kierunku jedziemy,

wrócą na piasek i spróbują przeciąć nam drogę.

Zapadła cisza.

- Warto spróbować - stwierdziła w końcu de Vaca.

Carson skierował konia na południe, a de Vaca poszła za jego przykładem. Gdy wjechali na wzniesienie po drugiej stronie parowu, na północy dostrzegli migoczącą w oddali lunę płonącego ośrodka. W połowie drogi, w spowijających piaski ciemnościach, zobaczyli zbliżające się punkciki świateł.

- Chyba powinniśmy się pospieszyć - mruknął Carson. - Kiedy ich zgubimy, damy koniom odpocząć.

Popędzili wierzchowce do galopu. Pięć minut później wyrosła przed nimi poszarpana krawędź pasma zastygłej lawy. Zsiedli z koni i podprowadzili je do skał.

- Jeśli dobrze pamiętam, to pasmo kieruje się trochę na wschód - powiedział Carson. - Przejdziemy po nim kilka kilometrów, zanim skęcimy na północ.

Poprowadzili konie po skale, idąc wolno i pozwalając zwierzętom wyszukiwać drogę wśród ostrych głazów. Całe szczęście, że konie znacznie lepiej od ludzi widzą w nocy - pomyślał Carson. On nie mógł nawet dostrzec kształtu kamieni pod kopytami Roscoe. Tylko rzadkie kępy juki, płaty porostów i nawianego piasku oraz kępki wyrastającej ze szczelin trawy pozwalały mu odgadnąć wygląd terenu. Trasa, chociaż nadal niełatwa, i tak była łatwiejsza niż na skraju pasma. Nieco dalej Carson widział wielkie skalne bloki sterczące jak bazaltowi strażnicy i przesłaniające gwiazdy.

Ponownie obejrzawszy się za siebie, ujrzał szybko zbliżające się światła hummerów. Samochody zatrzymywały się od czasu do czasu - pewnie Nye wysiadał, żeby obejrzyć ślady Lawa spowolni jazdę, ale nie zatrzyma pogoni.

- A co z wodą? - zapytała nagle de Vaca w głębokich ciemnościach. - Wystarczy nam?

- Nie - odparł. - Będziemy musieli ją znaleźć.

- Tylko gdzie? Carson nie odpowiedział.

Nye stał na pustym parkingu, spoglądając w mrok. Jego poszarpany cień drżał na piasku pustyni. Za jego plecami szalał pożar trawiący resztki Mount Dragon, ale Nye nie zwracał na to uwagi.

Podbiegł do niego jeden z pracowników ochrony, zziębnięty, z twarzą usmarowaną sadzą.

- Sir, za pięć minut skończy nam się woda w węzłach. Czy mamy

skorzystać z rezerwowych zapasów?

- Czemu nie? - odparł machinalnie Nye, nawet na niego nie patrząc.

Znów zawiódł i zdawał sobie z tego sprawę. Carson wymknął mu się z rąk, jednak najpierw zniszczył to, co Nye miał ochraniać. Przez chwilę zastanawiał się, co powie Brentowi Scopesowi, ale zaraz odepchnął od siebie tę myśl. Ta porażka była najgorszą w jego karierze zawodowej, jeszcze gorszą od tamtej, o której nawet już nie pozwalał sobie myśleć. W żaden sposób nie zdoła jej odkupić.

Mógł się jednak zemścić. Carson był za to odpowiedzialny i Carson mu za to zapłaci. I ta hiszpańska suka też. Nie pozwoli im uciec.

Patrzył, jak światła hummerów znikają na pustyni. Pogardliwie wykrzywił usta. Singer to głupiec. Nie da się nikogo wytropić, siedząc w hummerze. Trzeba stawać, wysiadać i oglądać ślady. Szybciej byłoby iść pieszo. Poza tym Carson znał pustynię i znał się na koniach. Pewnie znał też kilka sztuczek. Pasma lawy na Jornadzie przypominały labirynt i trzeba byłoby lat, żeby sprawdzić każdą wysepkę, każdą dziurę. Na płaskim terenie wiatr w kilka godzin zasypie ślady piaskiem.

Nye wiedział o tym wszystkim. Wiedział również, że nie da się całkowicie zatrzeć śladów na pustyni. Zawsze pozostanie jakiś znak, nawet na skale czy piasku. Podczas dziesięciu lat pracy w arabskiej firmie ochroniarskiej na Rub' al-Khali, „pustej ćwiartce”, nauczył się wszystkiego, co człowiek powinien wiedzieć o pustyni.

Rzucił bezużyteczną już krótkofalówkę na piasek i skierował się do stajni. Nie zwracał uwagi na rozpaczliwe krzyki, huki buchających płomieni ani zgrzyt gnącego się metalu. Przyszła mu do głowy nowa myśl. Carson mógł być sprytniejszy, niż przypuszczał. Może nawet okazał się wystarczająco sprytny, aby ukraść lub okaleczyć jego konia Muer-to. Przyspieszył kroku.

Przechodząc przez wyłamane drzwi stajni, odruchowo spojrzął na szafkę, w której trzymał sztucer. Broń nadal tam była, nietknięta.

Nagle zamarł. Wieszak, na którym zwykle wisiały jego stare juki McClellan, był pusty. A przecież zostawił je tam wczoraj. Czerwona mgła zasnęła mu oczy. Carson zabrał juki i dwie pięciolitrowe manierki - żałośnie małą ilość wody na podróż przez Jornada del Muerto. Już samo to skazywało go na śmierć.

Nye nie przejmował się utratą manierek. Ale brakowało jeszcze czegoś, o wiele ważniejszego. Zawsze uważał, że juki są idealnym miejscem dla ukrycia jego sekretu. A teraz Carson je ukradł. Carson

zniszczył mu karierę i zamierzał odebrać ostatnią rzecz, jaka mu pozostała. Nye przez chwilę stał nieruchomo skamieniały z wściekłości.

Potem usłyszał ciche rżenie i jego usta wykrzywiły się w półmiechu. Teraz już wiedział, że zemsta jest nie tylko możliwa, ale pewna.

Gdy jechali na wschód, Carson zauważył, że światła hummerów po-woli zostają coraz dalej z lewej. Pojazdy dojeżdżały do Malpais. Tam, je-śli zbiegom dopisze szczęście, pościg zgubi ślad. Tylko bardzo wprawny tropiciel, idący pieszo, mógłby odnaleźć go na wulkanicznych skałach. Nye był dobry, ale nie tak dobry, aby pójść po końskich śladach na ska-mieniałej lawie. Kiedy zgubi trop, założy, że pojechali na skrót i na-dal zmierzają na południe. Poza tym, będąc pod wpływem rozkładającego się w jego żyłach PurBlood, z każdą chwilą stawał się mniej groźny - dla wszystkich prócz samego siebie. W każdym razie jesteśmy z de Vaca wolni, pomyślał Carson. Możemy wrócić do cywilizacji i ostrzec świat przed niebezpieczeństwem stosowania PurBlood.

Albo umrzeć z pragnienia.

Dotknął ciężkiej manierki zawieszanej na łuku siodła. Zawierała ponad cztery litry wody - bardzo mały zapas dla człowieka, który zamierza przekroczyć Jornadę del Muerto. Zdawał sobie sprawę z tego, że to tylko jeden z ich problemów.

Zatrzymał konia. Hummery stanęły na skraju pasma lawy, prawie kilometr dalej.

- Znajdźmy jakieś wgłębienie i ukryjmy konie - powiedział. -Chcę mieć pewność, że te hummery pojedą na południe.

Wprowadzili konie do usianej kamykami szczeliny. De Vaca trzymała wodze, a Carson wspiał się na wzniesienie i patrzył.

Zastanawiał się, dlaczego ścigający nie wyłączyli świateł. Z zapalo-nymi reflektorami każdy pojazd był widoczny z odległości kilkunastu kilometrów jak statek liniowy na gładkim oceanie. Dziwne, że Nye o tym nie pomyślał.

Światła pozostawały nieruchome przez minutę czy dwie. Potem zaczęły się zbliżać do krawędzi jezora lawy, gdzie znów się zatrzymały. Przez chwilę Carson się obawiał, że tamci zdołają odnaleźć trop, ale zaraz ruszyli na południe, teraz nieco szybciej. Światła migotały, gdy pojazdy podskakiwały na nierównościach terenu.

Zszedł do de Vaki.

- Jadą na południe - oznajmił.

- Dzięki Bogu.

- Rozważyłem sytuację - powiedział Carson. - Obawiam się, że

woda, którą mamy, wystarczy tylko dla koni.

- A co z nami?

- Na pustyni konie potrzebują dziesięć litrów wody dziennie. Siemdem, jeśli jedzie się tylko nocą. Jeśli wierzchowce padną, jesteśmy zgubieni. Nieważne, ile mielibyśmy wody, nie uszlibyśmy nawet dziesięciu kilometrów po skałach czy piasku. Jeśli jednak przeznaczymy tę wodę dla koni, będziemy mogli przejechać jeszcze dwadzieścia czy trzydzieści kilometrów. A to da nam większe szanse znalezienia wody.

De Vaca milczała w ciemności.

- Będzie nam bardzo trudno powstrzymać się od picia, kiedy zaczniemy odczuwać pragnienie - oświadczył Carson. - Musimy jednak zostawić wodę dla koni. Jeśli chcesz, mogę wziąć twoją manierkę.

- Żebyś sam ją opróżnił? - padła sarkastyczna odpowiedź.

- Kiedy zrobi się ciężko, będzie ci potrzebna ogromna siła wo-li. A wierz mi, że będzie ciężko. Dlatego zanim ruszymy dalej, podam ci jeszcze jedną regułę dotyczącą pragnienia. Nigdy o nim nie mów. Obojętnie jak będzie źle, nie wspominaj o wodzie. Nawet o niej nie myśl.

- Czy to oznacza, że będziemy musieli pić własne siki? - zapytała de Vaca.

W gęstym mroku Carson nie mógł dostrzec, czy mówiła poważnie, czy znów z niego kpiła.

- To zdarza się tylko w książkach. Ale kiedy poczujesz chęć oddania moczu, powstrzymaj się. Gdy tylko twoje ciało odczuje niedobór wody, wchłonie płyn i ta chęć ci przejdzie. Oczywiście w końcu będziesz musiała to zrobić, ale do tego czasu mocz będzie tak zasolony, że i tak nie da się go pić.

- Skąd o tym wiesz?

- Wychowałem się na takiej pustyni.

- Tak - powiedziała de Vaca. - A poza tym miałeś indiańskich przodków.

Carson otworzył usta, żeby jej odpowiedzieć, ale rozmyślił się. Zo-stawi spory na później.

Jeszcze przez kilometr szli po skałach na wschód, powoli prowadząc konie i dając im wybierać drogę. Czasem któryś wierzchowiec potykał się o twardy kamień, krzesząc podkówną iskry. Co kilka minut Carson wspinał się na jakiś głaz i spoglądał na południe. Za każdym razem hummery były dalej. W końcu ich światła znikły.

Carson zastanawiał się, czy powinien powiedzieć de Vace najgorsze. Nawet mając cały zapas wody dla siebie, konie ledwie zdołają

przebyć połowę odległości dzielącej ich od celu. Muszą znaleźć gdzieś wodę.

Nye zapiął popręg i sprawdził, czy siodło jest dobrze umocowane na grzbiecie Muerto. Wszystko było w porządku. Sztucer tkwił w olstrze przyczepionym pod prawym kolanem, skąd mógł wydobyć go jednym płynnym ruchem. Metalowa tuba zawierająca topograficzną mapę USGS w skali 1:24000 również znajdowała się na swoim miejscu.

Umocował juki i zapakował do nich amunicję. Potem napełnił dwa płaskie, dwudziestolitrowe bukłaki wodą i przerzucił je przez łęk, tak by zwisały po bokach. Było to dodatkowe obciążenie, ale niezbędne. Być może wcale nie musiał tropić Carsona. Mizerny zapas wody, jaki mieli uciekinierzy, wykona robotę za niego. Jednak chciał zobaczyć ich zwłoki, aby upewnić się, że jego tajemnica znów należy wyłącznie do niego.

Przywiązał do siodła mały worek z bochenkiem chleba i dwukilogramowym kręgiem sera cheddar. Sprawdził latarkę, a potem umieścił ją w jukach wraz z garścią zapasowych baterii.

Działał metodycznie. Nie musiał się spieszyć. Muerto był bardzo wytrzymałym koniem i był w znacznie lepszej formie od zwierząt, które zabrał Carson. Tamci z pewnością już zmęczeni konie, jadąc galopem, aby umknąć przed hummerami. To kiepski początek. Tylko głupcy i hollywoodzcy aktorzy galopują na koniach. Jeśli Carson i ta kobieta chcieli przebyć pustynię, powinni podróżować powoli. Kiedy ich koniom zabraknie wody, zaczną zwalniać. Nye ocenił, że bez wody, nawet jadąc tylko nocami, przejadą najwyżej sześćdziesiąt kilometrów. O połowę mniej, jeżeli spróbują jechać za dnia. A każde zwierzę leżące nieruchomo na piasku pustyni - czy choćby poruszające się wolno i niepewnie - natychmiast zwabi stado sępów. Dzięki temu szybko ich znajdzie.

Oczywiście wcale nie musi czekać, aż sępy mu powiedzą, gdzie szukać zbiegów. Tropienie to zarówno sztuka, jak i nauka, tak jak muzyka czy fizyka jądrowa. Wymaga sporej praktycznej wiedzy oraz intuicji. Pracując w „pustej ćwiartce”, wiele się nauczył. I uzupełnił tę wiedzę przez lata przeszukiwania Jornada del Muerto.

Ostatni raz sprawdził wyposażenie. Dosiadł konia i wyjechał ze stajni, jadąc po dobrze widocznych w blasku pożaru śladach kopyt pozostawionych przez wierzchowce Carsona i de Vaki. W miarę jak oddalał się od płonącego ośrodka, robiło się coraz ciemniej. Od czasu do czasu włączał latarkę i sprawdzał biegnące na południe ślady. Tak jak przypuszczał, jechali galopem. Wspaniale. Każda minuta galopowania skracała o kilometr dystans, jaki zdołają przebyć ich konie. Zostawiali

trop, którym nawet dureń mógł podążyć. I dureń nim podążyła - po-myślał z rozbawieniem Nye, spoglądając na liczne, bezładnie krzyżujące się ślady opon hummerów jadących za zbiegami.

Na chwilę przystanął w ciemności. Ktoś wyszeptał jego imię. Obrócił się w siodle, szukając źródła tego głosu w otaczającej go pustce. Potem znów puścił konia powolnym kłusem.

Czas i pustynia były po jego stronie.

Carson przystanął na drugim końcu jezora lawy i spojrzął na północ. Niebo przecinała długa wstęga Drogi Mlecznej opadająca za horyzont. Dryfowali w morzu ciemności. Odległa czerwona luna na północy znaczyła położenie Mount Dragon. Migające światła na wieży rada-rów zgasły, kiedy przestały pracować generatory.

Carson wdychał unoszący się wokół zapach suchej trawy i *chamisa*, zmieszany z chłodem pustynnej nocy.

- Schodząc ze skał, będziemy musieli zatrzeć nasze ślady - oświadczył.

De Vaca wzięła wodze obu koni i poszła przodem. Sprowadziła je ze skały w mrok. Carson poszedł za nią do skraju skał, a potem odwrócił się, zdjął koszulę i zaczął zacierać nią ślady swoje i koni. Robił to powoli i dokładnie. Wiedział, że nie zdoła ich całkowicie zatrzeć, ale i tak wynik był całkiem niezły. Ludzie w hummerach przejechaliby tędy, niczego nie dostrzegając.

Zatarł ślady na odcinku pięćdziesięciu metrów, po czym wstał, otrzepał koszulę i włożył ją. Wszystko to zajęło mu dziesięć minut.

- Na razie wszystko w porządku - powiedział, dochodząc do de Vaki i dosiadając konia. - Teraz skierujemy się na północ. Przejedziemy w odległości pięciu kilometrów od Mount Dragon.

Spojrzął w niebo, szukając Gwiazdy Polarnej. Puścił Roscoe spokojnym, łagodnym kłusem, zapewniającym najefektywniejsze tempo podróży. De Vaca zrobiła to samo. Carson zerknął na zegarek. Mieli cztery godziny do świtu, co oznaczało trzydzieści sześć kilometrów, jeśli utrzymają równe tempo. W ten sposób do celu zostanie im jeszcze prawie sto. Carson ponownie wciągnął nosem powietrze. Ostry zapach wskazywał, że nad ranem można oczekiwać rosy.

Podróżowanie w dzień nie wchodziło w rachubę. A to oznaczało, że muszą znaleźć jakąś kryjówkę, gdzie konie będą mogły schować się przed słońcem i znaleźć trochę trawy.

- Mówiłaś, że twoi przodkowie przebyli tę drogę w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym ósmym - rzucił w ciemność.

- Zgadza się. Dwadzieścia dwa lata przed lądowaniem w Plymouth Rock.

Carson zignorował przytyk.

- Czy nie mówiłaś coś o jakimś źródle? - zapytał.

- Ojo del Aguila. Ruszyli przez Jornadę i zabrakło im wody Apacz pokazał im ukryte źródło.

- Gdzie to było?

- Nie wiem. Później zapomniano o nim. Zdaje się, że w jaskini u podnóża gór Fra Cristóbal.

- Jezu, pasmo Fra Cristóbal ma prawie sto kilometrów długości!

- Kiedy słuchałam tej opowieści, nie planowałam wycieczki po pustyni, no nie? Pamiętam, że źródło było w jaskini, tak mówił mój *abuelito*. Woda wypływała tam i zaraz znów znikwała w ziemi.

Carson pokręcił głową. Pasma zastygłej lawy i góry były usiane ja-skiniami. Nigdy nie znajdują źródła, które nie wypływa na powierzchnię, gdzie mogłoby podtrzymać życie jakichś roślin.

Jechali dalej. W mroku słychać było tylko cichy brzęk sprzączek i skrzypienie skórzanej uprząży. Carson jeszcze raz spojrział w gwiazdy. Była piękna, bezksiężycowa noc. W innych okolicznościach cieszyłby się przejażdżką. Znów wciągnął nosem powietrze. Tak, nad ranem na pewno będzie rosa. W myślach dodał piętnaście kilometrów do odległości, jaką przejadą bez wody.

Levine przejrzał ostatnią stronę niedokończonyj transmisji Carsona, a potem szybko zapisał dane.

Mimie, jesteś tego pewien? - napisał.

Tak - przyszła odpowiedź. - Scopes był bardzo sprytny. Odkrył mój wtam i umieścił w systemie przekaźnik, który wszczął alarm, kiedy Carson próbował transferu.

/Mimie, mów po angielsku.

Ten podstępny drań zastawił pułapkę na moim kanale dostępu i Carson wpadł w nią, padając na swoją wirtualną twarz. Jednak jego prze-rwana transmisja pozostała w sieci. Zdołałem ją odzyskać.

Czy zostałeś zdemaskowany? - napisał Levine.

Zdemaskowany? Ja? (ROFL)

(ROFL)? Nie rozumiem.

Skrót od „tarzam się ze śmiechu po podłodze”. Zbyt dobrze jestem ukryty. Każdy, kto będzie chciał mnie znaleźć, utknie w gąszczu pa-kietów wiadomości. Jednak Scopes najwidoczniej nawet nie próbuje mnie znaleźć. Wprost przeciwnie. Wykopał fosę wokół GeneDyne.

Fosę? Co masz na myśli? - zapytał Levine.

Fizycznie uniemożliwił wszelkie połączenia sieciowe z główną kwaterą GeneDyne. Nie można połączyć się z tym budynkiem przez telefon, faks ani modem. Wszystkie połączenia ze światem zewnętrznym zo-stały odcięte.

Jeśli te dane są prawdziwe, to PurBlood jest straszliwą trucizną, a sam Scopes ofiarą. Sądziś, że on o tym wie? Czy to dlatego od-ciął łączność?

Niemożliwe - nadeszła odpowiedź Mima. - Widzisz, kiedy zauważyłem, że Carson usiłuje skontaktować się z nami, natychmiast wszedłem do cyberprzestrzeni GeneDyne. Po chwili zorientowałem się, co się stało. Zrozumiałem, że nasz kanał łączności został odkryty. Nie mogłem się wylogować, gdyż zdradziłbym w ten sposób moją obecność. Tak więc przyłożyłem ucho do drzwi i słuchałem, co się dzieje. Dowiedziałem się kilku interesujących rzeczy, zanim Scopes przeciął wszelką łączność.

Na przykład?

Na przykład tego, że Carson najwidoczniej na odchodne wyciął Scopesowi niezty numer. Przynajmniej tak mi się zdaje. Piętnaście minut po tym, jak Scopes przerwał jego transmisję, nastąpiło całkowite za-lamanie sieci i wszelka łączność z Mount Dragon została przerwana.

Scopes przeciął łączność z Mount Dragon?

Wprost przeciwnie, profesorze. Jego główna kwatera rozpaczliwie usiłowała przywrócić łączność. Taki ośrodek jak Mount Dragon na pewno miał dodatkowe zabezpieczenia umożliwiające działanie sieci w każ-dej sytuacji. To, co się tam stało, miasto taki zasięg, że załatwiło wszystko. Wygląda na to, że doszło tam do jakiejś poważnej awarii. Kiedy Scopes zrozumiał, że nie zdoła połączyć się z Mount Dragon, wytoczyć sieć GeneDyne.

Muszę skontaktować się ze Scopesem - napisał Levine. - Muszę po-wstrzymać dystrybucję PurBlood. f nikt postronny mi nie uwierzy. Muszę go przekonać.

Nie słuchałeś mnie, profesorze. Scopes fizycznie przerwał wszelką łączność. Dopóki nie uzna, że niebezpieczeństwo minęło, nie przywróci jej. A nie można hakować powietrza, profesorze. Jest tylko...

Co?

Jest tylko jeden kanał łączności z bostońskim oddziałem GeneDyne. Odkryłem go, kręcąc się wokół fosy. To antena satelitarna osobistego serwera Scopesa zapewniająca łączność z satelitą

komunikacyjnym TELJNT-2.

Czy możesz wykorzystać tego satelitę, aby skontaktować mnie ze Scopesem?

Nie da rady. To dedykowane łącze dwustronne. W dodatku ten, z którym komunikuje się Scopes, posługuje się wyrafinowanym programem szyfrującym. To jakiś szyfr blokowy, który na kilometr cuch-nie mi wojskiem. Cokolwiek to jest, nie poradzę sobie z nim, nie dysponując co najmniej Crayem-2. A jeśli to jeden z tych najnowszych szyfrów wojskowych, nawet na takim sprzęcie zajęłoby mi to całe wieki.

Czy to łącze jest często używane?

Od czasu do czasu. Kilka tysięcy bajtów w nieregularnych odstępach.

Levine zastanawiał się przez chwilę. Czyżby Scopes przerwał łącz-ność z powodu PurBlood? Nie, to bez sensu. Co się stało w Mount Dragon? Co z tym śmiertcionośnym wirusem, nad którym pracował Carson?

Nie było innego wyjścia. Musiał porozmawiać ze Scopesem, ostrzec go przed PurBlood. Cokolwiek robił Scopes, z pewnością nie pozwoli, aby tak niebezpieczny preparat został wprowadzony na rynek. To zniszczyłoby jego firmę. A poza tym on też był bestsellerem tego produktu i z pewnością potrzebował niezwłocznej pomocy lekarskiej.

Bezwzględnie muszę porozumieć się ze Scopesem - napisał Levine. -Jak mogę to zrobić?

Jest tylko jedna szansa. /Musisz osobiście wejść do budynku.

Przecież to niemożliwe. Na pewno jest dobrze strzeżony.

Niewątpliwie. Jednak najslabszym ogniwnem każdego systemu zabezpieczeń są ludzie. Przewidziałem, że możesz chcieć to zrobić, i już poczyniłem pewne przygotowania. Kilka miesięcy temu, kiedy zaczą-łem hakować dla ciebie sieć GeneDyne, pobrałem z niej plany budyn-ków i zabezpieczeń. Jeśli zdołasz dostać się do środka, może uda ci się pogadać ze Scopesem. Najpierw jednak muszę załatwić pewną drobną sprawę.

Ja nie jestem hakerem, Mimie. Musisz tam pójść ze mną.

Nie mogę.

Na pewno jesteś gdzieś w Ameryce Północnej. Gdziekolwiek przeby-wasz, wystarczy pięć godzin lotu, żebyś był w Bostonie. Zapłacę za bilet.

Nie.

Dlaczego, do diabła?

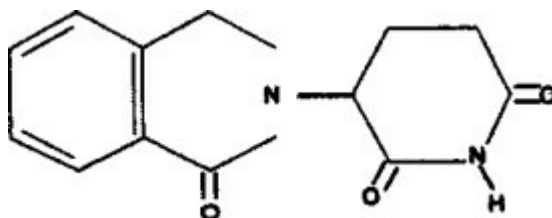
Po prostu nie mogę.

Mimie, to już nie jest gra. Od tego zależą tysiące istnień.

Posłuchaj mnie, profesorze. Pomogę ci dostać się do budynku. Pokażę ci, jak skontaktować się ze mną, kiedy tam będziesz. Jeśli chcesz dotrzeć do Scopesa, trzeba będzie złamać kilka systemów zabezpieczeń. Nie da się tego zrobić w realnej przestrzeni. Będziesz musiał odbyć tę podróż w cyberprzestrzeni, profesorku. Prześlę ci programy narzędziowe, które napisałem specjalnie z myślą o GeneDyne. Dzięki nim powinieneś dostać się do sieci.

Muszę mieć cię u mego boku, a nie na końcu linii telefonicznej. Mi-mie, nigdy nie sądziłem, że okażesz się tchórzem. Musisz...

Ekran zgasł. Levine czekał niecierpliwie, zastanawiając się, co też za hakerską sztuczkę zamierza pokazać mu Mim. Nagle pojawił się obraz:



Levine tęym wzrokiem wpatrywał się w ekran. Obraz pojawił się tak niespodziewanie, że dopiero po kilku sekundach zorientował się, że widzi wzór strukturalny związku chemicznego. Znacznie mniej czasu zajęło mu zidentyfikowanie tego związku.

- Mój Boże - szepnął. - Talidomid. Ofiara talidomidu⁹.

Już rozumiał, dlaczego Mim nie może przylecieć do Bostonu. Stało się także jasne, dlaczego tak zawzięcie hakował wielkie firmy farmaceutyczne, dlaczego w ogóle mu pomagał.

Ktoś zapukał do drzwi pokoju.

Levine otworzył je i zobaczył rozczochranego boja w przyciasnej czerwonej liberii. Boj trzymał w ręku wieszak z dwuczęściowym ciemnobrązowym ubraniem owiniętym w plastikowy worek.

- Pański uniform - powiedział.

- Nie... - zaczął Levine i urwał. Podziękował boyowi i zamknął drzwi. Niczego nie oddawał do pralni.

Najwidoczniej Mim przystąpił do działania.

9 Talidomid (Thalidomid, Contergan) - środek nasenny, którego produkty bio-transformacji w ustroju wykazują działanie teratogenne (uszkodzające płód), wycofany z lecznictwa.

Z gmatwaniny śladów na skraju strumienia zastygłej lawy Nye wywnioskował, że Singer zatrzymał tu swoje hummery, a jego ludzie badali okolicę. Wyglądało na to, że kręcili się tu przez jakiś czas, bo bezmyślnie zdeptali ślady Carsona i de Vaki. Potem pojazdy wjechały na głązy. Ci cholerni głupcy nie wiedzieli, że najważniejszą zasadą tropiciela jest nigdy nie zacierać śladów, po których idzie.

Nye przystanął na chwilę. Nagle znów usłyszał ten głos, teraz wyraźniejszy, szepczący do niego z mroku. Carson nie mógł dalej jechać prosto na południe. Wjechał między skały, na pewno skręcił na wschód lub zachód, aby zgubić pogoń. Potem zawróci na północ albo znów ruszy na południe.

Nye szeptem kazał Muerto stanąć. Zsiadł i wszedł na skały, przyświecając sobie latarką. Odszedł kilkaset metrów na zachód od kolein pozostawionych przez hummery, a potem skręcił i wiodąc strumieniem światła po głązach, zaczął szukać śladu końskich podków na skale.

Nic. Musi spróbować z drugiej strony.

Zauważył białą krawędź skały, niedawno ukruszonej końską podkową. Aby mieć pewność, szukał dalej, aż znalazł następny biały ślad na czarnej lawie, a potem jeszcze jeden, obok odwróconego kamienia. Konie potykały się od czasu do czasu, uderzając żelaznymi podkowami o skałę i pozostawiając wyraźny trop. Carson i kobieta skręcili pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i kierowali się na wschód.

Tylko jak daleko pojadą? Czy znów skręcą na południe, czy też na północ? W obu kierunkach nie było wody. Nye widywał wodę na Jornadzie tylko w postaci szybko wysychających kał tworzących się po gwałtownych burzach. Oprócz przelotnego deszczu, który spadł tego dnia, kiedy Nye zaczął podejrzewać, że Carson zamierza poznać jego sekret, od wielu miesięcy nie padało. I prawdopodobnie nie będzie, aż do sierpnia, gdy zacznie się pora deszczowa.

Wydawało się, że uciekający powinni pojechać na południe, gdyż północny szlak był znacznie dłuższy i wymagał pokonania licznych jezorów zastygłej lawy.

Niewątpliwie Carson domyślał się, że ścigający dojdą do takiego wniosku.

„Na północ” - odpowiedział mu głos.

Nye przystanął i nasłuchiwał. Ten głos był znajomy, podszyty charakterystycznym cockneyem, którego nie zdołały wyplenić lata nauki w ekskluzywnych szkołach. Nie wiadomo czemu wydało mu się naj-

zupelniej oczywiste, że go słyszy. Zastanawiał się tylko, czyj to głos.

Wrócił do Muerto i dosiadł go. Lepiej upewnić się co do zamiarów Carsona. Ci dwoje będą musieli w końcu zjechać ze skał na piasek i wtedy odnajdzie ich ślad.

Postanowił najpierw przejechać wzdł północnego skraju pola lawy. Jeśli nie natrafi na trop, przejedzie przez skalne pasmo i wróci wzdłuż południowego krańca.

Pół godziny później znalazł miejsce, gdzie Carson usiłował zatrzeć ślady. A więc głos miał rację: rzeczywiście pojechali na północ. Koszulka Carsona pozostawiła regularny wzór na pofałdowanym przez wiatr piasku. Nye cierpliwie szedł po tym wzorze, aż znów zobaczył ślady kopyt, głęboko odcisnięte w piasku, biegnące prosto jak strzelił w kierunku Gwiazdy Polarnej.

To będzie łatwiejsze, niż przypuszczał. Dogoni Carsona koło półnia. Ze sztucera Holland & Holland położy go z pięciuset metrów. Facet będzie martwy, zanim usłyszy huk wystrzału. Nie będzie żadnej konfrontacji. Jeden czysty strzał z odległości pół kilometra i drugi dla tej sukki. Potem będzie mógł w końcu zająć się jedyną sprawą, jaka te-raz miała dla niego znaczenie: poszukiwaniem złota Mondragóna.

Ponownie wszystko obliczył. Robił to wiele razy, więc wszystkie liczby były znajome i przyjemne. Muł mógł nieść na grzbiecie od dziewięćdziesięciu do stu dwudziestu kilogramów złota - przeszło milion dolarów w złotym kruszcu. Chociaż prawdopodobnie były to złote sztabki sprzed rewolucji i hiszpańskie monety, warte co najmniej dziesięć razy więcej.

Uwolnił się już od Mount Dragon i od Scopesa. Teraz tylko Carson - Carson zdrajca, Carson podły złodziej - stał mu na drodze. Ale jedyna kula rozwiąże ten problem.

O trzeciej nad ranem zrobiło się chłodniej. Carson i de Vaca wjechali na wzniesienie, a potem do rozległej, porośniętej trawą niecki. Uplynęły prawie dwie godziny, od kiedy minęli płonąca na horyzoncie łę Mount Dragon, kierując się na północ. Za sobą nie widzieli żadnych świateł. Hummery znikły na dobre.

Carson ściągnął wodze, zatrzymując konia. Zsiadł i pochylił się, do-tykając źdźbeł trawy. Cieciorka pustynna z dużą zawartością protein, doskonała pasza dla koni.

- Zostaniemy tu przez kilka godzin - rzekł. - Niech zwierzęta się pasą.

- Czy nie powinniśmy jechać dalej, dopóki jest ciemno? -zapytała

de Vaca. - Mogą wysłać za nami helikoptery.

- Nie na poligonie raketowym - odparł Carson. - Poza tym nie zajedziemy daleko w dziennym świetle. Będziemy musieli znaleźć jakąś kryjówkę. Jednak najpierw musimy wykorzystać ranną rosę. Zdziwiłabyś się, ile wody potrafią wchłonąć konie, jedząc pokrytą rosą trawę. Nie możemy zmarnować takiej okazji. Godzina spędzona tutaj da nam dodatkowe piętnaście kilometrów albo więcej.

- Aha - mruknęła de Vaca. - Jakaś indiańska sztuczka. Carson odwrócił się do niej w ciemności.

- To nie było śmieszne nawet za pierwszym razem. Posiadanie indiańskich przodków jeszcze nie czyni mnie Indianinem.

- Chciałeś powiedzieć „rodowitym Amerykaninem” - zakpiła.

- Rany boskie, Susana, Indianie też przybyli tu z Azji. Nie ma czegoś takiego jak „rodowity Amerykanin”.

- Czyżbyś się tłumaczył, *cabrón*?

Carson zignorował ją i zdjął kantar z pyska Roscoe. Najpierw owiął prawą przednią nogę konia, zawiązał sznur, sprawdził, czy trzyma, a potem powtórzył to samo z lewą nogą. Podobnie spętał drugiego wierzchowca. Później odpiął strzemiona i przymocował je do metalowych oczek kantarów, tak że ich końce zwisały blisko siebie.

- Sprytna metoda pętania koni - stwierdziła de Vaca.

- Najlepsza.

- Po co te *cincha*?

- Posłuchaj.

Przez chwilę milczeli. Kiedy konie zaczęły skubać trawę, słychać było ciche pobrząkiwanie, gdy strzemiona uderzały o siebie.

- Zwykle zabieram ze sobą krowi dzwonek - powiedział Carson.

-Ale to działa równie dobrze. W nocnej ciszy pobrząkiwanie słychać na sto metrów. W przeciwnym razie konie mogłyby zniknąć w ciemności i nigdy byśmy ich nie odnaleźli.

Usiadł na piasku, spodziewając się, że de Vaca znów powie coś o Indianach.

- Wiesz co, *cabrón* - nadleciał z mroku jej bezcielesny głos -zaskakujesz mnie.

- Dlaczego?

- No cóż, okazuje się, że jesteś cholernie dobrym towarzyszem podróży po Jornada del Muerto.

Carson zamrugał oczami, słysząc ten niespodziewany komplement i zastanawiając się, czy nie jest to kolejna sarkastyczna uwaga.

- Mamy jeszcze przed sobą długą drogę. Przejechaliśmy zaledwie jedną piątą.

- Wiem, ale bez ciebie nie miałabym żadnych szans.

Carson nie odpowiedział. Czuł, że mają zaledwie pięćdziesiąt procent szans na znalezienie wody. A to oznaczało mniej niż pięćdziesiąt procent szans na przeżycie.

- Więc pracowałeś tu kiedyś na ranchu? - odezwała się znów de Vaca.

- W Diamond Bar - odparł Carson. - Po tym, jak zlicytowano rancho mojego ojca.

- Było duże?

- Tak. Ojciec uważał się za biznesmena, wciąż kupował rancha, sprzedawał je i znów kupował. Przeważnie na tym tracił. Bank przejął czternaście kawałków ziemi, które od stu lat należały do naszej rodziny. I dwieście działek dzierżawionych od państwa. To był ogromny obszar, ale w większości nieużytki. Stada i konie ojca nie miały się gdzie paść.

Położył się.

- Pamiętam, że jako dzieciak sprawdzałem kiedyś ogrodzenie. Zewnętrzne miało sto kilometrów długości, a wewnętrzne jeszcze więcej. Sprawdzaliśmy je razem z bratem przez całe lato, naprawiając po drodze. To dopiero była zabawa. Mieliśmy konie i jucznego muła, który niósł zwoje drutu, gwoździe i kołki. A także śpiwory i trochę żywności. Ten muł to był kawał sukinsyna. Nazywał się Bobb. Przez dwa „b”.

De Vaca zaśmiała się.

- Wieczorami pętailiśmy konie, rozkładaliśmy śpiwory w jakimś zagłębieniu i rozpalaliśmy ognisko. Pierwszego dnia zawsze zjadaliśmy wielkie mrożone steki, które wieźliśmy w jukach. Jeśli były dostatecznie duże, rozmrażały się dopiero wieczorem. Później żywiliśmy się fasolą i ryżem. Po kolacji leżeliśmy, patrząc w gwiazdy i pijąc kawę przy dogasającym ognisku.

Carson zamilkł. Wspomnienia sprzed lat wydawały się snem. A jednak nad głową miał te same gwiazdy, na które patrzył jako chłopiec.

- Utrata tego rancha musiała być dla ciebie ciężkim ciosem - powiedziała cicho de Vaca.

- To była najgorsza rzecz, jaka mi się przytrafiła w życiu. Byłem przywiązany do tej ziemi ciałem i duszą.

Poczuł pragnienie. Pomacał ręką piasek i znalazł kamyk. Otarł go o dżinsy i włożył do ust.

- Spodobał mi się sposób, w jaki zgubiłeś Nyea i pozostałych *pen-*

dejos w hummerach.

- To idioci - odparł Carson. - Naszym prawdziwym wrogiem jest pustynia.

Niepokoilo go jednak trochę, że tak łatwo ich zgubił. Zdumiewająco łatwo. Nawet się nie rozdzielili, żeby przeszukać okolicę, kiedy dotarli do skraju pasa zastygłej lawy. Po prostu pojechali dalej jak stado lemingów. Dziwiło go, że Nye mógł być tak głupi.

Nie. Wcale nie był taki głupi.

Zaczął się zastanawiać, czy szef ochroniarzy w ogóle jechał w którymś z hummerów. Im dłużej o tym myślał, tym mniej wydawało mu się to prawdopodobne. Jeśli jednak nie kierował grupą w samochodach, to gdzie, do diabła, był?

Nagle poczuł ukłucie lęku, bo zrozumiał, że Nye poluje na nich. Nie w głośnym, niezgrabnym Hummerze, lecz na tym swoim wielkim bułanym koniu.

Cholera. Powinien był wziąć tego konia albo przynajmniej włożyć mu gwóźdź pod podkowę.

Przeklinając swój brak przezorności, spojrzął na zegarek. Trzecia czterdzieści pięć.

Nye zatrzymał się i zsiadł z konia, by dokładniej obejrzeć wiodący na północ trop. W silnym świetle latarki widział każde ziarnko piasku, nawet mikroskopijnej wielkości, na brzegach śladów kopyt. Były świeże i wyraźne, pozostawiono je najwyżej przed godziną. Carson jechał dowolnym klusem, nie podejmując następnych prób ich zatarcia. Nye ocenił, że ci dwoje znajdują się około ośmiu kilometrów dalej. O wschodzie słońca zatrzymają się i ukryją gdzieś, gdzie konie będą mogły odpocząć podczas upalnego dnia.

Wtedy ich dopadnie.

Ponownie dosiadł Muerto i popędził go szybkim klusem. Najlepiej będzie dogonić ich tuż przed świtem, zanim zorientują się, że ich ściga. Zajmie stanowisko i zaczeka, aż będzie dość jasno, żeby oddać pewny strzał. Jego koń był w znakomitej formie, trochę spocony z wysiłku, ale nie za bardzo. Mógł utrzymać takie tempo jeszcze przez siedemdziesiąt kilometrów. I miał jeszcze czterdzieści litrów wody.

Nagle coś usłyszał. Szybko zgasił latarkę i zatrzymał Muerto. Z południa nadleciał łagodny wietrzyk, unosząc ze sobą ten dźwięk. Nye uspokoił konia i czekał. Minęło pięć minut, potem dziesięć. Później wiatr nieznacznie zmienił kierunek i Nye usłyszał wyraźne głosy, a potem słaby brzęk, jakby uderzających o siebie strzemion.

Już się zatrzymali. Wydawało im się, że zgubili pościg i mogą odpocząć. Czekał, wstrzymując oddech. Tamten głos - ten inny głos - nie odzywał się.

Nye zsiadł i przeprowadził konia za niewysoką grań. Będzie mógł się tu paść bez obawy, że tamci go zauważą. Potem podkradł się z powrotem na skraj niecki. W zalegającej w dole ciemności słyszał ściszone głosy.

Położył się na brzuchu, oceniając, że od celu dzieli go najwyżej dwieście metrów. Głosy brzmiały teraz wyraźniej. Jeszcze kilka metrów i mógłby podsłuchać, co mówią. Może naradzali się, co zrobią ze złotem. Jego złotem. Ale nie chciał popsuć wszystkiego przez ciekawość.

Chociaż gdyby go zauważyli, dokąd mogli uciec? Wcześniej może nawet zdradziłby im swoją obecność. Oczywiście natychmiast rzucili-by się do ucieczki, nie mając czasu szukać koni. Pościg byłby świetną, chociaż krótką rozrywką. Nigdzie lepiej się nie strzela niż na takim otwartym terenie. Niewiele różniłoby się to od polowania na dzikie kozy w Hejaz. Tylko że dzika koza poruszała się z szybkością dochodzącą do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, a człowiek - dwudziestu.

Polowanie na tego drania Teecea było wspaniałą rozrywką, o wiele lepszą, niż oczekiwał. Burza piaskowa interesująco skomplikowała sprawę i kiedy zostawił Muerto na drodze nadjeżdżającego hummera, pozwoliła mu ukryć się i zaczekać, aż inspektor opuści pojazd. Sam Teece też go zaskoczył. Ten chudy drań okazał się sprytniejszy, niż można by sądzić: skorzystał z szalejącej burzy i uciekał do końca. Może spodziewał się zasadzki. W każdym razie w jego oczach nie było strachu ani błagania o litość. Teraz ten elegancik spoczywał głęboko zakopany w piasku, skąd nie wygrzebią go szpony sępów ani łapy ko-jota. A razem z nim spoczywają jego parszywe sekrety. Nigdy nie do-trą do miejsca przeznaczenia.

Ale to wszystko wydarzyło się całe wieki temu, zanim Carson uciekł ze swoją bezprawnie zdobytą wiedzą. Eksplozja zwolniła Nye'a z lojalności wobec GeneDyne i Scopesa. Teraz nic go już nie powstrzymywało.

Sprawdził czas. Trzecia czterdzieści pięć. Godzina do świtu.

Bostońska filia GeneDyne, główna kwatera GeneDyne International, była postmodernistycznym lewiatanem wznoszącym się na brzegu morza. Chociaż dyrekcja bostońskiego akwarium wciąż narzekała, że przez większość dnia znajduje się w cieniu budynku, sześćdziesięcioletni wieżowiec z czarnego granitu i włoskiego marmuru uważano za

jedną z najładniejszych budowli w mieście. Latem jego atrium zapelniali turyści fotografujący się przed *Mezzoforte* Caldera - największą ruchomą rzeźbą na świecie. I tylko w najzimniejsze dni przed budynkiem nie ustawiały się kolejki ludzi z kamerami w rękach, obserwujących pięć fontann splatających w skomplikowanym, skomputeryzowanym balecie strumienie wody

Jednak największą atrakcją były ekrany wirtualnej rzeczywistości umieszczone na ścianach ogólnodostępnego holu. Mające cztery me-try wysokości i wykorzystujące najnowocześniejszy system projekcyj-ny o wysokiej rozdzielczości ukazywały siedziby GeneDyne w różnych częściach świata: w Londynie, Brukseli, Budapeszcie, Nairobi. Połączone tworzyły jeden zdumiewająco realistyczny krajobraz. Ponieważ obrazy były sterowane komputerowo, nie były nieruchome: drzewa kołysały się na wietrze przed siedzibą w Brukseli, a przed londyńską filią przejeżdżały piętrowe autobusy. Chmury płynęły po niebie rozjaśniającym się i ciemniejącym zgodnie z porą dnia. Kiedy -każdego piętnastego dnia miesiąca - obrazy się zmieniały, lokalne stacje nigdy nie zapominały podać tej wiadomości w swoich serwisach informacyjnych.

Siedzący w samochodzie zaparkowanym na tyłach wieżowca Levine odchylił głowę, spoglądając na szczyt budynku, gdzie fasadę wieńczyła grupa przylegających do siebie prostopadłościanów. Wiedział, że te ostatnie piętra to prywatne dominium Scopesa. Od czasu zdjęcia opublikowanego przed pięcioma laty przez „Vanity Fair” nie dotarł do nie-go żaden reporter. Gdzieś tam, na sześćdziesiątym piętrze, za licznymi posterunkami ochrony i komputerowymi zamkami, znajdował się słynny ośmiokątny apartament Scopesa.

Levine przez chwilę w zamyśleniu patrzył w górę. Potem znów schował głowę do kabiny furgonetki i wrócił do lektury grubego podręcznika zatytułowanego *Telefonia cyfrowa*.

Zgodnie z obietnicą Mim przez ostatnie dwie godziny przygotowywał Levinea, wykorzystując swoje rozległe kontakty w społeczności ha-kerów i sieciowe banki informacji, zonglując strumieniami tajemni-czych danych. Jeden po drugim w drzwiach hotelowego pokoju Levine'a stawali obcy ludzie niczym jakaś współczesna odmiana wesołej kompanii z lasów Sherwood. Byli to przeważnie młodzi chłopcy -łobuziaki i sieroty z informatycznego podziemia. Jeden z nich przy-niósł Levine'owi identyfikator, który zmienił go w niejakiego Josepha ORoarke z New England Telephone Company. Levine rozpoznał się na umieszczonym w identyfikatorze

zdjęciu: dwa lata wcześniej zamieszczono je w „Business Week”. Przyczepił kartę do kieszeni na piersi przy uniformie firmy telefonicznej, który wcześniej przyniósł mu boj hotelowy.

Chłopak z aroganckim uśmiechem na ustach wręczył mu niewielki elektroniczny przyrząd, trochę podobny do pilota otwierającego drzwi garażu. Inny kilka podręczników - biblii złodziei telefonicznych impulsów. W końcu trochę starszy młodzieniec dał mu kluczyki do furgonetki firmy telefonicznej czekającej na dole na parkingu Holiday Inn. Levine miał zostawić kluczyki pod deską rozdzielczą. Młodzian oznajmił, że samochód będzie mu potrzebny około trzeciej nad ranem. Nie wyjaśnił po co.

Mim pozostawał w częstym kontakcie. Przesłał Levine'owi plany budynku i wyjaśnił, co zamierza zrobić, aby umożliwić mu dostęp do wieżowca. W końcu załadował do laptopa Levine'a jakiś długi program wraz z instrukcjami, jak ma go użyć.

Teraz laptop leżał na fotelu obok wyłączony, a Mim znajdował się nie wiadomo gdzie. Levine był zdany sam na siebie.

Zamknął podręcznik i na chwilę przymknął oczy, odmawiając w ciemności cichą modlitwę. Potem wziął laptopa, wysiadł z furgonetki, zatrzasnął drzwi i odszedł, nie oglądając się za siebie. W rześkim morskim powietrzu unosił się słaby zapach diesla. Levine starał się iść spokojnym, niespiesznym krokiem. Pomarańczowy monterski aparat telefoniczny obijał mu się o biodro. Jeszcze raz rozważył w myślach wszystkie możliwe warianty rozmowy, jaką miał za chwilę przeprowadzić. Przełknął ślinę. Było tyle różnych ewentualności, a on był przygotowany tylko na kilka z nich.

Podszedł do nieoznakowanych drzwi na tyłach budynku i nacisnął przycisk dzwonka. Przez dłuższą chwilę panowała cisza i Levine z trudem powstrzymywał chęć wycofania się. Potem usłyszał szum w głośniku i męski głos zapytał:

- Tak?
 - Firma telefoniczna - odparł Levine, siląc się na obojętny ton.
 - O co chodzi?
 - Nasze komputery wykazują nieczynne linie T-1 pod tym adresem - odparł Levine. - Przyjechałem je sprawdzić.
 - Wszystkie zewnętrzne połączenia zostały odcięte - rzekł głos.
- Przejsiowo.

Levine wahał się tylko przez moment.

- Nie możecie wyłączać dzierżawionych łączy. To wbrew prze-

pisom.

- Mamy awarię sieci. Cholera.

- Jak się nazywasz, synu?

- Weiskamp - odparł tamten po dłużej chwili.

- W porządku, Weiskamp. Przepisy wymagają, żeby dzierżawione łącza były czynne po podłączeniu. Powiem ci coś. Nie chce mi się wracać i wypełniać mnóstwa papierów, żeby złożyć na was skargę. Wiem też, że ani ty, ani twój zwierzchnik nie chcecie tłumaczyć się przed FCC. Dlatego założę czasowo terminator na linię. Kiedy podniesiecie system, połączenia zostaną automatycznie przywrócone.

Levine miał nadzieję, że jego słowa brzmią bardziej przekonująco w uszach tamtego niż w jego własnych. Żadnej odpowiedzi.

- W przeciwnym razie będziemy musieli podłączać je ręcznie, z zewnętrznej podstacji, i kiedy uporacie się z awarią, nie od razu będziecie mieli łączność - dodał Levine.

Z głośniczka obok przycisku dzwonka doleciało ciche westchnienie.

- Chciałbym zobaczyć legitymację.

Levine rozejrzał się wokół, dostrzegł obiektyw dyskretnie umieszczonej nad drzwiami kamery i obrócił do niego przyczepiony do kieszeni identyfikator. Czekając, mimo woli zastanawiał się, dlaczego nadano mu nazwisko ORoarke. Miał nadzieję, że choć pochodzi z Brooklynu, potrafi naśladować akcent Irlandczyka z Bostonu.

Rozległ się głośny trzask, a potem odgłos przetaczania jakiegoś przedmiotu. Drzwi uchyliły się i wyrżał z nich wysoki mężczyzna. Długie blond włosy opadały mu na kołnierz szaroniebieskiego uniformu GeneDyne.

- Tędy - powiedział, ruchem głowy wskazując Levine'owi drogę. Mocno ściskając laptopa, Levine zszedł za strażnikiem po długich, żarzewiałych, żelaznych schodkach. Z dołu dobiegał basowy szum dużego generatora. Betonowe ściany były wilgotne.

Strażnik otworzył drzwi z napisem NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY, a potem cofnął się, przepuszczając Levine'a przodem. Levine wszedł do pomieszczenia zastawionego od podłogi po sufit urządzeniami, które uznał za huby sieci komputerowej. Na metalowych stojakach zmagazynowano niezliczone rzędy kart pamięci. Chociaż wiedział, że prawdziwy mózg GeneDyne - potężny superkomputer sterujący globalną siecią - znajduje się gdzie indziej, w tym pomiesz-czeniu były jego trzewia: kable ethernetowe zapewniające

mieszkańcom budynku łączność z ogromnym elektronicznym układem nerwowym.

Pod przeciwległą ścianą zobaczył centralną konsolę sterowania. Na jej końcu siedział drugi strażnik wpatrzony we wbudowany w nią monitor. Odwrócił się do wchodzącego Levine'a.

- Kto to? - zapytał, marszcząc brwi i przenosząc spojrzenie na Weiskampa.

- A jak myślisz, pieprzona wróżka? - burknął Weiskamp -Przy-szedł w sprawie dzierżawionych linii telefonicznych.

- Muszę chwilowo założyć na nie terminator - powiedział Levine, stawiając laptopa na terminalu i szukając na konsoli łącza, które we-dług Mima miało tu być.

- Nigdy o niczym takim nie słyszałem - powiedział strażnik.

- Bo jeszcze nigdy ich nie odcięliście - odparł Levine. Strażnik groźnie zamruczał, słysząc słowo „odcięliście”, ale nie próbował przeszkadzać. Levine w popłochu spoglądał na konsolę.

W myślach słyszał cichy dzwonek alarmowy. Ten drugi strażnik zapowiadał kłopoty

W końcu znalazł port dostępu do sieci. Mim powiedział mu, że główna kwatera GeneDyne ma tak rozbudowaną sieć, że nawet w ubi-kacjach są gniazda wejściowe. Szybko uruchomił laptopa i podłączył go do sieci.

- Co pan robi? - zapytał podejrzliwie strażnik przy terminalu. Wstał i ruszył w kierunku laptopa.

- Wprowadzam programy terminator - odparł Levine.

- Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby któryś z was używał kompu-tera - zauważył strażnik.

Levine wzruszył ramionami.

- Wszystko się zmienia. Teraz wystarczy wysłać sygnał do centra-li i automatycznie wznowicie połączenie.

Na ekranie komputera pojawiło się logo firmy telefonicznej, a po-tem zaczęły przesuwać się rzędy danych. Pomimo zdenerwowania Levine z trudem powstrzymał uśmiech. Mim pomyślał o wszystkim. Podczas gdy na ekranie wyświetlały się fikcyjne dane mające odwrócić uwagę wartowników, do sieci GeneDyne został wprowadzony na-pisany przez niego program.

- Myślę, że powinniśmy zawiadomić o tym Endicotta - oświad-czył drugi strażnik.

Dzwonek alarmowy w głowie Levine'a rozdzwonił się jeszcze

głośniej.

- Daj sobie spokój, co? - burknął zirytowany Weiskamp. - Mam już dość twojego gadania.

- Znasz regulamin, kolego. Endicott powinien wydać zgodę na wszelkie prace wykonywane przez obcy personel.

Laptop zaczął wtykać i ponownie pokazał logo firmy telefonicznej. Levine szybko wyjął wtyk z gniazda sieciowego.

- Widzisz? - zapytał Weiskamp. - Już skończył.

- Sam znajdę drogę - powiedział Levine, gdy drugi strażnik sięgnął po telefon. - Kiedy już uporacie się z awarią, nasza księgowość prześle wam rachunek.

Wrócił na korytarz. Weiskamp nie poszedł za nim. To dobrze. Jednak drugi strażnik, ten podejrzliwy, z pewnością dzwoni już do Endicotta. To niedobrze. Jeśli ten Endicott - kimkolwiek jest - postanowi zadzwonić do firmy telefonicznej i sprawdzić, czy zatrudniają pracownika nazwiskiem ORoarke...

Na szczycie schodów Levine skręcił w prawo, a potem przeszedł przez krótki korytarz. Tuż przed sobą ujrzał szereg słbowych wind, zgodnie z przewidywaniami Mima. Wsiadł do najbliższej i wjechał nią na drugie piętro. Drzwi windy otworzyły się na zupełnie inny świat. Znikły ponure betonowe płaszczyzny i metrowej długości jarzeniówki pod sufitem. Ich miejsce zajęła gruba wykładzina koloru indygo biegnąca od drzwi wind i pokrywająca elegancki korytarz. Niewielkie fioletowe lampki w suficie rzuciły na nią barwne kręgi. Levine zauważył duże czarne panele, w regularnych odstępach rozmieszczone na ścianach. Zaskoczyło go to, ale zaraz zrozumiał, że te czarne prostokąty są w rzeczywistości płaskimi wyświetlaczami, teraz wygaszonymi. W dzień niewątpliwie ukazywały zdigitalizowane dzieła sztuki, numery pięter - wszystko, co tylko można sobie wyobrazić.

Wysiadł z windy i poszedł pustym korytarzem. Minał kolejny róg i dotarł do wind osobowych. Gdy nacisnął przycisk „w górę”, zadźwięczał gong i drzwi jednej z wind otworzyły się z cichym świstem. Po raz ostatni rozejrzał się wokół i wsiadł. Kabinę windy wyłożono tą samą wykładziną, co korytarz. Boczne ściany były zrobione z jasnego, twardego drewna, które Levine uznał za tekowe. Tylna była ze szkła, za którym rozpościerał się wspaniały widok na zatokę. Daleko w dole migały niezliczone światła.

- „Proszę podać numer piętra” - powiedziała winda.

Teraz musiał działać szybko. Odnalazłszy gniazdo wejścia sie-

ciowego pod alarmowym aparatem telefonicznym, wepchnął wtyczkę swojego laptopa do metalowego otworu, pospiesznie włączył zasilanie i wystukał krótkie polecenie:

zastona.

Zaczekał, aż program Mima wyłączy umieszczoną pod sufitem kamerę, nagra dziesięciosekundowy obraz pustej kabiny i puści go w pętli. Teraz kamera będzie pokazywała puste wnętrze - takie, jakie powinno być, gdyby winda naprawdę była zepsuta.

- „Proszę podać numer piętra” - powiedziała winda. Levine wystukał kolejne polecenie:

blokada.

Światła w kabinie przygasły, a potem znów rozbłysły. Drzwi zamknęły się z sykiem. Levine obserwował zapalające się nad drzwiami cyfry sygnalizujące mijane piętra. Minąwszy siódme piętro, winda zatrzymała się.

- „Proszę o uwagę - oznajmiła winda. - Ta kabina jest zepsuta”.

Levine odpiął od pasa pomarańczowy monterski aparat telefoniczny i usiadł, opierając się plecami o drzwi, z laptopem na kolanach. Sięgnąwszy do kieszeni, wyjął elektroniczne urządzenie, które wieczorem przyniósł mu haker, po czym podłączył je do portu szeregowego komputera. Wyciągnął z przyrządu teleskopową antenkę i wystukał następny rozkaz:

snfff.

Ekran rozjaśnił się i niemal natychmiast pojawiła się na nim odpowiedź:

Dobry człowieku! Zakładam, że wszystko poszło dobrze i siedzisz te-raz bezpiecznie w windzie, między siódmym a ósmym piętrem.

Znajdują się między siódmym a ósmym piętrem - potwierdził Levine

- *ale nie jestem pewien, czy wszystko dobrze poszło. Być może zawiadomiono o mojej obecności niejakiego Endicotta.*

Widziałem już to nazwisko - padła odpowiedź. - *Zdaje się, że jest tu szefem ochrony. Chwileczką.*

Ekran znowu ściemniał.

Sprawdziłem aktywność sieci w budynku GeneDyne - oznajmił Mim po kilku minutach. - *W obozie wroga panuje spokój. Jesteś gotowy?*

Tak - odparł Levine.

Bardzo dobrze. Pamiętaj, co ci powiedziałem, profesorku. Tylko Scopes kontroluje komputerowe zabezpieczenie górnych pięter budynku.

A to oznacza, że musisz wtargnąć do jego prywatnej cyberprzestrzeni. To będzie coś, czego nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić. Oprócz tych kilku roboczych obrazów, które pokazał przed laty w Center for Advanced Neurocybernetics, nikt nic o niej nie wie. Mówił wtedy o nowej metodzie, którą zamierza wykorzystać. Nazwał ją „cyfroprzestrzenią”. Miało to być swoiste trójwymiarowe środowisko, jego prywatna baza, z której do woli mógłby surfować po sieci. Od tego czasu - ci-sza. Domyślałam się, że stworzył coś tak ciekawego, że postanowił za-chować to dla siebie. Przeglądając pliki kompilatora, dowiedziałem się, że ten program ma piętnaście milionów linii kodu. To programowy mount everest, profesorku. Wiem, gdzie znajduje się serwer cyfroprzestrzeni, i mogę ci dostarczyć narzędzie nawigacyjne, które za-pewni ci do niego dostęp. Jednak nic poza tym. Musisz być w budynku, żeby to zrobić.

A nie możesz mi towarzyszyć poprzez to łącze?

Nie - padła odpowiedź. - Przytaczany do twojego laptopa wielokie-runkowy port podczerwieni pozwala nam porozumiewać się jedynie przez standardową sieć i tylko z tego jednego aktywnego miejsca. We-wnętrzny terminal nadawczo-odbiorczy GeneDyne znajduje się na siódmym piętrze, w niewielkiej odległości od windy. Dlatego kazatam ci się ulokować właśnie tam.

Nic więcej nie możesz mi powiedzieć?

Mogę ci powiedzieć, że przy mocy obliczeniowej, jakiej wymaga pro-gram Scopesa, obliczanie trajektorii rakiet taktycznych to fraszka. Jego cyfroprzestrzeń wymaga twardych dysków o terabajtowych pojemnościach. To typowe dla rozbudowanych plików wideo. Ta przestrzeń może być znacznie bardziej realistyczna, niż sobie wyobrażasz.

To mało prawdopodobne na dziewięciocalowym ekranie laptopa - napisał Levine.

Spałeś podczas moich wykładów, profesorku? Scopes ma w swojej kwaterze znacznie większe płótna. Czyżbyś nie zauważył?

Levine tępym wzrokiem spoglądał na ekran. Po chwili zrozumiał, co miał na myśli Mim.

Oderwał wzrok od laptopa. Widok z kabiny zapierał dech w piersi. Jednak było w nim coś dziwnego, czego z początku nie zauważył. Widział rozpościerający się w dole port, milion maleńkich punkcików światła w ciepłym mroku Massachusetts.

A przecież znajdował się zaledwie na siódmym piętrze. Ten widok powinien być widoczny dopiero ze znacznie większej wysokości.

Nie patrzył na szklaną szybę, lecz na płaski wyświetlacz

ciekłokrystaliczny ukazujący wirtualny krajobraz za oknami wieżowca GeneDyne.

Zrozumiałem - napisał.

To dobrze. Oznakowałem twoją windę jako zepsuta i będąca w naprawie. To powinno utrzymać z daleka ciekawskich. Jednak na twoim miejscu nie zostawałbym tam dłużej, niż to konieczne. Pozostanę w sieci tak długo, jak długo będę mógł, od czasu do czasu potwierdzając uszkodzenie windy, aby uniknąć podejrzeń. Obawiam się, że tylko w taki sposób mogę cię chronić.

Dziękuję, Mimie.

Jeszcze jedno. Powiedziałaś, że to już nie jest gra. Chciałbym, żebyś o tym pamiętała. GeneDyne nie lubi intruzów, w cyberprzestrzeni czy po-za nią. Wyruszasz w niezwykle niebezpieczną podróż. Jeśli cię znajdą, będę musiał uciekać. Nic nie będę mógł dla ciebie zrobić. Nie mam zamiaru po raz drugi zostać ofiarą. Widzisz, gdyby mnie znaleźli, zabrali-by mi moje komputery. Gdyby do tego doszło, byłbym właściwie martwy.

Rozumiem - ponownie napisał Levine.

Po krótkiej przerwie na ekranie pojawiły się słowa:

Bardzo możliwe, że to nasza ostatnia rozmowa, profesorze. Chcę powiedzieć, że ceniłem sobie naszą znajomość.

Ja także.

MTRRUTMY; MTWABAYB; AMYBIHHAHBIOKYAO.

Aiimie?

To takie sentymentalne irlandzkie powiedzenie, profesorze Levine. Do widzenia.

Ekran zamrugał i zgasł. Levine nie miał czasu, aby zastanawiać się nad tym ostatnim skrótem. Głęboko odetchnął i wystukał kolejne polecenie:

Lancet.

- Co się stało? - zapytała de Vaca, kiedy Carson podniósł się gwałtownie.

- Wyczułem jakiś zapach - szepnął. - Myślę, że to woń końskie-go potu.

Poślinił palec i podniósł go, sprawdzając kierunek wiatru.

- Jeden z naszych wierzchowców?

- Nie. Wiatr wieje z innej strony. Przysięgam Bogu, że zwęszyłem spoconego konia. Gdzieś za nami.

Zapadła cisza. Carson poczuł zimny ucisk w żołądku. To Nye. Nie

było innego wytłumaczenia. I znajdował się bardzo blisko.

Carson szybko zasłonił de Vace usta jedną ręką, a drugą przyciągnął ją do siebie.

- Posłuchaj - szepnęła jej do ucha. - Gdzieś tam czai się Nye. Nie pojechał hummerem. Kiedy wstanie świt, zabije nas. Musimy wydostać się stąd i zrobić to bezszelestnie. Rozumiesz?

- Tak - wykrztusiła.

- Pójdziemy w kierunku naszych koni, ale musimy poruszać się po omacku. Nie rób szybkich kroków, tylko powoli opuszczaj stopy na ziemię, aż nabierzesz pewności, że niczego nie złamiesz. Jeśli nadepniesz na kępkę suchej trawy lub gałązkę, usłyszysz nas. Będziemy musieli cichutko odpiąć strzemiona. Nie wsiadaj od razu na konia, tylko najpierw odprowadź go kawałek. Pójdziemy na wschód, na skraj pasa lawy. Jedynie w ten sposób możemy go zgubić. Kieruj się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w prawo od Gwiazdy Polarnej.

Bardziej poczuł, niż zobaczył, że energicznie kiwnęła głową.

- Ja też pójdę w tym kierunku, ale nie próbuj iść za mną. Jest zbyt ciemno. Po prostu w miarę możliwości staraj się iść prosto. I pochyl się, żeby nie zauważył cię na tle gwiazd. Zobaczymy się o wschodzie słońca.

- A jeśli coś usłyszysz?

- Jeżeli ruszy na nas, uciekaj jak najdalej między skały. Kiedy się tam znajdziesz, puść konia, klepnij go w zad i ukryj się najlepiej, jak potrafisz. Przykro mi, że nie mogę ci pomóc - dodał po chwili.

Zamilkł. Czuł, że de Vaca lekko drży, więc puścił ją. Odszukał ręką jej dłoń i uściśnął ją.

Powoli ruszyli w kierunku pobrzękiwania. Carson zdawał sobie sprawę, że ich szanse przetrwania, od początku niewielkie, teraz były wręcz mikroskopijne. Znaleźli się w kiepskiej sytuacji, nawet jeśli nie miałoby Nyea na karku. Jednak szef ochrony ich odnalazł. I znalazł ich bardzo szybko - ani przez chwilę nie dał się zwieść. W dodatku miał lepszego konia. I ten swój przeklęty sztucer.

Carson zrozumiał, że go nie docenił.

Kiedy skradał się po piasku, nagle przed oczami stanęła mu postać wuja Charleya, starego pół-Indianina. Zastanawiał się, jakie przedziwne skojarzenie akurat teraz podsunęło mu to wspomnienie.

Bohaterem większości opowieści Charleya był ich przodek z plemienia Utah imieniem Gato, który notorycznie porywał stada Nawahom i kawalerii USA. Stary uwielbiał mówić o tych wyprawach. Opowiadał także o umiejętnościach Gato jako tropiciela i jeźdźca oraz o rozmaitych

sztuczkach, jakie stosował, aby zgubić ścigających go ludzi, zazwyczaj przedstawiciele prawa. Charley zawsze snuł te historie, siedząc w bujanym fotelu przed kominkiem.

Carson znalazł Roscoe i zaczął szeptać do ucha zwierzęcia uspokajające słowa, aby nie zdradziło go rzeniem. Koń przestał skubać trawę i nastawił uszy Carson łagodnie pogłaskał go po szyi, zdjął mu kantar i odczepił strzemiona. Potem ostrożnie rozwiązał nogi wierzchowca i zarzucił pętlę na łęk siodła. Zastygł na moment, nasłuchując. Wokół panowała głęboka cisza.

Wiodąc konia na sznurze, poprowadził go na zachód.

Nyeowi zdrętwiała jedna noga, więc ostrożnie zmienił pozycję, nie wypuszczając sztucera z rąk. Na wschodzie, nad górami Fra Cristóbal, niebo nieznacznie pojaśniało. Jeszcze dziesięć minut, może mniej. Rozejrzył się wokół, kolejny raz się upewniając, że jest dobrze ukryty. Obejrzał się na wzniesienie i zobaczył ciemny kształt swojego konia posłusznie czekającego na następne polecenie. Uśmiechnął się pod nosem. Tylko Anglicy umieją tresować konie. Ten mit amerykańskiego kowboja to bujda na resorach. Oni nie mają pojęcia o koniach.

Znowu skupił spojrzenie na szerokiej, płytkej niecce. Za kilka minut pierwszy brzask pokaże mu to, co chciał zobaczyć.

Bardzo powoli odciągnął bezpiecznik sztucera Holland & Holland. Nieruchomy, prawdopodobnie śpiący cel w odległości stu pięćdziesięciu metrów. Uśmiechnął się na samą myśl.

Za granią Fra Cristóbal's wstawało słońce i Nye szukał w niecce ciemnych sylwetek koni lub ludzi. Kępa juki wyglądała w półmroku cholernie podobnie do dwojga ludzi, ale nie dostrzegł niczego dostatecznie dużego, by mogło być koniem.

Czekał, czując, jak mocno i miarowo bije mu serce. Z przyjemnością stwierdził, że oddycha zupełnie spokojnie, a jego obejmująca kolbę dłoń jest sucha.

Po chwili uświadomił sobie, że niecka jest pusta.

I znów usłyszał ten głos: ciche, ironiczne prychnięcie. Odwrócił się i w półmroku dostrzegł jakiś cień.

- Kim jesteś, do diabła? - zapytał.

Chichot rozbrzmiewał coraz głośniejszy, aż przeszedł w śmiech, który przeleciał echem po piasku. Nye uprzytomnił sobie, że ten dźwięk jest bardzo podobny do jego własnego śmiechu.

W mgnieniu oka Boston skrył się w ciemności.

Zapierający dech widok z kabiny windy znikł. Ten krajobraz był

tak realistyczny, że Levine przez jedną okropną chwilę zastanawiał się, czy nie oślepl. Potem zauważył, że przyćmione światła kabiny nadal się palą i zgasł tylko obraz ukazywany przez wyświetlacz wielkości ściany tuż przed nim. Wyciągnął rękę i dotknął jej powierzchni. Była twarda i matowa, podobna do paneli, które widział na korytarzu Gene-Dyne, tylko znacznie większa.

Potem kabina nagle stała się dwukrotnie większa. Kilku biznesmenów w garniturach, z teczkami w dłoniach spoglądało na niego ze zdziwieniem. Levine o mało nie zerwał się na równe nogi, zanim zorientował się, że to kolejny wyświetlony obraz, który pozornie poszerzałabinę i zaludniał ją widmowymi postaciami pracowników GeneDyne. Podziwiał rozdzielczość ekranu umożliwiającą stworzenie tak wiernego obrazu.

Po chwili obraz znów się zmienił i przed oczami patrzącego rozwarła się czarna pustka kosmosu. Księżyc leniwie obracał się w próżni, bezwstydnie pokazując swoją szarą, dziobatą twarz. Za nim Levine dostrzegł fragment kuli ziemskiej - niebieska marmurowa tarcza zawieszona w czerni. Złudzenie było tak realistyczne, że musiał na chwilę zamknąć oczy i zaczekać, aż minie mu zawrót głowy.

Zrozumiał, co się dzieje. Gdy program Mima wdarł się do prywatnego serwera Scopesa, zakłócił normalne działanie oprogramowania odpowiadającego za wyświetlanie grafiki i wszystkie możliwe obrazy pokazywały się po kolei. Levine zastanawiał się, jakie jeszcze widoki Scopes wprowadził do komputera, aby oczarować lub zaskoczyć pasażerów windy

Obraz znów się zmienił i Levine ujrzał niesamowity krajobraz: trójwymiarowy gąszcz dróg i budynków wznoszących się wśród bezdennej pustki. Spoglądał na ten widok z wyłożonego brązowymi, czerwonymi i żółtymi kafelkami tarasu. Z jego końca odchodziły we wszystkie strony mostki i chodniki: jedne w górę, drugie w dół, a niektóre poziomo, w różnych kierunkach niewyobrażalnie rozległej przestrzeni. Między chodnikami wznosiły się dziesiątki ogromnych budynków, ciemne bryły z niezliczonymi jasnymi okienkami. Pomiedzy tymi budowlami biegly strumienie kolorowych swiateł rozdwarzajace się i zalamujace jak błyskawice w oddali.

Krajobraz na ekranie był przepiękny, a stopień jego komplikacji budził podziw, lecz po paru minutach Levine zaczął się niecierpliwić. Zastanawiał się, dlaczego program Mima tak długo nie może dotrzeć do cyberprzestrzeni GeneDyne. Usiadł wygodniej na podłodze windy

Krajobraz poruszył się.

Levine spojrział w dół. Zauważył, że mimowolnie dotknął trackballa wbudowanego w klawiaturę swojego laptopa. Położył dłoń na kulce i poruszył nią do przodu.

Taras, z którego patrzył, natychmiast został z tyłu i Levine znalazł się na samym jego skraju. Przed sobą dostrzegł wąziutki chodnik unoszący się jak pajęczka nić w czarnej otchłani. Płynna reakcja wielkiego ekranu wideo sprawiła, że wrażenie ruchu było niemal nieznośnie realistyczne.

Levine zrobił głęboki wdech. Tym razem nie patrzył na zwyczajny obraz. Znalazł się w cyberprzestrzeni Scopesa.

Na chwilę zdjął ręce z klawiatury laptopa, starając się uspokoić. Potem ostrożnie położył jedną dłoń na trackballu, a drugą na klawiszach kursora. Zaczął mozolnie uczyć się kontrolować swoje ruchy w tym niezwykle krajobrazie. Wielkość ekranu w kabinie windy oraz niesamowicie realistyczny obraz zdumiewały i przerażały. Nadszedł czas, aby odszukać Scopesa.

Kiedy znów dotknął rękami laptopa, uświadomił sobie, że słyszy ciche, melodyjne westchnienia. Wydobywały się z tych samych głośników, przez które winda sygnalizowała mijane piętra. Nie wiedział, od jak dawna rozbrzmiewały - być może przez cały czas. Nie miał zielonego pojęcia, co mogły oznaczać.

Zaczynał się niepokoić. Ten rozległy i skomplikowany krajobraz musiał czemuś służyć. W ciągu kilku minionych lat Scopes otaczał ścisłą tajemnicą swoje prace nad cyberprzestrzenią. Niewiele o niej wiadomo poza tym, że stworzył ją po to, aby ułatwiać mu nieustanne podróże po skomplikowanej sieci komputerowej GeneDyne.

Levine wybrał pierwszy lepszy chodnik i ostrożnie poszedł nim, usiłując przyzwyczać się do niesamowitego wrażenia ruchu wywołanego przez wielki ekran. Kroczył po wąskim, pozbawionym poręczy mostku, wyłożonym różnobarwnymi kafelkami tworzącymi skomplikowany wzór. Ten wzór mógł coś oznaczać, ale Levine nie miał pojęcia co: konfiguracje bajtów czy sekwencje liczb w zapisie dwójkowym?

Chodnik wił się między budynkami różnej wielkości i kształtu, kończąc się przed masywnymi srebrnymi drzwiami. Levine podszedł do nich i spróbował przez nie przejść. Niesamowita, ulotna muzyka przybrała na sile, ale poza tym nic się nie stało. Wrócił do skrzyżowania i wybrał inny chodnik przecinający jedną z rzek kolorowego światła płynącą między budynkami. Kiedy wszedł w nią, zmieniła się w potok

kodu szesnastkowego przepływający z oszałamiającą szybkością. Czym prędzej wyszedł z niej.

Dowiedział się przynajmniej jednego: te strumienie światła symbolizowały transfer danych.

Do tej pory posługiwał się tylko trackballem i klawiszami kursora na klawiaturze laptopa. Cyfroprzestrzeń Scopesa z pewnością rozpozna także znaki wprowadzane z klawiatury. Wystukał zdanie powszechnie używane przez wszystkich użytkowników wypróbujących nowe języki programowania:

Witaj, świecie.

Kiedy nacisnął klawisz enter, głośniki melodyjnym szeptem powtórzyły słowa „Witaj, świecie”. Dźwięk odbił się wielokrotnym echem i ucichł w oddali, zagłuszony przez dziwną muzykę.

Żadnej odpowiedzi.

ScopesJ - napisał.

Powtórzone przez głośniki słowo zamarło, cichnąc jak zduszony krzyk. I znów żadnej reakcji.

Żałował, że Mim nie może mu teraz pomóc. Znów spojrzął na zegarek: minęła kolejna godzina, a on wciąż tkwił w tym samym miejscu. Oderwał wzrok od ekranu i powiódł nim po wnętrzu kabiny. Nie pozostało mu zbyt wiele czasu. Za długo tkwił w miejscu. Powinien działać szybko.

Co robisz, kiedy masz problemy z jakąś aplikacją? Albo z grą kom-puterową?

Prosisz o pomoc.

Pomoc - napisał.

Krajobraz przed nim zmienił się. Coś wyłoniło się z nicości na końcu chodnika. Zatoczyło krąg, a potem znieruchomiało, jakby zauważywszy Levine'a. Potem ruszyło ku niemu z zapierającą dech w piersi szybkością.

Oddaliwszy się spory kawałek od niecki, Carson puścił kantar i dosiadł konia. Raz po raz wracał myślami do swojego pierwszego spotkania z Nyeem na pustyni. Przypomnił sobie dziki śmiech, jakim pożegnał go Anglik. Podświadomie spodziewał się, że w każdej chwili może usłyszeć go ponownie - całkiem blisko - a wraz z nim odgłos wprowadzanej do komory naboju kuli. Aby oderwać się od tych rozważań, wrócił myślami do wuja Charleya i jego opowieści o Gato. Przypomnił sobie historię o telegrafii. Kiedy Gato w końcu domyślił się, jak to działa, zaczął przecinać druty i wiązać je cienkimi rzemieniami, że-

by zamaskować przerwę. Wuj Charley mówił, że doprowadzało to kawalerzystów do szału.

Gato znał wiele sztuczek, dzięki którym wymykał się pogoni. Wjeżdżał do strumieni i wyjeżdżał z nich tyłem. Zostawiał fałszywe ślady końskich kopyt na piargach i w niebezpiecznych kanionach. Albo na krawędziach urwisk, używając końskiej podkowy i kamienia...

Carson wyteżał pamięć. Co jeszcze?

Niebo na wschodzie rozjaśniało się. Lada moment Nye odkryje, że ich nie ma. To im da najwyżej pół godziny przewagi. A może już odkrył ich podstęp. Był zbyt blisko. Muszą zyskać na czasie.

Kiedy zrobiło się jasno, Carson rozejrzał się wokół. Z ogromną ulgą dostrzegł niewielką postać de Vaki, szarą na ciemnym tle, jadącą klusem jakieś pół kilometra dalej. Skierował Roscoe w tę stronę i popędził ku niej.

Problem polegał na tym, że nawet na kamienistym podłożu żelazne podkowy pozostawiały wyraźne ślady. Koń waży pół tony i cały ten ciężar spoczywa na czterech cienkich kawałkach żelaza, które odciska ją wyraźne białe ślady w czarnej skale. Kiedy się wie, czego szukać, nie trzeba szczególnych umiejętności, aby odnaleźć trop. To o wiele łatwiejsze niż na przykład tropienie śladów w niskiej preriowej trawie. Nye udowodnił już, że umie to robić. Jednak jadąc po skale, powinni przynajmniej trochę zyskać na czasie.

Zrównawszy się z de Vacą, Carson zwolnił. W myślach znów zobaczył roześmianą twarz wuja, kołyszącego się na bujanym fotelu przy kominku i ze śmiechem opowiadającego o Gato. Podstępny Indiani-nie. Pogromcy białych ludzi.

- Boże, jak cieszę się, że cię widzę - powiedziała de Vaca. Jadąc obok niego, przelotnie uściśnęła jego dłoń.

Ciepło jej ręki, kontakt z drugim człowiekiem po tak długim samotnym skradaniu się w mroku na nowo obudził w nim nadzieję. Spojrzał na rozpościerające się przed nimi pole zastygłej lawy tworzącej czarną, poszarpaną grań na tle nieba.

- Wjedźmy między skały - powiedział. - Zdaje się, że mam pewien pomysł.

Obiekt zatrzymał się tuż przed nim. Nie wierząc własnym oczom, Levine stwierdził, że to piesek podobny do miniaturowego owczarka szkockiego collie. Patrzył na niego jak urzeczony, a wygenerowane przez komputer zwierzę pomachało ogonem i usiadło. Czarny nos stworzenia miał wilgotny połysk.

Kim jesteś? - napisał Levine.

Jestem *Fido* - odparł głos.

Piesek uniósł łeb, pokazując obrożę, przy której wisiła tabliczka z napisem. Przyjrząwszy się uważnie, Levine odczytał wygrawerowane na niej słowa: „Fido, własność Brentwooda Scopesa”. Mimo woli uśmiechnął się. Działania Scopesa miały wiele wspólnego z działalnością hakerów i złodziei impulsów.

Szukam Brenta Scopesa - napisał.

Rozumiem - odparł głos.

Możesz mnie do niego zaprowadzić?

Nie.

Dlaczego?

Nie wiem, gdzie on jest.

A kim ty jesteś?

Pieskiem.

Levine zgrzytnął zębami.

Jakim jesteś programem? - poprawił się.

Jestem graficznym interfejsem systemu pomocy *opartego na sztucznej inteligencji*. Jednak ten system nigdy nie został uruchomiony, więc obawiam się, że w niczym nie mogą ci pomóc.

Jaką więc pełnisz funkcję?

Interesuje cię moje działanie? Jestem programem napisanym przez Brenfa Scopesa w jego wersji języka C++, który on nazywa C³. To język zorientowany projektowo, z rozszerzeniami wizualnymi. Pierwotnie stosowany do modelowania przestrzennego, z wbudowanymi narzędziami do cieniowania, rozjaśniania i renderingu. Ponadto posiada możliwości bezpośredniej łączności z rozległymi sieciami komputerowymi przy użyciu odmiany protokołu TCP/IP.

To do niczego nie prowadziło.

Dlaczego nie możesz mi pomóc? - wystukał Levine.

Jak już powiedziałem, podsystem pomocy nigdy nie został zaimplementowany. Jako program zorientowany obiektowo przestrzegam zasady niejawnego opisanie i dziedziczenia typu danych. Mogą korzystać z pewnych podstawowych klas obiektowych, takich jak podprogramy *A1* oraz algorytmy przechowywania danych. Nie mam jednak dostępu do wewnętrznego działania innych obiektów, tak samo jak one bez niezbędnego kodu nie mają dostępu do moich.

Levine skinął głową. Nie dziwiło go, że system pomocy nie został zaimplementowany. W końcu Brent nie potrzebował pomocy, a nikt inny

nie miał kręcić się po jego cyfrop przestrzeni. Prawdopodobnie Fido był jednym z pierwszych modułów programu, wprowadzonych na po-czątku, zanim Scopes postanowił otoczyć swój produkt tajemnicą. Za-nim postanowił zachować ten niewiarygodny świat dla siebie.

Co więc robisz? - napisał Levine.

Od czasu do czasu dotrzymuję towarzystwa panu Scopesowi. Widzę jednak, że ty nie jesteś panem Scopesem.

Skąd o tym wiesz?

Ponieważ zgubите się. Gdybyś był panem Scopesem...

Nieważne - wystukał Levine.

Uznał, że lepiej nie posuwać się w tym kierunku. Nadal nie wiedział, jakie mechanizmy zabezpieczające wbudowano w tę cyfrop przestrzeń. Zastanawiał się przez chwilę. Oto zorientowany obiektowo pomocnik mogący odwoływać się do sztucznej inteligencji. Coś w rodzaju starego pseudoterapeutycznego programu doradczego ELIZA, tylko o wiele bardziej rozwiniętego. Fido. Wymyślony przez Scopesa cyber-przestrzenny pies.

Czy możesz coś zrobić? - napisał.

Mogę zaproponować cudownie cyniczne cytaty dla rozrywki.

Oczywiście. Scopes zawsze wykazywał obsesyjne upodobanie do aforyzmów.

Na przykład: „Jeśli przygarniesz wygłodniałego psa i nakarmisz go, nie ugryzie cię. To główna różnica między psem a człowiekiem”. Mark Twain. Albo: „Nie wystarczy odnieść sukces. Jnni muszą ponieść kląskę”. Gore...

Zamknij się, proszę.

Levine zaczynał się niecierpliwić. Przyszedł tutaj, aby znaleźć Scopesa, a nie zabawiać się z jakimś programem w niekończącym się labiryncie cyberprzestrzeni. Zerknął na zegarek: stracił kolejną godzinę. Ruszył chodnikiem do następnego skrzyżowania, na którym wy-brał jedno z odgałęzień biegnące między ogromnymi budowlami. Pie-sek cicho szedł w ślad za nim.

Nagle Levine ujrzał coś niezwykłego: potężny gmach stojący z da-la od innych. Mimo ogromnych rozmiarów i położenia żadne kolorowe smugi światła nie łączyły jego dachu z innymi budowlami.

Co to za budynek? - zapytał.

Nie wiem - odparł Fido.

Levine uważnie przyjrzał się budynkowi. Mimo idealnie równych linii - komputerowego tworu w cybernetycznym świecie - bez trudu

rozpoznał słynną sylwetkę.

Bostońska siedziba GeneDyne.

Komputerowy obraz budynku. Co reprezentował? Po chwili zrozumiał, że to cyberprzestrzenne odwzorowanie systemu komputerowego w głównej kwaterze GeneDyne. Sieć, biurowe terminale, a nawet system zabezpieczenia obiektu - wszystko przedstawione w zrenderowanej postaci. Pozostałe budynki przedstawiały różne siedziby GeneDyne na całym świecie. Z dachu głównej kwatery nie spływały strumienie barwnego światła, ponieważ łączność z pozostałymi obiektami została przerwana. Gdyby Mim zdołał dowiedzieć się więcej o działaniu programu Scopesa, być może potrafiłby wprowadzić Levine'a do środka, dzięki czemu zaoszczędziliby wiele czasu.

Levine wybrał schodzącą w dół ścieżkę i z zaciekawieniem podszedł do frontowych drzwi budynku. Kiedy próbował przez nie wejść, dziwna muzyka zmieniła się w natarczywe brzęczenie. Drzwi były zamknięte. Levine zajrzał przez szybę do holu. Stała tam, odwzorowana z zapierającą dech w piersi dokładnością, ruchoma rzeźba Caldera i pulpit pracowników ochrony. Nie dostrzegł żadnych ludzi, ale ze zdumieniem zauważył, że ekrany monitorów za kontuarem ukazywały obrazy z kilku kamer wideo. Niewątpliwie transmitowane na żywo.

Jak mam wejść do środka? - zapytał pieska.

Nie mam pojęcia - odparł Fido.

Levine zastanawiał się przez chwilę, przeszukując swoje skąpe zasoby wiadomości o nowoczesnych metodach informatycznych.

Fido, jesteś podprogramem pomocy.

Zgadza się.

I powiedziałeś, że jesteś graficznym interfejsem innych obiektów i procedur.

Zgadza się.

A co to dokładnie oznacza?

Jestem interfejsem między użytkownikiem a programem.

A zatem przyjmujesz polecenia i przekazujesz je do wykonania innym programom.

Tak.

Wprowadzane z klawiatury?

Zgadza się.

I jedyną osobą, która cię wykorzystuje, jest Brent Scopes.

Tak.

Czy zachowujesz w pamięci znaki klawiatury albo masz do nich

dostęp?

Tak.

Byłeś już kiedyś w tym budynku?

Tak.

Proszę, odtwórz znaki wprowadzone wtedy z klawiatury.

Fido powiedział: „*Szaleństwo: idealnie racjonalne przystosowanie do szalonego świata*”. Laing.

Z głośników popłynął melodyjny dźwięk. Potem drzwi otworzyły się z cichym trzaskiem.

Levine uśmiechnął się. Ten aforyzm musiał być hasłem otwierającym drzwi. Jeszcze jedno zastosowanie gry, w którą kiedyś tak chętnie grywali. Uświadomił sobie, że takie cytaty są idealnymi hasłami: były długie i skomplikowane, a poza tym nie dało się ich złamać metodą brutalnego ataku z wykorzystaniem słownika. Scopes znał je na pamięć i nigdy nie musiał ich notować. Idealne rozwiązanie.

Fido okazał się bardziej pomocny, niż Levine mógł przypuszczać.

Levine, pospiesznie manewrując trackballem, wszedł do środka i miął postereunek ochrony. Przystanął na chwilę, usiłując przypomnieć sobie rozkład głównej kwatery, który znał z planu dostarczonego mu przez Mima. Potem przeszedł obok wind do kolejnego stanowiska ochrony. Wiedział, że w prawdziwym budynku ten postereunek był silnie obsadzony Dalej znajdowały się następne windy. Podeszedł do najbliższej i nacisnął guzik. Kiedy otworzyły się drzwi, wszedł do środka i wystukał liczbę 60 na klawiaturze numerycznej swego laptopa. Ostatnie piętro budynku GeneDyne, gdzie znajdował się ośmiokątny apartament Scopesa.

„Dziękuję - powiedział ten sam obojętny gtos, co w prawdziwej windzie. - Proszę wprowadzić hasło”.

Fido, podaj ciąg znaków dla tej lokalizacji - wystukał Levine.

*„Należy przebaczać wrogom, ale dopiero wtedy, gdy zawisną’
Heine.*

Gdy cyberprzestrzenna winda wjeżdżała na sześćdziesiąte piętro, Levine usiłował nie myśleć o paradoksalnej sytuacji, w jakiej się znalazł: siedział po turecku w unieruchomionej między piętrami windzie, podłączony do sieci komputerowej, w której jechał inną windą w symulowanej trójwymiarowej przestrzeni.

Winda zwolniła, a potem zatrzymała się. Za pomocą trackballa Levine ruszył długim korytarzem. Na jego końcu ujrzał następny postereunek ochrony i czujne oczy wielu monitorów wideo. Z pewnością

wszystkie pomieszczenia na sześćdziesiątym piętrze i poniżej były dobrze strzeżone. Podeszedł do ekranów i uważnie przyjrzał się każdemu z nich po kolei. Ukazywały pokoje, korytarze, rzędy komputerów, a nawet posterunek, na którym właśnie stał - ale ani śladu Scopesa.

Z dostarczonych przez Mima planów Levine wiedział, że ośmiokątny pokój znajduje się w samym środku budynku. Scopes nie potrzebował okien z widokiem. Wystarczyły mu ekrany komputerowych monitorów.

Levine minął stanowisko ochrony i skręcił w lewo, w słabo oświetlony korytarz. Na jego końcu zobaczył kolejny posterunek. Minął go i znalazł się w krótkim korytarzyku z szeregiem drzwi po obu stronach. Na jego końcu były masywne, zamknięte drzwi.

Levine wiedział, że prowadzą do ośmiokątnego pokoju. Poruszając trackballem, przeszedł korytarzykiem i dotarł do drzwi. Nie zdołał ich otworzyć.

fido - wystukał - podaj ciąg znaków dla tej lokalizacji.

Zamierzasz mnie teraz opuścić? - zapytał cyberpies. Levine miał wrażenie, że wyczuł w jego głosie błagalny ton.

Dlaczego pytasz? - napisał.

Nie mogą przejść z tobą przez te drzwi.

Levine zawahał się.

Przykro mi, Fido, ale muszę iść dalej. Proszę, podaj ciąg znaków dla tej lokalizacji.

W porządku. „Wcale nie bytabym zdziwiona, gdyby zrobiły to jedno-cześnie wszystkie dziewczyny uczestniczące w zawodach między Harvard a Yale”. Dorothy Parker.

Z głośnym szcękaniem masywne czarne drzwi otworzyły się na oścież. Levine nabrał tchu i mocniej przycisnął trackballa. Potem bardzo powoli wszedł do tego, co niewątpliwie było tajemniczą cyfrop przestrzenią Scopesa.

Nye stał na środku niecki, trzymając w ręku wodze Muerto. Historia jego porażki była wyraźnie wypisana w trawie i piasku. Najwidoczniej Carson i kobieta jakoś wyczuli jego obecność. Podkradli się do koni i odeszli - a on niczego nie słyszał. To, że zdołali się wymknąć, było wprost niewiarygodne. A jednak ślady nie kłamały.

Odwrócił się. Cień nadal mu towarzyszył, ale kiedy nań spojrział, zaczął się rozpyływać.

Podeszedł do skraju wgłębienia. Tamci dwoje skierowali się na wschód, do pola zastygłej lawy, na którym niewątpliwie mieli nadzieję go

zgubić. Chociaż wśród skał nie da się jechać szybko, wytropi ich bez trudu. Mieli zaledwie dziesięć litrów wody, więc to tylko kwestia czasu, zanim ich konie osłabną. Nie ma pośpiechu. Do końca pustyni Jornada pozostało jeszcze ponad sto kilometrów.

Dosiadł konia i ruszył za nimi. Przez jakiś czas prowadzili wierzchowce, a potem wsiedli na nie. Ślady stopniowo oddalały się od siebie. Czyżby jakaś nowa sztuczka? Nye podążył za głębszymi, które po-winny należeć do Carsona.

Słońce wyszło nad góry, rzucając długie cienie aż po horyzont. W miarę jak pięło się coraz wyżej, cienie zaczęły się kurczyć, w powietrzu rozszedł się zapach rozgrzanego piasku i krzewów kreozytowych. Zapowiadał się skwarny dzień. Bardzo skwarny. A nigdzie nie będzie goręcej niż na polu czarnej lawy El Malpais.

Miał mnóstwo wody i amunicji. Godzina przewagi, jaką nad nim zyskali, to najwyżej osiem lub dziesięć kilometrów. Ten dystans znacznie się zmniejszy, kiedy skały zwolnią tempo jazdy uciekinierów. Cho-ciaż stracił już przewagę zaskoczenia, wiedząc o jego obecności, będą musieli podróżować w dzień.

Kilometr przed jęzorem lawy oba rzędy śladów znów zbiegły się ze sobą. Nye podążył za nimi do skraju skał. Nawet nie zsiadając, widział białe znaki na bazalcie w miejscach, gdzie podkowy zarysowały kamień. Teraz, kiedy słońce stało wysoko, łatwo będzie je znaleźć.

Było jeszcze wcześniej rano i temperatura nie przekraczała trzydziestu stopni. Za godzinę będzie czterdzieści, a potem czterdzieści pięć. Na wysokości tysiąca dwustu metrów, przy bezchmurnym niebie promienie słońca będą bezlitośnie prażyć. Jedynym zacienionym miejscem pozostanie skrawek ziemi pod końskim brzuchem. Jeśli Nye nie załatwi ich do zachodu słońca, zrobi to pustynia.

Przed nim rozpościerało się pole lawy ciągnące się aż po horyzont. Było gęsto usiane szczelinami i dziurami powstałymi w miejscach, gdzie zapadły się sklepienia podziemnych korytarzy. W innych miejscach sterczały ogromne kopce i bryły wypchniętej niegdyś pod ciśnieniem i zastygłej magmy. Powietrze nad skałami już zaczęło falować, gdyż czarny bazalt absorbował promienie słońca i oddawał je w postaci ciepła.

Muerto ostrożnie manewrował wśród skał. Jego podkowy pobrzęki-wały i postukiwały o bazalt. Spod jego nóg umknęła w szczelinę jasz-czurka. Na myśl o tym, że Carson i de Vaca jadą w tym skwarze, mając tak niewiele wody, Nye sam poczuł pragnienie. Pociągnął

spory łyk z jed-nego worka. Woda wciąż była chłodna i miała lekki, miły posmak lnu.

Cień nadal mu towarzyszył, krocząc niestrudzenie obok konia, ledwie widoczny. Nie odzywał się. Nye stwierdził, że jego obecność sprawia mu przyjemność.

Po kilku kilometrach zsiadł z konia, aby łatwiej odnajdywać ślady.

Carson i de Vaca zmierzali na wschód, ku niewielkiemu wulkanicz-nemu stożkowi. Drugi stożek, od zachodu, był otwarty i niemal zrów-nany z ziemią przez potok lawy. Dwa ostre wierzchołki sterczały na tle jasnoblękitnego nieba.

Nye triumfował. Carson i ta kobieta mogli wjechać do tego krateru tylko z jednego powodu: aby poszukać cienia. Najwyraźniej uznali, że wjechawszy między skały, zgubili Nye'a. Wiedząc, że jazda po pustyni w dzień jest samobójstwem, zamierzali poczekać w środku do zmroku i kontynuować podróż pod osłoną nocy.

Zauważył smużkę dymu wydobywającą się z wnętrza stożka. Prawdopodobnie Carson upolował coś, być może królika, i teraz urządzili sobie ucztę. Nye uważnie obejrzał trop, a potem zaczął okrążyć stożek, szukając innych śladów. Carson okazał się bardzo pomysłowy. Może wyjechali z drugiej strony.

Zostawiwszy Muerto w bezpiecznej odległości, Nye skradał się ostrożnie, pod osłoną głazów okrążając stożek. Ten dym i ślady mogły prowadzić w zasadzkę.

Jednak nie było żadnej pułapki ani wychodzących z drugiej strony śladów. Ci dwoje wjechali do krateru i nie wyjechali z niego.

Nye natychmiast zrozumiał, co powinien zrobić. Musi wspiąć się na krawędź stożka, między poszarpane krawędzie wypchniętej w górę i skamieniałej lawy. Z wysoka będzie miał doskonałe pole ostrzału. Tamci nie będą mieli gdzie się schować.

Wrócił do Muerto i zatoczył szeroki łuk, prowadząc konia wokół południowo-wschodniej części stożka. Tam zostawił wierzchowca w cieniu u podnóża skał i zaczął ostrożnie wspinać się na zbocze. Sztucer miał przewieszony przez plecy, a w kieszeni paczkę zapaso-wej amunicji. Kamyki parzyły go w dłonie i z grzechotem osypywały się po zboczcu, ale Nye wiedział, że ten dźwięk nie dotrze do wnętrza krateru.

Po kilku minutach dotarł na górę. Odbezpieczył sztucer i podczołgał się do krawędzi.

Pięćdziesiąt metrów niżej ujrzał dymiące ognisko. Na pobliskim krzaku wisiała chustka, najwidoczniej niedawno uprana i pozostawiona

do wyschnięcia. Obok niej wisiał bawełniany podkoszulek. Niewątpliwie było to ich obozowisko i oboje musieli być blisko. Tylko gdzie?

Rozejrzał się wokół. W ścianie krateru dostrzegł ciemny otwór. Prawdopodobnie odpoczywali w cieniu. A konie? Carson pewnie spętał je i zostawił niedaleko, żeby się pasły.

Nye usiadł i czekał, przyciskając policzek do sztucera. Kiedy wyjdą z cienia, zabije ich jedno po drugim.

Minęło czterdzieści minut. Nye dostrzegł, że towarzyszący mu bez przerwy cień zaczyna wiercić się niespokojnie.

- Co jest? - zapytał cicho.

- Jesteś głupcem - szepnął głos. - Głupcem, głupcem, głu...

- Dlaczego? - spytał Nye.

- Mężczyzna i kobieta umierający z pragnienia wykorzystują resztę wody, żeby uprać chustkę - odparł drwiącym tonem głos. -W czterdziestostopniowym upale rozpalają ognisko. Głupiec, głupiec, głupiec...

Ciarki przebiegły mu po plecach. Głos miał rację. Ten złodziej, przeklęty złodziej, znów zdołał mu się wymknąć. Nye wstał, klnąc, po czym zszedł po zboczu krateru, nie usiłując już ukrywać swojej obecności. Zacieniony otwór w ścianie krateru był pusty. Nye obszedł obóz, upewniając się, że padł ofiarą podstępny. Chustka i podkoszulek miały go przekonać, że ktoś jest w obozie. Nie dostrzegł żadnych śladów świadczących o tym, że zatrzymali się tu choć na chwilę, chociaż odciski kopyt wskazywały, że konie krótko znajdowały się w kraterze. Ognisko zostało pospiesznie rozpalone z zielonych gałązek jadaloszynu dających dużo dymu.

Teraz mieli prawie dwie godziny przewagi. Może trochę mniej, bo przecież przygotowanie tego irytującego spektaklu musiało zająć im dobrą chwilę.

Wrócił do wylotu krateru i próbował odkryć, dokąd pojechali, usiłując opanować gniew i panikę, które nie pozwalały mu się skupić. Jak mógł nie zauważyć ich powrotnych śladów?

Ruszył wzdł podstawy stożka, aż znów natrafił na trop wchodzący do krateru. Dokładnie sprawdził okolice wylotu. Poszedł po śladach, a potem wrócił po nich. Jeszcze raz, i jeszcze. Odszedł sto kroków od stożka i okrążył go, mając nadzieję odnaleźć trop, który musiał gdzieś tu być.

Jednak nie znalazł go. Wjechali do krateru, a potem zniknęli. Carson wykiwał go. Tylko jak?

- Powiedz jak? - zapytał głośno, odwracając się do cienia.

Ale ten umknął przed nim. Ciemna smuga na krańcu pola widzenia, wzgardliwie milcząca.

Nye wrócił do obozowiska i sprawdził zacieniony otwór, tym razem dokładniej. Nic. Wycofał się, badając teren. Na dnie krateru było kilka pasm nawianego wiatrem piasku i kamyków. Zauważył jakieś zartarte ślady, którym przedtem nie przyjrzał się z bliska. Przystudiował je na czworakach, niemal dotykając nosem piasku. Ślady były niewyraźne i nakładały się na siebie. Carson robił tu coś przy koniach. I właśnie tutaj urywały się ślady.

Nie całkiem jednak. Kilka metrów dalej Nye znalazł słaby, niekom-pletny odcisk kopyta na piasku. Wtedy zrozumiał, dlaczego na skale nie było już żadnych śladów.

Ten sukinsyn zdjął koniom podkowy.

Carson obliczył, że za kilka kilometrów powinni dotrzeć na skraj pola lawy. Wiedział, że muszą jak najszybciej znów znaleźć się na piaszczystym gruncie. Chociaż teraz raczej prowadzili konie, niż jechali na nich, bez podków wierzchowce mogą szybko okuleć. W każdej chwili mogli spodziewać się katastrofy: kopyta pękniętego w wyniku uderzenia o kamień albo skaleczenia „żabki” - miękkiej środkowej części kopyta.

Wiedział, że pozbawione podków kopyta także pozostawiają ślady na skale: cieniutkie płatki keratyny, odwrócone kamienie, zgniecione źdźbła trawy, odciski na nawianym przez wiatr piasku. Jednak takie ślady były bardzo nikłe. Przynajmniej spowolnią Nyea. Nawet bardzo. Mimo wszystko nie mogą jechać po tej skale dalej niż przez kilka kolejnych kilometrów. Potem będą musieli przybić koniom podkowy albo jechać po piasku.

Carson postanowił znów skierować się na północ. Jeśli chcieli żywi wydostać się z Jomady, nie mieli wyboru. Zamiast jednak jechać prosto na północ, zmierzali na północny wschód, często skręcając i klucząc, a raz nawet cofając się, żeby zdezorientować Nyea. Podążali w pewnej odległości od siebie, woląc zostawiać dwa słabe tropy niż jeden wyraźny.

Carson uszczypnął konia w szyję.

- Po co to robisz? - zapytała de Vaca.

- Sprawdzam, czy nie jest odwodniony - wyjaśnił Carson.

- Jak to?

- Szczypie się konia w szyję i patrzy, jak szybko znika ślad. Końska skóra traci elastyczność, kiedy zwierzę jest odwodnione.

- Kolejna sztuczka, której nauczyłeś się od indiańskiego przodka, o

którym mi opowiadałeś? - zapytała de Vaca.

- Właśnie - odparł z urazą Carson.

- Najwidoczniej nauczyłeś się od niego znacznie więcej, niż chciał-bys przyznać.

Carson poczuł gwałtowny przyływ irytacji.

- Słuchaj - powiedział - jeśli tak bardzo chcesz zrobić ze mnie Indianina, to bardzo proszę. Ja wiem, kim jestem.

- Zaczynam podejrzewać, że wprost przeciwnie.

- Cóż to, będziemy teraz roztrząsać moje problemy z własną tożsamością? Jeśli taka jest twoja koncepcja psychoterapii, to już rozumiem, dlaczego nie ukończyłaś studiów.

De Vaca natychmiast spoważniała.

- Nie wylali mnie, *cabrón*. Zabrakło mi pieniędzy, pamiętasz? Jechali w milczeniu.

- Powinieneś być dumny ze swojego pochodzenia - oświadczyła w końcu. - Tak jak ja z mojego.

- Ty nie jesteś Indianką.

- Kto wie? *Conquistadores* żenili się z *conquistas*. Wszyscy jesteśmy spokrewnieni, *cabrón*. Większość starych hiszpańskich rodzin w No-wym Meksyku ma w żyłach krew Azteków, Nahuatlów, Nawahów lub Indian Pueblo.

- Nie zaliczaj mnie do tej wielokulturowej utopii - mruknął Carson. - I przestań nazywać mnie *cabrón*.

De Vaca roześmiała się.

- Pomyśl tylko: twój denerwujący, zapijaczony wuj ratuje nam teraz życie. Czyż nie masz powodów do dumy?

Była dziesiąta i słońce stało wysoko na niebie. Rozmawiając, tracili cenną energię. Carson odczuwał już pragnienie. Na razie było tylko lekko irytujące, ale w miarę upływu godzin będzie się nasilać. Muszą zjechać ze skał i zacząć szukać wody.

Czuł bijący od kamieni żar. Rozgrzany bazalt parzył nawet przez grube podeszwy butów. Pole czarnej, popękanej lawy otaczało ich ze wszystkich stron, aż po odległy horyzont. Tu i tam Carson dostrzegał miraż w drgającym powietrzu. Jedne wyglądały jak niebieskie szawki falujące w łagodnych podmuchach wiatru, inne jak pasma pionowych linii, dalekie łańcuchy górskie z widmowej lawy, a jeszcze inne unosiły się tuż nad widnokregiem. Był to surrealistyczny widok.

W miarę jak zbliżało się południe, wszystko stawało się białe z gorąca. Jedynym wyjątkiem był czarny bezmiar lawy, która wydawała się

jeszcze ciemniejsza, jakby połykała światło. Obojętnie, w którą stronę Carson się obrócił, zawsze czuł nieznośny skwar sygnalizujący położenie słońca. Powietrze zgęstniało, stało się ciężkie i duszące.

Carson spojrział w górę. Daleko na północnym zachodzie kilka ptaków unosiło się w powietrznych prądach, leniwie kołując na wysokości. Sępy, pewnie krążą nad martwą antylopą. Na tej pustyni nie było wiele pożywienia, nawet dla sępów.

Uważnie przyjrzał się czarnym plamkom szybującym wysoko na niebie. Z pewnością był jakiś powód tego, że krążyły, a nie lądowały. To mogło oznaczać obecność innych padlinożerców. Może kojotów.

- Skrećmy na północny zachód - powiedział.

Wykonali ostry zwrot w kierunku kołujących w oddali ptaków, trzymając się z daleka od siebie, żeby utrudnić zadanie Nyeowi.

Carson przypomniał sobie, że był już kiedyś w podobnej sytuacji, bez wody Pracował w odległej części rancza, znanej pod nazwą Coal Canyon. Wjechał do kanionu, tropiąc zbiegłego byka - jedno z najlepszych zwierząt ojca. Zamierzał rozbić obóz w Ojo del Perillo i znaleźć tam wodę. Niespodziewanie Ojo okazało się wyschnięte i spędził całą noc bez wody. Nad ranem jego koń zaplątał się w sznur, wpadł w panikę i naderwał sobie ścięgno. Carson był zmuszony przejść pieszo czterdzieści kilometrów bez wody, w skwarze prawie takim jak ten. Pamiętał, że dotarł do Witch Weil i pił, aż wymiotował, a potem znów pił i wymiotował, nie mogąc ugasić straszliwego pragnienia. Kiedy w końcu wrócił do domu, stary Charley napoił go obrzydliwym wywarem z wody, soli i sody z solanki opodał rancza, końskich włosów oraz popiołu z różnych ziół. Dopiero kiedy Carson wypił tę miksturę, przestało go dręczyć pragnienie.

Teraz wiedział już, że cierpiał na ostre zaburzenie równowagi elektrolitycznej wywołane odwodnieniem.

Na pustyni Jornada było mnóstwo solanek. Musi pamiętać, żeby zebrać trochę wykrystalizowanej soli.

Nagle głośny terkot wyrwał go z zadumy. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie jest to halucynacja wywołana pragnieniem. Jednak Roscoe uniósł łeb, otrząsnął się z apatii i zaczął nerwowo tańczyć.

- Spokojnie - mruknął Carson. - Spokojnie, stary Przed nami grzechotnik! - zawołał ostrzegawczo do de Vaki.

Susana stanęła. Grzechot przybrał na sile.

- Jezu - jęknęła, cofając się.

Carson uważnie wpatrywał się w ziemię. Wąż musi być gdzieś w cieniu. Na słońcu było za gorąco, nawet dla grzechotnika.

Po chwili dostrzegł go. Tłusty gad o diamentowym wzorze na grzbiecie leżał zwinięty pod krzakiem juki sześć metrów dalej, wyso-ko unosząc łeb. Nie był szczególnie duży, miał najwyżej osiemdziesiąt centymetrów długości. Wił się w miejscu, gotowy do uderzenia. Co chwila poruszał końcem ogona.

- Mam pomysł - oświadczył Carson. - Tym razem wyłącznie mój.

Oddał wodze Susanie i ostrożnie odszedł kawałek, aż znalazł odpowiedni krzak *mesquite*. Ułamał dwie rozwidlone gałęzie, usunął sęki i kolce, a potem wrócił do de Vaki.

- O mój Boże, *cabrón*, nie mów mi, że zamierzasz złapać tego *hijo deperra*.

- Będę potrzebował twojej pomocy.

- Cholera, mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Na ranczu często je łapaliśmy. Obcina się łeb, patroszy i piecze na ognisku. Smakuje jak kurczak.

- Albo jak ostrygi z Gór Skalistych. Słyszałam już te opowieści. Carson roześmiał się.

- Prawdę mówiąc, tylko raz jedliśmy takiego węża, ale okazał się cholernie łykowaty. I za bardzo przypiekliliśmy go na ogniu, co wcale nie poprawiło smaku.

Ruszył w kierunku węża, który znów zaczął grzechotać, zwijając się jeszcze ciaśniej i lekko kołyszając łbem. Carson widział jego rozwidlony język poruszający się ostrzegawczo. Wiedział, że gad może skoczyć najwyżej na odległość równą długości ciała, czyli osiemdziesiąt centymetrów. Stał poza zasięgiem grzechotnika i wycelował w niego rozwidloną gałąź. Wąż nie zaatakował kija. Uderzył dopiero wtedy, kiedy wyczuje ciepło ciała.

Błyskawicznym ruchem przycisnął gada do ziemi. Grzechotnik natychmiast się rozwinął, próbując go ukąsić. Carson drugim kijem przyduślił jego cielsko bliżej łba. Potem uniósł pierwszy kij i ostrożnie przemieścił widełki jeszcze bliżej. Po kolejnym takim manewrze przytrzymał węża tuż za głową. Rozwścieczony grzechotnik otworzył pysk, ukazując różową paszczę i ociekające jadem kły. Tłukł ogonem o ziemię.

Mocno przytrzymując gada, Carson ostrożnie pochylił się i złapał go za kark, wbijając kciuk pod pyskiem, a pozostałymi palcami mocno naciskając kręgosłup na szyi. Potem puścił kije i podniósł węża, pokazując go de Vace.

Popatrzyła na niego z bezpiecznej odległości, stojąc z rękami założonymi na piersiach.

- Oo - powiedziała bez entuzjazmu.

Carson udał, że rzuca gada w jej kierunku, i uśmiechnął się, gdy uskoczyła. Potem usunął się na bok, nadal trzymając miotającego się gada, który przekrzywiał łeb, bezskutecznie usiłując zatopić kły w je-go kciuku.

- Przejdź z końmi obok mnie - polecił de Vaca. - Idąc, zostaw wyraźny ślad i przewróć kilka kamieni.

Przeprowadziła wierzchowce. Niespokojnie minęły Carsona, czujnie spoglądając na węża. Kiedy oba konie znalazły się w bezpiecznej odległości, Carson drugą ręką złapał węża za ogon.

- W lewej kieszeni moich spodni znajdziesz krzemienny grot strzały - powiedział. - Wyjmij go i odetnij mu grzechotki. Tylko staraj się uciąć wszystkie.

- Mam wrażenie, że w ten sprytny sposób chcesz mnie skłonić, żebym włożyła rękę w twoje spodnie - mruknęła z uśmiechem de Va-ca. - Zaczynam jednak domyślać się, o co ci chodzi.

Wyjęła grot strzały z jego kieszeni. Potem, gdy Carson przy-cisnął grzechotnika do skały, szybko przeciągnęła ostrym krzemieniem po ogonie gada, odcinając grzechotki. Wąż przeżył się rozwścieczony.

- Odejdź jak najdalej - rzekł Carson. - Wypuszczenie go to najbardziej niebezpieczny moment.

Pochylił się i położył węża w cieniu głazu. Drugą ręką podniósł jedną z rozwidlonych gałęzi i znów przycisnął nią łeb grzechotnika. Przygotował się, puścił gada i jednocześnie odskoczył.

Wąż natychmiast zwinął się, a potem uderzył. Raz po raz atakował i zwijał się jak sprężyna wśród kamieni, kołysząc łbem. Wściekle poruszał ogonem, ale nie było już słycać grzechotania.

De Vaca schowała grzechotki do kieszeni.

- W porządku, *cabrón*, przyznaję, że jestem pod wrażeniem. Nye też będzie. Tylko co miałyby zatrzymać tutaj tego gada? Nye dotrze tu dopiero za parę godzin.

- Grzechotniki nie mogą wędrować w takim skwarze - odparł Carson. - Nie ruszy się stąd do zachodu słońca.

De Vaca cicho zachichotała.

- Mam nadzieję, że ukąsi Nye'a w *cojones*.

- Nawet jeśli go nie ukąsi, to załóżę się, że facet *zacznie* poruszać się znacznie wolniej.

De Vaca ponownie zachichotała, a potem pochyliła się i oddała mu krzemień.

- Nawiasem mówiąc, ładny grot - zauważyła kpiąco. - Jak na Anglosasa, nosisz w kieszeniach ciekawe rzeczy. Powiedz mi, sam go odłależ?

Carson zignorował ją.

Słońce znajdowało się już wprost nad ich głowami. Ruszyli w dalszą drogę. Konie szły z przymkniętymi ślepiami i opuszczonymi łbami. Wokół drgało rozgrzane powietrze. Minęli kępę kwitnących kaktusów. Żar słońca zmienił purpurowe kwiaty w matowe szkło.

Carson zerknął na de Vacę. Tak jak on szła z opuszczoną głową, kryjąc twarz w cieniu kapelusza. Pogratił sobie, że przed opuszczeniem stajni zdołał zabrać nakrycia głowy. Takie drobiazgi często okazywały się niezwykle istotne. Gdyby tylko zdążył zabrać więcej manierek z wodą albo lekko okulił Muerto. Dwa lata wcześniej nie popełniłby takiego błędu, nawet w panice i zamieszaniu wywołanym wysadzeniem Mount Dragon w powietrze.

Woda. Na samą myśl o wodzie ponownie spojrzął na manierki w jukach. Uświadomił sobie, że od jakiegoś czasu nieustannie spogląda w ich stronę. Zauważył, że de Vaca odwróciła się i też na nie popatrzyła. To zły znak.

- Chyba nie zaszkodziłby nam jeden łyk? - zapytała w końcu.

- Byłby jak jeden kieliszek dla alkoholika - odparł Carson. - Jeden prowadzi do następnego i wkrótce wypilibyśmy wszystko. Musimy zostawić wodę dla koni.

- A kogo, do cholery, obchodzi, czy konie przeżyją, jeśli my zginemy?

- Próbowalaś ssać kamyk? - zapytał Carson.

De Vaca obrzuciła go ponurym spojrzeniem i wypluła coś małego i błyszczącego.

- Ssałam go od rana. Chcę pić. A jaki w ogóle jest pożytek z tych koni? Od kilku godzin na nich nie jechaliśmy.

Upał i pragnienie odbierały jej rozsądek.

- Okulałyby, gdybyśmy próbowali jechać po tych skałach - powiedział najspokojniej, jak mógł. - Gdy tylko zejdziemy z lawy...

- Pieprzyć to - burknęła de Vaca. - Chcę się napić. Sięgnęła do juków przy siodle.

- Zaczekaj - rzekł Carson. - Poczekaj chwilę. Czy kiedy twoi przodkowie pokonywali tę pustynię, też się w ten sposób załamali?

Odpowiedziało mu milczenie.

- Don Alonso i jego żona przebyli tę pustynię razem. I omal nie

umarli z pragnienia. Tak mi mówiłaś.

De Vaca odwróciła głowę i nie odpowiedziała.

- Gdyby stracili wiarę, nie byłoby cię tutaj.

- Nie rób mi prania mózgu, *cabrón*.

- To nie żarty, Susana. Od tych koni zależy nasze życie. Jeśli będą w dobrej formie, będziemy mogli podróżować nawet wtedy, gdy będziemy zbyt słabi, aby iść.

- Dobrze, dobrze, już nie mam ochoty pić - odparła. - Wolę umrzeć z pragnienia, niż słuchać twoich kazań. - Gwałtownie szarpnęła wodze swojego wierzchowca. - Rusz tyłek - ponagliła go.

Carson na chwilę został w tyle, oglądając kopyta Roscoe. Były trochę wykruszone na krawędziach, ale jeszcze całe. Nie dostrzegł groźniejszych uszkodzeń, takich jak głębokie ubytki czy pęknięcia. Może będą mogli iść jeszcze ze dwa kilometry po skałach.

De Vaca czekała, aż ją dogoni. Patrzyła na krążące w górze sępy

- *Zopilotes*. Już się zlatują na nasz pogrzeb.

- Nie - odparł Carson. - Zwabiło je coś innego. My nie jesteśmy jeszcze aż tak osłabieni.

De Vaca milczała przez chwilę.

- Przepraszam, że byłam taka niemiła, *cabrón* - powiedziała w końcu. - Jestem trochę szorstka, jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś.

- Zauważyłem to już pierwszego dnia.

- Tam, w Mount Dragon, uważałam, że mam wiele powodów do gniewu. Związanych z moim życiem i pracą. Teraz, jeśli tylko uda nam się wyjść cało z tego pieca, przysięgam, że będę bardziej cenić to, co przynosi mi życie.

- Jeszcze nie zaczynamy mówić o umieraniu. Nie zapominaj, że musimy przeżyć nie tylko ze względu na siebie.

- Sądysz, że mogłabym o tym zapomnieć? - zapytała. - Wciąż myślę o tych tysiącach niewinnych ludzi, którym w piątek mają podać PurBlood. Myślę, że wolę już być tutaj, w tym skwarze, niż leżeć na szpitalnym łóżku i mieć podłączoną kroplówkę z tym świństwem.

Znowu zamilkła na dłuższą chwilę.

- W Truchas nigdy nie było takich upałów - stwierdziła. - I wszędzie była woda. Z Truchas Peaks spływały strumienie pełne pstrągów. Można było zanurzyć się i pić do woli. Woda była zawsze zimna, nawet w lecie. I taka cudowna. Nurkowaliśmy w wodospadach. Boże, na samą myśl...

Znów ucichła.

- Mówiłem ci, żebyś o tym nie myślała - odparł Carson. Zamilkła.

- Może nasz przyjaciel właśnie w tej chwili wbija kły w tego *canalla* - powiedziała z nadzieją w głosie.

Kiedy Levine przeszedł przez drzwi, stanął jak wryty

Znalazł się na szczycie skalnego urwiska. W dole ocean walił o granitowy brzeg. Fale uderzały o skały, tryskając gejzerami białego pyłu, zanim opadły i zmieniły się w kremową pianę. Odwrócił się. Brzeg za nim był pusty i smagany wiatrem. Wąski, dobrze wydeptany szlak wił się po porośniętej bujną trawą łące i znikał w gęstym świerkowym lesie.

Po drzwiach na korytarz nie pozostał żaden ślad. Levine znalazł się w zupełnie nowym świecie. Na moment zdjął dłoń z laptopa i zamknął oczy. Wstrząsnął nim nie tylko ten niewiarygodny widok w miejscu, gdzie powinien znajdować się ośmiokątny pokój. Chodziło o coś więcej. Rozpoznał ten nadmorski brzeg. Nie był to wyimaginowany kraj obraz. Levine był tu już kiedyś, przed wieloma laty, ze Scopesem. Kiedy chodzili do college'u i byli nierozłącznymi przyjaciółmi.

Monhegan Island w stanie Maine.

Stał na urwisku, na wysuniętym w morze cyplu. Jeśli dobrze pamiętał, to miejsce nazywano Burnt Head.

Ponownie położywszy dłoń na laptopie, powoli zatoczył krąg, obserwując, jak zmienia się krajobraz. Każdy nowy szczegół, każdy widok wywoływał wrażenie *deja vu*. To było niezwykle, wprost niewiarygodne osiągnięcie. Oto prywatne dominium Scopesa, serce zaprogramowanej przez niego cyfrop przestrzeni. Jego sekretny świat - wyspa z chłopięcych lat.

Levine wspominał lato, które spędził na tej wyspie. Dla chłopca z bostońskiej dzielnicy robotniczej to miejsce było objawieniem. Całymi dniami badali ciche zatoczki i oblane słońcem polany. Rodzina Brenta miała tu okazały wiktoriański dom stojący samotnie na skraju wioski, przy zawietrznym brzegu wyspy.

Levine zrozumiał, że właśnie tam znajdzie Scopesa.

Ruszył ścieżką w ciemny iglasty las. Zauważył, że dziwny melodyjny śpiew cyfrop przestrzeni ucichł, zastąpiony przez odgłosy wyspy: krzyki mew, odległy huk przyboju. W miarę jak zagłębiał się w las, szum oceanu cichł, pozostawiając jedynie westchnienia i pojękiwania wiatru w sękatych gałęziach świerków. Wszedł w pasmo nie-zbyt gęstej mgły, zdziwiony łatwością, z jaką nauczył się poruszać w tym wirtualnym świecie. Ogromny ekran w kabinie windy, westchnienia i dźwięki muzyki oraz reakcja programu na polecenia z klawiatury jego komputera... Po

tym wszystkim przestał się czemukolwiek dziwić.

Dotarł do rozgałęzienia ścieżki. Skoncentrował się, usiłując przypomnieć sobie drogę do wioski. W końcu wybrał pierwsze lepsze odgałęzienie.

Szlak schodził do kotliny i przecinał wąski strumień - niebieską nitkę otoczoną kaptownicami oraz kępami *Symplocarpus foetidus* i *Lysichitum americanum*. Przekroczył strumyk, podążając szlakiem w górę wąskiego parowu i głębiej w las. W pewnym momencie ścieżka znikła w gąszczu. Levine odwrócił się i ruszył z powrotem, ale mgła zgęstniała i widział tylko czarne, porośnięte mchem pnie otaczające go ze wszystkich stron. Zabłądził.

Zastanawiał się przez chwilę. Wiedział, że wioska znajduje się na zachodnim końcu wyspy Tylko gdzie jest zachód?

Zauważył jakiś cień poruszający się we mgle po lewej stronie ścieżki. Niebawem cień przybrał postać człowieka trzymającego w ręce la-tarnię. Kiedy nieznajomy szedł, lampa rzuciła żółty krąg światła podskakującego i migającego we mgle. Nagle nieznajomy przystanął. Powoli odwrócił się, spoglądając zza zasłony czarnych pni w kierunku Levine'a. Ten odpowiedział mu spojrzeniem, zastanawiając się, czy powinien wypisać na klawiaturze słowa powitania. Potem zobaczył roz-błysk światła i usłyszał huk.

Zrozumiał, że do niego strzelają. Postać we mgle była najwidoczniej jakimś programem zabezpieczającym cyberprzestrzeń. Tylko co właściwie widziała i dlaczego do niego strzelała?

Nieoczekiwanie ciche westchnienia wiatru zagłuszył chłodny głos. Levine oderwał wzrok od ekranu i spojrzał na głośniki kabiny windy. Ten głos należał do Brenta Scopesa.

- Uwaga, wszyscy pracownicy ochrony! W komputerze GeneDyne odkryto intruza. W obecnym stanie sieci oznacza to, że intruz znajduje się w budynku. Natychmiast zlokalizować go i usunąć.

Wkraczając na tę wyspę, Levine uruchomił program zabezpieczający superkomputer GeneDyne. A co by się stało, gdyby został trafiony? Prawdopodobnie wypadłby z programu cyfropoprzestrzeni i znalazłby się równie daleko od Scopesa jak wtedy, kiedy wchodził do tego budynku.

Czarna postać ponownie strzeliła.

Levine uciekł w las. Przez kłęby mgły dostrzegł kolejne ciemne sylwetki poruszające się wśród drzew i błyski światła. Drzewa zaczęły rzadnieć i niebawem wyszedł na żwirową drogę.

Przystanął na moment i obejrzał się za siebie. Postacie znikły. Levine natychmiast ruszył drogą, podążając najszybciej, jak tylko pozwalała mu na to klawiatura laptopa, i wypatrując oznak niebezpieczeństwa.

Nagle usłyszał jakiś hałas i instynktownie uskoczył w las. W następnej chwili drogą przemknęła grupka ciemnych postaci niosących latarnie i broń. Zaczekał, aż przejdą, a potem wrócił na drogę.

Wkrótce żwir zmienił się w skałę i droga zaczęła schodzić ku brzegowi morza. W oddali Levine dostrzegał już dachy wioskowych domów, stłoczonych wokół białej wieży kościoła. Za nimi wznosił się wielki mansardowy dach Island Inn.

Ostrożnie zszedł ze wzgórza i ruszył do osady. Wyglądała na opuszczoną. Między wybielonymi deszczem domami zalegała jeszcze gęstsza mgła. Levine szybko mijał ciemne okna z szybami z matowego szkła. Tu i ówdzie padający z jakiegoś domu blask rozjaśniał mgłę. W pewnej chwili usłyszał głosy i uskoczył w boczną uliczkę, gdzie czekał, aż minie go grupka ciemnych postaci.

Za kościołem droga znów się rozwidlała, ale teraz Levine już wiedział, gdzie się znajduje. Wybrawszy lewą odnogę, poszedł wijącą się wzdłuż brzegu ścieżką. Potem stanął i poruszył trackballem, spoglądając na wzgórze.

Na samym brzegu morza ujrzał czarne kontury otoczonej żelaznym ogrodzeniem rezydencji Scopesów.

Po długich godzinach pochylania się i wypatrywania śladów na lawie Nye odczuwał silny ból pleców. Konie tamtych prawie nie zostawiały śladów, więc tropienie było żmudną i powolną pracą. Idąc tropem Carsona i de Vaki, w ciągu trzech godzin zdołał przebyć zaledwie trzy kilometry.

Wyprostował się, rozmasował sobie kark i pociągnął kolejny łyk z bukłaka. Nalał trochę wody do kapelusza i napoił Muerto. W końcu ich dogoni, choćby tylko po to, żeby zobaczyć ich zwłoki rozszarpywane przez kojoty. Doczeka się tego.

Na moment zamknął oczy w palącym, białym blasku słońca. Potem głęboko westchnął i znów zaczął tropić. W odległości pół metra była kępa zgniecionej trawy. Zrobił krok w tym kierunku i spojrzął. Może metr dalej leżał odwrócony kamień, do którego przywarło kilka drobin piasku. Nye rozejrzał się wokół. Opoдал dostrzegł wyraźny odcisk kopyta w miękkim piasku.

Było to piekielnie nużące zajęcie, ale pocieszał się myślą, że do tej

pory Carson i de Vaca na pewno wypili już całą wodę. Ich konie prawdopodobnie były na pół oszalałe z pragnienia.

No, tu przynajmniej trop był dobrze widoczny, na przestrzeni co najmniej sześciu metrów Nye wyprostował się i ruszył wzdłuż śladów zadowolony z chwilowej ulgi. Może zmęczeni się zacieraniami śladów.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch i w tej samej chwili Muerto stanął dęba. Nye stracił równowagę i znalazł się w zasięgu jego kopyt. Otrzymał ogłuszający cios w głowę, a potem usłyszał dziany szum, który szybko ucichł. Miał wrażenie, że minęła cała wieczność. Nagle stwierdził, że spogląda na bezkresne pole błękitu. Wstał i poczuł mdłości. Muerto spokojnie pasł się sześć metrów dalej. Nye odruchowo dotknął ręką głowy. Zobaczył krew na palcach. Spojrzał na zegarek i uświadomił sobie, że stracił przytomność zaledwie na minutę lub dwie.

Pospiesznie odwrócił się. Obok na kamieniu siedział ten chłopiec. Ko-lana podciągnął pod brodę i uśmiechał się. Miał na sobie krótkie spodenki, podkolanówki i podarty granatowy blezer, z ledwie widocznym spod warstwy brudu emblematem Szkoły Świętego Pankracego dla chłopców. Jego przydługie włosy były matowe i sterczały po bokach głowy

- To ty - westchnął Nye.

- Grzechotnik - powiedział chłopiec, ruchem głowy wskazując kępę juki.

To był ten głos mówiący cockneyem, którego - o czym Nye wiedział najlepiej - nie potrafią wyplenić lata nauki w angielskich szkołach publicznych Surrey czy Kentu. Słyszając go, natychmiast przeniósł się ze skwarnej pustki pustyni na wąskie i szare uliczki Ealing, z chodnikami śliskimi od deszczu i unoszącym się w powietrzu silnym zapachem węgla.

Z trudem wrócił do rzeczywistości. Spojrzał we wskazanym przez chłopca kierunku. Tam, może trzy metry dalej, leżał wąż, zwinięty i gotowy do skoku.

- Dlaczego mnie nie ostrzegłeś? - zapytał Nye. Chłopiec zaśmiał się.

- Nie widziałem go, stary. Ani nie słyszałem.

Wąż nie robił hałasu. Jego ogon sterczący ze zwojów ciała poruszał się gwałtownie, ale bezdźwięcznie. Czasem grzechotnikowi odłamuje się grzechotka, ale zdarza się to bardzo rzadko. Nye poczuł, że ogarnia go strach. Powinien być ostrożniejszy

Wstał, rozpaczliwie usiłując opanować wstrząsające nim mdłości.

Podszedł do swego konia i wyjął z olstra sztucer.

- Zaczekaj chwilę - powiedział chłopiec. - Na twoim miejscu nie robiłbym tego.

Nye wepchnął broń z powrotem do pochwy. Racja. Carson może usłyszeć strzał. W ten sposób Nye zupełnie niepotrzebnie zawiadomiłby go, gdzie jest. Tknięty przeczuciem, sprawdził teren, szerokim łukiem obchodząc węża. Znalazł długi kij, niedawno ścięty i rozwidlony na końcu. Obok leżał drugi, podobny.

Chłopiec wstał i przeciągnął się, przyglądając rozczochrane włosy.

- Wygląda na to, że dałeś się podejść jak dziecko. Paskudna sprawa. Tym razem prawie cię załatwił.

Nye zaklął pod nosem. Wciąż nie doceniał Carsona. Wąż był rozwścieczony i najwyraźniej zamierzał zaatakować. Gdyby Nye zauważył go chwilę później... Pociemniało mu w oczach.

Potem znów spojrzął na chłopca. Kiedy widział go ostatni raz, był młodszy i niepodobny do tego zaniedbanego chudzielca, który stał te-raz przed nim.

- Co się naprawdę stało tamtego dnia w Littlehampton? - zapytał. - Mama nie chciała mi powiedzieć.

Chłopiec pogardliwie opuścił dolną wargę.

- Ta paskudna wielka fala dorwała mnie, prawda? Wciągnęła mnie na dno.

- Jak wypłynąłeś? Warga opadła jeszcze niżej.

- Wcale nie wypłynąłem.

- A więc co tu robisz? - spytał Nye. Chłopak podniósł kamyk i cisnął go.

- Mógłbym zapytać o to samo ciebie.

Nye pokiwał głową. Prawda. Miał wrażenie, że powinno mu się to wydawać dziwne, tymczasem im dłużej o tym myślał, tym wydawało się zwyczajniej sze. Wiedział, że wkrótce w ogóle przestanie o tym myśleć.

Chwycił wodze i szerokim łukiem ominął grzechotnika, ponownie wypatrując śladów wiodących na północ.

- Gorszy tu skwar niż na patelni - zauważył chłopiec.

Nye zignorował tę uwagę. Znalazł rysę na kamieniu. Widocznie tamci w tym miejscu skręcili w bok. Boże, jak bardzo bolała go głowa.

- Hej, mam pomysł - powiedział chłopiec. - Zaczekajmy na niego na przełęczy.

Przez opary bólu Nye przypomniał sobie mapę tej okolicy. Nie znał

tak dobrze północnej części Jornady Wydawało się to nieprawdopodobne, jednak być może biegł tędy jakiś szlak, którym podążał Carson.

Ale on nadal miał przewagę. Zostało mu trzydzieści litrów wody, a jego koń jeszcze nie zdradzał objawów zmęczenia. Czas przestać tak kurczowo trzymać się śladów Carsona i samemu przejąć inicjatywę.

Nye rozwinął mapę, przyciskając jej naroża kamykami. Może Carson kierował się na północ nie tylko dlatego, że chciał zgubić pościg. W jego aktach znajdowała się informacja, że pracował na ranchu w No-wym Meksyku. Może zmierzał na dobrze sobie znany teren.

Mapa ukazywała rozległe pola lawy w północnej części Jornady. Ponieważ topografowie nie fatygowali się pomiarami tych pustkowi, znaczne obszary na mapie były oznaczone jedynie gęsto rozmieszczonymi kropeczkami symbolizującymi skamieniałą lawę. Nie zaznaczono na niej poszczególnych pasm ani ich wysokości. Mapa niewątpliwie była bardzo niedokładna, sporządzono ją na podstawie zdjęć lotniczych, a nie pomiarów w terenie.

Na północnym krańcu Jornady Nye zauważył szereg wulkanicznych stożków opisanych jako „łańcuch kraterów” i tworzących nieregularną linię biegnącą przez pustynię. Z jednej strony do pasa lawy przylegał wysoki płaskowyż o urwistych zboczach - Mesa del Contadero, a z drugiej zagrażał jej drogę koniec masywu Fra Cristóbal. Właściwie nie była to przełęcz, ale widział tam wąski przesmyk w Malpais przy północnym końcu Fra Cristóbal. Według mapy przez ten przesmyk wiodła jedyna droga pozwalająca wydostać się z Jornady bez przekraczania Malpais.

Chłopak zaglądał Nye'owi przez ramię.

- Widzisz? A co ci mówiłem, szefie? Zaczekaj na niego na przełęczy

Trzydzieści kilometrów za przesmykiem na mapie umieszczono symbol wiatraka - trójkąt z „x” na wierzchołku - oraz czarną kropkę oznaczającą zbiornik do pojenia bydła. Obok Nye zobaczył czarny kwadracik i słowa „Lava Camp”. Domyślił się, że to zabudowania należące do rancha położonego trzydzieści kilometrów na północ, opisanego na mapie jako „Diamond Bar”.

Tam właśnie jechał Carson. Pewnie pracował na tym ranchu jako chłopak. Mimo wszystko Mount Dragon od Lava Camp dzieliło sto czterdzieści kilometrów, w tym ponad sto do samego przesmyku. A to oznaczało, iż Carson musiał przebyć jeszcze prawie dziewięćdziesiąt kilometrów, zanim dotrze do wiatraka i wody. Żaden koń nie zdoła po-

konać takiej odległości bez pojenia. Ci dwoje byli zgubieni.

Mimo wszystko im dalej Nye patrzył na mapę, tym bardziej był przekonany, że Carson będzie zmierzał do tego przesmyku. Zostanie wśród skał, aż zgubi Nye'a, a potem ruszy prosto jak strzełił do przesmyku i leżącego za nim Lava Camp - gdzie znajdzie wodę, żywność i ludzi, a może nawet telefon komórkowy

Nye schował mapy do mapnika i rozejrzał się wokół. Pole lawy roz-pościerało się aż po horyzont, ale teraz już wiedział, że do zachodniego krańca pozostało mu najwyżej półtora kilometra.

W jego umyśle zrodził się prosty plan. Kiedy wyjedzie spomiędzy skał, dotrze do tego przesmyku w Malpais i tam zaczeka. Carson nie domyśla się, że on ma te mapy. Na pewno wie, że Nye nie zna północnej części Jornady. Nie będzie się spodziewał zasadzki. A poza tym będzie zbyt spragniony, żeby się martwić czymkolwiek poza brakiem wody. Nye będzie musiał zatoczyć szeroki łuk, aby Carson nie napotkał jego śladów, ale mając duży zapas wody i silnego korna, bez trudu do-trze do przesmyku wcześniej.

I tam Carson wraz z tą suką zakończą życie w nitkach celownika sztucera Holland & Holland.

Mniej więcej dwa kilometry dalej sępy wciąż zataczały szerokie kręgi w rozgrzanym powietrzu. Carson i de Vaca szli w imiczeniu, prowa-dząc wierzchowce po bazaltowej skale. Była druga po południu. Lawa jawiła się Carsonowi jako bezkresne jezioro pokryte białymi grzywami fal. Nie był w stanie patrzeć na nią i nie widzieć wody

Czuł straszliwe pragnienie. Nigdy nie wyobrażał sobie, a tym bardziej nie doświadczał podobnego uczucia. Język skołowaciał mu i zmienił się w kawał suchej kredy. Z popękanych warg sączyła się krew. Pragnienie wywoływało również męki psychiczne: idąc, miał wrażenie, że pustynia zmienia się w morze ognia, unosząc go jak pyłek popiołu w rozżarzone, bezlitosne niebo.

Konie były bardzo odwodnione. Zmiana, jaką wołał kilkugodzinny pobyt na słońcu, była wprost niewiarygodna. Carson chciał poczekać do zachodu słońca, zanim je napoi, ale teraz stało się oczywi-ste, że wtedy byłoby za późno.

Zatrzymał się. Susana przeszła jeszcze kilka kroków, a potem stanęła bez słowa.

- Napoimy konie - zdecydował.

Słowa z trudem wydobywały mu się z wyschniętego gardła. De Va-ca nic nie powiedziała.

- Susana? Co z tobą?

Nie odpowiedziała. Usiadła w cieniu wierzchowca i pochyliła głowę. Carson podszedł do niej. Rozpiął juki Nye'a i odsunął na bok podkowy Wyjął manierkę, zdjął kapelusz i napełnił go po brzegi. Na wi dok płynącej z manierki wody ścisnęło go w gardle. Roscoe, który apatycznie stał obok, nagle podrzucił łbem i przysunął się bliżej.

W mgnieniu oka wypił wodę, a potem chwycił zębami kapelusz. Carson z irytacją trzepnął go po pysku i wyrwał kapelusz. Koń odskoczył i zarżał.

Carson ponownie napełnił kapelusz i podsunął go koniowi de Vaki. Zwierzę łapczywie wypilo wodę.

Zastąpiwszy opróżnioną manierkę drugą, ponownie napoił wierzchowce, które zgodnie z jego przewidywaniami ożywiły się, szeroko otworzyły oczy, zaczęły parskać i kręcić się.

Chowając manierkę z resztą wody do juków, usłyszał jakiś szelest. Sięgnął do środka i znalazł rozpruty szew w klapie. Spod materiału wystawał róg pożółkłego papieru - kartki, którą Nye oglądał w stajni tamtego wieczoru po burzy piaskowej. Carson wyjął kartkę i obejrzał ją z zaciekawieniem. Była wystrzępiona i wcale nie z papieru, lecz czegoś wyglądającego jak poplamiona, cienka skóra. Narysowano na niej prymitywny szkic górskiego łańcucha, jakiś dziwny czarny kształt, liczne znaki i kilka hiszpańskich słów. Wykaligrafowany na samej górze napis głosił: *Al despertar la hora el aguila del sol se levanta en una aguja delfiiego*. „O świcie orzeł słońca staje na igle ognia”. A na dole, wśród innych hiszpańskich słów, nazwisko: Diego de Mondragón.

Nagle wszystko stało się jasne. Gdyby nie boleśnie popękane wargi, Carson wybuchnąłby śmiechem.

- Susano! - wykrzyknął. - Nye szukał skarbu Mount Dragon. Złota Mondragóna! Znalazłem ukrytą w jego jukach mapę. Ten stuknięty drań wiedział, że w ośrodku nie wolno posiadać żadnych notatek, więc trzymał je tam, gdzie nikt by ich nie znalazł!

De Vaca obojętnie spojrzała na mapę. Carson pokręcił głową. To było śmieszne, zupełnie niewiarygodne. Nye nie był przecież głupcem. A jednak niewątpliwie kupił tę mapę w jakimś nędznym lombardzie w Santa Fe, prawdopodobnie płacąc za nią fortunę. Carson widział wiele takich map. Podrabianie ich i sprzedawanie turystom to kwitnący interes w Nowym Meksyku. Nic dziwnego, że Nye tak podejrzliwie potraktował go wtedy na pustyni. Podejrzewał, że Carson zamierza mu ukraść

wyimaginowany skarb.

Najwyraźniej już od dłuższego czasu szukał tego złota. Może początkowo robił to dla rozrywki. Teraz jednak, pod wpływem PurBlood, to, co z początku było tylko lekką obsesją, przerodziło się w coś poważniejszego. Wiedząc, że Carson zabrał jego juki, będzie tropić ich bez wytchnienia.

Carson uważnie przyjrzał się mapie. Ukazywała góry, a czarny kształt mógł być pasmem lawy. Mogła przedstawiać dowolne miejsce na pustyni. Najwidoczniej jednak Nye wiedział, że kaftan Mondragóna znaleziono u podnóża Mount Dragon, i od tego miejsca rozpoczął swoje poszukiwania.

Pod wpływem palącego pragnienia Carson szybko zapomniał o pod-nieceniu wywołanym zaskakującym rozwiązaniem tajemnicy cotygodniowych zniknięć Nye'a. Ze znużeniem schował pergamin do juków i spojrzął na podkowy. Nie ma czasu, żeby je przybić. Będą musieli za-ryzykować dalszą jazdę bez nich.

Zawiązał juki i odwrócił się.

- Susana, musimy jechać dalej.

De Vaca bez słowa wstała i ruszyła na północ. Carson poszedł za nią i morze ognia szybko pochłoneło wszelkie inne myśli.

Nieoczekiwanie dotarli do skraju pasa lawy. Przed nimi aż po horyzont ciągnęła się bezkresna pustynia. Carson nachylił się nad skalną szczeliną i wziął kilka kawałków wykrystalizowanej w niej soli. Nigdy nie zaszkodzi przygotować się na wszelkie ewentualności.

- Teraz możemy dosiąść koni - oświadczył, chowając sól do kieszeni.

Patrzył, jak de Vaca machinalnie wkłada stopę w strzemię. Za drugim razem udało jej się usiąść w siodle.

Widząc jej cichą mękę, nagle nie mógł już tego dłużej znieść. Pochylił się w siodle, sięgnął do juków i wyjął z nich manierkę.

- Susana, napijmy się.

Przez chwilę w milczeniu siedziała na koniu. Potem, nie patrząc na niego, powiedziała:

- Nie bądź głupi. Przed nami jeszcze sto kilometrów jazdy. Zostaw wodę dla koni.

- Tylko jeden łyczek, Susana. Jeden. Z jej gardła wydobył się szloch.

- Nie chcę. Jeśli ty chcesz się napić, to proszę.

Carson zakorkował manierkę i schował ją. Kiedy szykował się, by

dosiąść konia, poczuł, że coś cieknie mu po brodzie. Dotknął warg i spojrzał na swoje palce. Były czerwone od krwi. W Coal Canyon niczego takiego nie przeżył. Tu było znacznie gorzej. I mieli przed sobą jeszcze sto kilometrów. Z rozpaczą zdał sobie sprawę, że nie zdołają ich pokonać.

Chyba że przy padlinie będą kojoty

Wsunął stopę w strzemień i walcząc z zawrotami głowy, dosiadł konia. Ten wysiłek kosztował go tyle energii, że z trudem utrzymał się w siodle.

Sępy wciąż krążyły jakieś pół kilometra dalej. Kurczowo trzymając się lęku, ruszył w tym kierunku. W oddali dostrzegł jakiś ciemny kształt leżący na piasku. Wokół uwijały się kojoty. Roscoe odruchowo poczłapał w tamtym kierunku. Carson zamrugał oczami, usiłując sku-pić wzrok. Gałki oczne miał również wyschnięte. Ponownie zamrugał.

Kojoty w podskokach uciekły od padliny. Po pięćdziesięciu metrach przystały i obejrzały się. Chyba jeszcze nigdy nikt do nich nie strzelał, pomyślał Carson.

Konie podeszły do ścierwa. Carson spojrzał na nie, z trudem koncentrując wzrok. Oczy miał tak wyschnięte, jakby pokrywała je warstwa piasku.

Była to martwa krótkoroga antylopa. Ciało zwierzęcia było prawie nie do rozpoznania, ale z kupki wyschniętego mięsa wystawała czaszka z charakterystycznymi, sterczącymi rogami. Carson obejrzał się na de Vacę.

- Kojoty - wykrztusił. Miał wrażenie, że przetarto mu gardło papierem ściernym.

- Co?

- Kojoty. To oznacza wodę. One nigdy nie odchodzą daleko od wody

- Jak daleko?

- Nie więcej niż piętnaście kilometrów.

Pochylił się w siodle, z trudem opanowując skurcz krtani.

- Jak ją... znajdziemy? - wychrypiała de Vaca.

- Trop - odparł Carson.

Słońce prażyło niemiłosiernie. Po niebie płynął samotny obłoczek przypominający kłęb dymu. Góry Fra Cnstóbal, ku którym jechali przez cały dzień, teraz wyglądały jak wybielone słońcem kości. Za nimi wszyst-ko zniknęło, jakby krajobraz wyparował w skwarze i uniósł się w

rozzarzo-ne niebo. Kojoty siedziały na wzniesieniu, czekając na odwrót intruzów.

- Podeszły pod wiatr - stwierdził Carson.

Zatoczył szeroki krąg wokół martwej antylopy, aż znalazł miejsce, gdzie zaczynał się trop. Kiedy ruszył za śladami, de Vaca zrównała się z nim. Przejechali kilka kilometrów po ledwie widocznych w sypkim piasku śladach.

Potem trop wszedł na pasmo lawy i znikł.

Carson zatrzymał Roscoe, a de Vaca przystanęła obok. *Milczeli.* Nikt nie zdołał wytopić kojota wśród skał.

- Myślę - powiedział w końcu - że musimy podzielić się resztą wody z końmi. Nie wytrzymamy już długo.

Tym razem de Vaca skinęła głową.

Ześlizgnęli się z koni, padając na gorący piach. Carson z trudem wyjął z juków na pół opróżnioną manierkę.

- Pij powoli - poradził. -1 nie bądź rozczarowana, jeśli nie ugasisz pragnienia.

De Vaca drżącymi rękami chwyciła manierkę i zaczęła pić. Carson nawet nie próbował wyjąć soli z kieszeni. Wiedział, że wody jest za mało, żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie. Delikatnie wziął manierkę od de Vaki i podniósł naczynie do ust. Poczłł niewiarygodną ulgę i jeszcze bardziej nieznośne rozczarowanie, kiedy wypił swoją porcję.

Resztą wody napił konie, a potem przywiązał pustą manierkę do łąku siodła. Położyli się w cieniu rzucanym przez zwierzęta, które apatycznie stały w popołudniowym słońcu.

- Na co czekamy? - zapytała de Vaca.

- Na zachód słońca - odparł Carson. Tych kilka łyków już wydawało się jedynie cudownym snem. Ale mówienie przychodziło mu te-raz nieco łatwiej. - Kojoty piją o zachodzie słońca i wtedy zwykle zaczynają wyć. Miejmy nadzieję, że źródło jest niedaleko i zdołamy je usłyszeć. W przeciwnym razie...

- Co z Nye'em?

- Jestem pewien, że nadal nas szuka - rzekł Carson. - Myślę jednak, że go zgubiliśmy.

De Vaca milczała przez chwilę.

- Zastanawiam się, czy don Alonso i jego żona też tak cierpieli -mruknęła w końcu.

- Z pewnością. Ale znaleźli źródło.

Oboje zamilkli. Na pustyni panowała śmiertelna cisza.

- Czy przypominasz sobie jeszcze jakiś szczegół związany z tym źródłem? - zapytał po chwili Carson.

De Vaca zmarszczyła brwi.

- Nie. Wyruszyli przez pustynię o zmroku i pędzili bydło, aż zaczęło padać z nóg. Apacz wskazał im źródło.

- A zatem byli gdzieś w połowie drogi.

- Jechali wozami, na których mieli beczki z wodą, więc pewnie dotarli znacznie dalej.

- Na północ.

- Na północ.

- Nie pamiętasz nic więcej, absolutnie nic?

- Już ci mówiłam. Tryskało w jakiejś jaskini u stóp Fra Cristóbal. Nic więcej nie pamiętam.

Carson szybko obliczył w myślach. Znajdowali się siedemdziesiąt kilometrów na północ od Mount Dragon. Góry zaczynały się piętnaście kilometrów na zachód. Tuż za terytorium kojotów. Z trudem podniósł się z ziemi.

- Wiatr wieje w stronę Fra Cristóbal. Tak więc kojoty prawdopodobnie przyszły z zachodu. Może Ojo del Aguila znajduje się u podnóża gór na zachodzie?

- To było tak dawno - powiedziała de Vaca. - Skąd wiesz, że źródło nie wyschło?

- Nie wiem.

De Vaca podniosła się i usiadła na piasku.

- Nie wiem, czy zdołam przejechać piętnaście kilometrów.

- Musisz, inaczej umrzesz.

- Umiesz człowieka pocieszyć, wiesz? - De Vaca podniosła się z ziemi. - Ruszajmy.

Nye przez jakiś czas jechał wzdłuż pasa lawy, a potem odbił na wschód, oddalając się od gór, aby ci dwoje nie natrafili na jego ślady. Chociaż Carson okazał się godnym przeciwnikiem, popełniał błędy, kiedy był zanadto pewny siebie. Nye chciał, żeby kowboj był tak pewny siebie, jak to tylko możliwe. Powinien uwierzyć, że ścigający zgubił ich ślad.

Muerto nadal szedł jak burza i Nye również czuł się doskonale. Ból głowy przeszedł w tępy ucisk. Popołudniowy skwar był dokuczliwy, ale był też przyjacielem, niewidzialnym zabójcą.

Okolo czwartej Nye znów skręcił na północ, wracając na skraj pola lawy. Na południu zauważył stado sępów. Krążyły tam już od pewnego czasu. Pewnie nad jakimś zwierzęciem. O wiele za wcześnie, aby

przyciągnęli je Carson i de Vaca.

Nagle zatrzymał się. Chłopiec znikł. Nye wpadł w panikę.

- Hej, chłopcze! - zawołał. - Chłopcze!

Jego głos ucichł bez echa, wessany przez suchy piasek pustyni. W tym martwym krajobrazie nie było niczego, co mogłoby odbić dźwięk. Nye stanął w strzemionach i przyłożył dłonie do ust.

- Chłopcze!

Chuda postać wyszła zza niskiego głazu, zapinając rozporek.

- Jestem, uspokój się, stary. Byłem w kibelku.

Uspokojony Nye znów popędził konia klusem. Czterdzieści kilometrów do miejsca zasadzki. Powinien dotrzeć tam przed północą.

Obraz na wielkim ekranie ukazywał wiktoriański dom zbudowany w neogotyckim stylu, nakryty okazałym mansardowym dachem. Od frontu i wzdłuż bocznych ścian biegł biały portyk. Przesuwając obraz w górę, Levine zauważył, że w całym budynku jest ciemno - paliło się tylko w oknach ośmiokątnej komnaty na szczycie najwyższej wieży, z których sączyła się żółtawa poświata, rozpraszając mgłę.

Przemieścił swoje cyberprzestrzenne alter ego drogą i przez żelazną bramę, która wisiała na pękniętych zawiasach. Zastanawiał się, dlaczego dom nie był strzeżony i dlaczego Scopes przedstawił podwórko w ten sposób, zarosnięte i zaniedbane. Podchodząc, spostrzegł, że nie-które szyby są powybijane, a z poszarzałych desek łuszczy się farba. Tego lata, które spędził tu jako chłopak, dom i podwórze były wypielegnowane.

Ponownie spojrzął na ośmiokątną wieżyczkę, feśli Scopes był gdzieś w środku, to tylko tam. Levine patrzył, jak strumień barwnego światła tryska ognistym jęzorem z dachu wieżyczki i znika w unoszącej się wszędzie mgle. Widział takie transmisje danych wymienianych między wielkimi budynkami zaraz po wkroczeniu w cyberprzestrzeń GeneDyne. To musiało być dedykowane łącze z satelitą TELINT, które wykrył Mim. Levine zastanawiał się, czy wiadomości były szyfrowane przed opuszczeniem sanktuarium cyfrop przestrzeni Scopesa, czy już po.

Frontowe drzwi były lekko uchylone. Wewnątrz domu panowały ciemności i Levine pożałował, że nie ma czym sobie przyświecić. Nie-bo powoli pociemniało, nadając mgle ołowianoszarą barwę i Levine pojął, że - przynajmniej tu, w tym sztucznym świecie Scopesa - nadchodzi noc. Spojrzął na zegarek i zobaczył, że jest 5.22. Rano czy wieczorem? -

zastanawiał się. Zupełnie stracił poczucie czasu. Usiadł wygodniej na podłodze windy, rozprostowując zdrętwiałą nogę i masując obolałe przeguby. Ciekawe, czy Mim nadal siedzi w sieci GeneDyne, zakłócając jej działanie. Zrobił głęboki wdech, znów położył dłonie na klawiaturze i ruszył naprzód.

Oto wielki salon z jego wspomnień, z wytartym perskim dywanem na podłodze i potężnym kamiennym kominkiem w ścianie po lewej.

Nad kominkiem sterczał wypchany łeb łosia, z gęstą siecią pajęczyn w porożu. Na ścianach wisiały rzędy starych obrazów przedstawiających barki i szkunery oraz sceny polowań na wieloryby.

Na wprost znajdowały się kręte schody wiodące na górę. Wszedł po nich i ruszył galerią na piętrze. Przylegające do niej pokoje były ciemne i puste. Wybrał pierwszy z nich, po czym podszedł do starego, popękanego okna. Spojrzał na zewnątrz i ze zdziwieniem ujrzał nie krętą drogę wchodzącą w mgłę, lecz rozmazaną ścianę szaropomarańczowych punkcików. Pluskwa w programie? -zastanawiał się, wracając w półmroku na galerię. Skręcił w boczny korytarz, chcąc zobaczyć pokój, w którym spał przed wieloma laty, lecz ekran wypełnił się strumieniem komputerowego kodu, w którym ogromny obraz domu prawie niknął. Levine pospiesznie wycofał się zaskoczony. Scopes tak starannie ukształtował wszystkie miejsca tej cyberprzestrzeni, jednak dom z czasów jego dzieciństwa był zaniedbany i pusty, a w jego komputerowym tworzywie było widać wyraźne dziury.

Na końcu galerii znajdowały się drzwi, za nimi zaś schody na wieżę. Levine już miał po nich wejść, kiedy przypomniał sobie tylne schody prowadzące na taras. Może lepiej będzie przyjrzeć się wieży, zanim wejdzie do środka.

W gęstniejącej mgłę wyszedł na taras. Poruszył trackballem laptopa, ostrożnie rozglądając się wokół. Ośmiościenna nadbudówka sterczała trzy metry od ganku. Levine podszedł do niej i zajrzał w owalne okno.

W pokoju znajdowała się jakaś zgarbiona postać siedząca tyłem do Levine'a. Długie siwe włosy opadały jej na kołnierz szaty przypominającej powiewną suknię. Postać siedziała przed komputerem osobistym. Nagle z mgły wystrzelił jęzor płomienia i wpadł przez boczną ścianę wieżyczki. Levine bez wahania wszedł w ten strumień koloru i w mgnieniu oka na ogromnym ekranie zapaliły się słowa:

... liśmy pańską cenę. Jest nie do przyjęcia. Podtrzymujemy naszą trzymiliardową ofertę. Nie będzie dalszych negocjacji.

Ekran zgasł. Levine czekał bez ruchu. Po kilku minutach z wieży wystrzeliła smuga kolorowego światła:

Generale Harrington, ta impertynencja będzie kosztowała was dodatko-wy miliard: obecna cena wynosi pięć miliardów. Takie targi przygnębia-ją mnie jako biznesmena. Byłoby przyjemniej, gdybyśmy załatwili to jak dżentelmeni, prawda? I nie chodzi tylko o pieniądze. To mój wirus. I ja go mam, a wy nie. Pięć miliardów dolarów odwróci tę sytuację.

Strumień znikł.

Levine stał przy oknie oszołomiony. Było gorzej, niż mógł się spodziewać. Scopes był nie tylko szalony, ale miał też wirusa, którego zamierzał sprzedać wojsku. Może nawet frakcji jastrzębi w szeregach armii. Sądząc po wymienianych cenach, mogło chodzić wyłącznie o wirusa zagłady, o którym wspominał Carson.

Oparł się o ścianę windy, przerażony potwornością sytuacji, której miał stawić czoło. Pięć miliardów dolarów. Oszalamiająca suma. Wirus to nie broń jądrowa, trudna do transportu, ukrycia czy zdobycia. Jedna próbówka w czyjeś kieszeni może zawierać tryliony zarazków.

Levine przeszedł po ganku, schodami w dół i ruszył korytarzem na ośmiokątną wieżę. Tak jak wszystkie drzwi w cyfroprzestrzeni Scopesa, i te otworzyły się bez trudu. Na samym szczycie wieży napotkał jeszcze jedno. Dochodząc do nich, widział sączące się przez szparę nad progiem światło.

Drzwi były jednak zamknięte. Levine z gniewem i rozpaczą zaczął w nie tłuc pięściami. Potem coś przyszło mu do głowy. Udało się z Fi-do, nie miał więc powodu, by sądzić, że nie uda się tutaj.

Napisał dużymi literami: SCOPES!

Głośniki w ciasnym wnętrzu kabiny natychmiast powtórzyły nazwisko. Minęła minuta, potem dwie. Nagle drzwi ośmiobocznej wieżyczki otworzyły się na oścież. Levine zobaczył, że chuda postać patrzy na niego. To, co wziął za powiewną suknię, okazało się długą szatą, gęsto ozdobioną astrologicznymi symbolami. Pasma siwych i białych włosów opadały na odstające uszy, a skóra na czole i zapadniętych po-liczkach była poorana siateczką zmarszczek, ale Levine znał tę twarz tak dobrze, jak niewiele innych. Znalazł Brenta Scopesa.

Słońce kło jak deszcz szkła. Woda odrobinę zwilżyła im gardła, ale tylko zwiększyła pragnienie. I rozdrażniła zwierzęta. Carson czuł, że lada chwila może stracić kontrolę nad Roscoe. Jeśli koń mu się teraz wyrwie, będzie gnał, aż padnie.

- Trzymaj mocno wodze swojego wierzchowca - polecił de Vace.

Góry Fra Cristóbal wznosiły się coraz wyżej, w ostrym świetle zmieniając barwę od pomarańczowej przez szarą do czerwonej. Jadąc, Carson czuł, że znów zasycha mu w gardle i ustach. Oczy piekły go coraz bardziej i z trudem powstrzymywał się od nieustannego mrugania. Chwilami jechał z zamkniętymi oczami. Czuł, jak koń chwieje się pod nim z wyczerpania.

Jaskinia u podnóża gór. Ciepła woda. To oznaczało wulkaniczny te-ren. Tak więc źródło będzie w pobliżu bazaltowych skał, a sama jaskinia to prawdopodobnie kanał wydrążony przez lawę. Na chwilę otworzył oczy Jeszcze dziesięć kilometrów, może mniej, przez te ciche, pozbawione życia góry.

Nawet myślenie go męczyło. Nagle wodze wyślizgnęły mu się z rąk. Rozpaczliwie złapał się oburącz łęku siodła. Wiedział, że jeśli spadnie z konia, już nigdy nie zdoła na niego wsiąść. Mocniej ścisnął łęk i po-chylił się, aż poczuł na policzku szorstkie włosie końskiej grzywy. Jeśli Roscoe poniesie, niechaj tak będzie. Jechał dalej, poddając się czerwemu światłu, które płonęło za jego zaciśniętymi powiekami.

Słońce już zachodziło, kiedy dotarli do podnóża gór. Długi cień po-szarpanych szczytów powoli pełzł ku nim, aby w końcu spowić ich słodkim chłodem. Temperatura błyskawicznie spadała.

Carson z trudem otworzył oczy. Roscoe chwiał się. Stracił ochotę do ucieczki, ale tracił też chęć do życia. Carson obrócił się do de Vaki. Jechała zgarbiona, z pochyloną głową, zrezygnowana i wykończona.

Oba konie, wlokąc się noga za nogą, dotarły do pasma lawy u stóp skał i stanęły.

- Susana... - wychrypiał Carson. Uniosła lekko głowę.

- Zaczekajmy tu. Poczekajmy, aż kojoty zaczną zwoływać się do wody

Kiwnęła głową i zsunęła się z konia. Próbowwała utrzymać się na no-gach, ale opadła na kolana.

- Cholera - wymamrotała, łapiąc strzemień i usiłując wstać, zaraz jednak osunęła się z powrotem na piasek. Jej koń stał na drżących no-gach, ze spuszczoneym łbem.

- Zaczekaj, pomogę ci - powiedział Carson. Kiedy zsiadł, on też stracił równowagę. Z lekkim zdziwieniem spojrzął z ziemi na wirują-cy wokół świat: góry, konie, ciemniejące niebo. Zamknął oczy.

Nagle zrobiło się chłodno. Spróbował otworzyć oczy, ale nie mógł rozerwać sklejonnych rzęs. Sięgnął ręką i palcami uniosł powie-kę jednego

oka. W górze świeciła samotna gwiazda lśniąca na fiole-towym niebie. Nagle usłyszał jakiś cichy dźwięk. Zaczął się ostrą, urywaną nutą, nabrał mocy i odbił echem w oddali. Rozległy się jeszcze trzy lub cztery urywane szczeknięcia, a ostatnie zmieniło się w przeciągłe wycie. Odpowiedziało mu wycie drugiego zwierzęcia, potem następne.

Kojoty szły do wody u podnóża gór.

Carson podniósł głowę. De Vaca leżała nieruchomo obok niego. Było jeszcze dość jasno, żeby zdołał dostrzec zarysy jej ciała.

- Susana?

Nie odpowiedziała. Podczołgał się do niej i dotknął jej ramienia.

- Susana?

Proszę, odpowiedz. Proszę, nie umieraj. Lekko potrząsnął nią, potem jeszcze raz. Jej głowa opadła na bok, czarne włosy zasłoniły twarz.

- Pomóż... mi... - wyszeptała.

Słyszając jej głos, zmobilizował resztki sił. Musi znaleźć wodę. Musi ją uratować. Konie nadal stały spokojnie, z wodzami leżącymi na piasku. Chwycił strzemień i usiadł. Bok Roscoe wydał mu się gorący jak piec.

Wstał, ale nagle zakręciło mu się w głowie i nogi odmówiły mu po-słuszeństwa. Znow leżał na wznak w piasku.

Nie mógł iść. Jeśli ma dotrzeć do wody, będzie musiał pojechać konno.

Ponownie złapał strzemień i podniósł się, rozpaczliwie chwytając się łąku siodła. Był o wiele za słaby, aby w nim sięść. Rozejrzał się wokół jednym otwartym okiem. Kilka metrów dalej dostrzegł duży głaz. Przełożywszy ramię przez strzemień, podprowadził tam konia i wgramolił się na kamień, a z niego na grzbiet konia. Usiadł w siodle i nasłuchiwał.

Kojoty wciąż się nawoływały. Ustalił kierunek i trącił piętami boki konia. Zwierzę zrobiło chwiejny krok naprzód i stanęło na szeroko rozstawionych nogach. Carson wyszeptał mu do ucha kilka słów, uspokajająco poklepał po karku i znow trącił go piętami. Rusz się, niech cię szlag.

Wierzchowiec zrobił kolejny chwiejny krok. Zatoczył się, zachrapał, łapiąc równowagę, i zrobił kolejny krok.

- Szybciej - zachęcił go Carson. Niedługo kojoty przestaną wyć.

Koń ruszył w kierunku dźwięków. Po chwili po lewej wyrosła następna ściana lawy. Carson popędził Roscoe, ale wycie urwało się nagle.

Kojoty wyczuły jego obecność.

Nadal kierował konia tam, skąd przed chwilą dobiegały głosy padlinożerców. Znów lawa. Nadchodziła noc. Za kilka minut będzie zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć.

Nagle wyczuł to: chłodny, wilgotny zapach. Koń poderwał łeb, również wyczuwając tę woń. Po chwili łagodny wietrzyk porwał ją w dal i nozdrza Carsona wypełnił gorący, metaliczny zapach pustyni.

Po lewej ciągnęło się bez końca pasmo lawy, a po prawej piasek. Za-padła noc i na niebie pojawiło się więcej gwiazd. Wokół panowała głę-boka cisza. Nic nie wskazywało miejsca, gdzie jest woda. Byli blisko, ale niedostatecznie blisko. Carson powoli tracił przytomność.

Koń chrapnął i zrobił kolejny krok naprzód. Carson ścisnął łęk siodła. Znów wypuścił z rąk wodze, ale nie przejmował się tym. Niech koń sam idzie do wody. Była tam, ten zwodniczy wietrzyk znów przyniósł woń mokrego piasku. Koń skierował się w stronę tego zapachu, wchodząc między skały. Carson nie widział nic prócz poszarpanych konturów skał wznoszących się na tle pociemniałego nieba. Nic tutaj nie ma, to tylko jeszcze jeden miraż. Zamknął oczy. Koń zachwiał się, zrobił jeszcze kilka kroków, a potem stanął.

Carson usłyszał, jak z wielkiej odległości, odgłos wciąganej przez zęby wody. Puścił łęk siodła i zaczął spadać, spadać, a kiedy już wydawało mu się, że ten upadek będzie trwał wiecznie, wylądował z pluskiem w płytkiej sadzawce.

Leżał w głębokiej na kilka centymetrów wodzie. To była oczywiście halucynacja. Umierającym z pragnienia ludziom często wydaje się, że toną. Kiedy obrócił się na brzuch, woda wypełniła mu usta. Za-krztusił się i połknął ją. Była ciepła - ciepła i czysta. Znów przełknął. I nagle zrozumiał, że to prawda.

Tarzał się w wodzie, pijąc, śmiejąc się i chlapiąc, i znowu pijąc. Gdy ciepły płyn spływał mu do gardła, czuł, jak wracają mu siły.

Przestał pić i wstał, przytrzymując się konia i gwałtownym mruganiem pozbywając się sklejującej oczy ropy. Odwiązał manierkę i drżą-cą dłonią napełnił ją ciepłą wodą. Zawiesił manierkę na łęku siodła i spróbował odciągnąć Roscoe od wodopoju.

Koń opierał się. Carson wiedział, że gdyby go tu pozostawił, Roscoe złapałby wodę, aż w końcu by padł albo dostał wzdęcia. Uderzył go w pysk i szarpnął wodze. Zaskoczony wierzchowiec cofnął się.

- To dla twojego dobra - powiedział Carson, odciągając zdenerwo-wane zwierzę.

Znalazł de Vacę leżącą tam, gdzie ją zostawił, Klęknąwszy obok,

odkorkował manierkę i skropił wodą jej twarz i włosy. Poruszyła się, obróciła głowę, a on wziął ją w ramiona i ostrożnie wlał kilka kropli między jej rozchylone wargi.

- Susana?

Przełknęła i zaczęła kaszleć.

Wlał jej w usta kolejny łyk. Znow pokropił jej zamknięte oczy i na-puchnięte wargi.

- Czy to ty, Guy? - szepnęła.

- Mamy wodę.

Przytknął manierkę do ust Susany. Wypiła kilka łyków i zakrztusiła się.

- Jeszcze - wychrypiała.

W ciągu następnego kwadransa wypła małymi łyżkami cztery litry Carson wyjął z kieszeni kawałek soli, posłał go chwilę i oddał Susanie.

- Poliz trochę - powiedział. - To pomoże ugasić pragnienie.

- Czy ja umarłam? - wyszeptła w końcu.

- Nie. Znalazłem źródło. Właściwie Roscoe je znalazł. Ojo del Aguila.

Posłała kawałek soli, a potem z trudem usiadła.

- Och. Wciąż umieram z pragnienia.

- Masz w brzuchu dość wody. Potrzebujesz elektrolitów.

Znow posłała sól. Nagle wstrząsnął nią szloch. Carson objął ją ramionami.

- Hej - wymruczała - tylko spójrz, *cabrón*. Znow mam oczy Przytulił ją, czując, że i jemu łzy płyną po policzkach. Płakali razem, ciesząc się cudem, któremu zawdzięczali życie.

Po godzinie de Vaca odzyskała dość sił, żeby pojechać do źródła. Zaprowadzili konie do jaskini i pozwolili im powoli pić. Kiedy już się napiły, Carson wyprowadził je i zostawił, żeby się pasły, uprzednio spętawszy im nogi. Właściwie było to niepotrzebne, bo z pewnością nie oddaliłyby się od wody

Wróciwszy do mrocznej jaskini, Carson znalazł de Vacę leżącą na piasku przy źródle, pogrążoną we śnie. Usiadł i poczuł, że ogarnia go bezgraniczne znużenie. Był zbyt zmęczony, żeby rozejrzeć się wokół. Upadł na piasek i natychmiast zapadł w nicość.

Lava Gate.

Nye poświecił latarką po wznoszącym się przed nim olbrzymim murze czarnej lawy. Przesmyk miał najwyżej pięćdziesiąt metrów sze-

rokości. Po jednej stronie z piasków pustyni wyrastały Fra Cristóbal, stertami potrzaskanych głazów i bazaltu ograniczając przejście, z drugiej wznosiła się wysoka ściana będąca końcem wielokilometrowego jezora zastygłej lawy, która wypłynęła z wygasłego przed eonami wulkanu. Było lepiej, niż oczekiwał: to miejsce idealnie nadawało się na zasadzkę. Jeśli Carson zmierzał do Lava Camp, musiał tędy przejechać.

Nye zostawił spętanego Muerto w wąwozie za przesmykiem i wdrapał się na urwisko, niosąc latarkę, sztucer, worek z wodą i prowiant. Szybko znalazł miejsce, które wyglądało na dobre stanowisko: niewielkie zagłębienie w skale, otoczone ostrymi głazami. Lawa stworzyła naturalny krenelaż, a jej porowata powierzchnia dawała doskonale oparcie dla broni.

Przygotował się na długie oczekiwanie. Pociągnął łyk wody z worka i odkroił sobie z krążka kawałek sera. Amerykański cheddar, coś okropnego. A czterdziestostopniowy upał wcale nie poprawił jego smaku. No cóż, zawsze to jakaś żywność. Nye był przekonany, że Carson i ta kobieta nie jedli od trzydziestu godzin. Jednak wobec braku wody to najmniejszy z ich problemów.

Siedział cicho w ciemnościach, czekając. Przed świtem wzeszedł księżyc. Był w nowiu - jasny, cienki sierp. Mimo to w czystym powietrzu świecił dostatecznie jasno, by Nye mógł się rozejrzeć wokół.

Znalazł idealne miejsce. Jego stanowisko znajdowało się pięćdziesiąt metrów nad przesmykiem. W dzień powinien dostrzec Carsona i kobietę z odległości trzech, może trzech i pół kilometra. Miał czyste pole do strzału, aż po drugi koniec przesmyku. Nie mógłby sobie wymarzyć lepszego punktu. I miał mnóstwo czasu, żeby oddać nawet kilka strzałów. Kiedy kule kalibru 9 mm trafiają w ludzkie ciało, robią takie spustoszenie, że nawet sępy z trudem zdołają się potem pożywić.

Oczywiście bardzo możliwe, że Carson i ta kobieta już nie żyją. Jeśli tak, będzie mógł się pocieszać myślą, że to jego obecność wypłoszyła ich i zmusiła do podróży w bezlitosnym skwarze dnia. Jakkolwiek było, mógł tu wygodnie czekać. Ponieważ za dnia będzie leżał w cieniu, nie zabraknie mu wody. Zostanie tutaj dzień, może dwa, żeby nabrać pewności, zanim ruszy na południe w poszukiwaniu ich ciał.

Jeśli Carson znalazł wodę - a musiał ją znaleźć, żeby dotrzeć tak daleko - będzie pewny siebie. Nieostrożny. Uzna, że na dobre zgubił pościg. Nye wyjął magazynek, sprawdził go i wsunął z powrotem.

- Bach, bach - powiedział piskliwy, wesoły głos z ciemności po lewej. Niebo na wschodzie zaczęło się rozjaśniać.

- Kto tam? - zapytał ostro Scopes przez głośniki windy. Czarodziej na ekranie nie poruszył wargami i nie zmienił wyrazu twarzy, ale w głosie byłego przyjaciela Levine usłyszał lekkie zdziwienie. Nie odpowiedział. - A więc to jednak nie był fałszywy alarm. - Czarodziej odsunął się od drzwi. - Proszę, wejdź. Przepraszam, że nie mogę zaproponować ci, żebyś usiadł. Może w następnej wersji. - Zaśmiał się.

- Jesteś niezadowolonym pracownikiem? Czy też pracujesz dla konkurencji? Kimkolwiek jesteś, może będziesz tak dobry i wyjaśnisz mi swoją obecność w moim budynku i moim programie.

Levine zawahał się. Potem przeniósł dłoń z trackballa i klawiszy kursora na klawiaturę.

- Jestem Charles Levine - napisał.

Czarodziej milczał, ale po chwili głos Scopesa powiedział:

- Nie mogę uwierzyć, że to ty. Nie potrafiłbyś włamać się do tej sieci.

- A jednak. I jestem tutaj, w twoim programie. W cyfrop przestrzeni.

- Więc nie wystarczyło ci szpiegowanie mnie z daleka, Charles? - zapytał drwiąco Scopes. - Do rosnącej listy twoich przestępstw musiałeś dodać jeszcze włamanie.

Levine wahał się. Jeszcze nie był pewien, czy Scopes jest przy zdrowych zmysłach, ale czuł, że musi mówić z nim otwarcie.

- Musimy porozmawiać - napisał. - O tym, co zamierzasz zrobić.

- A co zamierzam zrobić?

- Sprzedać za pięć miliardów dolarów wirusa zagłady armii Stanów Zjednoczonych.

Zapadła długa cisza.

- Charles, nie doceniłem cię. A więc wiesz o X-FLU II. Bardzo dobrze.

A więc tak nazywa się ten szczep, pomyślał Levine.

- I co zamierzasz zyskać, sprzedając ten szczep? - napisał.

- Sądziłem, że to oczywiste. Pięć miliardów dolarów.

- Pięć miliardów na nic ci się nie przyda, jeśli ci głupcy, którym sprzedasz twój produkt, spowodują koniec świata.

- Charles, daj spokój. Oni już dawno mogliby spowodować koniec świata. Ale nie zrobili tego. Ja rozumiem tych facetów. To ci sami chuligani, którzy przed trzydziestu laty bili nas w piaskownicy. Ja po prostu zaspokajam ich pragnienie posiadania najgroźniejszej, najnowocześniejszej broni. Nigdy nie użyją tego wirusa. On nie ma żadnego

militarnego znaczenia. Tak samo jak broń nuklearna ma jedynie strategiczną wartość. Jest ubocznym produktem badań prowadzonych w ramach umowy GeneDyne z Pentagonem. Nie zrobiłem niczego nielegalnego ani nawet nieetycznego, tworząc tego wirusa i wystawiając go na sprzedaż.

- Zdumiewa mnie twoja umiejętność usprawiedliwiania własnej chciwości - wystukał Levine.

- Jeszcze nie skończyłem. Są poważne, racjonalne powody, dla których amerykańska armia powinna mieć tego wirusa. Nie ma wątpliwości, że istnienie broni nuklearnej zapobiegło trzeciej wojnie światowej między dawnym Związkiem Sowieckim a Stanami Zjednoczonymi. W końcu mamy to, co Nobel chciał osiągnąć swoim dynamitem: wojna światowa stała się niemożliwa. Teraz jednak mamy nową generację broni: biologiczną. Pomimo zawartych traktatów wiele nieprzyjaznych nam rządów prowadzi takie badania. Jeśli mamy utrzymać równowagę sił, nie możemy nie posiadać takiej broni. Jeżeli nie będziemy mieli czegoś takiego, jak X-FLU II, wrogo nastawione kraje mogą nas szantażować, grozić nam i reszcie świata. Niestety mamy prezydenta, który naprawdę zamierza przestrzegać konwencji o broni biologicznej. Jesteśmy chyba jedynym wysoko rozwiniętym krajem na świecie, który jej przestrzega! Ale tracimy czas. Nie zdołałem cię namówić do stworzenia GeneDyne i nie zdołałem przekonać cię teraz. Naprawdę szkoda. Razem moglibyśmy dokonać wspaniałych rzeczy. Jednak ty, powodowany urazą, postanowiłeś poświęcić życie szkodzeniu mi. Nigdy nie zdołałeś mi wybaczyć tego, że wtedy wygrałem.

- Wspaniałe rzeczy, powiadasz. Na przykład stworzyć wirusa zagłady, który zniszczy życie na ziemi!

- Może nie wiesz wszystkiego. Ten tak zwany wirus zagłady jest ubocznym produktem badań nad terapią genową, która uwolni ludzkość od grypy. Na zawsze. Wywołując dziedziczną odporność na grypę.

- Uważasz, że martwi będą odporni?

- Nawet dla ciebie powinno być oczywiste, że X-FLU II był tylko krokiem do celu. To prawda, miał wady. A ja znalazłem sposób, żeby je spieniężyć.

Czarodziej podszedł do komody i wyjął z jednej z szuflad jakiś nie-wielki przedmiot. Kiedy się odwrócił, Levine zobaczył broń, podobną do tej, jaką posługiwali się jego prześladowcy w lesie.

- I co zamierzasz zrobić? - zapytał Levine. - Nie możesz mnie zastrzelić. To cyberprzestrzeń.

Scopes zaśmiał się.

- Zobaczymy. Jeszcze nie teraz. Najpierw chcę, żebyś mi powiedział, co naprawdę sprowadza cię tutaj, do mojego prywatnego świata. Jeśli chciałeś porozmawiać ze mną o X-FLU II, na pewno mogłeś znaleźć łatwiejszy sposób. Nie musiałeś zadawać sobie tyle trudu.

- Przyszedłem powiedzieć ci, że PurBlood jest trujący Scopes-czarodziej opuścił broń.

- To interesujące. Jak to?

- Jeszcze nie znam szczegółów. Rozpada się w organizmie i zaczyna zatruwać mózg. To on doprowadził Franklina Burta do szaleństwa.

Od niego oszalał twój naukowiec Vanderwagon. A także wszyscy beta-testerzy w Mount Dragon. I to on pozbawia cię zdolności logicznego myślenia.

Rozmowa z komputerowym obrazem Scopesa była irytująca. Czarodziej nie uśmiechał się ani nie marszczył brwi. Dopóki Levine nie usłyszał głosu Scopesa w głośnikach windy, nie miał pojęcia, co prezes GeneDyne myśli ani jakie wrażenie wywarły na nim te słowa. Zastanawiał się, czy już o tym wiedział, czy przeczytał wiadomość od Carsona i uwierzył w nią.

- Bardzo dobrze, Charles - usłyszał w końcu jego ociekający ironią głos. - Wiedziałem, że lubisz wysuwać absurdalne zarzuty przeciw GeneDyne, ale to twoje największe osiągnięcie.

- To nie zarzut. To prawda.

- A jednak nie masz dowodów, świadków ani naukowego wyjaśnienia. Tak jak w przypadku wszystkich twoich zarzutów wobec GeneDyne. PurBlood został opracowany przez najwybitniejszych genetyków na świecie. Został dokładnie przebadany. A kiedy w piątek zostanie wprowadzony do leczenia, uratuje niezliczone istnienia.

- Raczej zniszczy niezliczone istnienia. A ty wcale nie jesteś zaniepokojony, chociaż też wstrzyknąłeś sobie ten preparat?

- Zdaje się, że jesteś dobrze poinformowany. Jednak ja nie otrzymałem transfuzji PurBlood. Podano mi zabarwioną plazmę.

Levine milczał przez chwilę.

- Ale całemu personelowi Mount Dragon pozwoliłeś podać ten preparat. Co za odwaga.

- Zamierzałem poddać się transfuzji, jednak mój wierny asystent, pan Fairley, nie dał mi tego zrobić. Poza tym ten preparat został opracowany przez personel Mount Dragon. Czyż więc nie oni powinni go przetestować?

Levine'owi opadły ręce. Jak mógł zapomnieć, udając się na bezpośrednią rozmowę ze Scopesem, z kim będzie miał do czynienia? Ta rozmowa przypomniła mu ich dawne dyskusje. Wtedy też nigdy nie udawało mu się doprowadzić do tego, żeby Scopes zmienił zdanie w jakiegokolwiek kwestii. Jak mogło się to udać teraz, kiedy stawka była nieporównywalnie większa?

Zapadła długa cisza. Levine rozejrzył się i zauważył, że mgła wokół wieżyczki się rozwiła. Podeszedł do okna. Było już ciemno i księżyc wysrebrzył fale oceanu. Jakiś statek rybacki powoli zmierzał do portu. Levine'owi zdawało się, że słyszy uderzenia fal o brzeg. W mroku zamrugła latarnia morska Pemaquid.

- Robi wrażenie, co? - zapytał Scopes. - Odtwarza wszystko oprócz zapachu morza.

Levine poczuł, że ogarnia go głęboki smutek. Oto najlepszy przykład sprzeczności tkwiących w charakterze Scopesa. Tylko prawdziwy geniusz mógł stworzyć równie piękny i subtelny program. I ten sam człowiek zamierzał sprzedać X-FLU II armii. Levine patrzył, jak sta? tek wpływa do portu, jak jego zapalone światła odbijają się w wodzie. Jakaś postać zeskoczyła z pokładu i chwyciła rzucone cumy, po czym owinęła je wokół słupków.

- Początkowo był to zbiór programów wykonujących rozmaite zadania - powiedział Scopes. - Ale moja sieć rozrastała się z każdym dniem i czułem, że tracę nad nią kontrolę. Potrzebowałem jakiegoś sposobu, żeby po niej łatwo i niepostrzeżenie surfować. Przez dłuższy czas bawiłem się językami sztucznej inteligencji, takimi jak LISP, oraz obiektowo zorientowanymi, jak Smalltalk. Uznałem, że potrzebny jest nowy rodzaj komputerowego języka, który łączyłby najlepsze cechy obu, i nie tylko. Kiedy powstały te dwa języki, komputery miały nie-wielką moc obliczeniową. Teraz natomiast miałem do dyspozycji procesory mogące swobodnie operować zarówno słowami, jak i obrazami. Dlatego oparłem mój język na konstrukcjach wizualnych. Kompilator cyfrop przestrzeni tworzy światy, a nie tylko programy. Zacząłem od prostych rzeczy. Wkrótce jednak uświadomiłem sobie możliwości tego nowego medium. Stwierdziłem, że mogę stworzyć zupełnie nową formę sztuki, unikatową, rządzącą się własnymi prawami. Stworzenie te-go świata zajęło mi wiele lat i jeszcze nad nim pracuję. Oczywiście nigdy go nie skończę. Straciłem mnóstwo czasu na przygotowania, tworzenie języka programowania oraz odpowiednich narzędzi. Teraz zrobiłbym to znacznie szybciej. Charles, mógłbyś stać przy tym oknie przez tydzień i

nigdy nie zobaczyć dwa razy tego samego widoku. Gdybyś zechciał, mógłbyś zejść do doku i porozmawiać z tymi ludźmi. Przyływy i odpływy są zgodne z fazami księżyca. Uwzględniłem pory roku. W tamtych domach mieszkają ludzie: rybacy, letnicy, artyści. Prawdziwi ludzie, których pamiętam z dzieciństwa. Jest tam Marvin Clark, który prowadzi miejscowy sklep spożywczy. Umarł przed kilkoma laty, ale nadal żyje w moim programie. Jutro mógłbyś tam zejść i posłuchać jego opowieści. Mógłbyś napić się herbaty i zagrać w tryktraka z Hankiem Hitchinsem. Każda z tych osób jest odrębnym obiektem większego programu. Istnieją niezależnie i oddziałują na siebie w sposób, jakiego nie zaprogramowałem, a nawet nie przewidziałem. Jestem kimś w rodzaju boga: stworzyłem świat, ale teraz wszystko dzieje się w nim bez mojego udziału.

- Jesteś samolubnym bogiem - stwierdził Levine. - Zachowałeś ten świat dla siebie.

- To prawda. Po prostu nie mam ochoty się nim dzielić. Jest zbyt osobisty.

Levine znów odwrócił się do czarodzieja.

- Odtworzyłeś tę wyspę w najdrobniejszych szczegółach, oprócz swojego domu. Jest w ruinie. Dlaczego?

Postać na ekranie znieruchomiła. Z głośników nie wydobywał się żaden dźwięk. Levine zastanawiał się, czy nie trafił w jakiś czuły punkt Scopesa. Potem postać na ekranie znów uniosła broń.

- Chyba dość już tej rozmowy, Charles - powiedział Scopes.

- Ta broń nie robi na mnie wrażenia.

- A powinna. Jesteś po prostu procesem w matrycy mojego programu. Jeśli strzelę, ten proces się zakończy. Utkniesz tu, nie mogąc porozumieć się ani ze mną, ani z nikim innym. Zresztą to już teraz czysto akademicka dyskusja. Kiedy rozmawialiśmy o moim produkcie, wysłałem twoim tropem program śledzący, który przeszukiwał sieć, aż zlokalizował twój terminal. Musi ci być tam niewygodnie, w kabinie windy numer czterdzieści dziewięć, unieruchomionej między siódmym a ósmym piętrem. Komitet powitalny już do ciebie idzie, więc możesz spokojnie czekać.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał Levine.

- Ja? Nic nie zamierzam robić. Ale ty musisz umrzeć. To arogancie włamanie i wtrącanie się w moje sprawy naprawdę nie pozostawia mi wyboru. Zabicie włamywacza jest usprawiedliwionym zabójstwem. Przykro mi, Charles, naprawdę. To nie musiało się tak skończyć.

Levine dotknął palcami klawiatury, zamierzając napisać odpowiedź, ale zrezygnował. Nie miał Scopesowi już nic do powiedzenia.

- Teraz zamierzam zakończyć twój program. Zegnaj, Charles. Postać wycelowwała w niego broń.

Levine po raz pierwszy od chwili, gdy wszedł do budynku Gene-Dyne, poczuł strach.

Carson obudził się. Było jeszcze ciemno, ale nadchodził świt. Spojrzawszy na wylot jaskini, Carson ujrzał w mroku nieco jaśniejszą plamę nieba. Kawalek dalej spała Susana, wyciągnięta na piasku. Słyszał cichy, regularny szmer jej oddechu.

Podparł się łokciem i poczuł dokuczliwe pragnienie. Podczołgał się na czworakach do źródła, nabrał wody w złożone dłonie i chciwie pił. Kiedy ugasił pragnienie, jego miejsce zajął skręcający wnętrzości głód.

Wstał, podszedł do wylotu jaskini i zaczął wdychać chłodne, rześkie powietrze. Konie stały kilkaset metrów dalej, spokojnie skubiąc trawę. Cicho gwizdnął, a one podniosły łby i nastawiły uszy. Poszedł do nich, ostrożnie krocząc w półmroku. Trochę schudły, ale poza tym całkiem nieźle zniosły trudy wędrówki. Pogłaskał Roscoe po szyi. Ślepiakonia były jasne i czyste - dobry znak. Pochylił się i pomacał koronkę kopyta. Była ciepła, ale nie gorąca, więc nie doszło do zapalenia blaszki.

Rozejrzał się wokół. Okoliczne góry były utworzone z warstw piaskowca, w których erozja wyryła liczne garby i kaniony odsłaniające mozaikę osadów. Szkarłatny blask wschodzącego słońca powoli oblał ich szczyty. Wszędzie panowała głęboka, niemal nabożna cisza - jak w katedrze, zanim rozlegną się pierwsze dźwięki organów. Tam gdzie muskularne boki gór opadały w piaski pustyni, otoczka zastygłej lawy poszarpaną masą przesłaniała ich podnóża. Znajdujący się poniżej poziomu ziemi wylot jaskini był niewidoczny z pustyni. Stojąc pięćdziesiąt metrów od niego, Carson nie widział niczego poza czarnym bazaltem. Nigdzie nie zauważył śladu Nye'a.

Ponownie napoił konie, a potem przeprowadził je na inny spłachetek trawy. Później znalazł kepe jadłoszynu i grotem strzały uciał długi, elastyczny pęd z mnóstwem odnóg i cierni na końcu. Zszedł z lawy na pustynię, uważnie wpatrując się w piasek. Wkrótce znalazł to, czego szukał: ślady królika, jeszcze młodego. Podążał za nimi przez sto metrów, aż znikły w dziurze pod krzakiem. Przykucnął, wetknął do nory kolczasty koniec gałęzi, potem wepchnął ją głębiej, a kiedy dosięgła dna - zaczął dźgać i obracać, aż natrafił na miękkie ciała. Wtedy energiczniej pokręcił gałęzią, powoli wyciągając ją z nory. Młody królik, za-plątany

fałdami luźnej skóry w kolce, szamotał się i sapał. Carson przydepnął go butem, odciął mu łeb i poczekał, aż krew wsiąknie w piasek. Potem odarł zdobycz ze skóry, wypatroszył, zakopał wnętrzności w piasku, żeby nie zwabiły sępów, nabił tuszę na kij i wrócił do jaskini.

De Vaca nadal spała. Carson rozpałił ognisko u wylotu jaskini, natarł królika wyjętą z kieszeni solą i zaczął go piec. Mięso skwierczało w ogniu, a niebieskawy dym szybko rozwiewał się w powietrzu.

Słońce w końcu wyszło zza horyzontu i jasny prysznic złocistego światła spadł na pustynię i dotarł w głąb jaskini, rozjaśniając jej mroczne wnętrza. Carson usłyszał jakiś szmer i odwróciwszy się, zobaczył de Vace, która usiadła i sennie tarła oczy.

- Och - westchnęła, gdy złociste światło oblało jej twarz i zamieniło czarne włosy w brązowe.

Carson obserwował ją z zadowolonym uśmiechem. Nagle oderwał od niej wzrok i spojrzał w głąb jaskini. De Vaca, zauważywszy jego minę, odwróciła się i również popatrzyła w tym samym kierunku.

Wschodzące słońce wpadało przez szczelinę u wylotu jaskini, rzucając promień pomarańczowego blasku na jej dno i oświetlając do połowy wysokości jedną ze ścian. Na końcu tej ognistej igły na skale pojawiła się plama światła tworząca nieregularny, ale łatwo rozpoznawalny kształt orła z rozpostartymi skrzydłami i uniesionym łbem, jakby szykującego się do walki.

Patrzyli w milczeniu, jak ten kształt staje się coraz wyraźniejszy, aż wydawało się, że już zawsze będzie widniał na ścianie jaskini. Ale po chwili zgasł równie nagle, jak się pojawił: słońce uniosło się wyżej i orzeł znikł w półmroku.

- *El Ojo del Aguila* - powiedziała de Vaca. - Orle Źródło. Teraz wiemy, że je znaleźliśmy. Wprost trudno uwierzyć, że to źródło uratowało życie moim przodkom czterysta lat temu.

- A teraz nam - mruknął Carson.

Nadal spoglądał w mrok, gdzie przed chwilą pojawił się orzeł, jakby usiłując przypomnieć sobie jakąś ulotną myśl. Potem poczuł w nozdrzach wspaniały aromat pieczonego mięsa i odwrócił się z powrotem do ogniska.

- Głodna? - zapytał.

- Jeszcze jak! Co to takiego?

- Królik.

Obrócił tuszkę, a potem zdjął ją z ognia i wbił pręt w piasek. Wyjął grot strzały, odciął tylną część pieczystego i podał de Vace.

- Uważaj, gorące. Ostrożnie ugryzła.

- Cudowne. Przyrządzać jedzenie też umiesz. Myślałam, że wy, kowboje, umiecie tylko podgrzać fasolę na tłuszczu.

Zatopiła zęby w króliku, odrywając następny kęs mięsa.

- I nawet nie jest taki twardy jak te, które przynosił do domu mój dziadek.

Wypluła kostkę. Carson ze skrywaną dumą kucharza obserwował, jak je. Dziesięć minut później z królika zostały tylko płonące w ognisku kości. De Vaca usiadła wygodniej, oblizując palce.

- Jak złapałeś tego królika? Carson wzruszył ramionami.

- Dzięki sztuczce, której nauczyłem się jako dzieciak ranczera. De Vaca pokiwała głową i uśmiechnęła się łobuzersko.

- Racja, zapomniałam. Każdy Indianin umie polować. To instynkt, no nie?

Carson zmarszczył brwi, natychmiast tracąc dobry humor.

- Daj sobie z tym spokój - mruknął. - To nie było śmieszne za pierwszym razem i na pewno nie jest zabawne teraz.

De Vaca nadal się uśmiechała.

- Powinieneś sam siebie zobaczyć. Ten dzień na słońcu dobrze ci zrobił. Jeszcze kilka, a nie będziesz się niczym wyróżniał w Big Rez.

Poczuł, że narasta w nim gniew. De Vaca miała szczególny talent do wynajdywania i bezlitosnego wykpiwania jego słabych punktów. Nie wiadomo dlaczego miał nadzieję, że to, co razem przeszli, zmieni ją choć trochę. Teraz sam nie wiedział, czy bardziej złości go, że pozostała tą samą sarkastyczną de Vacą, czy jego własna głupota.

- *Tu eres una desagradecida hija de puta* - powiedział ze złością, która nadała tym słowom zdumiewającą siłę.

Twarz de Vaki przybrała dziwny wyraz. Nie zmieniła niedbalej pozycji, ale wyraźnie zeszywniała.

- A więc *cabrón* lepiej zna język matki, niż można by sądzić - powiedziała cicho. - Ja jestem niewdzięczna, ja? Typowe.

- Mówisz, że jestem typowy? - odparował Carson. - Wczoraj uratowałem twój tyłek. A dzisiaj znów słyszę od ciebie to samo gównno.

- Ty uratowałeś mój tyłek? - warknęła de Vaca. - Jesteś głupi, *cabrón*. Ocalił nas twój indiański przodek. I twój wujek Charley, który opowiadał ci te wszystkie historie. Ci dobrzy ludzie, których traktujesz jak skazę na twoim drzewie genealogicznym. Masz wielkie dziedzictwo, z którego możesz być dumny. A co ty robisz? Ukrywasz je. Ignorujesz. Zmiasz jak śmieci pod dywan. Jakbyś bez niego był kimś lepszym. -

Podniosła głos, który odbijał się echem w jaskini. - A wiesz co, Carson? Bez niego jesteś nikim. Nie jesteś kowbojem. Ani WASP-em¹⁰ z Harvardu. Jesteś tylko zwykłym kmiotkiem, który nie potrafi pogodzić się z własną przeszłością.

Gniew Carsona zmienił się w zimną złość.

- Wciąż bawisz się w psychoanalitkę? Kiedy zechcę pogodzić się z tkwiącym we mnie dzieckiem, pójdę do kogoś z dyplomem, a nie do znachorki, która lepiej się czuje w poncho niż w fartuchu laboratoryjnym. *Todaña tienes la mierda del banio en tus zapatos.*

De Vaca z sykiem wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby i rozdeła nozdrza, zamachnęła się i z całej siły uderzyła Carsona w twarz. Zapiekł go policzek i zadzwoniło mu w uszach. Zaskoczony potrząsnął głową. Kiedy znów się zamierzyła, chwycił ją za rękę. De Vaca zacisnęła wolną dłoń w pięść i zamachnęła się, ale Carson uchylił się, mocno pociągnął ją za rękę, a potem niespodziewanie odepchnął. De Vaca straciła równowagę i runęła w wodę, a Carson na nią.

Policzek i nagły upadek sprawiły, że zapomniał o gniewie. Teraz, kiedy leżał na de Vace i czuł pod sobą jej gibkie ciało, ogarnęło go zupełnie inne uczucie. Pod wpływem nagłego impulsu pochylił się i pocałował ją w usta.

- *Pendejo* - wysapała de Vaca, chwytając oddech. - Nikt nie będzie mnie całował.

Gwałtownym szarpnięciem wyrwała mu się i zacisnęła pięści. Carson obserwował ją czujnie. Przez chwilę stali nieruchomo i spoglądali na siebie. Woda ściekała z rąk de Vaki w ciemną, ciepłą toń sadzawki. Echa powoli cichły, aż jedynym dźwiękiem znów był tylko plusk kropeł wody i szmer ich oddechów. Nagle de Vaca oburącz złapała Carsona za włosy i przycisnęła usta *do jego ust*.

W następnej chwili jej ręce były wszędzie: wsuwały się pod jego koszulę, pieściły brodawki piersi, szarpały pasek, rozpinwały suwak, drażniły skórę i gładziły szybkimi, pospieszonymi ruchami. Usiadła i uniosła ramiona, a on zdjął jej bluzkę i odrzucił na bok, po czym ściągnął dzinsy, już pociemniałe od źródlanej wody. Objęła ramieniem je-go szyję i dotknęła wargami stłuczonego ucha, wsuwając w nie różowy koniec języka i szepcząc słowa, od których przechodziły go dreszcze. Zdarł z niej majteczki, gdy upadła w wodę, jęcząc lub płacząc - nie wiedział. Jej piersi i kolana tworzyły małe wysepki na powierzchni źródła. Potem

10 WASP - skrót od White Anglo-Saxon Protestant.

wszedł w nią, a ona zaplotła nogi na jego plecach i zna-leźli swój rytm. Woda falowała wokół nich, pluszcząc o piach, jak fale przyboju u zarania świata.

Kiedy już doszli do siebie, de Vaca spojrzała na Carsona, który leżał nagi na mokrym piasku.

- Nie wiem, czy mam cię zadźgać, czy dalej się z tobą pieprzyć - powiedziała z uśmiechem.

Carson zerknął na nią, przysunął się bliżej i odgarnął kosmyk czarnych włosów, który opadł jej na twarz.

- Spróbujmy tego drugiego - zaproponował. - Potem pogadamy. Ranek przeszedł w południe, a oni spali.

Carson leciał, szybował nad pustynią. Poskręcane pasma lawy w dole wyglądały jak plamki. Wzbił się wyżej, ku gorącemu słońcu. Dalej wznosiła się ogromna skalna iglica, której szczyt znajdował się całe kilometry nad ziemią. Usiłował tam dotrzeć, ale ona wydawała się rosnać coraz wyżej i wyżej, dosięgać słońca...

Obudził się gwałtownie, z mocno bijącym sercem. Usiadł w chłodnym mroku, spojrzał na wylot jaskini, a potem znów na jej ciemne wnętrze i myśl, która wcześniej umknęła mu, teraz zaś powróciła z gwałtownością huraganu.

Wstał, ubrał się i wyszedł na zewnątrz. Była prawie druga, najgorętsza pora dnia. Konie doszły do siebie, ale trzeba będzie znów je napoić. Powinni odjechać najpóźniej za godzinę, jeżeli chcą przed zachodem słońca dotrzeć do Lava Gate. Jeśli im się to uda, dojadą do Lava Camp o północy, może trochę później. Pozostanie im jeszcze trzydzieści sześć godzin, żeby przekazać FDA informacje o PurBlood, zanim pacjenci w szpitalach otrzymają preparat.

Ale nie mogli odjechać. Jeszcze nie.

Podszedł do koni i odciął dwa paski rzemieni z juków. Potem zebrał naręcze uschniętych gałęzi i zrobił z nich dwie wiązki. Mocno związał je rzemieniami i wrócił do jaskini.

De Vaca już wstała i ubrała się.

- Witaj, kowboju - powiedziała, gdy wszedł. Uśmiechnął się i podszedł bliżej.

- Już dość - mruknęła, żartobliwie szturchając go w brzuch. Pochylił się i szepnął jej do ucha:

- *Al despertar la hora el dguila del sol se levanta en una aguja deljuego.*

- „O świcie orzeł słońca staje na igle ognia” - przetłumaczyła ze

zdziwioną miną. - Tak było napisane na mapie Nyea. Nie rozumiałam tego wtedy i nie rozumiem teraz.

Przez chwilę spoglądała na niego, lekko marszcząc brwi. Nagle zro-biła wielkie oczy.

- Dziś rano widzieliśmy orła - powiedziała. - Na ścianie jaskini, oświetlonego porannym słońcem.

Carson skinął głową.

- To oznacza, że znaleźliśmy miejsce...

- ... którego Nye szukał przez wszystkie te lata - dokończył Carson. - Miejsce, gdzie znajduje się złoto Mondragóna.

- A on go szukał ponad sto kilometrów stąd. - De Vaca odwróciła się i spojrzała w mrok. Potem znów obróciła się do Carsona. - Na co czekamy?

Carson zapalił koniec jednej wiązki i razem ruszyli w głąb jaskini.

Z dużej sadzawki, gdzie tryskało źródło, woda wąską strużką spływała w dół po lekko nachylonym dnie. Carson i de Vaca szli wzdłuż niej, rozglądając się w rdzawym blasku rzucanym przez pochodnię. Kiedy dotarli do tylnej ściany jaskini, Carson zobaczył, że wcale nie był to koniec podziemnej komory, lecz jedynie jej nagły uskok. Sklepienie i dno opadały tam w dół, pozostawiając wąski tunel, w którym idący musieli pochylić głowy. W zalegających dalej ciemnościach Carson słyszał plusk wody.

Tunel prowadził do wysokiej i wąskiej jaskini, szerokiej na trzy i pół metra, a wysokiej na dziesięć. Carson wysoko uniósł pochodnię, oświetlając cętkowaną powierzchnię skał. Zrobił krok naprzód i stanął jak wryty. U jego stóp strumyk spadał z urwiska i pluskał gdzieś w dole, w ciemnej otchłani. Przyświecając sobie pochodnią, wyrzał za krawędź.

- Widzisz coś? - zapytała de Vaca.

- Ledwie mogę dojrzeć dno - odparł. - Musi być do niego co najmniej piętnaście metrów.

Nagle rozległ się rumor i Carson cofnął się instynktownie. Kilka kamieni oderwało się od brzegu urwiska i z łoskotem spadło w ciemność, budząc w niej głośnie echa. Carson spojrzał na skałę pod nogami.

- Wszystkie te głazy ledwie się trzymają - stwierdził, ostrożnie przechodząc wzdłuż urwiska. Kiedy znalazł pewniejszy grunt, opadł na kolana i ponownie zajrzał za krawędź.

- Tam na dole coś jest - powiedziała de Vaca z drugiego końca.

- Widzę.

- Jeśli poświecisz mi pochodnią, zejdem na dół - oświadczyła. - Te-

dy będzie łatwiej.

- Pozwól, że ja to zrobię - zaproponował Carson. Obrzuciła go ponurym spojrzeniem. - Dobrze, już dobrze - westchnął.

Wybrawszy miejsce, gdzie skalna ściana zawałiła się dawno temu, de Vaca na pół zeszła, na pół zsunęła się po osuwisku. Carson ledwie ją widział w półmroku.

- Rzuć mi drugą pochodnię! - zawołała po chwili. Wepchnąwszy pudełko zapalek między patyki, Carson rzucił jej

drugą wiązkę gałęzi. Przez chwilę słyszał szmery, potem odgłos zapalanej zapalarki i nagle rozpadlinę rozjaśniło migotliwe szkarłatne światło.

Wychyliwszy się za krawędź urwiska, dostrzegł wyschnięte ciało muła. Obok leżała spora paczka oraz kawałki derki i rzemieni. Z porozrywanego pakunku wystawały jakieś duże białe bryły. W pobliżu leżało z mumifikowane ciało mężczyzny.

W słabym świetle pochodni zobaczył, jak de Vaca ogląda najpierw mężczyznę, potem muła i na końcu rozbity ładunek. Podniosła kilka niewielkich przedmiotów i zabrała je, zawiązując w połę koszuli. Potem wdrapała się z powrotem po osypisku.

- Co tam znalazłaś? - zapytał Carson, kiedy dotarła na górę.

- Sama nie wiem. Wyjdźmy na światło.

Przy wejściu do jaskini de Vaca rozwiązała węzełek. Na piasek upadła skórzana sakiewka, sztylet w skórzanej pochwie i kilka białych bryłek.

Carson podniósł sztylet i ostrożnie wyjął go z pochwy. Metalowe ostrze było tępe i zardzewiałe, ale rękojeść dobrze się zachowała przysypana piaskiem. Wytarł ją rękawem i obejrzał w promieniach słońca. Na żelaznej rękojeści rozblęły dwie srebrne litery: DM.

- Diego de Mondragón - szepnął.

De Vaca próbowała otworzyć stwardniały skórzany worek, ale pękł i na piasek wypadła jedna mała złota moneta oraz trzy większe, srebrne. Kiedy podniosła je i obróciła w palcach, błysnęły w słońcu.

- Spójrz, wyglądają jak nowe! - zawołała.

- A co z ładunkiem? - zapytał Carson.

- Składał się z takich białych kamieni - odparła de Vaca, pokazując mu leżące na piachu bryłki. - Było ich tam mnóstwo. Zajmowały połowę juków.

Carson podniósł jedną grudkę i uważnie ją obejrzał. Była chłodna w dotyku i drobnoziarnista, koloru kości słoniowej.

- Co to jest, do diabła? - mruknął.

De Vaca podniosła inny kawałek i zważyła go w ręce.

- Jest ciężki - zauważyła.

Carson wyjął grot strzały i podrapał nim bryłkę.

- A jednocześnie miękki. Cokolwiek to jest, na pewno nie jest skałą. De Vaca potarła dłonią dziwny kamień.

- Dlaczego Mondragón ryzykował życie, zabierając te baryłki zamiast zapasu wody i... - urwała. - Wiem, co to jest - oznajmiła triumfalnie. - To morska pianka.

- Morska pianka?

- Właśnie. Używana do wyrobu fajek, rzeźb. W siedemnastym wieku była bardzo cenna. Nowy Meksyk eksportował znaczne jej ilości do Hiszpanii. Domyślam się, że „kopalnia” Mondragóna była złożem morskiej pianki.

Popatrzyła na Carsona i uśmiechnęła się. Na jego twarzy pojawiło się niebotyczne zdumienie. Potem padł na piasek i ryknął śmiechem.

- A Nye przez cały czas szukał złota Mondragóna! Nigdy nie przyszło mu do głowy - nikomu nie przyszło do głowy - że Mondragón mógł przewozić inny skarb. Dziś praktycznie bezwartościowy.

- Wtedy ten ładunek morskiej pianki mógł być wart swojej wagi w złocie - powiedziała de Vaca. - Spójrz, jaka jest drobnoziarnista. Dzisiaj to tylko czterysta, może pięćset dolarów.

- A te monety?

- Gotówka na drobne wydatki. Chyba jedyną rzeczą mającą jakąś wartość jest ten sztylet.

Carson spojrzał w głąb jaskini.

- Podejrzewam, że muł zapędził się w ciemność, a on próbował go złapać i urwisko zawaliło się pod ich ciężarem.

De Vaca pokręciła głową.

- Kiedy byłam na dole, znalazłam jeszcze coś. Strzałę wbity gęboko w pierś Mondragóna.

Carson spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Na pewno zabił go sługa - oświadczył. - A więc legenda nie mówiła prawdy. Wcale nie szukali wody. Znaleźli ją. Jednak sługa postanowił zagarnąć skarb dla siebie.

- Może Mondragón szukał miejsca do ukrycia skarbu i w ciemnościach nie zauważył urwiska. Zarówno wokół ciała, jak i na nim leżały kawałki bazaltu. Muł zginął w wyniku upadku i sługa zdecydował, że nie ma sensu dłużej czekać.

- Powiedziałaś, że juki nie były pełne, prawda? Sługa z pewnością skrócił męki Mondragóna, zabrał tyle, ile zdołał unieść, i ruszył z powrotem na południe. Wziął kubrak pana dla ochrony przed słońcem. Jednak dotarł tylko do Mount Dragon.

Carson nadal spoglądał na wylot jaskini, jakby czekając, że opowie im swoją historię.

- A więc to koniec legendy Mount Dragon - mruknął po chwili.

- Może - odparła de Vaca. - Chociaż legendy nie umierają tak łatwo Stali, milcząc, w popołudniowym słońcu i patrzyli na monety. Po tem de Vaca schowała je do kieszeni džinsów.

- Myślę, że już czas osiodłać konie - powiedział Carson, biorąc sztylet i wpychając go za pasek. - Przed zachodem słońca musimy być przy Lava Gate.

Nye siedział na stanowisku wśród skał, czując, jak popołudniowe słońce grzeje go przez kapelusz, a z zastygłej lawy unoszą się fale żaru obejmujące go duszącym uściskiem. Przyłożył kolbę sztucera do ramienia i uważnie obejrzał horyzont od południa. Ani śladu Carsona i tej kobiety Skierował broń w górę i ponownie popatrzył. Ani śladu kołujących sępów.

- Prawdopodobnie zaszyli się w jakąś dziurę i drzemią. - Chłopak rzucił kamyk, który ze stukiem stoczył się po zboczu. - Dziewczyna jest pewnie półżywa.

Nye skrzywił się. Ci dwoje albo znaleźli źródło, albo już byli martwi. Przypuszczalnie to drugie. Może potrzeba trochę czasu, żeby ich ciała zaczęły się rozkładać i zwabiły sępy. W końcu pustynia jest rozległa. Ptaki muszą wyczuć zapach z ogromnej odległości. Ile musi upłynąć czasu, żeby w tym upale ciało zaczęło wydzielać silny odór? Cztery, pięć godzin?

- Zagramy w warcaby? - zapytał chłopak, pokazując mu sporą garść kamyków. - Użyjemy ich zamiast pionków.

Nye spojrzał na niego. Chłopak był brudny i usmarkany.

- Nie teraz - odparł. Spojrzał w lunetkę, ponownie sprawdzając horyzont.

I wtedy ich zobaczył: dwie postacie na koniach, jakieś trzy kilometry dalej.

Levine pospiesznie odsunął się na bok, gdy broń wypaliła. Obróciwszy kulkę trackballa, zobaczył równą, okrągłą dziurkę w oknie wieżycy. Scopesczarodziej ponownie wycelował broń

- Brent! - wystukał pospiesznie Levine. - Nie rób tego. Musisz

mnie wysłuchać.

Scopes westchnął.

- Przez trzydzieści lat byłeś cierniem w moim boku. Zrobiłem dla ciebie wszystko, co mogłem. Na początku zaproponowałem ci partnerstwo i pięćdziesiąt procent akcji GeneDyne. Powstrzymałem się od odpowiedzi na twoje zaciekle ataki, podczas gdy ty cieszyłeś się popularnością zyskaną kosztem GeneDyne. Wykorzystywałeś moje milczenie, aby napadać na mnie raz po raz, oskarżając mnie o chciwość i egoizm.

- Milczałeś tylko dlatego, że miałeś nadzieję, że podpiszę wniosek o przedlenie patentu - napisał Levine.

- To cios poniżej pasa, Charles. Milczałem, ponieważ nadal darzyłem cię przyjaznymi uczuciami. Przyznaję, że na początku nie traktowałem poważnie twoich deklaracji. W szkole byliśmy sobie tak bliscy. Byłeś jedyną znaną mi osobą, której inteligencja dorównywała mojej. Spójrz, co razem osiągnęliśmy: daliśmy światu X-RUST. - W głośnikach windy zabrzmiał gorzki śmiech. - Tej historii nie chcesz opowiadać prasie, prawda? Wielki Levine, szlachetny Levine, ten Levine, który nigdy nie zniżyłby się do poziomu Brenta Scopesa - był współwynałazcą X-RUST. Jednej z największych dojnych krów w historii kapitalizmu. Ja znalazłem dzbany ze zbożem Anasazi, ale to twoja wiedza pomogła mi wyizolować gen X-RUST i stworzyć odporny na zarazę szczep.

- Zarabianie miliardów na biedakach z krajów Trzeciego Świata to nie był mój pomysł.

- Mój zysk był raczej symboliczny w porównaniu ze wzrostem wydajności z hektara - odparł Scopes. - Czyżbyś zapomniał, że po wprowadzeniu do upraw naszej odpornej na rdzę odmiany światowe plony wzrosły o piętnaście procent i cena zboża spadła? Charles, dzięki naszemu odkryciu przeżyli ludzie, którzy bez niego umarliby z głodu. Naszemu wspólnemu odkryciu.

- Owszem, to było nasze odkrycie. Jednak nie chciałem uczynić go narzędziem zaspokajania chciwości. Pragnąłem, by stało się publiczną własnością.

Scopes zaśmiał się.

- Nie zapomniałem o tym twoim naiwnym życzeniu. A ty z pewnością nie zapomniałeś o okolicznościach, które pozwoliły mi zagarnąć zyski. Wygrałem, zwyciężajnie i uczciwie.

Levine nie zapomniał. To wspomnienie do tej pory wywoływało w nim poczucie winy. Kiedy stało się jasne, że ich plany wobec X-RUST

diametralnie się różnią, musieli jakoś rozstrzygnąć ten spór. Postanowili zagrać w grę, którą wymyślili jeszcze w college'u. Tym razem o bardzo wysoką stawkę.

- A ja przegrałem - napisał.

- Tak. Ale postanowiłeś śmiać się ostatni, prawda, Charles? Za dwa miesiące wygasa patent na X-RUST. Ponieważ odmówiłeś podpisania go, nie zostanie przedłony. I każdy będzie mógł wykorzystywać za darmo to najbardziej lukratywne odkrycie w historii GeneDyne.

Nagle z głosem Scopesa zlały się inne głosy, hałaśliwe i natarczywe, odbijające się echem w szybie windy.

Gwałtowne szarpnięcie przycisnęło Levine'a do ściany kabiny. W górze zaszumiał silnik i znowu odezwał się chłodny głos: „Uszkodzenie zostało usunięte. Przepraszamy za kłopot”.

Winda stęknęła, zawarczała i zaczęła jechać w górę. Levine zobaczył na ogromnym ekranie, że postać w długiej szacie odwraca się od niego i spogląda przez okno wieżyczki.

- Nie ma znaczenia, czy cię teraz zastrzelę, czy nie - powiedział Scopes. - Kiedy winda dojedzie na sześćdziesiąte piętro, twoja cielesna powłoka i tak zostanie zlikwidowana. Twoja obecność w cyberprzestrzeni nie będzie miała żadnego znaczenia.

Obrócił się i patrzył na niego, czekając. Levine spojrzał na wyświetlacz. Winda mijała dwudzieste piętro.

- Przykro mi, że to się musi tak skończyć, Charles - dodał Scopes. - Chociaż podejrzewam, że mój smutek jest wywołany jedynie nostalgią. Może kiedy już cię nie będzie, będę mógł uczcić pamięć dawnego przyjaciela. Przyjaciela, który tak bardzo się zmienił.

Liczyby na wyświetlaczu szybko się zmieniały. Pięćdziesiąt pięć, pięćdziesiąt sześć, pięćdziesiąt siedem... Skowyt silników windy przeszedł w basowe crescendo, gdy zwolniła biegu.

- Mógłbym jeszcze podpisać wniosek o przedłużenie patentu - wystukał Levine.

„Sześćdziesiąte piętro” - oznajmił głos.

Levine wyrwał przewód z gniazdka. Obraz zasnutej mgłą wieżyczki gwałtownie zamigotał i płaski ekran na ścianie kabiny zgasł. Levine szybko wyłączył laptopa. Jeśli Mim był jeszcze w cyberprzestrzeni Gene-Dyne, to teraz z niej wyleciał, ale przynajmniej nikt go nie wytropi.

Winda stanęła i zapadła cisza. Potem drzwi się rozsunęły i siedzący na podłodze Levine zobaczył trzech strażników w niebieskoczarnych

mundurach GeneDyne. Wszyscy trzej trzymali w rękach pistolety. Stojący najbliżej podniósł broń, mierząc w głowę Levine'a.

- Ja nie będę tego sprzątał - powiedział jeden z pozostałych dwóch. Levine zamknął oczy.

Napełnili obie manierki i wypili tyle źródlanej wody, ile tylko mogli zmieścić w brzuchach. Teraz, gdy jechali wzdłuż pasma gór, Carson czuł, jak powoli robi się chłodniej. Popołudniowe słońce wisiało nisko nad nagimi szczytami.

Jeszcze dwadzieścia kilometrów do Lava Gate, a potem prawie dwadzieścia pięć do Lava Camp. Ponieważ większość podróży odbędą pod osłoną mroku, nie muszą się obawiać, że znów zabraknie im wody. Każdy koń miał jej w brzuchu co najmniej dwadzieścia litrów.

Carson został nieco z tyłu, obserwując de Vacę. Siedziała prosto w siodle, długie nogi trzymała luźno w strzemionach, a jej włosy płynęły za nią jak czarna chmura. Stwierdził, że ma wyrazisty, zdecydowany profil o zgrabnym nosie i pełnych wargach. Dziwne, że nie zauważył tego wcześniej. No jasne - pomyślał - kombinezon przeciwskażeniowy nie dodaje urody. Odwróciła się.

- Na co patrzysz, *cabrón*? - zapytała.

- Na ciebie.

- I co widzisz?

- Kogoś, kogo... - urwał.

- Zaczekaj z deklaracjami, aż wrócimy do cywilizacji - powiedziała, odwracając się do kierunku jazdy.

Carson uśmiechnął się.

- Zamierzałem powiedzieć, że widzę kogoś, kogo chciałbym widzieć w łóżku. W prawdziwym łóżku, nie na piasku. Najchętniej w miłosnej ekstazie.

- Ten piasek wcale nie był taki zły.

Carson wyprostował się z grymasem udawanego bólu.

- Mam wrażenie, że masz teraz pod paznokciami połowę skóry z moich pleców.

Wskazał na horyzont.

- Widzisz w oddali tę przerwę, w miejscu, gdzie góry spotykają się z polem lawy? To Lava Gate, północny koniec Jornady Stamtąd będziemy kierować się na Gwiazdę Polarną. Po przejechaniu około trzydziestu kilometrów dotrzemy do Lava Camp. Tam znajdziemy żywność i telefon. A może nawet prawdziwe łóżko.

- Ach tak? - mruknęła de Vaca. - Och. Mój biedny tyłek.

Nye spojrział przez lunetkę sztucera Holland & Holland, sprawdził po-le ostrzału i magazynek. Wszystko gotowe. Oparł kolbę między nogami i sprawdził koniec lufy. Czyścił ją ze sto razy, od kiedy ten skurwiel Carson zatkał ją gumą do żucia. Jednak nie zaszkodzi sprawdzić.

Tamte dwie sylwetki znajdowały się trochę więcej niż kilometr dalej. Za niecałe dziesięć minut znajdą się w zasięgu strzału. Dwa szybkie, czyste strzały z odległości dwustu metrów. Potem jeszcze dwa, na wszelki wypadek, i kilka kul dla koni. Nawet go nie zobaczą.

Już czas. Położył się na twardej skale i przyciskając policzek do kolby, starannie wycelował broń. Zaczął oddychać powoli i miarowo, wypuszczając powietrze przez nos, słysząc bicie swojego serca. Wystrzelił między dwoma kolejnymi uderzeniami - to poprawi celność strzałów.

Ostrożnie podniósł głowę i rozejrzał się wokół. Chłopiec znikł. Po chwili Nye dostrzegł go podskakującego na bazaltowym głazie na drugim końcu zbocza.

Ponownie wyciągnął się na ziemi, patrząc przez lunetkę i powoli wodząc lufą po pustyni, aż w celowniku znów pojawiły się dwie sylwetki jeźdźców.

- Nie strzelać! - powiedział jakiś głos za plecami strażników. - Rozmawiam przez interkom z panem Scopesem.

Zamieniono kilka słów, pierwszy strażnik opuścił broń, a drugi postawił Levine'a na nogi.

Poprowadzono go mrocznym korytarzem, przez duży posterunek ochrony, do mniejszego. Kiedy skręcili w wąski korytarzyk z rzędami drzwi po bokach, Levine przypomniał sobie, że już tu był: kilka godzin wcześniej, kiedy razem z Fido wędrował po cyberprzestrzeni Gene-Dyne. Idąc, słyszał szum maszyn, cichy szmer wentylatorów i wymiennicy powietrza.

Przystanęli przed masywnymi czarnymi drzwiami. Levine'owi kazano zdjąć buty i włożyć plastikowe kapcie. Strażnik rzucił kilka słów przez krótkofalówkę i dał się słyszeć trzask otwieranego elektronicznego zamka. Potem rozległ się syk i drzwi się uchylły. Kiedy strażnik otworzył je szerzej, Levine poczuł na twarzy podmuch uciekającego powietrza. Wszedł do środka.

Ośmiokątny gabinet wcale nie przypominał wieżyczki z cyberprzestrzeni Scopesa. Był ogromny, ciemny i dziwnie sterylny. Nagie ściany pięły się do wysokiego sufitu. Levine powiódł wzrokiem po sklepieniu, słynnym fortepianie, błyszczącym intarsjowanym biurku i

wreszcie spojrzął na Scopesa. Prezes GeneDyne siedział na sfatygowanej sofie, trzymając na kolanach klawiaturę i uśmiechając się ironicznie.

Miał na sobie czarny podkoszulek, pochłapany czymś, co wyglądało jak keczup. Ogromny ekran przed nim nadal ukazywał obraz galeryjki przed wieżyczką zrujnowanego domu. W oddali latarnia morska Pema-quid mrużyła nad czarną wodą.

Scopes nacisnął klawisz i ekran zgasł.

- Sprawdźcie, czy nie ma broni ani żadnych elektronicznych urządzeń - rozkazał Scopes strażnikom. Zaczekał, aż wykonali polecenie i wycofali się. Potem złożył dłonie czubkami palców i popatrzył na Levine'a. - Przejrzałem zapisy komputerowe. Zdaje się, że przesiedziałeś sporo czasu w tej windzie. Mniej więcej osiemnaście godzin. Chcesz się odświeżyć?

Levine przecząco pokręcił głową.

- Wobec tego siadaj. - Scopes wskazał mu drugi koniec kanapy - A co z twoim przyjacielem? Nie przyłączy się do nas? Mówię o człowieku, który wykonywał dla ciebie najtrudniejszą robotę. Zostawił swój podpis w każdym komputerze sieci, więc bardzo chciałbym go spotkać i powiedzieć mu, co o nim myślę.

Levine nadal milczał. Scopes spojrzął na niego, uśmiechnął się i poprawił niesforny kosmyk włosów.

- Minęło sporo czasu, prawda, Charles? Muszę przyznać, że jestem trochę zaskoczony, widząc cię tutaj. Jednak nie tak, jak twoją propozycją podpisania patentu po tych wszystkich latach uporczywych odmów. Jakże szybko zapominamy o zasadach, gdy nadchodzi godzina próby. „Łatwiej walczyć w obronie zasad, niż żyć w zgodzie z nimi”. Albo umrzeć. Racja?

Levine usiadł.

- „Tylko mądry człowiek potrafi zważyć w swoje zasady” - zacytował.

- Powinno być „cywilizowany” człowiek - poprawił go Scopes. - Wyszedłeś z wprawy. Pamiętasz naszą ostatnią grę?

Levine skrzywił się.

- Gdybym wtedy wygrał, nie siedzielibyśmy tu dzisiaj.

- Pewnie nie. Wiesz co, często zastanawiam się, w jakim stopniu twoja wieloletnia kampania przeciw genetyce była wywołana poczuciem winy. Uwielbiałeś tę grę tak samo jak ja. Wtedy zaryzykowałeś wszystko i przegrałeś. - Scopes usiadł i umieścił sobie klawiaturę na kolanach. - Zaraz każę przygotować papiery do podpisu.

- Jeszcze nie usłyszałeś moich warunków - oświadczył spokojnie Levine.

Scopes spojrzął na niego.

- Warunków? W twojej sytuacji nie możesz mi stawiać żadnych warunków. Podpiszesz albo umrzesz.

- Chyba nie zamordowałbyś mnie z zimną krwią, co?

- Morderstwo - powiedział powoli Scopes. - Z zimną krwią. Posługujesz się teraz takim egzaltowanym językiem? Owszem, obawiam się, że zrobię to - chociaż bez szczególnej przyjemności, jak powiedziałby pan Micawber. Jeśli nie podpiszesz wniosku o przedłużenie patentu.

- Mój warunek to jeszcze jedna gra - dodał po chwili milczenia Levine.

Scopes spojrzął na niego z niedowierzaniem, a potem zachichotał.

- No, no, Charles. Chcesz się odegrać? O jaką stawkę?

- Jeśli wygram, zniszczysz wirusa i pozostawisz mnie przy życiu. Jeśli przegram, podpiszę wniosek o przedłużenie patentu i będziesz mógł mnie zabić. Widzisz więc, że jeśli zwyciężysz, będziesz mógł jeszcze przez osiemnaście lat zgarniać tantiemy za X-RUST, a także sprzedać wirusa Pentagonowi. Jeśli przegrasz, stracisz zarówno patent, jak i wirusa.

- Zabicie ciebie byłoby łatwiejsze.

- Ale znacznie mniej zyskowne. Jeśli mnie zabijesz, ważność patentu wygaśnie. Jego przedlenie jest warte dla GeneDyne co najmniej dziesięć miliardów dolarów.

Scopes zastanawiał się przez chwilę. Klawiatura zsunęła mu się z kolan.

- Złożę ci inną propozycję. Jeśli przegrasz, nie zabiję cię, ale zatrudnię w GeneDyne jako wiceprezesa i dyrektora naukowego. To nie-zła posada, z odpowiednią dla takiego stanowiska pensją i pakietem akcji. Cofniemy czas i zaczniemy od nowa. Oczywiście będziesz z nami współpracował i dasz spokój tym bezsensownym atakom na Gene-Dyne i postęp technologiczny

- Zamiast śmierci proponujesz mi układ z diabłem. Czemu miałbyś to dla mnie robić? Nie wiem, czy mogę ci ufać.

Scopes uśmiechnął się.

- Dlaczego myślisz, że zrobiłbym to dla ciebie? Zabijanie cię byłoby nieprzyjemne i kłopotliwe. Poza tym nie jestem mordercą i być może miałbym potem wyrzuty sumienia. Naprawdę, Charles, wcale nie

bawiło mnie niszczenie twojej kariery. Działalem wyłącznie w samoobronie. - Machnął ręką. - Jednak nie zamierzam pozwolić, żebyś znów robił krecią robotę i kopał pode mną dołki. Tak więc leży w moim interesie, abyś podjął pracę w firmie, poszedł na współpracę i podpisał zobowiązanie o dochowaniu tajemnicy. Gdybyś chciał, mógłbyś całymi dniami przesiadywać w biurze i nic nie robić. Sądzę jednak, że wolałbyś zająć się badaniami naukowymi i wdrożeniami, mając nadzieję pomóc chorym. I wcale nie musiałyby to być inżynieria genetyczna. Badania farmaceutyków, biomedycyna, cokolwiek. Mógłbyś sobie wybrać. Poświęcić życie tworzeniu, nie niszczeniu.

Levine podniósł się z kanapy i stanął twarzą do ekranu, teraz pustego i czarnego. Przez długą chwilę milczał, a potem odwrócił się do Scopesa.

- Przyjmuję propozycję - powiedział. - Jednak muszę mieć gwarancję, że zniszczysz wirusa, jeśli przegrasz. Chcę, żebyś wyjął go z sejfu i umieścił na stole między nami. Jeżeli wygram, po prostu zabiorę go stąd i zniszczę. Jeśli to naprawdę jedyna próbka.

Scopes zmarszczył brwi.

- Sam chyba najlepiej wiesz, że jedyna. Dzięki twojemu przyjacielowi Carsonowi.

Levine spojrzał na niego zdziwiony.

- A więc to dla ciebie coś nowego? Z raportów, jakie otrzymałem, wynika, że ten sukinsyn wysadził w powietrze Mount Dragon. Carson Iskariota.

- Nie miałem o tym pojęcia.

Scopes obrzucił go badawczym spojrzeniem.

- A ja myślałem, że to ty za tym stoisz. Uznałem, że to zemsta za to, że zbrukałem pamięć twojego ojca. - Potrząsnął głową. - Cóż znaczy dziewięćset milionów dolarów, kiedy stawką jest dziesięć miliardów? Zgadzam się na twoje warunki. Z jednym zastrzeżeniem. Jeśli przegrasz, nie chcę, żebyś wycofał się z oferty podpisania wniosku. Chcę, żebyś podpisał go teraz, w obecności notariusza. Położymy dokument na stole, razem z ampułką. Jeśli przegram, i jedno, i drugie będzie twoje. Jeśli wygram, ja je dostanę.

Levine skinął głową.

Scopes znów położył sobie klawiaturę na kolanach i zaczął szybko pisać. Potem podniósł słuchawkę i rzucił kilka słów do telefonu. Po chwili dał się słyszeć dźwięk gongu i weszła jakaś kobieta, niosąc kilka kartek papieru, dwa pióra i pieczęć notarialną.

- Oto dokument - powiedział Scopes. - Podpisz go, a ja wyjmę wirusa.

Podszedł do przeciwległej ściany, przesunął po niej palcami, aż znalazł miejsce, którego szukał, po czym nacisnął. Rozległ się cichy trzask i ze ściany wysunął się panel. Scopes szybko wystukał na nim szereg cyfr. Levine usłyszał piśnienie i szcęk. Scopes włożył dłoń głębiej i wyjął niewielki pakiecik. Położył go na intarsjowanym stole, otworzył i wyjął szklaną ampulkę mającą trzy centymetry szerokości i pięć centymetrów wysokości. Ostrożnie umieścił ją na podpisanym przez Levine'a dokumencie i zaczekał, aż notariuszka opuści ośmiokątny gabinet.

- Zagramy według dawnych zasad - oświadczył. - Pozwolimy, by komputer GeneDyne wybrał przypadkowy temat z bazy danych. Czy zgadzasz się, żeby komputer rozstrzygnął również ewentualne spory?

- Tak - odparł Levine.

Scopes podrzucił monetę, złapał ją i z trzaskiem położył na stole, przykrywając dłonią.

- Wybieraj.

- Orzeł.

Scopes podniósł dłoń.

- Reszka. Ja wybieram pierwszy temat.

De Vaca przestała nucić starą hiszpańską piosenkę, którą podśpiewywała przez kilka ostatnich kilometrów, i została trochę w tyle, głęboko wdychając chłodne pustynne powietrze. Zachodzące słońce pomalowało pustynię złotem. Cudownie było żyć, siedzieć na koniu, opuszczać Jornadę i zmierzać ku nowemu życiu. W tej chwili nie miało żadnego znaczenia, jakie to będzie życie. Kiedyś zbyt wiele rzeczy uważała za oczywiste i przysięgła sobie, że już nigdy nie popełni te-go błędu.

Spojrzała na Carsona jadącego przodem na Roscoe, zmierzającego ku wąskiemu przesmykowi Lava Gate. Mimo woli zastanawiała się, jakie miejsce zajmie w jej nowym życiu. Natychmiast odepchnęła od siebie tę myśl. Później będzie mnóstwo czasu, żeby się nad tym zastanowić.

Carson odwrócił się, zobaczył, że została w tyle, i zwolnił. Kiedy podjechała do niego, z uśmiechem obrócił się w siodle i pochylił, chcąc pogładzić dłonią jej policzek.

Nagle deszcz kropel prysnął jej w twarz. Wilgoć na pustyni była czymś tak niezwykłym, że de Vaca odruchowo zamknęła oczy, odwró-

ciła głowę i zasłoniła twarz ramieniem. Otarła twarz i zobaczyła na swojej dłoni krew oraz biały odprysk czegoś, co wyglądało jak kość. W tej samej chwili usłyszała głośny huk.

Nagle wszystko zaczęło dziać się jednocześnie. Zobaczyła, że Carson pochyla się w siodle, a jej koń poderwał się do biegu, wystraszony hałasem. Rozpaczliwie chwyciła się lęku siodła i coś ze świstem przeleciało jej nad uchem. Następnym hukiem odbił się echem po pustyni.

Strzelano do nich.

Roscoe galopem mknął do podnóża gór. De Vaca popędziła swojego wierzchowca, bodąc piętami jego boki i starając się tworzyć jak najmniej cel. Wytężała wzrok, usiłując dostrzec coś pomimo wstrząsów i podskoków. Przed sobą widziała skulonego w siodle Carsona. Krew spływała strumieniem po boku Roscoe i opadała kroplami na piasek. Padł kolejny strzał, potem jeszcze jeden.

Konie natrafiły na ślepy zaułek w polu lawy i zatrzymały się. Niewidoczny strzelec oddał kilka szybko następujących po sobie strzałów i wierzchowiec Carsona zawrócił, zrzucając jeźdźca na piasek. De Vaca zeskoczyła z konia i wylądowała obok Carsona, a oba konie po-mknęły z powrotem na pustynię. Usłyszała kolejny huk, a po nim straszliwy kwik bólu. Obróciła się. Roscoe miał rozerwany brzuch i wnętrzności wylewały się z niego szarą falą. Przebiegł jeszcze kilka-dziesiąt metrów, po czym padł. Następnym trzaskiem i koń de Vaci również upadł, kopiąc nogami piach. Kolejna kula trafiła go w łeb, z którego trysnęła fontanna krwi. Zwierzę spazmatycznie grzebnięto nogami i znieruchomiało.

De Vaca podczołgała się do Carsona. Leżał skulony na piasku, z kołanami podciągniętymi pod brodę. Krew zmieniała piasek wokół w śliską, czerwoną maź. Krzyknął z bólu, gdy de Vaca delikatnie obróciła go na plecy. Szybko odszukała ranę. Lewe ramię miał całe zalane krwią. Ostrożnie usunęła strzęp rozerwanej koszuli. Kula wyrwała mu spory kawałek mięśni przedramienia, złamała kość promieniową i po-zostawiła głęboką dziurę odsłaniającą kość łokciową. Po chwili ten widok znów zasłoniła tryskająca z tętnicy promieniowej krew.

Carson przetoczył się na bok odrętwiały z bólu.

De Vaca szybko rozejrzała się wokół, szukając czegoś, co mogłaby wykorzystać jako opaskę uciskową. Nie odważyła się wystawić na strzał, usiłując podejść do koni. Zerwała z siebie koszulę, mocno ją zwinęła i owiązała Carsonowi rękę tuż pod łokciem, zaciskając węzeł, aż krew przestała płynąć.

- Możesz iść? - zapytała.

Mamrotał coś pod nosem. Pochyliła się, nasłuchując.

- Jezu - jęczał. - O Jezu.

- Nie pękaj mi tu teraz - warknęła wściekle, wstając i łapiąc go pod pachy. - Musimy schować się za skałami.

Ogromnym wysiłkiem woli Carson zdołał stanąć na nogi i chwiejnie ruszył w kierunku parowu, ale po kilku krokach osunął się na ziemię za dużym głazem. De Vaca podczołgała się do niego i walcząc z mdłościami, obejrzała ranę. Przynajmniej teraz nie wykrwawi się na śmierć. Usiadła i przyjrzała się rannemu. Miał sine usta. Nie dostrzegła drugiej rany, ale był tak zakrwawiony, że mogła jej nie zauważyć. Próbowwała nie zastanawiać się nad tym, co by było, gdyby Nye po-strzelił go dwukrotnie z tej strasznej broni.

Musiała coś wymyślić - i to szybka Nye jakimś cudem odgadł, że kierują się do Lava Gate, i odciął im drogę. Zabił ich konie i niedługo przyjdzie ich wykończyć.

Wyjęła Carsonowi zza paska sztylet Mondragóna, ale zaraz ze zniechęceniem rzuciła go na piach. Co mogła nim zdziałać przeciwko mężczyźnie ze sztucerem?

Wyjrzała zza głazu i zobaczyła Nyea, który wyszedł na otwartą przestrzeń i klęcząc celował w jej kierunku. Kula przeleciała kilka centymetrów od twarzy de Vaki, uderzając w skały za jej plecami. Odpryski kamieni klującym deszczem uderzyły ją w kark. W następnej chwili usłyszała huk strzału odbijający się echem wśród głazów.

Znow skuliła się za skałą, a potem przekradła się dalej i wyjrzała z drugiej strony. Nye znowu wstał i szedł ku niej. Rondo kapelusza rzucało głęboki cień, w którym nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy. Był zaledwie pięćdziesiąt metrów od ich kryjówki. Zamierzał po prostu podejść i zabić ich oboje. A ona nic nie mogła na to poradzić.

Carson jęknął i chwycił ją za rękę, usiłując coś powiedzieć.

Usiadła za głazem, odwracając się plecami do Nyea, i czekała. Czekwała na potężne uderzenie w tył głowy, które wyprzedzi huk strzału. Słyszała chrzęst kroków Nyea i schowała twarz w dłoniach, mocno zaciskając powieki, szykując się na śmierć.

Na wielkim ekranie przed nimi pojawiło się jedno słowo: próżność

Scopes zastanawiał się przez chwilę. Potem odchrząknął i powiedział:

- „Żadne miejsce nie świadczy lepiej o próżności ludzkich nadziei niż biblioteka publiczna”. Doktor Johnson.

- Bardzo dobrze - odparł Levine. - „Człowiek, który nie jest głup-

cem, może pozbyć się wszystkich przywar prócz próżności". Rousseau.

- „Byłem próżny, ale teraz jestem doskonały". WC. Fields.
- Chwileczkę - powiedział Levine. - Nigdy tego nie słyszałem.
- Chcesz mnie sprawdzić? Levine namyślał się przez chwilę.
- Nie.

- Wobec tego gramy dalej.

- „Próżność płata dziwne figle z pamięcią". Conrad. Scopes natychmiast odparował:

- „Próżność jest najbardziej nieprzyjemnym darem ewolucji".

Darwin.

- „Próżny człowiek nigdy nie bywa bezlitosny: pragnie poklasku".

Goethe.

Zapadła cisza.

- Skończyły ci się cytaty? - zapytał Levine. Scopes uśmiechnął się.

- Zastanawiam się tylko, który wybrać. „Każdy człek, nawet najlepszy, jest skrajnie próżny". Psalm trzydziesty dziewiąty.

- Nie wiedziałem, że jesteś wierzący. „Zaprawdę, każdy człek kroczy ścieżkami próżności". Ten sam psalm.

Znów zapadła długa cisza. Potem Scopes powiedział:

- „Wiem tylko, że kochaliśmy na próżno, i czuję tylko... Zegnajcie!

Zegnajcie! ". Byron.

- Widzę, że sięgasz do samego dna beczki - prychnął Levine.

- Twoja kolej.

Levine długo milczał, a potem powiedział:

- „Dziennikarz jest oszustem żerującym na ludzkiej próżności, ignorancji lub samotności, zdobywając zaufanie i zdradzając je bez skrpułów". Janet Malcolm.

- Sprawdzam - powiedział natychmiast Scopes.

- Żartujesz? - zapytał Levine. - Nie możesz znać tego cytatu. Pamiętam go tylko dlatego, że użyłem go niedawno podczas wykładu.

- Nie znam go. Jednak dla mnie Janet Malcolm jest przede wszystkim dziennikarką pisującą w „The New Yorker". Wątpię, czy pozwoliliby jej użyć słowa „oszust".

- Wydumana teoria - mruknął Levine. - Jeśli jednak chcesz oprzeć się na niej i sprawdzić mnie, bardzo proszę.

- Zobaczymy, co powie komputer? Levine skinął głową.

Scopes wprowadził z klawiatury ciąg znaków. Czekali, a komputer przeszukiwał rozległe bazy danych. W końcu pod słowem „próżność" pojawił się wypisany dużymi literami cytat.

- Tak jak myślałem! - zawołał triumfalnie Scopes. - To nie był „oszust”, tylko „powiernik”. Wygrałem pierwszą rundę.

Levine milczał. Scopes kazał komputerowi wybrać inny temat. Ekran wyczyścił się i pojawiło się na nim następane słowo:

śmierć

- Rozległy temat - stwierdził Levine. Zastanowił się. - „Nie chodzi o to, że obawiam się śmierci. Po prostu wolałbym być gdzie indziej, kiedy po mnie przyjdzie”. Woody Allen.

Scopes roześmiał się.

- Oto jeden z moich ulubionych: „Ci, którzy szukają śmierci, jeszcze jej nie spotkali”. Mizner.

Levine natychmiast odparował.

- „Musimy śmiać się, zanim będziemy szczęśliwi, ponieważ bomy się umrzeć, nigdy nie mając okazji do śmiechu”. La Bruyere.

Scopes: - „Większość ludzi może umrzeć prędzej, niż sądzą - i tak też się dzieje”. Russell.

Levine: - „Biedacy są bardzo uprzejmi: przysparzają bogactw tym, którzy życzą im śmierci”. Król Stanisław.

Scopes: - „Kiedy człowiek umiera, to nie z powodu choroby, lecz z powodu całego swego życia”. Peguy.

Levine: - „Każdy rodzi się królem, lecz większość umiera na wygnaniu”. Wilde.

Scopes: - „Śmierć jest tym wydarzeniem, po którym już nic człowieka nie interesuje”. Rozinov.

- Rozinov? A kim, do diabła, jest Rozinov? Scopes uśmiechnął się.

- Chcesz mnie sprawdzić?

- Nie.

- Wobec tego grajmy dalej. Mów.

- „Śmierć niszczy człowieka, lecz świadomość śmierci ratuje go”.

Forster.

- Jakie to ładne. Jakie chrześcijańskie.

- To nie tylko chrześcijańska idea. W judaizmie świadomość śmierci również ma skłaniać do godnego życia.

- Skoro tak twierdzisz - rzekł Scopes. - Jednak nie jestem tym szczególnie zainteresowany. Nie pamiętasz?

- Chcesz zyskać na czasie, bo skończyły ci się cytaty? - naciskał Levine.

- „I stałem się śmiercią: niszczycielem światów”. *Bhagavad Gita*.

- Bardzo stosowne, Brent, pasuje do ciebie. Powiedział to również

Oppenheimer, kiedy zobaczył pierwszą eksplozję nuklearną.

- Teraz wygląda na to, że tobie skończyły się cytaty.

- Wcale nie. „Strzeżcie się białego konia: a imię siedzącego na nim - Śmierć”. Apokalipsa.

- Imię siedzącego na nim? To mi źle brzmi.

- Sprawdzasz mnie? - zapytał Levine.

Scopes milczał przez chwilę, a potem pokręcił głową.

- „Śmierć filozofii poprzedza śmierć filozofa”. Russell. Levine zawahał się.

- Bertrand Russell?

- A któż by?

- On nigdy nie powiedział czegoś takiego. Znowu wymyślasz cytaty.

- Naprawdę? - uniósł brwi Scopes.

- To twój ulubiony numer jeszcze ze szkolnych czasów, pamiętasz? Tylko że teraz chyba łatwiej potrafię cię przejrzeć. To mi wygląda na typowy scopesizm, więc sprawdzam cię.

Zapadło milczenie. W końcu Scopes uśmiechnął się.

- Bardzo dobrze, Charles. Jeden punkt dla ciebie, jeden dla mnie.

Teraz decydująca runda.

Ekran znowu się wyczyścił i pojawiło się następane słowo:

wszechświat

Scopes na chwilę zamknął oczy

- „To niepojęte, że wszechświat jest pojmowalny”. Einstein.

Levine zmierzył go spojrzeniem.

- Chyba nie jesteś taki głupi, żeby znowu wymyślać cytaty, co?

- Sprawdź mnie, jeśli chcesz.

- Chyba tym razem sobie odpuszczę. „Albo jesteśmy jedyną inteligentną formą życia we wszechświecie, albo nie. Obie te możliwości są oszałamiające”. Carl Sagan.

- Carl Sagan tak powiedział? Nie wierzę.

- To sprawdź mnie.

Scopes uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- „To niewiarygodne, że cały ten wszechświat został stworzony dla nas, mieszkających na trzeciorzędnej planecie trzeciorzędnego słońca”.

Byron.

- „Bóg nie gra w kości z wszechświatem”. Einstein. Scopes zmarszczył brwi.

- Czy wolno cytować dwa razy to samo źródło przy tym samym

temacie? Robisz to już ponownie.

Levine wzruszył ramionami.

- A czemu nie?

- No dobrze. „Bóg nie tylko gra w kości z wszechświatem, ale czasem rzuca je tam, gdzie ich nie widać”. Hawking.

- „Im bardziej wszechświat wydaje nam się zrozumiały, tym bardziej zdaje się bezsensowny”. Weinberg.

- Bardzo dobrze - mruknął Scopes. - To mi się podoba. „Prawdziwe zrozumienie wszechświata jest typowe dla odurzonych nastolatków i zdiagnozowanych kosmologów”. Leary.

Zapadła cisza.

- Timothy Leary? - zapytał Levine.

- Oczywiście. Milczenie przedłało się.

- Nie sądzę, aby Leary mógł powiedzieć coś tak dziecinnego - stwierdził Levine.

Scopes uśmiechnął się.

- Jeśli wątpisz, sprawdź mnie.

Levine zastanawiał się. To była ulubiona taktyka Scopesa, wymyślanie cytatów na początku, a zachowywanie prawdziwych na koniec rozgrywki, żeby wyczerpać zapasy przeciwnika. Levine znał Leary'ego z Harvardu i ten cytat nie pasował mu do niego. Ale Scopes lubił też posługiwać się mało znanymi cytatami, aby nakłonić współzawodnika do ich sprawdzenia. Levine zerknął na dawnego przyjaciela, który odpowiedział mu beznamytnym spojrzeniem. Jeśli sprawdzi ten cytat, a Leary naprawdę tak powiedział... Odepchnął od siebie tę myśl.

Mijały sekundy

- Sprawdzam cię - oświadczył w końcu Levine.

Scopes drgnął. Levine zobaczył, jak krew odpływa z twarzy preza GeneDyne, gdy uświadomił sobie - tak samo jak przed laty on sam - co oznacza ta porażka.

- To boli, prawda? - zapytał. Scopes nie odpowiedział.

- Nie chodzi o przegraną - powiedział Levine - lecz o to, jak przegrałeś. Zawsze będziesz wracał myślami do tej chwili. Dziwiąc się, jak mogłeś stracić wszystko, popełniając taki idiotyczny błąd. Nigdy nie zdołasz o tym zapomnieć. Ja zresztą też nie potrafię.

Scopes nadal się nie odzywał. Czując niewysłowioną ulgę, Levine zobaczył jego nerwowo drżącą rękę i zrozumiał - jeszcze zanim cokolwiek się stało - że prezes GeneDyne nigdy nie odda śmiertelnego wirusa. Przed dwudziestu laty, kiedy Levine przegrał poprzednią grę,

dotrzymał słowa. Podpisał wniosek patentowy i pozwolił Scopesowi bogacić się na odkryciu, zamiast udostępnić je światu. Teraz Scopes przegrał grę o znacznie większą stawkę...

Levine sięgnął po ampułkę w tej samej chwili, gdy zrobił to Scopes. Obaj jednocześnie zacisnęli na niej ręce i zaczęli ją sobie wrywać.

- Brent! - krzyknął Levine. - Brent, dałeś słowo...

Nagle dał się słyszeć głuchy trzask. Levine poczuł ostre ukłucie i jego palce oblała lepka ciecz.

Powoli spojrzął na blat biurka.

Płynna pożywka, wraz z zawieszonym w niej śmiertelnośnym wirusem X-FLU II, rozlała się kałą po podpisanym kontrakcie i ściekała ze stołu na podłogę, plamiąc szary dywan. Levine rozchylił dłoń: tkwiły w niej odłamki szkła, a strużki rozcieńczonej pożywką krwi spływały na przegub. Kiedy poruszył palcami, poczuł ból.

Popatrzył na Scopesa, który powoli otworzył dłoń. Ona też była po-kaleczona i zakrwawiona.

Ich spojrzenia spotkały się.

Carson szarpał ją za rękę, usiłując coś powiedzieć.

- Złoto Mondragóna - szepnął w końcu.

- Co z nim? - szepnęła de Vaca.

- Wykorzystaj je.

Skurcz bólu wykrzywił mu twarz i znów opadł na piasek, tracąc przytomność.

Słyszając kroki zbliżającego się Nyea, de Vaca nagle zrozumiała, co Carson miał na myśli. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła cztery monety, które zabrała z jaskini.

- Nye! - zawołała. - Mam coś, co powinno cię zainteresować.

Rzuciła monety za głaz. Kroki ucichły. Potem usłyszała głośne syk-nięcie i wymamrotane pod nosem przekleństwo. Znów rozległy się kroki i ciężkie dyszenie nadchodzącego Nyea. Skuliła się, czekając. Po chwili uświadomiła sobie, że to, co dotyka podstawy jej czaszki, to na pewno lufa sztucera.

- Liczę do trzech - powiedział Nye. - Masz mi powiedzieć, gdzie je znalazłaś.

Czekała, nic nie mówiąc.

- Raz. Czekala.

- Dwa.

Wstrzymała oddech i zamknęła oczy.

- Trzy.

Nic się nie stało.

- Spójrz na mnie - powiedział w końcu Nye.

Powoli otworzyła oczy i odwróciła się. Nye stał nad nią, oparłszy jedną nogę o głaz, na tle zachodzącego słońca widziała tylko czarną sylwetkę. Tropikalny hełm i długi angielski płaszcz, które dotychczas zawsze wydawały jej się śmieszne, teraz budziły przerażenie. Wyglądał jak upiór. W jednej ręce trzymał złotą monetę. Przez chwilę patrzył przekrwionymi oczami na nagie piersi de Vaki, po czym przytknął lufę sztucera do jej skroni. Minęło jeszcze kilka sekund. Nye odwrócił się na pięcie i odszedł. De Vaca drgnęła, słysząc huk strzału, a potem ciche, przeciągłe westchnienie. Zabił Roscoe - pomyślała. Teraz szuka złota w jukach.

Po chwili wrócił. Wyciągnął rękę, złapał de Vacę za włosy i brutalnie postawił ją na nogi. Mocno szarpnął i poczuła, że wyrwał jej garść włosów. Pchnął ją na wznoszącą się obok skałę i uderzył kolbą w brzuch. Zgięła się z jękiem, a wtedy on znów szarpnął ją za włosy

- Posłuchaj mnie uważnie. Chcę wiedzieć, gdzie znalazłaś tę monetę. Ruchem głowy wskazała na piasek u swoich stóp. Zerknął w dół, zobaczył sztylet i podniósł go. Dokładnie przyjrzał się rękojeści.

- Diego de Mondragón - szepnął. Potem przysunął się do niej. Jeszcze nigdy nie widziała tak przekrwionych oczu. Ich białka były szkarłatne, prawie czarne. - Znaleźliście skarb - syknął.

Znów przyłożył lufę do jej skroni.

- Gdzie? - zapytał. Spojrzała mu w oczy.

- Jeśli ci powiem, zabijesz mnie. Jeśli nie powiem, też mnie zabijesz. Tak czy tak, umrę.

- Ty suko. Nie zabiję cię. Zamecę cię na śmierć.

- Spróbuj.

Zacisnął pięść i uderzył ją w twarz. Poczuła impet uderzenia, szum w uszach i dziwne ciepło rozlewające się po całym ciele. Zaczęła osuwać się na ziemię, ale Nye pchnął ją na skałę.

- To na nic - powiedziała. - Spójrz na mnie, Nye.

Uderzył ją ponownie. Świat wokół na chwilę stał się biały i bezkształtny i poczuła, że krew płynie jej z ust. Po chwili odzyskała wzrok i kiedy dotknęła dłonią ust, uświadomiła sobie, że straciła ząb.

- Gdzie - powtórzył Nye.

Mocno zacisnęła powieki i milczała, czekając na następny cios.

Kroki oddaliły się i usłyszała, jak Nye mówi coś ściszym

głosem. Co chwila robił przerwy, jakby czekał na czyjąś odpowiedź. Z kim rozmawiał? Pewnie z Singerem lub jednym ze strażników. Poczwała, że za-czyna tracić resztki nadziei. Byli pewni, że Nye jest sam.

Kroki wróciły i de Vaca lekko rozchyliła powieki. Nye wycelował sztucer w głowę Carsona.

- Powiedz mi albo on zginie.

Głęboko wciągnęła powietrze, zbierając siły. Wiedziała, że to będzie najtrudniejsze.

- No już, zastrzel go - powiedziała najspokojniej, jak mogła. - Nie znoszę tego sukinsyna. Jeśli to zrobisz, całe złoto będzie moje. Nigdy ci nie powiem, gdzie jest. Chyba że...

Skierował broń ku niej.

- Chyba że co?

- Pohandlujemy - wykrztusiła.

Kiedy uderzył ją kolbą w głowę, nawet nie poczuła ciosu, tylko gwałtownie zapadła w ciemność. Świadomość wróciła jej wraz z okropnym bólem skroni. Nie otwierała oczu. Znów usłyszała głos: Nye mówił do kogoś. Nasłuchiwała odpowiedzi, ale nie padła. W końcu de Vaca otworzyła oczy. Słońce już zaszło i było prawie ciemno, była jednak pewna, że Nye mówi sam do siebie.

Pomimo bólu poczuła głęboką ulgę. Destrukcyjne działanie Pur-Blood było coraz bardziej widoczne.

Nye obrócił się do niej i zauważył, że odzyskała przytomność.

- Czego chcesz? - zapytał.

Odwróciła się od niego, zamykając oczy i szykując się na następny cios.

- Czego chcesz? - zapytał ponownie.

- Życ - powiedziała. Milczał chwilę.

- Chcesz żyć - powtórzył. - Zgoda.

- Nie przeżyję bez konia, karabinu i wody.

Zapadła cisza, a potem znów ją uderzył. Tym razem dopiero po dłuższej chwili odzyskała przytomność. Była odrętwiała i ocieżała. Oddychała z trudem i wiedziała, że złamał jej nos. Bezsukutecznie próbowała coś powiedzieć i poczuła, że znów zapada w czarną ciemność.

Kiedy znów oprzytomniała, leżała na miękkim piasku. Usiłowała się podnieść, lecz poczuła przeszywający ból w skroniach i krzyżu. Nye stał nad nią z latarką w ręku. Wyglądał na zaniepokojonego.

- Jeszcze jeden taki cios - szepnęła - a zabijesz mnie, skurwielu. Wtedy nigdy się nie dowiesz, gdzie jest złoto.

Nabrała tchu i zamknęła oczy. Po kilku minutach znów się odezwała:

- Ono jest sto kilometrów od miejsca, gdzie go szukałeś.

- Gdzie?! - wrzasnął.

- Moje życie za złoto.

- Dobrze. Obiecuję, że cię nie zabiję. Tylko powiedz mi, gdzie jest złoto.

Nagle odwrócił się, jakby coś usłyszał.

- Tak, tak, pamiętam - powiedział do kogoś. Później znów obrócił się do niej.

- Mogę przeżyć tylko, mając konia, broń i wodę - szepnęła. - Bez tego umrę i nigdy się nie dowiesz...

Zamilkła. Nye patrzył na nią, tak mocno ściskając w dłoni monety, że drżała mu ręka. Z jego gardła wydobył się cichy skowyt. Widząc, jak na nią patrzy, zrozumiała, że jej twarz musi wyglądać okropnie.

- Przyprowadź konia - zażądała.

- Powiedz mi teraz, proszę - wykrztusił Nye.

- Konia.

Oczy same jej się zamknęły. Kiedy znów je otworzyła, Nye już odszedł. Usiadła, usiłując ignorować ból głowy. Nos i usta miała pełne krwi, tak że musiała kilkakrotnie odkaszlnąć, żeby swobodnie oddychać. W świetle księżyca zobaczyła wracającego Nyea. Jego wspaniały koń kroczył za nim jak milczący cień.

- Powiedz mi, gdzie jest skarb - powtórzył.

- Koń - odparła, podnosząc się z ziemi i wyciągając lewą rękę. Nye zawahał się, a potem podał jej wodze. Chwyciła łęk siodła i próbowała wsiąść, ale o mało nie upadła.

- Pomóż mi.

Jedną ręką chwycił za but de Vaki i pomógł jej usiąść w siodle.

- Teraz broń.

- Nie - burknął Nye. - Zabijesz mnie.

- A więc daj mi nienaładowaną.

- Oszukasz mnie. Pojedziesz tam i zabierzesz mój skarb.

- Popatrz na mnie. Spójrz mi w oczy

Niechętnie spojrzał na nią nabiegłymi krwią oczami. Dopiero teraz, kiedy w nie spojrzała, zrozumiała, jak bardzo pragnął skarbu Mon-dragóna. PurBlood zmienił ekscentryczne hobby w prawdziwą obsesję. Gorączka złota kazała mu zapomnieć o wszystkim, nawet o nienawiści, jaką czuł do Carsona. Z przerażeniem i litością uświadomiła sobie, że

spogląda na szaleńca.

- Obiecuję, że nie zabiorę twojego skarbu - powiedziała prawie łagodnie. - Możesz zabrać sobie wszystko. Ja chcę tylko wydostać się stąd żywa.

Rozładował sztucer i podał go jej.

- Gdzie? - nalegał. - Powiedz mi gdzie.

Po bokach siodła zwisały dwa worki z wodą, każdy tylko w połowie pełny. Odwiązała jeden i dała go Nyeowi, a potem wycofała Muerto. Wariat czy nie, nie miała zamiaru ryzykować, że spróbuje odebrać jej broń, kiedy się dowie, gdzie szukać skarbu.

- Czeka! Nie odjeżdżaj. Powiedz, proszę...

- Słuchaj uważnie. Pójdiesz po naszych śladach piętnaście kilometrów wzdłuż pasa lawy. Poszukasz miejsca, gdzie spętaliśmy konie. Tam, u podnóża gór, znajdziesz ukrytą jaskinię. Bije w niej źródło. O świcie wpadające do jaskini słońce rzuci na ścianę plamę światła w kształcie orła stojącego na ognistej igle. Tak jak napisano na twojej mapie. Jednak na tej ścianie jaskinia się nie kończy. Poniżej znajdziesz ukryte przejście. Idź tam. Ciało Mondragóna, jego muł i skarb leżą na dnie jaskini.

Energicznie pokiwał głową.

- Tak, tak, rozumiem. - Obrócił się do swego wyimaginowanego towarzysza. - Słyszałeś? Przez cały czas szukałem w niewłaściwym miejscu. Założyłem, że góry na tej mapie to Cerritos Escondidos. Skąd mogłem... - Znow zwrócił się do de Vaki: - Powiedziałaś piętnaście kilometrów?

Skinęła głową.

- Chodźmy - powiedział do swojego nieistniejącego towarzysza i zarzucił worek na ramię. - Podzielimy się po połowie. Mama by tak chciała.

Poszedł między skałami, kierując się na pustynię.

- Nye! - zawołała de Vaca. Odwrócił się.

- Kim jest twój przyjaciel?

- To chłopiec, którego kiedyś znałem - wyjaśnił.

- Jak się nazywa?

- Jonathan.

- Jonathan? A dalej?

- Jonathan Nye.

Odwrócił się i pospiesznie odszedł. Patrzyła, jak idzie, mówiąc coś z ożywieniem. Wkrótce dotarł do pasa lawy i znikł w mroku nocy.

De Vaca odczekała kilka minut, aż się upewniła, że naprawdę od-

szedł. Wtedy zsiadła i powoli podeszła do Carsona. Wciąż był nieprzytomny. Sprawdziła mu puls: słaby i przyspieszony, wyraźnie wskazujący na wstrząs. Ostrożnie obejrzała przetrzelone przedramię. Krwawiło, ale nieznacznie. Poluzowała opaskę uciskową i z ulgą zobaczyła, że krwotok ustał. Teraz musiała wyprowadzić stąd Carsona, zanim wda się gangrena.

Otworzył oczy.

- Guy! - wyszeptała.

Spojrzał na nią, powoli ogniskując wzrok.

- Możesz wstać?

Nie wiedziała, czy ją słyszy. Chwyciła go pod pachy i spróbowała podnieść. Usiłował wstać, ale znów osunął się na piach. Delikatnie spryskała mu twarz wodą.

- Wstań - rozkazała.

Carson podniósł się na klęczki, podparł się zdrową ręką, znów się wyprostował, chwycił strzemień Muerto i powoli wstał. De Vaca pomogła mu wgramolić się na konia, starając się nie urazić przy tym rany. Carson zachwiał się w siodle, przycisnął rękę do piersi i zamrugał oczami. Potem zaczął zsuwać się z konia. De Vaca złapała go i przytrzymała. Będzie musiała go przywiązać.

Przy siodle wisiał bawełniany sznur. Odwiązała go, owinęła nim pierś Carsona i przywiązała mu lewą rękę do łęku siodła. Robiąc to, nagle uświadomiła sobie, że jest półnaga. Jednak było ciemno, a poza tym nie miała czym się okryć. Wydało jej się to zupełnie nieistotne.

Chwyciła wodze i prowadząc Muerto, poszła w kierunku Gwiazdy Polarnej.

O świcie dotarli do obozowiska: starego budynku z blaszanym dachem ukrytego w gąszczu krzaków bawełny. Opodal znajdowała się stajnia, wiatrak i zbiornik z wodą oraz stare zagrody dla koni. Rześki wietrzyk poruszał wiatrakiem. Jakiś koń w zagrodzie zarżał i pies szczekaniem oznajmił przybycie gości. Niebawem w progu chaty stanął młody mężczyzna w czerwonych kalesonach i kowbojskim kapeluszu. Rozdziawił usta na widok półnagiej, zakrwawionej kobiety prowadzącej wspaniałego konia z przywiązanym w siodle mężczyzną.

Scopes z przerażeniem i niedowierzaniem spoglądał na Levine'a. W końcu wstał, podszedł do panelu w pobliskiej ścianie i nacisnął guzik. Panel bezszelestnie uniósł się, odsłaniając małą umywalkę.

- Nie myj rąk - powiedział cicho Levine. - Wpuścisz wirusa do ścieków.

Scopes zawahał się.

- Masz rację - odparł.

Zmoczył ręcznik, zwilżył nim dłonie, wyjął kilka odłamków szkła, a potem starannie wytarł sobie ręce. Odszedł od umywalki, wrócił i usiadł na sofie. Poruszał się dziwnie niepewnie, jakby chodzenie stało się zupełnie nieznaną mu czynnością.

Levine spojrział na niego z drugiego końca kanapy.

- Może lepiej powiesz mi, co wiesz o X-FLU II - rzekł spokojnie.

Scopes machinalnie przyglądał kosmyk włosów.

- Właściwie niewiele. O ile wiem, zaraziła się nim tylko jedna osoba. Okres inkubacji od dwudziestu czterech do sześćdziesięciu godzin, po którym następuje niemal natychmiastowy zgon w wyniku obrzęku mózgu.

- Jest na to jakieś lekarstwo?

- Nie.

- Szczepionka?

- Nie.

- Zakaźność?

- Podobna do zwykłej grypy. Może trochę większa.

Levine ponownie spojrział na skaleczoną dłoń. Krew już zaczęła krzepnąć w ranach od odłamków ampułki. Nie ulegało wątpliwości, że obaj zostali zarażeni.

- Jest jakaś nadzieja? - zapytał w końcu.

- Żadnej - odparł Scopes. Zapadła długa cisza.

- Przykro mi - powiedział wreszcie Scopes, tak cicho, że prawie niedosłyszalnie. - Bardzo mi przykro, Charles. Kiedyś nigdy nie przyszłoby mi to do głowy. Ja... - urwał. - Chyba za bardzo przyzwyczyłem się wygrywać.

Levine wstał i oczyścił sobie dłoń ręcznikiem.

- Nie ma czasu na wzajemne oskarżanie się. Teraz najważniejszą sprawą jest to, w jaki sposób zapobiec zniszczeniu ludzkości przez znajdujący się w tym pomieszczeniu wirus.

Scopes milczał.

- Brent?

Scopes nie odpowiedział. Levine pochylił się do niego.

- Brent? - zapytał cicho. - Co jest?

- Nie wiem - odparł wreszcie Scopes. - Chyba boję się śmierci.

Levine spojrział na niego.

- Ja też - rzekł. - Jednak strach to luksus, na jaki nas teraz nie stać.

Tracimy cenny czas. Musimy znaleźć sposób, żeby... no cóż, wysterylizować to pomieszczenie. Całkowicie. Rozumiesz?

Scopes kiwnął głową, odwracając wzrok. Levine złapał go za ramię i potrząsnął nim lekko.

- Musisz mi pomóc, Brent, inaczej nic z tego nie będzie. To twój budynek. Ty musisz zapewnić środki do unieszkodliwienia wirusa.

Scopes jeszcze przez długą chwilę nie odpowiadał. Potem obrócił się do Levine'a.

- Ten pokój ma własny obieg powietrza i jest całkowicie hermetyczny - rzekł, wzięwszy się w garść. - Ściany zostały wzmocnione na wypadek ataku terrorystów, pożaru, wybuchów, gazu. To nam ułatwi zadanie.

Zadźwięczał gong i na wielkim ekranie pojawiła się twarz Spence-ra Fairleya.

- Sir, Jenkins z marketingu chce z panem mówić - powiedział. - Wygląda na to, że konsorcjum szpitalne nagle odwołało zaplanowane na jutro rano transfuzje PurBlood. Chce wiedzieć, jakie środki nacisku zamierza pan zastosować wobec ich administracji.

Scopes spojrzął na Levine'a i uniósł brwi.

- *Et tu, Brute*⁷. Najwidoczniej nasz przyjaciel Carson zdołał jednak przekazać wiadomość. - Ponownie obrócił się do postaci na ekranie. - Nie zamierzam wywierać żadnych nacisków. Powiedz Jenkinsowi, że dystrybucja PurBlood zostanie opóźniona ze względu na konieczność przeprowadzenia dalszych badań. Być może ten preparat wywołuje niepożądane efekty uboczne, z których nie zdawaliśmy sobie sprawy. - Wystukał szereg poleceń. - Przesyłam dane z Mount Dragon do filii GeneDyne w Manchesterze. Są niekompletne, ale mogą wskazywać na obecność zanieczyszczeń w procesie produkcyjnym PurBlood. Proszę dopilnować, żeby dokładnie zbadali tę sprawę.

Westchnął.

- Spencer, chcę, żebyś sprawdził hermetyczność mojego gabinetu. Upewnij się, czy jest całkowicie szczelny

Fairley skinął głową i znikł z ekranu. Po chwili wrócił.

- System napowietrzania jest w pełni sprawny - oznajmił. - Regulatory ciśnienia i wszystkie urządzenia kontrolne nie wykazują odchyleń od normy

- Dobrze - rzekł Scopes. - A teraz posłuchaj mnie uważnie. Chcę, żebyś polecił Endicottowi odblokowanie budynku i wznowienie łączności z naszymi filiami. Za chwilę powiem kilka słów do naszego per-

sonelu. Poza tym wyślesz wiadomość otwartą linią do generała Rogera Harringtona w Pentagonie, obwód E, poziom trzeci, sekcja siedemnasta. Powiesz mu, że wycofuję ofertę i nie będzie żadnych dalszych negocjacji.

- Dobrze - powiedział Fairley i spojrzał uważnie na monitor.
-Wszystko w porządku, sir?

- Nie - odparł Scopes. - Stało się coś strasznego. Potrzebna mi twoja pomoc.

Fairley skinął głową.

- W moim gabinecie miał miejsce wypadek - rzekł Scopes. - Wirus znany jako X-FLU II wydostał się na wolność. Zarówno doktor Levine, jak i ja zostaliśmy zarażeni. Ten wirus wywołuje stuprocentową śmiertelność. Nie ma żadnej nadziei na wyzdrowienie.

Twarz Fairleya nie zdradzała żadnych uczuć.

- Nie możemy pozwolić, żeby ten wirus wydostał się na wolność. Tak więc mój gabinet musi zostać wysterylizowany

Fairley ponownie skinął głową.

- Rozumiem, sir - powiedział.

- Wątpię. Doktor Levine i ja jesteśmy nosicielami wirusa. Kiedy to mówię, zarazki mnożą się w naszych ciałach. Dlatego musisz osobiście dopilnować naszej śmierci.

- Sir! Jak mogę...

- Zamknij się i słuchaj. Jeżeli nie wypełnisz moich poleceń, umrą miliardy ludzi. Włącznie z tobą.

Fairley milczał.

- Postaraj się o dwa helikoptery - powiedział Scopes. - Jeden wyślesz do siedziby GeneDyne w Manchesterze, skąd ma zabrać dziesięć dwulitrowych pojemników z VXV-12. - Szybko obliczył w myślach. - Ten pokój mieści około tysiąca metrów sześciennych powietrza. Tak więc będziemy potrzebowali co najmniej szesnastu litrów płynnego 6,6,6-trimetoksyheksachlorortęcianu 1,2-dicyjanofosfatolu. Drugi helikopter przywiezie potrzebne środki z naszej siedziby w Norfolkku. Mają być dostarczone w zapieczętowanych szklanych butlach.

Fairley oderwał wzrok od stojącego obok komputera.

- Cyjanofosfatol?

- Biologiczna trucizna. Bardzo, bardzo skuteczna. Zabije wszystko, co żyje w tym pokoju. Chociaż jest przechowywana w formie płynnej, ma niską temperaturę wrzenia i gwałtownie zacznie parować, wypełniając ten pokój sterylizującym gazem.

- Czy nie zabije...
- Spencer, my już będziemy martwi. Do tego są mi potrzebne pojemniki z VXX

Fairley oblizał usta.

- Panie Scopes... - Przełknął ślinę. - Nie może pan oczekiwać...

Zamilkł. Scopes spojrzał na jego twarz widoczną na wielkim ekranie. Krople potu perliły się na czole asystenta, a stalowosiwe włosy, zwykle ulizane, sterczały na boki.

- Spencer, nigdy bardziej niż teraz nie potrzebowałem twojej lojalności - ciągnął spokojnie Scopes. - Musisz zrozumieć, że ja już jestem martwy Najlepsza przysługa, jaką możesz mi oddać, to nie pozwolić mi umrzeć z powodu zarażenia X-FLU II. Nie ma czasu do stracenia.

- Tak, sir - odparł Fairley, unikając jego spojrzenia.

- Musisz ściągnąć tutaj to wszystko w ciągu dwóch godzin. Zawiadom mnie, kiedy oba helikoptery znajdą się na lądowisku.

Scopes nacisnął klawisz i ekran zgasł. W pokoju zapadła głęboka cisza. Potem Scopes obrócił się do Levine'a.

- Wierzysz w życie pozagrobowe? - zapytał. Levine przecząco pokręcił głową.

- Według religii judaistycznej liczy się tylko to, co robimy za życia. Osiągamy nieśmiertelność, wiodąc uczciwe życie i oddając cześć Bogu. Naszą nieśmiertelnością są dzieci, które pozostawiamy.

- Przecież ty nie masz dzieci, Charles.

- Zawsze chciałem je mieć. Próbowałem czynić dobro w inny sposób, nie zawsze z powodzeniem.

Scopes milczał przez chwilę.

- Kiedyś gardziłem ludźmi, którzy potrzebowali wiary w życie pozagrobowe - rzekł wreszcie. - Uważałem to za słabość. Teraz, kiedy nadeszła godzina próby, żałuję, że nie próbowałem przekonać się do tej idei. - Opuścił wzrok. - Miło byłoby mieć jakąś nadzieję.

Levine zamknął oczy, zastanawiając się. Potem nagle otworzył je.

- Cyfrop przestrzeń - powiedział po prostu.

- Co masz na myśli?

- Wprowadziłeś do twojego programu ludzi z przeszłości. Dlaczego nie umieścisz w nim siebie? W ten sposób ty - a raczej część ciebie mogłaby żyć dalej, może nawet przekazywać swoją wiedzę i mądrość każdemu, kto zechce z tobą rozmawiać.

Scopes zaśmiał się ochryple.

- Obawiam się, że nie jestem szczególnie miłą osobą, o czym do-

brze wiesz.

- Być może. Z pewnością jednak niezwykle interesującą. Scopes skłonił się.

- Dziękuję. - Milczał przez chwilę. - To intrygująca myśl.

- Mamy dwie godziny. Scopes uśmiechnął się słabo.

- W porządku, Charles. Dlaczego nie? Mam tylko jeden warunek. Musisz też znaleźć się w tym programie. Nie wrócę sam na Monhegan Island.

Levine pokręcił głową.

- Nie umiem programować, szczególnie czegoś tak skomplikowanego jak to.

- To żaden problem. Napisałem algorytm generujący postacie. Wykorzystuje podprogramy AI, które zadają pytania, prowadzą krótkie rozmowy z użytkownikiem, wykonują testy psychologiczne. Potem tworzy postać i umieszcza ją w cyfroprzestrzeni. Wykorzystywałem go jako narzędzie do efektywniejszego zaludnienia wyspy, ale równie dobrze możemy go użyć teraz.

Spojrzał pytająco na Levine'a.

- Może wtedy dowiem się, dlaczego przedstawiłeś wasz letni dom w ruinie - rzekł Levine.

- Może - odparł Scopes. - Bierzmy się do roboty

W końcu Levine postanowił wyglądać zwyczajnie: w niedopasowanym garniturze, łysawy, z nierównymi zębami. Powoli obrócił się przed zamocowaną w gabinecie kamerą wideo. Zarejestrowane przez nią klatki zostaną zeskanowane na kilkaset obrazów o wysokiej rozdzielczości, które stworzą postać Levine'a w wirtualnym świecie Scopesa. W ciągu dziewięćdziesięciu minut programy sztucznej inteligencji zadały mu mnóstwo pytań dotyczących wspomnień z dzieciństwa, zapamiętanych nauczycieli, poglądów, wiary i etyki. Wypytywały go o przeczytane książki i gazety, jakie prenumerował w różnych okresach swojego życia. Przedstawiały mu różne problemy matematyczne, pytały o odbyte podróże, upodobania muzyczne i wspomnienia związane z żoną. Przeprowadziły testy Rorschacha, obrażały go i spierały się z nim, prawdopodobnie po to, aby ocenić jego reakcje emocjonalne. Levine wiedział, iż uzyskane w ten sposób dane zostaną wykorzystane do uzupełnienia wiedzy o emocjach i wspomnieniach, jakie otrzyma jego cyberprzestrzenna postać.

- I co teraz? - zapytał Levine, znów siadając na kanapie.

- Teraz czekamy - odparł Scopes z wymuszonym uśmiechem.

Przeszedł podobne przesłuchanie. Wystukał kilka poleceń i usiadł na sofie, a superkomputer zaczął generować dwie nowe postacie do jego cybernetycznej Monhegan Island.

W gabinecie zapadła cisza. Levine uświadomił sobie, że dzięki temu przesłuchaniu przynajmniej miał jakieś zajęcie i zdołał zapomnieć, że są to ostatnie minuty jego życia. Teraz ogarnęły go mieszane uczucia: strach, wspomnienia, żal z powodu wielu rzeczy, których nie zdążył zrobić. Odwrócił się do Scopesa.

- Brent... - zaczął.

Rozległ się cichy terkot. Scopes wyciągnął rękę i nacisnął przycisk stojącego na bocznym stoliku interkomu. Z głośnika aparatu popłynął patrycjuszowski głos Spencera Fairleya.

- Helikoptery przyleciały, sir - powiedział.

Scopes położył sobie klawiaturę na kolanach i zaczął pisać.

- Prześlę tę wiadomość do centrali słyby ochrony, a także do archiwów, żeby nie zadawano później kłopotliwych pytań. Słuchaj uważnie, Spencer. Za kilka minut wydam rozkaz ewakuacji i zamknięcia tego budynku. Pozostaniesz w nim tylko ty, ochrona oraz ekipa przeciwskażeniowa. Po zakończeniu ewakuacji musisz wyłączyć system obiegu powietrza w gabinecie. Następnie wprowadzisz zawartość wszystkich dziesięciu pojemników VXV do przewodów powietrznych i ponownie włączysz system. Nie wiem dokładnie, jak długo... -Urwał, a potem dokończył: - Sądzę, że powinieneś poczekać piętnaście minut. Potem pošlesz ekipę przeciwskażeniowa do awaryjnej śluzy po-wietrznej w dachu gabinetu. Niech Endicott z ochrony otworzy zewnętrzne drzwi śluzy, a wtedy ekipa umieści w niej butle z cyjanofosfatem i ponownie zamknie oraz uszczelni drzwi. Kiedy już wycofają się z komory, zdalnie otworzycie wewnętrzne drzwi śluzy. Butle spadną na podłogę, zbiją się i cyjanofosfatol zmieni się w gaz. Spojrzał na ekran.

- Czy wszystko jasne, Spencer?

- Tak, sir - odparł po chwili asystent.

- Nawet po zastosowaniu cyjanofosfatolu w tym pomieszczeniu zostaną żywe wirusy. W naszych ciałach. Dlatego ostatnim krokiem będzie ich spalenie. Pod wpływem temperatury cyjanofosfatol się rozłoży. Ognioodporna powłoka pomieszczenia nie dopuści do rozprzestrzenienia się ognia na resztę budynku. Musicie jednak uważać, żeby nie wywołać eksplozji zbyt wcześnie, bo gdyby pożar wymknął się spod kontroli, mógłby uwolnić wirusa. Najpierw należy użyć łatwo palnego środka o wysokiej temperaturze spalania, takiego jak fosfor. Kiedy

zwłoki całkowicie się spala, resztę pomieszczenia należy wysterylizować środkiem zapalającym o niższej temperaturze spalania. Na przykład pochodną napalmu. Oba te środki z pewnością znajdują się w naszych magazynach chemikaliów.

Levine zauważył, jak metodycznie Scopes opisuje wszystkie te czynności. Ciała, zwłoki... To nasze ciała - pomyślał.

- Następnie ekipa przeciwskażeniowa przeprowadzi standardową procedurę odkażania budynku. Kiedy już będzie po wszystkim... - Scopes zamilkł na chwilę. - Sądzę, Spencer, że reszta należy już do zarządu firmy

Zapadła cisza.

- A teraz, Spencer, połącz mnie z moim prawnikiem - polecił Scopes.

Po chwili z głośnika aparatu popłynął szorstki, poważny głos:

- Mówi Alan Lipscomb.

- Alan, tu Brent. Słuchaj, chcę wprowadzić zmianę do mojego testamentu. Jesteś jeszcze na linii, Spencer?

- Tak.

- To dobrze. Spencer będzie moim świadkiem. Chcę przekazać pięćdziesiąt milionów dolarów na rzecz Institute for Advanced Neurocybematics. Szczegóły podam Spencerowi, który przekaże je tobie.

- Dobrze.

Scopes szybko pisał przez kilka minut, a potem rzekł do Levinea:

- Wydaję Spencerowi polecenie przekazania całego banku danych cyfropzestrzeni, razem z kompilatorem i moimi notatkami dotyczącymi języka C³, do Institute for Advanced Neurocybematics. W zamian za dotację proszę, aby utrzymali moją wirtualną rzeczywistość Mon-hegan Island i umożliwili dostęp do niej każdemu, kto chciałby poważnie zająć się badaniami nad nią.

Levine skinął głową.

- Powszechny dostęp. Właściwe przeznaczenie takiego dzieła sztuki.

- Nie tylko dostęp, Charles. Chcę, żeby ją wzbogacano, rozwijano, ulepszono język programowania i narzędzia. Sądzę, że zbyt długo zachowywałem to tylko dla siebie. - Machinalnie poprawił kosmyk włosów. - Masz jeszcze jakieś życzenia, Charles? Mój prawnik bardzo sumiennie wykonuje swoją pracę.

- Tylko jedno - odparł Levine.

- Jakie?

- Myślę, że wiesz.

Scopes patrzył na niego przez chwilę.

- No tak, oczywiście - mruknął w końcu. Znowu obrócił się do aparatu. - Spencer, jesteś tam jeszcze?

- Tak, sir.

- Proszę, podrzyj wniosek o przedłużenie patentu na X-RUST.

- Wniosek, sir?

- Zrób to. I zostań na linii.

Scopes odwrócił się do Levine'a i uniósł brew.

- Dziękuję - powiedział Levine.

Scopes bez słowa kiwnął głową. Potem wziął słuchawkę telefonu i nacisnął szereg klawiszy.

- Uwaga, personel - rzucił do mikrofonu.

Levine usłyszał, jak niewidoczne głośniki powtarzają jego głos, i pojął, że słowa te są przekazywane przez system nagłaśniający w całym budynku.

- Mówi Brent Scopes - ciągnął prezes GeneDyne. - Pewne szczególne okoliczności wymagają, aby cała załoga opuściła budynek. To tymczasowa sytuacja i zapewniam, że nikomu nie grozi niebezpieczeństwo. - Przerwał, a potem dodał: - Jednak zanim wyjdziecie, muszę poinformować was, że zajdą zmiany w zarządzie firmy. Niedługo poznaćcie szczegóły. Teraz chcę wam tylko powiedzieć, że praca z wami dawała mi wiele radości i życzę wam oraz GeneDyne wszystkiego najlepszego. Pamiętajcie, iż cele nauki są także naszymi celami: postęp oraz dobro ludzkości. Nigdy nie traćcie ich z oczu. Teraz proszę, by wszyscy udali się do najbliższego wyjścia z budynku.

Przyciskając palcem widełki, spojrzał na Levine'a.

- Jesteś gotowy? - zapytał.

Levine skinął głową. Scopes zdjął palec z widełek.

- Spencer, w poniedziałek przekażesz zarządowi wszystkie taśmy z zapisem tych wydarzeń. Niech działają zgodnie ze statutem Gene-Dyne. A teraz proszę, zacznij wprowadzać VXV Tak. Tak, Spencer, wiem. Dziękuję. Życzę ci szczęścia.

Powoli odłożył słuchawkę. Potem dotknął palcami klawiatury

- Zaczynamy - powiedział.

Usłyszeli szum i światła przygasły Nagle ogromna ośmiokątna sala zmieniła się w wieżyczkę zrujnowanego domu na Monhegan Island. Rozglądając się wokół, oszołomiony Levine zobaczył, że nie tylko jedna, ale wszystkie ściany pomieszczenia były ogromnymi ekranami.

- Teraz już wiesz, dlaczego wybrałem wieżyczkę - rzekł Scopes, odstawiając klawiaturę.

Levine siedział na kanapie i patrzył jak urzeczony. Za oknami wieżyczki widział galeryjkę. Słońce właśnie wschodziło nad oceanem i morze chłonoło barwy nieba. Mewy krążyły nad kutrami w porcie, krzycząc pi-skliwie, gdy rybacy przetaczali beczki z przynętą po nadbrzeżu i na łodzie.

Na wieży jakaś postać wstała z fotela i przeciągnęła się. Mężczyzna był niski i chudy, kościsty, na nosie miał grube szkła. Niesforny kosmyk włosów sterczał mu jak czarne pióro na rozczochranej głowie.

- No cóż, Charles - powiedział. - Witaj na Monhegan Island. Levine zobaczył, że druga postać siedząca w wieżyczce - łysawy mężczyzna w źle dopasowanym garniturze - w odpowiedzi kiwa głową.

- Dziękuję - powiedział mężczyzna znajomym głosem.

- Pójdziemy do miasteczka? - zapytał wirtualny Scopes.

- Jeszcze nie - odparł cyberprzestrzenny Levine. - Wolę posiedzieć tutaj i popatrzeć na wypływające łodzie.

- Bardzo dobrze. Zagramy jeszcze raz?

- Dlaczego nie? Mamy mnóstwo czasu do zabicia.

Siedzący w ciemnym gabinecie Levine ze smutnym uśmiechem spoglądał na swojego sobowtóra.

- Mnóstwo czasu do zabicia - powtórzył w ciemności Scopes. -Nieskończenie wiele. Tyle czasu dla nich, a tak mało dla nas.

- Wybieram temat „czas” - powiedział wirtualny Levine. Sobowtór Scopesa znów usiadł w bujanym fotelu, rozkołysał go i rzekł:

Przyjdzie taki czas, przyjdzie czas Szykować się na spotkanie wszystkich twarzy; Przyjdzie czas zabijać i tworzyć...

Levine - prawdziwy Levine - wyczuł dziwny zapach unoszący się w gabinecie: ostry, niemal słodki jak woń dawno uschniętych róż. Zapiekły go oczy i zamknął je, słuchając głosu sobowtóra Scopesa:

I czas na wszystko, i na dni rąk Unoszących się i rzucających pytanie; Czas dla ciebie i czas dla mnie...

Zapadła cisza i ostatnią rzeczą, jaką usłyszał Levine, wciągając do płuc trujący gaz, był jego własny głos odpowiadający cytatem: „Czas jest burzą, która porywa nas wszystkich...”.

Epilog

Pustynia wyglądała dziwnie pod cienką warstwą ciągnących po niebie chmur. Nie była już morzem światła, lecz ciemniejszą modrą tonią zamkniętą w oddali ostrą granią gór. W powietrzu unosił się chłód i zapach pustynnej jesieni.

Carson i de Vaca spoglądali ze szczytu Mount Dragon na poczerniałe ruiny pustynnego ośrodka badawczego GeneDyne. Ogromny podziemny bunkier Wylęgarni zmienił się w krater poszarpanego betonu i poskręcanych prętów zbrojeniowych sterczących z piasków, otoczony pomarańczowym pierścieniem wypalonym przez ogień. Po laboratorium transfekcji plazmidów został tylko szkielet poskręcanych w pożarze dźwigarów Budynki mieszkalne spoglądały na to czarnymi oczodołami powybijanych okien. Wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, zostało zabrane wiele tygodni temu. Pozostały tylko skorupy budynków, jak niemi świadkowie tego, co się stało. Niczego nie zamierzano odbudowywać. Krążyły pogłoski, że wojsko planuje wykorzystać te resztki jako cel ćwiczebnych bombardowań. Jediną oznaką życia były kruki plądrujące zniszczoną kan-tynę, krążące i pokrzykujące nad czymś, co leżało w środku.

Za ruinami ośrodka sterczały z piasków gruzy innego wymarłego miasteczka: Kin Klizhini, Czarnego Domu, zniszczonego przez czas, brak wody i żywności. Po drugiej stronie krateru wznosił się rząd wież radarowych i anten czekając na demontaż. Daleko w dole, w miejscu gdzie kiedyś znajdował się płot, stał pikap, którym przyjechali -samotna kolorowa plama w burej pustce.

Carson patrzył na to jak zahipnotyzowany.

- Niewiarygodne, że te ruiny dzieli tysiąc lat - powiedział cicho. -Przebyliśmy długą drogę. A jednak wszystko kończy się tak samo. Pustynia rządzi się własnymi prawami.

Zapadła cisza.

- Dziwne, że nie znaleźli Nyea - zauważyła w końcu de Vaca. Carson potrząsnął głową.

- Biedny sukinsyn. Na pewno umarł gdzieś tam i stał się żerem dla kojotów i sępów. Kiedyś go znajdą, tak jak my znaleźliśmy Mon-dragóna. Wybielały od słońca szkielet i worek kamieni.

Na samo wspomnienie pomasaował sobie lewe przedramię. Teraz miał w nim sporo metalu i wciąż pobolevało go na deszcz. Jednak nie tutaj, na pustyni.

- Może powstanie wokół tego nowa legenda i za pięćset lat będą szukać złota Nyea - powiedziała z uśmiechem de Vaca. Zaraz jednak spoważniała. - Wcale mi go nie żal. Był draniem, zanim jeszcze zmienił go PurBlood.

- Żal mi tylko Singera - rzekł Carson. - Był z niego naprawdę porządny gość. Tak samo jak Harper. I Yanderwagon. Żaden z nich nie zaszył na to, co ich spotkało.

- Mówisz tak, jakby umarli.

- Niewielka różnica.

De Vaca wzruszyła ramionami.

- Kto wie? Po tej okropnej wrzawie, jaka podniosła się w mediach, może GeneDyne spróbuje coś zrobić, żeby im pomóc. Poza tym w pewnym sensie sami są sobie winni. Zawinili, ponieważ chcieli urzeczywistnić wielką i straszną wizję, nie zważając na konsekwencje.

Carson pokręcił głową.

- Gdyby to było prawdą, byłbym równie winny jak oni.

- Nie całkiem - zaprotestowała de Vaca. - Myślę, że w głębi duszy zawsze byłeś sceptycznie nastawiony.

- Zadaję sobie to pytanie codziennie, od kiedy wstrzymano dystrybucję PurBlood. Nie jestem pewien. Na ich miejscu też przyjąłbym transfuzję.

De Vaca spojrzała na niego.

- Był taki czas, kiedy poszedłbym za Scopesem na koniec świata, gdyby tego zażądał - wyjaśnił. - On tak działał na ludzi.

De Vaca nadal patrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Nie na mnie - stwierdziła wreszcie. Carson nic nie powiedział.

- Dziwna sprawa z tym pożarem - mruknęła de Vaca.

- Tak, istotnie - przytaknął Carson. - I to wyznanie Scopesa. Jeśli można to tak nazwać. Jestem pewny, że nigdy się nie dowiemy, co naprawdę zaszło. Ci dwaj, Scopes i Levine, mieli niedokończone porachunki.

De Vaca uniosła brwi.

- No cóż, teraz chyba już je zakończyli. Carson zastanowił się.

- Ciekawe, czy kiedyś dokończą projekt X-FIAJ - rzekł wreszcie.

- Teraz, kiedy rozwiązaliśmy problem.

- Nigdy - odparła z przekonaniem. - Nikt nie zechce tego tknąć. To zbyt niebezpieczne. Poza tym wcale nie wiemy, czy rozstrzygnęliśmy wszystkie związane z tym problemy. Jedno jest pewne: dopiero stanęliśmy przed poważnym zagrożeniem, jakim są genetyczne zmiany

przyszłych pokoleń, przekształcanie ludzkiego gatunku. Jeszcze za naszego życia możemy zobaczyć straszne rzeczy, Guy. Sam wiesz, że to nie koniec.

Chmury zgęstniały i wokół pociemniało. Stali bez ruchu.

- Lepiej chodźmy - powiedziała wreszcie de Vaca. - Czekają nas długa jazda do Sleeping Ute Mountain.

Carson nie ruszył się, nie odrywał oczu od resztek tego, co kiedyś było ośrodkiem Mount Dragon.

- Czekają tam na ciebie krewni, którzy chcą cię wreszcie poznać. A także gulasz z jagnięcia i domowy chleb. Oraz tańce i śpiewy. I musisz uczcić pamięć starego wuja Charleya, który uratował nam tyłki na pustyni.

Carson z roztargnieniem skinął głową.

- Chyba nie tchórzysz, co, mieszańcu? Objęła go ramieniem i uśmiechnęła się.

Z trudem oderwał oczy od zrujnowanego ośrodka. Potem spojrzał na de Vacę i uśmiechnął się.

- Już dawno nie jadłem porządnego gulaszu z jagnięcia - oświadczył.